



STEFÁN MÁNI STATEK

To, co na wieki śpi,
nie jest martwe...

STEFÁN MÁNI

STATEK

przełożył
Jacek Godek



Publikacja dofinansowana przez BókmenntasjóSur / The Icelandic Literature Fund.

Bókmenntasjóður

The Icelandic Literature: Literature Fund.

Tytuł oryginału: Skipið

Copyright © Stefán Máni, 2006

Title of the original Icelandic edition: Skipið

Published by arrangement with Forlagið, www.forlagid.is

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo W.A.B., 2010

Copyright © for the Polish translation by Wydawnictwo W.A.B., 2010

Wydanie I

Warszawa 2010

Konwersja do formatu EPUB: Virtualo Sp. z o.o.

virtualo.eu

VIRTUALO
Digital platform of tomorrow

Spis treści

[Biografia](#)

[Wstęp](#)

[I](#)

[II](#)

[III](#)

[IV](#)

[V](#)

[VI](#)

[VII](#)

[VIII](#)

[IX](#)

[X](#)

[XI](#)

[XII](#)

[XIII](#)

[XIV](#)

[XV](#)

[XVI](#)

[XVII](#)

[XVIII](#)

[XIX](#)

[XX](#)

[XXI](#)

[XXII](#)

[XXIII](#)

[XXIV](#)

XXV

XXVI

XXVII

XXVIII

XXIX

XXX

XXXI

XXXII

XXXIII

XXXIV

XXXV

XXXVI

XXXVIII

XXXIX

XL

Biografia

Stefan Mani (ur. 1970) - pisarz islandzki, debiutował w 1996 roku prozą *Dyrnar a Svörtufjóllum*, ostatnio opublikował powieść kryminalną *Hyldypi* (2009). Pochodzi z miasteczka Ólafsvik w zachodniej Islandii, mieszka w Reykjavíku. Zanim został pisarzem, miał się różnych zajęć, był m.in. robotnikiem, stróżem i cieślą.

Statek to jego siódma książka, opublikowana w 2006 roku, nagrodzona *Kroplą Krwi* i nominowana do *Szklanego Klucza*, przyznawanego najlepszemu kryminałowi skandynawskiemu. Thriller został przetłumaczony na angielski, czeski, duński, niemiecki oraz francuski i odniósł międzynarodowy sukces.

Wstęp

Na podwodnych skałach spoczywa zardzewiały kadłub przechylony o trzydzieści stopni do tyłu i pięć na bakburtę; dziób sterczy ukośnie spod lodu, a rufa zwisa ponad ciemną czeluścią szczeliny. Z samego tyłu krzywo pochylona wisi sześciopiętrowa nadbudówka, wyrastając ponad groźną otchłań niczym nawiedzony dom i wpatrując się w nicość pustymi oknami mostka. W świetle dziennym i przy dobrej pogodzie przez lodową pokrywę sączy się niebieskawy blask i widać wtedy, jak w głębinach ciekawskie foki buszują wokół wraku, który od czasu do czasu porusza się, kołysany morskimi prądami. Przeciagle wówczas zgrzyta, ciężko stukocze, pozostawiając na powierzchni gęstą plamę oleju, która w słabiutkim świetle zdaje się zielona, różowa i fioletowa, i w końcu daje nura pod lód niczym zatopiona zorza polarna.

To, co na wieki śpi, nie jest martwe...

I

Poniedziałek, 10 września 2001

Jest wieczór, za cztery ósma. W ciasnej kuchni domu w dzielnicy Thingholt trzyosobowa rodzina je gołąbki z młodymi ziemniakami, okraszonymi stopionym masłem.

Choć za oknem zapadły jesienne ciemności i panuje ziąb, w kuchni młodych ludzi jest jasno i ciepło.

- Wolałabym jednak dać ci coś lepszego do jedzenia, Saeli, kochanie! - mówi jego konkubina, rozdrabniając gotowane nadzienie dla ich trzyletniego synka.

- Laro, przecież ja właśnie tego chciałem! - odzywa się Saeli z uśmiechem, biorąc dokładkę. - Przez następny miesiąc będą mnie karmić wyłącznie stekami, sosami i gęstymi zupami.

- Biedaczek! - Lara uśmiecha się do niego.

- Aj, wiesz, o co mi chodzi! - odpowiada Saeli, szczypiąc ją w bok.

Saeli jest pierwszym majtkiem na frachtowcu, a Lara fryzjerką w 101 Reykjavik.

- Pokazywałam ci już mieszkanie przy Framnesvegur? - pyta Lara, wycierając keczup z twarzy synka. - W dzisiejszej

gazecie są zdjęcia.

- Tak, nie... nie widziałem ich - mamrocze Saeli, cicho wzdychając. - Zdaje się, że mieliśmy poczekać z oglądaniem mieszkań?

- No ale chyba można obejrzeć oferty? - oburza się Lara.

- Tak, jasne... tak tylko mi się powiedziało - mruczy Saeli, kładąc swoją prawą dłoń na jej lewej. - Tyle że na razie i tak mamy mnóstwo wydatków i...

- Ale przecież nie będziemy tu mieszkać bez końca. - Lara po matczynemu uśmiecha się do synka popijającego wodę z upapranej szklanki. - Nie po tym, jak... no wiesz.

- Wiem - zgadza się Saeli i chociaż stracił apetyt, je dalej.

- Zastanowimy się nad tym, jak wrócisz, co? - odzywa się Lara o wiele przyjaźniej.

Saeli potakuje i czule patrzy w jej oczy; w oczy kobiety, którą kocha. Lecz kiedy w kieszeni jego marynarki wiszącej w przedpokoju odzywa się komórka, zupełnie go to rozprasza.

- Musisz odbierać?

- Załatwię to raz-dwa - odpowiada Saeli, zrywając się od stołu. Wyławia komórkę z kieszeni i spogląda na wyświetlacz.

Numer zastrzeżony.

- Halo?

- Tu Diabeł.

Saeli nie ma bladego pojęcia, jak się ten człowiek nazywa naprawdę, ale taką właśnie niepokojącą ksywką przedstawił się, kiedy po raz pierwszy zadzwonił do niego kilka dni

wcześniej.

- No cześć - odpowiada Saeli, po czym ścisza głos i przerywa swojemu rozmówcy: - Zadzwoń do ciebie później... nie dzwoń już. Zadzwoń, w porządku?

- Posłuchaj - w słuchawce rozbrzmiewa zimny, spokojny męski głos.

- Nie, ty posłuchaj...

- Jestem niedaleko - stanowczo przerywa mu Diabeł. - A może zaprosisz mnie do siebie?

- Nie, ja... - mruczy Saeli i zerka ukradkiem do kuchni, gdzie Lara udaje, że go nie podsłuchuje ani nie podgląda. - Czego chcesz?

Saeli idzie w kierunku drzwi wejściowych, wygląda przez znajdujące się obok nich okno i widzi bordowe bmw 750 zaparkowane do połowy na chodniku po drugiej stronie ulicy. Samochód warczy na niskich obrotach, a za jego kierownicą siedzi młody człowiek o posturze niedźwiedzia brunatnego.

Ciekawe, czy to on? Ten cały Diabeł?

- Szał wiesz - odzywa się głos w telefonie.

- Tak wiem, wiem - przytakuje Saeli i drapie się po głowie.
- i mam zamiar...

- Nikt ci nie kazał grać z tymi typami w pokera - spokojny, mechaniczny głos brzmi równie lodowato jak wcześniej.

- Nie, ja...

- Wyłączyłeś w nocy, co nie? - pyta Diabeł, po czym nie czekając na odpowiedź, mówi: - Mój agent ma kontakty w Kolumbii. Jego ludzie podrzucą ci do portu przesyłkę. Znają planowaną datę przybycia i nazwę statku. I tę

paczkę zabierzesz ze sobą do domu. Rozumiesz, co do ciebie mówię?

- Przemyt? - szepce Saeli do telefonu ochryplym głosem. Zaschło mu w gardle.

- To pierwsza rata długu - ciągnie Diabeł najspokojniej w świecie.

- Pierwsza rata! - szepce Saeli, rumieniąc się aż po cebulki włosów. - Przecież mogę wylądować w więzieniu! Jak... Gdzie... Co ma być w tej...

- Popłyniesz i przewieziesz paczkę. Kropka - dorzuca Diabeł jeszcze bardziej lodowatym głosem. - Ja zadbam, żeby twojej kobiecie i synkowi nic się nie stało podczas twojej nieobecności. Rozumiesz?

- Jeżeli... ani się waż...

- Wrócisz z paczką - podsumowuje Diabeł tonem nieznoszącym sprzeciwu. - Ja zaopiekuję się twoją rodziną. Kropka.

- Co... Jak... Halo? - rzuca Saeli, ale nikt go już nie słucha. W słuchawce dzwoni tylko lodowata cisza i dudni echo bicia jego własnego serca. Znów wygląda przez okno przy drzwiach wejściowych i widzi, jak bordowe bmw zjeżdża z chodnika i znika za rogiem, ciągnąc za sobą ogon spalin.

- Ciekawe, ile kosztuje zlecenie morderstwa? - pyta cicho Saeli sam siebie, chowając komórkę do kieszeni marynarki.

Saeli kontaktował się już ze znajomym kuzyna, orientującym się nieco w światku przestępczym, i opowiedział mu o swoich kłopotach, w nadziei, że otrzyma jakieś dobre rady, a nawet licząc na to, że tamten wyciągnie

go z tej trudnej sytuacji, ale kiedy ów przyzwoity skądinąd człowiek, który z niejednego pieca chleb jadł, usłyszał ksywkę Diabeł, życzył tylko Saelemu powodzenia i natychmiast się rozłączył.

Co ma teraz zrobić? Co m o ż e zrobić?

Saeli usiłuje przełknąć ślinę, ale w krtani czuje jakby kartofel. A potem, zanim wejdzie do kuchni, do Lary i synka, usiłuje zapomnieć o tym zmartwieniu i przywołać pozytywne myśli.

- Kto...? - pyta Lara, patrząc na swojego partnera wzrokiem kobiety podejrzewającej, że w grę wchodzi ta druga. Nader często Saeli, kiedy nie jest oczywiście na morzu, znika na całe dni.

I co ona ma myśleć?

- To tylko Runar - uspokaja ją Saeli i chrząka, zajmując na powrót miejsce przy stole. Potem zmusza się do uśmiechu i głaszcze synka po główce, zerkając ukradkiem w oczy konkubiny, która stara się mu uwierzyć.

- Wszystko w porządku? - pyta Lara ostrożnie.

- To nic takiego... - zaczyna Saeli i wzdycha. Wcześniej tego dnia bosman dzwonił do niego i prosił, by spotkał się z nim i trzema innymi członkami załogi, zanim stawią się na pokładzie. - Chciał tylko przypomnieć o tym spotkaniu, o którym ci wspominałem.

- A... tak - mruczy Lara, uśmiechając się bez przekonania.

Nieco ponad pół godziny później Saeli siedzi przy łóżeczku swojego synka i w świetle lampki nocnej czyta mu bajkę.

- Wiesz, że tatuś dzisiaj wypływa? - mówi, kończąc lekturę.

- W morze? - pyta niepocieszony chłopiec.

- Tak.

- A ja też mogę? - odzywa się dziecko bez przekonania.

- Nie, synku - odpowiada Saeli z uśmiechem maskującym strach i rodzące się już uczucie tęsknoty. - Musisz zaopiekować się mamusią.

- Wiem - odzywa się chłopiec, podciągając kołdrę pod brodę.

- Tatuś będzie o tobie myślał - mówi Saeli i całuje chłopca w czoło, po czym gasi światło. - Tatuś cię kocha.

- Egill kocha tatusia - odzywa się synek w ciemnościach. Saeli trzyma maleńką dłoń, czując ściskanie w gardle, a łzy spływają mu po policzkach niczym krople rosy.

Kiedy chłopiec zasypia, Saeli siada na sofie obok Lary, a ona nakrywa ich kocem i kuli się w objęciach mężczyzny jak zziębnięta kotka.

W saloniku w niszy palą się świece. Na stoliku pod telewizorem dymi kadzidełko, a z przenośnego odtwarzacza CD sączy się cichutko muzyka z filmu Fire Walk With Me.

Saeli wpatruje się w nieruchome płomyki świec i zamyślony mierzwi jedwabiste włosy Lary, opadające jej na ramiona.

- Pamiętasz, że muszę spotkać się z Runarem i chłopakami? - mówi cicho Saeli i natychmiast czuje, jak kobieta sztywnieje pod kocem.

- Po co? - pyta oschle Lara.

- Nie mam pojęcia - wzdycha Saeli. - Coś tam z pracą.

- A to nie może poczekać? - docieka rozdrażniona kobieta.

- Z tego, co się zorientowałem, to nie - mamrocze Saeli, oddychając ciężko.

- Tylko nie daj się wciągnąć w jakąś głupotę. - Lara siada i patrzy mu prosto w oczy.

- Nie, nie ma mowy - mruczy Saeli i od razu czuje się jakiś niespokojny i wystraszony. - Musimy po prostu coś obgadać.

- A potem oczywiście wrócisz?

- Nie - odpowiada Saeli niecierpliwie. - Bierzymy taryfę i jedziemy do portu.

- Będzie mi ciebie brakowało - mówi Lara z pustką w oczach. - To znaczy, no wiesz, bardziej niż zwykle... rozumiesz.

- Rozumiem - mówi Saeli i kładzie lewą dłoń na jej brzuchu, gdzie maleńkie życie pluska się w gorącym oceanie.

- Może będzie już coś widać, kiedy wrócę?

- Może - uśmiecha się Lara smutno. - Kiedy powiemy o tym Egillovi?

- Jak tylko wrócę - decyduje Saeli. - Wtedy przekazemy mu dobrą nowinę. Razem.

- W porządku - odzywa się Lara cicho z rozmarzoną miną, pochyla się naprzód i całuje swego mężczyznę, który przyciąga ją do siebie i delikatnie przewraca na podłogę.

- Ja jestem tą jedyną? - szepce dziewczyna między pocałunkami.

- Jedną jedyną.

Na zewnątrz zachodni wiatr dmucha coraz mocniej, wydymając od czasu do czasu zasłony; migają płomienie świec, a na ciemnych szybach rozpryskują się ciężkie krople

deszczu do taktu z namiętymi pocałunkami dzikich serc i ponurą muzyką. Płomyki świec syczą, plują woskiem i umierają, żar gaśnie, siwy dym sączy się w ciemność niczym wijąca się ryba i znika w otchłaniach ciemności.

Zło istnieje po wsze czasy, a nic, co dobre, nie trwa bez końca...

II

Podwójny garaż pogrążony jest w mroku, lecz po chwili jedna po drugiej mrugają i zapalają się w nim lampy sufitowe. Młoda kobieta obuta w kozaki na wysokich obcasach szybko przemierza wyłożony gresiem korytarz, a jej kroki dudnią głośno między ścianami. Ma na sobie krótką spódniczkę i cienką bluzkę, a na rękach niesie dwuletnią córeczkę.

- Mamusi auto - odzywa się dziewczynka, kiedy kobieta mija dwudrzwiowego kabrioleta marki Mercedes Benz.

- Tatusia auto - mówi po chwili, kiedy jej matka pilotem otwiera srebrnego range rovera vogue.

- Tak, tak, siedź spokojnie - odpowiada zniecierpliwiona matka. Zapina dziewczynkę w dziecięcym foteliku na tylnym siedzeniu terenówki pachnącej skórą, gumą i środkami czyszczącymi. Auto ma zaledwie kilka tygodni.

Ośmiocylindrowy silnik pomrukuje pod maską matowym głosem, drzwi garażu podnoszą się i kobieta wyprowadza samochód na zewnątrz, mija dwa kamienne lwy pełniące wartę na podjeździe i skręca w prawo na ulicę. Garaż znajduje się pod piętrowym domem jednorodzinny,

skąpanym w światłach w tę zimną i ciemną jesienną noc. Okna przypominają rozjarzone oczy podejrzliwego sfinksa. Drzwi garażu zamykają się i range rover znika w ciemnościach jak statek kosmiczny w kształcie kartonowego pudełka. Dzieje się to w dzielnicy Stadahverfi w Grafarvogur, jednej z najrzadziej zaludnionych podmiejskich dzielnic stolicy.

- Dokąd jedziemy? - pyta dziecko z tylnego siedzenia. Ma na sobie piżamę i grube, wełniane skarpety. Zaledwie kilka minut temu dziewczynka spała jeszcze kamiennym snem.

- Do babci - odpowiada oschle matka i dociska pedał gazu.

Po trzyminutowej jeździe samochód zatrzymuje się przed blokiem w dzielnicy Rimahverfi.

- Mogę iść z tobą? - pyta dziewczynka, trąc oczy.

- Nie, poczekaj tu. Zaraz wracam - odpowiada matka, nie oglądając się na tylne siedzenie. Wyskakuje z dżipa, zostawiając go z włączonym silnikiem na nieoświetlonym parkingu.

- Mama - odzywa się mała cichutko i patrzy, jak matka znika w otwartym oknie na parterze.

Stara kobieta budzi się, kiedy ktoś zapala światło w sypialni. Na ciemnej drewnianej półce nad jej łóżkiem stoi siedmioramienny świecznik ze złota, a do krawędzi półki przytwierdzono mosiężną płytkę z następującym napisem: Słysz, Izraelu, jam jest Pan, Bóg twój...!

- Gdzie walizka? - pyta synowa, która stoi przy łóżku w cienkiej bluzeczce, spódniczce i kozakach na wysokim obcasie.

- Lilja? - odzywa się stara kobieta i podnosi się z łóżka. - Co ty tu robisz? Coś się stało? Jak tu weszłaś? Gdzie Jon Karl?

Starsza pani jest szczupła i zdrowo wygląda, ma piwne oczy, oliwkową cerę, porusza się jak młoda balerina i mówi z silnym niemieckim akcentem.

- Gdzie walizka? - pyta Lilja, zgrzytając zębami. - Przysłał mnie tutaj po walizkę. Gdzie ona jest?

- Walizka? Jaka walizka, kochanie? - Starsza pani wyskakuje z łóżka i wkłada szlafrok na koszulę nocną.

- Czerwona walizka. Podróżna - syczy Lilja przez zaciśnięte zęby. - Ta, którą kazał ci przechować.

- Ach, ta - mamrocze stara, przyglądając się bacznie swojej synowej wzrokiem, który uznać by można zarówno za oskarżycielski, jak i nieufny. - Miałam wielką ochotę wywalić ją na wysypisko. Nie lubię przechowywać rzeczy, o których nie wiem, do czego służą.

A na dodatek jeszcze przyjeżdżasz po to w środku nocy! Nie widziałam się z wami ponad tydzień, a teraz budzisz mnie jak jakąś...

- Walizka! Szybko! - syczy Lilja, zaciskając pięści. - Nie będę tu czekać całą noc!

- Tego by jeszcze brakowało - komentuje świekra, otulając się szczelnie szlafrokiem. - Wyrywa się człowieka ze smacznego snu i wylewa nań kubły pomyj...

- Słuchaj no! Tylko bez numerów! - Lilja szarpie starą za ramię. - Sara czeka w samochodzie. A nie chcesz chyba, żeby ją porwano czy coś, co?

- Zostawiłaś dziecko w samochodzie? - dziwi się starsza pani, łapiąc oddech. - Czyś ty zmysły postradała, kobieto? Co to za wycieczki z dzieckiem w środku nocy sobie urządzasz? Dlaczego nie wzięłaś jej ze sobą do mnie? Coś się stało? Gdzie Jon Karl?

- GDZIE JEST, KURWA, WALIZKA?! - wrzeszczy Lilja i szarpie staruszkę za ramię z taką siłą, że odrywa rękaw szlafroka.

- W pralni. Nie... - odzywa się stara słabym głosem i milknie, kiedy synowa ją puszcza.

- Gdzie? - pyta Lilja po zapaleniu światła w pralni.

- Pod stołem. Za koszem z brudami - odpowiada stara kobieta, która z sypialni przyszła tu za nią.

- O, jest - mamrocze Lilja i wyciąga czerwoną walizkę. Usiłuje ją otworzyć, ale nie zna szyfru.

- Gdzie Jon Karl? - pyta starsza pani, podążając za synową w kierunku drzwi wejściowych. - Gdzie jest mój syn? Ma jakieś kłopoty?

- Nie interesuj się tym, co ciebie nie dotyczy - odpowiada Lilja i wychodzi w mrok, oburącz taszcząc walizkę za uchwyt.

Otwiera bagażnik range rovera, wkłada walizkę do środka, mocuje ją i zamyka klapę.

- Babcia! - woła Sara z wnętrza samochodu.

- Moja kochana dziewczynka! - mówi starsza pani łamiącym się głosem i drżącym palcem puka w szybę, za którą majaczy twarz dziecka.

- Spierdalaj! - warczy Lilja, popychając staruszkę na kwietnik, po czym wsiada do dżipa. Szybko cofa z miejsca

parkingowego, gwałtownie hamuje i rusza z piskiem opon.

- Gdzie babcia? - pyta dziecko na tylnym siedzeniu.

- Położyła się spać - oschle odzywa się matka, zapalając papierosa.

- Mamusiu, nie możesz palić w...

- Nie wtrącaj się w nie swoje sprawy - wyrzuca z siebie matka, opuszczając odrobinę szybę po stronie kierowcy.

Po nieco ponad dwóch minutach znów są w Stadahverfi, gdzie zza szyb mknącego w ciemnościach dżipa wszystkie domy wydają się jednakowe.

Przy podjeździe do domu kamienne lwy pełnią wieczną wartę, a niskie okna świecą się niczym oczy bestii, która nie jest ani stara, ani młoda, ani rzeczywista, ani wymyślona.

Lilja parkuje range rovera, zajmując połowę chodnika przed schodami prowadzącymi do wejścia, wrzuca jałowy bieg i zastanawia się, czy nacisnąć klakson. Ale noc jest zbyt nabrzmiała ciszą. Nie naciska.

- Mamusiu...

- Cicho! - syczy matka i obserwuje dom. Zamyślona zagryza dolną wargę i strzepuje popiół przez otwarte okno.

Potem szybko spogląda na zegar na desce rozdzielczej: 01:13.

Nagle, w jednej chwili, dom pogrąża się w ciemnościach. I w niecałe piętnaście sekund później trzy wybuchy przerywają kruchą ciszę. Błyski rozświetlają dom niczym pochodnie, jedna z szyb w salonie rozbija się w drobny mak, a odłamki szkła rozsypują się po całym podjeździe.

Dziewczynka na tylnym siedzeniu krzyczy, Lilja wyrzuca

niedopałek przez okno, wrzuca automat na drive i wciska gaz do dechy. Range rover zrywa się z miejsca, zjeżdża z chodnika i z hukiem silnika znika w mroku.

- Mamusiu - łka dziewczynka, kiedy są już w połowie drogi do Mosfellsbae. - Dokąd jedziemy?

- Do domku letniskowego - bąka matka, zapalając papierosa drżącą ręką. Na przednią szybę spada kilka kropli deszczu, więc włącza wycieraczki.

Ruch panuje niewielki, a ciemna obwodnica zachodnia zlewa się z zimną nocą.

- A gdzie tatuś? - pyta mała, wyglądając przez szybę.

- Później dojedzie - mruży matka i posyła wymuszony uśmiech do wstecznego lusterka. - Postaraj się zasnąć, kochanie.

- Tak - odpowiada dziewczynka i patrzy na światła za oknem, kiedy samochód grubo ponad sto na godzinę mknie przez Mos-fellsbae.

Niedaleko zjazdu na Thingvellir w dziapa coś ciężko uderza. Na mokrej powierzchni szosy autem rzuca to w lewo, to w prawo, lecz w końcu Lilji udaje się znów nad nim zapanować.

- Mamusiu? - pyta dziewczynka przebudzona z lekkiej drzemki.

- To nic takiego - mówi matka i zaciska szczupłe palce na kierownicy.

Prawy reflektor jest stłuczony, przednia szyba pęknięta, cała pomazana brunatną krwią.

Lilja pryska szybę cytrynowym płynem i nastawia

wycieraczki na maksymalną szybkość, a one mieszają krew z deszczem i rozmazują ją na powierzchni szyby. W końcu krew znika.

- Dobry Boże - szepce Lilja i mruga oczami pełnymi łez, ale zamiast zwolnić i zatrzymać samochód, przyspiesza. Pędzi prawie dwieście na godzinę w mokrą od deszczu noc.

Patrzy przed siebie niczym zahipnotyzowana, ale jedyne, co widzi, to twarz mężczyzny, którego przejechała. Stężała w mgnieniu oka. Tuż po tym, jak mężczyzna pojawił się w świetle reflektorów, tuż przed tym, jak dżip na niego najechał. Twarz popielatą. Jak cieniuteńki papier.

Maska piekielna.

Wygrawerowana w jej pamięci...

III

Poprzez ciężkie dźwięki bluesa, gwar i gorzkie opary dymu dobiegają głośne uderzenia w dzwon, jakby dochodzące ze statku zabłąkanego we mgle u brzegu nieznanego lądu.

Dźwięk, który wywołuje zmarszczki na ciemnej powierzchni podświadomości stałych bywalców i zimny pot na ich plecach.

Deja vu.

- Za piętnaście minut zamykamy! - woła barman, puszczając linkę, która zwisa smutno z serca starego dzwonu odlanego z brązu, niegdyś pełniącego wachtę na holenderskim handlowcu.

Na parterze lokalu przy stolikach siedzą mężczyźni, paląc i pijąc, niektórzy grają w szachy lub wista, inni gawędzą z sąsiadami, a jeszcze inni tkwią samotnie przy barze, skupieni na własnej niedoli, tonący w alkoholowym zapomnieniu.

Jak choćby ten w spodniach i w kurtce z dżinsu, który rozgorączkowanym wzrokiem spogląda na ostatni łyk piwa w upačkanej szklance, po czym zerka na zegarek i stwierdza, że jest wtorek, za piętnaście pierwsza w nocy.

Wypija ostatni łyk piwa, gasi na wpół wypalonego papierosa i zstępuje z wysokiego barowego stołka. Następnie zatacza się w kierunku okrągłego stolika, przy którym skupiło się pięciu popijających mężczyzn, i poklepuje po plecach dwóch siedzących najbliżej niego. Nachyla się do nich i uśmiecha się lizusowsko spod rozwichrzonego zarostu.

- Możecie mi pożyczyć dychę, chłopaki? - pyta i chrząka. - Muszę zatelefonować w jedno miejsce, a nie mam drobnych.

- Człowieku, daj nam spokój! - odzywa się jeden z tych, nad którymi pochylił się intruz. Uderza go łokciem w podbrzusze i odpycha od stolika.

Pijaczyna cofa się dwa kroki, zatrzymuje, łapie równowagę, sztywnieje i patrzy przed siebie niczym w transie.

Zupełnie jakby jego dusza zasnęła, a jaźń opuściła pijane ciało. Oczy ciemnieją i zapadają się w oczodoły, usta zastygają uchylone. Przez chwilę w trupio bladej twarzy nie widać życia, z tym że ta twarz to w zasadzie tylko pokryta skórą czaszka. Facet jest nieprzytomny, zamienił się w ducha albo w zombi, ale tylko na tę jedną, krótką chwilę. A potem jakby niewidzialna ręka pochwyciła srebrną nić w mrocznym śnie...

Płuca znów zasysają powietrze, oczy pojawiają się na powierzchni, palce się poruszają, a w otwartych ustach zaczyna obracać się język.

Dusza się zbudziła, serce bije, a na dnie błyszczących oczu coś mruga figlarnie niczym płomień świecy.

- Pięć, pięć, pięć... statków - bełkoce pijany, chwiejąc się na drewnianej podłodze, a po chwili chwyta się poręczy

schodów i wspina na pięterko baru.

- Pewno nie wie, że już zszedł na ląd - komentuje ten, który pchnął odzianego w dzins. Jego towarzysze wybuchają śmiechem. Ale ten śmiech nie jest ani głośny, ani nie trwa długo. Roztrzásają bowiem poważne zagadnienia. I nie mają na to całej nocy.

- To wracajmy do tych kapitalistów - odzywa się jeden z nich, zaciskając potężną pięść na małym kieliszku whisky. - Wiem z pewnego źródła w firmie, że mają zerwać umowę bezzałogowej dzierżawy naszej jednostki.

Wypowiadający te słowa to ich samozwańczy przywódca, socjalista Johann „Wielkolud” Petursson, pierwszy mechanik na ogromnym frachtowcu wybudowanym przed dziesięciu laty w Chinach, będącym własnością funduszu inwestycyjnego w Malezji, zarejestrowanym w Monrowii i przez ostatnie pięć lat wynajmowanym przez islandzkiego spedytora Polarskip.

- A co to jest ta dzierżawa bezzałogowa? - pyta kuk Asi, zapalając papierosa.

- Polega na tym, że dzierżawiący wszystko opłaca - odpowiada mu Runar Hallgrimsson.

- Ubezpieczenie, utrzymanie i wszystko? - nie dowierza Asi.

- Właśnie to powiedziałem - mówi bosman Runar, ten, który odepchnął pijanego od stolika.

- I co teraz? - drąży temat Arsaell Saeli Egilsson.

- Wydzierżawią sobie nowy statek, książęta kapitalizmu - odzywa się Wielkolud, mrużąc oczy niczym śpiący

niedźwiedź. -I nową załogę.

- Przestań już z tym kapitalizmem! - ucisza go Jon Prezydent Sigurdsson, pierwszy oficer, jedyny spośród zgromadzonej przy stoliku piątki należący do „góry”, czyli do mostku kapitańskiego. -Ta sprawa nie ma nic wspólnego z polityką ani z partiami politycznymi.

- Jaką załogę? - pyta majtek Saeli, któremu zaschło już w ustach i którego rozboleła głowa od tych wszystkich wydarzeń w jego dotąd nieskomplikowanym życiu.

- Nowy statek ma być dzierżawiony razem z załogą - odpowiada ze spokojem Johann Wielkolud.

- Jakimiś ryżożernymi murzynami na rocznych kontraktach - dodaje Jon Prezydent, palcami prawej ręki obracając na serdecznym palcu lewej dłoni solidny, nieco zbyt luźny, sygnet ze znakiem wolnomularzy. - Których po roku zamienią inni z tej samej stajni.

- Ktoś kiedyś słyszał coś podobnego? - pyta bosman Runar i lekko uderza pięścią w blat stolika.

- Jesteśmy wymierającą klasą, chłopcy. - Johann Wielkolud wypija resztkę whisky z kieliszka. - Rzadkimi okazami morskich wyrobników.

- Najśluszniej byłoby... - wzdycha Saeli.

- Dzisiaj w nocy powinniśmy solidarnie odmówić wypłynięcia! - odzywa się kuk Asi i zamasyście gasi papierosa. - Niech ci biurokraci to poczują!

- Co ty nie powiesz - wyrywa się Saelemu.

- Nie. Im właśnie o to chodzi - mówi Johann Wielkolud, owa niewzruszona skała Gibraltaru. - Wtedy będą mieć

powód, żeby nas wszystkich wylać na zbity pysk i zaoszczędzić sobie na okresie wypowiedzenia. Nie mówiąc już o tym, że moglibyśmy stracić w ten sposób wszelkie prawa pracownicze.

- To co proponujesz? - pyta kuk i wkłada zapałkę do ust.

- Po co chciałeś się z nami spotkać? - zaciekawia się majtek Saeli. - I dlaczego tylko z nami?

- Pozostałym czterem nie ufam - mówi Johann Wielkolud, pochylając się nad stolikiem. - Proste.

- Myśmy się już wcześniej spotkali, Johann, Runar i ja - informuje ich Jon Prezydent. - I uznaliśmy, że możemy na was liczyć.

- Mnie się wydaje, że można by też zaufać sternikowi Jonasowi - odzywa się Asi.

Saeli zgadza się z kucharzem i kiwa głową.

- Nie będę ryzykował. Moim zdaniem Jonasowi nie można ufać do końca. I nie zapominajmy, że nowy majtek to jego szwagier - mówi Johann Wielkolud. - A o tym człowieku nie wiemy nic.

- Co racja, to racja - stwierdza Saeli.

- O ile dobrze pamiętam, to przez te wszystkie lata Jonas trzymał stronę tych Judejczyków, choćby wtedy, kiedy postanowili zredukować załogę o cztery osoby - mówi Jon Prezydent. - Zapomnieliście już o tym?

- Nie - wtórują sobie nawzajem Saeli i Asi.

- Zawsze lizał staremu dupę i robił wszystko, co tylko ten mu kazał. On jest jedynie tubą propagandową, powtarzającą wszystkie rozkazy firmy - tłumaczy Jon Wielkolud. - Czy już

mu o tym powiedzieli i obiecali nową robotę, tego nie wiem. Ale za to wiem, że stary wie o wszystkim, co oni knują tam w biurze, i dlatego będzie próbował mieć na pokładzie większość po swojej stronie, na wypadek gdyby pojawiły się jakieś pogłoski o imperialistycznych zamiarach dyrekcji.

- Tylko bez polityki! - strofuje go Jon Prezydent, wymachując władczo palcem wskazującym.

- Chyba że wam, prawicowcom, ona akurat pasuje, co nie? - mówi Johann Wielkolud, a brodata twarz promienieje mu czerwienią Rewolucji. - Cholerne faszystowskie gadanie!

- A o czym dopiero co mówiliśmy? - Bosman wali pięścią w stół. - Żadnych kłótni! Razem stoimy, solidarni!

- A Palacz? - pyta Asi, zerkając ukradkiem na Johanna Wielkoluda i gryząc zapałkę.

Ten, którego nazywają Palaczem, zwie się Oli Johnsen i jest podwładnym Johanna Wielkoluda.

- Palacz pali wyłącznie w piecu Szatana - odpowiada Johann Wielkolud, uśmiechając się tajemniczo. Koledzy wtórują mu śmiechem. - Ale dopóki to ja jestem pierwszym, nie ma znaczenia, co robi drugi, o ile robi to, co ja każę mu robić.

- Tak jest - popiera go kuk, miażdżąc zapałkę między zepsutymi zębami.

- Jest nas pięciu, dokładnie tylu, ile palców w zaciśniętej pięści - zauważa majtek Saeli. - I stanowimy większość dziewięcioosobowej załogi.

- No właśnie. - Johann Wielkolud uśmiecha się ponuro do wszystkich zebranych. - Wreszcie będą musieli wypić to

piwo, którego sobie nawarzyli, kiedy redukowali zatrudnienie.

- Jak nie zechcą po dobroci, to przemocą. - Bosman Runar chrząka, dając Wielkoludowi kuksańca w bok.

- Spokojnie - temperuje ich Prezydent. Niemal niezauważalnie poklepuje swoją torbę.

- Co proponujesz, co mamy zrobić? - Asi kieruje swoje pytanie do Johanna Wielkoluda.

- Mów, stary - pogania go zniecierpliwiony Saeli. - Zegar tyka, a ja, zanim podniesiemy cumy, chciałbym dowiedzieć się wszystkiego. Co z naszym protestem?

- Na łądzie jesteśmy bezradni. - Johann Wielkolud zaciska wielkie dłonie na stoliku. - Jeśli zdradzimy się, zanim statek wypłynie z portu, przegonią nas po prostu na cztery wiatry i zastąpią innymi. Mało to na tej wyspie bezrobotnych marynarzy? Ale za to na pełnym morzu wszystkie atuty znajdują się w naszych rękach. Znaczą się, będziemy panować nad maszynownią i sterem. Po tygodniu znajdziemy się równie daleko od domu, co od celu. Wtedy dla starego będzie już za późno na powrót albo na wzywanie pomocy. I proponuję, żebyśmy właśnie wtedy zaczęli działać.

- Czyli co? - szepce majtek Saeli. - Żeby wszystko było jasne: nie mam zamiaru brać udziału w żadnym buncie.

- Tu niezupełnie chodzi o bunt - poucza go Johann Wielkolud i bierze głęboki oddech. - Ale silnik mógłby na przykład się zepsuć.

- I co dalej? - pyta Asi.

- Moglibyśmy dać staremu do zrozumienia, że nic go na

powrót nie uruchomi, poza faksem od zarządu, w którym czarno na białym obiecują, że rezygnują z wszelkich zamiarów wypowiedzenia bezzałogowej umowy dzierżawnej i co za tym idzie, zbiorowego zwolnienia załogi – objaśnia Johann Wielkolud. – Podpisany przez wszystkich członków zarządu i przez dyrektora.

- Masz łeb. – Asi wypływa niewielką resztkę przeżutej zapalki.

- Johann, ale to właśnie jest bunt – usiłuje protestować Saeli. -A ja po prostu...

- I tak, i nie – odpowiada mu Wielkolud i zapala cygaro. – Ale te planowane działania armatora to przecież nic innego, jak nadużywanie władzy, pogarda dla człowieka i atak na całe środowisko islandzkich ludzi morza.

- Tak jest – zgadza się bosman Runar. – Wchodzę w to. Chłopaki, to całkiem dobry pomysł.

- A myślisz, że to coś da? – powątpiewa Asi.

- No przecież właśnie to mówię – tłumaczy Runar. – Zrobią wszystko, żeby statek płynął zgodnie z planem. Ostatnie, czego by chcieli, to sprawić zawód tym tam baronom aluminiowym. Jeśli nie będzie surówki na czas, stracą kontrakt na fracht.

- Właśnie. – Johann ze spokojem delectuje się cygarem.

- To jest po prostu kwestia niezależności – mówi Jon Prezydent. – Tu chodzi o nasze prawo, jako jednostek, do...

- Wspólnej pracy na rzecz zbiorowości – kończy za niego zdanie Johann Wielkolud i wybucha głębokim śmiechem.

- Jesteście okropni – mamrocze majtek Saeli, kręcąc głową.

- Nie potraficie nawet wyobrazić sobie, co będzie się działo na mostku, kiedy już te zamiary wprowadzimy w życie. Jon?

- Mostek to mój problem - odpowiada mu Prezydent, powoli przeczesując palcami jasne, dobrze utrzymane włosy.

- Wy się martwcie o wasze odcinki, a ja o mój. Tylko w ten sposób utrzymamy stan posiadania.

- Chcecie powiedzieć, że nie mamy innego wyboru, co? - Saeli patrzy na każdego ze swoich towarzyszy po kolei. - Nie wiem, jak wy, ale ja w tej chwili nie mogę sobie pozwolić na utratę pracy. A muszę też wrócić z tego rejsu i...

- Musimy podjąć decyzję tu i teraz. - Johann odkłada cygaro. -W imieniu maszynowni jestem za.

- Kambuz też jest za, jeśli Runar jest za. - Asi patrzy pytająco na bosmana.

- Bosman bierze odpowiedzialność za majtków - odzywa się Runar, szef dwóch majtków, pokładowy inżynier i łącznik między załogą a mostkiem. - Jesteśmy za.

- Trudno - mruczy pod nosem Saeli.

- No to zostaje nam tylko mostek. - Johann Wielkolud spogląda na Jona Prezydenta.

- Po pierwsze niezależność! - deklaruje Prezydent, prostując długie plecy. - Ja nie należę do tych, którzy odwracają się od swoich kolegów!

- Świetnie. - Runar klepie go po barkach.

- To dobrze. - Johann Wielkolud uśmiecha się łagodnie. - Może na razie więcej o tym nie mówmy i postarajmy się spotkać przy okazji, kiedy już wypłyniemy z portu.

- Zgoda. - Bosman dopija swoje piwo. - To co, zamawiamy

taryfę i jedziemy na keję?

Wszyscy zgromadzeni przy stoliku się na to zgadzają i Jon Prezydent wyciąga komórkę. Dzwoni po taksówkę.

- Ostatni dzwonek. Zaraz zamykam! - woła barman, uderzając trzykrotnie w stary mosiężny dzwon. Metaliczny dźwięk wypełnia przesycony dymem bar.

Kilka minut później cała piątka zabiera z sobą marynarskie worki i torby i wsiada do siedmioosobowej taksówki zaparkowanej przy bocznej ulicy w centrum Reykjavíku.

- Dokąd jedziemy? - pyta taksówkarz, kiedy wszyscy zajęli już miejsca.

- Do Grundartangi - podaje adres Jon Prezydent, zajmując fotel obok kierowcy.

- Grundartangi - powtarza kierowca i wolno rusza.

Jeśli nie liczyć symfonicznego jazgotu w radiu nastawionym na program pierwszy, w taksówce panuje cisza. Cała piątka siedzi bez ruchu, gapiąc się przez szyby na mijane samochody, domy i światła miasta. Już za kilka godzin z okien frachtowca oglądać będą jedynie bezkres oceanu i tak przez najbliższe pół miesiąca. Wiedzą o tym doskonale i dlatego łąpczywie chłoną każdy widok pojawiający się za szybami auta w drodze na keję. Gromadzą zwyczajne doznania, które z pewnością okażą się jeszcze dla nich cenne. Małe odblaski światła, przypominające ziemię ojczystą i bliskich czekających w domu.

Kiedy jadą przez Mosfellsbae, zaczyna padać. Z początku na przedniej szybie taksówki lądują pojedyncze krople, następnie opad gęstnieje, a kiedy przejeżdżają przez ostatnie

rondo, dudnienie deszczu staje się regularne i szybkie.

- Zobaczcie - odzywa się nagle Jon Prezydent, pokazując przez przednią szybę ubranego na ciemno mężczyznę, idącego tyłem po poboczu drogi i wystawiającego kciuk, by złapać okazję. - Czy to czasem nie jest ten z baru?

- Ten, co chciał wyłudzić drobne? - pyta Asi z tylnego siedzenia.

- Tak - odpowiada Prezydent, przyglądając się przez chwilę przemoczonemu mężczyźnie w bocznej szybie. Samochód go mija. - Może powinniśmy go gdzieś podrzucić?

- Co? - Kierowca zwalnia.

- Nie, mowy nie ma - decyduje bosman Runar i gestem nakazuje kierowcy jechać dalej. - To jakiś cholerny żul. Tylko biedy może nam napytać.

- Jak to on powiedział? - zastanawia się Saeli, obserwując go przez tylną szybę. - Coś o statku. Pięciu facetów na statku. Jak to było?

- Pijaczyna jakiś - mruczy rozdrażniony Runar.

- Tak, dajmy sobie z nim spokój - kończy temat Jon Prezydent, spoglądając przez boczną szybę. Widzi jedynie mokre pobocze pogrążone w mroku.

Powoli światła stają się coraz rzadsze, podobnie jak zabudowania. Kiedy dojeżdżają nad brzeg fiordu Hvalfjordur, otacza ich już tylko ciemna noc.

- Jedź tunelem, towarzyszu - rzuca Johann Wielkolud, szturchając kierowcę pięścią w prawy bark. - Zapłacimy za przejazd.

- Tak, oczywiście - przytakuje taksówkarz.

Z radia dobiegają ciche dźwięki A-dur z poetyckiego fragmentu Adagio cantabile ósmej sonaty fortepianowej „Patetycznej” Beethovena. Kiedy taksówka wjeżdża w głęboki tunel pod fiordem Hvalfjordur, dźwięki sonaty zlewają się w jednostajny szum...

IV

W holu domu Jonasa Bjarniego Jonassona, sternika na statku frachtowym „Per Se”, odzywa się czarny telefon stojący na niedużym stoliku przykrytym haftowanym bieżnikiem. Jonas mieszka w nowym bliźniaku w Landar w Mosfellsbae. Jest za dziesięć pierwsza w nocy i dzwonek dzwięczy dość natrętnie. W większości pokoi palą się światła, okna są szczelnie zasłonięte.

Jonas stoi bez ruchu w samych gaciach, wgapiony pustym wzrokiem w telefon, zupełnie jakby nie wiedział, czy aparat naprawdę dzwoni, czy to może tylko urojenie.

Po upływie prawie minuty mężczyzna odkłada na stolik lekki młotek i zakrwawionymi palcami sięga po słuchawkę.

- Halo?

- Jonas, to ty? - słyszy głos w słuchawce. Głos bełkotliwy, dobiegający z miejsca, w którym ciężka muzyka odbija się od podłogi i ścian i miesza z ludzkim gwarem.

- Kto mówi? - Jonas jest wyraźnie zaskoczony.

- Karl, twój szwagier - odzywa się głos w telefonie.

- Czego chcesz? - pyta Jonas cicho.

- Słuchaj, nie podrzuciłbyś mnie? - Karl wyjawia cel

rozmowy.

- Nie. Nie możesz po prostu pojechać taryfą? - Jonas ogląda swoje odbicie w lustrze nad telefonem. Jest cały we krwi, od piersi po łydki. Nie swojej krwi. Krwi, która zdążyła już ściemnieć i zaczyna zastygać.

- Nie mam tyle szmalu - tłumaczy szwagier w słuchawce. - A nie mogę po prostu wziąć do ciebie taryfy i potem się z tobą zabrać, co?

- Jakby mnie już nie było, to złapiesz jakąś okazję. W porządku? - proponuje Jonas.

- Zestresowany jakiś jesteś, czy co? - pyta Karl.

- Nie. - Jonas chrząka. - Muszę już kończyć.

- A gdzie moja siostra? - beztrąsko docieka szwagier.

- Ona... położyła się... leży - tłumaczy cicho Jonas.

- Rozumiem! Słuchaj, ja... - zaczyna szwagier, lecz Jonas odkłada słuchawkę na widełki, nim ten zdąży dokończyć zdanie.

Po chwili Jonas podnosi słuchawkę, chwilę się zastanawia, a następnie wybiera numer.

- Mama? Jonas mówi - odzywa się, kiedy jego leciwa matka podnosi słuchawkę.

- Jonni, kochanie, wszystko w porządku? - pyta matka słabym głosem.

- Przepraszam mamó, nie chciałem cię budzić - tłumaczy się Jonas i chrząka. - Chciałem ci tylko powiedzieć, że Maria jutro nie da rady odebrać dzieci.

- Tak? - dziwi się matka. - A dlaczego nie?

- Wynikła taka drobna sprawa. - Jonas wciąga głęboko

powietrze. - Nie będzie jej przez kilka dni. Może nawet i tydzień.

- Tydzień? - matka nie kryje zdumienia. - Ale my z tatą za trzy dni wylatujemy na Kanary. Nie możemy...

- Mamo! Już jestem spóźniony! Nie mogę dłużej rozmawiać - głos Jonasa drży. - Wytłumaczę to później. Ja... nie mogę...

Mężczyzna odkłada słuchawkę i wyrywa kabel ze ściany. Ociera pot z czoła, mażąc je jednocześnie krwią.

Na podłodze w sypialni na rozłożonym tropiku namiotu spoczywają nagie zwłoki Marii. Leżą na plecach w kałuży lepkiej krwi z pustym wzrokiem wbitym w sufit.

Jonas ściąga zakrwawioną pościel z łóżka i nakrywa nią stygnące ciało żony. Na materacu po jej stronie pościelenia widnieje plama

krwi wielkości talerza. Spała, kiedy zadawał jej ciosy młotkiem w głowę. Jonas idzie po czysty ręcznik i nakrywa nim krwawą plamę. Później zawija zwłoki w tropik i poszwę i związuje to wszystko razem linkami przytroczonymi do tropiku, wyposażonymi w specjalne pętle na śledzie.

Po splukaniu z siebie krwi pod gorącym natryskiem i dokładnym wytarciu się od stóp do głów obleka kołdrę i poduszki w nowe poszwy. Ścieli małżeńskie łóżko. Następnie zbiera wszystko, co mogło mieć jakikolwiek kontakt z krwią zamordowanej małżonki, do jednego plastikowego worka; młotek, telefon, haftowany bieźnik spod telefonu, mydło spod prysznicza i ręcznik, w który się wycierał. Zwilża ścierkę w gorącej wodzie i wyciera niewidoczne odciski palców z klamek, framug, ścian

i podłogi, stolików nocnych, oparcie łóżka. Potem ścierka ląduje w worku razem z młotkiem i pozostałymi przedmiotami. Zawiązuje worek w węzeł i wkłada go do kolejnego worka, który także zawiązuje. Wkłada spodnie, koszulę i lekką kurtkę, po czym taszczy zwłoki do dżipa.

Ten dżip to dziesięcioletni cherokee, biały, z dodatkowymi reflektorami z przodu i z bagażnikiem na narty na dachu. Jonas cofa wóz z miejsca parkingowego przeznaczonego dla mieszkańców swojej połówki bliźniaka, w skupieniu rozglądając się po spokojnym otoczeniu. W oknach nie ma światła, wszyscy zdają się spać, nie widać spacerowiczów. Wrzuca automat na drive i spokojnie wyjeżdża na ulicę. Na lusterku wstecznym wisi różaniec z czarnym, drewnianym krucyfiksem. Kołysze się miarowo w przód i w tył.

Czy aby na pewno pogasił wszystkie światła w domu?

Tak. We wszystkich oknach za zasłonami panują ciemności. Ale czy pamiętał, żeby zamknąć drzwi na klucz? Do diabła, a jakie to ma znaczenie? Jonas wzdycha i wciska gaz do dechy, skręca raz w lewo i dwa razy w prawo i już jest na zachodniej obwodnicy, na drodze numer jeden. Kiedy tylko mijają zjazd na Mosfellsdalur i Thingvellir, zaczyna padać. Z początku jedynie pojedyncze krople lądują na brudnej przedniej szybie, ale potem deszcz stopniowo się wzmaga. Jonas włącza wycieraczki, których sfatygowane pióra mieszają krople deszczu z brudem nagromadzonym na szybie. Usiłuje spryskać szyby płynem, ale zbiornik okazuje się pusty. Wówczas wzrok Jonasa zatrzymuje się na wskaźniku poziomemu paliwa stulitrowego zbiornika.

Wskazówka stanęła na czerwonej kresce u dołu skali, lecz Jonas z doświadczenia wie, że te jakieś dwadzieścia litrów w baku powinno starczyć do końca fiordu Hvalfjordur, a nawet dalej. Kiedy wrzuca kierunkowskaz w prawo i skręca na wschód wzdłuż fiordu, leje już jak z cebra. Wycieraczki stukają w przednią szybę, a ciężki, zimny deszcz zdążył zmyć z niej większość brudu. Mężczyzna zaciska dłonie na kierownicy, silnik warczy pod maską, wycieraczki wystukują szybki rytm, klima wieje ciepłem, a senne oczy wpatrują się w ciemność, która pochłania dżipa niczym czarna dziura.

Wjeżdża dzięki napędowi na cztery koła na sam brzeg przy starej stacji wielorybniczej, wyciąga łopatę z auta i w świetle reflektorów wykopuje swojej żonie wilgotny grób w czarnym piachu. Para unosi się nad Jonaszem, ścigającym się z przesypującym się piaskiem i wlewającą się do dołu wodą. W oddali, przewracając drobne kamyki i wodorosty, ciężko huczą fale. Za kilka godzin zaleją ten wolno pogłębiający się grób, napęlniający się szybko morzem i deszczem. Jonas odrzuca łopatę i biegnie do auta po zwłoki. Ciało jest ciężkie i trudno je nieść, a z każdym krokiem zdaje się coraz więcej ważyć. Stopy Jonasa zatapiają się w miękkim piachu, a deszcz bębni o zwinięty tropik. Kiedy w końcu Jonas spuszcza ciężar do grobu, woda rozbryzguje się na wszystkie strony. Na zwłoki rzuca wygładzone przez fale kamienie, po czym zasypuje je piaskiem. Przerośnięte krewetki machają kończynami i mackami na mokrej plaży. Błede, półprzezroczyste stonogi żywiące się padliną. Zagłodzone potomstwo milionów morskich stworzeń, które żyły na

Islandii w czasach połowów wielorybnych.

Mężczyzna opiera się o łopatę i rzyga na płytki grób ciepłym piwem i zielonymi kwasami żołądkowymi. Następnie przemoknięty odchodzi do dżipa, który mruczy pozostawiony na jałowym biegu na skraju plaży.

Gdy dojeżdża do zjazdu na nabrzeże Grundartangi po północnej stronie fiordu, jest za siedem trzecia. Wrzuca kierunkowskaz w lewo i skręca w drogę prowadzącą w dół zbocza, a wtedy na desce rozdzielczej zaczyna mrugać kontrolka paliwa. Nawiguje więc dżipem niczym niedużą łódką wzdłuż rzeki, która kończy się szerokim ujściem.

Kiedy dojeżdża do kei, gdzie stoi rozświetlony statek, bosman Runar i majtek Saeli czekają przy trapie i machają do niego.

- Coś się stało? - pyta Jonas, spuściwszy szybę po stronie kierowcy. Serce wali mu w piersiach, a pozbawione dopływu krwi dłonie zaciskają się na kierownicy.

- Szwagier z tobą nie przyjechał? - pyta bosman.

- Karl? Nie - odpowiada Jonas i chrząka, żeby pobudzić ślinianki do działania. - A co, jeszcze go nie ma?

- Nie - warczy Runar z wściekłością. - Inaczej nas by tu nie było.

- Pewno złapał jakąś okazję - mamrocze Jonas, mrugając oczami.

- No to musisz jechać i go znaleźć! - krzyczy Runar, pstrykając żarzącym się niedopałkiem w ciemność. - Za pięć minut zwalniamy cumy, niezależnie od tego, czy się tu zjawi, czy nie!

- Ja muszę iść na mostek. Mam wachtę o czwartej. - Jonas wrzuca jałowy bieg, zabiera różaniec z krzyżem z lusterka wstecznego, po czym wysiada z dżipa. - A ty nie możesz pojechać się za nim rozejrzeć? Jestem przekonany, że już tu idzie do nas piechotą od zjazdu.

- W porządku - mruczy Runar i wsiada do dżipa. - A gdzie mam potem zaparkować gablotę?

- Gdziekolwiek. - Jonas wzrusza ramionami. - Mnie tam wszystko jedno.

- Okej - zgadza się Runar i wciska gaz do dechy w samochodzie prawie bez paliwa.

- Stary już przyjechał? - pyta zamyślony Jonas, zasuważąc zamek kurtki pod szyję. Deszcz przestał padać, ale noc wciąż jest zimna i wilgotna.

Saeli, stojąc z rękoma w kieszeniach i w czapce spuszczonej na oczy, woła Jonasa.

Z samej góry trapu Jonas odwraca się do niego:

- Tak, a o co chodzi?

- Nie zabrałeś z sobą jakiegoś bagażu, choćby marynarskiego worka? - pyta Saeli, poruszając ramionami w przepastnej kurtce. -No wiesz. Ciuchy, fajki i tak dalej.

- Nie - krótko odpowiada Jonas zapatrzony w czarne niebo, jakby spodziewał się stamtąd jakiejś pomocy. - Po prostu... zapomniałem.

- Zapomniałeś...!?! - Saeli nie wierzy własnym uszom.

- No - odpowiada Jonas matowym głosem i wchodzi na pokład.

- Twoja broszka! To nara! - woła za nim Saeli. Sternik

znika za nadbudówką. Saeli ma wachtę od trzeciej do szóstej w nocy. A więc będzie towarzyszył Jonasowi do samego rana.

Zachodni wiatr coraz bardziej się nasila, potężna bryła statku wolno tańczy, napinając regularnie odporne cumy, które zaciskają się wokół stalowych pachołków. Świeża deszczówka zmieszana z morską wodą spływa z przesiąkniętych lin.

Wygląda to, jakby ten długi na sto metrów, ważący cztery tysiące ton frachtowiec próbował uwolnić się z pęt...

V

Poprzez ciężkie dźwięki bluesa, gwar i gorzkie opary dymu dobiegają głośne uderzenia dzwonu, jakby dochodzące ze statku zabłąkanego we mgle u brzegu nieznanego lądu.

- Za piętnaście minut zamykamy! - woła barman, puszczając linkę, która zwisa smutno z serca starego dzwonu odlanego z brązu, niegdyś pełniącego wachtę na holenderskim handlowcu.

Przy barze siedzi brodacz w dżinsowej kurtce i takich samych spodniach. Błyszczącymi oczyma spogląda na ostatni łyk piwa w upačkanej szklance, po czym zerka na zegarek, który mówi mu, że jest za piętnaście pierwsza w nocy jedenastego dnia miesiąca. To Karl Gudjonsson, bezrobotny czterdziestoletni stolarz, którego czeka pierwszy w życiu rejs w charakterze drugiego majtka na frachtowcu przycumowanym teraz do kei w porcie w Grundartangi. Statek jest gotowy do opuszczenia portu po dwudniowym postoju rozładunkowym, podczas którego towar został wydobyty z ładowni za pomocą specjalnej dyszy ssącej.

Za piętnaście minut zamykamy.

Na wieki wieków.

Deja vu.

Wypija ostatni łyk piwa, gasi na wpół wypalonego papierosa i zstępuje z wysokiego barowego stołka. Następnie zatacza się w kierunku okrągłego stolika, przy którym skupiło się pięciu popijających mężczyzn, i poklepuje po plecach dwóch siedzących najbliżej niego. Nachyla się do nich i uśmiecha lizusowsko spod rozwichrzonego zarostu.

- Możecie mi pożyczyć dychę, chłopaki? - pyta i chrząka. - Muszę zatelefonować w jedno miejsce, a nie mam drobnych.

- Człowieku, daj nam spokój! - odzywa się jeden z tych, nad którymi pochylił się intruz. Uderza go łokciem w podbrzusze i odpycha od stolika.

Karl cofa się dwa kroki i zastyga w bezruchu, łapiąc równowagę, którą w końcu odzyskuje.

Ogarnia go mrok i cisza, w głowie szumią zimne wiatry i przez chwilę czuje się zupełnie, jakby zapadł w głęboki sen. Sen czarny niczym noc zapomnienia, ciężki niczym śmiertelny trans i zimny niczym wieczna zima.

Pusty jak echo basowego bębna:

Bom, bom, bom...

Przez chwilę tylko, potem już jest po wszystkim.

- Pięc, pięć, pięć... statków - mamroce Karl, chwiejąc się na drewnianej podłodze. Po chwili chwyta za poręcz schodów i wspina się na pięterko baru, gdzie młodzi muzycy grają ciężkawego bluesa dla tłumu ponurych, zgorzkniałych i przesiąkniętych smutkiem pijaków, siedzących przy stolikach, stojących wzdłuż ścian i przy barze, na poły niezauważalnych w gęstych oparach dymu.

Muszę się dostać na pokład statku...

Po rzewnym solo gitarowym w leniwym rytmie wybijanym przez pałkera kapela jakby straciła lotność. Zanim jednak muzycy zdążą się zupełnie pogubić, perkusiście udaje się odnaleźć rytm. Bije leciutko w werbel, bas łapie takt, gitara znów zaczyna łąkać, a wokalista z długą brodą wydobywa poetycki tekst z łzawych zakątków duszy: Before I sink into the big sleep, I want to hear the scream of the butterfly...

Karl wyciąga poźółkłe od nikotyny palce po pięćdziesiątka błyszczącego w czarnej kałuży, ociera zeń błoto i wrzuca do szpary w automacie telefonicznym przy końcu baru.

Wyjmuje z kieszeni na piersiach dżinsowej kurtki pomięty skrawek papieru i odczytuje napisany odręcznie numer telefonu: 555-7547.

Następnie wystukuje numer na tarczy i przyciska słuchawkę do prawego ucha, a lewą dłoń do lewego.

- Halo? - odzywa się nieufnie ktoś po drugiej stronie linii.

- Jonas, to ty? - pyta Karl nazbyt głośno, przyciskając mocniej do ucha słuchawkę. Opiera czoło o ścianę obok automatu telefonicznego i choć niemal krzyczy, jego głos tonie w jazgocie dźwięków kapeli.

Po tym, jak Jonas nagle kończy rozmowę, Karl staje naprzeciwko automatu wrzutowego i wysupłuje z tylnej kieszeni dżinsów chudawy portfel, otwiera go niczym kopertę i sprawdza nędzną zawartość. Jeden banknot tysiackoronowy. I jeden pięćsetkoronowy. Razem tysiąc pięćset koron.

- Jeszcze coś podać? - pyta barman, kiedy Karl z powrotem

sadowi się na barowym stołku, na którym przesiedział cały wieczór.

Barman jest wielkim, grubym gościem w rozpiętej koszuli z podwiniętymi rękawami. Na zarośniętej klatce dynda mu łańcuszek ze złotym krzyżem. Gładko ogolona twarz jest czerwona i wilgotna od potu, oczy zapadły się już dawno w napęczniałe ciało, a resztkę ciemnych włosów ich posiadacz precyzyjnie zaczesał na kark.

- Tak. Może jedną whisky - odzywa się Karl i wyjmując zmiętą paczkę, z której wyciąga papierosa trzeciego od końca. - I camele.

- Się robi - oznajmia barman, napełniając ciężką szklaneczkę najtańszą whisky.

Karl zapala papierosa i przyciąga do siebie brudną popielniczkę.

- To może byś zapłacił? - pyta barman, zrywając celofan i sreberko z nowej paczki cameli.

- A ile to będzie? - pyta Karl najspokojniej w świecie.

- To... - Barman dopisuje ostatnią pozycję do rachunku, po czym podsumowuje koszt zamówień Karla. - Razem to będzie siedem tysięcy dziewięćset koron.

- A nie mogę wziąć tego u ciebie na krechę? - pyta Karl, z namaszczaniem popijając whisky.

- Do kiedy? - pyta barman, mrużąc przekrwione oczy.

- Dziś w nocy wypływam w morze i wracam za pół miesiąca. - Karl głęboko zaciąga się dymem, który potem wypuszcza przez nos.

- Wolałbym, żebyś uregulował należność teraz - stwierdza

barman i opiera się o bar przed Karlem przedramieniem, umięśnionym przedramieniem naznaczonym głęboką blizną od łokcia po nadgarstek i ozdobionym przedstawiającym kotwicę niebieskim tatuażem, który już dawno spłówił na smaganej wiatrami skórze.

- Rozumiem - mruczy Karl, strząsając popiół z papierosa i przyglądając się trzem zdjęciom w ramkach, wiszących jedno pod drugim na ścianie pod dzwonem okrętowym.

Fotografia na samym dole przedstawia pierwszy m/s „Dettifoss” kompanii Eimskip, który zakupiono w roku 1930 i który później został zatopiony przez niemiecką łódź podwodną u brzegów Irlandii w lutym 1945. Razem ze statkiem zatonąła piętnastoosobowa załoga.

Na środkowym zdjęciu widnieje kolejny m/s „Dettifoss” kompanii Eimskip, który spłynął z pochylni w 1949 i dwadzieścia lat później został sprzedany za granicę.

Górne zdjęcie ukazuje trzeci m/s „Dettifoss”, który po raz pierwszy zawitał do portu w 1970 i służył kompanii Eimskip przez dziewiętnaście lat, aż do dnia, kiedy go sprzedano w 1989 roku.

- Pływałeś na „Dettifossie”? - pyta Karl, wskazując głową w kierunku czarno-białych zdjęć.

- Tak. A bo co? - odzywa się podejrzliwie barman.

- Na trzecim, co nie? - Karl wydaje się zainteresowany.

- Byłem sternikiem na trzecim, tak - odpowiada mu barman, szybko zerkając na najwyższe zdjęcie. - Przez długi czas drugim sternikiem, ale zanim go sprzedali awansowałem na pierwszego.

- I co? - pyta Karl, mocząc usta w whisky. - Przestałeś pływać?

- Co to w ogóle za pytania? - pyta barman, spoglądając prowokacyjnie na Karla, który niewinnie wzrusza ramionami.

- Mój stary też był marynarzem - odzywa się Karl po chwili. - Sternikiem, tak jak ty. Głównie na rybakach. Potem w 1970 zrezygnował z morza. Kupił udziały u armatora i zaczął pracować na lądzie.

- To dobrze - mruczy barman, strzepując mokrą ścierką kurz z baru. - Może byś jednak uregulował rachunek, koleś, zanim zamknę?

- Ale robota na lądzie mu nie służyła - kontynuuje Karl zamyślony, szybko zaciągając się papierosem. - I na początku 1973 znów poszedł pływać, kiedy ten cały armator prawie że już zbankrutował.

- Słuchaj, koleś! - Barman opiera zaciśnięte pięści o wewnętrzny kant baru. - Nie mam czasu wysłuchiwać życiorysu twojego tatusia! Nie teraz!

- Statek, na który się zamustrował - ciągnie Karl i spokojnie gasi papierosa w popielniczce - to „Siódma Gwiazda” z Keflaviku.

- „Siódma Gwiazda”? - barman natychmiast zamienia się w słuch. - W którym roku, mówiłeś? Tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym trzecim?

- No - Karl ze spokojem kiwa głową.

- Był na pokładzie, kiedy...? - Barman pochyła się w kierunku Karla.

- Kiedy wypłynęli z Wysp Owczych 11 lutego 1973 roku? -

odpowiada Karl i patrzy nieobecny wzrokiem w nieokreślony punkt za plecami rozmówcy. – Tak. Był wtedy na pokładzie. Statek był w remoncie i zależało im, żeby szybko wypłynąć na łowiska.

– Ja byłem w tym samym czasie na „Dettifossie”! – zmęczone źrenice barmana rozszerzają się ze zdziwienia. – Wracaliśmy z Leith w Szkocji. Byłem na mostku, kiedy kapitan Erlendur usłyszał sygnał alarmowy. „Siódma Gwiazda” właśnie zatonała, a załoga znalazła się w łodziach ratunkowych.

– Mówisz serio? – pyta Karl i wlepia pytający wzrok w oczy barmana, który wyciera pot z czoła.

– Tak. – Człowiek za barem zapala papierosa. – Po dwudziestu minutach ponownie usłyszeliśmy wezwanie, ale nie zrozumieliśmy słów. Usiłowaliśmy namierzyć rozbitków, ale tej nocy pogoda była fatalna. Sztorm, a tu dziesięć ludzkich istnień śmiertelnie zagrożonych. Tej nocy nigdy nie zapomnę. Nigdy.

– Znaleziono tylko jednego człowieka – wzdycha Karl. – To znaczy jedno ciało.

– Tak – mamrocze barman i nalewa sobie whisky, po czym po czubek napełnia szkło Karla. – Dziewiętnaście dni później. Po największej akcji poszukiwawczej w historii wypadków morskich. To był może...?

– Tata? Nie – mówi Karl, kręcąc głową. – Nigdy go nie znaleziono. Panie, świeć nad jego duszą.

– Zdrowie, przyjacielu! – Barman podnosi swoją szklaneczkę. – Za pamięć o twoim tacie.

- Tak. Zdrowie! - Karl uśmiecha się niemrawo, po czym obaj stukają się szklankami i piją. Karl się oblizuje. Ma nadzieję, że barman nie będzie dalej wypytywał o tę słynną katastrofę morską, którą Karl zna jedynie z opowieści, jakimi raczył go jego szwagier Jonas podczas częstych w ostatnim czasie pijatyk.

- I sam też pływasz? - pyta barman, zaciągając się papierosem.

- Tak, pływam - mruczy Karl, kiwając głową jak gdyby nigdy nic. - Wbrew woli starego, który nigdy już nie chciał wracać na morze.

- Tak to już jest - mamrocze pod nosem barman, dając jakiemuś zniecierpliwionemu klientowi znak, by poczekał. - Słuchaj. Odłożę rachunek, przyjacielu. Zapłacisz mi, jak wrócisz z rejsu. W porządku?

- Dzięki - uśmiecha się Karl pod nosem, chowając paczkę cameli do wewnętrznej kieszeni dzinsowej kurtki. - Nie mógłbyś mi zamówić taksówki?

Barman traktuje tę prośbę jako coś oczywistego i macha Karlowi na pożegnanie owłosioną ręką, po czym odwraca się w kierunku ostatnich tego wieczoru klientów.

Karl idzie do wyjścia, zapina kurtkę i podnosi kołnierz. Wychodzi w ciemną noc.

- Ostatni dzwonek. Zaraz zamykam - woła barman, bijąc trzy razy w stary mosiężny dzwon. Metaliczny dźwięk wypełnia zadymiony bar. Drzwi zamykają się za Karlem, a głośny rwetes natychmiast zamienia się w stłumiony gwar podobny do odległego ptasiego świergotu.

Po chwili przyjeżdża taksówka. Karl siada na tylnym siedzeniu i prosi kierowcę, by go zawiózł do Mosfellsbae.

- Mówiłeś Hjarland? - upewnia się taksjark po chwili.

- Co? Tak - potwierdza Karl i otwiera oczy. Zasnął na miękkim siedzeniu z głową opadającą na ramię. W taksówce jest gorąco i wybudzonego ze snu Karla zaczyna mdlić.

- A jaki numer? - pyta taksówkarz, nieco zwalniając.

- Może być tutaj. Wsiadam - odzywa się Karl, kiedy wygląda przez samochodową szybę i zauważa dom szwagra po drugiej stronie ulicy.

- Proszę. - Taksówkarz zatrzymuje samochód i zapala światło w kabinie. - To będzie razem tysiąc czterysta koron.

- Zatrzymaj resztę. - Karl wręcza taryfiarzowi wszystkie swoje pieniądze.

- Dzięki. - Taksówkarz bierze wymięte banknoty. - Dobranoc.

Karl życzy taksówkarzowi dobrej nocy i zamyka za sobą drzwi auta.

Dom jego siostry Marii tonie w mroku, a kiedy Karl naciska dzwonek, nikt nie podchodzi do drzwi. Nawet Maria. W garażu też panują ciemności i, jak się zdaje, brak w nim Jonasowego dżipa.

- Kurwa mać - cicho klnie Karl i schodzi z taczki, którą postawił wywróconą przy ścianie garażu, żeby zajrzeć przez okno.

Przy drzwiach leży biały worek ze śmieciami, który Karl podnosi i upycha do śmietnika, po czym pieszo rusza

w kierunku drogi krajowej numer jeden.

Ruch panuje niewielki. Z czarnych jak węgiel niebios spadają lodowate krople deszczu. Karl nie zdążył zatrzymać dwóch samochodów dostawczych, a przez te dwie minuty, kiedy tkwił na poboczu, minęły go dwa samochody osobowe, nawet nie zwalniając. Deszcz pada coraz gęstszy, zimne krople wlewają mu się za kołnierz dżinsowej kurtki, która powoli przemaka. Karl rusza pieszo na wschód. Widząc zbliżające się światła samochodu lub słysząc warkot silnika, odwraca się plecami do kierunku marszu i wyciąga kciuk.

Siedmioosobowa taksówka mknie szybko, ale kiedy go mija, zdaje się zwalniać. Karl przyspiesza kroku i macha za samochodem, rozświetlającym ciemności koło zjazdu na Thingvellir czerwonymi światłami wstecznymi. Przez szybę boczną po stronie pasażera dostrzega twarz mężczyzny. Twarz, którą jakby gdzieś już widział. I zdaje mu się także, że pasażer też jakoś go kojarzy. Nie ma pojęcia, skąd mogą się znać, ale to nieważne. Rusza biegiem za taksówką, która jednak nagle przyspiesza i rozplywa się w czarnym, deszczowym mroku.

Karl zatrzymuje się i przemoknięty, zziębnięty, ciężko dyszy, czując klucie w piersiach po ogromnym wysiłku fizycznym.

Bar. Ten facet wcześniej, tego wieczoru, był w barze. Ten w taksówce. Twarz w bocznej szybie.

- To nieważne - mruczy Karl. Stoi skulony pod znakiem drogowym wskazującym kierunek do Thingvellir, oparłszy dłonie o przemoknięte kolana. W ustach czuje gorzki posmak

krwi.

To już koniec, myśli. Nie zdążę do Grundartangi na czas. Statek odpłynie beze mnie.

Wtedy na mokrym asfalcie zauważa biały snop światła i coraz wyraźniej słyszy basowy warkot silnika. Szerokie opony radialne rozbryzgują deszcz spod srebrnego range rovera vogue.

Karl prostuje się, robi dwa kroki w kierunku asfaltu, odwraca się, wyciąga prawe ramię i wystawia sinobiały kciuk w stronę nieba.

Futurystyczne ksenonowe światła oślepiają go przez moment, i wtedy dziop składa pocałunek na jego policzku. Zimny pocałunek. Łamie kości, rwie ciało i miażdży wnętrzności. Wszystko w ułamku sekundy. I odrzuca go na pobocze, turlając do przydrożnego rowu.

Tam Karl dostaje drgawek, unurzany w błocie i brunatnej deszczówce. Porażony strachem. Nieprzytomny.

A dziop, powarkujący znika z zawrotną prędkością w mroku nocy, ze stłuczonym reflektorem, pękniętą przednią szybą i krwawym pasem, ciągnącym się od prawej strony maski aż po dach z lewej.

Żadnego światła poza kremowożółtą poświatą latarni. Żadnego dźwięku poza szumem deszczu.

Nie widać nic poza ludzkim kształtem w rowie.

Butem na poboczu.

I kroplami krwi na mokrym asfalcie.

VI

W pozbawionym okien pomieszczeniu piwnicznym na wyściełanej skórą ławeczce leży nagi mężczyzna i zaciska dłonie na stalowym drążku, spoczywającym w żelaznych widełkach jakieś pół metra nad jego twarzą. Napina klatkę piersiową i plecy i dociska stopy do podłogi. Kiedy pośladkami ledwie dotyka ławki, podrywa drążek z widełek. Jego skupiony wzrok skierowany jest na środek drążka. Mężczyzna nabiera powietrza w płuca i zatrzymuje je, opuszczając jednocześnie sztangę na piersi. Kiedy zimna stal dotyka napiętych mięśni, znowu podnosi ciężar, tym razem wydychając powietrze. Czynność tę powtarza jeszcze cztery razy, wolno i z opanowaniem, choć z coraz większym trudem, podwyższając sobie ciśnienie krwi i skracając oddech.

Z każdą mijającą minutą rośnie temperatura w pomieszczeniu. Ciężkie powietrze trąci kwaśnym potem i gorzkim testosteronem, przypominającym zapachem koci mocz.

Mężczyzna siada na ławeczce, przymyka błękitne oczy i kręci głową, najpierw zgodnie z ruchem wskazówek zegara, potem w kierunku przeciwnym, wyrównując jednocześnie

oddech. Jeśli nie liczyć gotyckiej litery K na prawej piersi, na jego opalonym ciele nie ma tatuaży, są natomiast blizny wszelkiej maści i rozmiarów. Jest ich tak wiele, że nikt by ich nie zliczył. To samo można powiedzieć o zadrapaniach, starych bliznach po oparzeniach i zarośniętych śladach potrądzikowych. Większość tych okaleczeń to pamiątki po urazach doznanych w wypadkach motocyklowych i samochodowych, choć również niekonwencjonalne sporty, niezliczone bójkі, w tym kilka na noże, oraz strzelaniny pozostawiły swój znak na skórze. Poza śladami na powierzchni ciała można by także znaleźć mnóstwo zrostów, pęknięć i guzów znaczących jego szkielet, posztukowany tuzinem stalowych gwoździ, drutami i dwoma sztucznymi stawami. Większość owłosienia została usunięta z ciała przy użyciu kremów i wosku, poza włosami łonowymi, które skrócono do trzech milimetrów. Na głowie zaś mężczyzna ma włosy proste, długie, sięgające pleców, ufarbowane na kruczoczarno i przyozdobione czerwonymi i niebieskimi pasemkami. Człowiek ten nie nosi ozdób na palcach ani na szyi, za to w jego uszach tkwią grube kolczyki z inkrustowanego srebra w kształcie węży złączonych w ten sposób, że ich ogony znikają w otwartych paszczach. Te ręcznie wykonane ozdoby nadają męskiej i skądinąd wzbudzającej zaufanie twarzy groźny wyraz.

Człowiekiem tym jest Jon Karl Esrason, dwudziestosześcioletni syn marynarza, zajmujący się lewymi interesami i różnego rodzaju nielegalną działalnością. Dość długa historia jego spraw sądowych sięga ponad dziesięciu

lat wstecz, a składa się na nią z górą trzydzieści aktów oskarżeń i tuzin wyroków. To jego curriculum vitae.

- Lilja? - woła Jon Karl, krocząc boso po wyłożonym miękką wykładziną korytarzu, nie spodziewając się jednak odpowiedzi. On wie, że ona jest w domu. A ona wie, że on wie, że ona jest w domu. Dlatego mu nie odpowiada.

Ubrał się w czarne sportowe spodenki i gumką ściągnął włosy do tyłu.

W przestronnej, jasnej kuchni duży mikser miesza mleko, banany i odżywkę proteinową z białkiem serwatkowym o smaku truskawkowym. Mężczyzna chwytą garść witamin i suplementów dietetycznych, po czym popija je smacznym koktajlem.

Odkręca gorącą wodę w kranie nad zlewem, podkłada pod strumień opróżniony pojemnik z miksera i podczas gdy leje się doń woda, wygląda przez okno. Przy końcu ulicy znajduje się szkoła podstawowa, a obok niej ogrodzone boisko do koszykówki, na którym codziennie, dopóki nie zrobi się ciemno, pryszczaci młodzieńcy rzucają piłką do kosza pozbawionego siatki. Ale teraz jest noc i boisko zamarło. Żadnego ruchu. Tylko mrok. I malutki żar za przednią szybą zaparkowanego samochodu. Zupełnie jakby ktoś siedzący na miejscu kierowcy palił papierosa.

Jon Karl porusza się szybko i zdecydowanie, zakręca gorącą wodę i gasi światło w kuchni. Jego źrenice się rozszerzają, podobnie jak tętnice, mięśnie klatki piersiowej i nozdrza. Pochyla się nad zlewem, przykładając prawy policzek do zimnej szyby, a lewy do zasłony. W ten sposób

z ukosa patrzy bez ruchu przez okno, niczym lew wystawiający pysk za granicę roślinności sawanny. Teraz lepiej rozróżnia kształty majaczące poza zasięgiem światła latarni ulicznych w zimnej jesiennej czarnej nocy. Na drugim końcu boiska do koszykówki stoi czarny dostawczak, do połowy zaparkowany na chodniku. Oczywiście może równie dobrze być brązowy, granatowy lub ciemnozielony, lecz w ciemnościach wygląda na czarny. Ale wewnątrz nie widać już żadnego żaru, żadnego ruchu, niczego. Czyżby mu się zdawało, czy może kierowca zgasił papierosa, kiedy on sam wyłączał światło? Czy ktoś obserwuje dom? A może to sam Jon Karl zaczyna ulegać manii prześladowczej?

Ciszę na zewnątrz przerywa śmiech dwóch nastolatek. Poruszając się z lekkością, wchodzą w zasięg wzroku Jona Karla i suną chodnikiem po drugiej stronie ulicy, zmuszając tym samym mężczyznę do oderwania spojrzenia od czarnego dostawczaka i skierowania swojej samczej uwagi na jędrne pośladki, młodzieńcze ruchy i szczupłe nogi.

Kojarzy je, obie, zna zarówno ten typ, jak i je konkretnie. Mieszkają przy ulicy obok domu Jona Karla i rodziny. I mieszkają przy ulicy obok we wszystkich dzielnicach wszystkich miast świata: niespełna szesnastoletnie przyjaciółki, które dopiero co odkryły środki odurzające, i to, jak się robi loda, a także swój własny seksapil, i żyją w zwodniczym przekonaniu, że młodość jest wiecznością, galeria handlowa – wszechświatem, cipa – jego środkiem, a życie to nic innego jak różowy balon z gumy do żucia, który można nadymać, dopóki nie pęknie.

- Małe szmaty - mruczy Jon Karl, chuchając na szybę. Krew zaczyna mu napływać do członka, który miota się w sportowych spodenkach niczym wąż, aż w końcu znajduje prawą nogawkę.

Jon Karl poklepuje się po lewej kieszonce spodenek, znajduje zmiętą paczkę papierosów i wyciąga z niej ostatnią fajkę, którą zapala gazową zapalniczką. Zaciąga się, dopóki nie usłyszy cichego trzasku żaru. Wydmuchuje dym przez rozdęte nozdrza i cały czas gapi się na dziewczyny, zastanawiając się, na co tu właściwie czeka? Zamiast stać i gapić się przez okno jak baba, powinien siedzieć za kółkiem range rovera, wycofanego wcześniej z podjazdu na ulicę. Później jedno depnięcie na gaz i jakieś sto metrów dalej zatrzymałby się obok dziewczyn.

- A dokąd to, lasie?

Może by się trochę zawahały, bo ich pewność siebie to tylko skorupka z modnej odzieży i makijażu. Spojrzałyby szybko po sobie, zachichotały, zarumieniły się i zanim połapałyby się w sytuacji, Jon Karl już kazałby im wsiąść do gabloty. Jak surowy nauczyciel lub stanowczy ojciec.

- Podrzucę was, lasie. Bez gadania!

Dysk Wu Tang Clanu albo Eminema, klima nastawiona na grzanie i gaz do dechy. I srebrny okręt piracki zniknąłby w ciemnościach nocy przy wtórze niskich dźwięków basu. Dokąd? Bez specjalnego celu, pojeździć trochę. Skierowałyby się do centrum, gdzie wynajmuje mieszkanie na ostatnim piętrze nowego bloku w dzielnicy Skuggahverfi. Tam dosypałby do imprezy koki i dmuchał te młode klaczki,

dopóki sperma nie trysnęłaby z ich zażawionych oczu.

To dlaczego jeszcze się nie ruszył? Za stary już jest? Zmęczony? Już mu się nie chce? Wyrósł z tego?

- Fuck!

I dziewczyny zdążyły rozpuścić się w ciemnościach.

Jon Karl wrzuca niedopałek do zlewu i na moment odkręca wodę. Następnie szybko przenosi wzrok za okno, jakby wiedziony jakąś telepatią czy przyzwyczajeniem. Zauważa, że czarny samochód dostawczy nie stoi już przy końcu boiska do kosza.

Zadbane włosy stają dęba na potylicy Jona Karla, a jego dłonie robią się zimne. Zupełnie jakby nieobecność tej czarnej bagażówki przeszkadzała mu bardziej niż jej obecność jeszcze chwilę temu. Może się to wprawdzie wydawać dziwne, a nawet nielogiczne, ale tak nie jest. Kobieta, która widzi w swoim pokoju pająka, czuje się zaniepokojona, bo pająk nie powinien tam się znajdować. Następnie, kiedy pająk zniknie, niepokój ustępuje strachowi, bo kobieta nie wie, gdzie teraz jest pająk, co oznacza, że może być gdziekolwiek, a ten fakt wzbudza nieprzyjemne pytania o to, co też ów pająk wyczynia, kiedy go nikt nie widzi. W ten sposób pająk, który istniał jedynie jako ośmionogi owad w iluminowanym świecie świadomości, przeistoczył się w wymagowanego potwora w ciemnych czeluściach podświadomości.

Co to był za czarny dostawczak? Kto w nim siedział? Co tam robił? I gdzie jest teraz?

- Lilja!

Jon Karl wpada z powrotem do salonu, strzelając stawami palców i karku.

- Wstawaj szybko, kobieto! Zabieraj dziecko, jedź do mamy i zabierz walizkę!

- Co się stało? Jaką walizkę? - pyta Lilja, podnosząc się z sofy.

- Już mama wie, jaką walizkę! - odpowiada Jon Karl, wypychając Lilję dość brutalnie do przedpokoju.

- Ależ Jonie, ona śpi! - broni się zdezorientowana Lilja, patrząc w oczy ojcu swego dziecka, który wpadł w szal, z jakiego niełatwo go wyrwać.

- Posłuchaj mnie! - mówi Jon Karl, przyciskając ją do ściany i uniemożliwiając jej jakikolwiek ruch. - Zabierz dziewczynkę, jedź do mamy i weź od niej tę cholerną walizkę! Potem wróć tu po mnie i wszyscy razem pojedziemy do letniskowego domku w Skorradalur. Czy rozumiesz, co do ciebie mówię?

- Tak, rozumiem - mruczy Lilja, starając się uniknąć jego rozpalonego wzroku. - Ale dlaczego musimy jechać do domku? Co się stało? Co to za walizka...?

- Żadnych pytań! - rzuca Jon Karl i puszcza ją. - Bierz dżipa i rób, co mówię!

- Tak, ja...

- I Lilja - mówi Jon Karl, a jego wzrok stygnie, jakby wiedział, że za chwilę stanie się coś złego.

- Tak? - szepce kobieta i czuje mrowienie w brzuchu.

- Jeśli coś nie będzie całkiem w porządku, kiedy po mnie wrócisz... Jeśli coś, jeśli tylko coś będzie nie tak, jak

powinno być... to jedź do domku beze mnie i zostań tam, dopóki nie dam znać. Rozumiesz?

- Tak.

- Żadnych telefonów, żadnych gości, żadnej paniki... nic z tych rzeczy. W porządku? - pyta Jon Karl głosem tak zimnym, że matkę jego dziecka przeszywają dreszcze.

- W porządku - mruczy Lilja i znika w tonącym w ciemnościach pokoiku dzieciennym, gdzie śpi ich dwuletnia córeczka, zaś Jon Karl idzie do sypialni i wywala z szuflad i półek bieliznę, skarpety, koszulki, buty, otwarty karton papierosów Prince oraz zielony worek marynarski i rzuca to wszystko na małżeńskie łóżko. Wkłada czarne sportowe skarpetki, czarną koszulkę z krótkim rękawem i czarne głany wojskowe, które sznuruje po ostatnią dziurkę. Resztę wrzuca do marynarskiego worka. Przez okno sypialni widzi, jak range rover, którym odjeżdża Lilja, rozplywa się w mroku.

W salonie Jon Karl przesuwa na bok sporą szafę i wprowadza siedmiocyfrowy kod do elektrycznego zamka wmurowanego w ścianę stalowego sejfu.

W sejfie znajduje milion koron w nowych pięciotysięcznych banknotach, rewolwer w kaburze mocowanej do łydki, paczkę naboju kaliber 38, paszporty członków rodziny, nóż myśliwski w skórzanej pochwie, weksle, akcje, rozmaite dokumenty i trzy książeczki z banków w Szwajcarii i Luksemburgu. Rewolwer to Smith & Wesson, rocznik 1970, kaliber 38, z krótką lufą i pięciostrzało-wym bębniem. Tkwi mocno w specjalnie uszytej kaburze, którą Jon Karl przytwierdza do górnej części prawego wojskowego buta

specjalnym rzepem. Następnie zgarnia wszystkie pozostałe rzeczy do worka i zaciąga sznur. Wszystko, oprócz tego, co nazywa rozmaitymi dokumentami, bo te wrzuca do kominka i podpala.

Jon Karl stoi przed kominkiem i patrzy na płomienie ogarniające papier, trawiące go i zmieniające w cieniutkie plasterki, które się łamią, wzbijają w powietrze, zwęglają i powoli przeobrażają w delikatny popiół, czyli w nic. Komin zasysa dym, ogień trzaska, czerwony blask błąka się wokół kominka i odbija w szeroko otwartych oczach, które jak zahipnotyzowane patrzą na tańczące płomienie i w ich głąb, o wiele dalej i o wiele głębiej.

Hipnotyzujący ogień. Jak otwarte drzwi. I skradający się cień.

Skradający się wilk...

Jon Karl odwraca się szybko w kierunku przeszklonych drzwi prowadzących na taras od strony ogrodu, lecz nic tam nie widzi. Żadnego cienia, żadnego ruchu. Żadnego dźwięku.

Ale coś mu nie daje spokoju. Coś, co jest na tyle blisko, że trąca niewidzialne struny i naciska ostrzegawcze dzwonki w podświadomości.

Z daleka dobiega cichy trzask czy chrzęst.

I chwilę potem, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, w całym domu gaśnie światło.

Ciemność. Jeśli nie liczyć ognia w kominku, wywołującego tańczące cienie na ścianach, podłodze i suficie.

Jedyne, co w tej chwili Jon Karl wie na pewno, to to, że ma mało czasu. I nie jest najważniejsze, że zanoszą się na coś

złego. Rodzaj i cel tego zła ucieleśnionego też są w tej chwili nieistotne.

Po pierwsze, drugie i trzecie: należy być gotowym na stawienie czoła złu, niezależnie od tego, jak się ono nazywa.

Jon Karl nachyla się, prawą ręką uwalnia rewolwer z kabury, a lewą stara się wyłowić z worka paczkę z nabojami. Kiedy jego palce natrafiają na opakowanie, rozrywają je i chwytają garść naboí. Wyćwiczonymi ruchami dłoni Jon Karl uwalnia bębenek, wysuwa go, obraca i komora po komorze załadowuje naboje, wsuwa bębenek z powrotem i naciąga kurek, trzymając nieruchomo palec wskazujący na wrażliwym spuście. Wszystko to dzieje się w niecałe dziesięć sekund.

W lewej dłoni spoczywa jeszcze jeden nabój, który Jon Karl obraca między obłymi palcami. Nasłuchuje. W przedpokoju cicho trzeszczą deski podłogowe. Ktoś zbliża się szybko po wyłożonym dywanem korytarzu. Jon Karl wrzuca nabój do kominka i skulony skrada się w kierunku najciemniejszej części salonu, gdzie chowa się za swój skórzany fotel.

Kiedy nabój wybucha, nieproszony gość wskakuje do salonu, kręci się w koło, mierząc z obrzyna we wszystkie strony, i wrzeszczy:

- JUŻ PO TOBIE...!

Jon Karl celuje i oddaje dwa strzały, które dudniąc w salonie i dwukrotnie go rozświetlając, uciszają intruza:

PLAM... PLAM!

Pierwsza kula nie trafia celu i rozbija szybę w jednym z okien salonu, tym zwróconym w kierunku podjazdu, za to

druga uderza nieproszonego gościa w prawe ramię.

- Na pomoc! - krzyczy intruz i pada na kolana. Lewą ręką łapie się za ramię, a prawą usiłuje załadować strzelbę, lecz drżące palce nie dają rady i broń wypada mu z rąk.

Na pomoc? Czyżby było ich kilku?

Jon Karl wychodzi ze swojej kryjówki i po raz trzeci naciąga kurek, ze smakiem krwi w ustach, oszalałymi myślami galopującymi w głowie i lodowatym blaskiem w czujnych oczach.

- Nie! - woła przybysz i zaczyna czołgać się po salonie. Twarz skrył za granatową maską narciarską. Posuwa się naprzód, czepiając się palcami podłogi, wijąc się niczym przetrącony robal i zostawiając za sobą plamy krwi na dywanie.

- Kto cię tu przysłał? - pyta Jon Karl, następując intruzowi na prawą kostkę. Rozgląda się w ciemnościach, nasłuchując jednym uchem, czy ktoś jeszcze się tu nie kręci, nachyla się nad nieproszonym gościem, celuje z rewolweru w jego przyrodzenie, a lewą ręką podnosi obrzyna.

- Nikt - odpowiada gość schrypniętym głosem, patrząc na gospodarza śmiertelnie przerażonymi, wytrzeszczonymi oczami.

- Kim jesteś? - pyta Jon Karl, bezszelestnie wbijając przybyszowi lufę rewolweru pod żebra. Ten krzyczy ze strachu i bólu.

- Nikim - pada odpowiedź. Intruz unurzany jest we własnej krwi. Ból skraca mu oddech.

Jon Karl puszcza obrzyna, wbija kolano w genitalia

nieproszonego gościa i lewą ręką zdziera mu maskę z twarzy.

W tym samym momencie ktoś mocno uderza go w dolną część karku. Słysząc trzask kości, mięśnie nieruchomieją, świat tonie w ciemnościach...

Strasznie to dziwne uczucie, kiedy podróżuje się bez ciała. Huśtasz się w przód i w tył, jak na huśtawce, tyle że wolniej, ale ruch w bok jest równie nieprzyjemny. Zawsze towarzyszy temu dziwne uczucie, że bujnięcie w dół jest i dłuższe, i głębsze niż to w górę, jakby dusza spadała z jakiejś krawędzi. W zwolnionym tempie, jak powtórka w telewizji, i tak raz za razem. W jakiś hipnotyczny sposób jest to trochę uspokajające, ale przede wszystkim chodzi o niekończące się otępienie, które staje się tym bardziej nierzeczywiste, im dłużej człowiek spada w tę ciemną otchłań, pachnącą tytoniowym dymem, równie wielką czy równie małą jak ludzkie myśli, równie głęboką jak echo wolnego taktu wybijanego przez bęben basowy kapeli:

Bom, bom, bom...

Tapicerka w karetku jest czarna. Jon Karl ma na sobie jasne, niebiesko-białe ubranko marynarskie i leży przywiązany do noszy. Siedzący nad nim lekarz jest Człowiekiem Rakiem w masce Alberta Einsteina na twarzy.

Jeśli mówię: zaczyna się nieźle, potem jakoś się toczy, w połowie nabiera tempa, a końca nikt nie rozumie. Co wówczas mam na myśli?

Film?

Tak, ale nie myślę o filmie.

A może to książka?

Tak, ale nie chodzi mi także o książkę.

A może to ten rejs?

Tak, ale chodzi mi o coś więcej i o coś większego niż ten rejs.

Karetka śmiga dziurawą drogą i uderzenia dudnią w metalowej skrzyni wielkości ładowni na statku:

Bom, bom, bom...

Ból jest nie do wytrzymania, a jednocześnie słodki jak miód, gorący i miły niczym promień słońca. Ból jest towarzyszem świadomości, a świadomość splata się z samym życiem. Ból jest życiem, a życie jest bólem.

Nie umarłem jeszcze, myśli sobie Jon Karl, nie otwierając oczu. Ma połamane kości i cały jest opuchnięty.

Udaje, że nadal nie odzyskał przytomności, a jednocześnie usiłuje zorientować się, gdzie jest, co się dzieje wokół i z jego własnym ciałem.

Siedzi na krześle i nie może się ruszyć. Kostki przywiązano mu do przednich nóg krzesła, a nadgarstki za jego oparciem. Krzesło przytwierdzone jest do podłogi w zimnym, wilgotnym pomieszczeniu oświetlonym nieoprawioną żarówką. Oczy ma spuchnięte, nos rozkwaszony, szczękę mocno pokiereszowaną, a może nawet złamaną. Żebra płoną bólem, lewy obojczyk jest zwichnięty albo i złamany. W następstwie bójki kark ma słabiutki, bebechy obite, a stawy w większości ponaciągane i powykręcane. Jon Karl czuje zapach krwi, dymu tytoniowego i smród potu. Słyszy trzy głosy, ale z powodu szumu w uszach nie rozróżnia słów. Ponieważ

jednak mężczyźni ci ani nie szepczą, ani nie mówią półgłosem, Jon Karl orientuje się, że znajduje się w „bezpiecznym” miejscu, gdzieś z daleka od wszelkiej pomocy i ludzkich zabudowań.

To fachowcy.

- Budź się, kurwa twoja mać! - odzywa się jeden z nich i gumową pałką uderza Jona Karla w prawe udo, tuż nad kolanem.

Jon Karl podnosi głowę i otwiera oczy. Wie, że nie przestaną go bić, dopóki się nie ocknie i nie zacznie z nimi rozmawiać. Nie wie, czego od niego chcą, ale za to wie, że nie puszczą go, dopóki nie zdobędą tego, czego chcą, cokolwiek by to było. Jeśli w ogóle go puszczą. Jedyne, na czym mu teraz zależy, to zorientować się, jak, do diabła, ma z tego potrzasku ujść z życiem, i to bez konieczności ujawniania im czegokolwiek, niezależnie, czy coś na ten temat wie, czy nie.

- Gdzie jest kasyno?

Kasyno? Jakie, kurwa, kasyno? A on myślał, że chcą położyć łapę na czerwonej walizce z... zawierającej tajemnicę.

Pytający tonie w rozedrganej mgle. Stoi na szeroko rozstawionych nogach przed Jonem Karlem, który mruży opuchnięte oczy, czekając, aż wibrujące kolory i płynne kontury trochę się wyostrzą.

- No gdzie? - pyta mężczyzna warczącym basem i policzkuje Jona Karla dłonią wielkości niedźwiedziej łapy.

Policzek działa równie orzeźwiająco jak chluśnięcie zimną

wodą. Łąduje na twarzy, rozchodzi się po kościach, a potem po całym ciele, niczym brzęk miedzianych talerzy, i budzi Jona Karla z odrętwienia. Krew po prostu burzy mu się w żyłach, mięśnie się napinają, a głowa wypełniona płomieniami wściekłości żąda zemsty i domaga się krwi. Plastikowe taśmy zaciskają się mocno wokół kostek i nadgarstków, krzesło i podłoga, do którego jest przytwierdzone, trzeszczą, zęby zgrzytają, a przekrwione oczy występują z orbit.

- Pozabijam was wszystkich! - warczy Jon Karl, spluwając krwią. Wraz z nią na podłodze z nielakierowanych desek łąduje kawałek ułamanego zęba.

- Dzisiaj nikogo nie zabijesz - stwierdza facet o niskim głosie i najspokojniej w świecie zapala tanie cygaro.

Jon Karl rozpoznaje ten głos i niewyraźny zarys mężczyzny. Patrzy na chmurę dymu poprzez rozedrganą mgłę barw i usiłuje przywołać wspomnienia z zakamarków otępiełego mózgu, podczas gdy ciężkawa chmura powoli przybiera ludzką postać.

Czarna skóra, czarne włosy i oczy, i czarne dziury w twarzy przypominającej pysk wściekłego psa obronnego.

Ten człowiek to nie kto inny, jak trzydziestopięcioletni Odinn R. Elsuson we własnej osobie, legenda reykvjavickiego półświatka, najstarszy spośród działających jeszcze oprawców i reketerów i najgroźniejszy z nich wszystkich, bandzior czystej wody i bezlitosny sadysta, nieufający nikomu. Facet, który niczego się nie boi i żyje według diabelskiej maksymy: „szczęśliwy ten, kto za przyjaciół ma

trupy, a duchy za wrogów”.

Za Odinnem mającą cienie dwóch ludzi, zlewające się z mrokiem i ciemnymi ścianami.

- Zdawało mi się, że słyszę wycie wilków - mamrocze Jon Karl.

- Mówiłeś coś? - pyta obojętnie Odinn, wyjmując z bocznej kieszeni marynarki rewolwer Jona Karla.

- Nic takiego. - Jon Karl wciąga strugę krwi do nosa.

Odinn jest jędrny niczym młody byczek, ciemny i tak brzydki, że prawie piękny. Włosy nosi starannie zaczesane na kark, piwne oczy ma szeroko rozstawione, głęboko osadzone w wielkiej, topornej twarzy, która już to przywodzi na myśl młodą bestię, już to starego człowieka, w zależności od tego, jak pada na nią światło.

Jon Karl niczego nie daje po sobie poznać, ale kiedy tylko rozpoznaje swojego przeciwnika, gaśnie płomyk nadziei w jego piersiach. Lecz wobec braku nadziei z głębokiego letargu budzi się w nim złość, która nie dba o życie i śmierć. Sama jest dla siebie pożywką i usuwa wszystko, co znajdzie się na jej drodze. Utrzymuje się, tli się niczym ogień, który coraz bardziej się rozpala, aż w końcu staje się tak potężny i okrutny, że pochłania sam siebie i się unicestwia.

Złość przejmuje władzę nad Jonem Karlem. Szumi w jego głowie, sączy czarną truciznę do krwi, przenika każdy nerw w jednym tylko celu - rosnąć, rozwijać się, pączkować i rozkwitnąć jak diabelski duch w ciele, które ją gości, niezależnie od tego, jakie mogą być tego skutki.

Złość jest z natury wieczna, dlatego nie ma nic do

stracenia ani do zyskania.

- To ci dopiero pukawka na groch. - Odinn fachowo obraca w rękach rewolwer. Mamle żarzące się cygaro, obraca bębenek rewolweru, zatrzymuje go kciukiem prawej dłoni, naciąga kurek, przystawia lufę do prawego kolana Jona Karla i bez wahania pociąga za języczek spustowy:

Klik!

Kurek uderza w pustą komorę bębena i nic się nie dzieje.

Jon Karl zrazu spina się ze strachu, jego serce ustaje na chwilę, a potem zaczyna śmiertelnie łomotać w piersiach. Mięśnie mu sztywnieją, żyły, nozdrza i źrenice się rozszerzają, a gorący pot spływa z twarzy i pleców.

- Słyszysz z tego, że masz szczęście - mówi Odinn i odkłada rewolwer na zardzewiałą beczkę po oleju. Wyciąga worek marynarski Jona Karla, wysypuje jego zawartość na podłogę i zaczyna grzebać w rzeczach.

Słony pot zalewa oczy Jona Karla. Mruga nimi szybko, lustrując jednocześnie otoczenie. Facetów jest trzech - Odinn i jego dwóch pomagierów. Obaj ubrani na czarno i raczej do siebie podobni. Jeden z nich siedzi skulony na taborecie, trzymając się drżącą lewą ręką za krwawiące prawe ramię. To ten, którego Jon Karl trafił w swoim salonie. Drugi stoi obok Odinna z gumową pałką w ręku. Ci chłopcy nie mogą mieć więcej niż po dwadzieścia lat. Jon Karl kojarzy tego, którego postrzelił, choć nie pamięta ani kim on jest, ani jak się nazywa, co lepiej świadczy o opinii, jaką cieszą się te rzezimieszki, niż dziesiątki słów. To po prostu jacyś cholerni Friko i Koko, których Odinn zwabił mglistymi obietnicami

albo zapłacił im za tę usługę. Jacyś narkole, którym marzy się sława w półświatku, a którzy z pewnością skończą z kulką we łbie, zadźgani albo zabetonowani w jakimś fundamencie, na dnie morza albo w zwałach zastygłej lawy, gdzie nikt ich nigdy nie znajdzie.

- Wybierasz się gdzieś? - pyta Odinn, przeglądając paszporty rodziny. Po czym je rwie. - Nie sądzę.

- Nie ugniesz człowieka, który nie da się ugiąć - odzywa się Jon Karl, wciąż korzystając z tego, że jeszcze może rozglądać się dokoła.

Znajdują się w jakiejś ruderze, starej budzie, garażu czy magazynie. Drewniany szkielet ścian jest wypełniony sklejką albo blachą falistą i izolowany od środka wełną mineralną. Wełna mineralna wyściela także okna i wewnętrzną stronę drzwi. Na drewnianej skrzyni obok wejścia leżą narzędzia. Krzesło, na którym siedzi Jon Karl, wzmocnione jest metalowymi kątownikami na wszystkich łączeniach, ale i tak trzeszczy od długotrwałego używania. Na podłodze i ścianach zauważyć można czarne krople, czarne plamy i czarne nacieki - zastygłą krew nadającą temu ponuremu lokalowi makabryczny wygląd.

- Oszczędź mi tych mądrości - mówi Odinn, wyjmując z koperty milion koron i ukradkiem chowając je do kieszeni. - Zupełnie na mnie nie działają.

- Nie mówiłem do ciebie - odpowiada mu Jon Karl. Usiłuje uspokoić oddech, rozluźnić się i myśleć trzeźwo, lecz otoczenie i towarzystwo powodują, że żadna z tych trzech rzeczy nie przychodzi mu łatwo.

Ma bosc stopy i nagi tors, plastikowe taśmy wżerają mu się w kostki i nadgarstki. Jon Karl wie z doświadczenia, że niemal niemożliwe jest je zerwać, nie rozszarpując przy tym skóry i ścięgien.

Co może zrobić?

- No. - Odinn obnaża nóż myśliwski Jona Karla i rozcina prawą nogawkę jego spodni dresowych od kostki po kolano.

- Najlepiej to już zacząć.

Podnosi niebieską litrową butlę gazową z palnikiem i odkręca gaz do połowy.

- Mam zamiar odsmażyć ci girę - tłumaczy i wyjmuję z ust rozżarzone cygaro. - Smród będzie okropny, a ból nie do opisania. Ale resztę ciała uratujesz, jeśli od razu zaczniesz gadać. Gdzie jest kasyno?

- Na południe od nieba? - strzela Jon Karl, żeby tylko cokolwiek powiedzieć. Nie może beczeć jak pierwsza lepsza baba tylko dlatego, że mają zamiar zgrillować mu nogę. Musi dbać o swoją markę. Bez marki będzie skończony.

- Zła odpowiedź. - Odinn przysuwa cygaro do palnika. Nic się nie dzieje.

- To było pytanie, a nie odpowiedź - cedzi Jon Karl przez zaciśnięte zęby.

- Nie sil się na dowcip - temperuje go Odinn i wacha dyszę palnika, po czym rzuca go na podłogę. - Gaz się skończył.

- Nie wiedziałem... - zaczyna Friko i sztywnieje ze strachu.

- Zamknij ryj. - Odinn rzuca palnikiem o ścianę przy drzwiach. - Podaj mi, kurwa, wiertarkę.

- Proszę - mówi Friko, podając mu wiertarkę

bezprzewodową uzbrojoną w wiertło udarowe.

- Do kurwy nędzy! - wścieka się Odinn po naciśnięciu guzika. Wiertarka warczy cicho i ledwie kilka razy obraca zakrwawione wiertło, po czym ze strasznym zgrzytem się zatrzymuje.

Odinn ciska wiertarkę o glebę i tak mocno uderza Friko w jaja, że ten bez tchu pada na podłogę.

- Czekaście tu, aż załatwię nową butlę! - mówi do Koko, który wciąż trzyma się za postrzelone ramię.

- A nie możemy po prostu użyć noża czy kłamki? - pyta Koko, wybałuszając szeroko przekrwione oczy. - Albo odciąć mu palce u rąk czy u nóg?

- Dzisiaj mam ochotę na grilla - ucisza Koko Odinn, klepiąc go po głowie.

- Muszę się dostać do lekarza! - kwili Koko, pokazując swemu mocodawcy zakrwawioną lewą dłoń.

- Ale nie wcześniej, niż wyjmę ci kulę z rany - oznajmia mu Odinn i otwiera drzwi wejściowe. - Zagryź wargi. Zaraz wracam.

Odinn znika za drzwiami, zatrzaskuje je za sobą i zamyka od zewnątrz na kłódkę. Przynajmniej tak się zdaje Jonowi Karłowi. Chwilę później słychać trzaśnięcie samochodowych drzwiczek, obrót rozrusznika, świst rozrządu i ośmiozaworowy silnik zaczyna warczeć. Na dworze panują egipskie ciemności. Szerokie opony miażdżą żwir i dudniący dźwięk silnika oddala się.

- Skurwiel! - odzywa się skulony na podłodze Friko. Oddech ma rwany, krzywi się z bólu.

- Zamknij się, stary! - Koko z wściekłością spogląda na swego towarzysza.

- Sorry! - Friko podnosi się na nogi.

- On już tu nie wróci. - Jon Karl uśmiecha się chłodno.

- Zamknij, kurwa, ryja! - Koko macha zaciśniętą pięścią przed twarzą Jona Karla. Krzywi się z bólu, jaki sprawia mu każdy ruch.

- Oczywiście, że wróci - mamrocze Friko i siada, pojękując, na skrzyni obok drzwi. - Jasne, że wróci.

- Widzicie tę tam kopertę? - pyta Jon Karl, wskazując głową w kierunku rozsypanej na podłodze zawartości worka marynarskiego. Na samej górze leży kremowa koperta, wciąż wybrzuszona wspomnieniem banknotów, które w niej spoczywały.

- No i co? - pyta Friko, spoglądając na kopertę i przenosząc wzrok na Jona Karla.

- Nie słuchaj go! - odzywa się Koko, przytupując nogą.

- Powąchaj ją. - Jon Karl patrzy spokojnie w rozbiegane oczy Friko.

- Nie wąchaj jej! - zdecydowanie odradza kumplowi Koko.

- Sam wiem - mruczy Friko, patrząc badawczym wzrokiem na Jona Karla.

- W tej kopercie było pięć baniek - mówi Jon Karl, uśmiechając się spod krwi i opuchlizny. - Odinn schował je, kiedyście nie widzieli. Koperta wciąż pewno jeszcze pachnie szmałem. Były w niej same banknoty po pięć tysięcy.

- A dlaczego mielibyśmy ci wierzyć? - Friko mruży oczy.

- A po cholereę nosiłbym przy sobie pustą kopertę? -

uśmiecha się Jon Karl.

- Stary, on se z nas jaja robi! Nie słuchaj go! - Koko z wściekłością spogląda na Jona Karla. - Jak się nie zamkniesz, będziemy musieli cię uciszyć!

- On już tu nie wróci. - Jon Karl ojcowskim wzrokiem patrzy w oczy Friko, który najwyraźniej sam już nie wie, komu i w co ma wierzyć. - On już ma to, czego szukał. Żadnego kasyna nie znam! Co to ma być za kasyno? Może wy wiecie?

- Dobrze wiesz, jakie kasyno - odzywa się Koko głosem drżącym z wątpliwości raczej niż z wściekłości. - Ty dla nich szmal ściągasz.

- Nie, nie ściągam - zdecydowanie odpowiada mu Jon Karl. - Przecież ty nawet nie wiesz, o czym mówisz.

- Zamknij się! - rzuca Koko i spogląda na Friko, który wzrusza ramionami, po czym sięga po kopertę i ostrożnie ją wacha, gniecie i wyrzuca.

- Co? - Koko jest już bardzo zdenerwowany i udręczony cierpieniem.

- Zapach szmalu - mruży Friko, połykając haczyk.

- Co on wam obiecał? - najspokojniej w świecie pyta Jon Karl.

- Nieważne - chrząka Friko.

- Nie, to ważne - uśmiecha się Jon Karl. - Bo wy nawet złamanego grosza za to nie dostaniecie, idioci!

- Każ mu się zamknąć - mówi Koko do Friko.

- Mamy czekać na Odinna? - cicho pyta Friko.

- Tak - wybucha Koko. - Przecież nie ma co ryzykować

i wierzyć temu palantowi!

- Ale z was pedały! - Jon Karl pluje krwią na podłogę. - Bo jesteście pedałami!

- Ucisz tego skurwiela! - krzyczy Koko. Z bólu.

- No - mówi Friko i staje z gumową pałką w prawej ręce i grubą lasotaśmą w lewej. - Ale niech się lepiej pośpieszy!

- Szatanie, diable, Lucyferze! - mruczy Jon Karl, zagryzając

wargi, i wznieca w sobie ogień, przywołując na myśl nienawiść, furię i moce piekielne. - Zjednoczcie się we mnie!

Friko uderza Jona Karla pałką w twarz tak mocno, że aż krew tryska mu z ust. Głowa Jona Karla opada na prawe ramię, a on wydaje gardłowy charkot i wywraca oczami. Wtedy Friko odkłada pałkę i rozwija porządny kawał srebrnej taśmy klejącej. Pochyla się nad Jonem Karlem. Chce zakleić mu nią usta.

Ale cuchnąca taśma nie zdąży dotknąć jego warg, bo Jon Karl otwiera oszalałe oczy, uderza głową w przód, otwiera usta szeroko i wbija zęby w lewą rękę Friko.

- NIE! POMOCY! - wrzeszczy Friko i upuszcza taśmę. Obserwuje, jak zakrwawione zęby wbijają się w wierzch jego dłoni. Macha na oślep prawą ręką, rzucając się na Jona Karla, który w tym samym momencie odchyła się do tyłu.

- NIE, NIE, NIE! - drze się Koko i zrywa się na nogi. Patrzy pełnym przerażenia i cierpienia wzrokiem, jak krzesło łamie się pod ciężarem Jona Karla i Friko.

Jon Karl ląduje na plecach i zwalnia stalowy uchwyt szczęk ze złamanej ręki Friko. Udaje mu się przerzucić go nogami

za siebie. Następnie przeciąga związane ręce pod tyłek, przez kończyny dolne i połamane nogi krzesła. Wstaje szybko, skacze na Friko i wdeptuje go w podłogę. Żebra Friko trzaskają niczym surowe spaghetti, stawy pękają, a głowa puchnie i pęka, aż z oczu pozostają same krwią nabiegłe białka.

Kiedy Jon Karl odwraca się, Koko trzyma rewolwer w drżącej, zakrwawionej lewej dłoni. Ale nim zdąży go wycelować i strzelić, Jon Karl uderza go z byka w twarz, powala na podłogę i odbiera gnata.

SZATANIE, DIABLE, LUCYFERZE...!!!

Jon Karl warczy, obraca się wściekły wkoło i wydycha krew ze śluzem przez rozdęte nozdrza. Wciąż widzi wszystko na czerwono, słyszy buchający w jego głowie ogień i czuje zapach popiołu i krwi. Nadal kopie Koko i Friko i trudno mu się opanować, i zacząć jasno myśleć.

ZJEDNOCZCIE SIĘ WE MNIE!!!

Lecz kiedy ogniowa burza cichnie w jego głowie, Jon Karl zaczyna przecinać swoim nożem myśliwskim plastikowe pęta. Potem na gołe stopy wkłada glany, mocuje do kostki kaburę i z wielkim trudem ubiera się w czarną koszulkę, podartą pod szyją i na rękawie. Zbiera strzępy paszportów i ciuchy i upycha swój dobytek do worka marynarskiego, wszystko oprócz broni, którą trzyma w prawej ręce.

- Słuchaj, idioto - mówi do Koko i uderza go w głowę uchwytem rewolweru.

Koko przytomnieje, otwiera oczy i popiskując, czołga się pod ścianę.

- Co? - wydusza z siebie ze łzami w oczach, a wtedy Jon Karl wykorzystuje okazję i wkłada mu lufę do ust.

- Słuchaj - szepce Jon Karl i ostrożnie pociąga za spust.

W ustach czuje smak krwi, głowa mu płonie, źrenice się rozszerzają i piekielna rozkosz rozchodzi się po żyłach, lodowata ekstaza uśmierzająca ból, rozjaśniająca umysł niebieskim blaskiem, chłodząca wszelkie uczucia.

A Koko sztywnieje jak trup i wydaje z siebie monotony dźwięk, ślina cieknie mu po policzku, a mocz w spodnie.

Klik!

Kurek uderza w pustą komorę i nic się nie dzieje.

Jon Karl mruga oczami i wyciąga wilgotną lufę z ust Koko, popłakującego niczym siksa.

- Tyle mi wystarczy - mówi Jon Karl, przymyka oczy i bierze głęboki wdech. Wolno podnosi się, przewiesza marynarski worek przez lewe ramię, gasi światło, tłukąc żarówkę, po czym kopnięciem wyważa drzwi.

Kłódka leci gdzieś w noc, a drzwi pękają na pół.

Jon Karl prostuje prawe ramię, kierując lufę broni w ciemność, zagryza wargi i szybkim krokiem kieruje się na zewnątrz.

Rudera stoi przy Vatnsendahvarf, na ciemnym podmokłym terenie na zachód od ciągu stajni. Jon Karl zaczyna biec i kieruje się na dzielnicę Seljahverfi, której światła rozjaśniają noc u stóp niskiego zbocza. Biegnie przez wrzosowiska, mokradła, łąki, przeskakuje przez ogrodzenie, skulony przemyka między dwupiętrowymi domkami jednorodzinnymi, po czym błyskawicznie pokonuje krótką

ślepią uliczkę i wydostaje się na Jadarselur. Tam chowa się w wiacie na przystanku autobusowym i obserwuje wyludnione o tej porze ulice, łapiąc oddech.

Po kilku minutach od strony południowej nadjeżdża samochód osobowy. Mknie szybko, a sądząc po głośnej pracy silnika i ciężkim basowym takcie, jest to wypasione auto sportowe.

Jon Karl wyskakuje na ulicę i wyciąga lewą rękę. Kierowca nagle hamuje, zaciska dłonie na kierownicy i z rozdziawionymi ustami patrzy przez przednią szybę, najpierw na spuchniętą i zakrwawioną twarz ubranego na czarno mężczyzny, który przeszkodził mu w jeździe, a potem na rewolwer, który tamten podnosi i mierzy w jego kierunku, trzymając go w wyprostowanej prawej ręce.

- Wyłaź! - rozkazuje Jon Karl i rusza w prawo, nie spuszczać wzroku z mężczyzny. Otwiera drzwi od strony kierowcy i czeka, aż blady jak ściana, sztywny ze strachu wielbiciel muzyki rockowej wysiądzie ze swojej wypasionej imprezy.

- Ja, ja... - jąka się kierowca, usiłując rozpiąć pas drżącą ręką.

- Wyłaź! No już! - krzyczy Jon Karl i wkłada lufę broni w lewe ucho mężczyzny, który spręży się i uwalnia z pasa.

Jon Karl chwyta go za ramię lewą ręką i wyrzuca z auta na drugi pas jezdni.

- Nie zabieraj... nie - płacze właściciel imprezy, podnosząc się na czworaka.

- Zamknij się! - uspokaja go Jon Karl. Wrzuca worek

marynarski do auta, po czym sam zajmuje miejsce kierowcy i zatrzaskuje za sobą drzwi. Odkłada rewolwer na miejsce pasażera, wyłącza muzykę, wciska sprzęgło i wrzuca jedynkę. Lecz zanim ruszy, słyszy za sobą ponury warkot silnika, który natychmiast rozpoznaje. Włosy na obolałym karku stają mu dęba.

Spogląda w lusterko wsteczne i widzi czarną bagażówkę, która pojawiła się niczym śmierć we własnej osobie i zbliża się z prędkością huraganu.

- Do diabła! - krzyczy Jon Karl i wciska gaz podrasowanej imprezy do dechy. Wyrwa z miejsca na niskoprofilowanych oponach. Ledwo udaje mu się ruszyć, kiedy rozpędzony dostawczak uderza w tył jego auta. Impreza podskakuje, reflektory pękają, odłamki lakieru i kawałki plastiku rozpryskują się na wszystkie strony, siwy dym bucha z rozgrzanych gum i silniki wyją na wyścigi.

Jonowi Karlowi udaje się opanować sportową gablotę i mknie w kierunku skrzyżowania z trasą Breidholtsbraut. Czarna bagażówka pomyka niemal przyklejona do tyłu imprezy, pogięta i jednooka po zderzeniu. Jon Karl skręca w prawo, w drogę prowadzącą za miasto i zanim dojedzie do ronda przy Sudurlandsvegur, już ma dwieście na liczniku. Bagażówka zostaje nieco z tyłu, ale Jon Karl wolałby, żeby upiorne światło przednie zupełnie zniknęło z lusterka wstecznego. To niesłychane, jak szybko i pewnie Odinn prowadzi tę czterystukonną czarną skrzynkę.

Impreza objeżdża rondo odwrotnie do ruchu wskazówek zegara z ponad stukilometrową prędkością, po czym zjeżdża

na północ trasą Sudurlandsvegur i kiedy zjeżdża w dół do trasy Vesturland-svegur, znów osiąga dwieście. Twarde opony wyją na każdym zakręcie, a tarcze hamulcowe iskrzą pod otwartymi alufelgami. Nie ma żadnego ruchu i Jon Karl bez przeszkód wjeżdża na Vesturlandsvegur, gdzie na mokrym asfalcie daje gaz do dechy i na wysokości osady Keldnaholt osiąga prędkość dwustu trzydziestu pięciu kilometrów. Tę prędkość utrzymuje aż do pierwszego ronda w Mosfellsbæ. Pod maską krzyczy silnik na sześciu tysiącach obrotów, wycieraczki grają w rytmie mrugających oczu i walczą z lodowatym deszczem, dudniącym o przednią szybę. Zakrwawione dłonie ściskają kierownicę, a blask świateł uderza w gęstą ścianę deszczu. Zupełnie jakby samochód z przerażającą prędkością zapadał się w bezdenną otchłań. Żrenice w szeroko otwartych oczach rozszerzają się niczym czarne dziury, a w lusterku wstecznym widać tylko ciemność.

W północnych rejonach fiordu Kollafjordur Jon Karl siada na ogonie tira z przyczepą, który posuwa się z przepisową prędkością i rzyga brudną deszczówką spod kół na sportowe auto. Kilka samochodów nadjeżdża z naprzeciwka i kiedy w końcu Jonowi Karlowi udaje się wyprzedzić ciężarówkę, zauważa w lusterku jednookie auto mknące przez most przy brzegu fiordu.

- Skurwysyn! - klnie Jon Karl i zanim wrzuci piąty bieg, zmusza silnik do pracy na ponad siedmiu tysiącach obrotów. Chwilę potem patrzy na wskaźnik paliwa i zauważa, że bak jest prawie pusty.

- Nie wierzę. - Jon Karl wali z całych sił zaciśniętą pięścią w deskę rozdzielczą. Mając niemal dwieście na liczniku, znika w tunelu pod fiordem, gdzie z powodu natężenia ruchu, ciasnoty i kamer mierzących prędkość zmuszony jest zwolnić.

Kiedy wyjeżdża z północnego końca tunelu, właściwie już nie pada. Zatrzymuje się za ciężarówką i czeka w kolejce, aż kierowca zapłaci za przejazd i odbierze rachunek od mężczyzny siedzącego w oświetlonej budce. Po chwili odjeżdża, nie płacąc, wyprzedza ciężarówkę, szybko zmienia biegi i mknie na wschód wzdłuż brzegu fiordu. Facet na rogatec z pewnością zadzwonił już po policję, która natychmiast wyśle mu naprzeciw patrol z Borgarnes. Jeśli wystarczy paliwa i szczęście dopisze, Jon Karl powinien dotrzeć do domku w Skorranes, nie natykając się na gliniarzy.

Po zaledwie trzyminutowej jeździe brzegiem fiordu Hvalfjordur silnik zaczyna się dławić, samochód pomału zwalnia i niecałe sto metrów dalej zatrzymuje się.

- Szlag by to trafił - mamrocze Jon Karl, pozwalając imprezie toczyć się kilka metrów, a potem kieruje auto na pobocze. Gasi światła, wkłada rewolwer do kabury na kostce, wrzuca na luz, chwyta marynarski worek i wyskakuje z wolno toczącego się samochodu, który w końcu stacza się przodem do rowu.

Jon Karl zarzuca worek na lewe ramię i pieszo rusza na wschód. Często ogląda się za siebie, gotów natychmiast się ukryć, gdyby zobaczył jednooki pojazd. Powoli jednak mija

podniecenie wywołane pościgiem samochodowym i ożywa ból, którego się nabawił w czasowym areszcie. Jon Karl jest ciężko poturbowany, może nawet połamany, całe jego ciało jest wycieńczone cierpieniem, ścięgnięta mu drżą, mięśnie się kurczą, kości wysyłają do nerwów silne sygnały, a stawy piszczą jak zardzewiałe żelastwo.

Jest zimno i wietrznie. Lodowaty wiatr miota nim i pali rękę i twarz niczym płomień.

Nagle oślepiają go długie światła. Jon Karl zasłania oczy i zeskakuje z jezdni. Ze wschodu zbliża się biały džip, zwalnia i wygląda na to, że ma zamiar się zatrzymać. Serce zaczyna walić w jego piersiach. Przygotowany jest na to, że w każdej chwili może ujrzeć mrugające światła, ale kiedy kierowca džipa wyłącza szperacze, Jon Karl widzi, że to nie radiowóz, lecz stary, sfatygowany cherokee z relingiem na narty na dachu.

- Karl? - woła kierowca, wystawiając twarz i łokieć przez otwartą szybę.

- Tak? - odpowiada Jon Karl, patrząc na faceta, którego zupełnie sobie nie przypomina.

- To ja, Runar, bosman ze statku! - mówi kierowca i zaprasza Jona Karla. - Wskakuj do wozu, człowieku! Już jesteśmy spóźnieni!

Jacy, kurwa, spóźnieni?

Jon Karl nie ma pojęcia, o co chodzi ani co sądzić o tym nieznanym, który zaprasza go do swojego auta, ale kiedy na zachodzie zauważa upiorne samochodowe światło, dziwaczna prośba mężczyzny staje się kuszącą propozycją.

- Już idę - odzywa się Jon Karl, kuśtykając na drugą stronę szosy. Wsiada do dżipa, który cuchnie jakby przewożono w nim zdechłe zwierzęta.

- Co ci się właściwie stało, stary? - pyta bosman, zauważając opuchniętą, zakrwawioną twarz Jona Karla, który zagryza wargę i ociera pot z czoła. Runar zawraca. Jednooka bagażówka szybko się zbliża, a Jon Karl prawie zeszywniał już z bólu.

No dawaj, stary, dawaj!, myśli Jon Karl, opierając się o drzwi po stronie pasażera.

- Ja... tylko... - mamrocze, żeby cokolwiek z siebie wykrztusić, bo przecież nie ma pojęcia, co powiedzieć temu nieznanemu, który udaje, że go zna.

- Potrącił cię ktoś? - pyta bosman Runar i kieruje samochód na wschód.

- Nie, po prostu... wypadłem z drogi - bąka Jon Karl, obserwując bagażówkę w lusterku bocznym.

- I nic ci nie jest? - pyta dalej Runar, wrzucając prawy kierunkowskaz. - No wiesz, dasz radę popłynąć?

Jak to: popłynąć?

- Nic mi nie jest - mruczy Jon Karl, widząc w bocznym lusterku, jak dostawczak zwalnia i zatrzymuje się w miejscu, gdzie impreza sterczy z rowu. Kurwa! Miał nadzieję, że Odinn nie zauważy fury i pojedzie dalej przed siebie. A teraz wszystko sobie skojarzy i ruszy za białym dżipem.

Ale kiedy bosman Runar nagle zwalnia i skręca w prawo w drogę dojazdową do walcowni i huty aluminium przy Grundartangi, Jon Karl zaczyna myśleć o czym innym

i innego rodzaju zmartwienia pojawiają się w jego głowie.

- Co... gdzie... dokąd? - jąka się, przekonany, że Odinn przyjedzie tu za nim i go dopadnie, bo ta droga to z pewnością tylko ślepy dojazd, który kończy się przy oświetlonej hucie, jaśniejącej pod żółtą chmurą niczym rozświetlone pałace wśród czarnej nocy w koszmarach sennych.

- Czekają na nas na kei - odzywa się bosman i skręca w prawo w stromy zjazd.

Na kei? Dasz radę popłynąć? Już jesteśmy spóźnieni?

Jon Karl gapi się przez przednią szybę i widzi ogromny frachtowiec kołyszący się ciężko na falach, przycumowany do długiego nabrzeża, odcinającego się na tle czarnej plaży. Sodowe światła oświetlają mostek statku, wiatr wyje w masztach i antenach, a szarawa sól unosi się w powietrzu i tworzy wokół ponurą atmosferę. Tymczasem w lusterku bocznym jednookie światło zbliża się niczym pierścień na kościstej ręce czarnego posłańca śmierci.

W bębunku rewolweru są jeszcze dwie kule, ale Jon Karl zeszywniał już, skołowaciał i zmęczył się cierpieniem, podczas gdy o Odinnie panuje opinia, że jest dosłownie nieśmiertelny. Oczywiście nikt nie jest nieśmiertelny z fizjologicznego punktu widzenia, ale kiedy ma się do czynienia z Odinnem R. Elsusonem, jakoś nie można stosować do niego zasad logiki i reguł rządzących tym światem. To żyjący mit, człowiek znany niewielu osobom. Wielu o nim mówi, a wszyscy się go boją, nie wiedząc nawet czemu. I dlatego właśnie jest Odinn R. Elsuson bardziej

ucieleśnionym zagrożeniem niż człowiekiem śmiertelnym.

- No, przynajmniej bez nas nie odpłynęli, nie? - odzywa się bosman Runar, zauważając na kei majtkę Saelego uderzającego się w ramiona dla rozgrzewki.

Jon Karl nie ma pojęcia, co począć. Zaszło mu w ustach i jest jakiś taki cały bezwładny. W każdym razie w tej chwili nie nadaje się do żadnej walki, to pewne.

- Twój szwagier mówił, że mogę zaparkować dżipa gdziekolwiek - mówi bosman Runar, zatrzymując auto przed magazynem na kei. Wyłącza silnik.

Mój szwagier?

Jon Karl przypadkiem spogląda na wskaźnik poziomu paliwa w dżipie i zauważa czerwoną wskazówkę na samym dnie czerwonej podziałki. Tym samochodem nie da się dalej uciekać.

Cholera jasna!

- Szybko! - rzuca bosman Runar i wysiada z auta. Jon Karl robi to samo. A co innego może zrobić? Runar zamyka samochód i podąża przed Jonem Karlem w kierunku statku, który kołysze się w górę i w dół, i to naciąga cumy, to znów ociera się z charakterystycznym piskiem o opony zawieszane na kei, dmucha w niebo czarnym dymem i rzyga spienioną wodą daleko na betonowe nabrzeże.

- Cześć! Jestem Saeli! - wita go majtek, podając mu silną dłoń.

- Cześć - obojętnie wita się z nim Jon Karl. Obserwuje z niepokojem czarną bagażówkę wjeżdżającą przez portową bramę.

- Co ci się właściwie stało? - Saeli uśmiecha się do Jona Karla.

- Ja, no... - jąka się Jon Karl, stojąc na mokrym betonie. Oczy mu łzawią od słonego wiatru.

- Nie teraz! - woła bosman Runar, który zdążył już wejść na pokład. Podaje Jonowi Karlowi lewą rękę, trzymając się prawą za handreling.

Czarna bagażówka zbliża się i Jon Karl widzi już zarys twarzy Odinna za brudną szybą. Myśli o rewolwerze i kurczy palce prawej dłoni, zeszywniałe i zziębnięte jak ogon homara.

Teraz albo...

Jon Karl odwraca się, rzuca worek marynarski za plecy Runara, stawia lewą stopę na krawędzi pokładu pogodowego i chwyta wyciągniętą dłoń bosmana. Ten wciąga go na pokład przez bramkę w relingu.

- Ale piździ! - przekrzykuje Runar pełne grozy wycie bezdusznej wichury.

Ciekawe, dokąd mają płynąć? Do Isafjordur? Do Amsterdamu? To nie ma większego znaczenia. Jon Karl zejdzie z pokładu w najbliższym porcie, a jeśli będzie to port za granicą, po prostu zadzwoni do Lilji i każe sobie pocztą przesłać pieniądze na bilet lotniczy do domu.

- Chodź! - woła bosman Runar i rusza przed Jonem Karlem w górę po żelaznych schodach za mostkiem od strony sterburty, prowadzących do wejścia na pokład B. Znajdują się tam kambuz, transformatorownia i toaleta, a poza tym dwie jadalnie, czyli mesy, jedna dla oficerów, druga dla

zwykłych członków załogi.

- Już wszyscy na pokładzie! - woła majtek Saeli przez krótkofalówkę i czeka na odpowiedź.

- Zwolnić cumy dziobowe - w trzeszczącej krótkofalówce rozlega się rozkaz kapitana Gudmundura.

- Zwolnić dziobowe - powtarza Saeli, po czym wypełnia rozkaz. Kuląc się przed narastającą wicherą, mrużąc oczy przed solą, uwalnia pierwszą linę cumowniczą z polera i wrzuca ciężką pętlę do wody, skąd zostaje wciągnięta na pokład.

- Prząd wolny!

Odinn wysiada z czarnej bagażówki i obserwuje, jak majtek Saeli zwalnia tylną cumę i wskakuje na pokład frachtowca, który majestatycznie oddala się od lądu i kieruje na zachód, na wzburzone wody fiordu Hvalfjordur.

Woda burzy się za rufą gigantycznego statku. Ciężkie dudnienie głównego silnika dźwięczy na głębokich wodach fiordu niczym puste uderzenia w bębny.

Ostatnią rzeczą, którą widzi Odinn R. Elsuson, zanim frachtowiec zniknie w czarnym, burzliwym mroku, jest nazwa namalowana białą farbą na czarnej rufie: „Per Se”.

- Płyn prosto do piekła!

Wypluwa zgasłe cygaro i w zamyśleniu drapie się w nos, po czym wsiada do bagażówki warczącej na jałowym biegu i bujającej się lekko na boki, niczym statek przy nabrzeżu.

VII

„Na wodach fiordu Breidafjordur i zatoki Faxafloi należy się spodziewać wichury lub sztormu z zachodu...”

Gudmundur Berndsen, kapitan frachtowca „Per Se”, siedzi sam przy stole kuchennym w domu, sączy czarną kawę i patrzy przez okno, obracając w dłoniach kopertę i słuchając radiowej prognozy pogody. Ale myśli jego błądzą gdzie indziej, a głos prezentera wpada jednym uchem i wypada drugim.

Pogoda zasadniczo w ogóle go nie interesuje, jego statek jest na tyle duży, że może pływać w każdych warunkach, oczywiście jeśli kapitan ma odpowiednie umiejętności i odwagę. A Gudmundur Berndsen po trzydziestu latach na mostku potrafi wszystko. Ale już taki ma Gudmundur od dawna zwyczaj, że słucha prognozy, zanim odbije od nabrzeża, choćby tylko po to, żeby duchowo przygotować się na długą rozłąkę z żoną i domem, i tym samym połączyć myśli z oceanem, pogrążonym w ciszy i tajemniczym, kuszącym i niebezpiecznym zarazem, tym wielkim bijącym sercem, wzbierającym i opadającym w zimnych piersiach, wabiącym go do siebie niczym samotna kochanka.

I podobnie jak każda kochanka, ocean wbił się klinem między Gudmundura a jego małżonkę Hrafnhildur, wywierając fatalny wpływ na ich związek. Rozłąka, która dawniej działała jak oliwa na ogień miłości i tęsknoty, teraz przeistoczyła uczucia w martwą pustynię, gorące pożegnania przez lata stopniowo zamieniały się w pełne milczenia zakłopotanie, a pragnienie ponownego spotkania nabrzmiewało gorzkim lękiem, wijącym się niczym wąż w ich sercach, zatruwając krew jadem zwątpienia i nadgryzając wątłe podstawy małżeństwa.

Ale tak naprawdę to nie ocean ich rozdziela, lecz śmierć. Śmierć ich córki. Ocean symbolizuje jedynie ciemną pustkę, jaką pozostawiła ta śmierć w ich życiu, odbierając nienarodzoną dziewczynkę. Ciemną pustkę, która od tego smutnego dnia ich rozdziela, niezależnie od tego, czy śpią w jednym łóżku, czy na dwóch różnych półkulach.

Mają jeszcze syna, który urodził się, gdy Hrafnhildur miała zaledwie dziewiętnaście lat, a Gudmundur dwadzieścia dwa. W wieku dwudziestu lat chłopak opuścił gniazdo rodzinne i wyjechał do Wiednia uczyć się tresowania koni. Na pół roku przed narodzinami swojej martwej siostry. Wiedeń poznał dzięki matce, wielbicielce muzyki operowej. Zawsze chciała wyjechać do tego miasta studiować śpiew. Ale to jej synowi udało się spełnić swoje marzenia. Od tamtych wydarzeń minęło już trzynaście lat i chłopak wciąż mieszka w Austrii wraz z żoną i synem, a Gudmundur i Hrafnhildur dzielą we dwoje piętrowy dom, milczenie, smutek i ciemną pustkę.

Hrafnhildur uczyła się śpiewu w Islandii i brała udział

w wielu inscenizacjach operowych. Przy różnych okazjach występowała też solo i w duetach. Uwielbiała śpiew i muzykę, i ani niepewne zarobki, ani nieregularny czas pracy nie przesłaniały jej radości, jaką sprawiały występy i aplauz publiczności. Po tym, jak straciła dziecko, na kilka lat zupełnie rzuciła śpiew, do momentu kiedy księża i psychologowie nie zaczęli współdziałać z jej mężem. Bardzo długo błagał ją, by znów zaczęła się udzielać społecznie. Dzięki temu odzyska kontakt z innymi ludźmi i tę radość, której śpiew nieodmiennie jej dostarczał.

I Hrafnhildur znowu zaczęła śpiewać, ale postawiła swoje warunki. Cały czas pogrążona była w rozpacz i od dnia, w którym ponownie postanowiła wydobyć z siebie swój piękny sopran, śpiewała już wyłącznie na pogrzebach, ubrana w czarną, długą suknię i emanująca taką świętością, że bladły przy niej najpiękniejsze kościoły, a najwięksi twardziele płakali jak dzieci. I tam, krocząc w takt ze śmiercią, w towarzystwie pogrążonych w smutku żałobników, odnalazła Hrafnhildur wreszcie na nowo swój cel i swoją życiową rolę.

Gudmundur cieszył się, widząc, jak małżonka wychodzi za próg domu, żeby śpiewać dla ludzi. Szybko jednak zaczął żałować, że ją do tego namówił. Zamiast wykorzystać śpiew do pokonania własnej rozpacz, pozwoliła sztuce jeszcze bardziej się w niej pogrążyć. Rozpaczała tak samo jak wcześniej, a może nawet mocniej. Kiedy Gudmundur wracał do domu z długich rejsów, zastawał go wyciemnionym, z pozamykanymi oknami, a wewnątrz panowała ponura

atmosfera i nie widać było najmniejszych oznak życia. Stał często bez ruchu, wsłuchując się w ciszę, z imieniem żony zalegającym w krtani jak wielka klucha. A Hrafnhildur mijiała go niczym zjawą, ubrana w swoją czarną, długą suknię, umalowana jak trup, nieobecna myślami i spóźniona na spotkanie z kostuchą.

Gudmundur nienawidzi czarnej sukni, tej idealnie skrojonej szaty śmierci otulającej jego żonę, wysysającej z niej całą energię i światło, zmieniającej ją w ducha i oddalającej ją od niego, a jego od niej. Wierzy, że Hrafnhildur ma w sobie dość siły, by przestać śpiewać na pogrzebach i przezwyciężyć smutek, ale po prostu tego nie chce. Uzależniła się od smutku. Według Gudmundura stała się niewolnicą własnej żałoby.

A on uzależnił się od oceanu. Doświadczony marynarz nie potrafi pogodzić się z życiem, samym sobą i istnieniem, jeśli świat nie kołysze mu się pod nogami i ze wszech stron nie otacza go bezkres. Rozłąka to objęcia wieczne, w jakie lubi wpadać, tęsknota to jego najgorętsza miłość, a płonąca nostalgia – siła, która nadaje jego życiu równowagę. A tego Hrafnhildur nie potrafi zrozumieć.

Najpewniej oboje chcieliby się pogodzić z własnym losem i ze sobą nawzajem, lecz zbyt długo już milczą, a nic nie ciąży tak mocno jak wieloletnie milczenie.

Pragną ze sobą rozmawiać, niewypowiedziane słowa wiszą w powietrzu, lecz nie potrafią otworzyć ust. A już na pewno serc.

I tak od dziewięciu lat.

Dziewięć lat.

Kapitan Gudmundur wzdycha i lekko puka palcem wskazującym w kopertę leżącą na stole. Następnie pije łyk kawy, która już dawno wystygła, i wygląda za okno, zamyślony.

Nie patrzy jednak przez okno, lecz na własne odbicie w ciemnej szybie. Spogląda w oczy brodatemu, łysiejącemu facetowi po pięćdziesiątce, który sprawia wrażenie, jakby już dawno przeszedł na emeryturę.

Uśmiecha się smutno i mruży oczy, które zmieniają się w wąskie szparki zatopione w pomarszczonej skórze przypominającej starą ceratę.

Przez pewien czas zastanawiał się, czy nie odejść od Hrafnhildur. Położyć kres tej mieszaninie chłodu, ciemności i milczenia, jaką stało się jego małżeństwo. Złamać lód, milczenie i przysięgę, którą złożył przed Bogiem i ludźmi. Wystąpić o rozwód, wyprowadzić się z domu i zacząć wszystko od nowa.

Tak myślał dwa lata temu. Wtedy już zaczął nienawidzić Hrafnhildur. Lecz stopniowo nienawiść zmieniała się we współczucie, współczucie we wstyd, a wstyd w nienawiść do samego siebie.

Zacząć od nowa?

Przecież on jest starą, brzydką bestią morską, skazaną na życie w samotności i izolacji w jakiejś suterenie, gdzie jego zwłoki gniłyby całymi tygodniami, dopóki sąsiadów nie zaalarmowałby smród.

Ale to nie strach przed brakiem miłości, samotnością

i śmiercią kazał Gudmundurowi zrezygnować z zamiaru przeprowadzenia oficjalnego rozwodu. Nie był aż takim egoistą i tchórzem. Nie, miłość okazała się silniejsza niż jego zwątpienie, znudzenie, nienawiść i wstyd. Miłość do kobiety, z którą się ożenił i której przysięgł opiekę, na dobre i na złe. Miłość do kobiety, która powiedziała mu „tak”, jemu, młodemu, zadufanemu w sobie sternikowi, niebędącemu w stanie zaoferować jej nic, poza przysięgą.

Kocha Hrafnildur i ma ochotę zwierzyć się jej ze swojej miłości, odnowić przysięgę, a nawet przeżyć jeszcze raz noc poślubną. Ma ochotę zacząć z nią wszystko od nowa. Ma ochotę przytulić ją do siebie, obsypać gorącymi pocałunkami i nigdy jej nie puścić. Ale życie aż tak proste nie jest.

Gudmundur przypadkiem spogląda na zegarek, złoty zegarek, który dostał od firmy na pięćdziesiąte urodziny. Dochodzi dwadzieścia pięć po dwunastej. Za kwadrans przyjedzie po niego jakiś szczur lądowy od armatora i odwiezie go na statek.

Co za idioci! Mają zamiar wymówić dzierżawę i zwolnić załogę. Jemu samemu zaproponowali pracę na innej jednostce, ale odmówił. Ten rejs ma być ostatnim.

Gudmundur Berndsen wstaje od stołu kuchennego i ciężkim krokiem zmierza do małżeńskiej sypialni, dysząc przez nos niczym wieloryb i obracając kopertę między palcami. Palcami okrągłymi jak kiełbaski, gęsto zarośniętymi i szorstkimi jak kora drzewa.

U wezgłowia małżeńskiego łóżka czeka jego walizka, czapka kapitańska spoczywa w pokrowcu na łóżku, podobnie jak

mundur, wciąż w plastikowym worku z pralni. Wypolerowane na glanc buty leżą w worku obok walizki. Przez te wszystkie lata to Hrafnhildur pakowała jego rzeczy. Spakowała go przed pierwszym rejsiem na stanowisku kapitana frachtowca i właśnie teraz spakowała go przed ostatnim. Ale ona nie ma pojęcia, że to jego ostatni rejs. On boi się jej o tym powiedzieć, jest na to zbyt przesądny. Nigdy nie obiecywał jej, że wróci do domu. Marynarz czegoś takiego obiecać nie może. Marynarz żegna się ze swoimi bliskimi po raz ostatni za każdym razem, kiedy wypływa. A potem tylko wierzy w Boga i fortunę i cieszy się z każdego powrotu, jakby to był jego ostatni.

Pływanie to taniec ze śmiercią. A ten, kto tańczy ze śmiercią, nie umawia się na kolejny taniec. Człowiek nie prowokuje śmierci i nie igra z przeznaczeniem, to proste.

Gudmundur Berndsen stawia w przedpokoju ciężką walizkę, na walizce kładzie mundur owinięty w plastik, na mundurze buty, a czapkę na samym wierzchu. Pozostało mu już tylko pożegnać się z żoną, która leży pod kocem na sofie w salonie i ogląda telewizję.

- Hrafnhildur!

Kobieta sztywnieje. Wstrzymuje oddech, kiedy mąż wymawia jej imię, jakby jego głos łapał ją za szyję lodowatą dłonią.

- Tak - odpowiada, nie odrywając wzroku od ekranu, na którym zrozpaczone aktorki grają zrozpaczone żony. Gudmundur nigdy nie umiał oglądać filmów fabularnych w telewizji. Widział wtedy jedynie średnio szczęśliwych

aktorów, usiłujących zapracować na swoje gaże w otoczeniu kamer, mikrofonów, tekturowej scenografii i dziesiątków asystentów i techników.

Bardzo ostrożnie kładzie swoją prawą rękę na jej ramieniu. Wtedy ona mięknie, a jej oddech staje się spokojny, bo jego dłoń jest żywa i gorąca. Dłonie Gudmundura Berndseny zawsze są gorące. Wielkie bochny otulające dłonie dzieci i kobiet. Ucieleśnione ciepło.

Szybko spogląda w jego oczy i wtedy przeszywa go prąd. Budzi się w nim uczucie, jakiego dawno nie zaznał. Nagle pragnie kochać się ze swoją żoną, złączyć się z jej ciałem, zapomnieć się z nią w gorącym miłosnym uniesieniu.

I wie, że ona też ma na to ochotę. On to wyczuwa. Wystarczy, żeby się tylko nachylił i pocałował ją w usta, wziął ją za rękę, wyszeptał czułe słówko do jej ucha i zaprowadził ją do sypialni.

Ale minęło już tyle czasu. Dzieli ich cały ocean niepamięci, ciemna otchłań milczenia, zimna i beczynności.

Pustka, którą można zlikwidować jednym słowem, jednym dotknięciem, jednym pocałunkiem.

Jeśli nie teraz, to kiedy?

Przed domem trąbi samochód. Gudmundur waha się, a Hrafn-hildur przenosi wzrok na ekran.

Do diabła, już przyjechał?, myśli sobie Gudmundur i spogląda na zegarek. Przecież mógłby poprosić kierowcę, żeby przyjechał za godzinę. Świat by się od tego nie zawalił. Co by mu mogli zrobić? Zwolnić go?

- Mógłbym poprosić go, żeby... - mruczy Gudmundur, ale

nie starcza mu odwagi, by dokończyć zdanie.

- No to jedź już - mówi Hrafnhildur i chrząka. Nie lubi tych pożegnań. Ale i jego one najwyraźniej także nie cieszą.

- Ja, no... - mamrocze Gudmundur, obracając kopertę między grubawymi palcami. - Chciałem to zostawić... tobie.

A to co? Hrafnhildur podnosi się i patrzy z przerażeniem na kopertę w rękach Gudmundura. Co to jest? Papiery rozwodowe? Diagnoza choroby? Testament?

- To jest bilet - mówi Gudmundur i spuszcza wzrok na dywan.

- Bilet? - cicho powtarza Hrafnhildur.

- Chcę, żebyś przyleciała do mnie za dwa tygodnie - Gudmundur głęboko wciąga powietrze. - Ktoś ma przylecieć i mnie zastąpić. Firma się zgodziła. Razem polecicie na południe, ty i kapitan Trausti. Jeśli chcesz. On wróci drogą morską. Pamiętasz Traustiego?

- I co?

- Przemyśl sprawę, Hrafnhildur - mówi Gudmundur i podaje jej kopertę. - Możemy zrobić coś razem, pojechać gdzieś, dokądkolwiek. Ty i ja. To tylko...

Kierowca trąbi.

- Zadzwonisz, prawda? - pyta Hrafnhildur, kładzie się z powrotem na sofie i koncentruje uwagę na ekranie.

- Zadzwonię - mruczy Gudmundur. Stoi bez ruchu przez kilka chwil, po czym nachyla się i niezdarnie całuje żonę w policzek.

- Stopy wody pod kilem - mamrocze małżonka, nie podnosząc wzroku. Szeroko otwartymi oczami wpatruje się

w telewizor, który zmienia się w gorącą mgłę i napełnia słoną wodą, tworząc ów wielki ocean i otchłań przyciągającą do siebie Gudmundura i jednocześnie rozdzielającą tych dwoje.

Z każdym niewypowiedzianym słowem, z każdym niedoszłym dotykiem, z każdym niezrealizowanym pocałunkiem pustka staje się coraz większa.

Ciemność jest jak ściana, nawiew pompuje gorące powietrze, a zimne krople lądują na przedniej szybie.

Gudmundur siedzi na tylnym siedzeniu samochodu i przez boczną szybę obserwuje uciekające światła i cienie. Powoli światła rzędą, cienie się wydłużają i w końcu przeistaczają się w lity mrok.

- Nieźle zaczyna wiać - odzywa się kierowca, kiedy wyjeżdżają z tunelu pod fiordem Hvalfjordur po jego zachodniej stronie. Światła reflektorów rozświetlają deszcz, który dudni na masce i rozbryzguje się w rytm znerwicowanych wycieraczek.

- Tak - zgadza się obojętnie Gudmundur. Nie może się doczekać, aż znajdzie się na pokładzie statku, aż cumy zostaną zwolnione i aż odpłynie daleko od domu, od tego braku miłości i milczącego cierpienia. Ale kiedy cierpienie ustępuje, w jego miejsce pojawia się lęk.

Czy ona do niego przyjedzie?

Lecz gdy się tak nad tym dobrze zastanowić, to może to nie ma znaczenia? W tej sytuacji już i tak raczej nie da się uratować tego związku. By ożywić coś, co tak długo jest martwe, potrzebny jest cud.

Albo przynajmniej wola. Wola obojga, by wyjść z tego piekielnego kręgu i zacząć wszystko od nowa.

Ona nawet porządnie się z nim nie pożegnała. Udawała, że go nie słyszy i nie widzi. Jakby nie była świadoma jego obecności. Zupełnie jakby nie istniał. Można by przypuszczać, że już zniknęła z jego życia.

Odeszła od niego.

- Stopy wody! - żegna go kierowca, podając teczkę z papierami przewozowymi, zleceniem, dokumentacją przeglądu technicznego i innymi niezbędnymi dokumentami.

- Tak - odpowiada Gudmundur Berndsen i chrząka. Wysiada z auta, czarnego mercedesa, i nabiera w płuca rzeńskiego powietrza morskiego. Mruży oczy, chroniąc je przed zimnym deszczem.

Obserwuje, jak benz oddala się mokrym nabrzeżem. Po chwili jest już wielkości szczura w porównaniu z bujającym się przy kei frachtowcem. Statek przypomina trochę konia przepływającego się przez bród. W końcu samochód niknie w mroku.

Reflektory oświetlają sterówkę, trap i pokład pogodowy, generatory prądotwórcze pracują w maszynowni na pełnych obrotach, a z komina unosi się szarobłękitny dym.

Cześć, Asi! - woła Gudmundur przez otwarte drzwi kambuza. Kuk Asi właśnie słucha radia i wyklada faworki i ciastka na duży talerz. - Poprosisz Johanna, żeby do mnie zapukał za jakąś godzinę?

- Tak jest, sir! - odpowiada Asi z zapałką sterczącą spomiędzy zębów. Stuka obcasami, podnosi dwa palce do

brwi i puszcza oko do kapitana, który otrząsa mokrą głowę i rusza w górę stromymi schodami, niosąc walizkę i teczkę z papierami w jednej ręce, a mundur, buty i czapkę w drugiej.

Za kapitanem kuśtyka pies pokładowy. Jest to średniej wielkości czarny pies niewiadomej rasy, wabiący się Cień. Zazwyczaj trzyma się blisko kapitana, chociaż nikt nie wie, gdzie podziewa się w nocy, bo też nikt się nigdy nad tym nie zastanawiał.

Kajuta kapitana mieści się na sterburcie na pokładzie F, nazywanym pokładem kapitańskim. Na tym samym pokładzie na bakburcie znajduje się kajuta pierwszego oficera, zastępcy kapitana. Pokład F usytuowany jest na piątym piętrze nadbudówki, jeśli założyć, że pokład B to parter. Najwyżej położony jest mostek, czyli pokład G, widok stamtąd można przyrównać do widoku z balkonu ostatniego piętra w wieżowcu, a pokład A, tak zwany pokład wyższy, znajduje się poniżej parteru.

Kajuta nie jest zamknięta. Gudmundur wchodzi do ciemnego pomieszczenia i zapala górne światło, uderzając lewym łokciem w wyłącznik obok drzwi, które samoczynnie się za nim zamykają. Stawia walizkę obok dwuosobowej sofy, na stoliku przed sofą kładzie teczkę, czapka wędruje prosto na półkę w garderobie, mundur na wieszak pod półką, a buty na samo dno szafy. Mundur kapitan wkłada tylko wtedy, kiedy udaje się w obcym porcie na ląd w sprawach oficjalnych.

Gudmundur ściąga buty, skarpetki i marynarkę i idzie do

łazienki. Ochlapuje twarz ciepłą wodą, w szafce z lustrem nad zlewem sprawdza, czy ma wystarczające zapasy mydła i papieru, a następnie siada na muszli klozetowej i sika, postanawiając za chwilę, zanim położy się spać, pójść do pralni po ręczniki, worek na pranie i pościel.

Zgodnie ze zwyczajem to kapitan wyprowadza statek z portu, informuje kapitanat o wypłynięciu i obiera właściwy kierunek nawigacji, ale tak naprawdę Gudmundur ma wachtę dopiero o ósmej rano, kiedy to zmieni Jonasa B. Jonassona. Będzie wtedy po trzech, najwyżej czterech godzinach snu. Ale podczas długiego rejsu znajduje się więcej niż dość czasu, by nadrobić niewielkie niedobory wypoczynku.

Gudmundur otwiera bakistę pod przytwierdzonym do ściany łóżkiem i wyjmuje stamtąd kołdrę i dwie poduszki. Następnie kładzie się, bierze teczkę z dokumentami, zapala lampkę nad wezglowiem, wkłada okulary do czytania, zwalnia gumkę z teczki i zamyślony kartkuje dokumenty. Statek napina liny cumownicze i spokojnie kołysze kapitana do snu. Generatory prądotwórcze dudnią jednostajnie, klimatyzacja szumi, a zimny wiatr za oblepionym solą iluminatorem śpiewa rozpaczliwie.

Okoloł wpół do drugiej rozlega się pukanie do drzwi kapitańskiej kajuty i Gudmundur budzi się z drzemki.

- Gummi? - woła Johann Wielkolud przez drzwi.

- Już idę, przyjacielu! - odkrzykuje Gudmundur. Wyskakuje z łóżka, odkłada papiery i okulary, podąża przez wyłożone dywanem pomieszczenie i otwiera drzwi.

- Chciałeś się ze mną widzieć? - pyta Johann Wielkolud i krzyżuje obłe ramiona na czerwonej, kraciastej koszuli cuchnącej smarem, potem i olejem. Koszula jest rozpięta do wysokości splotu słonecznego, a rękawy podwinięte do łokci. Klatkę piersiową pierwszego mechanika znaczy czerwonoróżowa pozioma, nabrzmiąta blizna po operacji serca, grubości kciuka.

- Tak, chciałem tylko się upewnić, czy wszystko gotowe. - Gudmundur trze przekrwione oczy. - Wszystkie zbiorniki pełne?

- Wszystko gotowe - informuje go Johann niezbyt przyjaźnie.

- Ty odpalasz, prawda? - pyta Gudmundur.

- Ja - Johann kiwa ponuro głową.

- Tak, to dobrze - mruży Gudmundur nieśmiało. - Nie chciałbym, żeby, no wiesz...

- Nie patrz na mnie! - mówi nerwowo Johann. - To nie ja zatrudniłem tego diabła.

- Tak, nie. - Gudmundur niemrawo się uśmiecha. - No, ale wiesz, jak jest. Wszystko zależy od tych szcurów lądowych.

- Tak, wszystko od nich zależy, od szcurów - powtarza Johann, patrząc Gudmundurowi prosto w oczy. Ten wstydliwie odwraca wzrok.

Kadłub statku trzeszczy złowieszczo, kiedy ociera się o keję w trakcie tej przydługiej walki z wiatrem, oceanem i cumami.

- Straszna wichura się zaczyna - oznajmia Gudmundur i pochyla głowę, jakby nadstawiał uszu.

- Chciałeś mi coś powiedzieć? - pyta Johann, opuszczając ramiona i wpychając ogromne dłonie do kieszeni granatowych spodni kombinezonu roboczego.

- Zatelefonuję na dół koło wpół do trzeciej - chrząka zakłopotany Gudmundur.

- To jesteśmy umówieni - grzmi Johann Wielkolud i kiwa głową. Odwraca się plecami do kapitana. Gudmundur obserwuje, jak Johann schodzi w dół schodów, po czym zamyka drzwi.

Chciałem mu coś powiedzieć? Co miał na myśli? Chyba nie wie o nieuchronnych zwolnieniach? I co, jak się dowie?

Gudmundur ponownie otwiera bakistę, pochyla się, sięga prawą ręką pod łóżko i wyciąga strzelbę, w którą armator wyposaża go przed rejsami do Surinamu.

Jest to pięciostrzałowy mossberg typu pump action, kaliber 12, czarny, z celownikiem, czokiem i skróconą lufą. Na półce w szafie leżą dwie paczki po dwadzieścia naboju śrutowych z cichymi spłonkami.

Gudmundur Berndsen załadowuje strzelbę, pięć naboju do jednej komory, a pięć dodatkowych mocuje w specjalnych uchwytych po lewej stronie strzelby. Następnie odstawia broń lufą do góry w prawym rogu szafy i maskuje mundurem, po czym zamyka drzwi szafy.

Z szuflady biurka kapitan wyjmuje zniszczoną Biblię, którą przyciska do piersi lewą ręką. Żegna się prawą. Spuszcza głowę, zamyka oczy, zaciska dłonie na świętej księdze i zaczyna bezgłośnie modlitwę.

„Ojcze nasz...”

Za dwadzieścia pięć trzecia w maszynowni statku rozlega się dzwonek telefonu.

- Tak? - głos Johanna Wielkoluda brzmi oschle. Johann siedzi na sfatygowanym krześle przed konsolą sterującą pracą maszyn.

- Silnik cała naprzód - rozkazuje kapitan przez telefon. - Za pół godziny odbijamy.

- Silnik cała naprzód - powtarza Johann i odkłada słuchawkę. Podnosi się z krzesła, zakłada nauszники i otwiera drzwi do maszynowni, gdzie ciężkie powietrze cuchnie smarami, a hałas z podwójnych siedemsetkonnych generatorów prądu jest równie denerwujący, co budzik dzwoniący w blaszanej misce.

Johann schodzi tyłem metalowymi schodami prowadzącymi do głównego silnika frachtowca, dziewięciozaworowego, cztero-suwowego silnika marki MAN B&W - miedzianej góry, popychającej statek z niewyobrażalną siłą. Ma on ponad dwa metry wysokości i pierwszy mechanik wchodzi na podest rozciągający się wokół niego na wysokości około metra, przypominający rusztowanie wokół domu. Chodzi między tłokami, wstrzykuje płyn chłodzący ze specjalnej sprężarki i zamyka pokrywki urządzeń kontrolnych służących do pomiaru temperatury spalania i wyrzucanych gazów.

Na statku znajduje się sporo zbiorników, między innymi cztery wielkie tanki z mazutem do silnika głównego, który spala siedemnaście ton na dobę, dwa zbiorniki gazu płynnego do generatorów prądotwórczych, dwa czterdziestotonowe tanki z wodą, zbiorniki z olejem

smarowym, zbiorniki i magazyny z częściami zapasowymi.

Za wszystko, co dotyczy silników i paliwa, odpowiedzialny jest pierwszy mechanik, podobnie zresztą jak za generowanie prądu, codzienne utrzymywanie sprawnej wentylacji, a także za działanie urządzeń i ich konserwację oraz naprawy.

Na pokładzie D, czyli niższym pokładzie mieszkalnym, Jon Prezydent otwiera kajutę w części rufowej i gestem pokazuje Jonowi Karlowi, by wszedł przed nim. Jon otwiera drzwi na oścież i wciska zatyczkę zamontowaną na drzwiach w zacisk umocowany w ścianie.

- W bakiście masz kołdrę i dwie poduszki - odzywa się Jon Prezydent i zapala światło w kajucie. - Pościel i ręczniki przyniesiesz sobie z pralni. I jakby zaszła taka potrzeba, to masz tam też papier toaletowy i mydło, i co tam jeszcze.

- Tak. - Jon Karl rzuca worek marynarski na podłogę, po czym siada na łóżku.

- W szafce w łazience są tabletki przeciw chorobie morskiej - uśmiecha się Jon Prezydent.

- Tak - kiwa głową Jon Karl.

- Możesz też zejść na dół do kuchni na kawę, ciastka i takie tam - mówi Jon Prezydent, wyciągając zatyczkę z zacisku.

- Tak - Jon Karl po raz kolejny kiwa głową.

- Do roboty stawisz się o dziewiątej rano. Majtkowie pracują od dziewiątej do siedemnastej - informuje go Prezydent. - Bosman i majtkowie pełnią wachty na mostku w trzech trzygodzinnych turach, od dwudziestej pierwszej do północy, od północy do trzeciej i od trzeciej do szóstej,

każdej doby przesuwać się o jedną pozycję do przodu. Runar lepiej ci to wytłumaczy. Jakies pytania?

- Nie. - Jon Karl wywraca oczami jak niegrzeczny uczeń.

- No to w porządku - konkluduje Prezydent i zamyka za sobą drzwi.

Kuk Asi wyłącza radio, wyrzuca do śmieci torebkę z fusami od kawy i gasi światło. Następnie wyciąga dwa dziesięciolitrowe wiadra ze świeżymi wyrobami podrobowymi, jedno pełne kaszanki baraniej, drugie pasztetowej, i niesie je do chłodni położonej na górnym pokładzie od strony rufy.

Chłodnia znajduje się po prawej stronie krótkiego korytarza, wyłożonego stalą nierdzewną. Naprzeciwko chłodni jest spiżarnia, a na końcu korytarza zamrażarka, do której można wejść.

Asi odstawia wiadra, otwiera chłodnię, pociągając za długą rączkę, i wchodzi do środka. Na półkach widzi dwieście litrów mleka, sto litrów mleka acidofilnego, dziesięć litrów śmietany, dwieście pojemników jogurtu, karton masła i dwa kartony margaryny, sto kilo jaj, dziesięć litrów tranu, pięćdziesiąt kilo żółtego sera, dwadzieścia kilo serków topionych, dziesięć litrów majonezu, dziesięć chlebów i dwadzieścia ciast, metr bieżący kawy i karton herbaty, sto litrów soków owocowych i drugie tyle napojów gazowanych oraz dwa kartony ciastek, poza tym są tu worki kartofli, marchwi, brukwi, cebuli i innych warzyw, owoce w skrzyniach, dziesięć rodzajów wędlin, ryb suszonych, ryb solonych, kilka zwałów mięs wędzonych i gotowanych

i beczka mięsa solonego.

W spizarni trzyma się mąkę, cukier i kasze w worach, mleko i jaja w proszku w dziesięciolitrowych wiadrach, kilka kartonów z płatkami zbożowymi i suszonymi owocami, wiele dużych puszek z konserwami, oleje roślinne w litrowych butelkach, przyprawy w pojemnikach, suszone warzywa w torebkach, bulion, witaminy i tym podobne.

W zamrażarce umieszczono jakieś trzysta kilogramów mięsa jagnięcego, wołowego i wieprzowego, trzydzieści kurczaków, dwa ozory wołowe i dwieście kilo ryb, pięćdziesiąt bochenków chleba, pięćdziesiąt ciast, kiełbasy i parówki w dużych paczkach oraz dwadzieścia kilo lodów w czterech smakach.

Asi zamyka chłodnię i stuka we wszystkie termometry i higrometry, pokazujące, że w tych strategicznych pomieszczeniach wszystko jest w porządku. W drodze powrotnej do kambuza natyka się na Palacza, Olafura Johnsen, drugiego mechanika, który wraca do siebie po pobraniu poszew i ręczników z pralni, znajdującej się po prawej stronie na górnym pokładzie.

Na Olafura Johnsen, wszyscy mówią Palacz, dlatego że w głowie wciąż telepie mu się szatan i jego piekielne służby. Palacz liczy sobie jakieś pięćdziesiąt lat, jest niski i ciemny. Na plecach ma coś na kształt garbu, jego ręce przypominają wielkie ptasie szpony, a pod długimi paznokciami straszy kocia żałoba. Nos ma koślawy, zęby są albo pożółkłe, spróchniałe, albo nie ma ich wcale, usta już dawno zastygły w cynicznym grymasie, długa, czarna broda jest zaniedbana,

a świdrujące oczka przez lata zmieniły się w piekielne węgielki.

- To prawda, co powiadają? - pyta Palacz, uśmiechając się Asiemu w twarz. - Że twoja stara jest tam w chłodni, poćwiartowana i zapakowana w worki jutowe?

- Tak, przyjacielu. - Asi wybucha śmiechem. - A jej udziec będzie na obiad w niedzielę.

- Haha, jasne, dobre, Asi, ty pieprzony sadysto! - wybucha szczęśliwy Palacz i usiłuje popatrzeć w oczy Asiemu, który sprytnie unika spojrzenia tych żywych czarnych dziur. - W to akurat ci wierzę! Bo wiem, że przygotowują dla ciebie godne miejsce przy stole w piekle!

- Jak będziesz brał prysznic, to pożyczę ci szamponu, przyjacielu - obiecuje mu Asi czystym tenorem i leciutko pomyka przed nim po schodach.

Nie każdy z załogi potrafi z równą swadą odszczeknąć się Palaczowi, temu cuchnącemu czartowi, który za każdym razem, gdy ludzie wściekają się na niego, starając się wypłenić zeń zło, cieszy się przewrotnie, jak goły w pokrzywach.

Na mostku panuje czarny mrok, jeśli nie liczyć mdłych świateł jarzących się na desce rozdzielczej i przyrządach pomiarowych oraz czerwonej lampki ekspresu do kawy przy ścianie na bakburcie.

Gudmundur Berndsen nalewa sobie kawy do kubka z logo armatora, po czym wychodzi na spardek, skąd rozciąga się widok na słabo oświetlone nabrzeże.

- Już wszyscy na pokładzie! - woła majtek Saeli przez

krótkofalówkę.

- Zwolnić cumy dziobowe - kapitan Gudmundur wydaje rozkaz do radiotelefonu przyczepionego do kołnierza kurtki.

- Zwolnić dziobowe - powtarza Saeli.

Na dole w maszynowni Johann uruchomił główny silnik, który teraz ciężko pracuje, wydzielając ciepło.

- Przód wolny!

- Uwolnić cumy rufowe - rzuca kapitan do radiotelefonu, odbijając sterem od lądu.

- Uwolnić rufowe! - powtarza Saeli.

Gudmundur podnosi słuchawkę telefonu na mostku i dzwoni do maszynowni.

- Rufowe wolne!

- Spokojnie naprzód - mówi kapitan do słuchawki.

Śruba zaczyna się obracać i kapitan kieruje ciężkiego potwora na wody fiordu.

Gdy już wyprostuje statek, znów podnosi słuchawkę i dzwoni do maszynowni.

- Cała naprzód!

- Cała naprzód! - powtarza pierwszy mechanik i wykonuje rozkaz.

Gdy silnik osiąga najwyższe obroty i statek płynie całą naprzód, z prędkością ponad trzynastu mil morskich na godzinę, kapitan melduje władzom portowym o opuszczeniu portu i zgłasza cel podróży.

- Echo, Lima, Whiskey, Quebec, 2, kapitanat, zgłoś się - mówi Gudmundur cicho i wyraźnie do mikrofonu pokładowej radiostacji, bo E.L.W.Q.2 to znak wywoławczy frachtowca

m/v „Per Se”.

- Echo, Lima, Whiskey, Quebec, 2 - pada odpowiedź. - Kapitanat, słyszę, odbiór.

- Wypływam z Grundartangi, do Surinamu - melduje Gudmundur. - Odbiór.

- Wypływasz z Grundartangi, do Surinamu - słysząc z kapitanatu. - Bez odbioru.

Gudmundur zasiada w fotelu kapitańskim, zanurza usta w czarnej kawie i rozmarzony wygląda przez okno. Frachtowiec płynie wprost w otwarte objęcia czarnego oceanu.

Statek wypęła z fiordu, powoli podnosi się na ciężkich falach, po czym spada dziobem w dół. Kadłub przenosi drgania aż po mostek, fala łamie się, a biała piana rozbryzguje się nad zamkniętym pokładem pogodowym i spływa po burcie.

Statek wznosi się i opada, fala się łamie, a kadłub od dziobu do rufy przenosi drgania:

Bom, bom, bom...

I znowu, i znowu, na wieki wieków, amen.

VIII

Frachtowiec „Per Se” mknie pełną parą na południe przez spienione ciemnogrnatowe wody bezkresnego jak okiem sięgnąć Oceanu Atlantyckiego, gnany czarnymi chmurami, grzmotami i błyskawicami. Powoli podnosi się na ciężkiej oceanicznej fali, po czym wolno, lecz zdecydowanie opada dziobem w dół. Uderzenie rozchodzi się w tył po kadłubie, aż na mostek, fala załamuje się, a biała piana rozbryzguje się nad zamkniętym pokładem pogodowym i spływa pieniającymi się strumieniami przez rynny na burtach.

Statek unosi się i opada, fala się łamie i kadłub od dziobu do rufy przenosi drgania:

Bom, bom, bom...

I tak raz za razem, na wieki wieków...

Przez prostokątne okna wpada słabiutki, blady blask, który na moment rozświecila boazerię w kabinie na bakburcie pokładu D. A potem znów wszystko tonie w mroku. Z oddali dochodzi tylko groźny pomruk grzmotu. Deszcz dzwoni o szybę niedomkniętego bulaja, wpuszczającego przez wąską szparę krople wody. Wiatr wyje na zewnątrz, zagłuszając ryk dmuchaw na dolnym pokładzie statku. Służą one za wlot

powietrza i zasysają tlen do maszynowni. W kajucie szumi klimatyzator, wdmuchujący do pomieszczeń mieszkalnych ciepłe powietrze cuchnące olejem napędowym.

Kolejny błysk i znów wszystko się rozjaśnia. Przez ciemność przelatuje wystraszona twarz ducha, po czym zapada mrok i dudni grzmot, statek unosi się i opada, fala się łamie, a uderzenie rozchodzi się po kadłubie statku i ludzkich kościach i łomocze w głowie Jona Karla, który przewraca się w koi z boku na bok, wyjąc z bólu i obracając opuchnięty język w zaschniętych na wiór ustach.

Ma gorączkę i nie wie, gdzie się znajduje. Wie tylko to, że jego łóżko płynie gdzieś po oceanie. Czasem zmienia się w niewielką łódkę lub balię do prania. Pod kołdrą panuje jakiś ruch, ale trudno rozróżnić kształty bestii. Jon Karl unosi kołdrę i bestia chowa się w czarnej dziurze. Kręci mu się w głowie, a ciężki niczym ołów czerep opada na przepoconą poduszkę. Kołdra ześlizguje się z łóżka i tonie w ciemnościach.

Flauta, niebo jest czyste, błękitne i nie słyhać niczego, poza pluskiem morza. Jon Karl przymyka oczy. Czuje zapach soli, mokrego drewna i słońca. Nic się nie dzieje, dopóki jego statek nie zderzy się z niewielką boją.

Wtedy otwiera oczy.

Boja buja się w tę i z powrotem, a pokój wolniutko się obraca. Zardzewiałe łańcuchy piszczą i skrzypią. Boja to wiedźma, bezręki kościotrup z twarzą zasłoniętą czarną przepaską.

- Pięciu martwych ludzi... - mówi boja, nie otwierając ust. -

Z tego czterech na statku.

Potem zmienia się w normalną boję, która staje się coraz mniejsza, aż znika, bo statek Jona Karla wypływa coraz dalej na bezkres oceanu.

Fale z każdą chwilą unoszą się wyżej, a statek coraz bardziej się zmniejsza. Jon Karl słyszy głosy, lecz nie rozumie, co mówią. Potem pojawia się mgła przypominająca szary worek z praniem, słońce niknie i robi się zimno, tak strasznie zimno. Balia się wywraca i Jon Karl wpada na plecy do wody i tonie w granatowej ciszy. Ktoś go chwytą za nogi, ktoś inny za ręce, a jeszcze inny z całych sił uciska klatkę piersiową. Ręce są z piasku, mężczyźni z kamienia, a wszystkiemu przygląda się boja. Jon Karl nie może się ruszyć, nie może oddychać, ktoś go wciska w coś suchego i twardego. Usta i oczy napełniają się kurzem, ciśnienie jest tak wielkie, że ciało odrywa się od kości, które zaczynają pękać niczym kruche ciasteczka. Koła zębate obracają się z zawrotną prędkością, a iskry niczym sztylety światła fruują na wszystkie strony.

Jon Karl potrzebuje całych swoich sił duchowych, żeby krzyknąć. Wierzga nogami, wyrywa się z tych stalowych objęć i prawą pięścią uderza prosto w ścianę nad koją.

Przytomnieje, łapie oddech, siada na mokrym od potu i krwi łóżku i patrzy na trzęsącą się rękę. Ból jest nie do zniesienia. Zdarł skórę z knykci i krew sączy się między połamanymi palcami. A może są tylko stłuczone? Wysuwa się nago z łóżka i słaniając się, pokonuje kajutę i wchodzi do łazienki. Ma sporą gorączkę, bolą go kości, głowa pulsuje.

Czuje mdłości.

Podstawia bladą dłoń pod strumień wody, splukuje czarną krew i porusza sztywnymi palcami pod zimnym strumieniem, dopóki ból trochę nie ustąpi. Następnie sika do muszli na stojąco, lecz traci równowagę i mdleje po uderzeniu głową w próg za swoimi plecami.

Statek unosi się i opada, fala się załamuje i uderzenie rozchodzi się po kadłubie statku:

Bom, bom, bom...

I tak raz za razem, na wieki wieków...

Jon Karl siedzi nago na sofie w swojej kajucie i patrzy na papierosa, którego trzyma w prawej ręce. Jest blady, wzrok ma zamglony, jego włosy to przepocony kłęb, pojedyncze mięśnie się kurczą, a żołądek jest tak pusty, że zdaje mu się dziurą.

Przez okno wpada szarawe światło, wraz ze świstem dmuchaw z pokładu i rześkim wiatrem o słonym smaku.

Na stolik przed sofą Jon Karl wyłożył zawartość swojego worka marynarskiego: trzy pary skarpet, trzy pary slipek, dwa podkoszulki, nóż myśliwski w pochwie, dziesięć kul do rewolweru, zniszczone paszporty, akcje, książeczki oszczędnościowe i dziesięć paczek prince'ów. Ma dwieście papierosów i ani jednej zapałki.

Ubranie, które miał na sobie, leży na kupie na podłodze. Staje na nim boso i stopą wyczuwa rewolwer w kaburze. Wszystko jest na swoim miejscu.

Jedynie, czego mu brakuje, to ogień. I może coś do jedzenia. Woda do picia jest w kranie w łazience, ale Jon Karl

nie jadł nic od... długiego czasu.

Żołądek kurczy się i zamienia w twardy supeł, pot spływa po klatce piersiowej i plecach, a serce pompuje ubogą w substancje odżywcze krew do pulsującego mózgu.

Ciekawe, jak długo spał? Dobę? Dłużej? I na jakąż to ostateczną tułaczkę został skazany?

Ktoś, a może było ich więcej, wchodził do jego kajuty, bo sam raczej nie rzucił na łóżko dodatkowej kołdry. Może to ten sam, który zabrał go do auta i wprowadził na pokład statku? Albo chłopak z nabrzeża? A może facet, który skierował go do kajuty? Ale najwyraźniej niczego nie szukali, klamka i wszystko inne jest na miejscu. Co oznacza, że albo mu ufają, albo się go boją, albo nie mają pojęcia, kim jest. W każdym razie nikt nie komentował jego obecności na statku. Rzeczywiście, wygląda na to, że i statek, i załoga czekali na niego cały wieczór i pół nocy. Najwyraźniej wszyscy ci zatrudnieni przez armatora zajmują się jedynie Jonem Karlem. Niczym i nikim innym. Chodzi chyba o to, żeby go zaokrętować i płynąć z nim dokądś... dokądś.

Co robić? Udawać, że nic się nie dzieje? Zgrywać naiwnego i mieć nadzieję, że nic złego się nie wydarzy?

A może zapytać, o co tu, kurwa, chodzi? Co on tutaj robi, czy nie widzą, kim jest, i gdzie jest cel tej cholernej podróży?

Nie, pewno najlepiej powęszyć trochę dokoła, zanim...

Ognia!

- Nie mam ognia! - mruczy Jon Karl schrypniętym głosem, patrząc przekrwionymi oczami na papierosa drżącego między spuchniętymi palcami prawej ręki niczym wskaźnik

w liczniku Richtera.

Gdy tylko kończy mówić, rozlega się pukanie do drzwi kabiny.

Statek unosi się i opada, fala się załamuje i uderzenie rozchodzi się po kadłubie statku:

Bom, bom, bom...

Ktoś jeszcze raz puka do drzwi.

Jon Karl mruga oczami, prostuje plecy i usiłuje myśleć jasno, ale nie bardzo zdaje sobie sprawę z tego, gdzie jest i jak się tu dostał.

Powoli jego rysy twarzy twardnieją, wzrok odzyskuje koncentrację i swój zwykły, lodowaty wyraz, papieros przestaje się trząść w prawej dłoni, a lewa zwinnym ruchem wsuwa nóż myśliwski pod pusty worek marynarski, po czym gość zostaje zaproszony do tonącego w mroku pomieszczenia.

- Wejść!

IX

Czwartek, 13 września 2001

People are strange when you're stranger, faces look ugly when you're alone...

W mesie marynarskiej wokół prostokątnego stołu o podwyższonym rancie, pokrytym zieloną siateczką z gąbki, siedzą bosman Runar, majtek Saeli i Palacz i popijają poranną kawę z białych kubków z logo armatora Polarskip. W starym kaseciaku gra ciągle ta sama taśma Doorsów, kręcąc się w kółko, strona po stronie, od kiedy najstarsi członkowie załogi pamiętają. I weszło im już w krew, że zapominają przynieść jakieś nowe kasety, a obrzydzenie, jakie żywią do tej, już dawno zamieniło się w milczącą zgodę na to, by pozwolić jej obracać się dopóty, dopóki się nie rozpadnie. I to wcale nie dlatego że przestały ich nudzić te utwory słuchane na okrągło, rejs w rejs, lecz dlatego że te skądinąd niezłe kawałki stały się nieuświadomionym elementem otaczającego ich świata dźwięków, tak samo jak rytm pracy głównego silnika, terkot generatorów prądotwórczych, świst dmuchaw, szum klimatyzacji, kołysanie, bujanie i uderzenia rodzące się z ciężkich

pocałunków fali i marszczące się jak plisy wzdłuż burt statku.

When you're strange, faces come out of the rain. No one remembers your name, when you're strange...

- Nie sprawdzilibyś, czy Jonas jest w oficerskiej? - pyta Runar, mieszając cukier w czarnej kawie. - Muszę z nim pogadać.

- Dobra - mamrocze Saeli i wstaje z kubkiem w dłoni. Leniwym krokiem wychodzi na korytarz, przechodzi obok izolatki, pomieszczenia z tablicami rozdzielczymi i kambuza do mesy oficerskiej na bakburcie, gdzie samotnie siedzi sternik Jonas, głęboko, jak się wydaje, zamyślony.

- Nie przyszedłbyś do nas na chwilę, lonesome cowboy? - pyta Saeli oparty o framugę. - Runar chciałby zamienić z tobą kilka słów.

Jonas powoli podnosi wzrok, patrzy na Saelego, kiwa głową i idzie za nim.

When the still sea conspires an armour...

- Jonas!

- Czego!?! - pyta sternik Jonas przebudzony z męczącego snu na jawie, w którym krewetki wielkości pstrągów podskakiwały na czarnym, mokrym piachu wypełniającym jego głowę i niczym syrop spływającym mu z oczu do czarnej jak smoła kawy.

- Chleba mi podaj, stary! - mówi Runar, znany z tego, że z rana raczej rzadko bywa rześki i wesoły.

- Przepraszam - mruczy Jonas, podsuwając mu tacę z kanapkami.

- Chory jesteś, czy co? - pyta Saeli, żując kawałek razowca

z kiełbasą. - Jesteś jakiś taki przeźroczysty i żółty i jakoś tak nie masz kija w dupie, jak zwykle.

- Nie, ja... nie wiem - mamrocze Jonas i robi głęboki wydech. Upija wystygłej już kawy z kubka. Ta uwaga na temat kija, symbolizującego sztywniactwo psychiczne, jest tak wyświechtana, że Jonas już jej nie zauważa. Nic nie znaczy, tak samo jak zawodzenia Jima świętej pamięci Morrisona.

- Krótki dzień tak na niego działa! - podsumowuje Palacz z diabelskim uśmiechem. - Ciemność, depresja... choroba umysłowa. Ciemna moc ugnie nawet...

- Nie - przerywa Runar Palaczowi i spogląda nań z wściekłością, przekładając kanapkę z pasztetem z tacy na swój talerzyk. - Tu pewno chodzi raczej o jakieś kłopoty rodzinne.

- Rodzinne... kłopoty? - powtarza Jonas słowa bosmana i mruga szeroko otwartymi, przekrwionymi oczami, tkwiącymi między brunatnymi powiekami a sinymi workami, oczami rozbieganymi jak szklane kulki na sprężynach.

- Tak - zgadza się z Runarem Saeli, wzruszając ramionami. - Ten twój szwagier jeszcze się nie pokazał.

- Co... jak? - chrząka Jonas. - Zapomniałem zupełnie...

- Jeszcze do niego nie zaglądałeś? - dziwi się Runar.

- Nie... ja... - mamrocze Jonas skołowany, jakby zupełnie stracił orientację, jakby zagubił się między rzeczywistością a iluzją.

- Myślałem, że zajmiesz się człowiekiem. - Runar kręci głową ze zdumieniem.

- Ty jesteś bosmanem - odszczekuje się Jonas i kurczy się na krześle, jakby uleciały z niego wszystkie siły.

- Ale przecież to twój szwagier! - grzmi Runar.

- Cały był pokiereszowany, biedaczek! - komentuje Saeli, częstując się faworkiem.

- Pokiereszowany? - Jonas szybko mruga oczami.

- Tak, zjechał z drogi czy coś tam - odpowiada Runar i dolewa kawy sobie i Saelemu.

- Ale Karl nie ma samochodu - mówi Jonas i prostuje zgięte plecy.

- Nie, już nie - uśmiecha się Runar.

- Musimy sprawdzić, co się z nim dzieje. - Saeli spogląda na Jonasa, a potem na Runara. Ten kiwa głową.

- Nie mam pojęcia, jakim samochodem mógł jechać - bąka Jonas, który z każdą minutą staje się coraz bardziej bezsilny i skołowa-ciały. - On nie ma samochodu... własnego... tak mi się zdaje.

- Oczywiście, że ma gablotę! - Runar wybucha lodowatym śmiechem prosto w bladą jak śmierć twarz sternika. - Inaczej ty byś musiał przywieźć go ze sobą w tym przeklętym dżipie, co nie?

- Nie chciałem, żebym go wiozł - mruczy Jonas wpatrzony w kubek z kawą. Obraca go w drżących rękach.

- Przeklęty dżip... dżip przeklęty! - odzywa się Palacz. Usta wykrzywia mu grymas. - Jak w filmie Christine... Był nawiedzony, ale w książce to duch go prowadził. Duch byłego właściciela, który...

- Zamknij mordę! - wrzeszczy Runar na Palacza i grozi mu

zaciśniętą prawą pięścią.

- Spokojnie - kwili Palacz, zmazując diabelski uśmiech z twarzy i kurcząc się w sobie. Zazwyczaj Palacz nie wychyla się w towarzystwie bosmana, bo ten nigdy nie waha się skarcić go jak krnąbrnego kundla.

- Sprawdzimy, co się z nim dzieje? - Saeli poklepuje bosmana po plecach.

- Tak. - Runar dopija kawę z kubka. Potem oskarżycielsko pokazuje palcem na sternika Jonasa. - A ty pójdziesz z nami!

- Tak, ale... ja... - bełkoce Jonas, najwyraźniej nie zdając sobie sprawy z tego, o czym tamci mówią, ani też o czym on sam gada.

- Żadne ale! - Bosman Runar daje mu znak, żeby wstał natychmiast i ani chwili później.

W starym kaseciaku słychać trzask. Kasetę się skończyła. Jeden z silniczków się wyłączył, a drugi zaczyna obracać się w kierunku odwrotnym do ruchu wskazówek zegara. Strona A zaczyna szumieć w głowicy.

Strange days have found us. Strange days have tracked us down...

Na pokładzie D Runar otwiera drzwi prowadzące na trap za sterówką. Fala deszczu i wiatru natychmiast uderza w trójkę mężczyzn. Ich oczom ukazuje się ciężkie od chmur niebo, szaroczarne fale wielkości gór i kipiący kilwater, ciągnący się niczym wzburzona mleczna rzeka w srogą ciemność.

- ALEŻ DIABELSKA CIEMNOŚĆ! - ryczy Runar, przekrzykując wycie wiatru i usiłując opanować drzwi

z ciężkiego drewna.

- ZAMYKAJ, CZŁOWIEKU! - woła sternik Jonas, który jakby nagle zbudził się do życia. Zasłania oczy przed uderzeniami deszczu.

- DZISIAJ NA OTWARTYM POKŁADZIE NIE POPRACUJEMY! - krzyczy Saeli, który wystawił głowę przez drzwi.

- NIE! - odpowiada Runar ze śmiechem i odcina pomieszczenie od wiatru i deszczu. - A ja miałem zamiar w czasie rejsu oczyścić reling z rdzy i zagruntować.

- Nie ma sensu pieścić tej bezbożnej balii - mruczy Jonas, otrząsając się z zimnego deszczu ciekącego mu po kościstej twarzy za kołnierz koszuli. - To tylko blaszana puszka z silnikiem i kołem sterowym bujająca się na wietrze.

- Co masz na myśli? - pyta Runar chłodno, zbliżając się do Jonasa. Ten odwraca wzrok przed świdrującym spojrzeniem bosmana i cofa się, dopóki nie uderzy plecami w wiszącą na ścianie gaśnicę.

- Mówisz jak ten przeklęty Palacz! - wtóruje mu Saeli, załamując ręce. - Jaki normalny marynarz wygaduje takie pierdoły? Chyba żeby coś wykrakać?

- Dobrze pytanie! - Runar podsuwa zaciśniętą pięść pod twarz sternika.

- Co się z tobą dzieje? - Jonas pociera nerwowo dłonie. - Tak tylko mi się powiedziało. Nie miałem nic szczególnego na myśli. Cofam to, w porządku?

- A może wiesz coś, o czym ja nie powinienem wiedzieć? - pyta Runar, szturchając go palcem wskazującym w klatkę

piersiową.

- Nie - broni się sternik, patrząc z przerażeniem bosmanowi w oczy. - A niby co mam wiedzieć? Mnie nikt nic nie mówi.

- No dobra - mruczy Runar, cofając się o dwa kroki.

- A ty coś wiesz? - zagaduje Jonas.

- Na jaki temat? - pyta Runar.

- Tak w ogóle. - Jonas wzrusza ramionami. - Statku chyba. Albo firmy. Może mają zamiar wypowiedzieć umowę?

- Nie jesteś taki głupi, na jakiego wyglądasz - podsumowuje Runar matowym głosem. - Ale jak zrezygnują ze statku, to my też wylecimy. Prawda?

- Nie wiem - wzdycha Jonas.

- Nie. Nic nie wiesz w tej swojej wyzwolonej przez prawdę łepetynie. - Runar kręci głową. - A może straciłeś już rozum i wiarę?

- Mam zapukać? - pyta Saeli i chrząka głośno, żeby zakończyć kłótnię kolegów. Przesłupuje z nogi na nogę przed kajutą drugiego majtka, zaciskając pięść niczym młot.

- Tak. Zapukaj - odpowiada Runar, wciągając nosem krople deszczu i odwracając się tyłem do sternika.

- Heretyk - mamrocze Jonas, strząsając nieistniejący pyłek z rękawa koszuli.

Saeli puka, ale nikt nie podchodzi do drzwi.

- Naciśnij kłamekę! - rozkazuje bosman, a pierwszy majtek spełnia polecenie.

- Otwarte - mówi Saeli i otwiera drzwi do ciemnej kabiny, ziejącej w twarze trójki przybyszów gorącym i skisłym

powietrzem, przesyconym oddechem śpiącego. - Halo? Jest tu kto?

- No już, włącz do środka, chłopcze! - Runar popycha Saelego, który wpada przed nim do kajuty. Bosman zapala światło i mruga oczami, podczas gdy pozostali przyzwyczajają się do światła.

- Co u diabła? - mówi, kiedy zauważa, w jakim stanie znajduje się drugi majtek.

Jon Karl leży nago przed koją, blady, podrapany i naznaczony sińcami wielkości dłoni. Usta ma otwarte niczym ryba i wybałuszone białka oczu skierowane w sufit.

- Nie żyje? - szepce Saeli.

- Mam nadzieję, że raczej nie - mruczy Runar, po czym ciężko wzdycha. - Chodź, przeniesiemy go na łóżko.

Runar chwytą Jona Karla pod ramiona, a Saeli za nogi. Następnie z całych sił szarpia ciało i ledwo udaje im się oderwać je od podłogi.

- JONAS!

Nagie ciało wymyka im się z rąk i spada na podłogę. Jon Karl uderza głową o wykładzinę, pękają strupy i krew zaczyna broczyć z ran.

- JONAS, KURWA TWOJA MAĆ!

Runar pąsowieje z wściekłości. Zaciska żylaste pięści i krzyczy na sternika, który stoi niczym skamieniały przy drzwiach do łazienki i wpatruje się w nagiego mężczyznę na podłodze kajuty.

- MOŻE BYŚ NAM TROCHĘ POMÓGŁ?!

To nie jest mój szwagier Karl! Gdzie on jest? Co się tu

dzieje? Czyżbym ześwirował, czy...?

- CZY TY JUŻ ZUPEŁNIE SFISIOWAŁEŚ, CZY CO?!

Ale on wie, kto to jest. Wie, kto leży na podłodze w kajucie szwagra. Zna twarz z kronik kryminalnych w dzienniku „Visir” i czasopiśmie „Mannlif”. Pamięta to gotyckie K wytatuowane na napakowanej kłacie. Nie wie, jak się ten tu nazywa, ale doskonale wie, pod jaką ksywką znany jest w przestępczym półświatku. Przewisko jest wyjątkowo nieprzyjemne, ale świetnie oddaje osobowość tego człowieka.

- HALO!?

Ale co ten diabeł w ludzkiej skórze robi na pokładzie „Per Se”?

- JONAS?!

I gdzie jest szwagier Karl? Co się tu dzieje?

- CO CI SIĘ STAŁO, CZŁOWIEKU?! - krzyczy Runar i stąpając ponad Jonem Karlem, podbiega do Jonasa i uderza go mocno otwartą dłonią w lewy policzek.

- He... co? - bełkoce Jonas. Prostuje się i drżącą dłonią dotyka zaczerwienionego miejsca. Jego dolna warga drży, z oczu wyziera niekłamane zdumienie.

- POMÓŻ NAM, PALANCIE JEDEN! - krzyczy Runar w ucho sternika i chwyta go za ramię.

- Tak... ja... - Jonas idzie za bosmanem w kierunku łóżka.

- Raz, dwa i... - odlicza Runar, kiedy już udało im się mocno chwycić Jona Karla, który nagle zaczyna kaszleć i dostaje skurczy w nodze.

- I TERAZ! PODNOSIMY GO RAZEM, CHŁOPAKI!

Udaje im się częściowo umieścić Jona Karla na pośłaniu, po czym turlają go niczym beczkę. Na koniec Jon Karl ląduje na plecach z lewym ramieniem przygniecionym do ściany pod oknem.

- Ale, kurwa, cielsko! - Runar dyszy ciężko.

- Z pewnością grubo ponad sto kilo! - Saeli ociera pot z czoła.

- No - mamroce Jonas, który nie wie, co ma powiedzieć, myśleć, co robić. Czy powinien poinformować o obcym na pokładzie? Czy ma zadzwonić do miasta i dowiedzieć się, co ze szwagrem?

A może ma po prostu udawać, że nic nie wie, i mieć nadzieję, że wszystko się jakoś ułoży?

A jeśli szwagier zacznie podejrzewać, że jego siostra zaginęła albo nie żyje? Co, jeśli szwagier Karl zgłosi to na policję?

- On podnosi ciężary, czy coś?

I czy nieobecność szwagra i obecność tego nieznanego jest zrzędzeniem losu, przypadkiem jedynie, czy może ingerencją siły wyższej?

Zrzędzenie losu to wymysł przesądnego umysłu, a przypadek w nihilistycznej kulturze Zachodu istnieje jedynie jako zaprzeczenie związku przyczyny ze skutkiem, co oznacza, że to boska ręka...

- Jonas?

- Pan jest moim pasterzem... - odzywa się Jonas automatycznym głosem, niczym telefoniczna sekretarka, mrugając bosmanowi przed oczyma.

- Jaki znowu, do diabła, pan pasterz? - pyta Runar, strzelając palcami przed twarzą Jonasa.

- He... co? - Jonas łapczywie chwyta powietrze, jakby nagle wyjęto go z wody.

- Ale ty, kurwa, nagle tracisz kontakt, człowieku! - Runar załamuje ręce. - Jesteś gorszy niż komórka poza zasięgiem!

- Tak? - chrząka Jonas.

- Tak! - uśmiecha się Saeli. - Myślę, że coś jest bardzo nie tak z twoją głową!

- Muszę tylko chwilę odpocząć - mówi Jonas, siadając na łóżku obok Jona Karla, który cały czas wybałusza oczy w sufit.

Jonas przygląda się temu umięśnionemu dublerowi szwagra, wzdycha i cicho dziękuje za niebywałe szczęście, za to, że nie musi patrzeć w oczy brata swej żony, bo dość ma już tych ponurych myśli, które spędzają mu sen z powiek i dziurawią jego serce niczym robaki jabłko.

- Odpocznij sobie, przyjacielu - mówi Jonas i kładzie drżącą prawicę na rozpalonym czole majtka. - Pogadamy potem, jak...

Jonas milknie, kiedy Jon Karl nagle siada na łóżku i bez ostrzeżenia uderza go głową w twarz.

- Runar! - krzyczy Saeli i chwyta Jona Karla za prawą rękę. Jon Karl ciska go niczym szmatę na sofę.

- Kurwa mać! - Bosman skacze na Jona Karla, chwyta go za ramiona i powala z powrotem na łóżko.

Cała trójka rzuca się na Jona Karla. Udaje im się go przytrzymać, dopóki się nie podda i nie przestanie się

wyrywać. Krew bucha z nosa Jonasa siedzącego na nogach napastnika, sternik zaczyna pociągać kinolem.

- W porządku - podejmuje decyzję Runar i puszcza szyję drugiego majtka. - Nie trzymajcie już tego palanta!

- Połamał ci coś? - pyta Saeli, kiedy już dali spokój Jonowi Karlowi i odeszli na bezpieczną odległość od jego koi. Runar wyjmuje sztormdeskę z bakisty i montuje ją do łóżka, tak by majtek ponownie nie wypadł z posłania.

- Chyba tak - jęczy Jonas, dotykając opuchniętego nosa i wciągając broczącą krew.

- Chodź, spojrzymy na to w izolatce. - Runar chwytając sternika za ramiona. - Jeśli o mnie chodzi, to ten cały twój szwagier może tu sobie zdychać.

- Zajrzę do niego później - mamrocze Jonas, oglądając się przez ramię na nieznajomego, po czym przybysze zamykają za sobą drzwi. - Najlepiej będzie, jak ja się nim zaopiekuję.

- Twoja broszka. - Runar zatrzaskuje drzwi.

Bom, bom, bom...

Trzaśnięcie długo dźwięczy w głowie Jona Karla, który dostaje drgawek, jakby prąd wstrząsał jego nerwami, wydaje z siebie gardłowy krzyk i z całej siły wali prawą pięścią w ścianę nad łóżkiem.

X

Sternik Jonas czuje się pusty w środku. Zimny i pusty. Jak statek widmo, dryfujący w noc, która nigdy ponownie nie stanie się dniem.

Pięć lat temu był po uszy zakochany w Marii, powolny jej spojrzeniu, zahipnotyzowany jej śmiechem. Zaledwie siedem miesięcy po ich pierwszym spotkaniu stała w białej sukni u jego boku przed ołtarzem i przysięgała przed Bogiem, w obecności jego rodziców i przyjaciół. Rok później przyszło na świat ich pierwsze dziecko, płaczący syn, który nie widział świata poza swoją matką. Dwa lata później urodziła się córeczka, ulubienica taty.

A niedawno, nie zorientowawszy się nawet, kiedy zakończył się pobyt w raju i zaczęła piekielna egzystencja, pędził w lodowatą noc z ciałem Marii w bagażniku. Ze zwłokami własnej żony. Ze zwłokami matki ich dzieci. Kobieta, którą kiedyś Jonas kochał, nie żyła. Zamordowana przez człowieka, który przysięgał jej dozgonną wierność, na dobre i na złe. Dopóki śmierć ich nie rozłączy. I teraz śmierć ich rozdzieliła.

Ale tak naprawdę to nie śmierć była przyczyną tej rozłąki.

Śmierć jest zjawiskiem nieuniknionym, czającym się za kulisami życia wedle praw czy zasad, których nikt nie rozumie. Kiedy sięga po ludzkie życie, wybór ofiary zazwyczaj jest wypadkową przyczyn i skutków życia. Śmierć Marii nie była jednak zależna od jakiegoś wyimaginowanego przypadku, lecz raczej ściśle od woli Jonasa, który powodowany rozpaczą, podejrzliwością i zazdrością stracił panowanie nad swoimi myślami, słowami i czynami. W najczarniejszych zakątkach swojego umysłu zapomniał o wszystkim dobrym i pięknym, co łączyło go z Marią, a ograniczające plugastwo, które zakorzeniło się w ich związku, zaślepiło go zupełnie. Plugastwo, z którym początkowo lubił flirtować i które uwielbiał podglądać, jak mały chłopiec igrający z ogniem. Plugastwo, które później zawładnęło nim jak zły duch. Plugastwo, w którym pławiła się Maria, raz za razem. Plugastwo, którego już nie mógł znieść. Plugastwo, z którym Maria nie chciała skończyć. Albo nie potrafiła, jeśli wierzyć jej słowom. Ale to już nie miało żadnego znaczenia. Ona umarła, a plugastwo wraz z nią. Już nigdy więcej tego nie robi. Już nigdy więcej nie będzie mogła tego zrobić. Nigdy.

Wszystko zaczęło się od niewinnego flirtu na jakiejś dużej imprezie. Mężczyźni adorowali Marię i to podnieciło Jonasa. Sam nie potrafił sobie wyobrazić, by był w stanie kiedykolwiek uprawiać seks z inną kobietą niż z własną żoną. Z początku Marii niespecjalnie spodobał się pomysł małżeństwa otwartego. Choć samo flirtowanie ją fascynowało, nie uważała, że flirt musi być początkiem

czegoś więcej. Ale Jonas wiedział, czego chce, a Maria nie chciała odstawać od męża. Po dwóch weekendach z rzędu, spędzonych przez Marię z obcym facetem, Jonasa zaczęły jednak gryźć wątpliwości. Nie cieszył się bowiem podobnym wzięciem u kobiet, co Maria u mężczyzn. I stres związany z przygodami Marii sprawił, że Jonas zupełnie nie był w stanie skoncentrować się na własnym popędzie, który, stopniowo tłumiony, czynił z niego człowieka drażliwego i niezaspokojonego. Kiedy wracał do domu z rejsów, Maria zawsze przyjmowała go z otwartymi ramionami, ale za ciepłym uśmiechem i rozpalonym spojrzeniem kryła się dwulicowa kobieta, uzależniona od zainteresowania i pożądania mężczyzn. Spała z każdym z nich raz czy dwa, po czym znikali z jej życia na zawsze. Stała się seksholiczką. Wykorzystywała internet i rubryki towarzyskie, nawiązywała znajomości z mężczyznami gotowymi spotkać się z nią w południe lub wieczorem, w samochodzie na rogatkach miasta, w schludnym szalecie lub tanim pokoju hotelowym. Te niezliczone chwile uniesień były ekscytujące, ale w gruncie rzeczy wszystkie jednakowe. Po nich następowały wyrzuty sumienia i depresja, bezładne okresy duchowych cierpień, które Maria pokonywała za pomocą środków uspokajających i alkoholu.

Wcześniej, wieczorem, zanim Jonas wyruszył z domu na statek, usiłowali uprawiać seks. Jego mama wzięła do siebie dzieci, jak to się wielokrotnie wcześniej zdarzało, żeby małżonkowie mogli się pożegnać. Maria starała się go uspokoić, głaskała go i masowała, szeptała miłosne zaklęcia

i wolno, delikatnie pieściła jego członek. Wszystko na nic. Nie stanął na wysokości zadania. Jonas był zbyt zestresowany, za bardzo skołowany, zanadto zmartwiony całą tą sytuacją. Odepchnął Marię, wyszedł do pokoju dziennego i włączył telewizor. Kiedy dwie godziny później wrócił do sypialni, leżała nago na łóżku, splukawszy wódką garść tabletek nasennych. Spała tak głębokim snem, że Jonasowi żadnym sposobem nie udało jej się obudzić. I wtedy właśnie wyszedł do garażu po młotek. Nie bardzo wiedział, w jakim celu. Po prostu uważał, że musi to zrobić. Jeden cios i nie żyła. Jeden cios i jego życie dobiegło końca.

Oddycha, jego serce bije, ale tyle w nim życia, co w nieszczęsnej Marii w zimnym dole na plaży. Ona już nigdy się nie zbudzi. A i on ostygł, stał się pusty jak erem z krwi i kości, zamieszkały przez jakąś marę, podtrzymywaną przy życiu przez strzępy człowieka, za którego się kiedyś uważał.

Statek unosi się i opada, fala się łamie i kadłub ponownie przenosi drgania.

Jonas siedzi na łóżku w swojej kabinie na pokładzie E i otepiały patrzy w pustkę, kołysząc się nieświadomie w rytm wolnych i pełnych wdzięku ruchów statku, ciężkich i miarowych zanurzeń, które zna jak starą partnerkę do tańca.

W prawej dłoni trzyma różaniec z krzyżem i ściska czarne paciorki tak mocno, że aż paznokcie wbijają mu się w dłoń, a knykcie bieleją. Krzyżyk zwisa między nogami i porusza się ruchem wahadłowym, w milczeniu odliczając sekundy.

Złamany i spuchnięty nos sternik opatrzył gazą i zakleił

brązowym plastrem. Nozdrza ma pełne skrzepłej krwi, ból w głowie unosi się i opada w rytm uderzeń serca, żołądek faluje z niestrawności. Jonasowi zaschło już i skwaśniało w ustach, przez które musiał cały dzień oddychać.

Na stoliku w jego kabinie leżą trzy zapalniczki gazowe, dwa pudełka zapalek i zippo bez benzyny, ale nigdzie nie udało mu się znaleźć ani jednego papierosa. Szlag trafił ciuchy na zmianę, kosmetyki i rozrywkę, ale jak, do kurwy nędzy, ma przeżyć rejs bez tytoniu?

- Do diabła!

Nie śpi już ponad trzy doby bez przerwy i tak naprawdę nie wie, czy czuwa, czy śni, czy działa, czy śpi, czy żyje, czy nie.

Kiedy siedzi lub gdy się kładzie, jego myśli zaczynają krążyć po kontynentach ciemnego przerażenia, krwawej wściekłości i pędzących koszmarów, a kiedy usiłuje przechadzać się, by otrząsnąć się z piekielnych myśli, nogi zmieniają się w niewidzialnego rumaka, goniącego przed siebie bez opamiętania. On zaś dosiada go jakby w zamroczeniu i poza ciałem i dierząc bez sił wodze rozsądku i zdrowia psychicznego, usiłuje utrzymać się w siodle.

- Pan jest moi pasterzem.

Bóg przysłał nieznajomego na pokład statku. Czy ów nieznajomy ma pokazać Jonasowi drogę do światła, czy też Jonas ma służyć nieznajomemu za przewodnika, zaskarbiając sobie tym samym przebaczenie Pańskie? Tego Jonas nie jest pewien. Ale Bóg wskaże mu drogę.

Jest światłem oświetlającym drogę.

- On jest światłem.

Ale dlaczego ze wszystkich ludzi musiał mu zesłać akurat tego człowieka, pozostaje dla Jonasa zagadką. Drogi Pana zaprawdę są nieodgadnione.

- Drogi Pańskie.

Według norm społecznych Jonas jest winien zbrodni. Ale taką zbrodnię popełnił również Bóg, o czym dobitnie świadczy opowieść o kamiennych tablicach Mojżesza.

Nie zabijaj.

- Nie zabijać.

Jakże bardzo zbłądził z drogi! Czy w stadzie Pańskim jest owca bardziej zagubiona niż baran, który odebrał życie swojej żonie, matce swych dzieci?

- Jestem zagubioną owcą.

Jonas jest winny i ugina się pod ciężarem winy. Jonas jest grzeszny i grzech wciąga go w przepaść, jak ciężki kamień uwiązany u szyi.

Ale przecież ani się nie przyznał, ani nie ujawnił. Uciekł z miejsca zbrodni. Ukrył się, zacierając ślady potwornego czynu.

Podąża śladami Kaina, protoplasty wszystkich morderców w afekcie. Okazał zdecydowaną chęć popełnienia czynu, zatarł ślady i opóźnia działania wymiaru sprawiedliwości. Zbezczeszczył zwłoki nieboszczki.

Ale Bóg wybaczył Kainowi! Pogodził się z nim! Naznaczył Kaina swoim piętnem!

W pierwszej Księdze Mojżeszowej napisano: „Ale Pan mu powiedział: «O, nie! Ktokolwiek by zabił Kaina,

siedmiokrotną pomstę poniesie!» Dał też Pan znamię Kainowi, aby go nie zabił, ktokolwiek go spotka”.*

Jonas jest Kainem, a Bóg kocha Kaina!

I co to znaczy? Czyż Jonas nie ma zamiaru ponieść odpowiedzialności za to, co zrobił, wystąpić przed sądem i przyznać się do winy, zdjęć z siebie ten wielki ciężar?

- Pan jest moim pasterzem!

Nie! A cóżby to zmieniło, gdyby się ujawnił i przyznał do winy? Życia Marii by to nie wróciło. Jedyne, co miałyby z tego Jonas, to aresztowanie i więzienie, niekończące się przesłuchania, ciągłe próby wyjaśnienia czynu, którego nawet sam sprawca nie rozumie, a w rezultacie długi proces i ciężkie katorgi.

Po co?

Żeby po raz drugi nie popełnić przestępstwa? Żeby przestrzec innych? Żeby uciszyć sumienie społeczne? Dla czczej rozrywki gawiedzi?

Maria niewątpliwie nie żyje. Ale jest też wolna. Wolna od brzemienia grzechu. Teraz będzie odpoczywać, dopóki nie powstanie czysta i bezgrzeszna z martwych w dzień Sądu Ostatecznego.

- Sądu Ostatecznego!

I wtedy znów się spotkają i złączą przed obliczem Boga.

Jonas nie ma czego szukać w więzieniu dla ludzi. Jest zagubioną owieczką ze stada Boga Wszechmogącego, Stwórcy Nieba i Ziemi. Owcą, która chce wrócić do domu i powierzyć swój oddech temu, który na początku tchnął życie w doczesne ciało w doczesnym świecie.

W Ewangelii św. Łukasza napisano: „Gdy idziesz do urzędu ze swym przeciwnikiem, staraj się w drodze dojść z nim do zgody, by cię nie pociągnął do sędziego; a sędzia przekazałby cię dozorczy, dozorca zaś wtrąciłby cię do więzienia”.*

Jonas sprzeniewierzył się Bogu i Jonas chce się z Bogiem pogodzić, zamiast umierać w zgodzie z ludzkim systemem prawnym.

Bóg jeden zdecydować może, czy ten nędzny płomień znajdzie lampkę, w której ożyje i będzie świecił wiecznie, czy zostanie zdmuchnięty, a nędzny dym po nim pochłonie całkowita ciemność.

- Bóg jeden!

Bóg, który pomógł mu dostać się na pokład statku i wypłynąć daleko na pełne morze, Bóg, który przysłał mu nieznanego dla towarzystwa, Bóg, który chce, by on...

- Cicho!

Jonas zasłania uszy. Chodzi w tę i z powrotem i w kółko w kajucie, tak już zagubiony, skołowany i rozdarty, że balansuje na granicy choroby psychicznej.

Musi tam iść i pogadać z człowiekiem, zanim zrobi to kto inny. Zanim facet pogada z kimś z załogi.

Musi się dowiedzieć, co ten gość robi na pokładzie statku.

Czy nieznanomy będzie milczał? Czy może zda kapitanowi statku jakiś raport czy jakiś meldunek na temat swojej obecności na statku?

Nie wolno mu się zdradzić! Wtedy zburzyłby... wszystko. Nagła i niespodziewana wiedza członków załogi o prawdziwej tożsamości drugiego majtka niczym kamień

wrzucony do spokojnej wody uruchomiłaby kolejne kręgi zdarzeń i wzbudziła niepotrzebne zainteresowanie, pytania, wymagałaby jakiejś reakcji i...

- Muszę z nim pogadać - mruczy Jonas, bębniąc zaciśniętymi pięściami o uda i krążąc po ciemnej kajucie w kierunku odwrotnym do ruchu wskazówek zegara. - Nie wolno mu się ujawnić!

Jonas ma zamiar dotrzeć aż do Ameryki Południowej, nie przyznając się przed załogą do przestępstwa, które popełnił zaledwie kilka godzin przed zaokrętowaniem.

I tam ma zamiar zniknąć. Tam będzie szukał znaków i cierpliwie czekał na wskazówki od mocy nadprzyrodzonych. Tam, skruszony i ubogi, kroczył będzie ścieżkami Boga, dopóki albo nie umrze, albo ponownie nie odnajdzie światła.

Tam albo złoży kości, albo się odrodzi do życia wiecznego w miłosiernych objęciach Boga wszechmogącego, Syna i Ducha Świętego, amen.

- Amen.

Jonas zatrzymuje się nagle i głęboko wciąga powietrze. Potem otwiera drzwi na korytarz i z wyprostowanymi plecami, z dużą pewnością siebie schodzi na pokład D, gdzie puka do drzwi kajuty drugiego majtka.

- Bóg jest moim pasterzem, moją siłą i światłem - mamrocze Jonas przed drzwiami.

Żadnej odpowiedzi.

Puka ponownie.

Puk, puk, puk...

Jonas opuszcza ręce i zaciska dłonie na różańcu. Pochyla

głowę, przymyka oczy i powtarza na okrągło tę prostą modlitwę, czekając, aż otrzyma odpowiedź na swoje pukanie i drzwi zostaną mu otwarte.

Bóg jest moim pasterzem, moją siłą i...

- Wejść!

XI

Jonas łapie za klamkę, otwiera drzwi i jak ktoś mający na statku pełnię władzy wchodzi do kajuty drugiego majtka. Jon Karl siedzi nago na sofie za stołem i przygląda się gościowi wzrokiem człowieka nieufającego nikomu, a zarazem gotowego na wszystko.

- Witam drugiego majtka. - Jonas chrząka. - Nazywam się Jonas Bjarni Jonasson i jestem tu pierwszym sternikiem. Jako twój przełożony chciałbym cię serdecznie powitać na pokładzie.

Twój przełożony?

- Masz ognia? - pyta drugi majtek, nadzwyczaj spokojnie obracając papierosa między palcami prawej dłoni. Mierzy wzrokiem przestępującego z nogi na nogę sternika. Ten przekrwionymi oczami lustruje kajutę.

- Tak... jasne! - Jonas poklepuje się po kieszeniach spodni i w lewej tylnej kieszeni znajduje zapalniczki.

- Dzięki. - Jon Karl bierze je od niego.

- Mogę? - pyta Jonas, wskazując na otwartą paczkę prince'ów na stoliku.

- Sure - zgadza się Jon Karl. Zapala papierosa, opiera się

wygodnie o oparcie sofy i zaciąga się, dopóki nie usłyszy trzasku żarzącego się papierosa.

- Zapomniałem zabrać ze sobą fajki - usprawiedliwia się Jonas z papierosem zwisającym z ust. Odrywa jedną zapałkę, pociera o draskę, osłania płomień lewą dłonią i ostrożnie przykłada go do papierosa. Różaniec grzechocze mu między drżącymi palcami.

- Czego chcesz?

Jon Karl ma przed sobą niewyspanego, znerwicowanego, niedożywionego faceta ze złamanym nosem i trzydniowym zarostem, cuchnącego kwaśnym potem, trzymającego w kurczowym uścisku katolicki różaniec.

Pierdolony frajer!

- Czego chcę? - dziwi się Jonas. Kaszle i macha płonąca zapałką, póki płomień nie zgaśnie.

- Ilu jest sterników na takiej łajbie? - pyta Jon Karl, wypuszczając dym nosem. Ostrożnie kładzie lewą rękę na oparciu sofy.

- Ilu? Dwóch - odpowiada Jonas. Zaciąga się papierosem i wzrusza ramionami. - A dlaczego...?

- Kto jest drugim sternikiem? - pyta Jon Karl, który doskonale wie, że rozmowami rządzą te same prawa, co bójkami: ten, kto pierwszy trafi przeciwnika, zyskuje przewagę i od tego momentu to on jest górą.

- Drugim sternikiem? - powtarza Jonas jak echo. Chrząka. - Nikt. To znaczy, tego... Z technicznego punktu widzenia to ja jestem drugim sternikiem, ale ponieważ drugi po Bogu jest pierwszym oficerem, więc ja...

- Siadaj! - Jon Karl wskazuje Jonasowi miejsce na łóżku, które zasadniczo jest jeszcze niezasałane, ale za to pokryte mniejszymi i większymi plamami krwi.

- Tak... dzięki - mruczy Jonas i usuwa sztormdeskę. Następnie siada ostrożnie na materacu w niebieskie pasy. - Ale wiesz, jako dowodzący na mostku przyszedłem tutaj, żeby...

- Człowieku, stulże na chwilę ryj! - przerywa mu Jon Karl i strzepuje popiół z papierosa na podłogę, nie przestając przy tym przyglądać się sternikowi, który pąsowieje i zaczyna mrugać oczami, jakby mu coś do nich wpadło.

- Ja mam stul...!

- Jeszcze jedno słowo, chłopczyku - Jon Karl strzela palcami przed złamanym nosem sternika - i tak ci zakręcę łeb, że będziesz się musiał wrócić do piekła, ciągnąc za sobą ten kretyński różaniec jak ogon.

- Nigdy w życiu nie...! - chrypi Jonas, lecz urywa w pół zdania, zauważając w oczach adwersarza wściekłość budzącą się na kształt uśpionego smoka. Adwersarza, którego niczym samej śmierci boją się drobni książęta i ladacznice półświatka.

- Po pierwsze! - odzywa się Jon Karl i prostuje palec wskazujący z zaciśniętej pięści. - Co ja robię na pokładzie tego statku?

- Oni myślą, że jesteś moim szwagrem - mamrocze Jonas i zaciąga się dymem. - Ale to nie jest tak, że ty... Znaczy, nikt nie prosił cię, żebyś...

- Po drugie! - mówi Jon Karl, połykając dym z papierosa. -

Jak długo tu jestem?

- Trzy dni - odpowiada Jonas i chrząka. - Znaczy, trzy doby miną dziś w nocy o...

- Fuck! I po trzeciej! - Jon Karl wydmuchuje dym przez nos, odpalając jednocześnie kolejnego papierosa od poprzedniego. - Dokąd płyniemy?

- Do Surinamu - szepce Jonas, uśmiechając się półgębkiem, kiedy widzi, jak twarz nieznanego zamienia się w jeden wielki znak zapytania.

- Suri co? - pyta Jon Karl, gasząc pierwszego papierosa o kant stolika.

- Raz w miesiącu płyniemy do Ameryki Południowej po osiem tysięcy ton rudy aluminium - odpowiada mu Jonas, strzepując popiół na podłogę. - Surinam graniczy z Brazylią, Gujaną i Gujaną Francuską i tam są kopalnie boksytów, największe na świecie, jak mi się zdaje.

- Boksytów?

- Tak, czyli surowca do produkcji aluminium - uściśla Jonas, po czym kontynuuje, gdy spostrzega, że drugi majtek niczego nie skumał. - To jest po prostu taki biały piasek czy coś, z którego w hucie aluminium w Grundartangi za pomocą elektrolizy wytapia się czyste aluminium.

- A ile właściwie czasu trwa rejs do... tam? - wzdycha Jon Karl.

- Dwa tygodnie w każdą stronę, z postojem - odpowiada Jonas i wzrusza ramionami. - Znaczy, kiedy wszystko dobrze idzie. Płyniemy w górę rzeki w głąb lądu i zależy od...

- Nie ma, kurwa, takiej możliwości! - przerywa mu Jon

Karl. Wypuszcza dym przez nos. - Muszę się dostać na ląd! Nie mogę kazać się stąd odebrać czy coś takiego? Nie można zamówić jakiejś motorówki albo helikoptera? Albo zatrzymać się w najbliższym porcie?

- Po pierwsze, przepłynęliśmy już prawie tysiąc mil morskich i jesteśmy na wodach międzynarodowych. - Jonas uśmiecha się podstępnie. - Po drugie, nie wzywa się pomocy ani nie wpływa do najbliższego portu, chyba że istnieje jakiś istotny powód: poważna awaria, choroba lub coś podobnego. A po trzecie, jesteś tu drugim majtkiem i masz do spełnienia określone obowiązki.

- Ty mnie pod ścianą ustawiał nie będziesz! - odzywa się po chamsku Jon Karl, wskazując zapalonym papierosem na Jonasa. - Jeśli mówię, że muszę zejść na ląd, to schodzę na ląd, po dobroci albo po złości. Kapewu?

- A kimże to, za pozwoleniem, jesteś? - pyta Jonas. Chrząka. Czuje się już nieco pewniej, choć wciąż odczuwa lęk przed tym nagim szaleńcem.

- Jon Karl Esrason - odpowiada mu Jon Karl i swobodnie zaciąga się dymem.

- Znany lepiej jako... Diabeł - kończy Jonas i podświadomie trochę się kurczy, jakby spodziewając się ataku.

- Tak jest - zgadza się z nim Jon Karl, szeroko otwierając oczy.

- Widziałem twoje zdjęcie w...

- Czy jeszcze ktoś na pokładzie wie, kim jestem? - Jon Karl rozpiera się na sofie.

- Nie, i ja...

- I ty nie chcesz, żeby się dowiedzieli. - Drugi majtek beztrosko pociąga nosem.

- Nie byłoby to dla mnie dobre, ponieważ to ja załatwiłem komuś tę robotę - mamrocze Jonas, po czym chrząka i spogląda

ukradkiem prosto w oczy islandzkiego króla półświatka. - Ale gdyby się dowiedzieli, dla ciebie byłoby jeszcze gorzej.

- Jak to? - Jon Karl uśmiecha się ironicznie.

- Człowiek, który nie jest legalnym członkiem załogi, już sam w sobie stanowi kłopot - rzuca Jonas i gasi papierosa, pocierając go o spód stolika. - A jeszcze gorzej, kiedy to najsłynniejszy przestępca w kraju.

- Tyle że ja o nic nie jestem oskarżony, nie jestem nawet poszukiwany. - Jon Karl dmucha dymem w twarz Jonasa.

- Tobys się doczekał - mówi Jonas, prostując plecy. - Albo zadzwoniono by po pomoc, albo wpłynięto do najbliższego portu, najpewniej na Nowej Fundlandii. Dla twojego dobra, mam nadzieję, że wymyśliłeś sobie jakieś wytłumaczenie swojej obecności na pokładzie i masz rzecz jasna karty płatnicze, dowód czy paszport.

- A ciebie czasem nie poszukują? - Twarz Jona Karla przybiera chłodny wyraz.

- Mnie... Dlaczego...?

- Zjawiasz się na statku bez papierosów i masz płynąć w dwutygodniowy rejs. - Jon Karl gasi papierosa na stole. - A sądząc po wyglądzie, nie zabrałeś też ze sobą ubrań ani kosmetyków. Strasznie się musiałeś śpieszyć! I gdzie jest ten twój ukochany szwagierek? Poróżniliście się przy wódce?

A może go ukatrupiłeś? O, nie! Co ja zrobiłem? A teraz chcesz, żebym go udawał i żeby nikt nic nie podejrzewał!

- Niech ci będzie - mruczy Jonas i wstaje. - Ale to nie zmienia twojego położenia. Jesteś tu drugim majtkiem i sugeruję, żebyś poważnie potraktował to zadanie.

- Nikt mi nie będzie rozkazywał, co mam robić - odszczekuje się Jon Karl.

- Jest nas ośmiu przeciwko tobie jednemu, a ty jesteś kontuzjowany - mówi Jon Karl i wkłada zapałki do tylnej kieszeni. -A kapitan ma strzelbę.

- I dobra - mruczy Jon Karl. Pochyliła się nad stołem i twarz natychmiast wykrzywia mu grymas bólu.

- Nie masz nic przeciwko, żebym zatrzymał sobie te zapałki?

- Jak dostanę paczkę fajek. - Jonas wyławia zapałki z tylnej kieszeni.

- Okej - zgadza się majtek i rzuca sternikowi napoczętą paczkę papierosów.

- Chcę nową paczkę.

- Mowy nie ma - mówi Jon Karl i wyciąga drżącą dłoń.

- W nocy mamy razem wachtę na mostku - informuje majtką Jonas, podając mu zapałki. - Zjawisz się tam o trzeciej i zwolnisz Runara. Do czwartej będziesz z Jonem. Wtedy ja wymienię Jona.

- Jest na mostku telefon? - pyta Jon, otwierając nową paczkę papierosów.

- Tak.

- Gdzie dostanę coś do żarcia? - Jon Karl wybija kilka

papierosów z paczki.

- Na dole w kuchni - mówi Jonas i wkłada swoją paczkę do kieszeni koszuli na piersiach. - Kolacja jest o szóstej. Jesz w mesie dla załogi na sterburcie.

- Ośmiu przeciwko jednemu to tyle co nic. - Jon Karl wyciąga papierosa z paczki. - Naślij na mnie szesnastu marynarzy i może wtedy dopiero zawiążę buty.

- Nie gadaj jak kretyn - rzuca Jonas, idąc do drzwi. - Zastanów się dobrze, żebyś nie zrobił czegoś, czego potem będziesz żałował. Tutaj nie grasz u siebie.

- Mogę być twoim szwagrem za pięć baniek. - Jon Karl wkłada papierosa do ust. - Mniej więcej tyle szmalu stracę w tym miesiącu.

- Pogadamy w nocy. - Jonas otwiera drzwi.

- Właśnie. - Majtek z uśmiechem zapala papierosa. W pomiętym opakowaniu zostają mu jeszcze tylko dwie zapalniczki. Kiedy złamane żebro daje znać o sobie, wysyłając falę bólu do klatki piersiowej, ramion i wzdłuż kręgosłupa, kurczy się z bólu, z trudem tłumi krzyk i upuszcza płonąca zapalniczkę na wykładzinę dywanową.

- Nie wysilaj się - uśmiecha się sternik cynicznie.

- Czemu mam się nie wysilać? - chrypi Jon Karl, depcząc bosą stopą płonąca zapalniczkę.

- Żeby zawiązać buty. - Jonas wybucha sztucznym, pozbawionym radości śmiechem. - W końcu jest nas tylko ośmiu przeciwko tobie jednemu.

XII

Piątek, 14 września 2001

- Wejść!

Bosman Runar chwytając za klamkę, otwiera drzwi i cicho wchodzi do kabiny pierwszego oficera, który kiwa mu władczą głową i gestem nakazuje za sobą zamknąć.

- I zamknij na łańcuch - mówi cicho Jon Prezydent. Łańcuchem zwą tu żelazny trzpień przymocowany do drzwi, który można zahaczyć przy framudze, tak że drzwi otworzą się tylko na kilka centymetrów, gdyby do środka chciał wejść nieproszony gość. -Na mostku wszystko w porządku?

Jon Sigurdsson i Runar Hallgrimsson razem pełnią wachtę na mostku, który podczas tego tajnego spotkania pozostaje pusty.

- Tak. - Runar spogląda na zegarek. Jest dwadzieścia minut po północy.

- Mamy piętnaście minut do dzwonka przyzywowego.

Dzwonek przyzywowy to automatyczne urządzenie przesyłające kapitanowi sygnały świetlne i dźwiękowe, jeżeli wachтови na mostku i w maszynowni nie nacisną co kwadrans specjalnego przycisku. Zdarzało się, że

w maszynowniach ludzie tracili przytomność, a nawet umierali z powodu trujących oparów. Dzwonki przyzywowe mają zapobiegać takim wypadkom, a nazwę swą wywodzą od przyzywania pomocy w sytuacji zagrożenia życia.

Jon i Runar rozpoczęli nocną wachtę o północy. Runar kończy o godzinę wcześniej, czyli o trzeciej, kiedy to zluzuje go drugi majtek. Pierwszy oficer i pierwszy sternik mają stałe pory pełnienia nocnej wachty, Jon od północy do czwartej, a Jonas od czwartej do ósmej. W kajucie pierwszego oficera wcześniej siedział już pierwszy mechanik Johann Petursson, który właśnie zakończył swoją stałą wachtę wieczorną - od osiemnastej do dwudziestej czwartej, i teraz spokojnie mamle zgasłe cygaro.

Kajuta pierwszego oficera dobrze świadczy o jej mieszkańcu. Wszystko czyste i wszędzie wysprzątane, nigdzie najmniejszego śmiecia. Każda rzecz jest na właściwym miejscu, tam gdzie została umieszczona, czy to ubrania, książki, czy środki czystości. Niczego tu nie brakuje i niczego nie ma w nadmiarze. Na stole leżą dziennik pracy i długopis. Nic ponadto. A łazienka wygląda, jakby nigdy nie była używana.

Jon Sigurdsson ma niecałe dwa metry wzrostu i szarawe włosy. Jest grubokościstym i silnym mężczyzną. Ma opinię dobrego kompana, życzliwego powiernika tych nielicznych przyjaciół, których posiada, choć nie jest ani specjalnie rozrywkowy, ani nudny. Najgorsze, co można by o nim powiedzieć, to to, że jest przeklętym faszystą, ale na morzu panuje taki zwyczaj, że marynarze zostawiają na boku swoje

radykalne poglądy, a w najgorszym przypadku naśmiewają się z nich tylko po to, żeby nieco ożywić monotonną codzienność. Ludzie nie bardzo mają ochotę zanudzać się gorącymi dyskusjami i poważnymi kłótniami na temat religii, polityki czy skłonności seksualnych.

Jon Prezydent to jeden z tych, którzy są inni w życiu prywatnym, a inni w pracy. Na morzu raczej milczy, jest skromny i poważnie traktuje stanowisko pierwszego oficera, ale nie patrzy z góry na „pospólstwo” ani nie płaszczy się przed „królem”. Podczas rejsu po prostu pochłania go całodobowa praca. Dopóki statek płynie, Jon nie pozwala sobie na odpoczynek ani na dowcipy. Ugina się pod ciężarem odpowiedzialności i trosk. Ale na lądzie jest całkowicie nieodpowiedzialny i koledzy z jednostki nie mogą się od niego opędzić. Usiłuje ciągać ich na popijawy o każdej porze dnia i nocy, przez cały rok na okrągło.

Pijaństwa z Jonem zawsze wyglądają tak samo, toteż nikomu, kto chociaż raz wziął w takowym udział, nie chciało się uczestniczyć w podobnym po raz wtóry. Najpierw Jon opowiada niezliczone dowcipy o pedałach, Murzynach i Żydach, potem zaczyna narzekać na baby i rzuca kilka pieprzonych kawałów o blondynkach, a następnie zmienia temat, wysławiając Islandię, rasę nordycką, Einara Bena i Hannesa Hafsteina, będących jego zdaniem prawdziwymi konserwatystami, a nie jakimiś cholernymi centrokratami, których najśluszej byłoby rozstrzelać. Po etapie nacjonalistycznym zaczyna się wykład na temat nawigacji, dowodzenia statkiem i odpowiedzialności przełożonych, co

zawsze kończy się pełną nienawiści opowieścią pierwszego oficera przygnębionego tym, że ci Judejczycy jeszcze go nie awansowali na kapitana. Kierownictwa firmy Polarskip Jon nigdy nie nazywa inaczej niż tymi Judejczykami.

Zgodnie z wszelkimi regułami doświadczony i odpowiedzialny Jon Sigurdsson powinien był już dawno zostać kapitanem, lecz lata mijały i większość, jeśli nie wszyscy, dawnych kompanów awansowała. A Jon nie. To fakt dość przykry, zarówno dla Jona, jak i dla wszystkich tych, którzy razem z nim pływają. Ale z Jonem Sigurdssonem coś jest nie tak. Ludzie to coś wyczuwają, nawet jeśli nie potrafią tego nazwać, to właśnie owo coś sprawia, że Jon nie cieszy się pełnym zaufaniem i nie awansuje na odpowiedzialne stanowisko. Jest dwukrotnym rozwodnikiem i albo wraca z odwyku, albo się na niego udaje, jest bankrutem, pieprzonym faszystą, a na domiar złego jest jakiś pokręcony. Nikt, kto zna Jona, nie twierdzi, że jest zwyczajnie stuknięty, niemniej koledzy z załogi zgodni są co do tego, że Jon Prezydent nie wszystko ma po kolei.

- No chłopaki, to teraz zajmiemy się sprawami poważnymi
- odzywa się do Johanna Wielkoluda i bosmana Runara i każe im podejść za sobą do koi. Z bakisty wyciąga swoją walizkę i kładzie na niezastłane łóżko. Z walizki wyjmuje ciężkie, podłużne zawiniątko, coś, co jest owinięte płótnem żaglowym i przewiązane linką żeglarską. Zamyka walizkę i chowa ją z powrotem do bakisty, układa pakunek wzdłuż łóżka, rozwiązuje linkę i ostrożnie odwija płótno. Kiedy żelazo dotyka żelaza, żelazo dotyka drewna i drewno dotyka

drewna, rozlegają się ciche stuknięcia.

- I jak wam się podoba? - pyta pierwszy oficer, robiąc krok do tyłu. Johann i Runar postępują krok naprzód, pierwszy mechanik stoi po prawej stronie Jona, a bosman po lewej.

Wszyscy patrzą w niemym zachwycie na śmiercionośne dzieła rąk ludzkich spoczywające obok siebie na płótnie, pachnące sadzą i olejem. To trzy rozebrane strzelby - jeden karabin Savage kaliber 22 i dwie dwulufowe strzelby śrutowe: stary remington z jednym jęczyzkiem spustowym i lufami ustawionymi poziomo oraz dwujęczyzkowy ruger z lufami pionowymi.

To moje dzieci.

- Nie wiem, czy to dobry pomysł - mruczy Johann Wielkolud i wzdycha.

- Nie ma rewolucji bez broni, mój drogi Che. - Jon Prezydent klepie pierwszego mechanika po szerokich barach.

- Aż dreszcz człowieka przeszywa, nie przeczę - chrząka bosman Runar.

- Pamiętajcie o tym, że stary jest uzbrojony! - przypomina Jon, podnosi lufę karabinu i zdmuchuje z niej niewidzialny włos lub paproch.

- Tak, ale tylko dlatego że takie są warunki ubezpieczyciela - mówi Johann. - Chodzi o jakieś międzynarodowe przepisy związane z piratami.

- A strzelba przypisana jest do statku, a nie do kapitana. - Runar wzrusza ramionami. - To jakaś śrutówka, którą załatwiła mu firma.

Na pokładzie frachtowca armator, czyli przedsiębiorstwo transportowe Polarskip, przeważnie nazywany jest firmą.

- No właśnie! Śrutówka, którą załatwiła firma! - Jon wybucha drwiącym śmiechem. - Strzelba, która nie jest niczym innym jak tylko narzędziem służącym izolowaniu tych niewielu, którzy rządzą, od tych wielu, którzy o niczym nie decydują. Narzędziem, jakim może się posługiwać tylko jeden człowiek, oczywiście kapitan we własnej osobie, który notabene jest jedynym podwładnym firmy na naszej jednostce! Zastanówcie się! My jesteśmy jego podwładnymi, ale tylko on posłuszny jest woli tych Judejczyków!

- Gadasz jak zakuty lewicowiec! - uśmiecha się Johann. - Jak narodowy socjalista, czyli national socialist.

- Racja - wzdycha Runar. - To wszystko, co on wygaduje o firmie.

- Ale to święta prawda! - mówi Jon i odkłada lufę na płótno. - Przecież nie od wczoraj się nad tym zastanawiam!

- Ja w każdym razie zgadzam się z jednym - Johann mamle zgasłe cygaro. - Broń to narzędzie. Ale tak jak w przypadku wszystkich innych narzędzi, władzę ma ten, kto je trzyma. Istotne jest nie to, czy człowiek jest uzbrojony, czy nie, lecz w jaki sposób człowiek wykorzysta broń, kiedy już ma ją w rękach. Rozumiecie?

- Jasne - Jon jest zupełnie niezainteresowany.

- Ja tak to rozumiem, że chodzi o to, że gdyby ludzie wiedzieli, że jesteśmy uzbrojeni, nie robiliby użytku ze swojej broni - zauważa Runar i wyciąga paczkę papierosów i zapalniczkę. - Że broń po jednej stronie znosi broń po

drugiej stronie, tak że w rzeczywistości nie ma żadnej broni. Taki rozejm. Co nie?

- Dlaczego mówisz ludzi, skoro chodzi tylko o jednego człowieka? - pyta Jon i łapie bosmana za prawe ramię. - Nieprzyjaciel ma jedną strzelbę i jest naszym kapitanem. Nie pal tu u mnie.

- Nie mówmy o nieprzyjaciółach. - Johann drapie się po zaroście. - Zgadza się z Runarem. Idea tej broni polega na tym, że ma wzmocnić naszą pozycję i wyrównać siły. Przy równych siłach przeciwnicy nie będą się mogli nawzajem szantażować. W ten sposób rozwiążemy nasz spór szybko i po naszej myśli.

- Kapitan nie jest sam - mamrocze Runar i chowa papierosy i zapalniczkę. - Ludzie mają tendencje do ustawiania się za plecami tego, kto ma władzę.

- Teraz dobrze mówisz! - Jon klepie bosmana po plecach. - A ta broń zapewni nam władzę nad tymi, którzy wywyższają się nad naszą trójką i mają nas gdzieś!

- Ale będziemy starali się trzymać ich z boku tak długo, jak to tylko możliwe - mówi zdecydowanie Johann. - Sięgnijemy po broń wyłącznie wtedy, kiedy to będzie absolutnie niezbędne! Przypominam, że obecność tych narzędzi zbrodni na pokładzie może mieć bardzo poważne konsekwencje! Że nie wspomnę już o sytuacji, kiedy ludzie zaczną grozić ich użyciem!

- Tak, moim zdaniem powinniśmy dalej ukrywać tę broń. - Runar chrząka nieśmiało. - Sama świadomość jej obecności robi swoje.

- Te pukawki - spokojnie mówi Jon, patrząc na rozłożoną broń niczym pastor na swoich wiernych - te pukawki mają stanowić gwarancję, że nasz bunt nie rozejdzie się po kościach i nie pozostawi plamy na naszym honorze. One rozdziela zwycięzców od zwyciężonych. Może nie są światłem, które oświetli naszą drogę, ale będą jej strzec i usuwać wszelkie przeszkody.

- Amen - mamroce Runar, wzdycha i wybucha urywanym, nerwowym śmiechem człowieka, który chce zwyciężyć, ale obawia się i jednocześnie przeczuwa, że zwycięstwo łatwe nie będzie.

- Wbijmy sobie tylko do głowy, chłopaki, że takie zabawy z bronią mogą się źle skończyć. - Johann spogląda na swoich towarzyszy.

- Do diabła, możemy wylądować w pierdłu! - zauważa Runar i drapie się po głowie.

- Nie wiem, jak wy, towarzysze - Jon Prezydent uroczyście krzyżuje ramiona na piersiach - ale ja nie mam zamiaru iść na zasilek.

- Nikt nie ma takiego zamiaru - mruczy Johann Wielkolud.

- Kończmy już, towarzysze broni! - bosmanowi udziela się ogólny nastrój. Wzdycha. - Muszę, psiakrew, zapalić!

- To jest nas dwóch - dodaje Johann i splota mokrym tytoniem. - Kto co bierze?

- Najlepiej, jak ja wezmę karabin, bo żeby go złożyć, trzeba się znać. - Jon Prezydent wymachuje rękami nad porozkładanymi strzelbami niczym czarownik. - A śrutówkę każdy głupek potrafi zmontować.

- Ja biorę tę - oznajmia Runar, chwytając dwururkę z pionową lufą.

- A to jest reszta - mówi Jon i podaje Runarowi zamek z lakierowaną kolbą.

- No to ja biorę tę - odzywa się Johann Wielkolud i chwytając drugą strzelbę, starszą i bardziej zniszczoną.

- Zebranie skończone - decyduje Jon Prezydent i zawija karabin w płótno żaglowe. - Idźcie już i ukryjcie broń w waszych kajutach, albo w bakiście, albo w szafie. Ja idę prosto na mostek.

- A naboje? - pyta Runar.

- Przy okazji wam je dostarczę. - Jon daje im znak, by już sobie poszli. - Nie jest dobrze nosić przy sobie i broń palną, i naboje.

- Nie, na pewno nie. - Runar wzrusza ramionami.

- Jeszcze będę tego żałował - mruczy Johann Wielkolud i wyjmując skobel, zanim otworzy drzwi kabiny. Odsuwa się na bok, wypuszczając przed sobą Runara na wąski korytarz.

- Dzięki - mamrocze bosman i wychodzi z kajuty ze strzelbą na sztorc w prawej ręce. Wpada wprost w objęcia Jona Karla, który właśnie idzie na mostek.

- Do diabła! - klnie Johann Wielkolud na widok drugiego majtka. Szybko zamyka drzwi.

- Co?... Co za...? - Runar cofa się na zamknięte drzwi. Sztywnieje i patrzy skołowany na nowego majtka, który zdaje się nie zauważać strzelby.

- Dobry wieczór. - Jon Karl kłania się bosmanowi. Ten robi dziwne miny i chowa strzelbę za plecami.

- Tak... Dobry wieczór... Ja... - Runar chrząka, lecz Jon Karl go mija i wchodzi po schodach, nie oglądając się za siebie.

XIII

Zupełnie jakby mieszać wielką rzekę w zamkniętej beczce...

Jon Karl stoi na szeroko rozstawionych nogach w kabinie natryskowej i opierając się o śliskie ściany, zaciska powieki, szybko oddycha i pozwala zimnej wodzie lać się na głowę i spływać po klatce piersiowej i plecach. Zagryza wargi i liczy po cichu do stu.

I smażyć się na zimnym ogniu...

Po wizycie sternika położył się i zasnął, ale nie ma pojęcia, jak długo spał. Na zewnątrz panują egipskie ciemności i szaleje burza, tak że nie sposób zorientować się, która godzina. Zegarek i komórka zostały w domu w Grafarvogur.

Ziąb, ciemność i wieczna noc...

Bez przyrządów mierniczych i widocznych oznak wędrówki słońca czas nie istnieje, chyba że jako jednostkowe przeżycie, subiektywna wartość albo po prostu sen.

A sny to szaleństwo...

Strasznie dziwnie śpi się na statku. Kołysziesz się w przód i w tył jak na huśtawce, tyle że wolniej, a ruch w bok jest równie nieprzyjemny. Zawsze towarzyszy temu dziwne

uczucie, że bujnięcie w dół jest dłuższe i głębsze, niż to w górę, tak jakby dusza spadała z jakiejś krawędzi. W zwolnionym tempie, jak powtórka w telewizji, i tak raz za razem. W jakiś hipnotyczny sposób jest to trochę uspokajające, ale przede wszystkim chodzi o niekończące się otępienie, które staje się tym bardziej nierzeczywiste, im dłużej człowiek spada w tę ciemną otchłań pachnącą ciepłym mazutem, równie wielką, a może równie małą jak ludzkie myśli, równie głęboką jak echo wolnego taktu wybijanego przez ogromny silnik:

Bom... bom... bom...

Bicie serca w koszmarze...

W niewielkiej apteczce w szafce w łazience Jon Karl znalazł opakowanie leku przeciwbólowego parkodin forte, dziesięć białych tabletek o gorzkawym posmaku, które zapił kranową. Może to nie ten rodzaj śniadania, który zalecaliby dietetycy, ale z radością powitał uśmierzające działanie leku, który uwolnił go od przewiercającego mózg rwania głowy, szumiących mdłości i ciągłych sygnałów bólu wysyłanych z wycięczonych końcówek nerwów.

Sto sekund pod miejscowo znieczulającym natryskiem...

Jon Karl zakręca zimną wodę, otwiera oczy, po czym długo stoi nieruchomo i patrzy, jak przezroczysty wir znika w otworze odpływowym. Zęby mu dzwonią, mięśnie się kurczą, a stawy dygocą. Skóra jest ognistoczerwona i bez czucia, palce u rąk i nóg już niemal odmarzły, a każdy, najmniejszy nawet mięsień jest tak sztywny z zimna, że Jonowi Karlowi ledwo udaje się wyjść spod prysznic

i przejść z łazienki do łóżka.

Noc żywych trupów...

Ale w końcu się zaczyna. Wpełza zziębnięty pod wilgotną kołdrę, kuli się do pozycji embrionalnej i czeka, aż miną rozedrganie nerwów, przenikliwe zimno i silne skurcze mięśni, a silny lek przeciwbólowy zacznie naprawdę działać. Chłód jest w porządku, lecz tylko do pewnego stopnia uśmierza piekielne męki.

- No, dalej.

Język puchnie, wargi wysychają i szarawe otępienie farmakologiczne niczym wełna przepełnia głowę...

Całkiem znośnie się czuł po długim śnie czy też raczej utracie świadomości, czy co to tam było, ale tylko dopóki siedział, nic nie robiąc. Odwiedziny sternika wyczerpały go bardziej niż trzy bite godziny na siłowni. Dopóki kości, ciało i ścięgna się zrastają, nie ma zapasów energii. Można tylko wypoczywać, zbierać siły i czekać na zielone światło od działu naprawczego organizmu.

Oddychać i czekać.

Milion trylionów sekund w swędzącej, wełnistej chmurze...

Błyskawica przecina ciemność jak jarzący się miecz elektryczny wewnętrzną kopułę czaszki...

Cisza...

I grzmot przeszywa ciało i kości, warczy i kopie stal niczym ulicznik puszkę w rynsztoku...

Kolejna cisza...

Statek szybuje swobodnie w powietrzu, przez jeden moment... zanim uderzy ciężką falę...

Bom, bom, bom...

Jon Karl kurczy się, otwiera oczy i opada...

- STOP!

Siada na łóżku, zaciska pięści i wytrzeszcza oczy w ciemność, a serce wali mu piersiach. Płuca pompują lepkie powietrze w jedną i drugą stronę przez rozdęte nozdrza.

- Stop - mruczy zachrypnięty. Dyszy jak człowiek na łożu śmierci i opada na przesiąkniętą potem poduszkę.

Opada w ciemną, wełnistą chmurę...

Światła się świecą, okno jest do połowy otwarte. Jon Karl włożył już spodnie, skarpety i koszulkę. Siedzi na sofie z żarzącym się papierosem wciśniętym między wargi, rewolwerem w dłoni i lodowatym spojrzeniem w oczach.

Dwukrotnie sprawdza wszystkie ruchome części rewolweru, wysuwa bębenek i opróżnia go. Dwie łuski i trzy pełne naboje wypadają na stół. Ściera palcem sadzę, wydmuchuje drobiny prochu z lufy i ponownie załadowuje broń. Zostaje mu jeszcze osiem naboii. Wrzuca je do skarpetki, którą zwija i wkłada do lewej kieszeni spodni.

Zniszczone paszporty, książeczki oszczędnościowe i akcje wsadza na samo dno worka marynarskiego i układa na nich swoje ciuchy.

Sznuruje buty wojskowe, mocuje rewolwer w kaburze do prawego buta, nóż myśliwski do lewego i zakrywa broń nogawkami. Odinn rozdarł prawą nogawkę, lecz Jon Karl znalazł igłę i nitkę w apteczce i ją zaszył. Podnosi się z sofy, pstryka niedopałek za okno i wrzuca worek marynarski do szafy.

Otwartą paczkę papierosów wkłada do prawej kieszeni spodni, razem z opakowaniem zawierającym jedną zapalną. Pozostałe osiem paczek ustawia w szafce w łazience.

Zamyka szafkę i patrzy sobie w oczy w lustrze na jej drzwiczkach.

- Rock and roll. - Wymusza uśmiech do swego odbicia, przeciąga palcami przez przetłuszczone, rozczochrane włosy, puszcza do siebie oko, po czym gasi światło w łazience.

Jeszcze raz obchodzi kajutę wkoło, przyglądając się wszystkiemu w skupieniu, zauważa łuski, które wyrzuca przez okno w ten sam sposób, co niedopałek. Zamyka okno, gasi wszystkie światła, otwiera drzwi na korytarz i po raz pierwszy opuszcza to skromne pomieszczenie, które nie jest ani celą więzienną, ani pokojem hotelowym, a już na pewno nie żadnym domem, choć jednocześnie jakimś dziwnym połączeniem wszystkich trzech.

Kajuta.

Po drodze na mostek natyka się na tego Runara, który zabrał go do swojego dżipa i przyprowadził na pokład. Runar wychodzi z jakiejś kajuty na pokładzie E i niesie niezłożoną strzelbęśrutową. Zupełnie traci zimną krew, kiedy zauważa Jona Karla. Ten jest na tyle doświadczony, że wie, kiedy człowiek ma udawać, iż nie widzi czegoś, co ktoś inny chce przed nim ukryć.

- Co?... Co za...? - bąka bosman i cofa się na zamknięte drzwi kajuty, usiłując ukryć strzelbę za plecami.

- Dobry wieczór. - Jon Karl bez jakiegokolwiek wahania kontynuuje wspinaczkę po stromych schodach.

Lepiej być uzbrojonym i na wszystko gotowym na tym przeklętym statku, gdzie ludzie skradają się z niezłożonymi strzelbami, myśląc, że nikt ich nie widzi.

Ale Jon Karl niezbyt długo zastanawia się nad tajemnicą bosmana. Nie chce, aby ludzie specjalnie interesowali się nim samym albo tym, co robi, niezależnie od tego, czy w nocy, czy za dnia. Właśnie dlatego i on nie będzie interesować się innymi, dopóki zajmować się będą sobą i nie będą wchodzić mu w drogę.

U szczytu schodów, na pokładzie G, znajduje się troje drzwi. Te na wprost są przeszklone i prowadzą na podest żelaznych schodów na tyłach sterówki, po prawej znajdują się drzwi do toalety, a drzwiami po lewej wchodzi się na mostek.

Zanim Jon Karl wejdzie na mostek, otwiera strugoszczelne drzwi na podest za sterówką. Szeroko otwartymi oczami spogląda z wiszącego balkonu. Wiatr i deszcz orzeźwiają go nieco. Morze jest ciemne i wzburzone, kipi, bulgoce za rufą niczym pieniąc się otchłań wysokiego do niebios wodospadu, a w oddali błyskawice rozświetlają czarnochmure ciemności, przytłaczające w swym bezmiarze. Nogi uginają się pod Jonem Karlem, który chwytą się zimnej barierki, by nie upaść, po czym cofa się do pomieszczenia, z którego wyszedł, i zamyka drzwi, odcinając się od wyjącej wichury.

Na mostku jest ciemno. Ani żywej duszy. Nie słyhać nic, poza cichym pstrykaniem jakiejś aparatury i trzeszczeniem wyposażenia frachtowca. Gdyby nie zielone i czerwone

światełka kontrolek, można by pomyśleć, że to statek widmo.

- Halo? - odzywa się Jon Karl i przechodzi obok wnęki z szafą na mapy na sterburcie do środka pomieszczenia, gdzie pusty obrotowy fotel kapitański na długiej nodze lekko porusza się to w prawo, to w lewo.

Żadnej odpowiedzi.

- Jonas?

- Jonas przyjdzie dopiero o trzeciej - odzywa się głos za plecami Jona Karla, po czym słychać ciche trzaśnięcie drzwi.

- A ty masz się tu zjawić dopiero o czwartej.

Jon Karl odwraca się i patrzy badawczo na pierwszego oficera, który również przygląda mu się podejrzliwie.

- A która teraz godzina? - pyta Jon Karl.

- Za dwadzieścia pięć pierwsza. - Jon Prezydent spogląda na zegarek, po czym szybkim krokiem mija Jona Karla i naciska przycisk dzwonka przyzywowego. Jest to proste urządzenie wielkości garażowego pilota.

Niedobrze nie mieć zegarka...

- Tak, tak... No to w takim razie pójdę i... - zaczyna Jon Karl, lecz urywa, kiedy nogi się pod nim uginają. Wywraca oczami i zasłania się rękoma, jakby usiłował złapać się czegoś, by uniknąć upadku.

- Co u diabła...! - Jon Prezydent rzuca się do Jona Karla i łapie go, zanim ten upadnie prosto na twarz. Jonowi Karlowi udaje się chwycić pierwszego oficera za przedramiona, po czym opiera głowę na jego ramionach i piersiach, głęboko wciąga powietrze i staje na nogi.

- Czyżbyś...? - pyta Jon Prezydent, zwalniając nieco uścisk.

- Nic mi nie jest - broni się Jon Karl. Pomału się prostuje i puszcza przedramiona pierwszego. - Nie wiem, co...?

- Nic ci nie będzie - uspokaja go beznamiętnie Jon Prezydent. -Idź i poleż do wachty.

- Tak, dobra - dyszy Jon Karl. - To jakaś taka choroba morska, czy coś.

- Zachwianie równowagi - mruczy pierwszy oficer, otwierając drzwi przed Jonem Karlem. Czeka niecierpliwie, aż ten opuści mostek. - Przyzwyczaisz się do tego. Dobranoc.

- Tak, właśnie - mruczy Jon Karl, uśmiechając się bez przekonania do pierwszego.

Jon Prezydent potrząsa głową i zamyka drzwi za majtkiem, który wciąż ma kłopoty z utrzymaniem równowagi i oburącz chwyta się poręczy. Tyłem schodzi ze stromych schodów.

- Kretyn! - mówi Jon Karl na pokładzie F i wybucha cichym śmiechem. Wyjmuje zza pasa złoty zegarek pierwszego oficera, zakłada go na lewy nadgarstek i podziwia ozdobiony diamentami cyferblat z białego złota. Po chwili idzie dalej.

Rolex. Nieźle. Chociaż osobiście wolałby breitlinga.

Na pokładzie D zatrzymuje się i rozpatruje dwie możliwości: albo zejdzie aż na pokład B i zobaczy, czy nie ma w kuchni czegoś do żarcia, albo wróci do kajuty i położy się do czasu wachty.

Zanim jednak Jon Karl zdecyduje się na którąś z tych dwóch możliwości, niespodziewanie pojawia się trzecia. Przez drzwi kajuty na sterburcie dochodzi mdły zapach, który powoduje, że Jon Karl zapomina zarówno o głodzie, jak i zmęczeniu. To słodka, ciężkawa ziołowa woń

pierwszorzędnego olejku haszyszowego, który ktoś podgrzewa z tytoniem.

Trzecia możliwość jest następująca: zapukać do drzwi kajuty i nie odejść spod nich, dopóki jej mieszkaniec nie podzieli się z nim najwspanialszym wyciągiem z Cannabis sativa, jedynej prawdziwej rośliny haszyszodajnej.

Tak!

Jon Karl puka do drzwi, trzy lekkie uderzenia zgiętym palcem wskazującym.

Żadnej reakcji.

Puka po raz wtóry, trzy zdecydowane uderzenia dwoma ugiętymi palcami.

Potem trzy zaciśniętą pięścią.

Wtedy następuje reakcja.

W drzwiach robi się niewielka szpara, w której pojawia się pół twarzy drugiego mechanika.

- Czego?

- Wpuść mnie - mówi Jon Karl, a jego głos i zachowanie świadczą o tym, że wie, czego chce, i nie będzie słuchał żadnych wykrętów. - Mam ochotę zająć z tobą faję.

XIV

Tutaj nikt nigdy nie wchodzi - mówi Palacz, wpuszczając Jona Karla do mrocznego pomieszczenia, będącego lustrzanym odbiciem kajuty na bakburcie.

- Otóż to - mruczy Jon Karl, przyglądając się swojemu nędznemu współzałogantowi. Jest on ciemny, kościsty i ma gęsty zarost, garb na plecach i łysinę na potylicy. Cały lśni od starego olejku do ciała i oleju silnikowego. Cuchnie jak pies, porusza się żwawo niczym karaluch i wygląda na to, że ma na sobie wyłącznie brązowy szlafrok. W jego uszach widać dziury po kolczykach, a w zarośniętej twarzy żarzą się krucze oczka i czai się złośliwy uśmiech trupiej czaszki.

- Wyglądasz jak bezdomny menel - Jon Karl zadziera nosa. - Jak myślisz, co zyskasz na tym, że śmierdzisz jak indyjski żebrak?

- Mam inne sprawy na głowie - bąka Palacz, patrząc spode łba na Jona Karla, jak zbity pies na nowego pana. - Ty jesteś ten nowy.

- Czy coś - pointuje Jon Karl, rozglądając się po kajucie.

Na stole leżą dziesiątki otwartych i zamkniętych książek z których wystają luźne kartki i wycinki prasowe. Między

książkami walają się rozmaite drobiazgi, między innymi faja do haszu, lecz najbardziej rzuca się w oczy czarne metalowe pudełko pełne czarnych świec i ogarków. Pośrodku stołu leży pokrywka od pudełka, na której płonie pięć czarnych świec, które Palacz przytwierdził do czarnych plam wosku.

Te mrugające płomienie to jedyne źródło światła w kajucie Palacza.

Na niezasałanym łóżku leży sfatygowana walizka ze skóry, wypełniona książkami i kartkami papieru, a nad wezgłowiem koi wisi rysunek, jedyna ozdoba kajuty. To starannie wykonana rycina w starodawnym stylu, w grubym, kartonowym passe-partout, dodatkowo oprawionym w inkrustowaną ramkę z drewna. Rysunek przedstawia portret jakiegoś potwora, a raczej istoty będącej jednocześnie człowiekiem. Postać ta odziana jest w szlacheckie ubranie z epoki wiktoriańskiej i ma głowę raka, łysą, bez nosa czy ust, ale za to z długimi wąsami przypominającymi macki. Nieduże, czarne oczy patrzą bez cienia wątpliwości czy lęku prosto na oglądającego, któremu pozostaje jedynie podziwiać przerażający wygląd tego pokurcza krzyżującego ramiona na piersiach niczym jakiś dyktator. Monstrum najwyraźniej nie wstydzi się ani niezwykłego kształtu swej głowy, ani wystających z rękawów niedorozwiniętych rąk, które przypominają długie płetwy foki.

- Cthulhu, król podziemi - mówi Palacz, pocierając ręce. - Ten, który nie żyje, lecz śni.

- Kto taki? - Jon Karl odrywa oczy od portretu.

- Kupiłem go w necie - mruczy tajemniczo Palacz, wskazując na rycinę. - Bezcenny skarb, którego cywilizowany świat nie potrafi naprawdę docenić.

- Nie. Rzeczywiście. - Jon Karl zajmuje miejsce na sofie.

Bezcenny skarb? Miał na myśli obrazek jako taki czy jego zdeformowaną treść? To ma być ktoś sławny, tak jak człowiek-słoń? Jedną z rzeczy, których Jon Karl nie cierpi, są niedomówienia. Jeśli ktoś ma coś do powiedzenia, to powinien albo to powiedzieć, albo milczeć.

- Moim zdaniem jedynym prawdziwym miłosierdziem dzieła stworzenia jest ograniczoność ludzkiego umysłu niepozwalająca na ogarnięcie całokształtu tego dzieła - wobec nieznanego gościa Palacz najwyraźniej przybiera pozę inteligenta. - Mieszkamy na spokojnej wyspie niewiedzy, otoczeni oceanem ciemnej nieskończoności i nigdy nie mieliśmy opuścić stron rodzinnych. Nauka, która po omacku przeszukuje kąty wokół siebie, dotychczas nie wyrządziła nam żadnej krzywdy, ale pewnego dnia odłamki i odłamki odłamków wiedzy, które wcześniej zdawały się jedynie zbiorem niezwiązanych z sobą wycinków, poukładają się w nowy i niespodziewany wzór i otworzą nasze oczy na makabryczną rzeczywistość, która albo uświadomi nam naszą niedoskonałą wiedzę, albo przegoni nas precz od światła prawdy i wtrąci w okres negacji, głupoty i zastoju, który możemy nazwać nową nocą średniowiecza.

- Przyszedłem tutaj, żeby zajarać - denerwuje się Jon Karl. -A nie wysłuchiwać wykładu na temat przepastnych reform twojej babci.

- A zatem palisz? - Palacz uśmiecha się głupawo.

- Inaczej by mnie tu nie było. - Jon Karl ziewa ze zmęczenia, senności i nudów. - Wcale nie marzyłem o tym, żeby poznać takiego świra jak ty.

- Ja nie potrzebuję przyjaciół. - Palacz zdejmuje dziurawy szlafrok i rzuca go na koję. Pod szlafrokiem ma na sobie szare kalesony, obcięte powyżej kolan, które tym samym zamieniły się w niechlujne bokserki. - Prawdę mówiąc, ludzkie towarzystwo staram się trzymać z daleka od siebie i moich spraw osobistych.

- Kumam. - Jon Karl gapi się na owłosione, wychudzone ciało migocące w bladym świetle świec.

Brzuch zapadnięty i zdeformowany przez bliznę w kształcie litery Y, która tworzy z całością jakiś dziwny węzeł, klatka piersiowa niemal całkowicie pozbawiona jest ciała, a chude ramiona ozdobione są wykonanymi metodą chałupniczą tatuażami. Przeważnie są to odwrócone krzyże, gwiazdy pięcioramienne i cyfry czy rachunki, a między tatuaze wpleciona jest nabrzmiąta blizna po operacji albo po jakimś znakowaniu.

- To sam sobie zrobiłem gorącym drutem - chwali się Palacz z triumfalnym uśmiechem na twarzy, zauważywszy u gościa jakby cień zainteresowania tą piekielną sztuką zdobienia ciała.

Prostuje lewe ramię i pokazuje Jonowi Karlowi znak na skórze, sięgający od lewej piersi do nadgarstka. Jest to zdanie, które najprawdopodobniej wielokrotnie było wypalane aż do żywego mięsa: To, co na wieki ś pi, nie jest

martwe.

Litery, spośród których kilka stanowi własne lustrzane odbicie, a inne zostały odwrócone, są bardzo nabrzmiałe i albo różowe, albo pąsowe.

- Robiłeś to przed lustrem? - pyta Jon Karl, uśmiechając się z pogardą.

- No - potwierdza Palacz, siadając przy stole. Podnosi otwartą książkę, pod którą na przypalonej folii aluminiowej leży nasączony olejkiem haszyszowym papier, scyzoryk i tytoń. - Twarzą w twarz z...

Milknie, chrząka i spogląda na Jona Karla, uśmiechając się przyrośniętym do twarzy uśmiechem trupiej czaszki.

- Jeśli o mnie chodzi, to możesz sobie co noc tańczyć nago z diabłem - wzdycha Jon Karl, przyciągając do siebie czarną zapalniczkę i chowając ją do lewej kieszeni spodni. - Kompletnie mi to wisi.

- Mówią mi Palacz - mówi Palacz, zeskrobując warstewkę olejku haszyszowego z solidnie nasączonego nim papieru pergaminowego. - Powiadają, że dokładam węgla samemu Szatanowi.

- Niejeden uznałby, że to robota głupiego. - Jon Karl wybucha cichym śmiechem. - W każdym razie uważam, że gościek kiepsko płaci. Jeśli oczywiście istnieje.

- Szatan istnieje. Istnieje jako cień czy odwrotność boskości w chrześcijańskiej wizji świata, ale przede wszystkim jako duchowy archetyp w społeczeństwie - tłumaczy Palacz. Podkłada pod ostrze scyzoryka płomień zapalniczki gazowej i zlewa olejek z czubka noża do tytoniu.

- Szatan to solidny towarzysz i fajny typ, ale nie jest ani początkiem, ani końcem diabolicznego chaosu, działającego za kulisami mizernej scenografii, w której tańczy ludzkość.

- Między tobą a pierwszym lepszym wyznawcą Jezusa nie ma żadnej różnicy! - Jon Karl śmieje się Palaczowi w twarz. - Wywróciłeś wszystko do góry nogami! I tyle! Ta sama gorliwość, to samo kredo, to samo puste spojrzenie, ten sam egzaltowany ton, to samo głupkowane przekonanie o własnym bezpieczeństwie i pewnej zgubie pozostałych!

- Ty, czegoś nie rozumiesz... - Palacz odkłada od siebie zapalniczkę i scyzoryk.

- Wiem i rozumiem, że życie nie ma sensu i po jego zakończeniu nic się nie zaczyna! - przerywa gospodarzowi Jon Karl. - Dobro i zło to tylko pojęcia, Bóg i Diabeł nie istnieją, widzimy jedynie to, co istnieje, i nic za tym nie stoi... nic! Nawet ciemność czy śmierć!

- Dobrze, dobrze. - Palacz uśmiecha się, niczym nauczyciel świadomie prowokujący ucznia, by ten mu się zwierzył. - Ale czy nicość może istnieć bez bytu? Czy z naukowego punktu widzenia możliwe jest, by nic przejęło coś, co jest, i to nie stając się czymś?

- Nie chce mi się gadać z ludźmi, którzy... - Jon Karl przesuwa na bok kilka pozbawionych okładek tomów po angielsku, niemiecku i francusku - ...z ludźmi, którzy nie mają nic innego do roboty, tylko czytać jakieś pieprzone książki!

- Nic, czyli to, co nie istnieje, może funkcjonować jedynie jako cień czegoś, co i s t n i e j e - mówi Palacz i zaczyna

podgrzewać tytoń nad płomieniem jednej ze świeczek. - Jeśli coś, co i s t n i e j e, znika, nie oznacza to, że następuje coś, co nie istnieje, bo jednocześnie znika n i c. Nicłość funkcjonuje jedynie jako nieświadome zjawisko na powierzchni albo w cieniu stanu istnienia.

- Człowieku, gadaj po islandzku! - upomina go Jon Karl, któremu ślina zaczyna cieknąć, jak tylko olejek haszyszowy powoli rozgrzewa się na folii aluminiowej.

- Nic zapożycza swój byt od samego istnienia. - Palacz miesza aromatyczny tytoń brudnymi palcami.

- Widzę, że się w to wgłębiłeś - mamrocze Jon Karl.

- No - uśmiecha się Palacz.

- Ale jeśli n i c jest uzależnione od istnienia - odzywa się Jon Karl po krótkim namyśle - to czy w takim razie nie można powiedzieć, że istnienie jest uzależnione od niczego? No bo wiesz, inaczej nie byłoby istnieniem! Bo to właśnie n i c oddziela istnienie od, no wiesz... nieistnienia, prawda?

- Nooo. - Palacz wzrusza ramionami.

- No bo wiesz... - Jon Karl prostuje plecy. - Jedyne, co powoduje, że istnienie jest istnieniem, to fakt, że nie jest niczym!

- No taaaa - Palacz usiłuje się nad tym zastanowić, mieszając nad płomieniem tytoń z olejkiem. - Może...

- Tak więc n i c istnieje! - podsumowuje Jon Karl i szeroko się uśmiecha. - Tak naprawdę to jest podstawą wszystkiego, co istnieje! Kiedy coś, co istnieje, znika, to znika również n i c! Sam to powiedziałeś! A to, co może zniknąć, może również być! No bo inaczej nie mogłoby zniknąć! Tak że jeśli

to, co widzimy i nazywamy światem, jest jedynym prawdziwym istnieniem, to wtedy n i c najpewniej żyje w jego cieniu, istnieje jako jego cień i panuje poza nim, obok niego i wokół niego! Tam, gdzie kończy się to całe istnienie, zaczyna się nic! A teraz stul pysk!

- Tak, ale... - Palacz chrząka. - Ale to nie zmienia faktu, że kiedy znika istnienie, znika także nic.

- I co zostaje? - uśmiecha się Jon Karl. - Nic?

- Co z punktu widzenia logiki jest błędne - tłumaczy najspokojniej w świecie Palacz. - To dowodzi, że podstawa istnienia nie zniknie. Nie może, z filozoficznego punktu widzenia. Ale - notabene - on się jeszcze zmieni! Tak jak dzień staje się nocą, tak...

- Ale dopóki to, co istnieje, i s t n i e j e, istnieje także n i c!
- Jon Karl z triumfalnym uśmiechem rozpięra się na sofie. - Jak dwie strony tej samej monety! End of story!

- W porządku - zgadza się Palacz, beztrąsko pociągając nosem. - Ale skoro zgadzasz się na określony obraz świata, który zakłada z jednej strony istnienie, a z drugiej nicość, musisz przyznać, że jest jakiś cel, który...

- Życie nie ma celu! - Jon Karl ucisza gospodarza kłującym spojrzeniem i bezczelnym kiwnięciem ręki. - W naturze nie istnieje nic, co można by określić jako cel wyższy. Cel to tylko puste słowo, którego ludzkość używa wyłącznie do wytłumaczenia takich czy innych własnych postępów. Kropka!

- To może delikatne uproszczenie. Ciasny punkt widzenia, poglądy niewyważone, czarno-biały ogląd świata... ale wcale

nie jesteś taki głupi! - wyrokuje Palacz, przywołując na twarz konwencjonalny uśmiech. - Od razu widziałem, że w twoich oczach tli się jakiś błysk. Coś, co...

- Spoko, facet! - Jon Karl podnosi się z sofy i strzela z palców przed twarzą Palacza. - Snap out of it! Żadnego takiego gadania ja - ty, co?

- Sam się uspokój - mamrocze Palacz i staje się nagle jakiś mały i nędzny. Ściera uśmiech z twarzy i od tej pory udaje, że nie zauważa gościa, i koncentruje się na mieszaniu podgrzanego tytoniu i rozpuszczonego olejku haszyszowego.

- Słuchaj, a powiedz mi... - Jon Karl chrząka. - A kiedy po raz pierwszy zainteresowałeś się tymi całymimi... tymi czarami?

- Kiedy? - zastanawia się Palacz, zezując na niego podejrzliwie kruczymi oczkami.

- No. - Jon Karl ziewa, okazując brak zainteresowania.

- „O, niech ta noc bezpłodną się stanie i niechaj nie zazna wesela!” - z zacięciem aktorskim drżącym głosem cytuje Palacz. - „Niech ją przeklną złorzeczący dniowi, którzy są zdolni obudzić Lewiatana”.*

- Tia - mówi Jon Karl i bębni palcami o blat stołu.

Co go podkusiło, żeby zapytać?

- Tak powiada Hiob w Starym Testamencie - wyjaśnia Palacz, upychając zmieszany z olejkim tytoń do krótkiej fajki z czarnego drewna. - Ów Lewiatan, o którym wspomina w swojej Skardze, przeklinając noc, w której przyszedł na świat, to hebrajskie słowo oznaczające Tiamat, węża lub smoka, który zwija się w otchłani i przez wieki, przez

tysiąclecia był czczony i wysławiany przez wyznawców Cthulhu.

- No właśnie. - Jon Karl kiwa głową.

- Od chwili kiedy przyszedłem na ten świat, należę do tych nielicznych, którzy walczą z większością. - Palacz naciska kciukiem na cybuch fajki. - „Niech dzień ten zamieni się w ciemność”*, że ponownie zacytuję Hioba. Nic innego jak tylko nieszczęścia i pustka towarzyszą tym, którzy znają prawdę i potrafią przejrzeć na wylot pajęczynę kłamstw historii ludzkości!

- Nie masz czasami zamiaru przypalić? - denerwuje się Jon Karl, któremu zaschło już w ustach i krtani i który łapczywie pragnie się zaciągnąć.

- Pytałeś - odpowiada Palacz. Silniej dociska kciuk do cybucha i najspokojniej w świecie patrzy prosto w oczy gościa, który całkiem już traci cierpliwość. - I mam zamiar opowiedzieć ci o odwiecznych siłach, które były czczone i zapraszane na spotkanie z ludzkością długo przed nastaniem kabały i pierwotnego chrześcijaństwa. Mam zamiar opowiedzieć ci o Wielkim Przedwiecznym ze świętych pism Sumeryjczyków, a jest to najstarsza cywilizacja, która zbudowała swoje państwo w Sumerze, tam, gdzie dziś rozciąga się Irak, a wcześniej była Mezopotamia. Z jakichś powodów ten wspaniały lud zniknął z powierzchni ziemi, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, lecz ich język nadal szeptem w Cieniu poza Czasem, a w zaułkach Zachodu znaleźć można pradawne rękopisy opowiadające o owych bezbożnych, przerażających siłach czekających za Bramą,

gotowych przebić się i ponownie zdobyć władanie nad światem.

- Tak, tak! - Jon Karl strzela palcami. - Zapal wreszcie tę pieprzoną fajkę!

- All good things for those who wait! - Palacz uśmiecha się zadziornie. - Tym razem to Hannibal Lecter, a nie Hiob.

- Ostrzegam cię! - majtek grozi Palaczowi palcem.

- Jeśli nie dasz trochę na luz, napluję do fajki, zamiast ją przypalić - te słowa Palacz wypowiada z udawaną pewnością siebie.

Głos mu drży. Głęboko wciąga powietrze i prostuje plecy, jak człowiek, który bohatercko idzie na spotkanie ze śmiercią.

- To wtedy ja urwę ci łeb i wrzucę do piekła! - Jon Karl wali pięścią w stół tak mocno, że książki podskakują, a płomienie świec przygasają.

- A w piekle radośnie huczy ogień - wtrąca Palacz i z uśmiechem zapala zapałkę. - Ponieważ w gorliwości swojej dorzuciłem węgla dla Przełożonego!

- Zapal fajkę, dobrze? - wzdycha Jon Karl. - Potem możesz sobie dorzucać węgla w piekło aż płomienie nie sięgną dupy Boga.

- Ha, ha! Kurewsko niezłe! - mówi Palacz i przysuwa płomień do fajki, a fajkę do warg, po czym zasysa ogień do tytoniu, a dym do płuc. Od czasu do czasu wybucha przy tym lodowatym śmiechem. - Dupy Boga! Ha, ha! Ogień sięgający niebios! Ha, ha!

- Tak, tak - denerwuje się Jon Karl i wyciąga prawą dłoń. -

No już, dawaj fajkę!

- Ha, ha! Chociaż ludziom Kościoła udało się odwrócić obraz do góry nogami i nakłonić tłuszcę, by uwierzyła, że Diabeł jest nie wyższy od Boga, że siedzi tam na dole i w rzeczywistości jest tylko cieniem boskości, a jego jedyne zadanie polega na kuszeniu człowieka i karaniu go, to prawda jest zgoła inna - mówi Palacz na wdechu i podaje Jonowi Karłowi gorącą fajkę. - Dzieje stworzenia według Sumeryjczyków uznają uosobienie zła za najstarsze ze wszystkich pradziejowych bóstw. Chrześcijaństwo wmawia nam, że Lucyfer był buntownikiem w niebie i popadł w niełaskę u Boga, który miał go zesłać na ziemię, by go ukarać, dać mu nauczkę i poniżyć.

- No właśnie - mruczy Jon Karl zamyślony, zaciągając się gęstym, ciężkim dymem, który wypełnia go niczym gorąca chmura.

- Ale prawda jest taka, że przyszły stwórca świata i ojciec chrzestny ludzkości wzniecił bunt wśród starych bogów, wziął i zaszlachtował najstarszego z nich, i z jego ciała stworzył wszechświat, a było to ciało przerażająco wielkiego węża - powiada Palacz, wydmuchując nosem dym. - Potwierdzają to nasze islandzkie Eddy, opowiadające o zamordowaniu praolbrzyma Ymira przez synów Buriego. I ciało Ymira rzucili na środek otchłani Ginnugap i uczynili z jego ciała ziemię, a z jego krwi morza i jeziora, zaś z kości góry. Potem tchnęli swego ducha w martwe ciało i ulepili dwie żywe kukły, mężczyznę i kobietę, całą ludzkość.

- Dobrze - pomrukuje Jon Karl z przymkniętymi powiekami.

Dym wypełza mu z otwartych ust niczym wąż bez ogona.

- Dlatego od aktu tworzenia ludzkość na wieki znajduje się między młotem a kowadłem. - Uśmiech wykrzywia twarz Palacza. - W naszych żyłach płynie krew wrogów, owych złowieszczych i przerażających prastarych bóstw, które nie żyją, ale śnią, podczas gdy duch jest darem dawnych bogów, stwórcy wszechświata, przewodników i opiekunów ludzkości, owego dziecinnego pomiotu Zła i Świętego Ducha.

- Masz. - Jon Karl podaje Palaczowi fajkę.

- Lecz wąż, który nie żyje, ale śni, czai się w nieskończonym kosmosie i najczarniejszej otchłani, którą nauki zwą ludzką podświadomością - ciągnie Palacz. Przyjmuje fajkę z rąk Jona Karla i zaciąga się dymem. - Ów potwór skręca się i obraca niczym spirala... jak drogi mleczne wszechświata... jak wąż, wirujący w nas wszystkich, przez uczonych zwany kodem życia... DNA.

- Tak, tak, drogi przyjacielu. Gadaj sobie zdrów, ile ci tylko sił starczy - bełkoce Jon Karl, przejmując fajkę. Opiera się wygodnie o oparcie sofy i zaciąga ciężkim dymem. Dym kręci się niczym spirala i zamienia się w węże, potwory i nieskończone drogi mleczne... które gromadzą się nad ogniem i wtapiają się w pozbawione sensu opowieści Palacza, przybierają coraz to nowe kształty, tańcząc z własnymi cieniami pod sufitem kajuty...

- ...i jest to historia, która zaczyna się w ciemnych zakamarkach duszy ludzkiej, snuje się poprzez mroczne, faliste doliny i kończy na kontynencie wiecznej zimy, gdzie śmierć rządzi od czterdziestu milionów lat, a groźne góry

podobne są do opuszczonych pałaców królewskich w upiornej poświacie jutrzni...

- Przestań już gadać - mamrocze Jon Karl i odkłada fajkę na stół. Głowę ma pełną gorącego mroku, a jego bezwładne ciało zapada się w sofie. Dym wędruje do krwi niczym żarzący się syrop, do krwi, która jest ciężka jak ołów i brązowa jak stopiona czekolada... Koszmarne obrazy z jego żoną i córeczką natrętnie oblepiają jego mózg jak komary w upalny dzień na wschodzie... zgniłe ciało, stęchła krew i zatrute bakteriami oczy, które ronią żelazne opiłki...

- Ale ich dzień nadejdzie. Będzie to dzień, w którym otworzy się brama i do skazanej na zagładę ludzkości dotrze wreszcie potworna prawda. Krótkowzroczna ludzkość przebudzi się wreszcie ze złego snu. Uważała bowiem, że płyńie statkiem ku postępowi i świetlanej przyszłości, a tak naprawdę przez tysiące lat kręciła się w koło. To okręt szaleńców, sterowany przez wariatów zapatrzonych w gwiazdy, dających się zepchnąć prądom na Oceanie Wieczności. Wtedy po raz pierwszy sięgnie się po nowych sterników do szpitali psychiatrycznych i rynsztoków wielkich miast, ale już będzie za późno.

- Co... jaki statek? - Jon Karl lekko uchyla powieki.

- Są tam zawsze, zawsze... na wieki - szepce Palacz i chichocze spod zarostu. - I Cthulhu wzywa!

- Nienawidzę tego statku - mruczy Jon Karl, znów zamykając oczy.

- Ten statek jest przeklęty! - Palacz podnosi głos. - Na początku nazywał się „Noon”, ale pod tą nazwą zyskał sobie

złą sławę z powodu policyjnego śledztwa w sprawie dwóch zabójstw i trzech samobójstw, jakie zdarzyły się w przeciągu ponad dwóch lat.

Cisza.

- Czternasta litera alfabetu hebrajskiego to N, czyli Nun, wymawiane jak Noon. Nun to trzynasty atut tarota, bo pierwszy nosi numer zero. Litera Nun w kabale oznacza jedyną rybę, która pływa w wielkim oceanie i nosi w swoim brzuchu wszystkie istoty, a atutem trzynastym jest śmierć.

- Muszę się zbierać. - Jon Karl wstaje z miejsca. - Muszę się położyć. Mdli mnie... Nie jadłem od...

- Statek może nie jest taki zły, tak, „Per Se” - uśmiecha się Palacz. - Ale ugina się pod ciężarem złego!

- Ale z ciebie nudny kompan - mamrocze Jon Karl i spogląda na zegarek. Widzi, że za dwie minuty będzie druga. Następnie przeciska się wzdłuż sofy. Musi jednak chwycić się blatu, żeby nie upaść, kiedy statek opada głęboko w dół.

Bom, bom, bom...

- Człowiek ma ochotę na zimny prysznic po rozmowie z tobą - mówi Jon Karl, opierając się o stół, narożniki i ściany, kiedy posuwa się w kierunku drzwi.

- Słuchaj no, towarzyszu! - woła Palacz i chwyta fajkę, zanim ta zsunie się ze stołu. - Miałem jeszcze zapytać cię, jak się nazywasz.

- Ze trzy razy wymieniłeś dziś moje imię - odpowiada Jon Karl po krótkim namyśle. - Tak że sam pewno możesz je odgadnąć.

- Co? Jak? - pyta Palacz i cały zamienia się w słuch. Drapie się w rozczochraną głowę. - Jak się nazywasz?

W odpowiedzi słyszy tylko trzask drzwi do kajuty, kiedy Jon Karl zamyka je za sobą.

XV

04:10

Twarcz sternika Jonasa stała się przeźroczysta, niemal sina. Rozgląda się wokół oczami, które tak długo czuwają, że nie są już w stanie się poruszać i przypominają szklane oczy wypchanego zwierzęcia.

- Co to ma znaczyć? - pyta schrypnięty, kiedy Jon Karl w końcu zjawia się na mostku. - Już pięć po czwartej! Miałeś się zjawić na wachcie punktualnie o trzeciej! Jon wpadł w szal! Mówił, że urwie ci jaja!

- Uspokój się, stary - bełkotliwie mamrocze majtek i posuwa się po omacku w ciemnościach, czerwonoooki, na płaczących się nogach. - Położyłem się tylko na chwilę. Wpłynęliśmy w tym czasie na górę lodową?

- Tylko bez żartów! Tutaj od ludzi oczekuje się, że...

- Mamy coś do żarcia? - pyta Jon Karl i łapie za uchwyt jakiegoś urządzenia na środku mostka.

- Człowieku, ty śmierdzisz haszem! - Jonas załamuje ręce. - Byłeś u Palacza?

- Nie wiem - uśmiecha się Jon Karl bezradnie. - Albo w piekle. Nie jestem pewien.

- No to nieźle musi być ogłuszony tam, w maszynowni - wzdycha Jonas.

- To wolno u was jarać hasz? - pyta Jon Karl, zdziwiony tak łagodną reakcją sternika.

- Ten statek jest własnością Arabów. Pozwalają na hasz, ale absolutnie zakazują alkoholu - tłumaczy Jonas, wzruszając ramionami, jakby nie rozumiał takich zarządzeń Arabów. - Ale to nie znaczy od razu, że ludzie mogą chodzić naćpani w czasie służby.

- Go muslims! - Jon Karl wybucha cichym śmiechem.

- Mamy tu kawę i ciastka - Jonas wskazuje głową ciemny kąt w tylnej części mostka. - Postaraj się trochę odświeżyć.

- Mogę zapalić światło? - pyta Jon Karl, posuwając się wzdłuż ścian w kierunku skrzydła mostka na bakburcie, które jest wielkości niedużego loftu.

- Nie - zakazuje mu Jonas i zajmuje miejsce w fotelu kapitańskim. - Wtedy byśmy nic nie widzieli na zewnątrz.

Przy ekspresie do kawy przymocowanym do ściany obok niedużego zlewu żarzy się czerwona lampka. Szklany dzbanek pełen jest gorącego płynu.

- Pięknie - mamrocze Jon Karl i wypełnia do połowy kubek czarnym naparem, po czym wrzuca doń dziesięć kostek cukru i uzupełnia mlekiem, które wyjmuje z niewielkiej lodówki pod stołem. Następnie z szafki nad zlewem wyciąga paczkę ciastek.

Na długim stole po przekątnej, naprzeciwko wnęki z kawą, znajdują się dwa ciemne monitory, dwie klawiatury, dwie drukarki, trzy silne radiostacje, radio długofalowe i jakiś

telefon, który, podobnie jak monitory i radiostacje, wbudowany jest w specjalnie skonstruowany stół z lakierowanego drewna.

- To normalny telefon? - pyta Jon Karl i wskazuje głową czarną słuchawkę, walcząc z falującymi ruchami statku z kubkiem kawy w jednej i paczką ciastek w drugiej.

- Telefon satelitarny i teleks - instruuje go Jonas, mrugając wyschniętymi oczami. - Mamy tu też telefon NMT, ale nie zawsze działa.

- Przypomnij mi, żebym potem zadzwonił do domu. - Jon Karl odstawia kubek i ciastka na parapet na bakburcie, skąd rozciąga się widok na rozświetlony pokład pogodowy i dziób statku, który opada w dół, łamie falę, a ta wystrzela wysoko do góry.

Bom, bom, bom...

Słony prysznic zalewa statek, od dziobu aż po rufę.

- Słuchaj - odzywa się oschle Jonas i schodzi z fotela kapitańskiego. Z kieszeni koszuli wyjmuje książeczkę czekową. - Wypisałem ci czek.

- Czek? - dziwi się Jon Karl, siadając na krześle pod oknem.

Na parapecie, na sprężynowej nóżce, stoi nieduża figurka

Chrystusa z rozłożonymi ramionami i dłońmi skierowanymi do przodu. Patrzy przez szybę pomalowanymi na czarno plastikowymi oczami.

- Tak - mówi Jonas, wyrywając wypisany czek z książeczki.

- Na te twoje pięć milionów. Chyba że żartowałeś?

- Nie - zapewnia go Jon Karl i przyjmuje czek. Patrzy na

niego chwilę, składa go i chowa w prawej kieszeni spodni. – Ale to nie jest zbyt godny zaufania środek płatniczy. Sam chyba rozumiesz?

– Przecież teraz nie pójde do banku. – Jonas załamuje ręce.

– Mógłbyś zadzwonić. – Drugi majtek otwiera paczkę z ciastkami. – Zrobić przelew.

– Najpierw muszę sprzedać dom – wzdycha Jonas. – Nie możesz skeszować tego czeku, dopóki nie wrócimy na Islandię.

– Lepiej dla ciebie będzie – mówi Jon Karl, przełamując ciasteczko i wkładając jego połowę do lepkiego od cukru zabielenego mlekiem płynu – żeby się nie odbił!

– To już moja broszka – bąka Jonas z chmurnym czołem.

– Zabiłeś go? – pyta Jon Karl i wkłada nasiąknięte ciastko do ust.

– Kogo? – sztywnieje Jonas.

– Tego twojego szwagra. – Jon Karl mlaszcze głośno.

– Nie... Ja... – Jonas robi się fioletowy wokół nosa i ust, zupełnie jakby się dusił.

– Wyluzuj, człowieku! – Jon Karl śmieje się cynicznie. – Jak by mi, kurwa, nie było wszystko jedno!

– Ja jestem tylko słabym człowiekiem – tłumaczy się Jonas oddychając szybko jak rozhisteryzowana owca. – Za to ty jesteś diabłem w ludzkiej postaci.

– Whatever. – Jon Karl spokojnie macza drugą połówkę ciastka w kawie. – Ja przynajmniej nie muszę sprzedawać swojego dobytku, żeby uciszyć ludzi, którzy nie wiedzą nawet, na jaki temat mają milczeć, nie?

- Ty... - zaczyna Jonas, lecz nie starcza mu wyobraźni i sił, by prowadzić tę bezsensowną wymianę zdań z człowiekiem, któremu i tak wszystko zwisa.

- Mówiłeś, że płyniemy do Sumerii? - pyta Jon Karl, przełamując drugie ciasteczko.

- Surinamu - poprawia go Jonas i pociera spuchnięte oczy obiema dłońmi.

- No właśnie - mamrocze Jon Karl i patrzy zamyślony przez okno, w ciemność panującą na zewnątrz. Wkłada drugą połówkę ciastka do przesłodzonej kawy. - Ale nie widać, żebyśmy w ogóle się poruszali, ani trochę.

- Słuchaj - mówi Jonas. Chrząka. - Idę do kibla. Ty czekaj tu spokojnie.

- Bardzo spokojnie. - Jon Karl ciamka mokre ciastko.

- Tylko pamiętaj, żebyś nacisnął guzik dzwonka przyzywowego - instruuje go Jonas, wkładając starą kurtkę z kapturem z logo armatora na piersiach i na plecach. - Nic więcej nie musisz robić.

- Jasne. - Jon Karl dalej łamie, moczy i je ciasteczka.

- To jest to tutaj urządzenie - Jonas pokazuje mu dzwonek przyzywowy. - Kiedy zamruga światelko i odezwie się sygnał, musisz nacisnąć przycisk w ciągu piętnastu sekund. Inaczej obudzisz kapitana.

- Jasne. - Jon Karl wstaje, żeby dolać kawy do kubka.

- To tutaj urządzenie. - Jonas ciągle wskazuje nieduży, szary nadajnik.

- Człowieku, pójdiesz wreszcie srać? - pyta Jon Karl, spoglądając w końcu na sternika.

- Co? - Jonas mruga oczami.
- Kurtka - uśmiecha się Jon Karl.
- Tak - chrząka Jonas. - Może człowiek po drodze nareszcie się przewietrzy.
- To może byś już poszedł? - Jon Karl ponownie zajmuje krzesło przy oknie. - Można osiwieć od słuchania tych twoich pierdół. Jesteś nudniejszy niż ten mechanik od haszu.
- Pamiętaj tylko o dzwonku przyzywowym. - Jonas zaciąga zamek kurtki. - Za dziesięć minut odezwie się sygnał.
- Jasne. - Jon Karl przełamuje ciasteczko na pół.
- No to lecę - mruczy Jonas i znika w ciemnościach. Kiedy zamyka za sobą drzwi, słyhać trzaśnięcie, potem rozlega się szcęk, gdy otwiera wejście na podest na tylnej ścianie sterówki i wpuszcza wiatr na schody.

Jon Karl siedzi przy oknie na mostku, pije kawę, je ciastka, wygląda na zewnątrz i obserwuje ruch statku w górę i w dół, statku, który płynie przez kipiącą ciemność, niezmienną, choć nigdy jednakową.

Ciemność nocy, ocean i spiętrzone chmury, wszystko to razem wywołuje piekielne wrażenie, stapiając się w jedną, ponurą, nabrzmiałą całość, która z wysokości mostka przypomina pionowy wir obracający się w lewo, ani nie powiększający się, ani się nie zmniejszający, ani coraz płytszy, ani głębszy.

W tych ruchach statku jest coś uspokajającego, to współbrzmienie sił natury, huku maszyn i tysięcy ton stali. Jest coś hipnotyzującego w tym rytmicznym metrum, podtrzymującym wolny taniec ku nieskończoności,

niepowtarzającym ani razu tej samej wariacji klasycznej melodii.

Uderzenia, rezonujące wzdłuż kadłuba statku po pocałunku stępki z falą, nie dudnią już echem w głowie, lecz pompują słoną krew w rytm słabego serca maszynowni:

Bom, bom, bom...

Zanim skończy się ten rejs, z pewnością znikną z powierzchni odczucia i zleją się w jedno z cichym tykaniem zegara życia.

Jon Karl siedzi bez ruchu i w milczeniu patrzy przez okno, jak orzeł spoglądający z wysokiej góry lub zgoła jak sama góra.

Minęło co najmniej dwadzieścia lat, od kiedy tak siedział bez ruchu, spokojny, beczynny i pozwalał myślom błądzić. On, który nie jest w stanie dotrzeć do końca seansu w kinie bez odbycia kilku rozmów telefonicznych, przygotowania sobie czegoś do żarcia, wyjścia do toalety, jedzenia, picia i szybkiego przeanalizowania wszystkich rozmów.

Jest coś niesamowitego w tym siedzeniu na zaciemnionym mostku i obserwowaniu ogromnego frachtowca płynącego w ciemnościach. Człowiek czuje się jak odkrywca, kosmonauta albo nawet sam Bóg wszechmogący, podróżujący po oceanie ducha poza czasem i przestrzenią.

Jon Karl pozwala statkowi kołysać się w zapomnieniu, czuje, jakby jego dusza się zbudziła i szybowała coraz wyżej, podczas gdy senne ciało zapada się coraz głębiej. To sama rozkosz tak spać na jawie i czuwać we śnie, i Jon Karl czuje się tak, jakby mógł siedzieć tam całą noc, całe życie, na wieki

wieków.

Ale po czterech minutach zaczyna mu się nudzić.

Kapitan Gudmundur leży w kajucie pod kołdrą, dyszy jak wieloryb i przewraca się z boku na bok. Nie może zasnąć.

Światło w łazience się świeci i drzwi do niej zostawił otwarte, po to tylko, żeby trochę rozrzedzić mrok, który ogarnia go niczym gęsty olej i napełnia głowę ciężkimi myślami. Musi także co pół godziny sikać, niezależnie od tego, czy śpi, czy nie, a w takiej sytuacji lepiej mieć zapaloną żarówkę.

04:27

Elektroniczny zegar wpatruje się w niego czerwonymi cyframi, które wyglądają jak połamane i nic nie znaczą, dopóki 06:59 nie zmieni się w 07:00.

Wtedy kapitan Gudmundur Berndsen wstanie z łóżka, weźmie gorący prysznic i ogoli się. Nieważne, czy spał w nocy, czy nie zmrużył oka.

04:28

Za każdym razem, kiedy Gudmundur zamyka oczy, widzi twarz swojej żony, Hrafnhildur. Patrzy na niego, jakby czekała, aż coś jej powie. Co ma powiedzieć? A może chce mu dać do zrozumienia, że czegoś zapomniał? Czego zapomniał?

Pocałował ją na pożegnanie? Nie pamięta! To wszystko razem było takie dziwne, tak trudne. Czy zostawił kopertę?

Tak, zostawił kopertę.

Coś mu powiedziała? Nic. A może jednak?

Ciekawe, czy przyjedzie? Może nie. Najprawdopodobniej

nie. Ciekawe, czy będzie w domu, kiedy wróci z rejsu? A może odejdzie od niego? Czy w domu będzie widno, czy ciemno? Ma nadzieję, że będzie widno. Ale obawia się, że będzie ciemno.

04:29

Cisza jest nieznośna. Więcej niż nieznośna. Doprowadza go do szaleństwa!

Ileż dałby za to, żeby do niego przyjechała! Ileż dałby za to, żeby ją teraz mógł pocałować! Albo tylko dotknąć jej dłoni! Poczuć jej oddech! Ciepło jej ciała!

Gdyby tylko mógł usłyszeć jej głos! Nawet jeśli miałyby go tylko zrugać!

O, jakże cudownie by było, gdyby teraz chociaż go zrugowała!

- Muszę zadzwonić jutro do domu - mruczy pod nosem i wzdycha, przewracając się na drugi bok.

Z samego rana!

04:30

Czerwone światło mruga na ścianie przy drzwiach kajuty, a potem co trzy sekundy odzywa się głośny dzwonek, co oznacza, że mostek został bez nadzoru. Jeśli ludzie zapominają się podczas wachty w maszynowni albo tracą w niej przytomność, albo przestaje pracować główny silnik, wtedy dzwonek dzwoni co sekundę.

A jeśli na statku pojawi się ogień, wówczas wszystkie dzwonki dzwonią naraz.

- Co jest, do diabła! - Gudmundur siada na łóżku i patrzy badawczym wzrokiem na kamienną twarz cyfrowego zegarka:

04:30

- Co ten Jonas sobie myśli? - denerwuje się Gudmundur i zrzuca kołdrę. Wyskakuje z łóżka w slipkach i podkoszulku. Nie miał jeszcze siły rozpakować walizki, ale zdążył poustawiać w łazience kosmetyki i powiesić szlafrok.

- Cholerny leń! - Gudmundur wkłada szlafrok, ale ponieważ nie może znaleźć kapci, na bosaka biegnie na mostek.

- Halo! - krzyczy Gudmundur, wbiegając na mostek, ale nikt mu nie odpowiada. Natychmiast podchodzi do dzwonka przyzywowego i naciska guzik. Światło przestaje mrugać, a dzwonek milknie.

- Co tu się, psiakrew, dzieje! - Gudmundur robi się czerwony na twarzy i jest tak wściekły, że ręce mu się trzęsą, a język staje kołkiem.

Sprawdza wszystkie urządzenia kontrolne, żeby zorientować się, z jaką prędkością płyną. Kurs trzymają właściwy, główny silnik pracuje pełną parą, nigdzie nie mrugają żadne światła ostrzegawcze. Ale co to?

Ekran radaru jest czarny jak noc na zewnątrz!

- Co u...? - klnie pod nosem Gudmundur i szybko oddycha przez nos. Puka w monitor, naciska wszystkie guziki i kręci do oporu potencjometrem w prawo, ale wszystko na nic. Zamiast promienia światła ciągnącego za sobą poświatę, który ma zataczać kręgi wokół statku na ekranie, widzi tylko ciemne, zakurzone szkło, upstrzone odciskami palców.

Co się dzieje?

- Po prostu brak mi... - Ociera czoło spoconą dłonią, po

czym odrywa wzrok od ciemnego monitora i przenosi go na lokalizator GPS wielkości radiobudzika, z którego odczytuje dokładną pozycję statku, wyświetlaną za pomocą czerwonych cyfr na czarnym ekranie:

55⁰N 32⁰W

- No, przynajmniej jesteście... - mówi Gudmundur i oddycha lżej. Lecz urywa w pół zdania, kiedy czerwone cyfry nikną z czarnego monitora lokalizatora GPS.

- Co, do...? - Gudmundur czuje klucie w sercu. Puka w urządzenie, kręci pokrętłami w lewo i w prawo, ciągnie za kabel, pstryka w monitor, lecz cyfry nie powracają. - Co, do wszystkich diabłów, się dzieje?

- JONAS! - krzyczy Gudmundur i wali pięściami w stół z urządzeniami nawigacyjnymi, ale nie słyszy żadnej odpowiedzi.

Bierze głęboki oddech i stara się uspokoić, kręci głową w jedną i w drugą stronę, w myślach liczy do pięćdziesięciu. Idzie pod tylną ścianę, nalewa do swojego kubka czarnej kawy, dolewa mleka i siada w fotelu kapitańskim. Stara się uspokoić i bębni palcami lewej dłoni w podłokietnik fotela, popijając przegrzaną kawę.

- Niech to szlag trafi! Muszę zbudzić kogoś, żeby mnie zmienił - mówi Gudmundur do siebie po chwili. Schodzi z fotela, lecz nagle się zatrzymuje i zaczyna nasłuchiwać. Otwierają się drzwi i ktoś wchodzi na mostek. Ktoś zatrzymuje się koło wnęki z szafą na mapy, żeby złapać oddech. Ów człowiek kicha jak pies i wciąga do nosa zimne krople deszczu.

- Kto tam? - pyta chłodno kapitan i robi dwa kroki w przód, mając mord w szeroko otwartych oczach.

XVI

04:17

Sternik otwiera drzwi na podest na tylnej ścianie sterówki. Kiedy deszcz i wiatr uderzają go w twarz, mruży oczy i cofa się dwa kroki. Lewą ręką chwyta się framugi, prawą mocno trzymając się klamki. Przekracza próg i wychodzi na podest. Za trzecim razem udaje mu się w końcu zatrzasnąć za sobą drzwi.

O wiele łatwiej jest ustać na żelaznym podeście niż w przeciagu w drzwiach, ale i tak Jonas ma spore kłopoty, żeby utrzymać pion. Zmuszony jest puścić zimną i mokrą poręcz, by zawiązać kaptur pod szyją, a wówczas ślizga się i pada na plecy, uderzając potylicą w ścianę sterówki.

- Święta Mario, Matko... - mruczy i obraca się na brzuch. Przez kratę podestu widzi żelazne schody ciągnące się w dół na pokład B, po czym zauważa pod sobą rufę, podskakującą niczym pokrywka na garnku, w którym czarownice gotują truciznę.

Zbiera się na nogi, trzymając się kurczowo lodowatego żelastwa, i wspina po gretingu* prowadzącym na dach mostka. Gładki, pomalowany na zielono dach ogrodzony jest

takim samym relingiem, co schody na tyłach sterówki.

Na końcu dachu, tuż nad schodami, wznosi się dwunastometrowy maszt radarowy i oświetleniowy, wyposażony w dwa skanery radarowe i trzy anteny dla telefonów komórkowych i radiostacji oraz wymagane przez prawo morskie światła. Wysoko na maszcie, który ma kształt zwężającego się ku górze trójkąta, osadzone są dwa podeściki z barierkami, niższy dość obszerny, wyższy o połowę mniejszy. Jonas wspina się wolno i ostrożnie po pionowym gretingu pośrodku konstrukcji masztowej, starając się, o ile to możliwe, nie patrzeć w dół. Tak wysoko ponad powierzchnią morza statek przechyla się o wiele bardziej. Jonaszem buja w przód i w tył tak szybko, że aż przewracają mu się wnętrzności i czuje gorączkę w głowie. Ruchy na boki stanowią tak potężną siłę, że mokre stopnie niemal wysuwają mu się z rąk, gdy zaś statek opada na fali, wydaje mu się, że mięso odchodzi mu od kości, a cała krew spływa do stóp. Jonas wspina się aż pod dolny podest, ale nie starcza mu odwagi, by na niego wejść. Deszcz chłoczce go niczym mokra szmata, a wiatr miota nim jak chorągiewką, targa za przemokniętą kurtkę i wciska wodę w oczy i nos. Spodnie kleją się do ud, buty napełniają wodą, ręce czerwienieją, a palce sztywnieją niczym grube gumowe węże. Przed Jonaszem znajdują się dwie poziome żelazne rurki, a z ich końców wystają izolowane druty, które pociągnięto w górę i które łączą się między innymi z diafonem*, z małymi czerwonymi światłami mrugającymi na maszcie, kręcącymi się w koło na wietrze skanerami

radarów i z antenami wycelowanymi w czarne niebo niczym długie iglice. Jonas oplata lewym ramieniem konstrukcję masztu, a prawą ręką wyciąga z kieszeni kurtki okazałych rozmiarów kombinerki z żółtymi rączkami.

Chce tylko przeciąć przewody anten, ale nie wie, które druty są z nimi połączone, więc żeby mieć pewność, zmuszony jest przeciąć wszystkie kable, choć wie, że statek nie powinien być pozbawiony kontaktu ze stacjami radarowymi. Przewody są twarde i mokre, sztywne kombinerki ślizgają się w szczupłej, wyziębionej dłoni. Jonas w skupieniu mruży oczy. Nie może upuścić cęgów i nie może puścić masztu. Przewody, jeden po drugim, zostają przecięte, palce lewej ręki ślizgają się na mokrym żelastwie, oczy zalewa deszcz, a kombinerki stawiają opór, ale w końcu udaje mu się przeciąć wszystkie kable. Zwisają luźno niczym rurki z miedzianym nadzieniem.

Jonas wsuwa kombinerki do kieszeni kurtki i ostrożnie schodzi po stromym gretingu. Kiedy podeszwy jego butów dotykają powierzchni dachu mostka, przeszywa go kretyński dreszcz radości. Ale dzieło jeszcze nie jest skończone. Oprócz tego musi przeciąć przewody wychodzące z odbiornika satelitarnego, białej skrzynki, znajdującej się na cienkiej żelaznej żerdzi na dachu mostka na bakburcie, wielkości brzucha dużego śniegowego bałwana. Jonas odruchowo obejmuje maszt. Dochodzi do siebie po wspinaczce. Po prawej stronie ma komin statku – sześcienny klocek, z którego wystają cztery zgięte rury. Czarny dym zlewa się z ciemnością i niknie w nocy, ale od czasu do czasu

uderza Jonasa w twarz, a wtedy traci on oddech i kaszle podrażniony kwaśną sadzą mazutową.

Na dachu mostka, poza odbiornikiem satelitarnym, widać kilka rur wentylacyjnych. Z przodu, na sterburcie, stoi reflektor na żelaznej nóżce, a pośrodku, na platformie wysokości człowieka, umieszczono kompas magnetyczny, owinięty w zielone płótno żaglowe. Poza tym dach jest pusty, a jego pomalowaną na zielono powierzchnię pokrywają lepka sól, sadza, resztki oleju i spływająca woda.

Statek powoli unosi się na grzbiecie fali i przechyla lekko do tyłu, gęste chmury wędrują na wschód i nagle przebija się przez nie jakiś blask, jak złoto na niebie.

To dopiero co wzeszły księżyc, przypomina kołyskę spoczywającą na spiętrzonych chmurach.

Jonas patrzy na księżyc i zapomina się na moment. Puszcza maszt, by osłonić oczy przed wiatrem, a wtedy statek daje nura, prostuje się. Wiatr uderza Jonasa w plecy. Traci równowagę, leci do przodu, ślizga się przez całą długość dachu na brzuchu i zatrzymuje dopiero na relingu z przodu.

Prawym policzkiem stuka w ostre żelazo. Czuje uderzenie w prawe ramię, żebra przeszywa mu ból. Kiedy lewą ręką łapie za rozgrzany reflektor na przedniej krawędzi dachu mostka, rozlega się głośnie syknięcie.

Jonas krzyczy, zwijając się z bólu i strachu, lecz jego krzyki toną w wichurze, a reling ratuje przed śmiertelnym upadkiem z dachu.

- Mój dobry Boże! - szepce Jonas, kurczowo trzymając się poręczy. Brak mu odwagi, aby zwolnić uchwyt i potrzebuje

kilku minut, by zebrać się w sobie, wstać i kontynuować rozpoczęte dzieło. Jest ciemno jak w komórce na węgiel, a na niebie nie ma ani śladu światła.

Krok po kroku Jonas przesuwa się po dachu od strony bakburty w kierunku odbiornika satelitarnego. Czasem sterówka przechyla się do tyłu i wtedy Jonas wisi uczepiony relingu, patrząc z przerażeniem w pustkę, a czasem pochyła się do przodu i wtedy lodowate żelazo wciska się w jego ciało niemal do kości. Wówczas musi spojrzeć w dół na pokład pogodowy, który wygląda jak pole uprawne oglądane z samolotu podchodzącego do lądowania. Od czasu do czasu jednak sterówka zdaje się trzymać poziom i wówczas Jonas się spina i przyspiesza przeprawę przez dach niczym pingwin śmigający po lodzie.

Chwyta lewą ręką za podstawę odbiornika satelitarnego, wyjmuje kombinerki z prawej kieszeni kurtki, łapie sterczący spod pudełka gruby przewód, który znika w pomalowanej na biało żelaznej rurce umocowanej do dna i z całych sił zaciska oburącz śliskie rączki.

Knykcie bieleją, ostrza kombinerek bez trudu przecinają izolowany drut. Jonas krzywi się i stęka z wysiłku, statek spada w dół i dziób całuje ciężką falę.

Bom, bom, bom...

Drut pęka, a kombinerki wyślizgują się z zeszywniałych dłoni Jonasa, odbijają się raz od dachu i znikają za jego krawędzią na bakburcie.

- Do diabła! - warczy Jonas i zaczyna nasłuchiwać. Nie słyszy jednak, by kombinerki na coś natrafiły. Żadnego

uderzenia, plaśnięcia, niczego. Najprawdopodobniej spadły wprost do morza. Tam jest dla nich najlepsze miejsce.

Obiema rękami chwyta za reling i usiłuje złapać oddech. Uśmiecha się półgębkiem, wciąga deszcz do nosa i wybucha stłumionym śmiechem.

Udało mu się!

Frachtowiec „Per Se” jest pozbawiony komunikacji ze światem zewnętrznym. Nikt się nie może skontaktować ze statkiem i nikt ze statku nie może się skontaktować z nikim spoza niego. Jest poza zasięgiem. Płyń obranym kursem w ciszy i spokoju, tak jak statki powinny płynąć.

Teraz Jonas, niczym nie niepokojony, może żeglować na spotkanie z Bogiem i niewiadomym, wolny od trosk o ingerencję władz, dociekliwości mediów, wścibskich i skołowanych członków rodziny i pogrążonych w smutku kochanków żony.

Wprawdzie z psychologicznego punktu widzenia to kiepsko, że utracili zarówno radar, jak i nawigację GPS, ale tak naprawdę nie ma to żadnego znaczenia. Azymut nadal wyznaczą przecież kompasy magnetyczne, a pozycję można przy dobrej pogodzie obliczyć z pomocą sekstantu, i to zarówno w nocy, jak i w dzień. Skoro już starożytni to potrafili, to i współcześni powinni temu podołać. Radar śledzi ruch statków w pobliżu, ale skoro inne statki widzą ten statek na swoich radarach, to w zasadzie nie ma niebezpieczeństwa zderzenia, zwłaszcza w dzień.

Jonas schodzi tyłem ze schodów prowadzących na podest na tylnej ścianie sterówki, po czym szybko chwyta za

barierkę, śpieszy do drzwi i łapie za klamkę.

- Jezu Chryste! - krzyczy, gdy fala wiatru uderza w drzwi, które otwierają się zamasyście, rzucając nim jak szmacianą lalką przez wysoki próg. Traci równowagę, ale klamki nie puszcza. Udaje mu się zaprzeć nogami i całym ciężarem nacisnąć na drzwi. W ten sposób wygrywa walkę z żywiołem, odcinając pomieszczenie od wyjącego wiatru i zacinającego deszczu.

Cisza. Zimne krople wlewają się za kołnierz kurtki, ściekają po piersiach i plecach, ręce drżą, a zęby dzwonią w ustach.

Jonas rozpina kurtkę, ściąga z głowy przemoknięty kaptur i rusza do drzwi prowadzących na mostek. Zamyka je za sobą, łapie oddech koło wnęki z mapami, kicha jak pies, po czym wciąga do nosa zimne krople deszczu.

- Kto tam? - pyta chłodno kapitan i robi dwa kroki w przód. Jonas widzi błysk mordy w jego szeroko otwartych oczach. A jeśli chodzi o błysk mordy, to Jonas się na tym zna.

- Co? Jak? - odzywa się sternik i sztywnieje. Dotarło do niego, że oto sam kapitan wita go na dziwnie pustym mostku.

- Gdzie jest... majtek? - pyta Jonas, żeby cokolwiek powiedzieć, ale oczywiście nieobecność Jona Karla wzbudza zarówno jego ciekawość, jak i wściekłość, za to obecność kapitana śmiertelnie go przeraża.

- Nie ja jestem adresatem tego pytania! - odpowiada Gudmundur tak wściekły, że aż bełkoce. - Ty jesteś sternikiem na wachcie!

- Mówił tylko, że wychodzi do kingstona* - tłumaczy Jonas,

usiłując wymyślić jakąś wiarygodną historyjkę.

- Radar się zepsuł! - informuje go Gudmundur, związując mocniej szlafrok. - GPS też właśnie wysiadł!

- Co? No właśnie, poszedłem to sprawdzić, co nie. - Jonas chrząka i pociąga nosem. - Ale to niewykonalne, żeby teraz wleźć tam na górę. Pogoda szaleje i...

- Opuściłeś mostek? - warczy Gudmundur, napęlniając płuca powietrzem, które po chwili wydycha przez rozdęte nozdrza.

- Tak, no, radar wysiadł i...

- Mówiłeś, że majtek poszedł do toalety! - Gudmundur załamuje ręce. - A ty wychodzisz sobie w najlepsze w poszukiwaniu przygód, nikomu o tym nie meldując. I TO W TAKĄ POGODĘ!

- Tak, no bo ja...

- CO SIĘ Z TOBĄ DZIEJE? - grzmi Gudmundur, rozpylając przesyconą kawą ślinę na przemoczonego sternika.

- No, tak, znaczy... - mruczy Jonas, drapiąc się po mokrej czuprynie. Nie ma pojęcia, co może opowiedzieć, a co przemilczeć.

- Jonas? - Gudmundur zmienia ton i podchodzi zupełnie blisko do sternika, który ze zmęczenia, niewyspania i ogólnie złego samopoczucia ledwo trzyma się na nogach. - Czy jest coś, co powinieneś...

Urywa w pół zdania, widząc, że otwierają się drzwi i ktoś wchodzi na mostek.

- Dobry wieczór - rzuca Jon Karl i zatrzaskuje za sobą drzwi. - Co tu się dzieje?

Jonas nic nie mówi, a kapitan Gudmundur patrzy badawczym wzrokiem na majtka, który ma twarz mokrą i czerwoną, jakby dopiero co przyszedł z dworu.

XVII

04:22

Jon Karl opuszcza mostek i puka do drzwi toalety na pokładzie G, gdzie najprawdopodobniej Jonas siedzi na tronie.

- Skoczę tylko na chwilę na dół!

Następnie schodzi na pokład F, a stamtąd na E, potem na dek D i C, aż do kambuza na pokładzie B. Schody są strome, a progi twarde. Jon Karl się męczy, a kontuzje w sztywnym ciele dają znać o sobie, wysyłając ciche sygnały, które błyskają w głowie niczym małe światełka awaryjne.

W kambuzie pod półką świeci się światło, a w jego blasku na stole stoi talerz z kanapkami, który kuk Asi owinał cienką folią. Jon Karl odwija folię z kanapek, zjada trzy kromki razowca z pasztetem i popija zimnym mlekiem wprost z kartonika. Następnie pusty kartonik chowa z powrotem do lodówki i zamyka drzwiczki na zamek. Na morzu wszystkie szafki wyposażone są w zamki, by zapobiec otwieraniu się podczas huśtania.

- Cześć, biedaczku - mówi Jon Karl, kiedy czarny łeb Cienia pokazuje się w drzwiach mesy oficerskiej. Przez

moment patrzą sobie w oczy, po czym pies się odwraca i znika w tonącej w ciemnościach mesie.

Na korytarzu pomiędzy kambuzem a mesą dla załogi znajduje się magazynek leków, z którego przechodzi się do izolatki z zamkniętym obiegiem wentylacyjnym, na wypadek gdyby trzeba było urządzić kwarantannę. Jon Karl wchodzi do magazynku, zapala światło i zamyka za sobą drzwi. Znajduje silne środki przeciwbólowe i łyka garść, po czym kieruje swoją uwagę na szafkę, w której przechowuje się ampułki z roztworem morfiny, strzykawkę i igły. Jon Karl bierze jedną ampułkę, strzykawkę i kilka igieł, owija je w bandaż i okleja plastrem. Następnie wyjmuje paczkę papierosów z prawej kieszeni spodni i wytrzepuje cztery ostatnie na stalową tackę, upycha zawiniątko do paczki i wpycha ją z powrotem do kieszeni.

Wkłada dwa papierosy za lewe ucho, jednego do ust, a jednego za prawe ucho, gasi światło w magazynku i wychodzi na korytarz. Tu zapala papierosa zwisającego pomiędzy mięsistych warg, wypuszcza dym nosem i zastanawia się chwilę, po czym schodzi na pokład A w poszukiwaniu czystej bielizny pościelowej.

Na dole jest ciemno i ciasno, ciężkie powietrze pachnie mydłem i smarami. Na podłodze leżą śliskie maty, a na końcu korytarza po stronie rufy tli się mdła żarówka, która mruga, jakby za chwilę miała zgasnąć. Podpierając się o utyłane ściany, Jon Karl posuwa się w kierunku sterburty, skąd dochodzi zapach mydła. Na samym końcu zastaje zamknięte żelazne drzwi z napisem ELECTRIC WORKSHOP, a na prawo

od nich stoją otworem drzwi do pralni, w której nad maglownicą świeci się lampka.

Na długich półkach zawieszonych nad dwoma pralkami i dwoma suszarkami leżą stosy czystej pościeli. Jon Karl wybiera mało zniszczoną pościel i cztery śnieżnobiałe ręczniki, dwa duże i dwa mniejsze, kilka myjek, prześcieradło na zmianę i jeszcze dwa dodatkowe ręczniki, które ma zamiar wykorzystać jako dywaniki w łazience. Opuszcza pralnię z tobołkiem pod lewą pachą i kieruje się ciemnym korytarzem z powrotem do schodów prowadzących na pokład B. Ale są tam także inne schody, biegnące w dół do maszynowni, gdzie bije serce statku, rozsiewając drżące fale i buchając gorącym oddechem.

Jon Karl zatrzymuje się, patrzy w dół na schody i drzwi prowadzące do maszynowni, niemiłosiernie usmolone z licznymi czarnymi śladami dłoni wokół zamka. Chwilę później chwyta za klamkę i otwiera je. Fala gorąca uderza Jona Karla niczym powiew wiatru na gorącej plaży. Tu, na dnie statku, nie czuć ani zapachu morza, ani roślinności, jedynie zwykły smród oleju napędowego zmieszany z zapachem środków czystości, wonią amoniaku i drażniącymi gardło trującymi wyziewami.

I hałas panuje potworny, nieomal piekielny.

Najpierw trzeba przejść przez coś w rodzaju kanciapy, gdzie na wieszakach wiszą kombinezony, kaski i nauszники. Podłogę wyściełają tu grube gumowe maty, a na nich stoją pojemniki z mydłem, wiadra, szrobery* i trzy pary sfatygowanych drewniaków. Stąd można zejść dwa stopnie

w dół i wejść do samej maszynowni. Jest to duża, otwarta przestrzeń, przedzielona metalową kratą na dwa piętra. W otworze pośrodku sali znajduje się ogromnych rozmiarów silnik główny, przypominający nieco wyrzuconego na brzeg wieloryba, dyszącego, syczącego, bijącego ciężkim ogonem o piach. Jon Karl wchodzi na kratę podłogi, prawą ręką chwyta za poręcz i spogląda z góry na dziewięciocyndrową maszynę pracującą z częstotliwością dwustu siedemdziesięciu obrotów na minutę, spalającą siedemnaście ton mazutu na dobę i przez cały czas oddającą energię pięciu tysięcy trzystu koni mechanicznych, dzień w dzień, tydzień w tydzień, bez wytchnienia. Za silnikiem umieszczony jest agregat prądowórczy, wytwarzający prąd na bieżące potrzeby, a na rufie statku znajduje się poruszająca go gigantyczna śruba.

Sterownia maszynowni mieści się na końcu hali po stronie dziobowej. To biała skrzynia bez okien, wielkości garażu. Jon Karl zaciąga się dymem papierosowym, krzywi się z powodu hałasu płynącego z generatorów i szybko kieruje się ku centrali manewrowo-kontrolnej. Otwiera drzwi, wchodzi i zamyka je za sobą.

Cisza! Co za ulga! Może z tą ciszą to przesada, ale w każdym razie ściany są na tyle dźwiękoszczelne, że hałas dobywający się z zewnątrz wydaje się niebiańskim spokojem w porównaniu z kakofoniczną symfonią Sądu Ostatecznego po drugiej ich stronie.

Jon Karl wyjmując z ust papierosa, strząsa popiół i lustruje pomieszczenie wzrokiem. Centrala jest podłużna, z obu stron

zakończona drzwiami. Podłużne ściany od podłogi po sufit pokryte są jakimiś urządzeniami. Ściana po jego prawej ręce zasłonięta jest jakąś tablicą elektryczną. Igły drgają w niezliczonej ilości manometrów, liczniki cichutko pstrykają, a szpule kręcą się w koło. Pod ścianą z lewej mieści się sam stół rozdzielczy, niebagatelna konstrukcja. Na pionowej jego części widać kilkadziesiąt zegarów pomiarowych, włączników, lampek sygnalizacyjnych, niedużych monitorów i drukarkę, drukującą wszystkie informacje natychmiast, jak tylko dotrą z liczników przy silniku głównym. Na części poziomej, pochylonej nieco do przodu, leżą księgi z raportami, telefon, mikrofon, znajduje się tu jeszcze więcej włączników i świateł, nadajnik dzwonka przyzywowego i oczywiście urządzenia sterujące samym silnikiem. Na stole, a właściwie na podłużnych półkach ogrodzonych specjalną barierką, spoczywają skoroszyty, pod stołem umieszczone są szuflady i szafki, zaś na fotelu przed stołem siedzi Palacz i chrapie. Ramiona i nogi ma skrzyżowane, głowę opartą o lewy bark.

- Pieprzona sauna! - Jon Karl chichocze cicho, upuszcza niedopałek papierosa na podłogę i przydeptuje nogą. Odkłada pościel na stół sterowniczy i z bliska przygląda się wycinkowi z gazety, który ktoś nakleił między dwoma licznikami. Zdjęcie przedstawia niewielką grupę osób ze stowarzyszenia Islandia-Palestyna, protestującą przed gmachem parlamentu. Większość demonstrantów trzyma w rękach transparenty z namalowanymi odręcznie hasłami, wszyscy mają poważne i znudzone miny, nieliczni przewiązali

szyje arafatkami. Jon Karl przygląda się kretyńskim twarzom i w końcu rozpoznaje jedną z nich. To Johann Wielkolud, duży facet, który zamknął kajutę na pokładzie E, kiedy chciał się tam wycofać bosman ze śrutówką.

- Pieprzone komuchy! - mruczy i pluje na wycinek, po czym go zrywa, mnie i rzuca na podłogę.

W tym samym momencie światło dzwonka przyzywowego zaczyna mrugać, a Palacz przestaje chrapać, podnosi głowę z ramienia i otwiera oczy do połowy. Wykonuje fotelem pół obrotu, palcem wskazującym naciska guzik dzwonka i znów zapada w sen.

- Hej ty! Słuchaj! - Jon Karl strzela palcami przed nosem Palacza, który zapada w fotel i zaczyna chrapać.

- Nigdy czegoś takiego nie... - Jon Karl wzrusza ramionami. - Jak on to zrobił?

Jon Karl kręci głową, zabiera pościel, odwraca się i już ma otworzyć drzwi do maszynowni, ale wstrzymuje się na widok zdjęcia przytwierdzonego do ich wewnętrznej strony.

To rozkładówka z duńskiego pornola, Miss Września 2001. Dziewczę ma na imię Eva i siedzi z rozmarzoną miną i z rozwartymi nogami na krześle przy oknie. Na nogach ma białe kabaretki, a kształtne ciało odziała w body, przezroczyste po bokach, ze specjalnymi otworami z przodu, przez które wystają jędrne piersi. Lewa dłoń spoczywa na lewej pachwinie, a palce prawej bawią się naszyjnikiem z pereł. Wargi ma Eva pomalowane na czerwono. Spomiędzy nich błyskają białe zęby, jasne włosy opadają na ramiona, umalowane na niebiesko powieki nadają jej nieco kurewski

wygląd, a stringi wpijają się pomiędzy wypiełgnowane wargi sromowe.

- Idziesz ze mną, kochanie - decyduje Jon Karl i zdejmuje zdjęcie. Składa je i upycha do prawej kieszeni spodni. Następnie zabiera pościel, otwiera drzwi do maszynowni, szybko mija generatory prądotwórcze, a potem przemierza żelazną kratę podłogi i wchodzi do pakamery na końcu pomieszczenia. Zamiast jednak skręcić w prawo i wejść do góry tymi samymi schodami, którymi tu zszedł, idzie wprost przed siebie, przedzierając się przez nasyconą zapachem oleju ciemność. Przechodzi przez kanciapę i wchodzi do kotłowni, w której dwa piece olejowe na zmianę podtrzymują właściwą temperaturę w pomieszczeniach mieszkalnych statku i dbają o to, by nie zabrakło gorącej wody. Temperatura w kotłowni jest o wiele wyższa niż w maszynowni, pot ciurkiem leje się z Jona Karla, który oddycha szybko przez nos i kręci się w koło, wypatrując drogi ewakuacyjnej. Na samym końcu kotłowni jarzy się zielona lampka i tam Jon Karl natyka się na strome, kręcone schody prowadzące w górę. Może więc opuścić ten duszny piekarnik.

Tam, gdzie kończą się schody, zaczyna się wąski korytarz pogrążony w ciemnościach, Jon Karl jednak wie, że jest już o jeden pokład wyżej i że znajduje się na sterburcie, tak że teraz musi jedynie przedostać się na bakburtę. Gdzieś tu powinny się kryć drzwi prowadzące do światła.

I oto są!

Niedługo Jon Karl musiał posuwać się po omacku, nim

zauważył blade światełko ponad żelaznymi drzwiami z trzema sztabami. Drzwi te znajdują się po prawej stronie korytarza, dlatego otwierają się naprzód, czyli w kierunku dziobu, co nie wydaje się zbyt logiczne, gdyż Jon Karl domyśla się, że jest teraz gdzieś bardzo blisko dziobu. A w takim razie drzwi powinny być po lewej stronie korytarza i otwierać się w kierunku pokładu, na przykład na korytarz, przy którym mieszczą się magazyny z jedzeniem i pralnia na sterburcie. Ale to jedyne drzwi, koło nich kończy się korytarz i nie biegnie już dalej.

- Co to za idiotyzm! - mruczy Jon Karl, ściskając pościel pod lewą pachą i prawą ręką uwalniając ciężkie rygle. Osłona żarówki nad drzwiami jest porysowana i brudna, sama zaś żarówka żółtawa i mdła, lecz mimo słabego światła udaje się Jonowi Karlowi przeczytać biały napis na czerwonych drzwiach: HOLD.

- Co hold? Hold it? - denerwuje się Jon Karl, uwalniając trzeci i ostatni rygiel. Sądząc po rdzawych zaciekach, pisku i oporze, z jakim poruszają się zasuwki, te drzwi od dawna musiały nie być otwierane. Kiedy udaje mu się w końcu otworzyć ciężkie wrota, po pociągnięciu ich mocno do siebie, jego oczom ukazuje się czarna otchłań, zionąca chłodnym smrodem, a kiedy puszcza drzwi, statek daje nura i uderza w ciężką falę.

Bom, bom, bom...

Jon Karl traci równowagę, czubkami butów uderza w wysoki próg i wpada przez otwarte drzwi, wywijając jakieś salto. Lewą ręką po omacku udaje mu się złapać za coś

zimnego i twardego, ale pościel, ręczniki i myjki szybują w ciemność niczym duchy i znikają w wilgotnej głębi.

- No cóż! - chrząka Jon Karl. Zwisa, trzymając się jedną ręką jakiejś barierki, i ociera się o chłodną żelazną ścianę. Zewsząd otaczają go ciemności i przerażająca otchłań. Udaje mu się obrócić i prawą ręką chwycić się żelastwa. Następnie nogą namacuje jakiś hak czy szczebel i opiera o niego stopę. Kiedy w końcu udaje mu się poprawić uchwyt obu rąk i postawić obie nogi, orientuje się, że stoi na stopniach drabiny prowadzącej łukiem w dół od wejścia, głęboko do ładowni statku, będącej przerażająco wielkim pomieszczeniem, równie szerokim, równie długim i równie głębokim, co sam statek. To jakby ogromna puszka pełna mroku i zimna.

Jon Karl wchodzi na górę, odwraca się i siada w drzwiach, opierając stopy o najwyższy stopień schodków. Podnosi rękę do uszu i znajduje po papierosie za każdym z nich, co oznacza, że podczas tych wygibasów stracił tylko jedną fajkę.

- Całkiem nieźle - mruży i zapala papierosa, który przetrwał za lewym uchem. Zaciąga się. Lewą ręką cały czas trzyma się framugi, patrząc w milczeniu w czarną otchłań ładowni. Mimo że teraz ich nie widać, znajdują się nad nią cztery wielkie luki, każdy wielkości boiska do koszykówki. Jon Karl dostrzegł je z mostka i gdyby o tym nie pamiętał, mogłoby mu się zdawać, że to prawdziwa noc panująca na zewnątrz, a nie zamknięta w ładowni ciemność.

Siedzi tak dobrą chwilę, spokojnie paląc papierosa, i patrzy obojętnym wzrokiem w tę prostokątną wieczność, w tę

bezdenną pustkę, która tak naprawdę nie jest ani wieczna, ani bezdenna.

Głęboko w ciemnościach silnik odmierza swój wieczny rytm, a statek unosi się i opada, kołysze i buja na przepastnym tanecznym parkiecie oceanu. Statek oddycha i statek porusza się, statek wydaje z siebie przewlekły pisk i warkot, a w pustej ładowni dźwięki te zmieniają się w głosy skazanych na śmierć i wieczne męczarnie, zawodzą jak dzieci, krzyczą jak odległe potwory, a ich bezduszne łkania dudnią pomiędzy żelaznymi ścianami, zamieniają się w subtelny lament w głowie siedzącego bez ruchu i wsłuchującego się w pękające niczym struny gitary, rozdzierane przez pokurcza bez twarzy głosy w swojej psyche.

Ciemność to jednak tylko ciemność, czyli czarna dziura i martwa otchłań, wtem ni stąd, ni zowąd przestrzeń na krótko przecina błysk światła, który na chwilę oślepia Jona Karla. Oświetla śnieżnobiałą twarz jego córeczki, która wydaje nieludzkie dźwięki i bezbronna patrzy w oczy swego taty, po czym znika momentalnie niczym iskra w ciężkiej jak ołów czarnej dziurze w jego głowie.

- Nienawidzę tego pieprzonego statku. - Jon Karl pstryka tłącym się papierosem w pustkę, po czym podnosi się, przekracza próg, zamyka szczelne drzwi i zasuwa sztaby z całej siły, tak mocno, że aż sypie się rdza.

Klnie cicho i wraca tym samym korytarzem, aż do schodów prowadzących do kotłowni. Kiedy jednak odwraca się, żeby tyłem zejść na dół, spogląda na drugi koniec ciemnego

korytarza, przy samej sterburcie.

Tuż przed schodami dostrzega otwór bez drzwi! Nie zauważył go wcześniej ze względu na panujący tu mrok. Rezygnuje z zejścia do kotłowni. Zamiast tego wchodzi przez ciemny otwór i po omacku posuwa się wzdłuż prawej ściany, dopóki nie natrafi na kontakt.

Zapala światło. Znajduje się w niewielkim pomieszczeniu wyposażonym w biurko, krzesło i długie półki, w których tkwią nieduże plastikowe szuflady pełne różnych drobiazgów i części elektrycznych. Przechodzi przez pomieszczenie i otwiera drzwi nieco po przekątnej w przeciwległej ścianie i wtedy jest znowu na korytarzu górnego pokładu. Po lewej ma pralnię, a przy końcu korytarza po stronie dziobowej nad schodami prowadzącymi na pokład B mruga żarówka, jakby w każdej chwili miała zgasnąć.

Jon Karl zamyka za sobą drzwi i czyta biały napis na ich zewnętrznej stronie: ELECTRIC WORKSHOP.

Jeszcze raz idzie do pralni po czystą pościel, po czym wchodzi na pokład D do swojej kajuty, gdzie rzuca poszwy na niepościelone łóżko i wiesza ręczniki w łazience. Powietrze w kajucie nabrzmiało wilgocią, więc Jon Karl postanawia otworzyć okno na przestrzal. W tym celu musi poluzować cztery duże motylki i przesunąć w bok tyleż śrub, uwalniając je z żelaznych uchwytów. Okno otwiera się do środka. Tym sposobem wpuszcza do wnętrza rześkie nocne powietrze i zimne krople deszczu oraz szum dmuchaw.

Stoi wygięty na łóżku, wystawia głowę przez bulaj i pozwala wiatrowi i deszczowi się orzeźwiać. Skądś

dochodzi słaby blask i Jon Karl widzi majaczący kształt rufy łodzi ratunkowej z pomarańczowego plastiku, przymocowanej do białej, żelaznej konstrukcji na ścianie sterówki, przechylający się o czterdzieści pięć stopni razem ze statkiem: dziób w dół, rufa do góry.

- Zajebiste! - Jon Karl oddycha deszczem, chowa głowę do wewnątrz i schodzi z łóżka. Gasi światło w kajucie i udaje się na mostek.

Zanim chwyci za klamkę i wejdzie do środka, przez zamknięte drzwi słyszy podniesiony głos:

- CO SIĘ Z TOBĄ DZIEJE?

Jon Karl uśmiecha się półgębkiem i przykłada ucho do drzwi. Głosy wewnątrz są wyciszone i niewyraźne. Zupełnie jakby obecnym na mostku osobom nagle minęła złość.

Co tam się dzieje?

Jon Karl jest zbyt ciekawski, żeby podsłuchiwać, nie słysząc słów.

- Dobry wieczór - rzuca i zatrzaskuje za sobą drzwi. - Co tu się dzieje?

Ma przed sobą dwóch mężczyzn, sternika Jonasa i faceta w średnim wieku ubranego w szlafrok.

Na mostku panuje półmrok, lecz powietrze jest naelektryzowane i pewno dzięki temu cokolwiek widać.

Sternik nic nie mówi, a facet w szlafroku przygląda się badawczo Jonowi Karlowi. Majtek ma twarz czerwoną i mokrą, jakby dopiero co był na świeżym powietrzu, co częściowo jest prawdą.

- Gdzie byłeś? - pyta facet w szlafroku głosem ciemnym

i chłodnym.

- To jest kapitan - odzywa się sternik Jonas i patrzy na Jona Karla spojrzeniem błagającym o współdziałanie, spokój i wyrozumiałość. - Powiedziałem mu, że...

- Jonas! - kapitan ucisza sternika. - Pozwól mi z nim porozmawiać.

- Tak, ja...

- Ani słowa więcej! - mówi kapitan i zwraca się do Jona Karla. -Gdzie byłeś?

- Poszedłem przynieść sobie pościel. - Jon Karl uśmiecha się, wyjmując z prawego ucha papierosa i wkłada do ust. - Zapukałem po drodze do drzwi kibla i powiedziałem mu, żeby się pośpieszył.

- To kto był w toalecie? - pyta kapitan.

- On - odpowiada Jon Karl i zapala mokrego papierosa, który nie chce się palić i śmierdzi. - Siedział na kiblu już od jakiegoś kwadransa czy coś.

- Powiedziałeś, że to on był w ubikacji? - pyta kapitan i spogląda na Jonasa, który poczerwieniał i rozdziawił usta jak karp.

- Tak, nie. Nie. Skądże - bełkoce Jonas. Chrząka i wskazuje na Jona Karla. - To on opuścił mostek. Słyszałeś, co...

- Bla, bla - mruczy Jon Karl, ciągnąc namiętnie papierosa, tak by trzeszczący żar pokonał mokry tytoń.

- Ty jesteś za to odpowiedzialny! - wyrokuje kapitan, dmuchając sternikowi w twarz zapachem kawy i kwasów żołądkowych.

- Tak, w pełni zdaję sobie z tego sprawę...

- Ani słowa więcej! - ucisza go kapitan. Rozcina mrok szybkim ruchem ręki i rusza ku wyjściu. - Jutro to wszystko wyjaśnimy!

Zatrzaszkuje za sobą drzwi. W tym samym momencie statek daje wielkiego nura, który kończy się zderzeniem z falą.

Bom, bom, bom...

XVIII

11:19

Jon Karl budzi się o jedenastej dziewiętnaście. Leży całkowicie ubrany na poskładanej bieliźnie pościelowej i pomiętej kołdrze, patrzy w sufit, na zasłony, które falują, od czasu do czasu poruszane zimnym wiatrem, wpuszczając bladoniebieską poświatę do tonącej w półmroku kajuty.

Wciąż jest sztywny i zmęczony, pomimo ponad pięciogodzinnego snu.

Jeśli można to nazwać snem. Świadomy brak świadomości byłoby lepszym określeniem.

Jak mu już zdążył obmierznąć pobyt na tym statku! Sam statek mu obmierzył! I członkowie załogi! Mierzi go ta cała idiotyczna sytuacja! Co on tu robi? Co sobie myślał, kiedy wchodził na pokład tej megatonowej balii? A ci sternicy, pierwsi mechanicy i jak ich tam jeszcze zwą - pogięło ich wszystkich, czy co?

Najpierw został zwabiony na pokład statku, a potem zaimplantowany w tej kajucie, jakby to była najbardziej oczywista rzecz na świecie. Później zjawia się ten cały sternik i mówi mu, że wszyscy na pokładzie myślą, że on jest

jego szwagrem, więc skoro już go zastępuje, lepiej będzie, jak uda, że tak jest w rzeczywistości. Ten sam sternik daje mu pięć baniek za odegranie tej idiotycznej roli. Kilku facetów skrada się pod osłoną nocy z nieposkładanymi strzelbami, podczas gdy inni jarają się do nieprzytomności i pierdolą coś o starożytnych bogach i losach świata. Kapitan pojawia się w szlafroku na mostku, żeby się dowiedzieć, kto kiedy był w sraczu, a sternik usiłuje mu namieszać w głowie i obwinia Jona Karla o coś, czego ten kompletnie nie rozumie. Jakby mu kalafiozem nie wisały prawa panujące w tej dryfującej po oceanie piaskownicy! Ale kiedy Jon Karl przypomina sobie w końcu, żeby zadzwonić do domu, okazuje się, że pieprzony telefon satelitarny nie działa, i to już go zaczyna obchodzić! I to nie tylko telefon pozostaje martwy. Podobnie rzecz się ma z jakimiś cholernymi urządzeniami nawigacyjnymi i radiostacjami! Wszystko dlatego że z niewiadomych powodów uszkodzeniu uległy anteny!

I tak dalej!

Jon Karl wystarczająco nieswojo się czuje w roli kogoś w rodzaju rozbitka czy blindziarza* na pokładzie tego statku, wśród tych wszystkich dziwaków, których zupełnie nie zna, a którzy zarażeni są jakimiś filozoficznymi miazmatami, dręczeni niepokojem o własne zdrowie psychiczne i zdrowie innych, knują coś po nocach i ciągle obwiniają się nawzajem o zdradę, złośliwość i zaniedbania. Niektórzy mają tylko jeden z tych objawów, inni wszystkie. I to mają być ludzie, którzy sterują statkiem i dbają o maszynownię! Na domiar

złego statek nie jest do końca sprawny, pozbawiony kontaktu ze światem, ma niedziałający radar czy raczej nie ma działającego radaru, czy jakoś tam! Głuchy telefon. I wszystko dlatego że coś się być może stało, kiedy ktoś był w sraczu. Albo może wtedy, kiedy ktoś NIE był w sraczu? To wielka różnica.

Chociaż...

Czyżby sternik majstrował coś przy sprzęcie komunikacyjnym, kiedy udawał, że jest w kiblu? Żeby zapobiec, by ktoś... zadzwonił do domu? Raczej nie. Albo może chciał zapobiec, żeby ktoś zadzwonił na statek? Kto? Jego żona? Szwagier? Policja? Nie chce, żeby policja skontaktowała się ze statkiem, dlatego że... zabił swojego szwagra!

- Zabiję tego pieprzonego... Jonasa! - mruczy Jon Karl i usiłuje wstać z łóżka, ale zaraz sztywnieje i krzywi się, bo dopada go przeszywający ból potylicy, klatki piersiowej, spuchniętej ręki i stłuczonych żeber. Ćwiczenia akrobatyczne nad ładownią nie przyspieszają gojenia się ran.

- Fuck!

Tak, tak, zabije tego całego Jonasa, ale może nie dziś. Jutro. Zabije go jutro.

Albo pojutrze.

- Palant popaprany!

Pojutrze zabije Jonasa i każdą inną mordę na pokładzie i niech ten statek płynie swoim kursem! Prędzej czy później musi przecież trafić na jakiś cholerny ląd, a kiedy Jon Karl cholerny ląd zauważy, po prostu wskoczy do wody

i przepłynie wpływ ostatnie dwa, trzy kilometry. Statek wpieprzy się na mieliznę, a on uwolni się z tego więzienia. Kropka.

Dlaczego by nie?

Wszystko lepsze niż cały miesiąc z jakimiś zdechłymi wilkami morskimi, którzy nie potrafią ani siebie, ani statku utrzymać w kontakcie ze światem i są równie zdefektowani, co ta łajba, którą płyną.

Jon Karl wstaje, patrzy na łóżko i wzdycha. Zanim się położył, nie chciało mu się nakryć materaca prześcieradłem i oblec poduszek i kołder w czyste powłoczki i teraz też mu się nie chce.

Kiedy już się wysikał i opryskał twarz zimną wodą, zabiera z sobą nieotwartą paczkę papierosów i kuśtyka na korytarz na pokładzie D, po czym wychodzi na podest na tyłach sterówki. Chmury są nadal gęste i kłębiaste, wiatr jeszcze całkiem nie ustał, ale nie pada już i nie jest tak zimno, jak w ciągu ostatnich dni. Ciemnogrnatowe morze kipi za rufą. Statek unosi się na grzbiecie wysokiej fali i wolno przesuwa na południe, gdzie dzień i noc dzielą dobę na dwie idealnie równe części i na każdym wzgórzu rosną krzaki koki.

Jon Karl buja się w rytmie ciężkiego tańca fal, otwiera paczkę papierosów, pstryka w denko, po czym zapala fajkę wystającą z ust. Wypuszcza gorący dym przez nos i patrzy na ocean, szary w oddali i czarny na linii horyzontu, unoszący się i opadający niczym pasmo górskie w głowie jakiegoś śniącego demiurga. Na niebie nad statkiem szybuje samotny albatros i Jon Karl obserwuje go, dopóki ten nie wzleci tak

wysoko, że zniknie w ciemnoszarych chmurach.

- Szczęściarz pieprzony - mruczy Jon Karl i przenosi wzrok na prawo. Zauważa szalupę ratunkową, której część widział przez okno kajuty. Jest dość duża i z pewnością pomieściłaby całą załogę. Całkiem zabudowana, przypomina gigantyczną zabawkę. U dołu wyposażona jest w śrubę wpuszczoną w rurę, a od góry zwieńcza ją okno dla sternika. Nie ma możliwości, by taka łódź zatonała, pod warunkiem oczywiście że nie pęknie. Jon Karl podchodzi do szalupy od tyłu, puka w dno i usiłuje się zorientować, jak odczepić ją od konstrukcji nośnej, żeby zwodować ją dziobem za rufą statku. Łódź zdaje się umocowana za pomocą żelaznego haka, podpiętego pod owalny pałąk z żelaza na dnie za śrubą. Wystarczy tylko podnieść łódkę do góry, by uwolnić hak z pałąka. Najprawdopodobniej da się to zrobić jedynie wówczas, gdy znajdzie się we wnętrzu łodzi.

Jon Karl idzie na sam koniec spardecku, przechyla się przez reling i patrzy w dół poniżej łodzi ratunkowej, która wisi nieomal pionowo jakieś trzydzieści, może czterdzieści metrów ponad powierzchnią morza. Niezła wysokość. I uderzenie musi być niemałe, kiedy łódka walnie w tafłę wody. Nagle w dole na pokładzie B pojawia się twarz. Jakiś człowiek przechyla się przez barierki, jak Jon Karl, i kieruje wzrok ku górze w kierunku tylnej ściany nadbudówki. Jego głowa odcina się wyraźnie od wzburzonego morza, a kiedy zauważa Jona Karla, jest najwyraźniej zaskoczony, jakby tylko on miał prawo wychylać głowę i obserwować rufę statku.

- CO MOGĘ DLA CIEBIE ZROBIĆ? - woła Jon Karl do tego pucułowatego człowieka, bez zarostu, ale za to o kręconych lokach. Sprawia wrażenie sympatycznego. Nawet z oddali i z tak dziwnego punktu.

- CHODŹ I ZJEDZ RYBKĘ, KOCHANIEŃKI! - odkrzykuje mu pucułowaty z uśmiechem na dziecinnej twarzy, po czym znika na pokładzie B.

Jon Karl uśmiecha się, rzuca niedopałek za rufę i otwiera drzwi na dek D. Jest głodny, tak głodny, że aż kiszki mu marsza grają, ale czuje też potrzebę spoczęcia na muszli. Wchodzi do swojej kajuty, zapala światło w łazience, ściąga spodnie i siada.

Zawsze cholernie lubił defekować na pokładzie samolotu, ale na pokładzie statku jest jeszcze lepiej. Te ociężałe ruchy w górę i w dół pomagają jelitom pracować, a dodatkowo jeszcze ożywiają to skądinąd mało urozmaicone zajęcie. Zupełnie jakby statek wypróżniał się razem z człowiekiem.

Statek głęboko wciąga powietrze, wspina się na grzbiet fali i napina zwieracze, po czym spuszcza się w dół, raz, dwa i:

Bom, bom, bom...

Tyłek Jona Karla wciska się w deskę, odbył się rozluźnia i udaje mu się uwolnić od stwardniałego pręta wielkości kielbasy.

- Udało się - wzdycha Jon Karl. Klepie się po kieszeniach i w myślach sprawdza ich zawartość. W lewej ma skarpetkę z nabojami, morfinę i strzykawkę, a w prawej paczkę papierosów, czek na pięć baniek i zdjęcie Miss Września, Evy.

Klepie się po nogawkach w okolicach kostek i upewnia się, że ma gnata i kosę. Zastanawia się, czy czasem nie lepiej będzie zostawić broń w kajucie. Ale pewno lepiej mieć ją przy sobie. Następnie wpada na pomysł, żeby spróbować morfiny. Nie, to może trochę poczekać. Najpierw musi zjeść. Podciera się, spuszcza wodę, myje ręce i w lustrze nad umywalką patrzy sobie w oczy.

Już nie jest zmęczony. W każdym razie nie wykończony. W oczach pojawił się świeży błysk, w twardych bicepsach krąży krew, a samczy uśmiech odzyskał pewność siebie. Wygląda zupełnie inaczej. Jakby szatan w niego wstąpił, taka diaboliczna emanacja, prawie namacalna, drżąca niczym prąd, fascynująca i przerażająca jednocześnie.

- I kto tu jest królem? - Jon Karl puszcza oko do własnego odbicia w lustrze. Potem obaj śmieją się z własnego dowcipu, on i jego lustrzane odbicie:

- Ha, ha, ha.

Śmiech przebija się przez ciało i kości i odkształca twarz w lustrze, niczym błyskawica rozcinająca deszczową chmurę, by przepuścić grom.

Cisza.

Jon Karl ściera z twarzy diaboliczny uśmiech, gasi światło w łazience i opuszcza kajutę.

Korytarz dopiero co został wyszorowany. Powietrze pachnie amoniakiem i szarym mydłem. Jon Karl, trzymając się barierki, zeskakuje z ostatnich stopni schodów.

Zapach smażonej ryby i masła z cebulą rozchodzi się w górę statku, drażniąc kubki smakowe.

XIX

08:27

Kapitan Gudmundur siedzi na swoim fotelu na mostku i ponury patrzy na pomazane solą szyby. Pogoda nieco się poprawiła, nie pada już i wiatr znacznie się uspokoił, ale na horyzoncie znów mającą grube chmury, ciężkie fale i silne prądy morskie. A to nie wróży niczego dobrego. Żegluga podczas złej pogody jest czasochłonna i niebezpieczna, nie mówiąc już o tym, że zużycie paliwa zwiększa się o kilka ton na dobę.

Pod nogami kapitana leży Cień i ufnym wzrokiem patrzy na swego pana.

Ale Gudmundur nie myśli ani o pogodzie, ani o zwiększonym zużyciu paliwa. To raczej opóźnienie spowodowane warunkami atmosferycznymi przysparza mu trosk. Ale nade wszystko jest zły, że nie może zadzwonić do Hrafnhildur.

Ciekawe, co ona sobie myśli, kiedy on się tak długo z nią nie kontaktuje?

Kompletny brak łączności ze światem doprowadza kapitana do szału. Nigdy dotąd, w czasie długiej kariery na

morzu, Gudmundur Berndsen nie przeżył czegoś takiego. Przecież tu nic nie działa: ani radar, ani antena satelitarna, ani radiostacje. Na morzu wszystko może się zdarzyć, i zdarza się, ale te awarie są bardzo podejrzane. Zbyt wiele urządzeń naraz się popsuło, by nikt niczego nie zauważył. Gdyby na przykład w statek trafił piorun, nikt by tego nie przeoczył. Uderzenie, błysk, ogień, potem na jakiś czas siadłby prąd, a może nawet zgasłby silnik. Tak samo gdyby w statek coś uderzyło, mały samolot, duży ptak albo jakiś targany wiatrem przedmiot. Taki wypadek albo nie uszedłby niczyjej uwagi, albo jego skutki byłyby o wiele bardziej ograniczone. Nie, w doświadczonej głowie kapitana dzwonią małe dzwoneczki ostrzegawcze. Tu nie chodzi tylko o poważną awarię. Przez to, że ma ona wpływ jedynie na łączność statku ze światem, można ją uznać za spowodowaną przez kogoś celowo. Przypadek? Urojenie?

Nie, do diaska! Coś jest nie tak!

Gudmundur podnosi słuchawkę i dzwoni do maszynowni.

- Tak, Johann? - rozlega się oschły głos w słuchawce.

- Tu kapitan - wzdycha Gudmundur. - Wynikły pewne problemy i chciałbym zorganizować odprawę na mostku o jedenastej.

Cisza.

- Co wynikło? - chrząka Johann.

- Nie działa komunikacja satelitarna, radar i radiostacje - mówi Gudmundur. - Możesz tu być o jedenastej razem z Jonem?

- Tak - zgadza się Johann podniesionym głosem. - Kto

jeszcze będzie?

- Poproszę Runara, żeby później rzucił okiem na górę - zmienia temat Gudmundur. - Przyjdzie na odprawę i zda nam wszystkim relację.

- W porządku. - Johann chrząka ponownie. - Widzimy się o jedenastej.

Gudmundur odkłada słuchawkę i opiera się wygodnie o oparcie fotela. Na horyzoncie morze zdążyło już poczerńić, wiatr znów się pomału wzmaga, a czarne chmury nadciągają niczym wrogie armie. Jeśli ma zamiar wysłać Runara na maszt, lepiej zrobić to wcześniej niż później. Kapitan spogląda na zegarek. Do dziewiątej brakuje niecałe dwadzieścia minut. Wachty załogi zaczynają się o dziewiątej, a tuż przed ich rozpoczęciem Runar zazwyczaj zagląda na mostek, żeby sprawdzić pogodę i wypić filiżankę kawy. Gudmundur wstaje z fotela i powoli podchodzi do tylnej ściany.

Najlepiej wstawić wodę na kawę, nim zjawi się bosman.

08:45

Johann Wielkolud naciska guzik dzwonka przyzywowego, po czym opuszcza maszynownię i człapie na pokład E, gdzie puka do drzwi pierwszego oficera.

- Kto tam? - pyta Jon Prezydent, uchylając drzwi, na ile pozwala na to łańcuch.

- To ja - odpowiada Wielkolud. Jon przymyka drzwi na tyle, by zwolnić łańcuch.

- Wejdz - mówi, wpuszczając mechanika do kajuty.

- Myślałem, że śpisz - odzywa się Johann, wyjmując

pogryzione cygaro z paczki w kieszeni koszuli, lecz przypomniawszy sobie o zakazie palenia u gospodarza, chowa je z powrotem.

- Czego chcesz? - pyta Prezydent, który nie tylko nie śpi, ale jest świeżo wykąpany, ogolony i ma na sobie wyprasowane spodnie i koszulę, a na dodatek starannie uczesany, pachnie wodą po goleniu i tonikiem do włosów.

- Dzwonił do mnie stary - rzuca Johann i napełnia płuca powietrzem. - Mówi, że łączność satelitarna siadła, podobnie jak radar i radiostacje.

- Co ty powiesz? - Jon zamiera ze zdumienia. - I co?

- Chce się z nami spotkać o jedenastej na mostku. - Johann wzrusza ramionami. - Wtedy Runar już zejdzie z dachu i pewno będzie mógł nam dostarczyć jakichś informacji.

- Mówisz, że jesteśmy pozbawieni łączności ze światem? - zastanawia się Jon.

- Tak mi się wydaje.

- Jest w tym coś podejrzanego! - Z oczu Jona bije chłód. - Dwie doby przed planowanym przez nas wyłączeniem silnika tracimy kontakt ze światem! Co oznacza, że kiedy do tego dojdzie, stary nie będzie mógł zadzwonić do firmy i nakłonić ich do wycofania się ze zwolnień grupowych.

- Do czego pijesz? - pyta zatroskany Johann.

- Dowiedzieli się o naszych planach! - stwierdza Jon i wciąga powietrze przez rozszerzone nozdrza. - To ich sposób, żeby wytrącić nam broń z ręki! Przeklęci Judejczycy!

- Chcesz powiedzieć, że stary kłamie? - Johann załamuje ręce. - Nikt mi nie wmówi, że kazał rozłączyć sprzęt! To się

w żaden sposób nie trzyma kupy!

- W tej walce nie ma braci! - rzuca Jon i zaczyna podwijać rękawy koszuli. - Ktoś musiał wypaplać staremu albo firmie, a oni postanowili zagrać nam na nosie! Ale z tej mąki chleba nie będzie!

- Ciekawe, kto mógł wygadać? - Johann najwyraźniej powątpiewa. - A poza tym, stary chce posłać Runara, żeby to sprawdził. A on jest jednym z nas!

- Runar znajdzie na górze poprzecinane przewody - najspokojniej w świecie odzywa się Jon.

- A skąd możesz to wiedzieć? - Johann marszczy brwi. - Chyba za tym nie stoisz, co?

- Zwariowałeś, człowieku? - Jon wygląda na mocno urażonego. - A jaki ja mam interes w tym, żebyśmy nie mieli łączności ze światem? Żadnego! Ale są tacy, którzy na tym zyskają, i obaj wiemy, kto to taki! Prawda? Nie wiem jedynie, kto osobiście przeciął te druty. Ale na pewno zostały przecięte, uwierz mi!

- No, może. Trudno powiedzieć. - Johann zaczyna się kiwać. - Słuchaj, a powiedz mi, która godzina?

- Godzina, właśnie... - powtarza Jon i kieruje wzrok na nadgarstek lewej ręki, ale zegarka nie ma. - Zgubiłem pieprzony zegarek. Wszędzie go szukałem! Nie wiem, co się mogło z nim stać!

- Myślałem, że nigdy niczego nie gubisz - Johann uśmiecha się pod nosem.

- Wiem, po prostu... - Jon wzdycha i pociera lewy nadgarstek palcami prawej dłoni.

- Muszę wracać na dół. - Johann rusza w kierunku drzwi. -
Widzimy się o jedenastej na górze.

- Czeka! - Jon przestaje pocierać nadgarstek. - Nie
pozwolimy, żeby to nam pokrzyżowało plany! Działamy
zgodnie z naszymi ustaleniami!

- I wyłączymy silnik? - Johann odwraca się do niego, lewą
dłoń opierając o klamkę.

- Tak - decyduje Jon i kiwa głową. - I to raczej wcześniej
niż później.

- Ale...

- Żadnego ale! - Jon Prezydent odchyła głowę do tyłu
i krzyżuje dłonie za plecami. - Stary może złożyć podpis
w imieniu firmy, bo nasze żądania są jasne. A taki dokument
musi być honorowany przez sąd morski, w razie gdyby doszło
do rozprawy!

- Zobaczymy. - Johann mocno ściska klamkę. - Ale nie
wyłączę silnika, chyba że pogoda będzie znośna. Wyłączenie
silnika w złą pogodę może się dla statku skończyć fatalnie.

- Nie widzę różnicy, czy ten złom będzie płynął wzdłuż, czy
dryfował w poprzek! - wyrzuca z siebie Jon Prezydent. - Jeśli
już skapitulowałeś przed tymi Judejczykami, to lepiej żebyś
przyznał się do tego teraz, bo potem może być za późno!

- Przed nikim nie kapitulowałem! - Johann się rumieni. -
Ale jeśli do maszynowni dostanie się woda morską, nie mam
pewności, czy uda nam się ponownie uruchomić silnik. To
chyba rozumiesz?

- Nie mam ochoty iść na bezrobocie. - Jon Prezydent
spokojnie patrzy gdzieś przed siebie, jakby był w kajucie

sam. - To tak, żeby wszystko było jasne.

- Widzimy się o jedenastej - mamrocze Johann Wielkolud, otwiera drzwi i wychodzi na korytarz.

09:17

- No, i jak tam prognozy? - z tym pytaniem bosman Runar zjawia się na mostku.

- Ja tobie też życzę dobrego dnia - rzuca kapitan na powitanie i obraca się z miękkim fotelem. - Świeżej kawy?

- Tak, poproszę. - Runar podchodzi do ekspresu. - Miałem nadzieję, że dzisiaj pogoda będzie sprzyjać pracy na odkrytym pokładzie.

- Dla mnie wygląda na to, że zbliża się kolejna nawałnica. - Gudmundur wraca fotelem na pierwotną pozycję.

- No to pewno zaczniemy od szorowania schodów. - Runar nalewa gorącą kawę do czystego kubka. - A kiedy mówię my, to mam na myśli mnie i Saelego. Ten nowy się jeszcze nie pokazał.

- Daj sobie z nim spokój... - wzdycha kapitan. - Daj sobie z nim spokój... przynajmniej na razie.

- Albo mamy trzech majtków na pokładzie, albo nie! - Runar wyciąga papierosa z paczki i wkłada do ust. - Jeśli to ja i Saeli odwalimy całą robotę, to chyba oczywiste, że będziemy się też mogli podzielić wypłatą tego trzeciego, co nie?

- Mam dla ciebie drobne zadanie - mówi cicho Gudmundur, stukając lekko dłońmi w podłokietniki fotela.

- Jakie? - Runar zapala papierosa.

- To tak - zaczyna kapitan, patrząc jak zahipnotyzowany za

okno, gdzie jakieś pięćdziesiąt mil morskich przed nimi ponure zwały chmur zdają się pożerać światło dzienne. - Chciałbym cię prosić, żebyś zajrzał na dach, zanim wpłyniemy w burzę.

- Na dach? A po co? - Runar sączy kawę.

- Niech to zostanie między nami... przynajmniej na razie. - Gudmundur patrzy na Runara. - Rozumiesz?

- Tak, nie ma sprawy. - Runar kiwa głową, trzymając papierosa w prawym kąciku ust. - Możesz mi zaufać.

10:11

Gudmundur siedzi sam na mostku. Jego ręce spoczywają na podłokietnikach fotela, a on sam niczym zahipnotyzowany patrzy w okno.

Być może załoga wie już o nadciągających zwolnieniach grupowych. W każdym razie na pewno coś podejrzewa. Ale przecież ostateczna decyzja jeszcze nie zapadła. Armator wspominał o tym tylko jako o jednej z możliwości. O ostatecznym środku poprawy rentowności.

Niech to diabli!

Jakby nie miał nad czym się zastanawiać! Jakby nie miał dość własnych zmartwień!

Załoga jest rozgniewana, panuje jakieś ferment i rozluźnienie; jeśli to wszystko długo potrwa, może zmienić się w otwarty bunt. A co on na to poradzi? Powie im prawdę? Zagrozi konsekwencjami? Obieca coś, czego nie będzie w stanie dotrzymać?

Albo ma po prostu udawać, że nic się nie stało?

A jeśli na statku dokonano aktów sabotażu? Co w takim

przypadku ma począć? Co może zrobić? Znaleźć kozła ofiarnego, żeby uspokoić załogę? Kogo? Tego nowego?

Może oni właśnie oczekują od niego, żeby to zrobił? A może liczą na to, że popełni błąd i powiesi Cygana zamiast kowala, żeby mogli okrzyknąć go dyktatorem i tyranem? Może to ma być ta kropla, która przepełni czarę?

Teraz należy zachować spokój i nie pozwolić, żeby przeciwności i prowokacje wyprowadziły go z równowagi.

Na początek najlepiej nie robić nic. Zyskać trochę na czasie. Obserwować reakcje załogi.

Kapitan został postawiony pod ścianą. Został zaszachowany z nieoczekiwanej strony. W porządku. Jeśli chcą grać z nim w szachy po omacku, on się nie boi. Ale niech wiedzą: zanim zareaguje na groźby tego niewidzialnego przeciwnika, będzie zastanawiał się tak długo, jak długo uzna to za stosowne.

10:13

- Nie chcesz, żebym z tobą poszedł? - Saeli odstawia wiadro z gorącą wodą z mydłem. Opiera się o szczotkę na długim kiju i ociera pot z czoła. Wyszorował już mostek i schody prowadzące na pokład F, na którym zdążył zmoczyć podłogę.

- Nie, i ani słowa więcej na ten temat! - odpowiada mu bosman Runar i zasuwa zamek ocieplanego kombinezonu pod samą szyję. - Stary prosił, żeby to się nie rozniosło.

- A jak myślisz, co się stało? - pyta półgłosem Saeli, rzucając mokrą ścierkę na szarawą, wzorzystą wykładzinę. - Co się spodziewasz znaleźć tam na górze?

- A bo ja wiem? - mruczy Runar, wkładając granatową wełnianą czapkę. - Ale nie mów o tym nikomu.

- Tak, wiem. - Saeli bierze się do szorowania. - A co zrobimy, jak to jest jakiś sabotaż, czy coś?

- Nie wiem. - Runar zapala papierosa. - Jeśli tak jest, to niech mnie kule biją, jak nie będę chciał się dowiedzieć, który z nas ma skłonności terrorystyczne. Wiesz, bez wahania wrzucimy takiego skurwysyna na łeb do wody, co nie?

- Tak - mruczy Saeli, popychając mokrą szmatę szczotką. - Ale to my wtedy będziemy mieć kłopoty, a nie terrorysta.

- Tego właśnie się boję. - Runar wkłada grube rękawice. - Dlatego ani słowa na ten temat więcej! Idę na górę!

- Słuchaj! - woła Saeli, kiedy Runar jest już w połowie schodów.

- Co? - Bosman się odwraca. Ma papierosa w ustach i mruży jedno oko.

- Tylko ostrożnie tam na górze. - Saeli pociąga nosem.

- Tak - mamrocze Runar i znów wspina się po schodach. - Szoruj spokojnie dalej.

10:33

Runar stoi na krawędzi dachu nadbudówki, trzymając się oburącz za mokry reling. Frachtowiec spada z jednej gigantycznej fali po to, żeby wspiąć się na drugą. Czarne jak smoła chmury wiszą nad oceanem od południa, ryczą niczym byk i pluja błyskawicami na wszystkie strony, wiatr smaga statek, wzburza wodę i wyciska łzy z oczu bosmana zwierającego pięści na mokrym żelazie i spoglądającego

w kipieli.

- Dlaczego nie zostałem cieślą budowlanym? - pyta sam siebie i wzdycha, lecz wichry porwywa jego słowa w zarodku i ciska nimi w przestrzeń.

- DLACZEGO?

Taki krzyk, kiedy cię nikt nie słyszy, pomaga. Runar stoi na szczycie, widzi to, co widzi, i śmieje się w twarz potwornemu sztormowi, który gna ponad wzburzoną taflą oceanu z przerażającą prędkością i za niecałą godzinę uderzy w statek.

Ale Runar nie śmieje się ani głośno, ani długo. Nie jest mu do śmiechu. Zaśmiał się jednak, bo tylko to przyszło mu do głowy. Aby nie oszaleć od mętnych myśli odkładających się w jego świadomości niczym warstwy chmur i zmieniających się w złą energię. Śmiech likwiduje napięcie i zapobiega przegrzaniu się systemu nerwowego.

Zobaczył to, czego najbardziej się obawiał.

Przecięte przewody.

Ktoś zniszczył maszt radarowy i odbiornik sygnałów nawigacji satelitarnej.

Na pokładzie jest jakiś skurwysyn. Bandyta. Terrorysta.

Ale kto to może być?

- Kurwa w dupę jebana mać! - międli w ustach Runar. Trzyma się z całych sił relingu, podczas gdy statek wznosi się na falę wysokości kilkusetmetrowej góry. Na chwilę wiatr się uspokaja, po czym, kiedy frachtowiec osiąga szczyt fali, uderza ze wzmożoną siłą w pierś bosmana. Ten ogarnia wzrokiem całą jednostkę i widzi rdzawe zacieki wokół

relingu, przy łączeniach i na spawach oraz na klapach ładowni. Pogoda już od dawna nie pozwala na prace na odkrytym pokładzie, a siły natury nie próżnują, jeśli tylko nieco im się popuści. Jeśli frachtowiec nie ma się upodobnić do ruskiego statku widma, to jak najszybciej powinien trafić na pochylnię. Prawa dłoń Runara puszcza reling. Bosman przygląda się rękawicy. Poczzerwieniała od rdzy. Za kilka tygodni statek w mniejszym lub większym stopniu przybierze kolor zwiędłego liścia.

Ale prace malarskie muszą poczekać na lepsze czasy. Zbliża się sztorm i cała załoga ma inne, o wiele ważniejsze sprawy na głowie.

Na pokładzie znajduje się bandyta. Zgniłe jabłko w zardzewiałej beczce.

XX

11:09

- Ktoś jest w maszynowni? - pyta kapitan, przerywając ciszę, która zapadła, kiedy Runar zdał raport na temat stanu urządzeń na dachu sterówki.

- Wysłałem na dół Palacza - mruczy Johann Wielkolud, patrząc w zamyśleniu w kubek z kawą.

- Co to ma, kurwa, za znaczenie, czy ktoś siedzi na dupie w maszynowni, czy nie? - Jon Prezydent zaciska blade pięści.

- Na pokładzie jest terrorysta! Terrorysta, powtarzam to jeszcze raz!

- Co zrobimy? - cicho pyta Runar. Pochylony do przodu opiera ręce o parapet w tylnej części mostka i patrzy pustym wzrokiem w granatową toń oceanu.

Kapitan Gudmundur siedzi przygnębiony w swoim skórzanym fotelu i obraca w dłoniach pusty kubek, Johann Wielkolud stoi z przodu na szeroko rozstawionych nogach i regularnie wzdycha, a Jon Prezydent nie potrafi ustać w miejscu i albo kręci się koło kapitana, albo kursuje od jednej ściany do drugiej.

- Po pierwsze, musimy zachować zimną krew - odzywa się

Gudmundur i spogląda na Jona Prezydenta. – To, że druty są przerwane, nie musi wcale oznaczać, że ktoś z obecnych na pokładzie je przeciął.

– Co? – wybucha Jon Prezydent, załamując ręce. – Coś ty powiedział?

– Ktoś mógł je zniszczyć, kiedy statek jeszcze stał na cumach przy nabrzeżu, w taki sposób, żeby popękały w czasie rejsu – spokojnie tłumaczy kapitan. – Jeśli mamy do czynienia z premedytacją. To znaczy z aktem sabotażu. W obecnej sytuacji nie możemy wykluczyć innych możliwości.

– A jakież by one miały być? – Jon Prezydent szeroko otwiera oczy. – Robaki przegryzły przewody, czy coś w tym rodzaju? A może mewy na nie powlatywały?

– Jon? – Johann Wielkolud daje znak pierwszemu oficerowi, by się opanował.

– Były rozcięte. – Runar odwraca się przez ramię. – Widziałem na własne...

Nagle urywa, gdy coś uderza w szybę tuż przed jego głową. Szkło rozbija się na kawałki niczym pęknięty lód. Runar odskakuje. Wśród rozmawiających zalega milczenie.

– Co to było? – przerywa je Gudmundur i patrzy z niedowierzaniem na czwarte okno na bakburcie, które wygląda jak kiepsko utkana pajęczyna.

Na zewnątrz wyje coraz większy wiatr, statek wspina się na gigantyczną falę, a z czarnych chmur dochodzi grzmot.

– To koncha! – Runar przystawia twarz do popękanej szyby i przygląda się potłuczonej muszli i szarej mazi spływającej

po zewnętrznej stronie okna. - Muszla walnęła w szybę! Nigdy dotąd czegoś takiego nie widziałem!

Statek przechyla się na sterburtę i spada z grzbietu fali, jakby znalazł się w powietrzu. Morze burzy się gnane wichurą, a pokład pogodowy tonie w ciemnoszarych bryzgach, przypominających poziomy wodospad. Mężczyźni na mostku mocno trzymają się tego, co akurat mają pod ręką, i własnym oczom nie wierzą, kiedy wszystkie okna mostka nikną pod zmieszaną z piaskiem wodą walącą w statek niczym grad.

- Z nieba sypie się piach, glony i muszle - zauważa Johann Wielkolud, kiedy statek wreszcie jakoś się prostuje.

- Mamy orkan - rzuca kapitan. Wyłącza Kubusia* i kilka razy obraca niedużym kołem sterowym w lewo. - Trzymajcie się, chłopaki! Odwróć się rufą do nawietrznej i spróbuj uciec na wschód przed najgorszym.

- Orkan czy nie orkan, nie ma to żadnego znaczenia! - krzyczy Jon Prezydent uczepiony uchwytu na ścianie za kapitanem. - Na pokładzie wciąż mamy terrorystę, spójrzmy prawdzie w oczy, czy chcemy tego, czy nie. Ktoś pozbawił nas kontaktu ze światem, a jak mówię ktoś, to nie chodzi mi o mewę czy małżę, ale o człowieka z krwi i kości.

- Dopóki szaleje orkan, bezpieczeństwo statku i załogi to absolutny priorytet - odpowiada Gudmundur, kierując statek na wschód długą, ciemną doliną fali. Po obu jej stronach szczyty morskich bałwanów górują niczym niezdobyte skały.

- Dopóki kapitan nie chce spojrzeć w oczy rzeczywistemu zagrożeniu, jakie zawisło nad statkiem, nasze

bezpieczeństwo wisi na włosku – Jon Prezydent cedzi słowa ze stoickim spokojem. -Jak długo sabotażysta pozostaje na wolności, grożą nam kolejne akty terroru.

- Jon, gdyby to od ciebie zależało, już rozpoczęłoby się polowanie na czarownice – odparowuje Gudmundur i wyprowadza statek z doliny baksztagiem**. – Ale to kapitan ma dbać o interes wszystkich członków załogi i nie dopuścić do tego, by ludzie podzielili się na grupy za i przeciw komukolwiek na pokładzie. Jeśli jest wśród nas sabotażysta, to ja go znajdę, ale swoimi metodami.

- I co to za metody, jeśli wolno zapytać? – Jon Prezydent nie kryje nieufności i pogardy.

- Zacznę od rozmów z tymi, którzy pełnili wachtę. – Gudmundur ponownie włącza Kubusia. Sztorm zelżał trochę, przynajmniej chwilowo. – To znaczy z tymi, którzy byli na mostku, kiedy łączność została zerwana.

- Kiedy ja schodziłem z wachty, tego nowego jeszcze tu nie było! – Runar nalewa kawę do kubka.

- A kiedy ja przyszedłem o czwartej trzydzieści, nie było tu nikogo – mówi zatroskany Gudmundur.

- Co ty wygadujesz? – dziwi się Johann Wielkolud.

- A ty co tu robiłeś w nocy? – pyta Jon Prezydent.

- Dzwonek przyzywowy mnie obudził – tłumaczy Gudmundur i patrzy zamyślony przez brudne szyby na kłębiące się chmury, które znów nadciągają.

- I co? – docieka Johann Wielkolud.

- Gdzie byli wachtowi? – dopytuje się bosman.

- I kiedy tu wrócili? – draży temat Prezydent.

- Kiedy tu przyszedłem, radar już nie działał - mruczy Gudmundur. Odpowiada na zadawane pytania, lecz nie wprost. - Potem widziałem, jak GPS traci łączność...

- To wtedy ten kutas musiał być na dachu! - Jon Prezydent wali prawą pięścią w otwartą lewą dłoń.

- Wkrótce potem przyszedł Jonas, przemoknięty do suchej nitki. - Gudmundur chrząka. - I powiedział, że był sprawdzić radar.

- I zostawił mostek bez nadzoru, czyżak? - pyta Johann Wielkolud.

- A gdzie był ten jego szwagier? - dodaje Runar.

- No właśnie, gdzie był? - cynicznie pyta Jon.

- Te fakty muszę jeszcze wyjaśnić - wzdycha Gudmundur. - Niezupełnie zgadzali się co do tego, który z nich pierwszy opuścił mostek. Ale ten szwagier Jonasa też był mokry, choć nie aż tak, jak sternik. Ale nie wiem. Dlaczego ktokolwiek miałby niszczyć statek, którym płynie?

- I kiedy myślisz porozmawiać z tymi panami? - pyta Jon Prezydent. - Kiedy uda im się już ustalić wspólną wersję czy kiedy skomplikują ją jeszcze bardziej?

- Nie wierzę, żeby Jonas był w to zamieszany - mruczy Johann Wielkolud.

- To zostaje nam ten drugi! - bosman spogląda na Jona Prezydenta, który kiwa głową.

- Porozmawiam z Jonasem, kiedy przyjdzie na wachtę o szesnastej. - Gudmundur znów wyłącza Kubusia i kieruje statek jeszcze bardziej na wschód. - A potem mam wieczorną wachtę z jego szwagrem. Wysłucham jego wersji wydarzeń.

Ale...

- A może poczekasz, aż dopłyniemy do Surinamu? - przerywa kapitanowi Jon Prezydent. - Albo aż wrócimy do domu...

- Ale! - Gudmundur rozeźlony patrzy na pierwszego oficera. Ucisza go i sam znów dochodzi do głosu: - Ale bardzo mocno podkreślam, że póki co nikt, absolutnie nikt nie jest podejrzany. Zrozumiano?

- Tak, tak - mruczy Johann Wielkolud i wzrusza szerokimi barkami.

- Tak, jasne - zgadza się z nimi bosman Runar i pociąga nosem.

- Jon? - pyta kapitan, nie odrywając wzroku od ciemnego morza za oknem.

- Jak sobie życzysz - mamrocze pierwszy oficer. Chrząka. - Chociaż dla mnie to zupełnie oczywiste, jeśli chcesz wiedzieć.

- Ani ciebie, ani kogokolwiek innego nie pytam o zdanie! - podkreśla zdecydowanie kapitan. - Ja jeden odpowiadam za spokój i bezpieczeństwo na pokładzie tego statku! Wypraszam sobie jakiekolwiek domysły, plotki i inne formy polowania na czarownice! Członkowie załogi mają się wzajemnie darzyć zaufaniem, zwłaszcza kiedy zagraża nam niebezpieczeństwo! Mam do was pełne zaufanie i muszę poprosić was o to samo! Zaufanie mi! Jeśli kapitan i załoga przestaną sobie wzajemnie ufać, grozi nam bunt!

- Rozumiem. - Jon Prezydent kiwa głową. - I teraz pytam kapitana, w świetle tego oświadczenia na temat zaufania, czy

posiada on wiedzę na temat zamiaru zwolnienia przez firmę obecnej załogi i zatrudnienia nowej?

Cisza.

- Czy możemy ufać, że kapitan przedstawi nam fakty w tej sprawie? - pierwszy oficer zbliża się o krok do Gudmundura.

- A może nie ufasz nam aż na tyle, żeby o tym rozmawiać?

- W czasie rejsu nie komentuję decyzji firmy - odpowiada oschle kapitan. - To firma zatrudnia załogę. Moim zadaniem jest kierować statkiem i zapewnić załodze bezpieczeństwo, niezależnie od tego, kto będzie za każdym razem jej członkiem.

- Czyli że odpowiedź brzmi nie? - pyta Prezydent.

- Odpowiedź brzmi nie - odpowiada Gudmundur, nie patrząc nikomu w twarz. - Nawet gdybym posiadał wiedzę na temat ewentualnych zwolnień, nie wolno byłoby mi o tym mówić. Sprzeniewierzyłbym się wówczas zaufaniu przełożonych.

- Czyli że mamy zostać zwolnieni? - pyta Johann Wielkolud.

- Nie wierzę. - Runar załamuje ręce.

- Nigdy nie powiedziałem, że mają was zwolnić! - broni się kapitan Gudmundur. Włącza Kubusia. - Powiedziałem tylko, że nie wolno by mi było o tym mówić, nawet gdybym posiadał na ten temat jakąkolwiek wiedzę! Zrozumiano?

- Jak pięścią w twarz! - Jon Prezydent uśmiecha się cynicznie.

- Jon! - strofuje go kapitan, obracając się w jego stronę z fotelem. - Chyba nie muszę ci przypominać, że jesteś tu pierwszym oficerem, prawda?

- Moglibyśmy oczywiście zadzwonić do kierownictwa firmy i zapytać o to - mówi Jon Prezydent i patrzy chłodnym wzrokiem w przekrwione oczy kapitana. - Ale nie! Nie możemy! Ktoś poprzecinał przewody!

- Jon! - Johann Wielkolud kładzie lewą rękę na prawym ramieniu pierwszego oficera. - Tylko bez awantur!

- Koniec zebrania - oznajmia kapitan. Zanim odwróci się razem z fotelem, rzuca pierwszemu wściekłe spojrzenie. - Wracajcie do waszych zadań.

A potem dodaje, łagodniejszym tonem:

- I niech Bóg będzie z wami.

Podwładni opuszczają mostek, a kapitan pozostaje na miejscu. Z fotela obserwuje świat za oknami. Orkan wciąż jest w zasięgu wzroku, choć chwilowo nie muszą z nim walczyć.

11:50

W kuchni na pokładzie B kuk Asi obtacza ostatnie kawałki łupacza w roztrzepanym jajku i złocistej bułce tartej, po czym umieszcza je na patelni umocowanej do sporych rozmiarów kuchenki. Na patelni filety pływają w rozgrzanej mieszance oliwy i margaryny, w garnku obok gotują się obrane kartofle, a pięć grubo posiekanych cebul skąpanych w maśle i w oleju smaży się w rondelku za patelnią.

Asi opłukuje sprzęty kuchenne, których używał, i wkłada je do zmywarki, następnie wyciera pozostałości jajka z palców w fartuch, zawiązuje supeł na wlocie worka na śmieci i wynosi go na zewnątrz w kierunku czterech pojemników przytwierdzonych długim łańcuchem z kłódką. Otwiera

pierwszy śmietnik i wrzuca doń worek, zapala papierosa i sprawdza, jaka pogoda. Ale gdy tylko kładzie lewą dłoń na reling na lewej burcie, uderza w coś prawą nogą. To duże kombinerki z żółtymi rączkami.

- A to co tu robisz? - dziwi się Asi, który wie, że wszystkie narzędzia przechowywane są w maszynowni. Lewą ręką wyjmując z ust papierosa, pochyla się i prawą podnosi zimne i mokre narzędzie.

Patrzy na niego, wzrusza ramionami, po czym przychodzi mu do głowy, żeby wystawić głowę za burtę i spojrzeć do góry, by sprawdzić, czy nie zauważy kogoś, kto mógłby go upuścić.

I co?

Widzi głowę, która patrzy w dół, ale to żaden z pracujących w maszynowni, lecz ktoś, kogo Asi nie zna. To musi być ten nowy, szwagier Jonasa.

- CO MOGĘ DLA CIEBIE ZROBIĆ? - woła nowy, który kręci się koło dużej łodzi ratunkowej.

- CHODŹ I ZJEDZ RYBKĘ, KOCHANIEŃKI! - woła Asi i uśmiecha się do niego, zanim tamten zniknie.

- Niezły z niego ptaszek - mruczy Asi i zaciąga się dymem, po czym gasi papierosa. Następnie wkłada kombinerki do kieszeni fartucha i wraca do kuchni.

Asi obraca rybę na patelni, po czym przekłada świeżo zmiksowaną remoladę z miksera do dwóch misek. Zdejmuje rondel z masłem i smażoną cebulą i odcedza ziemniaki. Otwiera piekarnik i wyciąga brytfannę wypełnioną smażoną rybą, którą przechowywał w cieple, gdy smażył ostatnie kawałki na patelni. Żeby zaspokoić głód całej załogi,

musi usmażyć cztery pełne patelnie.

- No, chłopaki! - mówi, kiedy pierwsze twarze pojawiają się w drzwiach. Wybija dwunasta i wszystko jest już gotowe: ryba, ziemniaki, masło z cebulą i remolada. Załoga ustawia się w kolejce. Każdy sam bierze talerz, a Asi nalewa zimnej wody do dzbanków i wystawia dwa kartoniki z mlekiem.

- Ładnie pachnie, Asi - odzywa się Johann Wielkolud, stojący pierwszy w kolejce. Nakłada na talerz cztery kawałki ryby, kilka ziemniaków, sporą porcję masła i wszystko polewa ciepłą remoladą.

Następny jest majtek Saeli, potem bosman Runar, kapitan Gudmundur, a na końcu kolejki stoi Jon Prezydent. Palacz ciągle siedzi w maszynowni i zostanie tam, dopóki za pół godziny nie zmieni go Johann. Na mostku pełni wachtę sternik Jonas, który sam zaproponował, że stanie przy sterze, gdy pierwszy oficer będzie jeść obiad. Jon Karl jeszcze się nie pojawił.

- Starczy dla wszystkich, chłopaki. - Kuk Asi wkłada do ust wykałaczkę.

Majtek Saeli i bosman Runar siadają naprzeciwko siebie w mesie dla załogi na sterburcie, gdzie w starym kaseciaku wciąż się kręci taśma Doorsów, a Johann Wielkolud, kapitan Gudmundur i Jon Prezydent idą do mesy oficerskiej. Johann i Jon sadowią się obok siebie, zwrócenie plecami na południe, a kapitan na końcu stołu, zwrócony plecami do drzwi.

„You're lost, little girl. You're lost, little girl...”

- Nic nie chciał powiedzieć? - pyta Saeli szeptem i popija wodą.

- Nie - odpowiada Runar, rozgniatając rybę, kartofle, cebulę i remoladę i mieszając je razem. - Powiedział, że nie może nam powiedzieć, czy mają nas zwalniać, czy nie. Że nie wolno mu tego mówić.

- Psiakrew! - klnie Saeli i popycha widelcem rybę na talerzu. -A co z tym sabotażem?

- Stary jakoś nie ma pewności. - Runar dzieli widelcem mieszaninę na równe porcje. - Ale Jon podejrzewa tego nowego.

- Szwagra Jonasa? - Saeli wkłada do ust kawałeczek ryby i krzywi się, jakby to było gorzkie lekarstwo.

- Tak, to niezbyt ładnie stawiać pod ścianą kogoś z rodziny jednego z członków załogi. - Runar wzrusza ramionami. - Ale tylko jego nie znamy.

- Myślisz, że to jakiś zdrajca, czy coś? - Saeli popija rybę łykiem zimnej wody. - Myślisz, że Jonas wie o nim coś, czego my nie wiemy?

- Nie wiem - wzdycha Runar. - Nie wiem, co o tym wszystkim sądzić. Ale ten facet nie wygląda na najprzyjemniejszego, rozumiesz.

- A może to po prostu jakiś szaleniec? - Saeli odkłada sztućce. Żołądek mu się skurczył i w ogóle stracił apetyt.

- No, na pewno - mruczy Runar i wzrusza ramionami. Odkłada nóż i zaczyna widelcem wkładać papkę do ust.

- I stary nic nie chce powiedzieć - wzdycha Saeli. - Co oznacza, że nas zwolnią, prawda?

- Całkiem możliwe. - Runar krzywi się z ustami pełnymi papki.

- A wyłączenie silnika? - pyta Saeli, popijając łyk wody. - Jeszcze się kroi?

- Nie wiadomo - wzdycha Runar.

- Jak ja bym chciał, żeby się dało zadzwonić do domu. - Saeli pociąga nosem.

- No to jest nas dwóch. - Runar popija pacię sporym łykiem mleka. - Ale kto wie, może uda się nam naprawić antenę od radiostacji.

- Tak? - ożywia się Saeli.

- Tak, zajrzemy na górę, jak się trochę przejaśni - mówi Runar bez wiary. - Ale oczywiście może się nam nie udać. Nigdy nie wiadomo.

- Ja tego nie wytrzymam! - Saeli chowa twarz w dłoniach.

You are lost, tell me who are you?

- Jonie, podasz mi sól? - pyta kapitan Gudmundur, karmiąc siedzącego pod stołem Cienia kawałkiem ryby.

- Jasne. - Prezydent podaje mu solniczkę.

- Jak wyglądamy z tym orkanem? - pyta Johann, mlaszcząc.

- Nie uda nam się go uniknąć - odpowiada Gudmundur, soląc jedzenie.

- W każdym razie nie możemy bez końca uciekać na wschód. - Jon rozkłada rybę widelcem i każdy kawałek przyozdabia masłem z cebulą.

- Proponuję, żebyśmy spróbowali go ominąć. - Gudmundur popija łyk wody. - Lepiej nadłożyć trochę drogi, niż znaleźć się w centrum orkanu, trafić na fale interferencyjne albo kipieli.

- To żaden orkan - drwi Jon. - Raczej deszcz wiosenny.

- Nie ma sensu narażać się na dwa rodzaje niebezpieczeństwa. -Johann wkłada do ust całego ziemniaka.

- Trzeba umieć przewidywać - Gudmundur zabiera się za jedzenie.

- Ależ wy pieprzycie! - uśmiecha się Jon cynicznie. - Siedzimy tu i gadamy sobie o pogodzie, zamiast dyskutować o tym, co tak naprawdę leży nam na wątrobie, wszystkim trzem! Mają nas wszystkich zwolnić, a po pokładzie biega sobie sabotażysta!

- Tak - zgadza się Johann i wzdycha, po czym zgarnia do ust pokąsną porcję jedzenia i ściera sobie remoladę z ust palcami lewej dłoni.

- Burza w szklance wody jeszcze nigdy nie zatopiła statku - mówi kapitan. - Mam na myśli te rzekome zwolnienia. A aktów sabotażu tolerował nie będę, chyba nie muszę tego podkreślać.

- To ewidentny wykręt! - Jon aż bieleje ze złości. - Przed chwilą rozmawiałem krótko z Jonasem. Najwyraźniej boi się tego swojego szwagra. Nie chce w ogóle o nim mówić, poza tym, że jak się tylko o nim wspomni, to zmienia temat! Proponuję odwiedzić tego gościa i zadać mu kilka pytań, na które szukamy odpowiedzi!

- Wszystko ma swoje miejsce i swój czas. - Gudmundur bierze głęboki oddech.

- Gadanie! - parskaJon i brudzi rybą z ust cały stół. - Jestem przekonany, że to jest wysłannik firmy. I że ty doskonale o tym wiesz!

- Co ty mi imputujesz? - pyta Gudmundur, patrząc

z wściekłością na pierwszego oficera.

- Wiesz coś, czego my nie wiemy. - Jon odwraca wzrok. - Tyle wiem!

- Myślałem, że zajmiemy się raczej pogodą - odzywa się kapitan urażony, ściskając mocno sztucce. Koncentruje swoją uwagę na talerzu.

- Ten orkan minie, jak wszystkie inne nawałnice - mruczy Johann Wielkolud, nie przerywając jedzenia.

- Gdyby to ode mnie zależało, to ten diabeł w ludzkiej skórze... - zaczyna Jon Prezydent i już chce uderzyć pięścią w stół, lecz urywa w pół zdania, bo zauważa, że oto Jon Karl z pełnym talerzem w jednej ręce i szklanką wody w drugiej pojawił się w drzwiach mesy.

- Co za diabeł w ludzkiej skórze? - pyta Jon Karl, zajmując miejsce naprzeciwko pierwszego oficera. Jon Prezydent jest jednak zbyt zdziwiony nagłym pojawieniem się majtka, by wydusić z siebie choć jedno słowo.

To samo zresztą można powiedzieć o Gudmundurze i Johannie, którzy najpierw patrzą po sobie, a następnie przenoszą wzrok na Jona Karla, który udaje, że ich nie widzi.

- Mówiłeś może o mnie? - pyta Jon Karl, uśmiechając się pierwszemu oficerowi w twarz niczym hiena. Jon Prezydent mruga błękitnymi oczami i odwraca wzrok, gdy nagle zauważa swój złoty zegarek na umięśnionym przedramieniu majtka.

- Mój zegarek! - bąka Jon Prezydent i usiłuje złapać majtka za lewy nadgarstek, lecz ten, niestety, jest szybszy, więc pierwszy oficer chwytą tylko powietrze.

- O co ci chodzi, człowieku? - dziwi się Jon Karl, soląc swoje jedzenie jak gdyby nigdy nic. - Gdybyś miał zegarek, tobyś go nosił na rękę, prawda? To jest mój zegarek, bo ja go mam na rękę, kumasz?

- To jest mój zegarek! - powtarza Jon Prezydent i spogląda na kapitana, jakby szukał u niego pomocy.

- Nie ma się co na niego gapić - uśmiecha się Jon Karl kapitanowi w twarz. - A może to twój tatuś? Tatuś ma zabrać niedobremu chłopczykowi twój zegarek i oddać go tobie?

- Człowieku, odbija ci, czy co? - Jon Prezydent wali pięścią w stół. - Ten zegarek na pewno gdzieś znalazłeś! To jest mój zegarek i żądam, żebyś mi go natychmiast oddał!

- Jon - uspokaja go Gudmundur i patrzy na niego ojcowskim wzrokiem. - Postaraj się zachować spokój.

- Nie pomyliło ci się coś czasem? - odzywa się Johann i oblizuje usta. - To jest mesa oficerska.

- A tobie życie się nie znudziło? - Jon Karl bezczelnie uśmiecha się pierwszemu mechanikowi w twarz. - Jeszcze blizna po by-passach ci się nie zagoiła, człowieku, a ty już wpierdalasz remoladę jak twarożek, czy coś!

- Nie widzę, co to... - mamrocze Johann, po czym chrząka i urywa w pół zdania.

- Oddawaj zegarek! - Jon Prezydent patrzy lodowatym wzrokiem na majtka, który uśmiecha się do niego i zabiera się za rybę.

- To sygnet wolnomularski? - pyta Jon Karl, nie podnosząc wzroku na wielki pierścień zdobiący lewy palec serdeczny pierwszego oficera. - Jesteś wolnomularzem?

- Nie twoja sprawa! - warczy Jon Prezydent.

- Żaden z ciebie wolnomularz. Ten sygnet nawet do ciebie nie pasuje. - Jon Karl nie przerywa jedzenia. - Znalazłeś go po prostu i udajesz wolnomularza, żeby ludzie myśleli, że jesteś kimś więcej, niż jesteś. Zmniejszyłbyś go, gdybyś się nie bał, że to się wyda. Bo jubiler mógłby być wolnomularzem, co nie? Albo sygnet znajduje się na liście skradzionych przedmiotów. Bardzo mało prawdopodobne oczywiście, ale wyobraźnia winnego przesłania logikę myślenia.

- Pogięło cię - mamrocze Jon Prezydent, usiłując wymusić lodowaty uśmiech, ale jedyne, co udaje mu się osiągnąć, to skrzywienie ust i szybkie mruganie oczami.

- Wiesz, że to jest mesa oficerska, prawda? - pyta Gudmundur spokojnie.

- I wisi mi to zgniłym kalafiorem. -Jon Karl wzrusza ramionami. -Ale nie mogę powiedzieć, żeby podobało mi się towarzystwo przy stole, więc następnym razem spróbuję jeść z czarnuchami. Chociaż ci tam po drugiej stroni jacyś tacy strasznie smutni byli.

- Na statku ludzie sami nie decydują o tym, z kim siedzą - informuje go Johann Wielkolud, biorąc w wielką dłoń szklankę z wodą. -Nie jesteś tu mile widziany, i dlatego powinieneś przenieść się na sterburkę.

- Kapitan, powiedz no mi - mówi Jon Karl i wkłada ogromny kęs smażonej ryby do ust, po czym kontynuuje, mlaszcząc: - Czy to prawda, że jesteś uzbrojony w śrutówkę?

- Tak, to prawda - odpowiada Gudmundur i chrząka. - Ale

właściwiej byłoby powiedzieć, że na pokładzie znajduje się broń, choć oczywiście jest pod moją opieką. Jest to jeden z warunków międzynarodowych towarzystw ubezpieczeniowych, żeby...

- I to jest jedyna broń palna na pokładzie? - przerywa Jon Karl kapitanowi. Następnie spogląda na Jona i Johanna, którzy bledną i sztywnieją.

- Tak. A dlaczego chcesz wiedzieć? - pyta oschle Gudmundur, odpychając od siebie talerz.

- Nic, tak tylko. - Jon Karl beztrąsko wzrusza ramionami. - Zdawało mi się, że wczoraj wieczorem widziałem ludzi z karabinami, ale oczywiście to był tylko sen.

- Na pokładzie broń jest zakazana. - Gudmundur marszczy brwi. - Jeśli masz jakąś wiedzę na temat innej broni palnej, poza strzelbą będącą w mojej gestii, rozkazuję ci tę wiedzę ujawnić!

- Jak mówię. - Jon Karl pije łyk wody. - To był tylko sen, czy coś, myślę.

- Młody człowieku. - Kapitan opiera się na łokciach. - Nie wiem, co myślał sobie Jonas, kiedy polecał cię na to stanowisko, ale wiem, że jeśli nie pozbędziesz się tego swojego nieposłuszeństwa i krnąbrności, dopilnuję, abys'...

- Zapytaj go o sabotaż! - przerywa mu Jon Prezydent i uderza mocno w stół. - Zapytaj go, gdzie był, kiedy...

- JON! - krzyczy Gudmundur, a oczy mu ciemnieją. Kieruje drżący palec wskazujący w stronę pierwszego oficera i ma zamiar coś powiedzieć, lecz drugi majtek nie daje mu dojść do słowa, uderzając trzykrotnie nożem w pustą szklanę

i wstając z miejsca.

Kling, kling, kling!

Zapada martwa cisza. Cała trójka jak jeden mąż patrzy na niego.

- Najlepiej, jeśli wyjaśnimy sobie kilka spraw, moi panowie
- zagaja Jon Karl, opierając czubki palców o krawędź stołu. -
Ten cały Jonas nie jest moim szwagrem. Nigdy wcześniej go
nie widziałem. Nie jestem ani majtkiem, ani sabotażystą. Ale
żeby jedno było jasne, jestem przestępcą! Krzywdzę ludzi dla
szmalu, handluję prochami i wbijam nóż w plecy każdemu,
kto jest na tyle głupi, by się do mnie odwrócić tyłem.
Nazywam się Jon Karl Esrason, ksywka Diabeł!

12:12

Diabeł wychodzi z mesy oficerskiej i wspina się na pokład
D z pełnym kubkiem gorącej kawy w jednej ręce i tłącym się
papierosem w drugiej, przy prawej kostce ma ukryty
rewolwer, a nóż myśliwski przy lewej.

XXI

Stoją zbici w kupę na rozedrganej kratownicy nad głównym silnikiem statku. Johann Wielkolud, bosman Runar, majtek Saeli i Jon Prezydent rozmawiają w niemiłosiernym huku i nasyconym smarami upale. Kuk Asi nie zdążył jeszcze dotrzeć na to tajne zebranie piątki, będące jednocześnie pierwszym od czasu spotkania w barze przed wypłynięciem frachtowca w morze.

- CO TY MÓWISZ? TO ON NIE JEST SZWAGREM JONASA? - pyta Runar.

- NIE! - odpowiada mu Johann.

- TO KTO TO JEST? - Runar draży temat.

- POWIEDZIAŁ, ŻE MA KSYWKĘ DIABEŁ! - wyjaśnia Jon.

- POWIEDZIAŁEŚ: DIABEŁ? - upewnia się Runar.

- ON POWIEDZIAŁ DIABEŁ! - mówi Johann.

- DIABEŁ! JESTEŚ PEWIEN? DIABEŁ? - wtrąca się Saeli.

- NO! - krzyczy Jon.

- NIE WIERZĘ! PRZYSZEDŁ ZA MNĄ AŻ TUTAJ! CZEGO ON WŁAŚCIWIE ODE MNIE CHCE? - dziwi się Saeli.

- O CO CI CHODZI? - pyta Johann.

- ZNASZ TEGO CZŁOWIEKA? - dodaje Jon.

- TAK! NIE! NIE WIEM! NA PEWNO NIE! COŚ TAM BREDZĘ PO PROSTU! NIE WIEM...! - odpowiada Saeli.

- TO SZPIEG FIRMY, WIEM TO Z CAŁĄ PEWNOŚCIĄ! - stwierdza Jon.

- JESTEŚ PEWIEN? - pyta Runar.

- OCZYWIŚCIE, ŻE JESTEM PEWIEN! PAŁĘTA SIĘ PO POKŁADZIE, JAKBY NIC NIE MUSIAŁ ROBIĆ! JAKBY NICZEGO SIĘ NIE MUSIAŁ OBAWIAĆ! ONI GO DO NAS PRZYSŁALI, CI CHOLERNI JUDEJCZYCY! - podnieca się Jon.

- ALE PO CO? - pyta Runar.

- ŻEBY POZBAWIĆ NAS ŁĄCZNOŚCI ZE ŚWIATEM! ŻEBY POKRZYŻOWAĆ nasze plany! żeby wesprzeć kapitana, jeśli BĘDZIE POTRZEBOWAŁ POMOCY! ŻEBY ŚWIADCZYŁ PRZECIWKO NAM W RAZIE WPADKI! - tłumaczy im Jon.

- DO DIABŁA, CZŁOWIEKU! - szepce Saeli.

- TO CO ROBIMY? - pyta Runar.

- POWIEM WAM DOKŁADNIE, CO ROBIMY! - oznajmia Jon.

Stają bliżej siebie, żeby usłyszeć to, co ma do powiedzenia pierwszy oficer. Za silnikiem głównym łązi Palacz w nausznikach przeciwhałasowych na głowie, z brudną szmatą w jednej ręce i pojemnikiem ze smarem w drugiej. Nakłada smar na smarownice alternatora i zastanawia się, o czym ta spiskująca na górze czwórka może dyskutować.

- JOHANN I JA ZLUZUJEMY PALACZA I JONASA I WYŚLEMY ICH NA OBIAD. POTEM PALACZ WRÓCI NA WACHTĘ, A ASI ZAJMIE JONASA ROZMOWĄ W MESIE OFICERSKIEJ. GDZIE ASI? - chce wiedzieć Jon.

- ZARAZ POWINIEN BYĆ! - informuje go Runar.

- RUNAR, PÓJDZIESZ PO STRZELBĘ NA POKŁAD F DO JOHANNA. ZEJDZIESZ Z NIĄ DO SWOJEJ KAJUTY. POTEM PÓJDZIESZ PO MÓJ KARABIN I TEŻ ZANIESIESZ GO DO SWOJEJ KAJUTY! - instruuje go Jon.

- JONIE, JESTEŚ PEWIEN, ŻE...? - Runar ma wątpliwości.

- MY JUŻ NIE MAMY WYBORU! - odpowiada mu Jon.

- O JAKICH STRZELBACH MÓWICIE? - dziwi się Saeli.

- PÓŹNIEJ CI POWIEM! DAJ JONOWI SKOŃCZYĆ! - uspokaja go Runar.

- SAELI, TY ZOSTANIESZ NA GÓRZE, NA POKŁADZIE D I PRZYPILNUJESZ KAJUTY DIABŁA. NIE MOŻEMY GO STRACIĆ Z OCZU! - Jon dalej rozdziela zadania.

Palacz wciska się między nich i zdejmuje słuchawki.

- GDZIE DIABEŁ? - pyta.

- IDŹ DO DIABŁA, PALANCIE! NIE WIDZISZ, ŻE ROZMAWIAMY? - odgania go Johann.

- TO IDEŃ NA OBIAD! - oznajmia Palacz.

- NO TO IDŹ! - mówi Johann.

- KIEDY PALACZ TU WRÓCI, TY, JOHANN, PRZYJDZIESZ DO MNIE NA MOSTEK! WTEDY ZEJDZIEMY RAZEM NA D, A SAELI PÓJDZIE NA MOSTEK I ZOSTANIE NA WACHCIE, DOPÓKI JA NIE WRÓCĘ! - planuje Jon.

- I CO DALEJ? - pyta Runar.

- WE TRZECH PÓJDZIEMY ARESZTOWAĆ TEGO CAŁEGO DIABŁA I ZAMKNIEMY GO W FORPIKU! - Jon wydaje rozkazy.

- O MÓJ BOŻE! - wymyka się Runarowi.

- A KAPITAN? - pyta Saeli.

- POWIEDZIAŁ, ŻE IDZIE SIĘ POŁOŻYĆ! - mówi Jon.

- ALE JAK MYŚLISZ, CZY ON...? - pyta Saeli.

- TO ZDRAJCA I ŁAJDAK! NAJSŁUSZNIEJ BYŁOBY TEŻ GO ZAMKNAĆ W MAGAZYNIE BOSMAŃSKIM! - podnieca się Jon.

- TEGO NIE JESTEM PEWIEN! POWINNIŚMY MIEĆ JAKIŚ POWAŻNIEJSZY DOWÓD! COŚ NAMACALNEGO! - stwierdza Johann.

Kuk Asi schodzi na dół i dołącza do grupy. Wyciąga kombinerki z kieszeni fartucha i podaje Johannowi.

- NIE POWINNY CZASAMI BYĆ TUTAJ? - pyta.

- KOMBINERKI! - zauważa Jon.

- SKĄD JE MASZ? - pyta Johann.

- ZNALAZŁEM KOŁO ŚMIETNIKÓW! ZUPEŁNIE JAKBY SPADŁY Z NIEBA! I KIEDY SPOJRZAŁEM DO GÓRY, ZAUWAŻYŁEM TEGO NOWEGO! KRĘCIŁ SIĘ KOŁO ŁODZI RATUNKOWEJ! - mówi Asi.

- DIABEŁ! - wtrąca Runar.

- A CZEGO ON SZUKAŁ PRZY ŁODZI RATUNKOWEJ? - pyta Saeli.

- POTRZEBUJECIE WIĘCEJ DOWODÓW? CZEGOŚ BARDZIEJ NAMACALNEGO? - dodaje Jon.

- NIE!

- ASI! BĘDZIEMY MUSIELI UŻYĆ ŁAŃCUCHA I KŁÓDKI, KTÓRYMI SPINASZ ZBIORNIKI NA ŚMIECI! - informuje go Jon.

- PO CO? O CZYM WY TU GADACIE? - dziwi się Asi.

Palacz stoi za otwartymi drzwiami pakamery i ukradkiem zagląda do maszynowni. Za ledwie trzy metry od niego stoi zbitych w kupę pięciu chłopów, którzy wydzierają się niczym chór męski, lecz ich słowa toną w hałasie maszyn. Palacz widzi, jak poruszają ustami, lecz nie słyszy ich słów.

- Diabeł - mruczy Palacz, ściągając z uszu brudne słuchawki. - To jest imię! On ma na imię Diabeł! Jasne! On jest diabłem!

Palacz uśmiecha się od ucha do ucha, ukazując spróchniałe ósemki.

XXII

Majtek Saeli opiera się o drzwi prowadzące na podest za sterówką na pokładzie D i lekko bębni w nie opuszkami palców. W przypadku gdyby ktoś wszedł lub zszedł po schodach, jest dobrze ukryty, a drzwi od kajuty Diabła znajdują się zaledwie dwa metry od niego. Spodziewa się, że Diabeł siedzi za zamkniętymi drzwiami kabiny. Bo gdzie indziej mógłby przebywać człowiek, któremu się nie chce pracować?

Ale czego ten Diabeł szuka na statku? Poprosił przecież Saelego, żeby przywiózł jakąś przeklętą paczkę, którą ma mu dostarczyć jego łącznik w Surinamie, i wyraźnie zagroził, że skrzywdzi jego rodzinę, jeśli nie wypełni tego polecenia.

„Wrócisz z paczką” - powiedział ten przeklęty facet przez telefon. „Ja zaopiekuję się twoją rodziną”.

Wszystko przez te długi z kasyna! Milion koron długu, który zamienił się w dwa miliony, a potem trzy, cztery i pięć, jak dziura, która się powiększa, kiedy ktoś usiłuje ją zapchać, i zanim Saeli zorientował się, że się stacza, dług stał się bezdusznym potworem z brzuchem na tyle wielkim, że mógłby połknąć w całości jego mieszkanie w Thingholt.

Ale co ten bandyta tu robi, skoro Saeli ma przywieźć mu tę paczkę? I jak w tym czasie zaopiekuje się jego rodziną, skoro nie będzie go w pobliżu?

Saeli nie potrafi sam sobie odpowiedzieć na te pytania, ale ponieważ Diabeł jest na pokładzie statku, to znaczy, że jego żona i dziecko są bezpieczni w Islandii, prawda?

Ale Saeli musi być tego pewien! Musi uzyskać odpowiedź na te pytania! Nie może udawać, że nic się nie stało! Jakby nie wiedział, kim jest ten człowiek! To jest ten potwór, który zamienił jego życie w koszmar! Diabeł, który do tej pory pozostawał niewidzialny po ciemnej stronie rzeczywistości i funkcjonował jedynie jako ponury głos w słuchawce. A teraz tu jest! Człowiek za drzwiami kajuty to Diabeł we własnej osobie, wróg ucieleśniony! Postrach półświatka schowany w kajucie na statku, zamknięty w ciasnym pomieszczeniu jak mysz w pudełku na buty!

Saeli nie ma się czego obawiać. Za kilka minut zjawi się w kajucie trzech uzbrojonych mężczyzn i obozwardnią łajdaka. Ale zanim go zwiążą i zamkną w forpiku, należy chwilę z nim pogadać w cztery oczy. Wywiedzieć się czegoś, zanim za późno będzie pytać. Zanim się dowie, że jest tylko myszą w pudle na buty. Jak już Jon, Johann i Runar go pojmagają, może się zdarzyć, że facet zamknie się w sobie i nie zechce rozmawiać na żaden temat. Tacy twardziele znani są z tego, że raczej się nie załamują i nie płaczą w obliczu największych przeciwności.

A więc teraz albo nigdy.

- Niech to diabli - Saeli dodaje sobie odwagi. Chrząka.

Robi trzy kroki w kierunku drzwi, obraca się w lewo, wciąga głęboko powietrze, po czym puka. Trzy krótkie stuknięcia:

Puk, puk, puk...

Kiedy rozlega się pukanie, Diabeł siedzi na sofie, popija kawę i pali papierosa. Na stoliku przed nim leży ampułka z roztworem morfiny, strzykawka i igła. Ma nieodpartą ochotę wstrzyknąć sobie tę niebiańską ciecz i poszybować w sen, głębszy od innych snów, dłuższy i mroczniejszy. Ale dopóki człowiek znajduje się we władaniu usypiającej śmierci morfinowego zamroczenia, pozostaje kompletnie bezbronny, a w obecnej sytuacji na statku nie ma pewności, czy zbudzi go ze snu jakiś książę z bajki i całując czule, przywróci do życia. I w przeciwieństwie do siedmiu krasnoludków, którzy złożyli Królowną Śnieżkę do snu w szklanej skrzyni, ci tutaj nudziarze mogliby, znalazłszy go bez przytomności w kajucie, wrzucić go głową do morza. I bajkę by szlag trafił.

Znów rozlega się pukanie do drzwi.

- Chwileczkę! - mówi Diabeł, odkładając zarzącego się papierosa na krawędź stolika. Zawija ampukę, strzykawkę i igłę w bandaż, upycha wszystko razem do pustej paczki po papierosach i wkłada ją do prawej kieszeni w spodniach.

Szybko upija łyk ciepłej kawy, podnosi papierosa, zaciąga się, opiera na łokciach i obserwuje drzwi. Leciutko stuka obcasami o podłogę pod stołem, żeby wyczuć pistolet i nóż poruszające się w pochwach przy kostkach. Stamtąd wysyłają sygnały do mózgu i opuszków palców.

Jest gotowy na wszystko.

- Wejść!

Saeli otwiera drzwi i wchodzi do kajuty wolnym krokiem, jakby z wahaniem.

- Czego chcesz? - pyta Diabeł, strząsając na stół popiół z papierosa.

- Ja? Chcę wiedzieć, co ty tutaj robisz - oznajmia Saeli i chrząka. -Chcę wiedzieć, dlaczego nie zostawisz mnie w spokoju?

Diabeł patrzy na Saelego, jakby nie wiedział, o czym ten mówi, i jakby mu na dodatek było wszystko jedno. Bo też nie wie, o czym mówi Saeli, i jest mu wszystko jedno.

- Ty jesteś Diabeł, co nie? Tak powiedziałeś na dole, prawda? - pyta Saeli, przestępując z nogi na nogę na środku kajuty. - Do tej pory rozmawiałem z tobą tylko przez telefon i być może ty mnie też wcześniej nie widziałeś, w każdym razie nie twarzą w twarz. Jestem Saeli, dłużnik. Arsaell Egilsson.

Diabeł zaciąga się papierosem, rozpięra wygodnie na sofie i mierzy Saelego wzrokiem od stóp do głów, wypuszczając bez troski dym przez nos. Nic jednak nie mówi.

- Człowieku, dlaczego nic nie mówisz? - pyta Saeli, czerwieniąc się ze zdenerwowania. - Grozisz przez telefon mojej rodzinie, rozkazujesz mi przywozić jakieś paczki i nie wiem co tam jeszcze! A potem, kiedy człowiek ciebie spotyka, to się nie odzywasz! A ja chcę tylko wiedzieć, co ty tu robisz? Śledzisz mnie? Nie wierzysz, że dostarczę ci tę paczkę? A może przysłali cię tu, żebyś mnie załatwił? Co? Chcecie zabić człowieka za gówniane jedenaście baniek? A może to już dwanaście? Kto cię przysłał? Właściciel

kasyna? Jak on się tam nazywa? Sverrir?

Kiedy Saeli mówi o kasynie, Diabeł patrzy na niego szeroko otwartymi oczami. Potem nachyla się i opiera na łokciach, wyjmując z ust papierosa i mruży oczy.

- A niech to wszyscy diabli! - Saeli załamuje ręce, wzdychając niczym staruszka. - Nic nie chcesz powiedzieć, dobrze! Ale powiedz mi tylko jedną rzecz, jedną! Czy moja rodzina jest bezpieczna? To ja wiszę tę forszę, a nie oni! Czy są bezpieczni? Odpowiadaj!

- O jakim kasynie ty bredzisz? - pyta Diabeł, kręcąc lewą dłońią kółka w powietrzu w lewą stronę, jakby chciał trochę cofnąć słowa Saelego. - Mówiłeś, że masz długi w jakimś kasynie?

- Tak. W kasynie w Dugguvogur. - Saeli zerka w stronę zamkniętych drzwi i ociera pot z czoła. - Tylko nie udawaj, że o niczym nie wiesz! To ty ściągasz długi dla tych świń! Ty jesteś Diabeł!

- Czekaj, czekaj, chłopczyku! - Diabeł gasi papierosa o blat stolika. - Jesteś winien szmal kasynu w Dugguvogur i jakiś Diabeł cię ściga? Tak?

- Jesteś Diabeł, co nie? - Saeli wzrusza ramionami. - To znaczy, że gdybyś nim nie był, toby cię tu nie było.

- A widziałeś tego gościa, tego, co cięściga? - pyta Diabeł i wstaje z sofy. Podchodzi do Saelego, który cofa się do drzwi. - Możesz mi powiedzieć więcej na jego temat?

- Weź mi nie mieszaj w głowie! - Saeli blednie ze strachu. - To ci nic nie da. Nie dam sobie...

Saelemu nie dane jest skończyć, bo Diabeł uderza go

otwartą dłonią w lewy policzek i cios jest tak silny, że majtkowi robi się ciemno przed oczami, a potem krew zaczyna mu się sączyć z obu dziurek w nosie. Zapiera się o ścianę i usiłuje ustać, lecz czuje się tak słabo, że zmuszony jest opaść na kolana.

- Tak, ja jestem Diabeł - mówi Diabeł i pluje Saelemu na czubek głowy. - A Diabeł nie gania takich gówniarzy jak ty! Już samo to, że muszę podnieść rękę na taką babę, przyprawia mnie o mdłości ze wstydu i pogardy. Ja nie odzyskuję długów dla nikogo, poza mną samym, i nie grożę żadnym rodzinom!

- Nie rozumiem... - mruczy Saeli, usiłując zetrzeć krew z twarzy, lecz rozmazuje ją tylko po policzku.

- Kto do ciebie dzwonił? - Diabeł kuca przy Saelim i prawą ręką chwyta go mocno za szyję.

- Mówił, że nazywa się Diabeł - chrypi Saeli i wciąga krew nosem. - Ja go nigdy nie widziałem, ale widziałem jego gablotę. Duże bmw, bordowe.

- Kurwa mać! - Diabeł puszcza Saelego i prostuje się. - Ktoś sobie w gumę z nami leci, chłopcze!

- Jak to? - pyta Saeli i zanosząc się od kaszlu, podnosi się na nogi.

- To nie ja do ciebie dzwoniłem, żeby odzyskać ten dług. - Diabeł zapala papierosa. - Ten kutas albo udaje, że jest mną, albo nie wie, kim ja jestem. Kurwa! Ale w tym biznesie człowiek się szybko starzeje. Po dziesięciu latach robi się z niego dinozaur, przynajmniej w oczach tych młodych. A potem nagle utknie człowiek na statku, który zabiera go

wprost do piekła!

- Nie kumam. - Saeli wzrusza ramionami. - Jeśli ty nie jesteś tym Diabłem, który dzwonił do mnie, to...?

- A jaki to pakunek masz przywieźć? - pyta Diabeł, wydychając dym przez nos, i wpycha opróżnioną do połowy paczkę papierosów i zapalniczkę gazową do lewej kieszeni spodni, na skarpetę z nabojami.

- Mam przemyścić paczkę z Surinamu - mruczy Saeli i chrząka. - Pewno dragi. Coś z Kolumbii. Żeby spłacić dług, rozumiesz?

- Powiem ci, co zrobimy. - Diabeł wyjmuje czek od Jonasa z tylnej kieszeni spodni. - Weźmiemy tę paczkę i jeszcze kupimy tyle koki, ile się tylko da. Nie masz ze sobą waluty albo karty Visa czy coś? Weź w zastaw ten czek. Załatwisz stos peset czy szylingów czy czego tam używają, a już ja wywęszę kokę i ją kupię. Ty schowasz towar, a ja ożenię go w Islandii i potem podzielimy się zyskiem. Tu chodzi o dziesiątki baniek! Co ty na to?

- Ale bo... - mruczy Saeli, przyjmując od niego czek. - Ta paczka. Ona nie jest moja. I ten Diabeł, to znaczy ten tamten Diabeł, on groził mojej rodzinie i jest w Islandii, i...

- Jest tylko jeden Diabeł! Żeby było jasne! - mówi Diabeł i klepie Saelego w lewy policzek, jeszcze czerwony i obolały od uderzenia. - A twoja rodzina jest bezpieczna, dopóki tamci nie dostaną paczki. Prawda?

- Chyba tak - mruczy Saeli i chrząka. Potem składa czek i umieszcza go w kieszeni roboczych spodni.

- Poza tym, dopóki ja jestem twoim kolegą, twoja rodzina

jest bezpieczna od narodzin aż do śmierci. – Diabeł uśmiecha się chłodno. – Załatwię tego kretyna z bmw, jak tylko moja noga stanie w pieprzonej ojczyźnie. Już jest martwy, kumasz? Jest martwy, tylko jeszcze nie wie, że jest martwy!

– W porządku. Ale jeszcze jednej rzeczy nie rozumiem – wzdycha Saeli. – Co ty właściwie robisz na tym statku?

– Dobre pytanie. – Diabeł ściera z twarzy uśmiech. – Równie dobrze można by dojść do wniosku, że jestem tu przez tego samego palanta, co dzwonił do ciebie i groził twojej rodzinie. Kiedy tylko zaczął nazywać się Diabłem, różne piłki zaczęły się toczyć na mieście. Ale wolę uważać, że jestem tu przede wszystkim dlatego, że nie dmuchnąłem dwóch małolatek, które miałem ochotę wydymać. Zawahałem się...

Diabeł zaciąga się papierosem i wzrusza ramionami. Potem podchodzi do otwartego bulaja i wyrzuca przez niego peta.

– Teraz to już zupełnie się pogubiłem. – Saeli uśmiecha się zakłopotany, lecz uśmiech zamiera mu na ustach i zmienia się w grymas lęku, kiedy ktoś brutalnie chwyta za klamkę za jego plecami.

Diabeł błyskawicznie się odwraca i widzi, że drzwi się otwierają, a w nich staje trzech uzbrojonych ludzi, którzy wdzierają się do kajuty.

Z przodu idzie pierwszy oficer Jon, trzymając karabin tak, jakby miał do niego doczepiony bagnet, za nim zaś postępują Johann Wielkolud i bosman Runar, którzy jeszcze zupełnie nie wiedzą, co robić. Przypominają tym samym raczej dwóch zagubionych w terenie myśliwych niż uzbrojonych

uczestników buntu.

Diabeł ugina nieco plecy i szybko, niezauważalnie sięga w kierunku kabury z rewolwerem, ale Jon Prezydent mierzy do niego z karabinu, trzymając palec na spuście, toteż Diabeł rezygnuje z ujawnienia swoich atutów. Spokojnie prostuje plecy i jakby zamysłony przesuwa palcami po przetłuszczonej czuprynie.

Bywał już w większych opałach. To tylko znerwicowani amatorzy uzbrojeni w strzelby, z którymi nie ma co walczyć w ciasnym pomieszczeniu.

- Wybacz mi, ja... oni... - bąka Saeli, postępując dwa kroki w bok i patrząc na zamianę to na Diabła, to znów na Jona Prezydenta, którzy nie odrywają od siebie wzroku.

- Ty! - odzywa się Jon Prezydent, kierując lufę karabinu prosto w pierś Diabła. - Nie ruszaj się! Nawet żeby się w nos podrapać!

- Saeli! - mówi bosman Runar i kieruje lufę śrutówki na podłogę. - Jak ty wyglądasz, chłopcze! On ci to zrobił?

- Tak, ale... - mruczy Saeli, spoglądając na Diabła, który uśmiecha się i puszcza do niego oko.

- Skubaniec! - Johann Wielkolud mocniej chwyta swoją strzelbę i przyciska do klatki piersiowej, mierząc w sufit.

- Podczas tego rejsu już więcej nikogo nie tknie! - wyrokuje Jon Prezydent, rozdymając nozdrza. - Nie mówiąc już o kolejnych aktach sabotażu! Zważ na moje słowa, piekielny pomiole! Światło dzienne ujrzysz dopiero w Surinamie! Już my o to zadamy!

- Jon - zaczyna Saeli. Chrząka. - To nie jest ten, o którym

myślałem, że jest... On...

- Saeli, ty się go boisz! - mówi Jon, nie spuszczać z Diabła wzroku. - Ja doskonale to rozumiem! To niebezpieczny człowiek. Już cię zresztą pobił! Ale teraz z tym koniec! Pójdzie z nami i wszystko będzie tak, jak ma być! Rozumiesz?

- Tak, ale... - mruczy Saeli i przenosi wzrok na Diabła, który bez emocji patrzy w jego rozbiegane oczy i spokojnie kręci głową, jakby chciał powiedzieć Saelemu, że wszystko będzie dobrze, że lepiej się stanie, jeśli z jego powodu nie będzie narażał się na kłopoty, że ich umowa pozostanie ich tajemnicą i że nie obawia się ani tych ludzi, ani tego, co chcą mu zrobić, że...

- Żadne ale! - przerywa mu Jon Prezydent.

- W porządku - mruczy Saeli i patrzy zawstydzony w podłogę.

- Idź już na mostek! - Jon Prezydent szybko przenosi wzrok na Saelego i kiwa głową w stronę drzwi. Ten nieprzemyślany gest - spojrzenie i ruch głową - zajmuje tylko niecałą sekundę.

Ale to akurat tyle czasu, ile potrzebuje Diabeł, a nawet ciut więcej.

Jak tylko Jon Prezydent spuszcza go z oczu, Diabełapie Saelego, przyciąga do siebie i staje za nim. Lewe przedramię kładzie mu na szyi, lewą dłoń zaciska na swoim prawym ramieniu, a prawą dłonią chwyta majtkę za potylicę, i tym samym zamyka go w niebezpiecznych objęciach.

- STÓJ! - wrzeszczy Jon Prezydent. Nie bardzo wie, gdzie

celować, i w końcu wymierza broń w Saelego, który patrzy na Jona z obrzmiałą twarzą i z rozpaczą w szeroko otwartych oczach.

- Mój dobry Boże! - Johann Wielkolud spogląda na Runara stojącego po prawej stronie pierwszego oficera. Ten wzrusza tylko ramionami i przestępuje z nogi na nogę.

- Jonie, nie... - udaje się Saelemu wykrztusić, zanim Diabeł wzmocni uścisk. Kręgi szyjne trzeszczą, oskrzela się nadymają, przełyk zaciska.

- Puść go! - rozkazuje Jon Prezydent, usiłując zbierać trochę śliny, ale tak mu zaschło w ustach, że aż czuje to w nosie i żołądku.

- Tylko jedno pytanie, zanim złamię chłopakowi kark - odzywa się Diabeł najspokojniej w świecie, coraz mocniej ściskając szyję Saelego, który staje się siny i wspina się na palce, żeby nie dopuścić do przerwania rdzenia kręgowego. - Jakie macie zamiary? Co mnie czeka, jak mnie złapiecie?

Diabeł już prawie pokonał tę trzyosobową armię. Jedyne, co musi zrobić, jeśli po dobroci nie złożą broni, to opaść na kolana z Saelim przed sobą, zdjąć prawą dłoń z potylicy chłopaka i sięgnąć do kabury z rewolwerem, umieszczonej przy prawej kostce. Zanim ci kretyni zdążyliby rozdziawić usta w zdziwieniu, jakie zwykle nachodzi człowieka, który desperacko usiłuje pogodzić się z myślą, że została mu jakaś jedna trzecia sekundy życia, zastrzeliliby wszystkich trzech.

Ale zanim posunie się tak daleko i zgasi życie w trzech członkach załogi, chce się dowiedzieć, czy nie uda mu się może odnieść jakichś większych korzyści w inny sposób. Jeśli

poleje się krew i zginą ludzie, na statku rozpęta się piekło. Ewentualny przemyt koki planowany razem z majtkiem weźmie w łeb, a tym samym zmarnuje okazję do ubicia złotego interesu, który bez ponoszenia specjalnych kosztów, bez zbędnego ryzyka i zachodu, mógłby przynieść dziesiątki milionów zysku. A Diabeł nie należy do takich, którzy łatwo rezygnują z podobnej szansy.

- Zamkniemy cię w odosobnieniu - mówi Jon Prezydent, stojąc naprzeciwko Saelego i Diabła, i celując z karabinu to na lewo, to znów na prawo od głowy majtka. Ten zaś, ledwo dysząc, patrzy z przerażeniem w oczach na absurdalne poczynania pierwszego oficera. - Dopilnujemy, żebyś nie wyrządził więcej szkód, niż już... wyrządziłeś.

- Proszę bardzo, zapuszkujcie mnie, gdzie chcecie. - Diabeł wybucha śmiechem. - Ale jeżeli szukacie jakiegoś sabotażysty, to walicie nie tego konia. Możecie w to wierzyć lub nie.

- Tobie nie wierzymy! - mówi Jon Prezydent drżącym głosem. - Puść chłopaka, a wtedy okażemy ci odrobinę litości!

- Człowieku, on się dusi! - wybucha bosman Runar, który widzi, jak Saeli sinieje na twarzy, a jego oczy otacza czarna obwódka.

- Nie wytrzymam tego! - Johann Wielkolud dyszy ciężko jak rozhisteryzowany baran. Ociera pot z rozpalonego czoła.

- PUSZCZAJ! - krzyczy Jon Prezydent, opluwając całą kabinę.

- Będę dostawał jeść i pić? - pyta Diabeł.

- TAK! - krzyczy Jon.

- I nie będę musiał pracować i wachtować, czy jak to się tam nazywa? - docieka Diabeł.

- TAK! TO ZNACZY NIE! - drze się Jon, bliski zawału.

- I dacie mi spokój? - indaguje dalej Diabeł.

- TAK! TAK! TAK!

- No to w porzo. - Diabeł luzuje nieco uścisk, a Saelemu udaje się postawić stopy na podłodze i zaczerpnąć nieco tlenu.

- Puść go! - mówi spokojniej Jon Prezydent i mocniej ściska drżący karabin.

- Oddychaj spokojnie - szepce Diabeł Saelemu do prawego ucha. Ten połyka powietrze z piskiem, jakby kurczyły mu się płuca. -Zanim dobijemy do brzegu, uwolnisz mnie. Albo ja nie uwolnię cię od długu. Rozumiesz?

- Co ty tam gadasz? - pyta Jon Prezydent, unosząc broń. - Przestań szeptać! Puść chłopaka!

- Puść go! - wtóruje mu bosman Runar.

- Rozumiesz? - Diabeł powtarza pytanie szeptem. Saelemu udaje się skinąć głową między rozpaczliwymi próbami złapania oddechu.

- PUSZCZAJ GO! - krzyczy Jon, celując prosto w nabiegłą krewią twarz Saelego. - PUŚĆ ALBO ZASTRZELEŃ WAS OBU!

- JON! - wrzeszczy Runar i usiłuje złapać za lufę.

- RUNAR! - krzyczy Johann, chwytając Runara za rękę, zanim ten zdąży złapać za karabin Jona.

- SPOKÓJ, KURWA! - grzmi Diabeł w kierunku tej trójki. - OPUŚCIE BRONŃ, A JA PUSZCZĘ CHŁOPAKA!

- Jon? - pyta Runar, wzruszając ramionami.

- Robimy, jak mówi - mruczy Johann i opuszcza swoją śrutówkę.

- W porządku - godzi się Jon i kieruje lufę karabinu w podłogę. - Ale tylko dopóki go nie puści. I bądźmy gotowi, chłopaki! A ty puszczaj go!

- Puszczam. - Diabeł uwalnia Saelego, który odchodzi dwa kroki do przodu, rzyga na podłogę i opiera się o najbliższą ścianę.

- Spokojnie! - mówi Jon i mierzy z karabinu w pierś Diabła. -Odwróć się i połóż ręce na tył głowy!

- Dobra, dobra, nie podniecaj się tak, chłopie! Za dużo filmów policyjnych się naoglądałeś - mruczy Diabeł, odwraca się i kładzie ręce na karku. - A gdzie chcecie mnie zamknąć?

- To się okaże! - Jon Prezydent ociera pot z czoła, po czym kieruje spojrzenie na kaszlącego, zaplutego Saelego, oddychającego przez zapchany śluzem nos. - Weź się w garść, chłopcze, i śmigaj na mostek, zanim u starego odezwie się dzwonek!

Jon znów przygląda się poczynaniom Diabła, który nagle ugina kolana, odwracając się jednocześnie. Prawą ręką chwyta za lufę karabinu i kieruje ją w bok. Palec pierwszego oficera zaciska się na spuście i rozlega się strzał:

PLAM!

Odgłos ten nie jest specjalnie głośny, ale tak nagły, niespodziewany i nieprzyjemny, że w uszach marynarzy brzmi niczym wystrzał armatni. Wszyscy zamierają w bezruchu, robi im się zimno i czują w ustach gorzki posmak krwi, jakby Śmierć nachuchała im za kołnierze.

W ścianie, tuż nad wezglowiem łóżka, powstał niewielki otwór, powietrze przepełniło się zapachem spalonego prochu, a drobny dym łechce ich w nosy i wybałuszone oczy.

- I żeby jedno było jasne! - odzywa się Diabeł, wciąż trzymając lufę karabinu i patrząc kolejno w oczy niewydarzonym strzelcom, sparaliżowanym strachem przed tym zadowolonym z siebie szaleńcem. - Jeśli później nie będziecie w stanie udowodnić, że jestem sabotażystą, którego szukacie, to pozabijam was wszystkich!

Żaden z nich nie ośmiela się wydobyć z siebie ani słowa, bo nikt nie wie, co powiedzieć.

- No to idziemy! - mówi Diabeł i puszcza karabin. Potem znów się odwraca, staje w rozkroku i sumiennie kładzie dłonie na karku.

- Tak - mruczy Jon Prezydent i chrząka. Spogląda na bosmana, ale ten wzrusza ramionami i przenosi wzrok na pierwszego mechanika. Johann Wielkolud szeroko otwiera oczy i ciężko dyszy.

Przed trzema strzelcami stoi mężczyzna zwrócony do nich plecami, z dłońmi na karku, a oni nie mają odwagi otworzyć ust, by wydać mu rozkaz, bo już nie wiedzą, kto kogo aresztował.

Mogę zaproponować ci deser? Lody czy coś? - pyta kuk Asi, dolewając kawy do kubka sternika Jonasa.

Asi obiecał Jonowi Prezydentowi, że zatrzyma sternika w mesie jakieś dziesięć, piętnaście minut, do czasu, gdy uda im się przemyścić tego Diabła niepostrzeżenie schodami w dół i odstawić do forpiku, gdzie ma pozostać skuty łańcuchami

do końca rejsu.

Lecz Asi, ten kulturalny, miły młodzieniec, który potrafi rozmawiać z każdym i na każdy temat, zupełnie nie umie złapać kontaktu z Jonasem, znanym z kolei z tego, że obco się czuje w każdym towarzystwie. Stąd też nie sposób wydobyć z niego ani jednego sensownego zdania, a kiedy już spogląda swoim towarzyszom prosto w oczy, wydaje się, jakby ich nie rozpoznawał i patrzył przez nich na wskroś, będąc w jakimś innym świecie.

- Nie, dzięki - mamrocze Jonas i wstaje od stołu, nawet nie spróbował kawy.

- Jak chcesz, koleżko. - Asi zbiera ostatnie talerze i sztuce ze stołu w mesie oficerskiej. - Ale mam w lodówce sernik o smaku cytrynowym, który aż się prosi o ciepłą kawę, wieszając rozpusztyny związek.

- Dziękuję bardzo - mówi Jonas i wychodzi z mesy. Ciężkim krokiem rusza schodami w górę, uginając się od zmartwień i lęków.

Kiedy jest mniej więcej w połowie schodów prowadzących z pokładu D na E, z dołu od bakburty dochodzą go jakieś dziwne hałasy. Zatrzymuje się na trzecim schodku od góry i trzymając się obu poręczy, zaczyna nasłuchiwać. Słyszy kroki kilku osób podchodzących gęsiego do schodów, a następnie maszerujących żołnierskim krokiem na pokład C. Nie śmieją się przy tym, nie klną, ani nie rozmawiają ze sobą.

Jonas wyczuwa, że coś jest nie w porządku. Marynarze nie zwykli zachowywać milczenia w grupie. Skrada się więc na pokład D i spogląda ze schodów w dół. Widzi Johanna

Wielkoluda i bosmana Runara znikających za rogiem korytarza na pokładzie C. Obaj są wyprostowani i wyglądają ponuro. Do piersi przyciskają strzelby.

Co się dzieje?

Biegnie za nimi i udaje mu się dostrzec cały oddział, zanim ten zniknie mu z pola widzenia na pokładzie B. Tam wychodzą na zewnątrz. Pierwszy idzie Diabeł, za nim podąża Jon Prezydent, unosząc karabin, jakby ten wyposażony był w bagnet.

Boże drogi!

- Spokojnie - mruczy Jonas, bierze głęboki wdech i pociera zziębnięte dłonie.

Pojmali Diabła, co oznacza, że podejrzewają go o przecięcie przewodów, i to dobrze! Ale co, jeśli ten kryminalista zacznie gadać? Co, jeśli im powie, że nie jest szwagrem Jonasa? Co sobie pomyślą o sterniku, który taił to przed nimi? I o tym, dlaczego miałby coś takiego ukrywać? Co, jeśli Diabeł im powie, że Jonas zapłacił mu pięć baniek, żeby tylko go nie wydał? Co, jeśli pokaże im czek? Co wtedy powie Jonas?

Że Diabeł mu groził? Że zapłacił Diabłowi, żeby kupić sobie spokój? Żeby uratować swoje życie?

Sternik wbiega na pokład D prosto do kajuty Diabła. Powietrze pachnie prochem strzelniczym, na ścianie nad łóżkiem widnieje dziura po kuli, a przy drzwiach do łazienki ktoś narzygał.

Coś tu się musiało wydarzyć!

Jonas rozpaczliwie szuka swojego czeku. Jeśli go znajdzie,

łatwiej mu będzie wykręcić się z tego wszystkiego. Wtedy powie, że Diabeł mu po prostu groził. Mówił, że go zabije, jeśli go wyda.

W szafie odnajduje worek marynarski i wysypuje jego zawartość. Grzebie w ubraniach i znajduje paszporty, książeczki bankowe i akcje, ale czeku nie ma. Wpycha ubrania z powrotem do worka, ale papiery zabiera. W szafce w łazience są tylko papierosy. Jon bierze jedną paczkę i dalej szuka czeku. Nigdzie go nie znajduje. Nie ma go pod materacem, w sofie, w bakiście pod łóżkiem, ani w, ani pod, ani za żadnym z mebli. Nie ma go w kajucie.

Skurwysyn ma go oczywiście przy sobie!

- Kurwa mać! - przeklina Jonas pod nosem, siada na sofie i zapala papierosa.

Musi coś zrobić. Musi mu coś przyjść do głowy. Coś genialnego. Coś niesamowitego. Coś, co odciągnie uwagę członków załogi od oczywistych faktów i logicznego ciągu wydarzeń.

Od tego zależy jego los!

Jonas gasi papierosa, wyłącza światło w kajucie, wychodzi i zamyka za sobą drzwi. Nasłuchuje, czy gdzieś nie kręcą się ludzie, ale niczego nie słyszy. Otwiera drzwi prowadzące na podest za sterówką. Sztorm znów zbliżył się do statku, światło dnia ciemnieje, wiatr się wzmaga, a szary ocean się burzy. Sternik jedną ręką trzyma się barierki, a drugą wyrzuca za burtę papiery Diabła. Wiatr porywa bezużyteczne już paszporty, książeczki bankowe i akcje, targa nimi w powietrzu, unosi je wysoko nad statek i roznosi ponad

wzburzoną tafłę morza.

Im mniej Diabeł będzie miał danych na własny temat, tym lepiej. Żadnych dokumentów, żadnej rodziny, żadnych papierów, nic.

Kto uwierzy facetowi, który nie potrafi udowodnić, kim jest?

Jonas uśmiecha się do siebie, ale nie trwa to długo. Musi jeszcze wykonać trudniejszą część swojego planu. Podkopał już wiarygodność Diabła, ale musi jeszcze udowodnić jego bezwzględne okrucieństwo. Jak tylko członkowie załogi zobaczą, co zrobił Jonasowi, kiedy ten zagroził, że go wyda, ani na moment nie zwątpią w jego winę. Wtedy czek już nie będzie istotny, niezależnie od tego, czy się odnajdzie, czy nie.

Jonas przechodzi przez sztormreling na sterówce i schodzi po nim, dopóki jego nogi nie zawisną w powietrzu. Statek to się unosi, to opada głęboko, więc i sternik albo przywiera ciasno do zimnego żelaza, albo dynda w powietrzu nad pieniającym się piętnaście metrów pod nim kilwaterem.

Już po pół minucie jego ręce rozsadza ból. Żelastwo jest zimne, mokre i lepkie od soli, zeszywniałe palce ślizgają się i powoli tracą czucie. Jonas szybko oddycha i usiłuje myśleć jasno, odgadując ruchy statku. Nie może ani wylądować w wodzie, ani na barierce na pokładzie poniżej. Cała sztuka polega na wstrzeleniu się we właściwy moment, na puszczeniu barierki dokładnie w chwili, kiedy statek zacznie się podnosić po złamaniu ciężkiej fali, ale nie zbyt wcześnie i na pewno nie za późno...

Bom, bom, bom...

Teraz!

Jonas zwalnia uchwyt na mokrym relingu. Przez moment jakby zawisł w powietrzu. Następnie pokład C przelatuje mu przed oczami, żołądek wypełnia zimna pustka, serce płonie w piersiach. Czuje smak krwi w nosie, a krew trąci zardzewiałym żelastwem...

XXIII

Gudmundur Berndsen siedzi na sofie w swojej kajucie na sterburcie pokładu F i układa pasjansa. Karty ślizgają się po stoliku, kiedy statek się kołysze i buja, ale Gudmundur kładzie tego pasjansa na morzu od ponad dwóch dziesięcioleci i jak dotychczas jego pięć długich palców zawsze nadążało z wyłapywaniem rozsypujących się kart i układaniem ich na miejsce, i to bez specjalnego udziału świadomości.

Ale teraz już nie.

Gudmundur ma kłopot ze skoncentrowaniem się na pasjansie i kiedy karty tak się przesuwają, denerwuje się, palce się kurczą, karty kleją się do nich i stopniowo wszystko zamienia się w potworny bałagan.

- A niech to szlag trafi! - mamrocze kapitan i miesza karty, zanim znów je potasuje.

Jego myśli krążą wokół Hrafnhildur, zniszczeń na statku, nastrojów załogi. Myśli też o tym sztormie, który Jon Prezydent już dawno powinien był ominąć!

- Niech szlag trafi ten przeklęty statek! - Gudmundur wstaje i idzie po piersiówkę z koniakiem i ciężki szklany

kieliszek.

Nie zwykł zabierać ze sobą alkoholu w morze, ale w końcu jest to jego ostatni rejs. Czy aby na pewno chce rzucić tę pracę po powrocie? Tak, do diabła, koniec z tym!

- Tylko jeden na trawienie - mruczy Gudmundur, rozdiewiczając butelkę i napełniając kieliszek. Potem wlewa jego zawartość do ust, przymyka oczy i mlaska, rozkoszując się smakiem.

Tak lepiej!

Tasuje karty i znów zaczyna kłaść pasjansa. Statek buja się na wściekłych falach, wiatr z zachodu się wzmacza, a światło za oknem zamieniło się w ponurą szarugę.

Ciekawe co teraz robi Hrafnhildur? Ciekawe, czy przyjedzie do Surinamu? Czy jest jeszcze żonaty? A może Gudmundur Berndsen jest już rozwodnikiem?

- Król na asa, dama na króla - mruczy, przenosząc króla i damę, po czym odkrywa kartę, która leżała pod nimi na kupce.

Wzdycha i oblizuje wargi. Odkręca butelkę, napełnia kieliszek i wypija. Potem znów napełnia kieliszek i zakręca butelkę.

Długo nie słuchał, kiedy ludzie mówili, jak to przykro nie mieć z kim dzielić starości. Jakie to smutne umrzeć w samotności.

Baby!, myślał sobie, kiedy zdrowi faceci wyrażali takie niemęskie i beznadziejne opinie.

A teraz sam się tego lęka. Co, jeśli Hrafnhildur odejdzie od niego? Co wtedy pocznie? Wynajmie sobie gdzieś suterene?

Kupi mieszkanie w bloku? I co? Będzie kładł pasjanse aż do śmierci?

A może będzie jednym z tych, którzy przyrastają do fotela przed telewizorem i długo patrzą przez judasza, kiedy ktoś zapuka do drzwi? Jeśli ktoś zapuka! Jakby domowa cisza była cienkim szkłem, które pęka pod najmniejszym naciskiem. Czy będzie jednym z tych starców o kwaśnym oddechu, którzy włączają się w niepranych ubraniach i jedzą skwaśniałe podroby na śniadanie, obiad i kolację? Którzy mieszkają w cuchnących norach, równie ciemnych i martwych jak oni sami?

Czy umrze samotnie, bez miłości, bez współczucia, pomocy i miękkich dłoni, które mógłby głaskać...

Statek spada w głęboką przepaść, przechyla się na lewą burtę i uderza we wznoszącą się falę. Wiatr wyje, kadłub dygoce na całej długości, pełny kieliszek podskakuje i przewraca się, a koniak rozlewa się po kartach, spływa ze stolika na dywan.

- A niech to! - Kapitan zrywa się na równe nogi. Zgarnia mokre karty, stawia kieliszek, rzuca piersiówkę na sofę i dopada do okna.

Na zewnątrz panują przerażające ciemności obracające się wokół własnej osi, zakrywające ocean, krzyczące niczym monstrum i ziejące ogniem we wszystkie strony. W każdej chwili sztorm może uderzyć w statek, który w porównaniu z falami i wiatrem porusza się tak wolno, że wydaje się, iż jest jak gumowa kacuszka w wannie.

- Święta Mario... - mruczy Gudmundur i żegna się

w obliczu sił natury.

Morze pokrywają długie, białe krechy i wszędzie grzbiety fal zmieniają się w białą pianę, która powoli staje się szara, a potem czarna. Tak szybko zapadają ciemności.

- ...Matko Boża - mruczy kapitan i bierze głęboki wdech. Następnie wzdryga się i zamiera, kiedy coś mokrego i ciężkiego uderza w zamknięte okno.

Jakaś brązowa, łyśa paskuda o ośmiu mackach i wielkim łbie.

- ...zmiłuj się nad nami! - kończy kapitan na głos i patrzy z obrzydzeniem na poczwarę w oknie.

To ogromna mątwą przylepiła się do szkła i spogląda na Gudmundura martwym okiem...

Majtek Saeli stoi przy oknie po prawej burcie na mostku i patrzy bezradny na piekielny sztorm nadciągający od zachodu, czarny jak dym z płonącego mazutu. Saeli nie ma uprawnień kapitańskich i choć uważa, że umie wyłączyć Kubusia i uciec statkiem przed sztormem, nie wolno mu dotykać urządzeń.

Co ma zrobić?

Fale stają się coraz większe, morze się burzy i ciemnieje, ciężkie podmuchy wiatru uderzają w statek jak ciosy niewidzialnej pięści, żelazo i drewno trzeszczą i jęczą, światło dzienne szarzeje i zanika, statek tańczy nad krawędzią piekła, a widok się rozmywa, kiedy spienione morze chlusta na szyby.

- Co się tu dzieje? - pyta kapitan Gudmundur, zatraskując za sobą drzwi i wchodząc na mostek. Trzyma się ścian i stołu

i w ten sposób posuwa się wzdłuż wnętrza z mapami ku środkowi pomieszczenia. – Gdzie Jon?

– Jon? – powtarza Saeli, patrząc z przerażeniem, ale i z zadowoleniem na dowodzącego statkiem. Przerażenie wynika z tego, że bierze udział w tajnym buncie, ale jednocześnie odczuwa zadowolenie, że zjawił się na mostku ktoś, kto przejmie ster w swoje ręce.

– Mówiłem mu, żeby skierował statek na wschód! Znosi się na sztorm, nawet na orkan, dwanaście stopni w skali Beauforta! – Gudmundur siada w fotelu. – Gdzie on jest?

– On... on... – duka Saeli i chrząka, aż zaczyna kaszleć.

– Co ci jest, chłopcze? – pyta Gudmundur, przyglądając się majtkowi uważnie. Saeli jest błydy jak ściana i wyraźnie podenerwowany, ręce mu się trzęsą, szeroko otwarte oczy błyszczą i jeśli sądzić po ciemnej plamie na spodniach, zesikał się.

Co się tu dzieje, do diabła?

– GDZIE JEST JON SIGURDSSON? – pyta Gudmundur pełnym głosem, wyłączając Kubusia i łapiąc koło steru.

Ale kapitan nie musi czekać na odpowiedź majtka, bo gdy tylko kieruje wzrok za okna mostku, widzi wszystko jak na dłoni:

Na pokładzie pogodowym przy lewej burcie idzie gęsiego czterech mężczyzn. Znajdują się w pół drogi do dziobu, pięćdziesiąt metrów mają za sobą i do pokonania zostało im też jeszcze jakieś pięćdziesiąt. Z przodu kroczy nowy majtek, za nim Jon Prezydent, następnie bosman Runar. Pochód zamyka Johann Wielkolud. Wszyscy, poza pierwszym, są

uzbrojeni. Nowy ma uniesione ręce, a dłonie opiera o tył głowy. Runar niesie na lewym ramieniu zwinięty długi łańcuch, a Johann trzyma w prawej ręce pięciolitrowy kanister z wodą. Mozolnie walczą z falami, posuwając się krok za krokiem, na ugiętych kolanach, ze zgarbionymi plecami, wychłostani wiatrem i przemoknięci od deszczu i wody morskiej.

- CO SIĘ TU DZIEJE? - grzmi Gudmundur, patrząc przez mokre szyby i nie wierząc własnym oczom. - CO ONI WYPRAWIAJĄ? MAJĄ BRONŃ?

- Chcą go zamknąć w forpiku. - Saeli wciąga krew do nosa. Nieposłuszeństwo! Zagrożenie! Bunt!

- NIE WIERZĘ! - krzyczy Gudmundur, ponownie uruchamiając Kubusia. Zeskakuje z fotela i podbiega do wnęki z mapami. Tam zwija mapy leżące na stole.

Lepiej, żeby ci zbuntowani idioci nie przejęli map!

- Dokąd idziesz? - pyta Saeli, przytrzymując się oburącz, kiedy statek spada z wysokiej fali.

- ZOSTANIESZ TUTAJ, CHŁYSTKU. NIE RÓB NIC I NICZEGO NIE DOTYKAJ! - krzyczy Gudmundur. Otwiera lewą ręką drzwi na korytarz, a prawą przyciska do piersi zwinięte mapy. - SŁYSZYSZ, GÓWNIARZU?

- Ale sztorm... - W oczach Saelego pojawiają się łzy.

Gudmundur patrzy na młodego człowieka z pogardą, lecz nic

nie mówi. Przesłupuje przez próg i zatrzaskuje za sobą drzwi.

Do forpiku wchodzi się przez wodoszczelne żelazne drzwi,

zamykane na trzy antaby. Pomalowane są na czerwono, podobnie jak cały front forpiku, na którym białą farbą napisano jego angielską nazwę: FORECASTLE.

- SAM OTWÓRZ! - krzyczy Jon Prezydent i szturcha karabinem w plecy stojącego przed drzwiami forpiku na szeroko rozstawionych nogach Diabła.

Forpik jest zamkniętym, osobnym pomieszczeniem w części dziobowej statku i uważa się go za najbardziej wysuniętą do przodu część pokładu A, czyli pokładu górnego. Zazwyczaj służy jako magazyn bosmański.

Przy takiej pogodzie jak teraz poruszanie się po pokładzie nie jest najbezpieczniejsze. Właściwie to ryzykanctwo, jeśli nie głupota. Czterej mężczyźni ślizgają się, tracą przyczepność, potykają

się, uderzają o wszystko, co znajdzie się na ich drodze, kiwają się w przód i w tył, łapią, za co tylko mogą, i albo są wciskani w mokry, zimny pokład, albo unoszą się kilka cali nad nim, bo statek to opada bezwładnie w doliny fal, to wzbija się do góry na grzbiet niczym rakietą.

Diabeł pochylony do przodu o czterdzieści pięć stopni opiera się lewą ręką o przednią ścianę forpiku, a prawą wyciąga skoble z zasuw. Są to takie same drzwi jak te prowadzące do mrocznej ładowni, ale zasuwane sztaby nie są równie sztywne i Diabłowi udaje się je uwolnić jedną ręką, choć wymaga to nieco siły. Kiedy trzecia i ostatnia zasuwka odpada, dziób statku unosi się wysoko w powietrze, jakby miał płynąć do nieba, a ciężkie drzwi otwierają się na oścież i rzucają Diabła jak szmatę na Jona Prezydenta. Obaj tracą

grunt pod nogami i lądują na pierwszym luku ładowni, który wystaje z pokładu na tyle, aby sprawić, iż nie staczają się aż pod samą sterówkę i nie zostają splukani przez szalejącą wodę za burzę.

Johannowi Wielkoludowi udaje się zahaczyć serdecznym palcem lewej dłoni o żelazne oczko na ścianie frontowej forpiku. Prawą ręką chwyta bosmana Runara za ramię i obaj wiszą w powietrzu do chwili, kiedy statek nie wróci do poziomu.

- WSZYSCY DO ŚRODKA! - woła Jon Prezydent, kiedy tylko statek osiada na wodzie, czyli wraca mniej więcej do poziomu.

Lodowata woda zalewa pokład od sterburty po bakburzę. Diabeł i Jon Prezydent podnoszą się z pokładu i wbiegają do forpiku, Johann Wielkolud uwalnia palec serdeczny z oczka i podnosi Runara na nogi, po czym obaj pomagają sobie wzajemnie dotrzeć do forpiku, przestępują wysoki próg i znikają w ciemnościach.

Zawiasy skrzypią niemiłosiernie, żelazne drzwi poruszają się gwałtownie w tę i z powrotem i na koniec zatrząskują się z hukiem:

Bom!

W ciasnym forpiku zapada czarny mrok, jakby ciemność była bezdenną otchłanią, kosmosem bez końca.

Strach niczym zimne morze zalewa towarzyszy broni uczepionych swoich strzelb, ślepo zapatrzonych w ciemność. Zamknęli

się w trójkątnej żelaznej skrzyni, która podskakuje, trzęsie

się i kiwa niczym blaszana puszka na pace wywrotki jadącej dziurawą szutrową drogą, a na domiar złego jest tu z nimi niebezpieczny człowiek, jadowity skorpion, którego nawet nie widzą i nie mogą zobaczyć, co robi.

- ŚWIATŁO! ZAPALCIE ŚWIATŁO!
- A GDZIE JEST WŁĄCZNIK?
- PRZY DRZWIACH OD BAKBURTY!
- JON?
- TAK?
- GDZIE JOHANN?
- NIE MOGĘ, KURWA, ZNALEŹĆ WŁĄCZNIKA!
- KTO STOI PRZY DRZWIACH?
- JA NIE!
- KTO TO JA?

Statek uderza w ciężką falę, w forpiku dudnijak we wnętrzu bębna, ludzie zataczają się, nie mogąc złapać oddechu, przewracają się jeden o drugiego, a po chwili dziób się unosi, wtedy ponownie drzwi się otwierają na oścież i wpuszczają do środka szarawą poświatę.

- MAM GO! - krzyczy Runar, zrywa się na równe nogi i uderza w kontakt. Nad drzwiami zapala się mdła żarówka osłonięta uświnionym plastikowym kloszem. Bosman trzyma się za metalowy kawałek wręgi i spogląda na leżącego na plecach w rogu na bakburcie Johanna, który z kolei patrzy na pierwszego oficera. Jon Prezydent siedzi na froncie forpiku i mierzy z karabinu do więźnia. Diabeł stoi beztrosko z wyciągniętymi ramionami przy sterburcie i trzyma się kantów długiej stalowej półki.

Johann oburącz obejmuje swoją śrutówkę i przyciska ją do piersi. Strzelba Runara wala się po podłodze między nim a Diabłem, razem z łańcuchem i kanistrem z wodą.

- Nawet o tym nie myśl. - Jon Prezydent odbezpiecza karabin.

- Bez nerwów, kowboju - uspokaja go Diabeł, chłodno się uśmiechając. - Gdyby mi się tylko chciało, już dawno byłoby po was wszystkich.

Mógłby oczywiście równie dobrze powiedzieć im, kto jest sabo-żystą. Ten cały Jonas wyszedł niby do kibla, jak tylko Diabeł zjawił się na nocnej wachcie, nie było go dobre pół godziny, a potem nieśmiało próbował wrobić Diabła przed kapitanem.

Przecież to Jonas był przemoknięty do suchej nitki, blady i drżący jak kura!

Co ci ludzie sobie wyobrażają? Nie potrafią skojarzyć faktów?

Jonas załatwił tego swojego szwagra, usiłuje zwać do Ameryki Południowej i nie dopuścić, by władze nawiązały łączność ze statkiem.

Przecież to jest aż nadto oczywiste.

Ale Diabłowi w zasadzie to wisi. Jedyne, czego pragnie, przynajmniej na razie, to mieć wreszcie spokój od tych nudnych harcerzyków. Nieważne, że będzie go to kosztowało niesprawiedliwą odsiadkę w zimnej klatce z żelaza. Kiedy znudzi mu się już pobyt w forpiku, powie im, kto jest winny. Oczywiście jeśli do tej pory sami na to nie wpadną.

A on do tego czasu trochę sobie odpocznie.

- Tu jest dmuchawa. - Johann Wielkolud wyciąga nieduży grzejnik elektryczny z drewnianej skrzynki przytwierdzonej do żelaznego słupa na środku pomieszczenia. Wkłada wtyczkę grzejnika do gniazdka w słupie i ustawia minimalną temperaturę.

Statek daje głębokiego nura, stal trzeszczy, wręgi jęczą i drzwi zatraskują się z łoskotem. Runar wykorzystuje ten moment, by zasunąć jedną zasuwę od środka.

- No. - Jon Prezydent wolno się podnosi. - Skończmy to, zanim pogoda wszystkich nas tu uwięzi.

Jon mierzy ze strzelby w Diabła, podczas gdy Runar owija go w pasie końcem łańcucha. Wkłada pałak kłódki w dwa złożone ogniwa za plecami Diabła, przeciąga drugi koniec łańcucha przez kółko w ścianie sterburty, przez ostatnie ogniwo także przeciąga pałak kłódki i zatraskuje ją.

- Pięknie! - ocenia Jon Prezydent, bierze od niego kluczyk i wkłada do kieszeni koszuli. - Rozgość się tu wygodnie, przyjacielu. Światło oczywiście zostawimy włączone.

- Ale z was debile! - Diabeł nadal stoi przy ścianie i wyszczerza zęby w uśmiechu jak trupia czaszka, kiedy trzech mężczyźni zatraskują za sobą drzwi, zaciągają zasuwę i ryglują je.

Ci idioci łudzą się, że oto skuli samo zło i zamknęli je w jakimś Niflheimie*, a tak naprawdę przygotowali dla przybysza malutki raj, uwalniając go od obowiązków, odpowiedzialności i codziennej harówki.

Gudmundur stoi przyczajony przy sterówce od strony bakburty. Czeką, aż „święta trójca” wróci i wejdzie na

żelazne schody prowadzące z pokładu pogodowego na pokład B. Kapitan ma na sobie kurtkę i ciepłą czapkę i dociska krótkiego mossberga do klatki piersiowej.

Po kilku długich minutach zauważa u szczytu schodów czubek głowy pierwszego oficera Jona, za którym podąża bosman Runar. Johann Wielkolud zamyka pochód. W lewych rękach niosą broń, prawymi trzymają się poręczy. Zgięli się, by zmniejszyć opór wiatru, wykrzywione twarze odwracają od słonych porywów.

Gdy kapitan obserwuje swoich wieloletnich towarzyszy, snujących się z bronią po pokładzie, ogarnia go wściekłość. Nie tylko sprzeniewierzyli się jego rozkazom, ale wręcz sięgnęli po władzę.

To przestępcy, zdrajcy i buntownicy!

Gudmundur chowa się za występ w ścianie i śledzi każdy krok tej trójki. Jon Prezydent już jest na pokładzie B, mocno uczepiony najwyższej krawędzi nadburcia posuwa się w kierunku rufy. Runar wchodzi na pokład i idzie za Jonem, a Johann jest mniej więcej w połowie schodów.

Wokół tylnej części pokładu B nie ma w zasadzie relingu, jest tylko lite nadburcie albo fałszburta z pomalowanej na czarno stali.

Zachodni wiatr wyje, fale wybuchają i biją w statek, błyskawice w chmurach tną ciemność niczym strzały armatnie, w oddali rozlega się grzmot, sterówka huśta się jak boja, a czarny kadłub statku regularnie ginie w falach i słonej wichurze.

Kiedy statek wraca do poziomu po głębokim spadku,

kapitan wychodzi ze swego ukrycia, unosi strzelbę i uderza pierwszego oficera kolbą w lewy policzek, po czym zatapia łokieć głęboko w jego podbrzusze.

Jon upuszcza karabin i pada przed siebie na pokład, a Runar klęka, nie puszczając ani nadburcia, ani strzelby.

- NIE STRZELAĆ! - wrzeszczy pierwszy mechanik i rzuca swoją śrutówkę za burtę, po czym unosi lewą rękę nad głowę. Stoi na najwyższym stopniu schodów.

- NAJSŁUSZNIJ BYŁOBY WAS WSZYSTKICH ZASTRZELIĆ! - krzyczy kapitan, celując w nich na przemian. Stara się przy okazji ustać na mokrym pokładzie, który faluje w górę i w dół i buja się na wszystkie strony.

- SPOKOJNIE, CZŁOWIEKU! - pokrzykuje bosman, usiłując wypchnąć swoją strzelbę do morza przez szparę u podstawy nadburcia.

- CO WY WYPRAWIACIE? - wydziera się pierwszy oficer na swoich towarzyszy. Wstaje. W tym momencie statkiem buja w dół, Jon traci równowagę i ląduje na fałszburcie.

- JON! - krzyczy bosman i rzuca się w jego kierunku. Udaje mu się złapać Jona za kostkę, czym ratuje go przed upadkiem z nadburcia w zimną otchłań.

- WSZYSCY POD DACH! WSZYSCY POD DACH! - woła pierwszy mechanik, wchodzi na pokład B i wolno posuwa się wzdłuż nadburcia. - WSZYSCY POD DACH, ZANIM KTOŚ NIE SKOŃCZY ZA BURTA!

Jon Prezydent czołga się na czworaka ku rufie i udaje mu się chwycić karabin, zanim ten spadnie do wody, a Johann Wielkolud pomaga bosmanowi się podnieść. Podpierając

Runara lewą ręką, prowadzi go w kierunku drzwi.

- RZUĆ BRONŃ! - grzmi kapitan Gudmundur, gdy Jon Prezydent wstaje z karabinem w lewej ręce. Po chwili ślizga się na mokrym pokładzie i uderza w fałszburłę tuż przed bosmanem. Runar chwytą się kapitana, który niechcący pociąga za spust i oddaje strzał w czarne niebo.

- POZABIJAĆ NAS TU CHCESZ? - wrzeszczy Jon i zamachuje się karabinem jak toporkiem.

- WSZYSCY POD DACH! WSZYSCY POD DACH! - powtarza Johann jak mantrę, lecz Runar nie może zrobić ani kroku, bo Gudmundur się nie rusza.

- WYRZUĆ KARABIN DO MORZA! - krzyczy Gudmundur, mierząc w Jona, który z wściekłości zgrzyta zębami, wybałusza oczy i rozdyma nozdrza.

- NO JAZDA, RUSZAĆ SIĘ! - Runar popycha kapitana, który tkwi w miejscu. - NIKT DO NIKOGO NIE BĘDZIE STRZELAŁ!

- NIKT SIĘ STĄD NIE RUSZY, DOPÓKI KARABIN NIE WYLĄDUJE W MORZU! - krzyczy Gudmundur.

- USPOKÓJ SIĘ! - wydziera się Jon, mocno oparty prawym łokciem o nadburcie. Lewą rękę trzymającą karabin poziomo wyciąga przed siebie i palcami prawej uwalnia zamek.

- CO TY WYPRAWIASZ? - warczy Gudmundur, który zdążył już ochrypnąć od krzyku.

- TEN KARABIN TO ZABYTEK! - woła Jon, upuszczając suwadło z zamka na żelazny pokład, po czym kopie je w stronę schodów i spycha z pokładu. - TERAZ JEST CAŁY, ALE BEZUŻYTECZNY! ALE NIE WYRZUCĘ GO DO WODY!

- WSZYSCY POD DACH! - krzyczy Johann i popycha Runara na Gudmundura.

- WSZYSTKO W PORZĄDKU, KURWA MAĆ! - wrzeszczy Gudmundur i rygluje broń. - WSZYSCY POD DACH!

Uczepieni nadburcia, mijają duży kabestan od bakburty i posuwają się ku rufie. Tam Jon Prezydent trzema skokami pokonuje mokry pokład, wpada do sterówki przez drzwi prowadzące na korytarz pokładu B. Tu odkłada karabin i przytrzymuje otwarte drzwi. Gudmundur rusza biegiem, lecz pada na kolana, kiedy fala uderza w statek. Udaje mu się jednak dotrzeć do celu.

- CHODŹCIE! - pokrzykuje Jon do Runara, który w myślach analizuje ruchy statku, usiłując wybrać najlepszy moment.

Zbyt duży wiatr... zbyt duży przechył... Zbyt wzburzone morze...

- ZOBACZ! - woła Johann Runarowi do ucha, kiedy ten ma już puścić nadburcie i przebiec do drzwi, które przytrzymuje Jon.

- CO?! - krzyczy Runar, oburącz łapiąc za nadburcie, kiedy rufa spada w kipiącą toń, niczym wieloryb dający nura w głębiny.

- TAM JEST JONAS! - wydziera się Johann, wskazując drżącą dłonią na leżącego na plecach sternika. Przewala się po całym pokładzie między dużym kabestaniem a nadburciem sterburty.

- NIE ŻYJE? - pyta Runar, dając Jonowi znak, by spojrzeć w kierunku sterburty.

- NIE MAM POJĘCIA! - woła Johann, popychając bosmana.
-CHODŹ! MUSIMY WCIĄGNĄĆ GO DO ŚRODKA!

Diabeł naciąga łańcuch, żeby sprawdzić, ile ma swobody w pomieszczeniu. Udało mu się dotknąć żelaznego słupa stojącego na środku. Tylko tyle. Drzwi równie dobrze mogłyby być w odległości całych lat świetlnych.

Na podłodze po obu stronach pomieszczenia znajduje się otwarty waterwejs, sięgający od ściany frontowej forpiku do samego dziobu. Od strony bakburty w rynnie tej walają się boje, a od strony sterburty, czyli od strony Diabła, zmagazynowano puszki z farbami, rozcieńczalnikami, pojemniki służące do mieszania farb, wałki i pędzle. Nad rynnami, na wysokości ramion człowieka średniego wzrostu, ustawiono półki z wysokim rantem, a na nich leżą bele juty i płótna żaglowego, poplamione kombinezony robocze i różne podobne rzeczy. Wszystko zabezpieczone zieloną siecią zaczepioną o żelazne haki i rozciągniętą na półkach od przodu.

Strasznie trudno jest stać w forpiku, ale jeśli trzyma łańcuch naprężony i szeroko rozstawi się nogi oraz podpira się jedną ręką o półkę, nie jest to niewykonalne.

Diabeł zaczyna przenosić sprzęt malarski na koniec waterwejsu, od strony dziobu, następnie zdziera sieć z półki i zabezpiecza ów sprzęt. Skończywszy, przygotowuje sobie barłóg w rynnie, rozkładając na dnie jutę i płótno żaglowe.

W ten sposób zamienia waterwejs w głęboką koję.

Kładzie się w tym barłogu na plecach i jedno z ogniów łańcucha zaczepia o żelazny haczyk tuż nad rynną. Tym

sposobem zapobiega ewentualnemu wypadnięciu z rynny podczas największego kołysania.

Żarówka nad drzwiami rzuca słabe światło na wnętrze forpiku. Po posadzce w tę i z powrotem przesuwa się dmuchawa. Mruczy i bucha gorącym powietrzem.

- Mogłoby być gorzej - mamrocze Diabeł, wyjmując z prawej kieszeni spodni pomietą paczkę po papierosach. Następnie odwija bandaż z ampułki, strzykawki i igły.

Montuje igłę do strzykawki, przebija igłą gumową błonę ampułki i wciąga do strzykawki roztwór morfiny. Odczekuje, aż statek wespnie się na wysoką falę. Jak tylko na moment zatrzymuje się na jej grzbiecie, mężczyzna zaciska lewą dłoń, wbija igłę głęboko w niebieską żyłę na przedramieniu i popychając tłok strzykawki, kciukiem prawej ręki wprowadza płyn do organizmu zdecydowanie i bez wahania.

Statek spada z fali, Diabeł czuje błogość i zapada się w ciemną otchłań...

XXIV

Sobota, 15 września 2001

Jon Prezydent trzyma się oburącz nadburcia bakburty i wolno przesuwa wzdłuż kadłuba statku, w kierunku schodów prowadzących na pokład pogodowy. Minęło niecałe osiemnaście godzin od chwili, kiedy zamknęli w forpiku podejrzanego o terroryzm, a sztorm wciąż szaleje. Jon ma na sobie zielony sztormiak i czarne kalosze i gołymi dłońmi mocno obejmuje śliską żelazną poręcz, schodząc tyłem ze stromych schodów. Wchodzi ostrożnie na pokład pogodowy, który tonie pod spienioną wodą i oślepiającą słońą wichurą.

Pierwszy oficer szuka suwadła od swojego karabinu, choć niespecjalnie spodziewa się je znaleźć po tak długim czasie.

Wcześniej nie miał czasu, żeby go szukać.

Kapitan Gudmundur odesłał go wówczas natychmiast na wachtę na mostek. Z tym, że najpierw zanieśli nieprzytomnego sternika do izolatki. Wachtę skończył dopiero o dwudziestej drugiej. A wtedy było już za ciemno, by szukać tak małego przedmiotu na tak dużej przestrzeni, na dodatek pod gołym niebem podczas sztormu.

Dopóki sternik Jonas leży bez przytomności, kapitan

i pierwszy oficer muszą dzielić między siebie wachty na mostku. Odbywa się to w ten sposób, że wydłużają je do ośmiu godzin. Kapitan zmienił pierwszego oficera o dwudziestą drugą, a ten kolejną wachtę zacznie o szóstej rano. I jego wachta potrwa do czternastej.

Wprawdzie już jest szósta, ale Jon nie ma zamiaru zmienić starego, dopóki nie znajdzie zguby.

Musi znaleźć to cholerne suwadło!

W momencie kiedy Jon puszcza barierkę, statek daje głębokiego nura, przechylając się jednocześnie na sterburtę. Pierwszy straci równowagę, przewraca się na brzuch i uderza w ostatni luk ładowni. Po chwili statek wraca do poziomu, pokład chowa się pod wodą i Jon zostaje splukany na bakburtę, pod reling i za burtę.

- NIE!

I w jednym momencie świat staje się czarny. Lodowata woda napełnia wszystkie zmysły i przez chwilę Jon nic nie słyszy ani nie widzi.

Zupełnie jakby tonął, spadał, obracał się w koło w lewo i znikał w mrocznej głębi...

Co on właściwie wyprawia? Po cholere poszedł szukać tego suwadła? Dlatego że to część zabytkowej broni? Nie. Po co brał karabin ze sobą na pokład? Żeby zapewnić równowagę sił? Żeby obalić istniejący porządek? Czy aby na pewno powodował nim strach przed utratą pracy? Nie ma najmniejszego zamiaru iść na zasilek! A co takiego złego jest w tym, żeby iść na zasilek? Czy nie mógłby się zatrudnić na innej jednostce, gdyby tylko chciał? Człowiek z takim

doświadczeniem! Dlaczego tak bardzo się boi stracić pracę? Bo zmniejszą się mu dochody? A może to jego duma powoduje, że nie myśli trzeźwo?

Może to strach przed tym, że jego pijaństwo całkowicie wymknie mu się spod kontroli? Strach przed tym, że będzie miał dość czasu, żeby zapisać się na śmierć? Ale dlaczego miałby się zapijać na śmierć?

Dlatego że wie, iż nie będzie w stanie się temu przeciwstawić! Ale przecież jeszcze może się temu przeciwstawić! Wystarczy tylko zadzwonić na dyżurny telefon AA!

Nie. Właśnie, że nie zadzwoni. Chyba żeby...

A może zabrał karabin na pokład ze strachu przed śmiercią?

A może dlatego że pragnie umrzeć?

Życie nie jest niczym innym, jak pozbawionym nadziei tańcem na naciągniętej linie i prędzej czy później każdy straci równowagę i spadnie w mroczną głębię...

Na kilka chwil wszystko stanie się czarne i...

Pierwszy oficer uderza w burtę statku, usta rozwierają się i płuca zasysają powietrze, słona woda morska wypływa nosem, a wypalone od soli oczy otwierają się szeroko. Palce prawej ręki zaciskają się na najniższej żerdzi relingu. Ramię płonie bólem, który napełnia głowę niczym polifoniczny chór anielski.

Wisi na włosku własnego ciała...

Co za cudowne doznanie czuć, jak stal naciąga ciało, uciska skórę i kości palców, napina nerwy, mięśnie, stawy

i ścięgną, wywołując cierpienie w myślach!

Jon huśta się w przód. Udaje mu się uchwycić relingu oburącz. I wisi tak, do połowy zanurzony w morskiej wodzie, wierzgając jak mysz, która usiłuje wydostać się z żelaznej balii, podczas gdy statek przechyla się na bakburtę. Zagryza wargi i czeka, aż frachtowiec się wyprostuje i przechyli na sterburtę. Kiedy w końcu do tego dochodzi, wspina się na pokład i wślizguje pod relingiem.

- Mój dobry Boże! - mówi, czołgając się do schodów na czworaka, i czule obejmuje najniższe stopnie.

W izolatce kuk Asi i Johann Wielkolud stoją nad sternikiem. Ten mruga oczami i zdaje się odzyskiwać przytomność.

Zanim zbadali, w jakim jest stanie, i opatrzyli jego rany, zrobili mu zastrzyk z morfiny. To Johann, Jon, Runar i Gudmundur wnieśli go do środka w piątek po południu. Chłopak ma złamaną lewą rękę w nadgarstku, lewą kostkę zwichniętą, a może nawet złamaną, podobnie jak lewe kolano i najprawdopodobniej również biodro. Całe jego plecy i kark są posiniaczone, a pewno doznał i jakichś obrażeń i krwotoków wewnętrznych.

Sternik leży na plecach z szynami i bandażami na lewej ręce i nodze, w sztywnym kołnierzu wokół szyi i z zimnym okładem na czole.

- Wody! - szepce Jonas, oblizując wargi.

- Tak, już ci pomagamy, przyjacielu - odpowiada mu kuk Asi, zdejmując z jego rozpalonego czoła okład, mokrą myjkę, która leżąc tam zaledwie kilka minut, zdążyła się już ogrzać.

Johann Wielkolud pomaga sternikowi podnieść się nieco,

a Asi przystawia mu szklanę do ust i pomaga się napić zimnej wody.

- Proszę, tylko nie za dużo - mówi Asi, odstawiając szklanę. Następnie czystą chusteczką wyciera wargi sternika.

- Nie męcz się - dodaje Johann Wielkolud, delikatnie opuszczając Jonasa na poduszkę. - Jesteś już dosyć poturbowany.

- Co się stało? - pyta Asi, kiedy sternik otwiera oczy i zaczyna się rozglądać po pomalowanym na biało pomieszczeniu.

- Zepchnął mnie - mówi Jonas i ostrożnie chrząka. - Wyciągnął mnie na zewnątrz i zrzucił z pokładu D.

- Kto? - pyta Johann Wielkolud.

- Diabeł - odpowiada mu Jonas, krzywiąc twarz.

- Mogłeś umrzeć, przyjacielu! - komentuje Asi, ocierając pot z czoła sternika.

- On chciał mnie zabić! - mówi Jonas, patrząc na kolegów ze łzami w oczach.

- Dlaczego? - pyta Johann Wielkolud.

- Groził mi, bo... wiedziałem, kim jest - odpowiada Jonas i zamyka oczy. - Ale ja dłużej nie mogłem milczeć... Nie po tym, jak przeciął przewody. Musiałem powiedzieć, kim jest! Dlatego próbował mnie zabić!

- Spokojnie. - Asi gładzi sternika po policzku. - Już go zamknęliśmy.

- To dobrze. - Jonas uśmiecha się niepewnie.

- A kiedy on cię zepchnął? - pyta Johann, drapiąc się po

zaroście. - Po obiedzie?

- Tak, ja... - Jonas chrząka.

- Chyba tak było - mówi kuk Asi i klepie Jonasa po głowie, jak małego chłopca. - Zjadł u mnie rybę i potem poszedł gdzieś o wpół do pierwszej.

- To się nie zgadza. - Johann Wielkolud kręci głową. - Facet sam już powiedział, kim jest. Dlaczego miałby niby uciszać Jonasa?

- Zaatakował mnie po prostu... - wzdycha Jonas.

- To najwyraźniej jakiś furiat - odzywa się Asi, moczy kompres i kładzie go na czole sternika.

- Tak, ale i tak to się nie zgadza! - Johann przestępuje z nogi na nogę przy łóżku chorego. - Kiedy ty szedłeś po obiedzie na górę, my go właśnie mieliśmy aresztować, jeśli już wcześniej tego nie zrobiliśmy. Kiedy miałby cię zepchnąć z pokładu?

Jonas porusza wargami, jakby chciał coś powiedzieć, lecz nie udaje mu się wydobyć ani jednego dźwięku. Po chwili jednak wydaje z siebie przeciągły skowyt, z początku sprawiający wrażenie, że jest wynikiem duchowego cierpienia. Ale prędko staje się jasne, że to wyraz fizycznego bólu.

- Spokojnie, przyjacielu! Spokojnie! - kuk Asi stara się uspokoić sternika. - Jesteś tu i ówdzie połamany! Zrobię ci drugi zastrzyk!

- Zajrzę do was koło południa - mamrocze Johann Wielkolud i udaje się do wyjścia.

- Rozmawiałeś już z Jonem? - pyta Asi, rozpakowując nową

strzykawkę.

- Nie. A dlaczego? - pyta Johann i odwraca ku niemu wzrok.

- Nie zrezygnowaliśmy z wyłączenia silnika? - Asi wyjmuje nieużywaną igłę z metalowego pudełka. - No wiesz, pogoda jest, jaka jest i...

- Asi! - Johann tupie nogą i pokazuje głową na sternika, który oddycha szybko przez otwarte usta i wygląda, jakby zasnął.

- O, przepraszam! - mruczy Asi i uzbraja strzykawkę w igłę. - Chciałem tylko powiedzieć coś bardziej ogólnego na temat silników i ich konserwacji i tak dalej, a nie...

- Asi? - rzuca Johann i otwiera drzwi na korytarz.

- Tak? - pyta Asi z uniesioną pustą strzykawką.

- Wychodzę - oświadcza Johann.

- Nie zrobiłbyś mi kawy? - pyta Asi, wciągając do strzykawki roztwór morfiny.

- Jasne, nie ma sprawy - mruczy Johann i wychodzi, zanim kuk wbije pacjentowi igłę.

Na korytarzu Johann natyka się na pierwszego oficera, który właśnie przyszedł, przemoczony do suchej nitki.

- Człowieku, jak ty wyglądasz? - odzywa się Johann, gapiąc się z otwartymi ustami na przyjaciela. - Gdzie byłeś?

- Poszedłem się przewietrzyć. - Jon Prezydent wciąga do nosa deszcz zmieszany z wodą morską. Twarz ma czerwoną, lewy policzek jeszcze opuchnięty po uderzeniu przez kapitana. Jedno oko jest zapadnięte, skóra na kości policzkowej szarosina. Bolą go górne zęby.

- Nie powinieneś być na mostku? - pyta Johann.

- No, właśnie tam idę - mruczy Jon, zdejmując przemoczony kaptur ubrania sztormowego z mokrej głowy. - Powieszę tylko sztormiak na dole.

- Proszę bardzo. - Johann wchodzi do kambuza. Zatrzymuje się jednak po chwili i woła za pierwszym oficerem: - Słuchaj, Jon!

- Tak? - Jon Prezydent odwraca się na schodach prowadzących na pokład A.

- To już koniec tego szaleństwa, prawda? - pyta Johann Wielkolud, unosząc brwi.

- Jakiego szaleństwa? - dziwi się Jon i szeroko otwiera czerwone po słonej kąpieli oczy.

- Tych wygłupów z karabinami! - Johann chrząka rażno. - Teraz zmieniamy nasze postępowanie i postaramy się pogodzić z tym, co mamy, prawda?

- Pewno tak - mamrocze Jon Prezydent i odwraca wzrok pod oskarżycielskim spojrzeniem pierwszego mechanika.

- Nie wiem, co ja sobie przedtem myślałem! - wzdycha Johann. - Ale od tej chwili nie wezmę już udziału w żadnych takich wygłupach! Jeśli dostaniemy wypowiedzenie, to odwołamy się w przewidzianym prawem trybie i poszukamy pomocy w związkach zawodowych! Zrozumiano?

- Tak, zrozumiano - odburkuje Jon Prezydent i zwiesza głowę. Schodzi ze schodów, a Johann Wielkolud znika w kambuzie.

Po powieszeniu sztormiaka w szatni na dole i umieszczeniu kaloszy na specjalnym statywie Jon Prezydent wchodzi po

schodach. Z mokrymi stopami, udami, torsem i plecami.

Musi przebrać się w suche ciuchy, zanim zmieni starego na mostku.

Jon Sigurdsson stąpa ciężko i nie jest tak ożywiony jak zwykle. Ugina się pod ciężarem myśli równie czarnych, co szalejąca wokół statku nawałnica.

Zaledwie dziesięć minut temu zwiślał nad wzburzonym morzem uczepony jedną ręką burty, zaglądał śmierci prosto w oczy, i w obliczu własnego końca doznał nagłego oświecenia: Bez pracy nie przeżyje.

Podczas urlopów leży w łóżku pijany, błakając się w zakamarkach koszmarów i zapomnienia. Kiedy przytomnieje, sięga po szklankę stojącą na stoliku nocnym i wlewa w siebie jej zawartość. Potem zatacza się do kuchni, gdzie przygotowuje sobie kolejnego drinka. Wódka z colą, pół na pół.

I wychyla tę mieszankę. Wtedy pozostaje mu tylko przygotować sobie następnego drinka i pokuśtykać z nim do sypialni, zanim ponownie straci przytomność.

Kiedy się budzi, ponownie sięga po szklankę stojącą na stoliku nocnym i znowu ją opróżnia.

Czasem musi się wysikać. Czasem musi się wyrzygać. Ale najczęściej budzi się, wypija i przygotowuje kolejnego drinka. I potem po raz kolejny zanurza się w zapomnienie. Bom, bom, bom...

I tak aż do czasu, gdy do następnego rejsu zostają trzy dni. Wtedy w jego głowie odzywają się jakieś dzwonki. Nadchodzi czas, żeby wytrzeźwieć.

Dopiero wówczas zaczyna się rzyganie i płacz. Wtedy przychodzi prawdziwe piekło, które nie wiadomo kiedy naprawdę się skończy. Dygot, skurcze, zwidy, napady zimna i zaburzenia psychiczne, z czasem coraz silniejsze.

Ale nie poddaje się. Ma przecież zamiar stawić się w pracy. Jest zbyt dumny, żeby upaść tak nisko, by ugiąć się przed Bachusem.

Oczywiście do następnego urlopu.

Wiele razy lądował w szpitalu z powodu zatrucia alkoholowego i czasem nawet przez tydzień czy miesiąc udawało mu się zachować trzeźwość. Dwa razy nawet przez ponad rok. Ale tak naprawdę nigdy nie przestał pić. Miał zamiar przestać, pozwalał sobie marzyć o tym, by przestać, ale nigdy nie wykonał tego kroku do końca i nie szukał pomocy przy wychodzeniu z uzależnienia. Nigdy nie przyznał się do problemu ani przed sobą, ani przed nikim innym.

Nigdy nie podniósł się, nie otworzył ust i nie wyrzucił słów pochodzących z głębi serca:

- Nazywam się Jon Sigurdsson i jestem alkoholikiem!

Dlaczego?

Być może jest zbyt dumny, by przyznać się do słabości. Zbyt dumny, by szukać pomocy. A może obawia się tego, co kryją ciemne czeluści jego serca i co może się objawić, kiedy ta otchłań otworzy się na oścież. Może obawia się, że znajdzie to, przed czym uciekał przez całe te lata.

Pustkę.

Na pokładzie statku Jon ma do wykonania jakieś obowiązki. Odgrywa jakąś rolę. Wie, co ma robić i jak ma to robić. Jest

częścią złożonej i dobrze zorganizowanej całości. Został wytypowany, by wypełnić określoną przestrzeń, zlikwidować określoną pustkę.

Jest Jonem Prezydentem, pierwszym oficerem na statku.

Ale bez tego czterotysiąctonowego żelaznego monstrum jest jak koło zębate bez maszyny. Nieistotnym, martwym przedmiotem, z którego nie ma żadnego pożytku. Jak statek, na którym pływa, tak i on sam jest być może tylko bezdusznym żelaznym monstrum, które ani nie wie, skąd przybywa, ani dokąd zmierza. Statki nie mają wolnej woli, a to, co nie ma ani woli, ani nie potrafi zrodzić jakiegokolwiek myśli, nie zmierza do celu, chyba że jest sterowane przez kogoś, kto i myśli, i rozumie.

Jon Prezydent steruje statkiem, który daje mu dach nad głową, ale o tym, kto steruje nim samym, już nie ma pojęcia. Ktoś, kto chce go ocalić od zatracenia? Czy ktoś, kto chce wmanewrować go w sztrand?

Czy jest zabawką złych duchów? Ulubieńcem aniołów? A może tylko statkiem widmem, dryfującym na oceanie życia?

Tego nie wie.

I chyba nie chce wiedzieć.

Pierwszy oficer zatrzymuje się przed drzwiami swojej kajuty na pokładzie E i patrzy na palce prawej ręki, które zaledwie kilka minut temu trzymały się relingu i uratowały go od gwałtownej śmierci.

Jakby przypadkiem.

Zaglądał śmierci w oczy i przeżył to!

To nie był przypadek!

Ktoś zdaje się nad nim czuwać! Ktoś jest zdania, że powinien żyć!

Jonowi Sigurdssonowi podarowano w życiu drugą szansę, a on nie ma zamiaru jej zmarnować. Zbyt dużo ma do stracenia.

Tu chodzi o życie i śmierć. Czy zatem nie nadszedł najwyższy czas, aby dać szansę życiu?

- Nazywam się Jon Sigurdsson - mówi głośno pierwszy oficer. Chrząka. - I jestem alkoholikiem!

Uśmiecha się szeroko i łapie za klamkę, lecz drzwi się nie otwierają. Prawe ramię wali w drzwi.

- Co jest, do diabła?

Napiera na drzwi, zapierając się nogami. Pojawia się szczelina i gwałtowny przeciąg z wyciem przedostaje się na korytarz.

Czyżby zostawił otwarte okno?

Wiatr hula po kajucie, wywracając wszystko do góry nogami, zasłony są porwane, na podłodze walają się odłamki szkła, wszystko jest mokre od deszczu i morskiej wody.

Jon puszcza klamkę i wślizguje się przez drzwi. Te się zatrząskują.

- Co, do...? - mruczy Jon Prezydent, patrząc na okno rozwarte na ścianie ponad koją niczym pysk bestii o bezdennym żołądku, z trójkątnymi odłamkami szkła zamiast zębów.

Bestia wyje i dmucha wiatrem, rzyga morską wodą i deszczem w twarz pierwszego oficera, który ze zdumieniem

w oczach przechodzi ostrożnie przez usłany szkłem dywan.

Dlaczego szyba w oknie jest zbita?

Jon ściąga narzutę z mokrego łóżka, zwija ją i ma zamiar wypełnić nią powstały otwór, lecz nagle odłamek szkła odrywa się od ramy okiennej z trzaskiem, spada z niezwykłą prędkością i wbija się w twarz Jona, który nie zdążył nawet zamknąć oczu, nim szkło utkwilo w jego prawej kości policzkowej.

Jon sztywnieje, palcami dotyka odłamka sterczącego z twarzy. Czuje, jak struga krwi spływa mu po policzku, a zimny wiatr spycha ją na bok, w prawe ucho i pod włosy.

- Mój dobry Boże - mruczy Jon, mrugając wypełnionymi solą oczami. Jeszcze bardziej zbija narzutę i wpycha ją w otwór, odcinając tym samym pomieszczenie od wiatru i deszczu.

Cisza.

Wiatr ustaje, temperatura się podnosi, opadają fruujące strzępy zasłon okiennych, krew spływa za kołnierz, a krople wody kapią z półek, stołu i szafek.

Jon idzie do łazienki i przegląda się w lustrze. Odłamek tkwi mocno w kości policzkowej i wystaje z niej niczym mała płetwa rekina.

Pierwszy oficer wyjmuje odłamek z rany. Odkaza ją i zakleja plastrem. Na koniec białą myjką do twarzy zmywa z siebie zeschniętą krew.

- Brak mi słów - pomrukuje Jon Prezydent, rozbierając się do naga w łazience. Najego szczęście brudne wczorajsze ubrania wciąż jeszcze wiszą na wieszaku za drzwiami do

łazienki. Wszystkie inne są najpewniej wilgotne lub mokre, podobnie jak i cała kajuta.

Pierwszy oficer wyciera się w suchy ręcznik, skrapia twarz płynem po goleniu i szybko się ubiera. Przeciąga grzebieniem po włosach, szczotkuje zęby, a na koniec wskakuje w kaptcie, po czym przekracza próg łazienki i wchodzi na przemoknięty dywan.

Ponurym wzrokiem ogarnia wnętrze kajuty, wzdycha, kręci głową, odwraca się i łapie za mokrą i zimną kłamkę.

Drzwi od wewnątrz przedstawiają opłakany widok. Są mokre, naszpikowane odłamkami szkła, wystającymi z popękanej płaszczyzny na kształt kolców.

- Kompletnie brak mi... - powtarza Jon Prezydent, otwierając drzwi. Przerywa, zanim przekroczy próg, gdyż uderza palcami stóp w jakiś przedmiot spoczywający na podłodze.

Patrzy pod nogi i kiedy tylko zauważa, co leży na mokrym dywanie, wśród kawałków szkła, glonów, piasku i niedużych kamyków, jego serce przestaje bić, a krew zastyga mu w żyłach.

Oto ono. Suwadło z zamka karabinu.

- Mój dobry Boże...

Gudmundur Berndsen siedzi na fotelu kapitańskim i patrzy jak zahipnotyzowany przez zamazane słoną wodą okna mostku. Włączył Kubusia i siedzi tak bez ruchu już cztery godziny, czyli od momentu kiedy wstał z fotela, żeby zaparzyć sobie świeżej kawy.

Już dawno ta kawa zamieniła się w przegotowaną smołę,

a kapitan nawet jej nie spróbował.

Bosman Runar pojawił się na wachcie na mostku punktualnie o trzeciej nad ranem, ale pół godziny później Gudmundur odesłał go z powrotem. Nie ma ochoty na rozmowy z nikim, nie chce także przebywać w towarzystwie ludzi, którzy sprzeniewierzają się rozkazom, spiskują i przejmują władzę, gdy tylko przełożony odwróci się na chwilę.

Nad pokładem pogodowym unosi się żółtawy opar, przypominający dym z suchego lodu. To słony wiatr, który w świetle reflektorów wygląda dość upiornie. Statek huśta się, wznosi się i opada na przemian, a kapitan albo unosi się w fotelu, jakby grawitacja nie istniała, albo z taką siłą wciska się w skrzypiącą skórę, że aż trudno mu oddychać.

Ale nie pozwala tym złowieszczym siłom wyprowadzić się z równowagi i kieruje statek na południe, nie mając jednak pojęcia, w jakim miejscu globu się znajduje. Ponieważ nie działa GPS, nie wie ani jak szybko płynie statek, ani jak bardzo znosi go z kursu. Samo stwierdzenie, że płynie na południe, jest dość nieprecyzyjne, szczególnie gdy punkt odniesienia dryfuje, a tak bez wątpienia się dzieje.

Kiedy sztorm osłabnie, kapitan będzie mógł obliczyć pozycję statku przy pomocy sekstantu, chronometru i kieszonkowego kalkulatora, ale na razie musi zachować spokój, zaufać własnej intuicji i mieć nadzieję.

Żeglowanie podczas sztormu przypomina latanie na ośle. Zmysły powoli wyłączają się pod wpływem bodźców z otoczenia i w końcu do głosu dochodzi wyobraźnia.

Oczy mówią kapitanowi, że statek pływa w koło, lecz kompas twierdzi co innego. Statek najwyraźniej płynie na południe. Gdyby kapitan przestał wierzyć rozsądkowi, to nie ufałby kompasowi, tylko stwierdził po prostu, że się popsuł i sam zaczął się kręcić w kółko razem ze statkiem.

Oczy twierdzą także, że statek płynie do tyłu, a nie naprzód. GPS mógłby wyjaśnić to nieporozumienie w ciągu kilku minut, ale bez tego urządzenia nawigacyjnego kapitan musi wierzyć własnemu doświadczeniu nabytemu podczas rejsów w podobną pogodę.

Zgaduje, że statek porusza się z prędkością pięciu do ośmiu mil morskich na godzinę. Trudno natomiast określić dryf, ale ma nadzieję, że nie jest większy niż jakieś trzy mile morskie na godzinę.

Niewykluczone jednak, że dryf jest większy niż prędkość żegluga. Wówczas droga żegluga, zamiast się skracać, wydłuża się z każdą godziną o tę różnicę. W takim przypadku lepiej byłoby stać w miejscu, pozwolić unosić się falom i rozgrywać swoją partię szachów ze sztormem, dopóki ten trwa.

Oczy mówią kapitanowi, że statek nie pokonuje żadnego dystansu, i może mają rację, ale jeśli wierzyć łaskotaniu w brzuchu i ćmieniu w głowie, to statek śmiga na grzbietach fal z potrójną prędkością maksymalną.

Kapitan nie wie już, co o tym wszystkim sądzić. Doszedł do wniosku, że najlepiej nie sądzić nic. Kiedy logika zawodzi, rozsądek podszeptuje, żeby przestać myśleć. Myśli pozbawione logiki prowadzą do błędów, urojeń i chwilowych

załamań psychicznych.

Dopóki kapitan nie będzie nic robił, nie popełni także błędu. Bierze kurs na południe i na tym koniec. Południe – tylko tyle wie. To niedużo, ale naprawdę więcej niż nic.

Południe.

Kapitan patrzy przed siebie i myśli tylko o tym, co widzi:

Nad pokładem pogodowym unosi się żółtawy opar, słona mgła obracająca się w koło niczym dym z suchego lodu na koncercie rockowym i pogarsza widoczność z każdej strony.

- Magiczna pogoda – mamrocze Gudmundur Berndsen i mruga przekrwionymi oczami, wyschniętymi i spuchniętymi z braku snu i zbyt długiego patrzenia.

- Dzień dobry – mówi Jon Prezydent, wchodząc na mostek. Kapitan po raz pierwszy od dłuższego czasu spogląda na zegarek i widzi, że już dwadzieścia trzy po osiemnastej.

- Spóźniłeś się – stwierdza Gudmundur i schodzi z fotela, po czym łapie za urządzenia sterownicze, żeby uniknąć upadku, kiedy nagle, z hukiem i łomotem, statek przechyla się na bakburtę.

Pierwszy oficer trzyma się stolika przy wnęce z mapami i posuwa naprzód po wyłożonej dywanem podłodze mostka. Kiedy statek wraca do zwykłej pozycji, mężczyznom udaje się spotkać na środku mostka, nie przewracają się nawzajem, ani się nie zderzają.

Gudmundurowi udaje się uchwycić wnęki z mapami, a Jon wspina się na fotel kapitański.

- Kubuś włączony – mówi Gudmundur.

- Widzę – odpowiada Jon.

Nie patrzą sobie w oczy, bo czują się wobec siebie niezręcznie.

Gudmundur jest wściekły, że Jon go zdradził i próbował zagrozić jego pozycji, i zły jest na siebie, że uderzył go kolbą karabinu w twarz. Bardzo zły.

Jon prawie traci zmysły ze strachu. Boi się strzelby, która czeka na niego w kajucie, bo wie, że z niej skorzysta.

Jedynie, czego nie wie, to to, czy wykorzysta ją przeciwko sobie, czy przeciwko innym.

Oczyrna duszy widzi, jak wkłada sobie lufę do ust, zamyka oczy i naciska spust.

I ten widok powoduje, że się boi, tak bardzo się boi.

Ale widzi też oczyma duszy, jak kieruje lufę w głowę kapitana Gudmundura, a potem z błyskiem nienawiści w oczach i diabelskim uśmiechem na ustach, spokojnie i pewnie naciska czuły spust, ciesząc się wielką władzą.

I ta myśl przyprawia go o szaleństwo!

- O drugiej chcę zrobić krótkie zebranie u siebie w kajucie
- mówi Gudmundur, chwytając za klamkę drzwi wychodzących na korytarz. - Ja, ty, Runar i Johann.

- W porządku - mówi Jon, którego wznoszący ruch statku wciska w fotel.

- Musimy zakopać topór wojenny - mruczy Gudmundur i otwiera drzwi. - Tak dłużej być nie może.

- Wiem. - Jon ogląda się przez ramię. W tym samym momencie statek opada i pierwszy oficer unosi się w fotelu.

Przez krótką chwilę patrzą sobie w oczy i w tym ułamku sekundy łapią ze sobą kontakt jak ludzie morza, kapitan

i pierwszy oficer, jak bracia krwi na dobre i na złe.

Wszystko będzie dobrze, myśli sobie Gudmundur. Pogadamy, załatwimy sprawę i podamy sobie ręce!

Wszystko będzie dobrze, myśli sobie Jon. Pogadamy, załatwimy sprawę i podamy sobie ręce!

Potem statek uderza w falę. Jon wyskakuje w powietrze, drzwi zamykają się z hukiem, Gudmundur puszcza klamkę i pada na kolana.

Bom, bom, bom...

Hałas jest tak przerażający, że można by pomyśleć, iż statek pęka na pół. Tak mocno przechyla się na bakburkę, że aż trudno uwierzyć, iż potężny ruch skończy się po kilku sekundach i statek nie wywróci się całkiem.

Ale mężczyźni na mostku słyszeli i widzieli to wszystko wiele razy, znają swój statek i nie wątpią w to, że wszystko dobrze się skończy. Dlatego uważają, że nie wypada się cieszyć, kiedy gigantyczny kadłub powoli podnosi się znad fali i stopniowo prostuje, jak wynurzający się z głębin wieloryb.

- To do zobaczenia - mówi Gudmundur Berndsen, po czym podnosi się i znów otwiera drzwi.

- W porządku - zgadza się Jon Prezydent. Gwałtownie zapiera się nogami i łapie za podłokietniki fotela, kiedy statek spada z kolejnej fali, jak wagonik zjeżdżający z najwyższej krawędzi rollercoastera.

Kapitan opuszcza mostek i zamyka za sobą drzwi. Pierwszy oficer siedzi bez ruchu w fotelu i patrzy jak zahipnotyzowany na zamazane słońcą wodą okna.

Nad pokładem pogodowym unosi się żółtawy opar...

XXV

Do diabła, ale mu się nie chce!

Jon Prezydent puka dwa razy do drzwi kajuty kapitana.

Boli go twarz, jest zmęczony, głodny i śpiący po ośmiogodzinnej wachcie i nie chce mu się siadać do jakichś rozmów, które pewno okażą się wyłącznie cczą gadaniną.

Słowa są początkiem wszystkiego, ale słowa „zbuntujmy się” już dawno straciły wartość, już dawno minął ich termin ważności.

Zabrali z sobą broń na pokład, żeby nie musieć mówić. To czyny miały za nich mówić.

Czyż nie?

Ale ich starania, tak czy inaczej, spełzły na niczym. Zbyt ostro zaczęli, posunęli się trochę za daleko i być może zanadto łatwo się poddali, kiedy natrafili na opór. Podrzucając „zgniłe jabłko”, firmie udało się stworzyć atmosferę podejrzeń i chaosu, a przede wszystkim osłabić solidarność wśród załogi.

Cała energia grupy spiskowców została skierowana na odnalezienie i pojmanie owego niebezpiecznego intruza, nie mówiąc już o tym, że spowodowało to zbyt wczesne

ujawnienie się całej piątki.

Dopóki terrorysta chodził na wolności, buntownicy nie mogli skoncentrować się na sprawach bytowych załogi, a kiedy został obojętniony, sprawy bytowe zeszły na dalszy plan z powodu ujawnienia się ich spisku!

Przeciwnik tak ich sobie ustawił, że nie mogli nie wpaść we własne sidła, niezależnie od tego, czy coś zrobili, czy NIE!

W żaden sposób nie dało się ich nadgryźć, tych przeklętych Judejczyków. To pewne!

Konspiracja była najmocniejszym atutem całej piątki, a teraz wytracono im go z ręki. Bez masek nieprzejeźdźnych opozycjonistów ludzie czują się zakłopotani w obliczu władzy, którą mieli zamiar strącić z piedestału.

Wszak bojaźń i szacunek dla kapitana marynarze mają we krwi.

Johann nie zgadza się zatrzymać silnika, a z Runara, Saelego i Asiiego schodzi para.

Bunt narodził się martwy. Firma triumfuje. Zwolnienia są pewne.

A może nie?

- Wejść!

Jon Prezydent otwiera drzwi, wciąga powietrze przez rozdęte nozdrza i wchodzi dumnie wyprostowany do kajuty.

Chce wysłuchać kapitana z pełną uwagą, ale nie ma zamiaru pozwolić mu sobą poniewierać.

Ponieść porażkę to jedno, a być poniżonym w obecności świadków to co innego.

- Siadaj - odzywa się kapitan do pierwszego oficera

i wskazuje sofę, na której bliżej ściany siedzą już Johann i Runar.

- Co ty masz na twarzy, człowieku? - pyta Runar, zauważywszy zakrwawiony plaster na prawej kości policzkowej.

- Nic takiego - mamrocze Jon i siada na skraju sofy od strony drzwi. - Zaciąłem się.

- Nie wygląda to najlepiej - mówi Johann, mający po prawej Runara, a po lewej Jona.

- Do wesela się zagoi - mruczy Jon i dotyka prawą ręką stwardniałego plastra. Lekkie skurcze wykrzywiają mu twarz.

- Koledzy! - Gudmundur Berndsen chrząka. Stoi przed stołem i walczy z falami, z dłońmi splecionymi na plecach. Za kapitanem siedzi Cień z przekrzywionym łbem.

Wszyscy trzej milkną i patrzą na kapitana, który unosi w górę podbródek i wbija skupiony wzrok w ścianę nad ich głowami, jakby zwracał się do wielkiego tłumu lub nie mówił do nikogo konkretnego.

- Nie proszę o nic innego, jak o spokój w pracy do wpłynięcia do portu w Surinamie - mówi Gudmundur, przechylając się o trzydzieści stopni, żeby zneutralizować podobne przechylenie statku. - Jak tylko zacumujemy przy nabrzeżu, zadzwonię do firmy i pogadam z szefem. Zapytam go o ewentualne zwolnienia i jeśli okażą się aktualne, zażądam cofnięcia decyzji.

Przestaje mówić, opuszcza podbródek i na zmianę patrzy w oczy całej trójce, tak by majestatyczna cisza i osobisty

wpływ podkreślały jego słowa.

Czy mówi prawdę? Tak. Zadzwoń do firmy i spróbuj przyczynić się do cofnięcia decyzji o zwolnieniach, a przynajmniej do jej odroczenia.

A czy naprawdę uważa, że to odniesie jakiś skutek? Nie. On sam zdążył złożyć wypowiedzenie i dlatego dla firmy jego słowa i opinie nie mają już żadnego znaczenia.

W najlepszym razie wysłuchają go z grzeczności. W najgorszym zaś zemszczą się za wtrącanie się w nie swoje sprawy, nie przyjmując wypowiedzenia lub opóźniając wypłatę emerytury o kilka lat.

On po prostu chce kupić sobie spokój, i to być może przepłacając.

- A co, jeśli odmówią? - pyta Jon Prezydent.

- To ja odmówię załadowania statku - odpowiada Gudmundur bez wahania.

- A jeśli tobie też zagrozą zwolnieniem? - pyta Jon Prezydent, opierając się wygodnie o oparcie sofy. Coś go gniecie pod poduszką.

- To złożę wypowiedzenie! - zdecydowanie twierdzi Gudmundur.

- I opuścisz statek? - wypytuje Jon, wpychając prawą rękę pod poduszkę, żeby się zorientować, co go tak uwiera w plecy.

- Tak. - Gudmundur kiwa głową. Tyle już im nakłamał, że aż się zarumienił i pot wystąpił mu na skronie.

- I nas razem ze statkiem? - Jon uśmiecha się od ucha do ucha, gdyż udało mu się zapędzić kapitana w kozi róg. Ale

jego chłodny uśmiech nagle zmienia się w ironiczny grymas, kiedy jego ruchliwe palce natrafiają na wypukłe szkło pod poduszką.

- Co? - Gudmundur mruga.

Do diabła! Tyle razy w myślach odbywał tę rozmowę, analizował w tę i we w tę, ćwiczył odpowiedzi na wszelkie możliwe i niemożliwe pytania, a mimo to pozwolił Jonowi tak się upokorzyć!

Cisza!

Jon Prezydent nie może już jasno myśleć. Prawą ręką dotyka piersiówki i słucha odgłosu płynu przelewającego się w grubym szkłe, albo i w głowie. Tego nie jest pewien. Widzi podwójnie, czuje zapach mocnego alkoholu i pomlaskuje spuchniętym językiem w zeschłych na wiór ustach.

- Jon? - odzywa się Johann Wielkolud i lekko szturcha pierwszego oficera łokciem w bok.

- Tak? - odpowiada Jon Prezydent, jeszcze mocniej dociskając plecy do poduszki i przyciskając ręką piersiówkę do oparcia.

- Pytałeś, czy wtedy opuści nas, załogę - przypomina mu Johann, obserwując, jak pierwszy oficer to rumieni się, to blednie na zmianę.

Cisza.

- Do tego nigdy nie dojdzie - bąka Gudmundur.

- A skąd możesz mieć pewność? - pyta bosman Runar.

Gudmundur coś mówi, Jon Prezydent widzi, jak porusza wargami, ale słów nie słyszy.

Jedyne, co słyszy, to bicie własnego serca, które niczym

echo bębna dudni w pustej głowie:

Bom, bom, bom...

Wyjmuje piersiówkę spod poduszki i wkłada za pasek z tyłu spodni. Następnie wyciąga ze spodni koszulę i przykrywa nią flaszkę.

Czy to jest wódka? Rum? Dżin? Whisky? Koniak?

Koniak.

Jest pewien, że to koniak!

- Jon?

Cisza.

- Chcę tylko powiedzieć jedno, zanim opuszczę tę imprezę - mówi Jon Prezydent, podnosząc się z sofy. - Zgadza się z tym, cośmy tutaj powiedzieli. Gudmundur to swój chłop i mam do niego pełne zaufanie. I więcej nie mam nic do powiedzenia.

Jon Sigurdsson jeszcze nie skończył mówić, kiedy ogromna fala uderza w statek. Kapitan Gudmundur traci równowagę i pada na podłogę, a Johann i Runar podskakują na sofie i uderza kolanami w krawędź stolika, po czym gwałtownie ładują na tyłkach na podłodze między sofą a stolikiem.

Tylko Jon Sigurdsson stoi niewzruszony. Obie nogi mocno opiera na podłodze i zwrócony plecami do drzwi patrzy z głupkowatym zdziwieniem na kolegów miotanych po kabinie, jakby nie rozumiał, dlaczego tak się zachowują.

Wygląda na to, że pierwszy oficer unosi się w powietrzu w jakiegoś rodzaju próżni, jakby niezależny od praw natury.

Po zebraniu w kajucie kapitan Gudmundur dostaje od Asiego informację, że sternik Jonas chciałby z nim zamienić

parę słów. Kapitan prosi więc bosmana Runara, by go zastąpił na wachcie na mostku, podczas gdy on skoczy do izolatki porozmawiać ze sternikiem.

- Jak się czujesz? - pyta Gudmundur, siadając na taborecie przy łóżku Jonasa, który wygląda i czuje się jak siedem nieszczęść.

- Tak sobie. Straszny ból. Leki trochę go łagodzą, ale...

- Chciałeś ze mną rozmawiać? - pyta kapitan i chrząka.

- Tak - odpowiada sternik, leży na przepoconej poduszce i zamyka oczy. - Martwi mnie sytuacja na pokładzie.

- Nie jesteś w tym osamotniony - wzdycha kapitan. - Ale przed chwilą odbyłem poważną rozmowę z załogą i w obecnej sytuacji...

- Trzeba kontrolować statek - przerywa mu sternik i otwiera rozpalone oczy. - Trzeba postawić kogoś na warcie w maszynowni i drugiego tutaj, na korytarzu. Obawiam się, że...

- Ale chyba ujęto już sabotażystę? - kapitan unosi brwi.

- Tak. Może - mruczy sternik i chrząka. - Ale bo to wiadomo? Nikomu nie ufam, kapitanie. Poza tobą, oczywiście. A już najmniej Jonowi Sigurdssonowi, jeśli mam być szczery.

- To właśnie taką podejrzliwość staram się wyplenić - uspokaja go kapitan i wciąga powietrze głęboko w płuca, żeby opanować wzbierającą w nim wściekłość. - Nie może być tak, że jeden będzie tu występował przeciwko drugiemu i że ludzie będą spiskować za zamkniętymi drzwiami jak szczury.

- Tak, ale...

- Jakich ludzi mam postawić na wachcie, jeśli nikomu nie można zaufać? - pyta kapitan pełnym głosem. - I kto ma sterować, jeśli wszyscy będą pełnić warty w rozmaitych pomieszczeniach statku?

- Boję się po prostu dalszych kłopotów, to wszystko - mówi drżącym głosem sternik. - Mógłbyś zwolnić Saelego i Asiego z codziennych obowiązków i kazać im pilnować maszynowni i korytarza. Wtedy mielibyśmy pewność, że...

- Nie mam zamiaru słuchać tych bredni! - konkluduje kapitan i wstaje. - Dlaczego miałbym kazać obserwować maszynownię?

- Jon jest zdolny do wszystkiego - mamrocze sternik, znów zamykając oczy. - Wiem, co to za ziółko. Uwierz mi, on jeszcze nie powiedział swojego ostatniego słowa.

- Przypilnuję Jona. A ty zajmij się sobą - rzuca kapitan i wychodzi z izolatki.

Dlaczego nie?

Na stoliku w kajucie pierwszego oficera stoi buteleczka koniaku, cennego jak złoto, jak miód dla duszy, jak cudowny puchar pełen ucieleśnionego ciepła i nastrojowego światła! Ta piersiówka to jedyna dobra rzecz na całym tym cholernym statku, ba, na całym świecie!

Jon Sigurdsson siedzi na złożonym ręczniku na mokrej sofie i gapi się na piersiówkę, przełyka ślinę, oblizuje się lepkiem językiem, usiłując zwilżyć zeschnięte wargi.

Na parapecie leżą ręczniki, na podłodze leżą ręczniki, wszędzie leżą mokre ręczniki, wszystko jest mokre

i wilgotne, kajuta cuchnie zgnilizną i kwestią czasu pozostaje, kiedy ta nora stanie się niezdatna do zamieszkania z powodu grzyba, bakterii i innych obrzydliwości!

Z wybitego okna niczym martwe cielsko zwisa przemoczona narzuta i nie wpuszcza do środka światła, ale za to wpuszcza wiatr. Wszystko jest takie koszarne, jak tylko może być, Jona boli twarz, cały dygoce z zimna, jest głodny, zmęczony i fatalnie się czuje!

Naprzeciwko tego obrazu nędzy i rozpaczki stoi piersiówka i kusi niczym święty Graal, niczym delikatny płomyk świecy w świecie ciemności, zimna i szalejącej wichury.

Światełko wskazujące drogę? Bezpieczne ognisko?

Jon Sigurdsson nie ma pewności, co powinien zrobić, ale wie doskonale, co musi zrobić! Musi strzelić sobie jeden koniak, choćby tylko po to, żeby rozjaśnić serce i uśmierzyć ból głowy, ulżyć trochę swoim cierpieniom. Już na samą myśl o tym czuje się lepiej, zatem nie pozostaje mu nic innego, jak tylko wychylić jednego, żeby przekuć myśl w czyn, zanim stanie się ona kolejnym pieprzonym urojeniem.

Dlaczego niby rezygnować z lepszego samopoczucia, jeśli w przeciwnym wypadku człowieka czeka jedynie złe samopoczucie? Złe samopoczucie to stan wyjątkowy w normalnej sytuacji, podczas gdy dobre samopoczucie to stan naturalny!

- Potrzebuję kieliszka - mamrocze Jon, wstając z sofy.

Potrzebuję kieliszka! Jak brzmiało pytanie?

Jeszcze nie zdecydował, że się napije, podobnie jak nie zdecydował, że sobie odmówi, ale potrzebuje kieliszka, bo

wie, że strzelił sobie głębszego, nie zdając sobie jednak sprawy z tego, że o tym wie.

Pierwszy oficer wchodzi do łazienki, gdzie szczoteczka do zębów i tubka z pastą wystają ze szklanki, sterczącej w miedzianym uchwycie na ścianie obok umywalki.

Odkłada szczoteczkę i pastę na umywalkę i myje szklankę gorącą wodą, po czym płucze ją zimną.

Szklanka jest przezroczysta, średniego rozmiaru, z grubym denkiem.

Wyciera ją czystym ręcznikiem, lecz przestaje pocierać szkło białą bawełną, kiedy przypomina sobie nagle o psychotropach, które codziennie rano i wieczorem popija zimną wodą z tej właśnie szklanki.

Do diabła! Czy wziął dziś rano tabletkę? A wczoraj wieczorem? Kiedy wziął tabletkę ostatni raz? Wczoraj rano? Czy przedwczoraj? Albo jeszcze dzień wcześniej? Przestał zażywać leki? Czy jest aż taki zapominalski? A może szwankuje u niego pamięć krótkotrwała? Bierze leki, ale o tym nie pamięta?

Jon odstawia szklankę, otwiera szafkę nad umywalką i wyciąga opakowanie z lekiem.

Lithium Carbonicum – lek psychotropowy, 500 mg, dwa razy dziennie po jednej tabletkie, pięć listków w paczce, dwadzieścia tabletek w listku, razem sto tabletek.

W listku na górze brak ośmiu tabletek, pozostałe cztery są nienaruszone.

Osiem tabletek, cztery dni. Kiedy zaczął tę paczkę? Dwa dni przed wypłynięciem? Cztery?

Lithium Carbonicum to silny lek psychotropowy, mający zapobiegać nadmiernemu pulsowaniu w głowie, taki chemiczny Jezus kojący burzę myśli, wyrównujący dysproporcję między nadpobudliwością a depresją, powodując w ten sposób swego rodzaju ciszę na oceanie duszy.

Lecz ta duchowa cisza drogo jest okupiona. Najpowszechniejsze skutki uboczne stosowania leku to mdłości, rozwolnienie, częste biegunki, pragnienie i ciągłe cholerne zmęczenie, nie mówiąc już o ponizeniu, które towarzyszy konieczności zażywania psycho-tropów, jakby był jakimś palantem czy hyzielem.

- Pieprzona trucizna! - mruczy Jon i wrzuca tabletki do umywalki, jedną po drugiej, po czym chowa pudełko z powrotem do szafki, jakby chciał ukryć przestępstwo lub kogoś oszukać.

Kogo?

Kiedy tylko Jon zamyka szafkę, natychmiast jego twarz pojawia się w lustrze na drzwiczkach. Wtedy szybko odwraca wzrok, ale nie dość szybko.

Zauważył błysk w oczach, a gdzieś za tym błyskiem czai się otchłań.

Udaje jednak, że nie widział ani zwodniczego światła, ani bezdennej ciemności. Wychodzi z łazienki ze szklanką w ręku i kieruje się do stolika z obojętną miną. Siada na sofie, nie rzucając nawet okiem w kierunku piersiówki.

Udaje, że nie wie, jaki przyświeca mu cel i co ma zamiar uczynić. Ba, pogwizduje nawet jakąś melodyjkę, żeby się

jeszcze bardziej oszukać.

A co? Nie wolno sobie pogwizdać?

Patrzy na ręce czyniące to, co czynią, zupełnie jakby nad nimi nie panował i nie miał pojęcia, co one wyprawiają.

Ale co to?! Nalewają koniak do szklanki! Dla mnie!

Równie dobrze mógłby stać przed lustrem i patrzeć w lufę karabinu znikającą w ustach swojego sobowtóra i obserwować, jak odbity w lustrze palec wskazujący naciska spust, zupełnie jakby oglądał kryminał w telewizji w domu.

Aż śmiać mu się chce z takiego dziecinnego porównania.

- HA, HA!

A ten śmiech tak jest pozbawiony jakiegokolwiek radości, że wzbudza w nim tylko dreszcze.

On sam wzbudza w sobie dreszcze!

- Niech żyje śmiech! - mówi Jon Sigurdsson, podnosząc szklankę i śmiejąc się z własnego dowcipu. - Na zdrowie!

Na zdrowie!

Kto powiedział „na zdrowie”?

- Ty powiedziałaś „na zdrowie”? - pyta Jon, odstawia szklankę i oblizuje wargi. - A kim ty jesteś? Co?

Oddaje się nałogowi i gapi na pustą szklankę, w której pozostała jedynie jedna miedziana kropla spływająca po wewnętrznej ściance, po czym jakoś się rozmywa i znika, kiedy osiągnie dno.

Co!

- Kto wypił ze szklanki? - pyta Jon, delektując się słodkim posmakiem koniaku. - Ja wypilem ze szklanki? Chyba żartujesz? Kto żartuje? Co?

Co się dzieje? Czyżby mu odbijało? A może upił się jednym łykiem?

Nie! Właściwie to on już był pijany, jeszcze zanim się napił!

- Wcale ci nie odbija - mruczy Jon, beztrosko pociągając nosem i powtórnie napełniając szklanę.

Po prostu zły człowiek w złym miejscu i w złym czasie! Niewłaściwy człowiek, znaczy! Ale wcale nie zły, nie! Może trochę nie tego, leciutko taki stuknięty może, ale nie od razu, że zły albo jakiś głupi czy popaprany, czy coś, no nie?

- Głupi? Ja? Nie sądzę! - odzywa się Jon i chrząka.

Czyżby miał zapalenie gardła? Tak nie może być! Przecież wielokrotnie udowodniono, że koniak zabija zarazki!

Najlepiej...

- Słuchaj! - mówi Jon, pochyla się do przodu i badawczym wzrokiem przygląda się szklance.

Pusta! Znowu jest pusta! Czyżby ta cholerna kajuta była nawiedzona? Ktoś tu pije człowiekowi ze szkła?

- Wiesz, co powiedział jeden chory do drugiego chorego? - pyta Jon i po raz trzeci nalewa do szklanki.

Nie. Nie wiem.

- Nie wiesz? - Jon uśmiecha się szeroko.

Kto nie wie? Chory?

- Czy też jesteś nawiedzony? - wyrzuca z siebie Jon i duszkiem wypija koniak ze szklanki.

A potem jakby zrozumiał dowcip, koniak wlewa się w niego i tryska przez nos.

- HA, HA, HA!

Nawiedzony! Chory nawiedzony! Że pierdolnięty, nie?! Aj,

aj, aj!

- Nieładna impreza! - Jon wierzchem prawej dłoni ociera z twarzy gile i ślinę.

A propos nieładnych imprez! Oto i suwadło z karabinu!

- Ale z ciebie żartowniś! - Jon sięga po suwadło owinięte czystą chusteczką.

Rozwija chusteczkę i wyjmuje suwadło, zimne i ciężkie, ale wyglądające jak nowe.

- Trzeba by tylko wmasować w ciebie trochę oleju - mruczy Jon, obracając suwadło na wszystkie strony i ścierając chusteczką zaschniętą sól.

Odkłada suwadło, wstaje i na miękkich nogach podchodzi do szafy.

- Ale fale - bełkoce. Opiera się o prawą połowę szafy, otwierając lewą.

Wyciąga karabin, paczkę naboju i niedużą puszkę smaru, zamyka szafę i kuśtyka z powrotem, stąpając po mokrych ręcznikach i przemokniętym dywanie, a na koniec siada na sofie.

Niemożliwe! Ktoś znowu polał!

Moczy róg chusteczki w smarowidle i ostrożnie nanosi je na tę część suwadła, która wchodzi w zamek karabinu. Potem wkłada suwadło na miejsce, porusza nim kilka razy i na koniec załadowuje karabin, nabój po naboju.

Ruchy pierwszego oficera są powolne, dokładne i skupione. Palce leciutko, z wprawą prestidigitatora, pieszczą naboje, źrenice się rozszerzają niczym obiektyw aparatu fotograficznego i nie drgną ani o ułamek milimetra, usta są

na wpeł uchylone, a czubek języka spoczywa nieruchomo na dolnej wardze.

Kiedy tylko ostatni nabój znika w komorze, z twarzy Jona Sigurdssona znika ten szczególny rodzaj koncentracji, koncentracji na swój sposób uczciwej, bo zdradzającej zarówno silną wolę okrutnika, jak i prostoduszność człowieka niedorozwiniętego.

Tak!

Jon z uśmiechem obraca broń w rękach niczym dumny żołnierz, po czym odkłada ją na sofę.

Bo żeby rozbroić prawdziwego mężczyznę, nie wystarczy jeden uzbrojony w śrutówkę błazen, co nie?!

Wypijmy za to!

Nie! Halo! Weź przestań!

- Czyżbym zupełnie tracił rozum? - pyta Jon sam siebie. Prawą ręką podnosi szklankę, a lewą pustą już niemal piersiówkę.

Wypija jedną, dwie krople z pustej szklanki i potrząsa butelczyną w przód i w tył.

Co to jest? Dwa łyeczki? Trzy? Wydudlił już całą piersiówkę?

- No, ale przecież całkiem pełna nie była - tłumaczy się Jon i nalewa do szklanki połowę tego, co zostało w buteleczce.

Właściwie to była tylko połowa piersiówki, może ciut więcej. Stary nieźle się już wcześniej ożłopał, nie? Przemyca gorzałę na pokład! W ciągu kilku dni wychłął prawie połowę!

- Zdrowie starego! - Jon podnosi szklankę, patrzy pustce prosto w oczy i kiwa głową w kierunku niewidocznego kompana od kieliszka, po czym wlewa w siebie koniak.

Twoje zdrowie!

Zdrowie!

Nie. A dlaczego niby miałyby pić za zdrowie tego skurwiela? Za starego? Przecież to skamielina! Palant! Przyjaciel Judejczyków! Udaje, że się zwolni na znak solidarności z załogą! Ciekawe!

To ja odejdę z firmy! Bla, bla, bla!

A idź ty w pizdu! Kłamca! No!

- Pierdolony kłamczuszek - mruczy Jon i wlewa do szklanki resztkę koniaku.

Opiera się wygodnie o oparcie sofy. Kiedy zapada się w wilgotną skórę, głęboko wzdycha.

W jego oczach nie ma już błysku. Wybałusza je w próżnię, jakby to były puste oczodoły.

Co?

- Nic.

Czy nie najsensowniej byłoby zniszczyć główny silnik, żeby wstrząsnąć ludźmi i stworzyć prawdziwą jutrznię rewolucji, a potem strzelić Gudmundurowi w łeb, wywalić truchło za burtę i przejąć władzę na pozbawionej kapitana jednostce?

- Co?

Nic.

Co jest w szklance? W szklance nic nie ma! Kto wypił ze szklanki?

To ty?

- To ja.

Piersiówka leży otwarta na stoliku. Pusta. Pełna niczego. Jon Sigurdsson leży na sofie. Ma otwarte oczy, ale nie jest

przytomny.

Widzi czarno, myśli czarno, cały jest czarny.

Człowieku, blackout!

- Co?

I uśmiecha się jak trupia czaszka.

Jest sobotnie popołudnie, jedenaście po szóstej, kiedy kuk Asi, Johann Wielkolud, bosman Runar i majtek Saeli spotykają się w kuchni, żeby wymienić spostrzeżenia i przeanalizować sytuację.

- Gadałem z tym całym Diabłem, zanim zabraliście go do forpiku - zaczyna Saeli, trzymając się za osłonę kuchenki. - Firma go na pewno tu nie przysłała. Nie ma na tym statku żadnego interesu i dlatego uważam, że to nie on dokonał tego sabotażu. Bo niby po co miałyby to robić, skoro nic na tym nie zyska?

- Trudno powiedzieć - bąka Runar. Stoi przy drzwiach i pilnuje, żeby nikt nie podsłuchiwał. - Ale niezależnie od tego, kim jest ten człowiek ani co może na tym zyskać, to nie rozumiem przynajmniej dwóch rzeczy. Jeżeli nie jest szwagrem Jonasa, to dlaczego on nam nic o tym nie powiedział? I jeżeli nie jest szwagrem Jonasa, to gdzie jest jego szwagier?

- Słuszna uwaga. - Kuk Asi opiera się o lodówkę i przesuwa zapałkę z jednego kącika ust do drugiego. - Ja myślę, że Jonas coś ukrywa. Nie podoba mi się ten wypadek, który podobno miał. Coś się tu nie zgadza.

- Jonas ma coś do ukrycia - Johann chwyta się za rant stołu, kiedy statek daje głębokiego nura. - Ale nie mam

pojęcia, co to takiego. Jeśli ten cały Diabeł nie jest sabotażystą, to kto poprzecinał przewody na dachu? Jonas?

- Jakoś nie umiem sobie tego wyobrazić - wzdycha Runar.

- Ktoś to jednak zrobił. - Saeli wzrusza ramionami. - Zresztą to akurat mógł zrobić każdy, ale ważniejsze jest dlaczego ten ktoś to zrobił.

- Jon twierdzi, że to firma za tym stoi - mówi Asi. - Mówi, że firma to jedyna strona, która zyska na braku łączności. Dopóki nas nie słyhać, nie możemy się z nimi wyklócać.

- A propos Jona. - Runar spogląda na Johanna. - Co on był taki dziwny u starego na zebraniu?

- Nie wiem. - Johann kręci głową. - Pukałem do niego przed chwilą, ale nie odezwał się.

- A co się stało? - pyta Saeli.

- Zupełnie stracił kontakt z otoczeniem. - Johann wzrusza ramionami. - Jakby był całkiem nieobecny.

- Może jemu też ktoś przeciął przewody? - uśmiecha się kuk Asi.

- A potem po prostu sobie poszedł. - Runar załamuje ręce. - Wstał, wyraził absolutne poparcie dla kapitana i wyszedł!

- Było w tym coś pogiętego - mamrocze Johann. - Że tak nagle po prostu wstał i powiedział, że całkowicie ufa kapitanowi. Po tym wszystkim, cośmy powykręcali. Jeśli mam być szczery, to zupełnie mnie nie przekonał.

- Tak jakby był pijany - zauważa Runar.

- Już wiem! - Johann patrzy na Runara. - Dokładnie to samo pomyślałem! Przecież facet jest kompletnie urżnięty!

- I był? - pyta Saeli.

- Nie - Runar kręci głową. - Ale coś z nim było nie tak.
- To komu człowiek może ufać? - wzdycha Saeli.

Cisza.

- Proponuję, żebyśmy całkowicie zaufali staremu - decyduje Johann i chrząka. - W obecnej sytuacji to najsensowniejsze, co możemy zrobić.

- A zwolnienia? - dziwi się Saeli.

- Tak mówię. - Johann wzrusza ramionami. - Wydaje mi się, że powinniśmy całkowicie zaufać staremu. Nie chcę się dalej bawić w bunt, to pewne!

- Też tak uważam - zgadza się Runar. Wzdycha. - Jak Johann. Przestańmy się wydurniać i zaufajmy staremu.

- W porządku - mruczy Saeli i pociąga nosem.

- Asi? - Johann spogląda na kuka.

- Zawsze miałem do niego zaufanie. - Asi mocno przygryza zapałkę. - To firmie nie ufam.

- No to już wszystko wiemy - kiwa głową Johann. - Teraz wspieramy starego i skupiamy się na tym, żeby cało dopłynąć do portu!

Słowa pierwszego mechanika zostają przyjęte w głębokim milczeniu.

- Chciałbym, żebyśmy już przyплыnęli do Surinamu - wzdycha Runar.

- Co do tego na pewno wszyscy jesteśmy zgodni, jak jeden mąż - mówi Johann i chrząka.

- Wolałbym, żebyśmy w ogóle nie wyruszali w ten rejs. - Saeli pociąga nosem.

Cisza.

- Nie pamiętacie, co powiedział tamten gościu? - Saeli spogląda spode łba na swoich towarzyszy. - Ten pijany w barze.

- Ten, co zebrał o drobne? - pyta kuk.

- No, on - Saeli kiwa głową.

- Nic nie powiedział - krzywi się Runar. - W każdym razie nic z sensem!

- Popatrzył na nas i powiedział „pięciu martwych ludzi” - mówi Saeli i szeroko otwiera oczy. - „Pięciu martwych ludzi na statku”, tak właśnie powiedział.

- Tak? - pyta kuk Asi.

- Skąd! - Runar kręci głową. - Nic takiego nie mówił!

- Oczywiście, że tak właśnie powiedział. - Saeli spogląda na bosmana ze strachem w pełnych łez oczach. - A potem zobaczyliśmy go ponownie. Przejechaliśmy koło niego w Mosfellsveit! Powinniśmy zabrać go do auta, czy coś! Może on nas przeklął? Może to był jakiś Cygan, czy ktoś taki? Powinniśmy...

- Saeli, nie myśl w ten sposób - uspokaja go Asi i chrząka.

- Nikt nie wie, co go czeka w życiu, dopóki całego nie przeżyje, nie? Stłuczone lustra i czarne koty nie mają najmniejszego wpływu na układy planet!

- To był po prostu jakiś pijak! - rzuca Runar, klepiąc Saelego po plecach.

- Może - mamrocze Saeli, głęboko oddychając, jakby chciał zdusić płacz w zarodku. - Ale jak już nigdy mam nie zobaczyć mojego synka, to...

Cisza.

Z mesy marynarskiej dochodzą niegłośnie dźwięki ostatniej piosenki z Strange Days:

When the music is over... turn out the lights, turn out the lights...

- No - woła kuk Asi, klaszcząc w dłonie, po czym otwiera lodówkę i wyjmuje z niej mieloną wołowinę, jajka, masło, mleko, przecier pomidorowy i kilka cebulek. - A teraz muszę was poprosić, żebyście opuścili moje podwórko, bo muszę ukręcić fałszywego zająca. Podwładni, przełożeni, zdrajcy, kłamcy, sabotażyści, gapowicze, wszyscy muszą jeść, moi kochani!

Jon Prezydent wchodzi po schodach prowadzących z pokładu E na mostek. Jego twarz zdobią ciemne okulary Ray-Ban, na czoło wystąpiły mu kropelki potu, a w kącikach ust zaschły resztki pasty do zębów. Głowę ma pełną wyimaginowanego betonu, a beton pełen jest gorącego szumu, zagłuszającego wszelkie myśli.

Nadwrażliwe opuszki palców dotykają zimnych jak lód poręczy, a ciężkie nogi pokonują ostrożnie jeden stopień za drugim. Pierwszy oficer jest pusty i kruchy, jest lotnym, szklanym balonem pełnym ciemności, mdłości i dymu. Półotwarte usta wciągają tlen niczym brudny wlot powietrza starego silnika. Nos ma gorący jak tłumik, pełen dymu i sadzy, pachnący rdzą.

Zapach rdzy! Jak pachnie rdza?

- Jezu...

Już nigdy nie będzie pił, nigdy.

Nigdy!

W każdym razie nie koniak...

- Co to za pierdoły - mamrocze Jon, wymuszając uśmiech zakłopotania na bladej twarzy, uśmiech, który się zmienia w skurcz, gdy w żołądku wybuchają mdłości, jak mleko, które za chwilę wykipi z garnka.

Nie myśl o kipiącym mleku!

Jon wyciąga sztywną rękę i otwiera nią drzwi na mostek.

Rozlega się trzask zamka i ten metaliczny dźwięk dudni niczym odgłos strzału w jego skrzypiącej czaszce.

- Jak ja bym chciał być martwy - mruczy Jon i zamyka oczy za ciemnymi szklami.

- Co?

- Powiedziałem tylko „dobry wieczór” - Jon wciąga głęboko powietrze, po czym prostuje się i powolnym, pewnym krokiem wchodzi na pogrążony w półmroku mostek.

- Spóźniłeś się. - Kapitan Gudmundur spogląda na zegarek, obracając się z fotelem. - Bardzo się spóźniłeś! Jest za cztery jedenasta!

- Saelego z tobą nie ma? - pyta Jon.

- Nie. Dałem mu wolne do trzeciej - odpowiada Gudmundur. - Bo co?

- Nie, nic - mamrocze Jon i wymachuje rękami, kiedy statek nagle daje nura. Sprawia to wrażenie, jakby ktoś wyrwał mu podłogę spod stóp.

- Jak ty wyglądasz, człowieku! - Gudmundur schodzi z fotela. - W ciemnościach nosisz okulary słoneczne?

- Tak, ja... - Jon ostrożnie chrząka. - Coś mi się w oczy stało. Jakieś zakażenie, czy coś. Jakby były pełne piasku.

- To w ogóle możesz mnie zmienić? - wzdycha Gudmundur.

- Wszystko w porządku. - Jon posuwa się w głąb pomieszczenia. - Okulary słoneczne pomagają, a później przyjdzie tu Runar, co nie?

- Ma się zjawić o północy - informuje go Gudmundur, przyglądając mu się w taki sposób, by ten tego nie zauważył.

- No to teraz cię tu zostawię samego, co?

- Tak, tak, będę grzeczny. - Jon siada na fotel kapitański. - Mną się nie przejmuj.

- No to dobranoc. - Gudmundur otwiera drzwi na korytarz. Jon również życzy kapitanowi dobrej nocy, zatapia się w głęboki

fotel i zamyka oczy za ciemnymi szklami.

Spierdalaj już stąd, stary!

Drzwi się zamykają, statek wpada na falę i uderzenia rozchodzą się po kadłubie:

Bom, bom, bom...

Kawa!

Może powinien zaparzyć sobie kawy.

Jon Sigurdsson otwiera oczy, ale widzi tylko czerń. Ściąga okulary przeciwsłoneczne i przez kilka minut patrzy nieruchomy przez okno.

Nad pokładem pogodowym unosi się żółty opar...

Powieki opadają, Jon wzdryga się i budzi z tępej drzemki.

- Kawy - mamrocze Jon i wzdycha. Jeśli nie ma zamiaru zasnąć na wachcie, musi napić się kawy.

Schodzi z fotela i podchodzi do tylnej ściany mostka, gdzie w szklanym dzbanku stojącym na rozgrzanej płytce od dwóch

godzin kawa gęstnieje i kiśnie.

- Kurwa, co za ohyda - mruczy Jon, nalewając kawę do czystego kubka.

Już sam zapach wystarczy. Nie może tego pić! To jest po prostu jak rozcieńczony asfalt!

Jon wylewa kawę do zlewu, po czym musi się opanować, głęboko i spokojnie oddychać, żeby opanować mdłości.

A może powinien napić się wody? Nie, woda tylko ogrzeje się w żołądku i spotęguje mdłości.

Coli.

Oddałby cały swój majątek za puszkę zimnej coli.

- Nie proszę o wiele - mówi Jon, kucając przed małą lodówką.

Mleko UHT, mleko UHT, mleko UHT, jabłko, pomarańcza, mleko

UHT, mleko UHT, więcej mleka UHT i jeszcze coś twardego i zimnego głęboko na najwyższej półce.

Jest puszką!

- Bądź colą, bądź colą! - mruczy Jon, mieszając kwaśną ślinę w suchych ustach i błędząc palcami po półce w lodówce, aż w końcu udaje mu się chwycić lodowatą puszkę.

Yes! Oto nadchodzi, oto nadchodzi!

Jon wyciąga puszkę i ogląda w niebieskawej elektronicznej poświacie wnętrza lodówki.

Puszka nie jest czerwona, n i e jest czerwona, lecz zielona, tak, cholernie zielona! ZIELONA! Czyżby to był sprite, proszę, nie bądź sprite'em, nie, to nie jest sprite i fresca też

nie...

- Heineken. - Jon gapi się na oszronioną puszkę ślizgającą się w drżącej dłoni.

A niech to diabli!

Jon Sigurdsson podnosi się, otwiera puszkę i upija długi, zimny, spieniony łyk...

Johann Wielkolud spogląda na zegar ścienny w centrum kierowania maszynownią. Jest za dziesięć dwunasta.

Wachtę kończy o północy. Nie chce mu się pałętać tutaj ani minuty dłużej.

- Fuck it - cicho klnie Johann i rozbraja dzwonek przyzywowy, a następnie wstaje z krzesła, zakłada nauszники i wchodzi do maszynowni.

Tam natychmiast udaje się w kierunku schodów prowadzących do silnika głównego. Chce raz przespacerować się wokół maszyny, zanim pójdzie do siebie na górę spać. Poklepie silnik po wypukłościach, postuka w manometry i posłucha, czy nie wydaje jakichś dziwnych dźwięków.

Kiedy przechodzi wzdłuż silnika od bakburty, zauważa jakiś ruch na kracie podłogowej od sterburty, w okolicach generatorów prądotwórczych.

Po ścianie przesuwają się cienie człowieka.

- KTO TAM? - woła Johann, lecz słowa toną w hałasie maszyn, a cień znika w ciemnościach za kabiną sterowniczą.

Czy to był człowiek?

- DO DIABŁA! - Johann okrąży silnik od tyłu, po czym wbiega po schodach prowadzących na górę.

Nikt nie powinien się kręcić w maszynowni poza dwoma mechanikami, a jeśli to był Palacz, to Johann chce wiedzieć, czego on tu szukał poza swoimi godzinami pracy.

A jeśli to nie jest Palacz, to pierwszy mechanik k o n i e c z n i e musi się dowiedzieć, co ta osoba tu robi w nocy o tej porze.

- HALO! - woła Johann, kiedy dociera na miejsce, skąd cień zniknął zaledwie dziesięć, piętnaście sekund temu, lecz między pakamerą a centralą kontrolno-manewrową maszynowni nie ma żywej duszy.

Czyżby miał jakieś omamy? A może maszynownia jest nawiedzona przez duchy?

- JEŻELI JEST TU DUCH... - woła Johann, wygrażając pustce zaciśniętą pięścią - ...TO NIECH ON...

Johann milknie, kiedy nadeptuje na podłozie na coś, co rozpada się pod grubą podeszwą jego buta. Cofa się o krok, pochyla i wkłada palec wskazujący w biały piasek czy proszek, który rozsypuje się po żelaznej kratce podłogi i znika w cuchnącym olejem mroku poniżej.

Co to jest? Sól?

Wącha ten gruby, biały piasek, lecz ten wydaje się bezwonny. Johann wpada zatem na pomysł, żeby dotknąć go językiem.

Jeśli okaże się, że to jakaś trucizna, po prostu ją wypluje i przepłucze usta.

- Co do diabła? - mruczy pierwszy mechanik po ostrożnym spróbowaniu tych grubych ziaren. - Cukier!

Dwie minuty przed północą bosman Runar otwiera drzwi

swojej kajuty na pokładzie C i wychodzi na korytarz.

- Kto tam? - pyta Johann Wielkolud w połowie schodów prowadzących z pokładu B na pokład C.

- To ja, Runar - odpowiada bosman i zamyka za sobą drzwi swojej kajuty. - A kogo szukasz?

- Widziałeś, żeby ktoś wchodził na górę? - pyta Johann, kiedy stoi już na pokładzie C. Jest czerwony na twarzy, zdyszany i spocony.

- Nie. - Runar wzrusza ramionami. - Na przykład kto?

- Nikt - mruczy Johann i stara się złapać oddech. - Zdawało mi się, że widziałem kogoś w maszynowni. Ale chyba to było tylko przywidzenie.

- Duchy zacząłeś widzieć? - uśmiecha się Runar.

- Niewykluczone - wzdycha Johann. - Ale czy wielu z nas, ludzi morza, nie dostanie w końcu pomieszania zmysłów?

- No, może. - Runar wytrząsa papierosa z paczki. - Idziesz na górę?

- I tak, i nie. - Johann chrząka. - Mam zamiar się położyć, ale nie mam czystej pościeli.

- Ja idę na mostek. - Runar zapala papierosa. - To widzimy się jutro rano.

- No, na razie. - Johann drapie się po głowie. - Jon ma teraz wachtę?

- Tak. - Bosman wypuszcza nosem dym.

- Tak, tak - pomrukuje Johann i wzrusza ramionami. - To go pozdrów ode mnie, albo coś. I miej na niego oko.

- Jasne - uśmiecha się Runar, po czym rusza w górę schodów, podczas gdy Johann wraca na pokład A po czystą

pościel.

Kiedy Runar wchodzi na mostek, nikogo nie zastaje, ani Jona Prezydenta, ani nikogo innego.

- HALO! - woła.

Cisza.

- Co to za wygłupy? - pyta Jon Prezydent, odwracając się razem z fotelem z ogromnym uśmiechem przyklejonym do twarzy i rękoma zwisającymi bezwładnie wzdłuż podłokietników.

Jest tak blady, że jego twarz prawie świeci w ciemnościach, a z pewnej odległości ray-bany zdają się czarnymi dziurami.

- Ale się, psiakrew, zląkłem. - Runar wydmuchuje dym nosem. - Myślałem, że jesteś jakimś upiorem!

- Upiorem? - Z twarzy Jona znika uśmiech.

- Po co ci właściwie te okulary? - dziwi się Runar, strząsając popiół. - A co to ci spływa po twarzy?

- Co mówisz? Co takiego? - pyta Jon Sigurdsson, ścierając biały płyn z twarzy. - To tylko pot. Złapałem jakiegoś wirusa, czy coś. Oczy mnie pieką.

- Nie byłeś czasem przed chwilą na dole w maszynowni? - zagaduje Runar, zaciągając się papierosem i tym samym ukrywając nieśmiały uśmiech.

- Ja? Na dole w maszynowni? Nie! A dlaczego? - pyta Jon i rozdziawia gębę niczym świeży trup.

- Tak tylko. - Runar wzrusza ramionami. - Johannowi się zdawało, że widział na dole nieboszczyka.

XXVI

Niedziela, 16 września 2001

Jest za cztery trzynasta, kiedy kapitan Gudmundur otwiera drzwi prowadzące na spardek na sterburcie i wychodzi na zewnątrz w sztormiaku i wełnianej czapce na głowie. Burza wciąż szaleje. Kapitan mruży oczy drażnione słonym wiatrem. Uchwycony żelaznego handrelingu umieszczonego na ścianie mostka na wysokości bioder posuwa się ostrożnie w kierunku krawędzi spardeku, trzymając pod prawą pazuchą pięćdziesięcioletni sekstant.

Zajmuje pozycję na samym końcu spardeku. Staje na szeroko rozstawionych nogach i opiera się o ścianę mostka. Przygotowuje sekstant. W ciągu ostatniej godziny od czasu do czasu promieniom słonecznym udawało się przebić poprzez grubą warstwę chmur i jeśli kapitan się nie myli, słońce zaraz osiągnie najwyższy punkt na niebie, co oznacza prawdziwe południe, niezależnie od tego, co wskazuje zegar.

Statek miota się w szalonym tańcu na wzburzonej tafli oceanu i Gudmundur ma ogromne trudności z ustawieniem sekstantu. Musi ustalić, gdzie jest horyzont, choć teraz przecinają go ogromne bałwany, a słońca nie widać. Ale jak

tylko promienie zdołają się przebić przez czerni chmur, kapitan spróbuje określić wysokość owej rozgrzanej kuli, matki wszelkiego życia.

Sztywne palce obsługują dokładnie ustawiony i niezwykle precyzyjny przyrząd, a już niemłode oczy usiłują utrzymać ostrość i koncentrację. Od czasu kiedy trzydzieści lat temu Gudmundur Berndsen zdawał egzamin z obsługi sekstantu w słoneczny dzień na balkonie szkoły morskiej, tylko podczas jednego rejsu w życiu obliczał wysokość słońca przy pomocy tego przyrządu. I o tym rejsie usiłuje zapomnieć od trzech dziesiątków lat.

Cholera jasna, to niemożliwe!

Ale przecież musi mu się udać! Kiedy kapitan nie ma zielonego pojęcia o pozycji statku, wtedy maleje wiara załogi w jego zdolność do doprowadzenia ich do bezpiecznego portu.

Kapitan przymyka prawe oko i lewym zerka w niewielkich rozmiarów lunetkę na tylnej stronie sekstantu. Patrzy przez pochylone zwierciadła na okrągłą podziałkę z przodu urządzenia. Horyzont przebiega przez środek podziałki, a lustro na tylnej stronie przyrządu odbija promienie słońca, gwiazd lub księżycy przez kolorowe szkiełko do lusterka i stamtąd do oka patrzącego - jeśli oczywiście panują ku temu odpowiednie warunki.

Zadanie, jakie musi wykonać mierzący, żeby ustalić wysokość horyzontalną księżycy lub słońca, polega na zatrzymaniu obrazu horyzontu na podziałce i przesuwaniu alidady, czyli ruchomego ramienia, dopóki światło odbite

w jednym zwierciadle nie odbije się w drugim i nie ukłuje go w oko. Wtedy pozostanie jedynie zafiksować alidadę i odczytać kąt na skali limbusa.

Z technicznego punktu widzenia jest to bardzo prosty zabieg, ale może okazać się trudny, a nawet niewykonalny, zwłaszcza przy takiej fali.

- No dawaj!

Siedem po trzynastej ukazują się dwa, a potem trzy potężne słupy świetlne na południu. Kapitan usiłuje wyzerować ruchy statku to prostując, to znów uginając nogi. Wstrzymuje oddech i udaje mu się wytrwać w koncentracji na tyle długo, by z jako taką dokładnością określić wysokość słońca ponad horyzontem, po czym traci równowagę, uderza w żelazną ścianę i pada na tyłek, trzymając sekstant ostrożnie niczym kruche dzieło sztuki.

Bo też ten sekstant to jest kruche dzieło sztuki i obecnie wart jest w złocie tysiące razy więcej, niż waży. Wszystkie satelity okołoziemskie są tylko zakurzonymi rupieciami w porównaniu z tym klasycznym dziełem rąk ludzkich, niosącym w sobie blask estetyki, tęsknotę za prawdą naukową i niezachwianą wiarę ludzkości w geniusz dzieła stworzenia.

Przyrząd na lądzie, źródło życia na morzu.

Gudmundur gramoli się na nogi z sekstantem w objęciach i udaje mu się wejść do środka i odłożyć go na szafkę we wnęce z mapami, nie zmieniając jego ustawień.

Ale szafka jest pusta! Żadnych map!

- No jasne! - wzdycha Gudmundur. Przez moment zdaje

mu się, że ktoś ukradł wszystkie mapy, ale potem przypomina sobie, że przecież ukrył je w szafie na ubrania w swojej kajucie.

Zrobił to po to, by mapy nie znalazły się w rękach nieodpowiedzialnych członków załogi i by statek nie został skierowany w miejsce inne niż docelowe. Kiedy zauważył bunt piątki, nie wiedział, co chcą osiągnąć, i spodziewał się najgorszego.

Kapitan znajduje walkie-talkie, włącza i nastawia na otwarty kanał.

- Runar, słyszysz mnie? Mówi kapitan - odzywa się Gudmundur. - Runar, słyszysz mnie?

Leżący na podłodze Cień unosi łeb i przygląda się kapitanowi. Sprzęt trzeszczy i szumi.

- Tu Runar. Odbiór.

- Poproś Jona, żeby mnie zmienił - mówi kapitan. - Muszę wyliczyć pozycję statku. Odbiór.

Runar odpowiada:

- Daj mi dwie minuty. Bez odbioru.

Bosman Runar odwiesza kombinezon roboczy w komórcie na dole i wchodzi na pokład E z żarzącym się papierosem w ustach.

- Jon? - woła, pukając do kajuty pierwszego oficera.

Żadnej odpowiedzi.

- JON!

Bosman łapie za klamkę i lewą ręką otwiera kajutę, prawą ponownie kulturalnie pukając w drzwi.

- Jon! Jesteś tu?

Pierwszy oficer musi być w kajucie, bo łańcuch pozwala otworzyć drzwi jedynie na kilka centymetrów.

- Jon? Śpisz? - Runar puka jeszcze raz. Łańcuch chrobocze.

Żadnej odpowiedzi.

W kajucie pierwszego oficera panuje czarny mrok, a na korytarz wydostaje się dziwny smród, swego rodzaju gorąca mieszanina zapachów zgnilizny, zepsutego oddechu i gorzkiego odoru ludzkiego ciała.

Bosman zaciąga się papierosem, krzywi się i wypuszcza dym nosem.

- JON!

Znowu żadnej odpowiedzi.

- To się wypchaj! - wybucha Runar i głośno trzaska drzwiami.

Wciąga papierosowy żar aż po ustnik, po czym pstryka niedopałkiem przez wejście na tyłach sterówki na pokładzie F. Następnie zamyka drzwi, odcinając niepogodę na zewnątrz, i idzie na pokład G.

- Gdzie Jon? - pyta Gudmundur, kiedy Runar zjawia się na mostku.

- Nawet się do mnie nie odezwał - mówi Runar, przesuwając się w kierunku ekspresu. Musi napić się kawy.

- Nie było go w kajucie? - docieka Gudmundur.

- Był, ale miał założony łańcuch. - Runar wzrusza ramionami, po czym popija przygotowany napój. - Po prostu ma taki mocny sen. Chyba że źle się czuje, czy coś. Strasznie śmierdzi u niego w kajucie.

- Wczoraj też nie najlepiej wyglądał - mruczy kapitan.

- No, racja - kiwa głową Runar. - Najpewniej złapał jakiegoś wirusa.

- Cholera jasna! - Gudmundur dla odmiany kręci głową. - Już i tak wystarczająco trudno nam obsadzać wachty!

- Zastąpię cię na chwilę - proponuje Runar, łapiąc się lewą ręką za uchwyt, kiedy statek przechyla się na sterburcie. - A co będziesz robił?

- Chcę zejść do siebie i wyliczyć naszą pozycję - informuje go Gudmundur i podnosi sekstant niczym noworodka. - Mapy i kalkulator mam w kajucie. Zaraz wracam.

- Ja tam nie poganiam. - Runar zajmuje miejsce na fotelu kapitańskim. - Miałem zamiar zanieść coś do żarcia do forpiku.

- A co, został bez jedzenia? - pyta kapitan.

- Tak - wzdycha Runar. - Ale zostawiliśmy mu wodę.

- Na razie musi mu to wystarczyć. Nie ma mowy, żeby ludzie ryzykowali życie, dopóki jest taka pogoda - wyjaśnia Gudmundur.

- Rozumiem - mruczy bosman, wpatrując się w kubek.

- Wieczorem się nad tym zastanowimy. - Kapitan otwiera drzwi na korytarz. Cień się podnosi. - Zgoda?

- Tak - Runar kiwa głową.

- To dobrze. Widzimy się za kilka minut. - Kapitan opuszcza mostek, a za nim wybiega Cień.

Jon?

Jon!

Kto to jest Jon?

Czy to facet, który pojechał samochodem na przyjęcie i wypił z grzeczności może jeden kieliszek wina, a potem drugi i następny, ale w końcu tylko jeden kieliszek, bo ten sam, raz za razem, po czym wrócił autem do domu, żeby udowodnić sobie, że nie jest pijany, bo przecież od pięciu tygodni jest trzeźwy, od czterech, trzech, dwóch...?

Nie! A myślisz, że kto chce z nim rozmawiać?

Jon, to ja.

Ja? Tak? A ja to kto?

Pierwszy oficer śmierci! Śmierci? Co ty tam bredzisz?!

Puk, puk, puk...

Wejść!

To znaczy...

Jon Sigurdsson otwiera usta, ale nie wypływają z nich słowa.

Czy można mieć takiego kaca po jednym piwie? Przecież to piwo to był tylko klin. Jedno piwo. A kiedy je pił, był trzeźwy, przecież to całkiem oczywiste!

To było zepsute piwo. Ciekawe, jak długo leżało w lodówce? Rok? Dwa? Dziesięć?

- JON!

Pierwszy oficer leży na plecach w nagrzanym mroku i słyszy, jak ktoś woła z niewyraźnej dali.

Czarna czaszka mówi do niego poprzez żółtą poświatę, sączącą się niczym opar ze szczeliny w otwartych drzwiach ciemnej sali pełnej niczego.

Czyżby śnił? A może ktoś puka do drzwi? Do jakich drzwi? Do drzwi w jego głowie? On ma drzwi w głowie?

Gdzie jest? Poza swoją głową? Czy to on puka? A może to czart?

- To się wypchaj!

Drzwi głośno trzaskają, czaszka znika i złowieszczy mrok napełnia się płonąca ciszą.

- Halo? - mamrocze Jon Prezydent i bez przekonania usiłuje chrząknąć. Gardło ma obolałe i schrypnięte. Usiłuje zwilżyć spierzchnięte wargi spuchniętym językiem.

Żadnej odpowiedzi. A kto miałby mu odpowiedzieć? Czyżby głowa była pusta? Nikogo w domu?

Zamknij się!

Próbuje otworzyć oczy, ale nic się nie dzieje. Nie może otworzyć oczu.

Są sklezione!

- Do diabła. - Jon palcami prawej dłoni dotyka zamkniętych powiek. Na rzęsach wyczuwa jakąś lawę, czy coś, co zastygło, ale można to skubać i ściągnąć z lepkich rzęs, i drobić między palcami jak okruszek ciasta.

Pieką go oczy, ma mdłości i zapchany nos.

- Niech to czarci - mruczy i przestaje skubać lawę zalepiającą oczy.

Musiał złapać jakiegoś wirusa.

Wirus.

Przecież to niemożliwe, żeby po prostu był tak skacowany!

Najlepiej pospać sobie trochę dłużej. Zebrać siły. Pozwolić sobie wyzdrowieć. Tak późno przecież jeszcze nie jest.

Co robił wczoraj? Kto? Robił coś wczoraj? Co?

Silnik!

Schodził do maszynowni! A może nie schodził do maszynowni?

Jon Prezydent kładzie prawą dłoń na bakiście. Poprzez drzewo i stal opuszki palców wyczuwają drżenie wolno pracującego silnika.

Nie poszedł zatem do maszynowni?

Wzdycha i usiłuje zasnąć, ale fatalnie się czuje. Niełatwo jest się odprężyć, kiedy myśli błądzą w tę i we w tę, między granicą snu a jawy, a żołądek bulgocze niczym gejzer.

Palce dotykają białych kostek...

I nagle coś sobie przypomina! Każe prawej ręce, niczym gigantycznemu pajakowi, wpełznąć do kieszeni spodni, a kiedy drżące palce dotykają twardej kostki na jej dnie, serce pierwszego oficera jakby przestaje bić, po czym zaczyna miotać się w klatce piersiowej jak kopulujący królik.

Kostka cukru!

Mrok bzyczy niczym wypasiona mucha, żyłki w powiekach rozjaśniają się jak druciki wolframowe w żarówce, a temperatura w kajucie zdaje się wzrastać o dwadzieścia stopni.

- Shit! - Jon międlu przekleństwo między wargami. Usiłuje przełknąć ślinę, lecz usta ma zeschnięte na wiór.

To niemożliwe!

Gudmundur Berndsen siedzi przy stoliku w swojej kajucie i patrzy z niedowierzaniem na rozłożoną mapę morską, gdzie dwie linie przecinają się daleko poza wytyczoną trasą rejsu.

33⁰W 7⁰N

Pal licha te trzydzieści trzy stopnie długości geograficznej

zachodniej. Co prawda, Gudmundur miał raczej nadzieję, że statek dotarł już do trzydziestego siódmego stopnia szerokości zachodniej, jednak znos o cztery stopnie na wschód sam w sobie nie jest niemożliwy, choć nie spodziewał się, że będzie to aż tyle.

Ale siedem stopni szerokości północnej! To po prostu nieprawdopodobne!

Normalnie statek powinien znajdować się na wschód lub południowy wschód od Nowej Fundlandii, na jakimś czterdziestym czwartym stopniu szerokości północnej. A według jego obliczeń znajduje się na północ lub północny wschód od Brazylii!

Siedem stopni od równika!

Na południe od zwrotnika Raka!

Statek płynie nad wygiętym w łuk Grzbietem Śródatlantyckim, zupełnie jakby ślizgał się po nim, trzykrotnie przekraczając prędkość maksymalną!

- To jakiś błąd - wzdycha Gudmundur.

A co, jeżeli to nie jest błąd? Czy to się może zgadzać? Nie, to się nie może zgadzać!

Chyba że?

Jeśli te pomiary są prawidłowe, musi zmienić kurs i skierować statek na wschód, do Surinamu, który znajduje się zaledwie trzy dni drogi stąd. Jeśli te liczby są prawidłowe!

Ale jeśli pomiary są nic niewarte, a weźmie je pod uwagę i obierze kurs na wschód, za trzy dni może się znaleźć w Nowym Jorku, zamiast kontynuować żeglugę do Ameryki

Południowej!

Jest także trzecia możliwość: Pomiary są prawidłowe, lecz on woli w nie wierzyć i będzie kontynuował żeglugę na północ, co oznacza, że nie dopłynie do żadnego lądu, zanim nie wpakuje się za dwa tygodnie na Antarktydę!

Po co w ogóle w tych warunkach wyciągał sekstant? Godzinę temu wiedział niewiele, za to teraz nie wie absolutnie nic!

- A niech to diabli! - mruczy Gudmundur, zwijając mapę. Odpycha sekstant na bok i wyłącza kalkulator.

Cóż ma teraz począć?

Kapitan zdejmuje recepturkę z talii kart i zaczyna kłaść pasjansa, żeby uspokoić nerwy i zająć czymś myśli.

Ale to nie pomaga!

Po tym jak stracił wątek, zapomina co i jak i myli się siedem razy z rzędu, zamienia pasjansa w pozbawioną sensu układankę. Gudmundur miesza karty rozrzucone w bezładnej kupie, tasuje i opasuje gumką.

Może powinien się wreszcie rozpakować?

Gudmundur Berndsen podnosi się z krzesła, wyciąga walizkę i kładzie ją na zasłanym łóżku. Otwiera ją, widzi wyprasowane i poskładane ubrania i natychmiast przypomina mu się Hrafnhildur.

Ciekawe, co ona teraz robi?

Czy jeszcze zastanawia się nad tym, czy lecieć na spotkanie mężem? A może już zaczęła się pakować? Już leci w myślach?

Albo wyrzuciła bilety do śmieci?

- Gdybym tylko... - mruczy Gudmundur i opuszkami palców dotyka wykrochmalonych koszul i miękkich spodni sztruksowych.

Gdyby tylko co?

Gdyby tylko zdobył się na odwagę i zapytał ją, czy rzeczywiście chce ratować ich związek, zamiast stawiać ją w ten sposób pod ścianą i wyjeżdżać. Gdyby powiedział jej, że zwolnił się z pracy, po czym porozmawiał z nią na temat żałoby, czarnej sukni i pogrzebowych pieśni. Gdyby tylko dał jej bilety dzień wcześniej, tak żeby mogła się z tym wszystkim przespać, przemyśleć całą sprawę w ciszy, a następnie przed jego ostatnim w życiu rejssem dać mu odpowiedź.

Gdyby tylko przy okazji z nią usiadł i spytał, czy jest gotowa zapomnieć o upiorach z przeszłości i razem z nim wkroczyć w światłość, zamiast milczeć całymi dniami jak cham i w ten sposób zniszczyć, zmarnować cztery drogocenne tygodnie.

I co?

To przekłeta niepewność nie podgryzałaby jego serca jak robak zjadający owoc od środka.

Ale stosunki międzyludzkie nigdy nie były domeną Gudmundura Berndsen. Zawsze lepiej czuł się za sterami statku niż w bliskości wrażliwych dusz. Jest kapitanem żeglugi, a zadanie kapitana polega na wytyczeniu najkorzystniejszej drogi między dwoma punktami, omijaniu zagrożeń, unikaniu zderzeń i trosce o to, by z załogą i ładunkiem cało pokonać ocean i dopłynąć do bezpiecznego

portu.

Ot, i tak to wygląda, tak to zawsze wyglądało...

Gudmundur Berndsen wzdycha i kontynuuje rozpakowywanie walizki.

Koszule i spodnie wiesza na wieszakach w szafie, bieliznę układa na jednej półce, skarpetki na innej.

- No, tak... - mruczy Gudmundur Berndsen, przerywa rozpakowywanie, żeby zdrowo sobie odchrząknąć, po czym dalej segreguje rzeczy, układając je w szafie.

Ociera łzę w kąciuku prawego oka szorstką i żyłastą dłonią, po czym wyjmuje z walizki kilka podkoszulków, kładzie cztery jedwabne krawaty na łóżko, a lekką marynarkę i jasne spodnie wiesza na wieszaku. W walizce na dnie znajduje jednak coś złożonego i zawiniętego w brązowy papier pakowy.

Hrafnhildur nigdy nie pakowała mu ubrań w brązowy papier. Czyżby to był prezent? Nie, raczej nie. Przecież do domu wróci na długo przed świętami, a urodziny ma dopiero w maju.

Ale to chyba nie...

Serce Gudmundura przestaje bić, kark mu sztywnieje. Zupełnie, jakby się dusił.

Przez trzydzieści lat jego ciemnobrązowy garnitur ze sztruksu wisiał w szafie w małżeńskiej sypialni. To garnitur, w który Gudmundur był ubrany w dniu swego ślubu. Od jakichś dwudziestu pięciu lat tego garnituru nie miał na sobie, ale ponieważ bardzo go lubi, nie chciał go wyrzucić, choć Hrafnhildur błagała go o to ze łzami w oczach za

każdym razem, kiedy robiła porządki w szafie.

Ona z jakiegoś powodu nigdy nie cierpiała tego garnituru. Być może właśnie dlatego że przypominał jej dzień, w którym wyszła za Gudmundura Berndsen, zapakowała go teraz, by wziął go ze sobą w morze. I chciała mu tym gestem powiedzieć, że ich małżeństwo dobiegło końca i może sobie zabierać swoje ohydne ubranie.

Chyba że?

Gudmundur dotyka brązowego papieru, który być może stanowi granicę między miłością a nienawiścią, przeszłością a teraźniejszością, małżeństwem a samotnością.

- Kochanie moje - mruczy pod nosem Gudmundur i sięga po miękki pakunek, który szeleści w jego rękach.

Kochanie moje?

Nigdy wcześniej tak nie mówił! Nigdy wcześniej tak nie mówił? Nie! Ale dlaczego nigdy wcześniej tak nie mówił?

Dlatego że straszny z niego cham!

Cham!

Chamidło bez serca, które nie zasługuje na żonę i dzieci!

Gudmundur Berndsen jest wściekły na samego siebie i swoją chamską naturę. Odwija papier z ubrania. Rzuca papier na podłogę, chwyta garnitur oburącz i potrząsa nim, by go wyprostować. Materiał przelewa się między grubymi palcami i opada na podłogę. Kapitan mruga oczami, bo materiał nie jest brązowy, lecz czarny. I nie jest to sztruks. To nie jest jego garnitur! Trzyma w rękach długą suknię wieczorową z wydekoltowanymi plecami, na ramiączkach.

To czarna suknia Hrafnhildur! Co znaczy, że...

- Ona przyleci. - Gudmundur przygląda się sukni, której od tak dawna nienawidził. Uśmiecha się od ucha do ucha. Oboje myśleli o tym samym! Kiedy on postanowił rzucić pływanie, ona zdecydowała się przestać śpiewać dla zmarłych.

Lecz zamiast wyrazić to słowami, postanowili wysłać sobie nawzajem symboliczne znaki. Ona zapakowała czarną suknię w brązowy papier i umieściła ją na dnie jego walizki, a on kupił bilety lotnicze i zostawił je wśród jej rzeczy, kiedy wyruszał na morze.

Kiedy tylko podał jej bilety, Hrafnhildur wiedziała, że z nich skorzysta, ale wolała nic nie mówić, gdyż nie było takiej potrzeby. Miała świadomość, że kiedy Gudmundur odnajdzie czarną suknię, zrozumie, iż to oznacza TAK! Tak wyglądała jej odpowiedź. Jej odpowiedź polegała na pozbyciu się czarnej sukni: tak, chcę ratować nasze małżeństwo. Tak, przyjadę, żeby się z tobą spotkać.

Tak!

Pomimo wszystko działają tak zgodnie! Dwie osoby będące jednością.

Małżeństwo.

Szkoda tylko, że nie powiedział jej, że przestaje pływać! Ale przecież to może poczekać! Powie jej to, jak tylko się spotkają w Surinamie! Ależ ona się zdziwi! Ależ się ucieszy!

- Dziękuję ci, Hrafnhildur! Dziękuję... kochanie! - mówi Gudmundur głosem schrypniętym, przypominającym krakanie wrony. Trzyma suknię za ramiączka i robi dwa kroki do tyłu, a potem jeden w bok. Ma ochotę tańczyć! TAŃCZY! Tańczy z samą suknią!

Cham?! Kto jest chamem? Przecież on jest najbardziej romantycznym człowiekiem na całym świecie!

Gudmundurowi Berndsenowi zdaje się, że unosi się w powietrzu, podczas gdy stąpa ciężko po podłodze kajuty niczym dopiero co ze snu zbudzony troll! I najwyraźniej wygląda na to, że i statek ma ochotę tańczyć! Lecz nagle zwalnia, jakby kłaniał się niewidocznej partnerce, a potem przechyla się na sterburtę, coraz bardziej i bardziej...

Kapitan potyka się, upada na plecy, uderzając głową w rant stolika.

Co się dzieje?

Mruga oczyma i otępiały patrzy na spód blatu. Krew sączy się z baczka nad lewym uchem, prawe ramię rwie.

- Co do diasa...? Czyżby statek...? - Kapitan wypełza spod stolika. Coś jest nie tak, jak być powinno. Statkowi nie udaje się wyprostować, a do tego jakby się obrócił i zaczął halsować. Zupełnie jakby...

Gudmundur Berndsen patrzy na swoje dłonie wciśnięte w dywan, kompletnie pozbawione czucia.

Silnik się zatrzymał! Silnik nie pracuje!

- Co się, do diabła, dzieje? - pyta kapitan sam siebie drżącym głosem. Podnosi się, ciska suknię w otwartą walizkę, szybko podchodzi do wyjścia przez wyłożoną dywanem podłogę, pochyloną o trzydzieści stopni na sterburtę. Ale zanim jeszcze zdąży otworzyć drzwi, odzywa się dzwonek na ścianie. Głośne sygnały ostrzegawcze rozlegają się na całym statku, jakby zbliżał się koniec świata...

XXVII

14:45

Kiedy kapitan wchodzi na przechylony mostek, bosman Runar akurat usiłuje dodzwonić się do maszynowni.

- CO SIĘ DZIEJE? - krzyczy kapitan.

- NIE MAM POJĘCIA! - odkrzykuje Runar i odkłada słuchawkę. -W MASZYNOWNI NIKT NIE ODBIERA! PALACZ NIE ZJAWIŁ SIĘ NA WACHCIE!

- ZOSTAŃ TU! - woła kapitan. - ZEJDĘ DO MASZYNOWNI! TE CHOLERNE DZWONKI NIE PRZESTANĄ WYĆ, DOPÓKI KTOŚ NIE ODETNIĘ DOPIŁYWU PRĄDU DO GŁÓWNEGO SILNIKA ALBO GO Z POWROTEM NIE URUCHOMI!

Kapitan rusza schodami w dół, pozostawiając bosmana kurczowo trzymającego się urządzeń na mostku i z przerażeniem wyglądającego przez okna na sterburcie. Mostek jakby zawisł w powietrzu nad wzburzonym oceanem.

- CO SIĘ DZIEJE? - pyta Saeli, kiedy spotyka kapitana na schodach na pokładzie C.

- ZNASZ REGULAMIN! - krzyczy kapitan, rozkładając ręce. -CAŁA ZAŁOGA MA SIĘ SPOTKAĆ NA POKŁADZIE!

- MAMY POŻAR? - Saeli wymachuje rękami, by złapać równowagę. - STATEK TONIE?

- NIC JESZCZE NIE WIEM! ALE SILNIK STANAŁ I... - woła kapitan. Urywa w pół zdania, ponieważ dzwonki alarmowe milkną, a to oznacza, że jeden z mechaników jest już w maszynowni.

Kadłub statku trzeszczy, okrutne fale gną i tłuką stal, w ładowni rozlega się ciężkie dudnienie, a uszy członków załogi przeszywa dźwięk o wysokiej częstotliwości, który pomału ustępuje symfonicznemu wyciu wiatru.

- Dopóki nie działa silnik, na pokładzie obowiązuje stan pogotowia - mówi kapitan, chwytając się poręczy schodów. - Ale skoro dzwonki przestały alarmować, sytuacja nie jest krytyczna. Powiedz ludziom, żeby pozostali na miejscu i czekali na moje dalsze rozkazy!

- Tak jest! - odpowiada Saeli i siada na podłodze, aby nie upaść. 14:51

Johann Wielkolud stoi na podeście przy stygnącym silniku głównym od bakburty i kluczem otwiera zawory, jeden po drugim, a poniżej kapitan i Palacz czekają na to, co im powie.

- DIABLI NADALI! NIECH TO WSZYSTKO SZLAG TRAFI! - denerwuje się Johann Wielkolud i ciska kluczem w powietrze, lecz z powodu panującego tu hałasu nie słychać, by klucz spadł czy odbił się od czegoś w tej nasyconej olejem żelaznej piwnicy. - KAŻDY, KURWA, TŁOK JEST ZŁAMANY! TEGO SIĘ NIE DA NAPRAWIĆ!

- ALE CO SIĘ STAŁO? - Kapitan jest zszokowany.

- WIDZIAŁEM TU WCZORAJ KOGOŚ! - mówi pierwszy

mechanik, schodząc na dół.

- KOGO? - pyta kapitan.

- GDZIE? - pyta Palacz.

- CHODŹCIE ZE MNĄ! - woła Johann Wielkolud i prowadzi ich po schodach na żelazną podłogę sterburty. Podchodzi do miejsca, w którym wczoraj wieczorem znalazł kostkę cukru.

- KTOŚ TUTAJ BYŁ! - mówi i pokazuje palcem wokół, jakby chciał zaznaczyć teren za generatorami.

- KTO? - Kapitan ociera pot z poplamionej sadzą twarzy.

- I CO ROBIŁ? - pyta Palacz, wzruszając chudymi ramionami.

- NIE MAM POJĘCIA! ZDAŹYŁ MI UCIEC! - odpowiada pierwszy mechanik, lustrując pustą przestrzeń badawczym wzrokiem. - ALE ZNALAZŁEM...

Urywa zamyślony. Jego wzrok zatrzymuje się na dziesięciolitrowym kanistrze z plastiku, wetkniętym za żelazną kratkę po wewnętrznej stronie burty, za generatorami i dużą pompą wodną. Kanister do połowy wypełniony jest czymś w rodzaju oleju, a z dziury w nakrętce wystają dwa gumowe węże, zlepione plastikową taśmą.

- CO TAM ZNALAZŁEŚ? - pyta kapitan.

- TYLKO JEDNO PRZYCHODZI MI DO GŁOWY! - mówi pierwszy mechanik, przechodząc nad pompą. Wyrywa węże z kanistra. -CHODŹCIE ZE MNĄ!

Johann zabiera kanister i rusza w kierunku pakamery.

- CO CI STRZELIŁO DO ŁBA? - Kapitan idzie za nim. - CO TO ZA KANISTER?

- Z DOMIESZKĄ DO MAZUTU! - wyjaśnia Palacz,

zamykający ten pochód.

- CO? - dziwi się kapitan.

- OLI! WEŹ NO ZNAJDŹ JAKĄŚ STARĄ PATELNIĘ! - Johann Wielkolud otwiera drzwi pakamery.

- TAK JEST! - mówi Oli Johnsen i biegiem opuszcza towarzystwo. Pierwszy mechanik zwraca się do Palacza po imieniu jedynie w bardzo ważnych sprawach.

W maszynowni od strony bakburty trzymane są rozmaite pojemniki, które mechanicy wykorzystują do przechowywania niebezpiecznych substancji, jak choćby silnych detergentów do zmywania plam oleju czy czyszczenia rozebranych części maszyn. Tam właśnie Palacz znajduje blaszaną patelnię usmarowaną zaschniętym płynem do skrzyni biegów. Czyści ją i wraca szybko do pakamery. Kiedy od drzwi dzieli go ledwie kilka kroków, zauważa coś na podłodze. Coś, co odbija światło i błyszczy jak srebrny pieniążek.

Palacz pochyla się i wyciąga brudne palce, by podnieść to świecidełko, które kształtem przypomina nieco monetę. Chociaż nie...

To kluczyk.

14:54

- Co to za olej? - pyta Johanna kapitan, kiedy pierwszy mechanik zamyka drzwi.

- Uszlachetniacz do mazutu - odpowiada pierwszy mechanik, odkręcając nakrętkę kanistra. - Dodaje się go do rozgrzanego paliwa, po czym pompuje się do silnika.

- I myślisz, że...

Kapitan przerywa, gdy zauważy otwierającego drzwi Palacza. Dźwiękoszczelną przestrzeń kanciapy wypełnia huk generatorów.

- Oto patelnia. Wyczyściłem ją - oznajmia Palacz i odkłada naczynie pachnące czystą benzyną.

- Dobrze - mówi pierwszy mechanik i zaczyna wlewać zawartość kanistra na patelnię.

- Nie rozumiem, co...? - Kapitan wzrusza ramionami.

- Co znalazłeś na podłodze? - pyta Palacz, przyglądając się poczynaniom swojego przełożonego.

- Zobacz! - Johann Wielkolud odkłada pusty kanister.

- Co? - pyta kapitan, pochylając się, by lepiej zobaczyć to, co pokazuje pierwszy mechanik. - Nic nie widzę.

- Sól? - Palacz przenosi wzrok na Johanna.

- Nie - wzdycha Johann. - Cukier.

- Cukier? Gdzie? - pyta kapitan, patrząc to na jednego, to na drugiego mechanika.

- Zobacz - Johann pokazuje nieduże kropelki jaśniejące niczym miniaturowe gwiazdki w ciemnym oleju. - Prawie się rozpuścił, ale jeszcze cząsteczki się błyszczą.

- Sabotaż - mamrocze Palacz i siada na podłodze.

- Wydaje mi się, że wszystko widzę, ale nie rozumiem... - mruczy kapitan, kręcąc głową.

- Wczoraj tuż przed północą nadepnałem na kostkę cukru. - Johann także siada na podłodze.

- Ktoś wrzucił kostkę cukru do...? - dziwi się kapitan. Milknie, kiedy z pokładu A nadbiega Saeli.

- I co tam? - pyta Saeli, stając w drzwiach u dołu schodów,

uchwycony framugi.

- Nic! - odpowiada Johann Wielkolud. - Czego ty tutaj szukasz?

- Ja tylko... - bąka przybysz.

- Mówiłem ci, żeby wszyscy pozostali na swoich miejscach!
-Kapitan marszczy brwi.

- Tak, ale... - rumieni się Saeli. - Runar wysłał mnie na dół, żebym przyprowadził mu Jona, a Jon mi nie odpowiadał i wtedy...

- Silnik nie działa! Zepsuty jest! Mamy awarię na całego! - chrypi kapitan.

- Ale co się stało? - Saeli szeroko otwiera oczy.

- To nieważne... przynajmniej na razie - mówi kapitan i odchrząkuje. - Silnik jest niesprawny.

- To co możemy zrobić? - Saeli spogląda z nadzieją na pierwszego mechanika.

- Nic - odpowiada mu Johann i patrzy na swoje odbicie w paliwie. - Jedynie nadać sygnał SOS.

- Rozumiem - mruczy Saeli.

- Radiostacje są niesprawne! - zauważa kapitan. - Jak możemy wysłać sygnał SOS, skoro ktoś uszkodził anteny?

- Na skrzydle mostka na bakburcie jest emiter sygnału - mówi Johann Wielkolud i spogląda na Palacza, który przytakuje.

- Biała skrzynka? - pyta kapitan.

- Tak. - Johann kiwa głową. - Kiedy statek tonie, na skutek działania podciśnienia pudełko się rozrywa i wypływa z niego emiter, który natychmiast zaczyna nadawać SOS i sygnał

wywoławczy statku.

- Co musimy zrobić, żeby emiter zadziałał? - pyta kapitan.

-Zatopić skrzynkę?

- Nie. - Pierwszy mechanik potrząsa głową. - Jedyne, co trzeba zrobić, to ją odkręcić i odwrócić do góry dnem. Emiter jest ulokowany w skrzynce do góry nogami, a w ten sposób się przekreśli i wtedy sprzęt nadawczy sam zadziała.

- O to chodzi! - Kapitan klepie pierwszego mechanika w ramię. - Saeli! Idź na mostek, odkręć tę skrzynkę i połóż odwróconą na podłogę.

- Dobra, w porządku - mruczy Saeli i potwierdza skinieniem głowy.

- Masz, trzymaj - mówi Johann Wielkolud i ze skrzynki z narzędziami wyjmuje śrubokręt krzyżowy średniej wielkości. Rzuca go Saelemu, który zwinnie go łapie.

- Dzięki. - Saeli chowa narzędzie do prawej kieszeni spodni.

- Tylko ostrożnie - upomina go kapitan. Spogląda na zegarek. - A o czwartej w mesie robimy odprawę awaryjną. Powiadom wszystkich!

- Tak jest! - Saeli kiwa głową, odwraca się na pięcie i wskakuje na schody.

- Mówiłeś coś o cukrze - odzywa się kapitan do pierwszego mechanika, po czym kieruje spojrzenie na patelnię, która przechyla się razem ze statkiem i rzyga tłustą zawartością na podłogę.

- Tak - mówi Johann Wielkolud i rzuca brudne szmaty na płamę paliwa na podłodze. - Cukier rozpuszcza się

w uszlachetniaczach i w płynnej postaci dostaje się do silnika. Tam pod wpływem temperatury krystalizuje się, a twarde kryształki uszkodzają tłoki, które potem pękają.

- Tego nie zrobił żaden majtek. - Palacz uśmiecha się sadystycznie. - Gdybym był złośliwy, powiedziałbym, że jedynie wykształcony mechanik ma dostateczną wiedzę, by coś takiego wykoncypować.

- Słuszna uwaga - zgadza się Johann.

- A sternik? - pyta Gudmundur Berndsen.

- Niewykluczone - mówi Palacz, uśmiechając się kapitanowi w twarz. - Ale z całym szacunkiem, to ty akurat nie bardzo się w tym połapałeś, pomimo studiów w szkole morskiej.

- Coś w tym jest - odpowiada Gudmundur. - Ale gdybym to ja chciał unieruchomić silnik, z pewnością przypomniałbym sobie z książek, jak to zrobić.

- Racja - zgadza się pierwszy mechanik. - Każdy absolwent szkoły morskiej ma dość wiedzy, żeby zniszczyć statek na wiele sposobów.

- No, może. - Palacz wzrusza ramionami.

- A inni nie, czy jak? - pyta kapitan.

- Jeśli wykluczemy nas trzech, faceta w forpiku i Jonasa, zostaje tylko czterech - głośno myśli Johann i wkłada nowe cygaro do ust. - W tym dwóch, do których mam absolutne zaufanie. Jeśli nie trzech.

- Co oznacza, że... - Kapitan przenosi pytający wzrok na Johanna, który zapala zapałkę i roznieca żar w cygarze.

- Co oznacza, że zostaje tylko jeden - uśmiecha się Palacz.

- Asi jest pewny, Saeli to jeszcze niewiniątko... i niech mnie diabli, jeśli Runar ma z tym cokolwiek wspólnego! - Johann zaciąga się dymem.

- Zgadza się. - Palacz kiwa głową.

- No to zostaje nam Jon - wzdycha kapitan. - To możliwe?

- Sam musisz sobie na to odpowiedzieć! - Johann wydmuchuje gęsty dym nosem.

- Tak, racja. Ja sam muszę na to odpowiedzieć! - Kapitan podnosi się. - To ja mam zadawać pytania i to ja mam szukać na nie odpowiedzi. To ja mam decydować, komu ufać, a komu nie!

- No właśnie, to był...

- Dziękuję za pomoc! - kapitan przerywa pierwszemu mechanikowi, robi krok nad patelnią i podchodzi do schodów prowadzących na pokład A. - Zobaczymy się w mesie oficerskiej o czwartej!

- Tak, jasne... - mruczy Johann Wielkolud i się rumieni.

- I nie zapominaj o jednym, Johannie Peturssonie! - Kapitan odwraca się do nich na najniższym schodku. - Kiedy niecały tydzień temu wypływaliśmy, ufałem każdemu członkowi załogi! Każdemu!

15:21

Co ma zrobić? Czego nie ma robić?

Majtek Saeli oburącz trzyma się relingu na tylnej ścianie sterówki, mruży oczy, chroniąc je przed słonym wiatrem, i przygląda się białej plastikowej skrzynce wielkości kartonu papierosów, przymocowanej do ściany na końcu mostka na sterburcie.

Jeśli odwróci skrzynkę do góry dnem, statek wyśle sygnał ratunkowy, co oznacza, że ktoś to wezwanie usłyszy, zjawi się tu i odholuje statek z popsutym silnikiem do najbliższego portu.

A jaki jest najbliższy port? Może to być Saint John's na Nowej Fundlandii, Halifax w Kanadzie albo Boston w USA. Nie to jest najważniejsze. Najważniejsza jest paczka, którą Saeli ma odebrać w Surinamie i dostarczyć do Islandii. Jeżeli nie odbierze paczki, konsekwencje tego poniesie jego rodzina. Jeśli statek zostanie odholowany do Ameryki p ó ł n o c n e j, nie będzie mógł odebrać jakiegokolwiek paczki w Ameryce po ł u d n i o w e j. Chyba że polecą do Surinamu, odbierze ją i wróci z nią do Islandii. Ale na żaden lot przecież go nie stać, nie mówiąc już o tym, że nie da rady przemyścić tej paczki, lecąc samolotem między kontynentami.

A co się stanie, jeśli statek nie wy ś l e sygnału?

Dryfują bez silnika gdzieś na Oceanie Atlantyckim, pozbawieni łączności ze światem, otoczeni przez wzburzone morze i wicher. Choć prawdę mówiąc, pogoda zaczyna się lekko uspokajać. I gdyby statek dryfował aż do samego Surinamu, co się oczywiście nie zdarzy, taki dryf zająłby co najmniej trzy do pięciu tygodni.

Co ma zrobić? Z dwojga złego wysłanie sygnału i oczekiwanie na ratunek to o wiele lepszy wybór niż dryfowanie po otwartym morzu. A może inaczej? Jeśli statek zostanie odholowany do najbliższego portu, wszyscy będą musieli pokazać paszporty. A czy Diabeł ma paszport? Pewno nie. Co oznacza, że zostanie aresztowany! Facet, który obiecał mu

pomóc załatwić jego prześladowcę w Islandii, a tym samym uchronić przed nim jego rodzinę, zostanie zakuty w kajdanki i osadzony w areszcie!

I wtedy koniec nadziei!

A jeśli nie zjawi się żadna pomoc, Diabeł znajdzie się w równie kiepskiej sytuacji, co wszyscy inni. Jeśli wszystko źle się ułoży, czekają ich tylko męczarnie, głód i śmierć.

Co ma zrobić? Czego nie ma zrobić?

Zimny wicher mierzwi włosy Saelego, ciągnie go za ubranie, gryzie w twarz i palce, zeskorupia wargi i wyciska łzy z oczu.

Co zrobi ten bandyta, jeśli on zjawi się w Islandii bez paczki? Jeśli spróbuje tylko tknąć choćby jeden włos na głowie Lary lub Egilla, to...

- ZABIJĘ CIĘ, JEŚLI ICH DOTKNIESZ, TY SKURWYSYNU!!

- krzyczy Saeli do wiatru, zaciskając dłonie na lodowatym relingu.

- CO TY TAM GADASZ? WSZYSTKO W PORZĄDKU? - woła Runar z wnętrza sterówki.

- TAK, TAK, SPOKO! - odkrzykuje mu Saeli i wyjmuje śrubokręt z kieszeni.

Do stu tysięcy diabłów! Musi odkręcić tę skrzynkę i wywrócić ją do góry dnem, to ich jedyna cholerna nadzieja! Jeśli tego nie zrobi, marnie skończą. Psiakrew! Saeli pochyla się i usiłuje wsunąć śrubokręt pod skrzyknę, nie puszczając relingu. Skrzynka przymocowana jest do dwóch kątowników przyspawanych do ściany. Po jednej śrubie w każdym z kątowników. Lecz niestety śruby są spuchnięte, nabrzmiące

starą rdzą, spływającą długimi zaciekami z kątowników. Saelemu trudno utrzymać czubek śrubokręta w gwiaździstym otworku, a jeszcze trudniej choć trochę wzruszyć przerdzewiałe śruby. Za każdym razem, gdy ostrze śrubokrętu wyslizguje się ze śruby, niszczy trochę otworek, a majtek uderza ręką o kątowniki.

- Tego się nie da zrobić - mruczy Saeli, patrząc z powątpiewaniem na swoją bladą prawicę, drżącą z zimna i upstrzoną zadrapaniami, płytkimi rankami, zakrzepniętymi strużkami krwi. - Kurwa w dupę jebana mać. NIECH TO WSZYSCY DIABLI!

Wściekłym gestem wbija śrubokrętjak nóż w pokrywkę skrzynki. Ta pęka, a śrubokręt zostaje w szczelinie. Majtek przechyla śrubokręt i wtedy pokrywka rozpada się na dwie części, jedną część porywa wiatr, druga zostaje na miejscu.

Wcale nie takie głupie!

Saeli chowa śrubokręt do kieszeni i przesuwając się bliżej ściany mostka. Mocno chwyta się krawędzi ściany i zagląda do wnętrza pękniętej skrzynki. Emiter spoczywa na płask w specjalnym pojemniku ze styropianu. Z wyglądu przypomina nieco jednorazową butlę gazową z anteną na węższym końcu. Majtek wkłada palce lewej ręki do skrzynki, lecz nie udaje mu się wyjąć emitera. Musi całkiem odłamać wieko. Na przedniej ścianie skrzynki znajduje się zawór ciśnieniowy, który ma ją rozsadzić na określonej głębokości i Saeli obawia się trochę, że nie wytrzyma wybuchu i co gorsza, skrzynka rozprysnie się na jego twarzy. Ale takie ryzyko musi podjąć.

Johann Wielkolud najwyraźniej się mylił, twierdząc, że emiter leży w skrzynce odwrócony. Co oznacza, że nie wystarczy odwrócić skrzynkę, żeby odpalić emiter, bo wtedy również by leżał i byłby tak samo nieczynny, co teraz. Żeby uruchomić emiter, należy postawić skrzynkę na sztorc, tak by antena skierowana była w górę.

- No chodź - mamrocze Saeli i prawą ręką chwyta za złamane wieko. Lewą trzyma się kurczowo żelaznej ściany, odwraca twarz w bok, zapiera się nogami i spokojnym, zdecydowanym ruchem ciągnie za wieko.

Nic się nie dzieje. Saeli krzywi się i łapie mocniej ostre wieko, które nagle odrywa się od skrzynki. Wtedy lewa ręka Saelego puszcza żelazną ścianę i majtek pada na żelazną podłogę spardeku. Puszcza złamany plastik i patrzy, jak krew broczy mu z głębokich ran na opuszkach palców. Obok niego leży okrągły zawór, a na ścianie nadal wisi przymocowana do niej dolna część skrzynki.

- Udało się! - mruczy Saeli i wstaje. Ociera krew z palców w spodnie, po czym opiera się obiema rękami o mostek z dwóch stron skrzynki.

Mocno opierając się lewą ręką, prawą wyciąga emiter. Kiedy udaje mu się obrócić go w ten sposób, że antena skierowana jest w górę, na jej czubku zaczyna mrugać czerwone światełko.

Jeden błysk, dwa, trzy...

Emiter działa, wzywa pomocy! To nieduże urządzenie to najpiękniejsza rzecz, jaką Saeli widział w życiu, albo prawie najpiękniejsza. Niczego co prawda nie da się porównać

z nowo narodzonym dzieckiem, własnym dzieckiem znaczy, ale to małe, czerwone mrugające światełko...

BOM!

Statek opada w poprzek ogromnej fali i całym ciężarem uderza w taflę oceanu. Woda rozbryzguje się na wszystkie strony. Saeli puszcza się ściany, odpada od niej, przewraca się do tyłu i z całej siły uderza o ścianę mostka. Emiter podskakuje na zielonej żelaznej podłodze, kręci się w kółko, po czym znika za sterówką.

- Nie, nie - woła rozpaczliwie Saeli i staje na nogi, lecz udaje mu się zrobić jedynie dwa kroki, kiedy emiter wypada przez reling, spada ze spardecku i leci w dół.

Nie!

Saeli biegnie do relingu, chwyta się zań i patrzy w szarogranatową otchłań poniżej najwyższego pokładu statku.

Nic jednak nie widzi. Jak okiem sięgnąć, jedynie słona wichura i wzburzone morze. Żadnego mrugającego światełka, nic. Czy emiter spadł do wody, czy roztrzaskał się o rufę na tysiąc kawałków?

- Nie wierzę - łka Saeli, zaciskając lepkie, zakrwawione dłonie na oblepionym solą relingu. Zwiesza głowę na piersi.

16:03

W mesie oficerskiej zebrało się sześciu mężczyzn z dziewięcioosobowej załogi. Przy końcu stołu najbardziej oddalonym od drzwi siedzi kapitan Gudmundur Berndsen, po jego prawej ręce Johann Wielkolud i Palacz, a po lewej bosman Runar i majtek Saeli. Kuk Asi stoi w drzwiach

i gryzie wykałaczkę.

- Będę się streszczał. - Kapitan pochyla się do przodu ze splecionymi dłońmi. - Nie działa silnik naszego statku, mamy sytuację awaryjną. O tym już wiecie.

Nie działa a silnik naszego statku.

Nieważne, ile razy Gudmundur Berndsen by to powtarzał, na razie nie potrafi się z tym oswoić. Dryf na otwartym oceanie to największy koszmar kapitana. Jedynie zderzenie, pożar lub oblodzenie mogłyby bardziej go zmartwić.

I bunt...

- Nie ma nadziei na naprawę? - pyta bosman po krótkim milczeniu.

Pierwszy mechanik potrząsa głową.

- Jakieśświństwa dostały się do silnika - kapitan ze wszystkich sił stara się nie podnosić głosu. - Wszystkie tłoki są złamane, o naprawie możemy zapomnieć!

Wśród obecnych zapada milczenie. Każdy podejrzliwie patrzy na swoich kolegów. Nikt nie mówi tego, co wszyscy myślą:

Sabotaż!

- Tak. - Kapitan kiwa głową. - Ktoś na statku dokonał aktu sabotażu.

- Ale...

- Facet z forpiku? - pyta kapitan i wzrusza ramionami. - Nie ja go tam zamknąłem. Wygląda na to, że on jest niewinny. Chyba że ma wspólnika!

Milczenie.

- Pójdziemy po niego, jak tylko pogoda się poprawi -

decyduje kapitan i wciąga powietrze przez nos. – I dopóki nie znajdziemy się w bezpiecznym porcie, nikt nie zostanie nigdzie zamknięty! CZY WYRAŻAM SIĘ JASNO?

Kapitan uderza pięścią w blat stołu.

– Tak – mruczą zebrani i kiwają głowami.

– Nasze życie jest zagrożone, życie każdego z nas! – kontynuuje kapitan, znów splatając dłonie. – Będziemy działać solidarnie, razem pokonamy przeciwności losu! Kiedy tylko znajdziemy się w bezpiecznym porcie, rozliczymy się, czy to się komuś podoba, czy nie! Ale do tego czasu wszyscy jedziemy na jednym wózku i w zaistniałych okolicznościach musimy odłożyć na bok wszelkie waśnie i działać razem!

Zebrani kiwają głowami, chrząkają, pociągają nosami.

– Jakież pytania?

Milczenie.

– Gdzie Jon? – pyta kuk Asi oparty o framugę z ramionami skrzyżowanymi na piersiach.

– Wydaje mi się, że jest chory – mruczy kapitan. – Jeśli nie pokaże się do rana, będziemy musieli się do niego włamać.

Milczenie.

– Wygląda na to, że Jon traci głowę – mówi Saeli.

– Niedobrze – dodaje Johann Wielkolud, uśmiechając się półgębkiem. Sięga po dozownik ze słodzikiem. – Już tak się uspokoił po tym, jak podmieniliśmy jego candarel na ritalin.

Milczenie.

Jon. To Jon zniszczył silnik. To Jon upuścił ten kluczyk na podłogę w maszynowni.

Palacz kładzie płaską dłoń na prawej kieszeni

kombinezonu. Pod cienkim materiałem wyraźnie wyczuwa kluczyk.

Co to za klucz? Może do czegoś ważnego? Czy powinien im o nim powiedzieć? Poinformować ich, że go znalazł?

Nie. Chyba że ktoś o to zapyta. A do tego czasu to on go przechowa, dobrze go przechowa.

- Zdaje się, że pogoda się trochę poprawia? - odzywa się Palacz i chrząka.

- Tak, na to wygląda - mówi kapitan i spuszcza głowę. - Dziękować Bogu. Taka nawałnica może spokojnie przełamać statek na pół.

- Wysłaliśmy już SOS? - Johann Wielkolud przenosi wzrok na Saelego, a potem na kapitana.

- Emiter wypadł za burtę - wzdycha kapitan. - Ale oczywiście wysłał cały czas sygnał i jeśli dopisze nam szczęście, powinien dryfować w tym samym kierunku, co statek.

- A co się stało? - pyta Johann Saelego.

- Drobnny wypadek - mruczy majtek i odwraca wzrok. - Skrzynka pękła i...

Saeli wzdycha. Wzrusza ramionami.

- Zrobił, co mógł! - mówi kapitan zdecydowanie. - Nie rozpaczajmy! Przecież oczywiście jest jeszcze emiter w łodzi ratunkowej, ale z jego odpaleniem wstrzymamy się do chwili, kiedy do niej wsiądziemy.

- A dlaczego go nie odpalić już teraz? - pyta bosman.

- Może się zdarzyć, że będziemy musieli siedzieć w łodzi ratunkowej nawet kilka tygodni - tłumaczy kapitan. - Nie

chcę ryzykować wyczerpania się akumulatora emitera, zanim nie znajdziemy się na łodzi lub nie przybędzie pomoc.

- A kiedy wsiadamy do łodzi? - pyta kuk Asi.

- Kiedy pogoda całkiem się uspokoi - rzeczowo wyjaśnia kapitan.

- A dlaczego od razu do niej nie wsiądziemy? Nie będzie bezpieczniej? - pyta Runar. - Statek w każdej chwili może zostać przełamany na pół, a łódź jest odporna. Paliwa ma na trzy tygodnie, co absolutnie powinno wystarczyć.

- To wszystko racja - wzdycha kapitan. - Ale zanim wsiądziemy do łodzi, muszę się zorientować, gdzie w ogóle się znajdujemy. Bo nie będziemy wiedzieli, w którym kierunku płynąć. Kiedy pogoda trochę odpuści, wyliczę dokładnie naszą pozycję i dopiero wtedy będziemy mogli obrać kurs na najbliższy port.

- Myślałem, że już dzisiaj obliczyłeś pozycję? - pyta Runar.

- Te wyliczenia są bez sensu - bąka kapitan. - Przy takiej fali nie ma co mówić o dokładności.

- Czyli że nie wiesz, gdzie się znajdujemy? - pyta Saeli z wahaniem.

- Nie! - zdecydowanie odpowiada kapitan i unosi brodę, tak jak to robią tylko małe dzieci i dyktatorzy. - Mam bardzo ograniczoną wiedzę na ten temat.

Milczenie.

- Dopóki nie wsiądziemy do łodzi, nie opuszczę mostka! - decyduje kapitan i chrząka. - Runar i Saeli będą się zmieniać u mnie na górze co osiem godzin, najpierw osiem godzin Saeli, potem Runar i tak dalej. Sam będę wypoczywał we

wnęce na mapy co szesnaście godzin. Nikt poza nami trzema nie ma czego szukać na mostku aż do końca tego rejsu. NIKT! Jeśli ktoś będzie się musiał ze mną skontaktować, może zadzwonić do mnie na mostek albo poprosić marynarza, który akurat ma wolne, żeby mi przekazał wiadomość.

Milczenie.

- A jak będziesz jadł? - pyta Asi.

- Runar i Saeli będą przynosić mi jedzenie i picie - odpowiada oschle kapitan.

Milczenie.

- Mechanicy będą się dzielić wachtami, jak dotychczas - ciągnie kapitan. - Muszą pilnować generatorów, kotłowni i tak dalej. Asi oczywiście zostaje w kuchni, a dodatkowo musi się opiekować sternikiem Jonasem, dopóki ten pozostaje przykuty do łóżka. W czasie wolnym od wacht i poza godzinami posiłków wszyscy bez wyjątku mają przebywać w swoich kajutach. Zrozumiano?

Ludzie patrzą po sobie pytająco.

- A dlaczego? - pyta Johann Wielkolud.

- Jeśli statkowi będzie jeszcze coś zagrażało, uruchomię dzwonki alarmowe - mówi kapitan. - Wtedy wszyscy mają się stawić na pokładzie, gotowi do opuszczenia statku. Jeśli kogoś nie będzie, pozostali muszą mieć pewność, że jest on w swojej kajucie i że można tam po niego iść. Gdy rzonego członka załogi nie będzie w kajucie, nie będziemy go dalej szukać. Zrozumiano?

- Tak - zgadzają się zebrani.

- Jakieś pytania na koniec? - pyta kapitan i poważnym wzrokiem spogląda po zebranych.

Milczenie.

- To ogłaszam koniec zebrania! - Kapitan wstaje od stołu. - Saeli, pełnisz wachtę do północy!

16:27

W kuchni zebrali się Asi, Johann i Runar. Za chwilę dwaj ostatni mają się udać do swoich kajut, zgodnie z zaleceniami kapitana.

- Stary nigdy wcześniej się tak nie zachowywał. - Runar popija świeżo zaparzoną kawę. - Bałem się gębę otworzyć, żeby mnie nie skarcił, jeśli wręcz nie opieprzył!

- Ale przynajmniej będziesz mógł chodzić na mostek! - mówi Johann Wielkolud i wypluwa okruszek tytoniu. - Jestem drugi co do rangi na pokładzie, a nie mam wstępu do sterówki!

- Już on ma swoje powody - mruczy Asi, kładąc na talerzu jabłecznik i faworki. - Stary Gummi zawsze był człowiekiem kulturalnym i prawym. Może tylko przez te wszystkie lata był dla nas zbyt miękki. To znaczy, zawsze stał murem za nami, słuchał naszych bredni i pozwalał nam na różne wariackie zagrywki, a myśmy jak mu za to odpłacili?

- Może i tak - wzdycha Johann. - Ale to nie my przecięliśmy druty na dachu i to nie był nasz pomysł, żeby unieruchomić silnik! Myśmy tylko zamknęli jakiegoś dziwnego gościa w forpiku! Tylko tyle!

- Ale mieliśmy zamiar wyłączyć silnik - bąka Runar i wzrusza ramionami. - To był dość głupi pomysł, tak teraz

myślę.

- Tak, ale też wycofaliśmy się z tego pomysłu! - Johann zapala swoją połówkę cygara.

- Po tym, jak stary nas rozbroił! - cicho śmieje się Runar.

- Przede wszystkim nie powinniście byli przemycać broni na pokład! - Asi potrząsa głową. - Mogłem wam powiedzieć, że nic dobrego z tego nie wyniknie, nie?

- Tak. - Johann wydmuchuje ostry cygarowy dym. - Powinniśmy przecież poprosić ciebie o radę, Asi. A nie słuchać gadania Jona!

- Jon! - mruczy Runar, popijając kawę. - Coś dziwnego dzieje się z Jonem Sigurdssonem!

- Myślicie, że on...? - Asi patrzy pytająco na towarzyszy.

- Tego nie wiem. - Johann kręci głową. - Ale nie potrafię zrozumieć, żeśmy tak...

BOM!

Statek uderza burtą we wznoszącą się falę. Uderzenie jest niespodziewane i ciężkie i cała trójka kotłuje się po kuchni. Potykają się jeden o drugiego, rozlewają gorącą kawę i mleko, rozsypują ciastka, popiół z cygara, żar i cukier. Wszędzie tego pełno.

16:30

Kiedy statek uderza w falę, Gudmundur Berndsen chwytając się stołu we wnęce na mapy i mocno się trzyma. Mostek drży niczym wieżowiec podczas trzęsienia ziemi. Pokład pogodowy napełnia się wodą, a okna na sterburcie niemal dotykają granatowej tafli. Po chwili kadłub prostuje się leniwie, tak mniej więcej do połowy.

- Saeli! - woła kapitan, kiedy sytuacja nieco się uspokaja. - Nic ci się nie stało?

- Wszystko w porządku - odpowiada Saeli, siada na podłodze i mruga oczami. Obrócił się razem z fotelem kapitańskim, wyleciał z niego, przeleciał przez podłogę i wylądował z głową w drzwiach do spardecku na sterburcie.

- Myślę, że damy sobie spokój z siedzeniem w fotelu, dopóki pogoda jest, jaka jest - mówi kapitan i puszcza się stolika. - To raczej chory pomysł, żebyśmy siedzieli tu na górze. Ale nie mamy wyboru. Stąd możemy zauważyć jakiś statek, wysłać sygnały świetlne albo wystrzelić racę.

- Wiem - przytakuje Saeli i zajmuje pozycję na mostku przy bakburcie. Stoi na szeroko rozstawionych nogach i trzyma się oburącz miedzianej poręczy umocowanej wzdłuż parapetu.

Na podłodze we wnęce na mapy leżą materac z kapitańskiego łóżka, kołdra i poduszka. Gudmundur przytargał to wszystko na mostek i przywiązał materac do półek.

Ma zamiar spać tutaj do końca rejsu.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, to zejść na dół jeszcze po kilka rzeczy - mówi kapitan. Musi jeszcze przynieść mapy, sekstant i kalkulator.

I strzelbę.

- Proszę bardzo - mówi Saeli, nie oglądając się za siebie.
20:39

Kuk Asi kończy w kambuzie sprzątanie po kolacji. W obecnych warunkach posiłki nie mogą być specjalnie

wyszukane. Kuk wrzucił po prostu do brytfanny kotlety wieprzowe, zagrzał je w piekarniku i podał z gęstym kartoflanym puree. Żadnego sosu, ziemniaków, groszku, czerwonej kapusty, żadnych kłopotów.

Ale nikt nie narzeka. Ludzie mają inne problemy na głowie, a i jedzenie suchego mięsa na stole pochylonym o czterdzieści stopni samo w sobie stanowi nie lada wyczyn. Walka z karmelizowanymi kartoflami, groszkiem i gęstym sosem na śmietanie mogłaby się okazać ponad ludzkie siły.

Nawet Jonas nie narzekał na pozbawioną smaku zupę pomidorową, choć od dwóch dni w zasadzie nic nie miał w ustach. Ale dopóki ma wysoką temperaturę i jest na morfinie, uzupełnianie płynów i podstawowych substancji odżywczych musi mu wystarczyć. Taki jest rozkaz kapitana, a przecież to on odpowiada za zdrowie i bezpieczeństwo każdej głowy na statku, dopóki ten się unosi na powierzchni wody.

- Chłopaki moje! - Asi mocno zagryza wykałaczkę i wzdycha, włączając zmywarę. Dopóki silnik główny nie działa, prądnica nie wytwarza prądu, ale pierwszy mechanik uruchomił generatory na ful, żeby nie zabrakło prądu do gotowania, mrożenia i zmywania.

Asi przeciera wilgotną szmatką stół w kambuzie, wyłącza ekspres do kawy i zamyka lodówkę, zanim zgasi światło i zamknie za sobą kuchnię.

- Jak tam zdrowie, przyjacielu? - pyta Asi, wchodząc do izolatki.

- A... bez zmian - mruży sternik. Usiłuje zwilżyć

zeschnięte wargi. Jest spocony i blady. Leży bez ruchu pod ciężką kołdrą z usztywnionym karkiem, lewą nogą w szynie, spoczywającą na dwóch poduszkach, i lewą ręką na temblaku opartą bezwładnie na brzuchu.

- Brakuje ci czegoś na noc? - pyta Saeli i przesuwa wykałaczkę z lewego kącika ust w prawy.

- Odląć się muszę - chrząka Jonas.

- Jasne - mówi Asi i podaje mu basen. - Pomóc ci?

- Nie, nie... sam sobie poradzę - mruczy Jonas, manewrując basenem pod kołdrą.

- Pogoda zaczyna się uspokajać. - Kuk pociąga nosem.

- Tak... - krzywi się Jonas.

- Nalać ci wody do szklanki? - pyta Asi i przelewa wodę z dzbanka do szklanki na stoliku nocnym obok łóżka sternika.

- Tak... dzięki - bąka Jonas i wzdycha, kiedy mocz zaczyna wlewać się do naczynia.

- Dobry chłopak. - Kuk staje na palcach. - Zrobić ci zastrzyk na noc?

- Nie, raczej nie - mruczy sternik i wywraca oczyma. - Koszmary mam od tego. Zostaw mi tylko tabletki przeciwbólowe.

- Nie ma sprawy. - Asi wyjmuje z szafki dwa blistry parkodinu forte i kładzie je na stoliku nocnym. - Kończysz już lanie?

- Tak... chyba tak - mamrocze sternik i strząsa resztki moczu, potem grzebie pod kołdrą, a na koniec podaje kukowi basen. - Proszę bardzo.

- Dzięki, przyjacielu - mówi Asi i przygląda się

ciemnożółtemu płynowi, po czym wylewa go do umywalki i płucze pojemnik.

- Dzięki ci, przyjacielu. - Jonas przymyka oczy.

- Nie ma za co. - Kuk gasi światło i otwiera drzwi na korytarz. - Dobranoc!

- Asi! - Jonas otwiera usta i unosi się na prawym łokciu.

- Tak? - pyta kuk i znów zapala światło.

- Zostaw zapalone, tak jest lepiej - mruży sternik i opada na poduszkę.

- W porządku. - Asi wzrusza ramionami. - Dobranoc.

- Dobranoc - wzdycha Jonas.

Kuk Asi wspina się na pokład C, gdzie znajdują się kajuty jego, Saelego i Runara. Kajuta kuka ulokowana jest na bakburcie, majtka w środku, a bosmana na sterburcie. Pokład C to jedyny pokład na statku, gdzie jest pełna obsada, bo pozostałe trzy środkowe kajuty są puste.

- Runar, jesteś tam? - pyta kuk, pukając do drzwi kajuty bosmana.

Po kilku chwilach bosman otwiera drzwi.

- Coś się stało? - pyta Runar.

- Nie, nie. Zastanawiałem się tylko, czy nie zapytałbyś o coś kapitana w moim imieniu - mówi Asi i wyjmuje z ust obgryzioną wykałaczkę. - Nie idziesz później na nocną wachtę?

- Tak, od północy. - Runar ziewa. - Co chcesz wiedzieć?

- Zastanawiałem się po prostu, czy dużo trzeba wyjąć z zamrażarki - pyta Asi. - Jeśli mamy opuścić statek, nie będę przecież za dużo rozmrażał.

- Asi, równie dobrze możesz wyłączyć zamrażarkę - mówi Runar. - Ten statek i tak płynie prosto do piekła.

- Co oznacza, że prędzej czy później go opuścimy, czy jak?
- pyta Asi i wkłada do ust pogryzioną wykałaczkę.

- Tak - uśmiecha się bosman. - Chyba że chcesz sobie po-dryfować?

- Do piekła? - krzywi się kuk. - Nie. Raczej nie. Ale wcale nie mam zamiaru wyłączać zamrażarki.

- Twoja broszka. - Runar chrząka. - Jeszcze coś, Asi?

- Nie, przyjacielu! - Kuk stuka obcasami drewniaków.

- Dobranoc. - Runar kłania się Asiemu.

- Śpij spokojnie! - Asi kłania się bosmanowi, który uśmiechając się, zamyka drzwi swojej kajuty.

23:47

Majtek Saeli stoi w szerokim rozkroku przy oknach mostka na bakburcie i gapi się w mrok. Pogoda powoli się uspokaja, statek już tak bardzo się nie przechyla, a pokład pogodowy już nie tonie pod wodą ani nie chowa się za słonym oparem. Położony na samym dziobie forpik chyli się na bok. W środku znajduje się skuty łańcuchami mężczyzna, który nie ma zielonego pojęcia o tym, co się dzieje na pokładzie, choć pewno orientuje się, że statek dryfuje gnany prądami i wiatrem, zamiast pokonywać fale i kierować się do wybranego celu.

Ciekawe, czy się u niego świeci?

- Kiedy możemy iść po tego gościa? - Saelemu własny głos wydaje się dziwny, kiedy wreszcie przerywa ponadgodzinne milczenie.

- Z samego rana - odpowiada kapitan siedzący przy stoliku we wnęce na mapy, gdzie w świetle niedużej lampki spisuje coś w zeszycie w linie.

To lista rzeczy, które ma zamiar wziąć na łódź ratunkową. Łódź może zabrać osiemnaście osób, więc będą mieli dość miejsca na dodatkowe paliwo, ubrania i prowiant.

- To znaczy o świcie - poprawia się po chwili kapitan, dopisując do listy „lektury”. Jeśli mieliby spędzić dużo czasu w łodzi ratunkowej, lepiej, żeby załoga miała coś lepszego do roboty niż tylko patrzenie na własne kolana.

- Rozumiem - odpowiada mu Saeli i dalej spogląda przez zamazane solą szyby, za którymi wokół rozświetlonego pokładu pogodowego widać jedynie czarny ocean i wieczny mrok. Od czasu do czasu w oddali błyska jakaś gwiazda.

Ktoś kiedyś powiedział mu, że gwiazdy już dawno wystygły, chociaż światło, które kiedyś zapaliły, nadal wędruje przez kosmos.

Ale to albo jest kłamstwo, albo coś, jakaś astrofizyka, której Saeli za grosz nie rozumie.

Od niemal ośmiogodzinnego stania bolą go nogi i na koniec ból przechodzi w dojmujący brak czucia, który nawet jest bardziej przyjemny niż nieprzyjemny. Zmęczenie nie jest miłe, ale można do niego przywyknąć. To, do czego nie da się przyzwyczaić, to ten znos. Zupełnie jakby człowiek był pasażerem w samochodzie, który zjeżdża na bok i cały czas jest o włos od wypadnięcia z drogi.

Czyżby miała go zaatakować choroba morska?

- Wydaje mi się, że łapie mnie choroba morska - odzywa

się Saeli, puszczając miedziany uchwyt. Przechodzi przez pochylone pomieszczenie na sterburtę.

- Poczekaj, aż przyjdzie tu Runar - mówi kapitan, zamyka zeszyt i spogląda na zegarek. - Zostało jeszcze tylko kilka minut.

- Dobra, w porządku. - Saeli chwyta się rączki przy urządzeniach nawigacyjnych. - Mam potem znieść naczynia?

- Nie, nie. - Kapitan rzuca okiem na podłogę, gdzie pomiędzy materacem a szafką z segregatorami leży wciśnięta taca, a na niej brudny talerz, sztucce, kubek i szklanka. - Runar zabierze to jutro rano.

- W porządku. - Saeli wciąga głęboko powietrze, żeby pokonać nachodzące go mdłości.

- Źle się czujesz? - pyta kapitan i gasi lampkę. Kiedy tylko gaśnie światło, zauważają coś jakby błysk na tafli oceanu, jakieś pięćdziesiąt metrów od statku po stronie sterburty.

- Tak, ja...

- Cii! - strofuje go kapitan i patrzy w skupieniu za okno, przykładając dłonie do uszu. - Widziałeś? Tam coś błysnęło!

- Czy to czasem nie lampa? - pyta Saeli, który gdziekolwiek spojrzy, widzi tylko ciemność. - Światło odbijało się w szybie, a kiedy zgasiłeś lampę, to tak jakby zamrugalo.

- Nie! To coś innego! - Kapitan szybko podchodzi do deski nawigacyjnej. Palcem wskazującym naciska guzik, który otwiera dopływ prądu do diafonu, ale nic nie słyhać.

Oczywiście, że nie! Przecież wszystkie druty na maszcie zostały przecięte!

- A niech to wszyscy diabli! - klnie kapitan i otwiera drzwi na podest na sterburtę. - Tam jest statek! Jestem pewien, że tam jest statek!

- Skąd wiesz...? - mruczy Saeli. Przesuwa się w kierunku drzwi prowadzących na pochyłony ku morzu podest. - Uważaj, żeby...!

Kapitan sięga do góry i chwyta za tylną część reflektora, którego snop skierowany jest po skosie na ocean od strony sterburty. Światło wędruje po powierzchni oceanu, po unoszących się i opadających falach.

- No, dawaj! - Kapitan wisi uczepiony jedną ręką zaczepu i patrzy na bezkresny ocean.

- Tam nie ma żadnego statku! - woła majtek przez otwarte drzwi. - Przecież jaki statek pływałby nieoświetlony po o...

Saeli urywa nagle, kiedy snop światła wydobywa z ciemności jakiś ostry obrys na powierzchni oceanu po północnej stronie statku.

Tam jest statek. Nieoświetlony.

- Widziałeś? - woła kapitan. Zaciska lewą pięść. - Tam jest statek!

- Gummi, chodź do środka! - krzyczy Saeli. - To mi się nie podoba!

- Saeli! Weź przynieś racę! - nakazuje mu kapitan. - Wystrzelimy racę! Szybko! Pistolet jest w szufladzie na prawo od...

Kapitan urywa, kiedy tamten statek zapala światła z przodu i z tyłu, po obu stronach. To nie są zwyczajne światła. Są zielone, ale nie oświetlają tamtego statku, lecz

świecą dookoła niego, aż znika on za zielonym parawanem iluminacji.

Zielone światła! Kto używa zielonych światel?

- Zielone światła? - dziwi się Saeli. Wpatruje się w to podłużne morze światel przypominające niezidentyfikowany obiekt latający z kiepskiego filmu. - Kto używa zielonych światel?

- Z daleka ich nie widać, z daleka ich nie widać - mamrocze Gudmundur, puszczając mocowanie reflektora, i wślizguje się tyłem do środka, nie odrywając wzroku od zielonego światła, zbliżającego się do statku. - Dobry Boże! A ja myślałem, że nic gorszego nas już nie spotka!

- Co to jest? - pyta zdumiony Saeli, obserwując bezradnie kapitana, który naciska jeden po drugim wszystkie guziki, gasząc kolejno światła na zewnątrz pogrążającego się stopniowo w ciemnościach statku.

To za mało, za późno!

- Nie mamy zbyt dużo czasu - kapitan zerka na odblaskowy cyferblat swojego zegarka, na którym sekundnik zaczął już pożerać ostatnią minutę przed północą. - Idź na dach i wystrzel racę. Jeśli dopisze nam szczęście, może jeszcze jakieś statki będą na tych wodach.

- Kapitanie? - odzywa się Saeli drżącym głosem i łapie Gudmundura mocno za lewe ramię.

- NA DACH, SZYBKO! - krzyczy kapitan i uderza majtką otwartą prawą dłonią w twarz. - JEŚLI NIKT NIE PRZYJDZIE NAM Z POMOCĄ, WSZYSTKICH NAS POWYBIJAJĄ, ZANIM SKOŃCZY SIĘ DZISIEJSZY DZIEŃ!

23:59

Johann Wielkolud stoi przed generatorami z kluczem francuskim w prawej ręce, brudną szmatą w lewej, w brudnych ochraniaczach na uszach i ze zgaszonym cygarem w prawym kąciku ust.

Pierwszy mechanik słucha uważnie miarowego warkotu wielkich generatorów napędzanych olejem napędowym, zmniejszając dopływ paliwa do jednego z nich. Przez noc zapotrzebowanie na prąd maleje, toteż postanowił wykorzystywać generatory na zmianę, na zwolnionych obrotach, zarówno po to, by zredukować zużycie paliwa, jak i po to, by ograniczyć tarcie i zmniejszyć tym samym prawdopodobieństwo uszkodzeń.

- O TAK! - mówi do siebie Johann, klepiąc generator w warczącą głowicę. Odkłada klucz na miejsce, wyciera olej z palców w szmatę i rusza przez żelazne pomieszczenie do kanciapy.

Wieczorna wachta się kończy i pierwszy mechanik idzie spać. Zdejmuje ochraniacze z uszu, ściąga roboczy kombinezon, wiesza go, zzuwa obuwie robocze i wkłada drewniaki.

Ciekawe, co się stało ze zdjęciem dziewczyny, które powiesił na wewnętrznej stronie drzwi?

Johann zapala zapałkę i ożywia zdechły niedopałek cygara, po czym gasi światło i wspina się na pokład A.

Przed magazynami z żywnością mruga żarówka, jakby za chwilę miała zgasnąć. Ale ona tak mruga od samego początku rejsu.

- Zmienię cię jutro - mruczy pierwszy mechanik. Łapie się poręczy schodów prowadzących na pokład B, ale rezygnuje z wejścia po nich, gdy zauważa czarny cień u góry na klatce.

- Kto...? - pyta Johann Wielkolud Petursson i mruży oczy pod gęstymi brwiami i pooranym zmarszczkami czołem.

Na krawędzi cienia mruga światełko. Światełko, które przypomina płomyk świecy, szybko zapalający się i gasnący na przemian.

A temu światełku towarzyszy straszny hałas. Rytmiczne, dudniące ujadanie z metalicznym podźwiękiem. Jakby ciężki stalowy łańcuch przeciągano przez ostrą krawędź z żelaza:

RATATATATA!

Potem następuje cisza, pusta jak noc, pachnąca gorzkim dymem i lodowatą krwią.

Cały statek zaczyna rozbrzmiewać dzwonkami alarmowymi. Pierwszy mechanik pada na plecy powoli, lecz nieodwołalnie, jak powalone drzewo w lesie.

Światło mruga, światło blednie, światło gaśnie.

Serce się zatrzymuje.

Stop.

I wszystko tonie w ciemnościach...

XXVIII

00:00

Kapitan Gudmundur stoi na spardeku od strony sterburty i widzi pięciu ubranych na czarno mężczyzn podpływających motorowym pontonem o twardym dnie do burty statku. Wyłączają silnik zamocowany do pontonu i zarzucają linę zakończoną trójramienną kotwicą na pokład pogodowy frachtowca.

Co robić?

Wbiega do środka i chwyta za strzelbę. Odbezpiecza ją, przyciska kolbę do piersi i schylony zakrada się z powrotem na spardek. Kiedy wygląda przez barierkę, zauważa, że odziani na czarno intruzi właśnie przywiązali ponton do relingu nachylonej burty. Trzech spośród nich zdążyło już wejść na pokład pogodowy, podczas gdy pozostałych dwóch akurat opuszcza ponton. Ubrani są jak komandosi, na nogach mają czarne buty wojskowe, a twarze ukryli za kominiarkami. Na krótkich paskach zwisają im z ramion karabiny automatyczne.

Cień zwija się pod stolikiem we wnęce na mapy i skowyczy niczym szczenie.

Ciarki przechodzą Gudmundura, który zgina się w kolanach, opiera o żelazną ścianę i mierzy do mężczyzn biegnących gęsiego po pokładzie pogodowym. Celuje w znajdującego się na czele grupy, zziębnięty palec wskazujący drży na języczku spustowym, oczy napęcznieją się czymś słonym, serce wali, krew wre w żyłach. Kapitan oddycha szybko szeroko otwartymi ustami.

Nie potrafi tego zrobić! Ale musi! MUSI!

Gudmundur Berndsen pociąga za spust. Rozlega się strzał, a strzelba uderza go mocno w ramię. Na chwilę ciemnieje mu przed oczami, zupełnie jakby czas stanął w miejscu, lecz po chwili oczy się otwierają, a płuca zasysają powietrze. Statek ciągle buja się w górę i w dół. Kapitan podnosi strzelbę i wygląda spod ściany. Na dole czterech ubranych na czarno mężczyzn przebiega ponad leżącym na zimnym, żelaznym pokładzie towarzyszem.

Ciekawe, czy nie żyje? Nie ma znaczenia!

Gudmundur przeładowuje strzelbę i ponownie z niej mierzy. Musi trafić co najmniej jednego lub dwóch, zanim zdążą schować się pod podestem mostka i wejść na pokład B. Bo jak już tam będą, to tak jakby byli w sterówce.

Zanim jednak kapitanowi udaje się nacisnąć spust po raz drugi, rozlega się monotonne szczekanie dużego karabinu maszynowego i ciężkie ołowiane kule z wielkim hukiem zaczynają odbijać się od mostka. Iskry i odłamki żelaza sypią się na wszystkie strony, deszcz szkła i odłupanej farby spada wokół. Kapitan rzuca się na ziemię i zasłania uszy, podczas gdy statek piratów opluwa górną część mostka ołowiem.

Cisza.

Gudmundur odejmuje dłonie od uszu i otwiera oczy. Obok niego spoczywa śrutówka pokryta ostrymi odłamkami szkła i białymi płatkami farby. On także jest cały w szkłe i farbie.

Dzwonki alarmowe! Musi je uruchomić! Na pokładzie statku znajdują się żądni krwi mordercy i jedyne, co można zrobić, to załadować załogę na łódź ratunkową i opuścić statek, zanim będzie za późno!

Kapitan zabiera strzelbę i czołga się do uszkodzonej sterówki. Następnie podbiega do pomalowanej na czerwono skrzynki na środku pomieszczenia, otwiera ją i naciska przycisk alarmowy. Natychmiast po całym statku rozchodzi się dźwięk wszystkich dzwonek.

Gudmundur patrzy na zegarek: 00:02:30.

Kapitan ma zamiar odczekać do dwóch minut na mostku, po czym zejdzie na rostry* i jako ostatni z załogi wejdzie do łodzi ratunkowej. Bo nieważne, jakie niebezpieczeństwo zagraża statkowi i załodze, kapitan do ostatniej chwili nie opuści mostka, a z pokładu zejdzie jako ostatni lub odda życie.

Gudmundur robi kilka kroków w kierunku sterburty i wygląda przez drzwi prowadzące na pomost. Na powierzchni czarnego oceanu kołysze się zielone morze światła, a na zasnutym ciężkimi chmurami niebie mieni się blaskiem czerwona kula.

Dzwonki hałasują tak straszliwie, że trudno zebrać myśli, a każdy nerw rozżarzony jest niczym drucik w żarówce. Ciężko wpełzł gdzieś w ukrycie i siedzi przyczajony.

- ŻADNYCH GWAŁTOWNYCH RUCHÓW! - krzyczy ktoś za jego plecami.

Kapitan zaciska dłonie na strzelbie, patrzy w lewo i spokojnie prostuje plecy...

00:00

Saeli siedzi na podeście za sterówką. W prawej ręce trzyma pistolet sygnałowy, a w lewej ładunek. Pistolet ten przypomina normalną broń, tyle że lufa jest szerokości rury wydechowej samochodu. Saeli trzęsącymi się palcami odbezpiecza pistolet, załadowuje go i zamyka. Następnie wspina się na dach sterówki, który wciąż jest mokry i niebezpiecznie przechylony na sterburkę.

Majtkowi jest zimno, każdy jego mięsień dygoce, zęby dzwonią w ustach, a żołądek zwija się w twardy supeł.

Musi to zrobić! Musi!

Wpełza na dach i na jego środku przewraca się na plecy. Jego stopy zwrócone są w kierunku popsutego odbiornika GPS, za głową wznosi się maszt radaru. Przypomina przerośniętego stracha na

wróble. Pod majtkiem kołyszą się cztery tysiące ton zimnego żelastwa na powierzchni bezkresnej otchłani, a nad nim rozpościera się tylko ciemność.

Oburącz trzyma pistolet i kieruje wylot lufy w czarne niebo. Ale nie pociąga za spust. Nie może. Dlaczego miałby ciągnąć za spust?

Oni nie żyją! Nie żyją! Wszyscy co do jednego!

Kiedy kapitan na dole oddaje strzał, Saeli aż podskakuje.

Co to było?

Jednak gdy snajper na statku piratów zaczyna rzygać w mostek serią ołowiu z karabinu maszynowego, krew zamarza w żyłach majtka, a dusza opuszcza jego ciało. Cekaem głośno ujada, a statek drży od ołowianego deszczu. Zrazu kule uderzają w podest na zewnątrz mostka, lecz potem snajper podnosi lufę karabinu i kieruje serię w maszt radarowy. Skanery radarowe rozpadają się na drobny mak jak kurnik podczas nawałnicy.

Kawałki plastiku, śruby, odłamki, pogięte kawałki metalu sypią się na Saelego, który zamyka oczy i przyciska do piersi pistolet, jakby to było niemowlę.

Cisza.

Saeli otwiera oczy i gapi się w przestrzeń, nie czując już ani zimna, ani własnego ciała. Maszt wciąż sterczy, ale ze skanerów zostały jedynie strzepy i płatanina drutów.

Czas stoi w miejscu. Wieczność pachnie stałą, dymem i połamanym plastikiem.

Majtek nie wie, co robi, co robić powinien, ani co się dzieje...

A może po prostu chciałby zasnąć i nigdy się nie obudzić?

Tak.

Najlepiej spróbować zasnąć.

Nagle na całym statku rozlega się dźwięk dzwonków alarmowych. Wtedy majtek mruga oczami i z nosa wydmuchuje jakieś okruchy. Potem podnosi ramiona, kieruje lufę pistoletu w niebo i pociąga za spust:

PA

Słysząc trzask, a pistolet odbija z taką siłą, że niemal

uderza Saelego w twarz. Raca wznosi się prosto w czarne niebo. Pozostawia po sobie biały ślad i unosi się coraz wyżej i wyżej, dopóki nie przestaje się wspinać. Wówczas na moment się zatrzymuje, a potem zapala się czerwony płomień, błyszczący niczym kamień szlachetny, zmieniając ciemności w różową poświatę, która wolniutko blaknie, podczas gdy źródło światła spokojnie spada na białym spadochroniku...

Palacz siedzi przy stoliku w kajucie w samych tylko bawełnianych gatkach i przygotowuje sobie faję, kiedy nagle zielonkawy blask przebija się przez brązowe zasłony w oknach.

Zielony blask?

- Co, kurwa...? - Palacz odkłada faję i przypaloną folię aluminiową z gorącą mieszanką haszyszu i tytoniu. Wstaje od stolika i przechodzi przez pochylone pomieszczenie, klęka na łóżku i uchyla zasłony z obu stron.

Do statku od północy zbliża się powoli zielony ocean światła.

- Piraci! - mruczy Palacz, zaciskając dłonie na zasłonach. Przeczytał niejedną książkę na temat tych współczesnych morskich bandytów, którzy wbrew temu, co się powszechnie uważa, nigdy nie byli równie groźni, co właśnie teraz...

- Muszę uwolnić Diabła! - postanawia Palacz, zeskakując z łóżka. Otwiera drzwi na korytarz i bosy i nagi zbiega ze schodów, po czym na pokładzie B, gdzie skręca w prawo przez drzwi na tyłach sterówki, wybiega przed nią i w trzech skokach pokonuje schody prowadzące na pokład pogodowy

od bakburty.

W tym samym czasie na sterburcie pięciu ubranych na czarno oprychów rzuca przez reling linę zakończoną trójramienną kotwicą.

Kiedy Palacz znajduje się w połowie zimnego i mokrego pokładu, kapitan strzela ze swojej broni i wtedy mechanik rzuca się na brzuch na żelazny, nierówny pokład. Kilka sekund później snajper ze statku piratów ciągnie za spust ciężkiego karabinu maszynowego, obsypując cały mostek ołowiem.

Palacz krzywi się, ale czołga się naprzód po pokładzie jak żołnierz w płytkim okopie. Kiedy seria milknie, zostaje mu jakaś trzecia część dystansu do pokonania. Podnosi się i ostatni odcinek przebiega z pochylonymi plecami i głową wyciągniętą naprzód, a gdy zauważy pomalowaną na czerwono frontowąścianę forpiku, rzuca się na pokład przed pierwszym lukiem ładowni.

Tam leży dobrą chwilę, łapiąc oddech, po czym przewraca się na plecy. W tej samej chwili w czarne niebo wzbija się raca.

- KURWA! - krzyczy Palacz. Wie bowiem, że dosłownie za kilka sekund raca rozświetli ciemności i jego samego tkwiącego na widoku na dziobie statku, nagiego i bezbronnego.

Po co gasić światła, kiedy debile z pistoletami sygnalizacyjnymi latają swobodnie po pokładzie?

Palacz zrywa się na nogi i podbiega do czerwonych drzwi pośrodku forpiku. Gołymi rękami chwyta zardzewiałe sztaby

i zdejmuje je. Na chwilę zanim uda mu się ściągnąć ostatnią sztabę i otworzyć zamek, na niebie zapala się raca. Unosi się niczym bańka mydlana na wyimaginowanym nieboskłonie i oświetla statek i jego otoczenie różowym blaskiem...

Raz, dwa, trzy, cztery - mruczy Asi, przesuwając czerwonego pionka o tyleż pól do przodu. Siedzi samotnie przy stoliku w swojej kajucie i gra sam ze sobą w chińczyka. Niebieski pionek wyrzucił dwie szóstki z rzędu, zielony depcze mu po piętach, czerwony rozpoczął grę, a żółty jest jeszcze w domu.

- No, dalej. - Kuk potrząsa kostką w prawej dłoni, puszcza ją i pozwala jej toczyć się po stoliku. Zanim kostka się zatrzyma, w sterburtę zaczyna bić jakiś twardy deszcz. Stal dudni, a sterówka trzęsie się lekko, jakby ktoś tłukł w statek ogromnym młotem.

- No co jest? - Kuk wstaje, podchodzi do okna na bakburcie i spogląda na nocne niebo.

Na zewnątrz widać tylko ciemność.

- To gdzie to my byliśmy? - mruczy Asi i siada ponownie przy stole, na którym czerwona kostka spoczywa bez ruchu, skierowana dwiema czarnymi kropkami w górę. - Teraz chyba kolej żółtego? Tak, żółtego. Żółty o dwa pola do przodu. Musisz się sprężyć, żółty kolego, nie?

Asi przesuwa żółty pionek o dwa pola. Tym samym wszystkie pionki weszły już do gry w kolejnej gonitwie wokół kwadratowej planszy. Kuk wytrząsa papierosa z nowo otwartej paczki i zapala go.

- A teraz czyja kolej? - pyta Asi, machając zapalką. Chowa

ją z powrotem do pudełka. Mruży oczy, zaciąga się dymem i wydmuchuje go przez nos.

- Zielonego?

Kuk wyjmuje papierosa z ust i strząsa popiół do blaszanej puszki wypełnionej piaskiem i petami.

- Nie, zaraz, a nie niebieski?

Kiedy rozlegają się dzwonki alarmowe, żółty ma ruch.

- Co to za jaja? - mruczy Asi i zamyślony rzuca kostką. Znany jest z wyjątkowego spokoju, bardziej przypominającego autyzm niż opanowanie.

Cztery.

Za oknem zapala się czerwone światło, lecz kuk tego nie zauważa. Wstaje i podchodzi wolnym krokiem do drzwi. Otwiera je, zupełnie jakby wściekły dźwięk dzwonek alarmowych oznaczał dzwonienie do drzwi, a za nimi czekał zniecierpliwiony gość.

Kto to może być?

Na korytarzu stoi tyłem ubrany na czarno człowiek, który gwałtownie odwraca się, gdy tylko wyczuwa obecność kuka, i wbija oszalały wzrok w Asiego.

- CO MOGĘ DLA CIEBIE ZROBIĆ...? - pyta Asi, lecz zanim skończy zdanie, pirat pociąga za spust pistoletu maszynowego:

RATATATATA!

Asmundur Sigjonsson z Vestmannaeyar mruga oczami, porusza wargami i niepewnie usiłuje przytrzymać się framugi, lecz jego palce są miękkie jak masło, a ciało tak bardzo ciężkie, tak ciężkie, tak...

Bosman Runar zalega na łóżku i czyta Dobrego wojaka Szwejka. W kajucie jest ciemno. Jedyne światło pochodzi z lampki nocnej nad głową bosmana. Powinien już iść na mostek, ale zostało mu jeszcze tylko półtorej strony rozdziału trzynastego i najlepiej będzie go skończyć. Nie ma co zostawiać takiego kawałka.

Za każdym razem, kiedy otwiera książkę, woli zaczynać od nowego rozdziału.

„Myślę, że to cudownie dać się przekłuć wypolerowanym bagnetem”, powiada Szwejk w książce. Bosman wybucha śmiechem. Zna tę historię niemal na pamięć, ponieważ czyta ją podczas prawie każdego rejsu od jakichś trzech lat. Bezprzykładne brednie tego idioty Szwejka nigdy nie przestają go śmieszyć.

„I nie najgorzej jest też dostać kulę w brzuch. Najlepiej jednak...”

Bosman przerywa lekturę, kiedy kartki w książce zaczynają odbijać zielonkawe światło.

- Co to za...? - mruczy Runar i podnosi wzrok. Zauważa, że źródło tego tajemniczego blasku jest na zewnątrz i sączy się przez beżowe zasłony. Siada na łóżku, rozsuwa zasłony na boki i wygląda przez zachmurzoną szybę.

Zielony ocean światła?

- Jakiś statek? - zastanawia się i przysłania oczy, żeby lepiej widzieć.

Tak, to musi być statek. Ale zielone światło! Kto używa zielonych światła?

- Do licha! - Bosman szeroko otwiera oczy. Czyżby miał

zwidy? Nie! Pod pokład pogodowy pontonem podpłynęli jacyś ludzie! Są na pokładzie! A zatem ktoś usłyszał sygnał alarmowy!

Ocaleją!

- Wiedziałem! Cały czas to wie...! - mruczy Runar z twarzą przyciśniętą do szyby, lecz urywa, gdy z oddali dobiega go odgłos wystrzału i pierwszy z pięciu ratowników pada na pokład pogodowy.

Co...?

Pozostali czterej zachowują się, jakby nic się nie stało. Przebiegają skuleni nad swoim towarzyszem i kierują się w stronę schodów prowadzących na pokład B od sterburty. Na czarnym oceanie mruga światło i ułamek sekundy później do uszu bosmana dociera głośnie ujadanie karabinu maszynowego. Wtula się w pościel, a ołowiane kule uderzają w mostek, niszcząc żelazo, drewno i szkło.

Cisza...

Dlaczego nie mogę otworzyć oczu?

- Kurwa go mać - bełkoce Jon Prezydent i kruszy zastrupiałą krew z rzes, która skleja mu powieki.

Po niecałej minucie udaje się Jonowi otworzyć jedno oko, a potem drugie. Leży w łóżku na plecach i patrzy w nasyconą wilgocią ciemność.

Jaki dzisiaj dzień? Ciekawe, która godz...?

Rozlega się strzał.

Cisza.

Po chwili w oddali szczeka duży karabin maszynowy, a grad ołowiu dudni o sterburtę statku.

- Co się dzieje? - Jon zrywa się z łóżka i wrywa przemokniętą narzutę z okna.

Zimny wiatr orzeźwia bladą twarz pierwszego oficera, która zieleni się lekko w świetle bijącym ze źródła usytuowanego nieco na północ od statku.

Zielone światło?

Jon Sigurdsson wystawia głowę przez okno i widzi, jak ubrane na czarno, przygarbione postaci z karabinami automatycznymi biegną za sterówkę i na pokład B.

- Wy jebane żółte czarnuchy! - Nagi Jon wyskakuje z łóżka. Stąpa po niezliczonej ilości odłamków szkła, które ranią mu stopy, wbijają się w ciało i kości. On jest jednak zbyt rozemocjonowany, by to zauważyć.

Idzie do łazienki, ochlapuje twarz zimną wodą i patrzy we własne oczy w lustrze. Są czerwone, opuchnięte, osłabione i pełne żółtych plamek.

Choroba!

Powiedział kapitanowi, że złapał jakiegoś wirusa oczu, a teraz rzeczywiście ma chore oczy!

Co się dzieje?

Jon Sigurdsson paprze mydłem lustro i pluje na swój nieostry obraz, po czym wkłada spodnie i idzie po karabin do szafy.

- Zajebię tych gnojów - mamrocze pierwszy oficer, odbezpieczając karabin. Potem zawija lekko pasek wokół lewego przedramienia. - Zajebię tych cholernych Judejczyków... te zdradliwe gnidy, tego jebańca kapitana!

Jebańca kapitana? Jasne! A kto inny może za tym wszystkim stać? Komu innemu potrzebne jest wsparcie?

Kapitanowi i nikomu innemu!

- Że też on ma czelność! - Jon uśmiecha się chłodno. Słony wiatr wlatuje przez wybite okno i wywołuje gęsią skórkę na alabastrowo białym ciele pierwszego oficera, który wciąga powietrze przez rozdęte nozdrza i dzwoni zębami z wściekłości.

Morze jest równie słone co krew i...

Nagle na statku rozlega się dźwięk dzwonek alarmowych, a chwilę później za oknem rozbłyska czerwone światło.

To znak!

Znak? Jaki znak?

- Nie ma znaczenia! - mruczy Jon Sigurdsson, otwiera drzwi na korytarz i wychodzi z kajuty w samych tylko brązowych spodniach. Oburącz trzyma karabin. Wbiega po schodach, zostawiając za sobą krwawe ślady na co drugim stopniu.

Uwięzi kapitana, zanim czarno ubrani wysłannicy firmy przejmą władzę na mostku.

Nie!

Nie będzie więził tej zasranej świni! Strzeli mu w łeb i będzie się przyglądał, jak zdycha!

Wow! A zatem się zaczęło!

Zimny prąd przeszywa go wzdłuż kręgosłupa, kiedy jak we śnie szybuje ponad ostatnimi schodkami i zatrzymuje się przed drzwiami prowadzącymi na mostek...

Bosman Runar siada na łóżku i kiwa się w przód i w tył jak sierota.

Co się dzieje? Co to za ludzie? Co ma zrobić? Siedzieć tu spokojnie? Iść na mostek?

Nagle w każdej kajucie, na każdym korytarzu, na każdym pokładzie statku jednocześnie zaczynają dzwonić dzwonki alarmowe.

Bosman wstaje z łóżka i zaciska pięści. Czyżby wybuchł pożar? Albo kapitan ostrzega załogę przed niebezpieczeństwem? Kiedy rozlegną się dzwonki alarmowe, wszyscy mają spotkać się na rostrach. Jeśli statkowi zagrażać będzie duże niebezpieczeństwo, załoga ma go opuścić.

Muszę...!

Idzie w stronę drzwi, lecz na środku kajuty zatrzymuje się i bezradnie spogląda na zamknięte drzwi.

A co, jeśli ci faceci są już na pokładzie? I jeśli któryś z nich czeka za zamkniętymi drzwiami?

Co, jeśli...?

Bosman zostaje wyrwany z zamyślenia, a jego oddech przyspiesza, kiedy ktoś z drugiej strony łapie za klamkę i otwiera drzwi kajuty. Gdy w drzwiach pojawia się ubrany na czarno facet, bosman robi dwa kroki do tyłu.

- NIE! NIE! NIE..! - krzyczy Runar Hallgrímsson i zasłania rękoma oczy. W tym samym momencie przybysz wytrzeszcza swoje szeroko i pociąga za spust automatu:

RATATATATA!

Szybka seria ołowiu rozrywa ubranie, skórę, ciało i żyły i rozsadza wnętrzności, chrząstki i kości, po czym wylatuje przez plecy

bosmana, uderza w ścianę za nim, a kiedy już jest po wszystkim, pokrwawione, lepkie kulki podskakują na dywanie...

Sternik Jonas leży przytomny w izolatce. Głowa spoczywa na prze poczonej poduszce. Jak zahipnotyzowany patrzy na zamknięte drzwi.

Nie może już dłużej być na pokładzie tego przeklętego statku, który bez silnika dryfuje ku swemu przeznaczeniu. Po prostu nie może! Ale co niby ma zrobić?

Co?

Mógłby zakraść się na rostry, wpełznąć do łodzi ratunkowej i spuścić ją na wodę. I wtedy mógłby popłynąć na ląd. Jakby ktoś go zauważył, powiedziałyby, że statek zatonął, a on jeden przeżył. Ale jeśli szczęście by mu sprzyjało, dopłynąłby do lądu nieniepokojony przez nikogo.

Mógłby tak zrobić. Czy może nie? Czy dałby radę, tak z fizycznego punktu widzenia? Gdyby tylko wziął

wystarczająco dużo tabletek przeciwbólowych, powinien być w stanie wskoczyć na jednej nodze po schodach, przytrzymując się jedną ręką poręczy.

Albo nie.

Bóle są tak diabelnie silne, że za każdym razem, kiedy kaszle lub chwyta go skurcz, prawie mdleje.

A co z kolegami z załogi? Jeśli on zabierze łódź, to ich szanse na przeżycie znacząco się zmniejszą. Ale z drugiej strony, przecież to nie on, Jonas, uszkodził silnik! Dlaczego miałyby się godzić na warunki, jakie ktoś inny mu narzucił? Dlaczego miałyby przejmować się prawdopodobieństwem przeżycia osób, które ani przez moment nie pomyślały o prawdopodobieństwie jego przeżycia? Dlaczego on, człowiek ciężko ranny, miałyby się martwić o swoich zdrowych towarzyszy?

Ci idioci sami wykopali sobie grób, do którego Jonas nie ma najmniejszego zamiaru się kłaść.

A bo to wiadomo, czy oni nie mają zamiaru zostawić go samego na pokładzie statku? A bo to wiadomo, czy już czasem nie opuścili tej dryfującej kupy złomu? A bo to wiadomo, czy czasem on nie jest jedyną żywą duszą na pokładzie tego statku widma?

Nie, to zbyt potworne, by mogło być prawdziwe!

A jeśli?

- Halo! - woła Jonas, siadając na łóżku. - Czy może ktoś nie śpi? Halo! HALO!

To nie do wiary! Czyżby oni naprawdę już...?

Jonas nieruchomieje, kiedy rozdzwanają się dzwonki

alarmowe. Co się dzieje? Czyżby statek tonął...? Czy...?

- NA POMOC! NA POMOC! ASI! KTOKOLWIEK! - woła Jonas, rozpaczliwie zdzierając z siebie kołdrę. - NIE ZAPOMINAJCIE O MNIE! NIE ZOSTAWIAJCIE MNIE!

Jonas krzyczy aż do ochrypnięcia. Potem doznaje olśnienia: nikt nie pośpieszy mu z pomocą, nieważne, czy będzie krzyczał, czy nie.

Nikt.

- Chcą tu człowieka zostawić na śmierć - mruczy sternik, ścierając pot z zaczerwienionego czoła. Ostrożnie wysuwa z łóżka prawą nogę.

Musi się dostać na pokład szalupowy! Musi się dostać do łodzi ratunkowej!

Musi...

00:02:30

Dzwonki dźwięczą na całym statku. Gudmundur Berndsen szybko zerka na zegarek i z plecami przy ścianie osuwa się na tyłek tuż pod czerwoną skrzynką z przyciskiem przeciwpożarowym, cały czas trzymając w rękach strzelbę.

- Spokojnie. Musisz być spokojny - mruczy kapitan i usiłuje głęboko oddychać. Następnie podnosi się, opierając się o strzelbę. Nie wolno mu zasnąć na posterunku. Musi być na wszystko gotowy. Bandyty mogą się zjawić na mostku w każdej chwili!

Kiedy zagrożenie jest wielkie, życie nagle staje się niezwykle cenne i równie delikatne jak pisklę podczas gradobicia. Jedyne, co w takich warunkach można zrobić, to ślepo wierzyć w to, co nieprawdopodobne, jednocześnie

zamykając oczy na to, co oczywiste, i w ten sposób wyjść na spotkanie losowi, będąc uzbrojonym się jedynie w absurd.

Gudmundur postępuje kilka kroków na sterburtę i wygląda ostrożnie przez drzwi prowadzące na podest mostka. Na czarnej powierzchni oceanu unosi się zielone morze świateł, a na ciężkim od chmur niebie żarzy się czerwona kula.

- ŻADNYCH GWAŁTOWNYCH RUCHÓW! - krzyczy Jon Sigurds-son, wpadając na mostek.

Kapitan zaciska dłonie na strzelbie, spogląda w prawo i spokojnie prostuje plecy. Dzwonki alarmowe hałasują tak bardzo, że gdyby nawet stado nosorożców wpadło na mostek, kapitan by ich nie usłyszał.

Drzwi! Oczywiście, że miał pilnować drzwi! Do jasnej cholery! A co, gdyby to byli piraci, a nie...

- NIE RUSZAJ SIĘ! - wydziera się Jon, mierząc do niego z karabinu opartego o biodro.

- JON! NIE STÓJ PLECAMI DO DRZWI! ONI IDĄ NA GÓRĘ! - woła kapitan i daje znak pierwszemu oficerowi, by podszedł do niego.

- ONI NIE MAJĄ ŻADNEGO ZNACZENIA! TERAŻ LICZYSZ SIĘ TYLKO TY I JA! - krzyczy Jon Sigurdsson z chłodnym uśmiechem i obłędem w przekrwionych oczach.

On chyba sobie żartuje?

- JON! ZA TOBĄ! - woła kapitan, kiedy za plecami pierwszego oficera pojawia się czarny cień.

- TYLKO BEZ TAKICH SZTUCZEK, STARY! - wrzeszczy Jon Sigurdsson, ścierając uśmiech z twarzy i mocniej ściskając karabin.

- JON! - woła kapitan, unosząc strzelbę i mierząc w kierunku pierwszego oficera, który bez wahania pociąga za spust karabinu.

PLAM!

Kula ociera się o lewe ucho kapitana, który ledwo zdążył zamrużyć oczami. Nie zauważa nawet, że krew zaczyna mu się sączyć za kołnierz. Widzi jedynie idiotyczne zdziwienie na twarzy Jona Sigurdssona, kiedy pirat obejmuje go od tyłu, a ostrze noża napastnika podcina mu szyję od lewego ucha aż po kość obojczykową z prawej strony.

Krew tryska rytmicznymi strumieniami, spływa po klatce piersiowej pierwszego oficera, który bezwładnie osuwa się na kolana, a potem pada prosto na twarz. Pirat błyskawicznie chowa nóż do pochwy, sięga po automat, palcem wskazującym naciska spust i wypróżnia resztkę magazynka:

RATATA... klik, klik, klik!

Lecz kapitan nie pozostaje mu dłużny. Robi krok w bok, podnosząc strzelbę, a kiedy grad kul z automatu uderza w urządzenia nawigacyjne statku, zdecydowanie pociąga za spust i trafia napastnika prosto w zdziwioną twarz...

00:02:30

Stoi na półokrągłym balkonie i patrzy na rozświetloną salę wielkości ładowni na statku. Jeśli ta sala jakoś się nazywa, to musi to być Złota Sala. Od posadzki po sufit ściany pokryte są złotymi kwadracikami. Na tych kwadracikach znajdują się mniejsze kwadraciki, a pomiędzy nimi palą się światełka, które rozjaśniają złoto niczym czarodziejski ogień. Z sufitu zwisają obłe kryształowe żyrandole wielkie jak kominy,

złożone z podłużnych pionowych kryształów. Żyrandole także są podwójne, a ich wewnętrzne elipsoidy są mniejsze od zewnętrznych. W ich środku również palą się światła, które załamują się i rozpraszają na tysiące światełek przypominających gwiazdy na niebie albo diamenty w wodzie.

Z oddali dobiegają dźwięki staromodnej jazzowej muzyki tanecznej, choć nigdzie nie widać żadnej kapeli.

Schodzi na salę po szerokich schodach łukowato wygiętych w dół. Kiedy staje na lśniącej drewnianej posadzce, zauważa, że takie same schody prowadzą do sali na bakburcie. Nad nim znajduje się balkon, na którym nikogo już nie ma.

Kroczy środkiem sali. Po obu stronach widzi nakryte stoły biesiadne. Najpierw mija stoły dwu - i czteroosobowe, a potem długie, ośmio-, szesnasto - i trzydziestodwuosobowe. Na śnieżnobiałych obrusach pyszną się srebrne sztuce, serwetki w srebrnych pierścieniach, ręcznie malowana zastawa z porcelany i kieliszki z ręcznie ciętego kryształu.

Bardzo dobrze, myśli sobie, jakby to on był za to wszystko odpowiedzialny, jakby to wszystko odbywało się z jego nakazu, jakby zależało mu na tym, żeby nic nie rozczarowało gości ani nie wyprowadziło ich z równowagi.

Od czasu do czasu salę wypełnia jakby gwar, lekki śmiech i brzęk szkła, a wtedy on się odwraca i spogląda na jeden stół, potem na drugi. Ale kiedy spogląda przez ramię, głosy milkną i brzęk szkła zamiera wśród rezonujących ścian.

A może to pisk żelaza i szcęk łańcuchów?

Na przodzie sali podają koniak. Wokół nieprzykrytych obrusami okrągłych stolików poustawiano głębokie skórzane fotele, na podłodze leży gruby dywan, a powietrze nasiąknięte jest zapachem cygar, choć nikt nie pali. Wchodzi po szerokich schodach prowadzących do dwuskrzydłowych, ciężkich drzwi z drewna, które otwierają się na salę.

Sala za drzwiami to ponura ładownia, ciemna, zimna i pusta. Z początku nic nie widzi, zupełnie jakby bezdenne ciemność wysysała całe światło, lecz powoli w ciemnościach zaczynają zarysowywać się obrazy, niczym ogromne ryby wystawiające bezbarwne cielska z czarnej wody.

Widzi oczy będące ciemnymi dziurami, rozdziawione usta i skórę naciągniętą jak guma na nagie kości. I ludzi jednym głosem śpiewających pieśń na wiele głosów, równie martwą jak gwizd wiatru w półotwartym oknie, wyciągających chude ramiona przed siebie, i nagle wszystkie te wychudzone ramiona zmieniają się bezlistny las rąk na dnie ładowni, śpiew przechodzi w przeciągłe jęki kopulacyjne, a te żywe obrazy śmierci kopulują ze sobą w otchłani, i koszmarem naznaczone twarze, które początkowo zlewały się w jedną przerażającą maskę głodu, teraz stają się odkształconą twarzą jego córki, która miotając się, kopuluje sama ze sobą na gnijącej papce wystygłych ciał, które poczynają z siebie ciała, które...

Słysząc głośnie uderzenie. Odwraca się i zauważa męczyznę leżącego pośrodku Złotej Sali. To Palacz. Ma na sobie фрак, jest gładko ogolony i ostrzyżony. Jego palce się poruszają. Mruga oczami. Jego głowa jest otwarta, a gęsta

krwawa papka sączy się na dywan przez dziurę, która powoli się zamyka.

Tatusiu!

Czuje zimne palce pociągające go za ubranie. Traci równowagę i pada za siebie w ciemność. Wyciąga ramiona i obiema rękami udaje mu się chwycić za miedziane klamki dwuskrzydłowych drzwi, lecz nie ma siły się podźwignąć, nie daje rady utrzymać równowagi na krawędzi otchłani. Ramiona coraz bardziej się wydłużają, trzyma się miedzianych klamek i zamyka za sobą drzwi, jak piwniczne klapy. Szczelina się zwęża, światło blednie, a on spada w czarną otchłań.

Spada w otchłań rynny, ciężkie żelazo się rozstępuje, słychać pisk zawiasów i tuż zanim wylądjuje na twardej żelaznej podłodze, ktoś woła:

DIABEŁ...!

00:03:03

Jazgot dzwonków jest denerwujący...

Jonas prawą ręką chwyta za prawą poręcz na schodach prowadzących z pokładu B na pokład szalupowy. Głęboko wciąga powietrze i usiłuje uspokoić rozedrgane mięśnie, następnie ugina nieco prawą nogę, po czym wskakuje na kolejny schodek.

Ma na sobie jedynie białą koszulę nocną i dygoce z wycieńczenia i bólu. Pot się z niego leje, a on odnosi wrażenie, że opatrunek na lewej kostce puchnie na skutek miarowego pulsowania tętnic. Cała lewa strona ciała go swędzi, a uszkodzone kończyny wysyłają ciągłe sygnały bólu.

Palce lewej dłoni zacisnęły się kurczowo na czterech listkach parkodinu forte. Jeden z nich spada na schodek poniżej, a dwa stopnie wyżej z pozbawionej czucia dłoni wyslizguje się kolejny. Zostały mu jeszcze zaledwie dwa, z których jeden właśnie zaczął się wyslizgiwać...

Jeszcze jeden schodek, i następny, i następny...

On musi to zrobić!

Kiedy w końcu pokonuje schody prowadzące na pokład szalupowy, ledwo stoi na nogach. Palce lewej dłoni słabo trzymają rożek ostatniego listka, z nosa ciurka wydzielina zmieszana z krwią, swędzą go podniebienie, skóra i oczy.

- NO DALEJ, DALEJ! - dodaje sobie animuszu. Uskakuje w bok i opiera lewe ramię o ścianę na szczycie schodów. Odpocząć tylko chwilę, krótki moment, tylko żeby...

Kajuty kuka Asiego i bosmana Runara stoją otwarte na oścież, a tuż za drzwiami leżą na plecach w kałużach krwi oni sami, martwi, zastrzeleni!

- CO TU SIĘ...? - Jonas mruga oczami. Porażające wycie dzwonek alarmowych nadaje temu okropnemu widokowi jakiś nierealny charakter, lecz gdy przygląda się zwłokom swoich towarzyszy przez dobrą chwilę, sternik uświadamia sobie, że oto ma do czynienia z najprawdziwszą rzeczywistością.

Na pokładzie ktoś zabija ludzi!

- MÓJ BOŻE...! - szepce Jonas i postępuje jeden krok naprzód, w kierunku kajuty bosmana, ale kiedy słyszy na schodach jakąś bieganinę, z całych sił przyskakuje do drzwi prowadzących na schody za sterówką na bakburcie.

Tam przywiera plecami do drzwi i wstrzymuje oddech, kiedy ubrany na czarno człowiek z karabinem automatycznym na pasku przez chwilę ogląda zwłoki członków załogi, po czym biegnie do góry na pokład D.

Kto...? Czyżby wszyscy pomarli?

Sternik Jonas chwytą prawą ręką za klamkę, otwiera drzwi i wyskakuje na zewnątrz. Kładzie prawą dłoń na zimnej barierce i skacze na jednej nodze po żelaznej powierzchni w kierunku rufy.

Nad jego głową spokojnie opada raca niczym karłowate słońce zachodzące za lasem.

Kiedy jest już przy samej łodzi ratunkowej, pozostaje mu tylko podskoczyć o dwa schodki, najpierw na podwyższenie za łodzią, a następnie na jej rufę. Rufa uniesiona jest o czterdzieści pięć stopni i skierowana w różniące się nocne niebo.

Przepełniona koszula nocna lepi się do wilgotnej skóry sternika, zimny wiatr owiewa nagie nogi, a prawa stopa pozbawiona jest czucia od ciągłego uderzania w twardy, zimny metal.

W końcu jednak udaje się Jonasowi wspiąć na rufę łodzi i wtedy orientuje się, że palce lewej dłoni niczego już nie trzymają. Ostatni listek zniknął.

Nie!

Obracając dwa pokrętła w górę, otwiera drzwi łodzi ratunkowej i jedną ręką podnosi ich pokrywę, starając się jednocześnie utrzymać równowagę na jednej nodze. Jest to tak trudne, że najchętniej poddałby się, usiadł i rozplakał, ale

skoro już zaszedł tak daleko, musi dojść do celu...

Musi!

Drzwi w końcu ustępują i wewnątrz łodzi staje przed nim otworem. Gdyby teraz stracił równowagę i wpadł do środka, znalazłby się aż na dziobie, tak bardzo łódź jest pochylona.

Ale Jonasowi udaje się wejść przez drzwi, udaje mu się zamknąć je za sobą i udaje mu się wspiąć na fotel sternika, umieszczony wyżej niż pozostałe fotele na łodzi. Jest to jednocześnie jedyny fotel w łodzi zwrócony przodem, a nie tyłem do kierunku żeglugi. Łódź wieńczy wieżyczka z czterema oknami, na każdą burtę wychodzą po dwa. Sternik zapina pięciopunktowy pas bezpieczeństwa, otwiera dopływ prądu do urządzeń nawigacyjnych i porusza długą dźwignią w przód i w tył.

Z każdym poruszeniem dźwigni łódź unosi się o kilka milimetrów i stopniowo żelazny zacisk zwalnia gruby ogranicznik na dnie łodzi. Kiedy ogranicznik wyslizgnie się z zacisku, łódź zostaje uwolniona i wówczas spada z konstrukcji podtrzymującej prosto do wody, która rozbryzguje się dziesiątki metrów na wszystkie strony.

Uderzenie jest tak mocne, że Jonas B. Jonasson traci przytomność...

00:02:33

- DIABEŁ! - zaczyna krzyczeć Palacz, gdy tylko udaje mu się otworzyć forpik.

- Gdzie? Co? - odzywa się przebudzony z głębokiego koszmaru Diabeł, wymachując ramionami w próżni. - O co cho...?

Gdzie jest? Kto to krzyczał? Co...?

Diabeł otwiera oczy i zauważa czarny cień człowieka na czerwonym tle w obrysie drzwi wejściowych o zaokrąglonych kątach. Czuje zapach farby, smoły i rozcieńczalnika, unosi się i opada w ciasnej i niewygodnej przestrzeni, słyszy morze chlapiące o stal, wyjący wiatr i cichy szum ciepłego nawiewu, swędzi go ślad po ukłuciu na przedramieniu i czuje, jak kłódka zatrzaśnięta na łańcuchu gniecie go w krzyż...

Statek!

- Daj mi spokój, człowieku! - warczy Diabeł i kładzie z powrotem głowę na złożonym kawałku juty. - Nie budź mnie, zanim nie przybijemy do Sumerii. Rozumiesz?

- WSTAWAJ! - wrzeszczy Palacz, przeskakując przez próg. Następnie ścisza nieco schrypnięty głos, jakby obawiał się, że usłyszy go ktoś na zewnątrz forpiku. - Silnik nie działa, a na pokład wdarli się piraci!

- Co!? - Diabeł z ociąganiem otwiera oczy. - Co powiedziałaś?

- Silnik...!

- Powiedziałaś „piraci”, debil! - mówi Diabeł, strzelając palcami. Siada.

- Tak, są na pokładzie! - Palacz przestępuje z nogi na nogę, jak mały chłopiec, któremu chce się siku. - Ze swojego okrętu zakotwiczonego tuż obok co rusz strzelają do nas z karabinu maszynowego!

- Nareszcie coś się na tej balii dzieje! - Diabeł chce wyjść z barłogu, ale kiedy wstaje, łańcuch, którym jest obwiązany

w pasie, napina się. – Jeśli ta nudziarska załoga czegoś potrzebuje, to właśnie artystów na gościnnych występach. Z jakiegoś powodu ja wam nie pasowałem, ale piraci z karabinami maszynowymi to coś, co rozbawi każdego. Prawda?

Diabeł chwieje się na nogach po niedogodnościach snu w ciasnym waterwajisie, ale jego gwałtowne zainteresowanie wydarzeniami na statku jest silniejsze od tego.

– Człowieku, ja nie żartuję! – Palacz trzęsącym się palcem wskazuje przez otwarte drzwi, za którymi buja na falach piracki ponton umocowany do pokładu pogodowego gdzieś w połowie drogi między forpikiem a sterówką. – Przed chwilą słyszałem strzał! Oni nas wszystkich pozabijają, jeśli...!

– Przecież nie powiedziałem, że ci nie wierzę. – Diabeł prawą dłońią zamyka usta Palacza. – Masz klucz?

– Klucz? – pyta Palacz, gdy tylko Diabeł zdejmuje mu dłoń z ust.

– Tak, klucz! – powtarza Diabeł, otwierając ramiona.

– Do diabła, człowieku! – Palacz gapi się na łańcuch. – A kto ma klucz?

– Ten długi i brzydki. – Diabeł wyjmuję paczkę papierosów i zapalniczkę z lewej kieszeni spodni. – Biały, głupi i prymitywny.

– jon!jasne! Do diabła! Czeka! – Palacz obmacuje się po kieszeniach bawełnianych spodni. – Myślę, że...!

– Co ty, człowieku, wyprawiasz? – Diabeł zapala papierosa.

– Oto i on! – Palacz uśmiecha się od ucha do ucha, gdy znajduje coś w prawej kieszeni. Wywraca kieszeń i chwyta

kluczyk, zanim ten zdąży wylądować na podłodze.

- Grzeczny chłopczyk! - chwali go Diabeł, podnosi ramiona i odwraca się tyłem do Palacza, trzymając zapalonego papierosa w jednej ręce, a w drugiej zapalniczkę i paczkę papierosów.

- Dobra, już, już! - Palacz wkłada kluczyk do kłódki i obraca go w prawo. Kłódka się otwiera i łańcuch opada na żelazną podłogę.

- Pięknie! - mówi Diabeł i wydmuchuje dym nosem, wkładając paczkę papierosów i zapalniczkę do prawej kieszeni spodni.

- I co teraz? - pyta Palacz, chwytając się słupa na środku forpiku, aby uniknąć upadku.

- Rób to, co ja. - Diabeł wkłada do ust papierosa. Następnie zrywa umocowaną do rynny sieć, pod którą umieszczone zostały przybory malarskie, i odkręca pięciolitrowy blaszany pojemnik z rozpuszczalnikiem. - Znajdź wszystkie baniaki z rozpuszczalnikiem i daj mi je.

- Się robi - mruczy Palacz, rzucając się na kolana. Diabeł szybko podchodzi do drzwi i miota pojemnikiem w kierunku pirackiego pontonu.

Mógłby oczywiście oddać strzał, ale niełatwo byłoby trafić w cokolwiek z takiej odległości i przy takim rozkołysaniu. Nie mówiąc już o tym, że dysponuje dość ograniczonym zapasem naboju.

Pojemnik wpada do morza przed dziobem pontonu. Najbliższa fala wyrzuca go na pokład pogodowy.

- Proszę! - mówi Palacz, podając Diabłowi następny

pojemnik. -Został jeszcze tylko jeden.

- Szybko! - pogania go Diabeł z papierosem zwisającym z ust. Bierze pojemnik i ze wszystkich sił rzuca go wzdłuż pokładu pogodowego. Ten obraca się w locie, bryzgając rozpuszczalnikiem na wszystkie strony, aż w końcu spada na pokład, pod nogi ubranego na czarno człowieka leżącego przy relingu.

Jeden nie żyje, o to chodzi!

- Ostatni! - Palacz podaje Diabłowi otwarty pojemnik, wypełniony płynem zaledwie w połowie.

- Patrz teraz! - syczy Diabeł. Czeką chwilę, aż statek się nieco wyprostuje, po czym ciska pojemnik wysoko w górę i obserwuje, jak ogromnym łukiem wylatuje za pokład pogodowy i wpada wprost do opuszczonego pontonu, który uniósł się na fali jakby specjalnie po to, by zgotować blaszanej puszce miękkie lądowanie.

- Wow! To było coś...! - Palacz urywa w pół zdania, kiedy wśród zielonej powodzi świateł zaczyna migotać ognik, a ołowiany deszcz kul łomocze w prawą ścianę forpiku, drzwi i pierwszy luk ładowni.

Szczekanie pirackiego karabinu maszynowego dobiega ich uszu tuż po tym, jak pierwsze kule, iskrząc, lądują na grubej na cal stali.

Palacz łapie się za głowę i rzuca się na bok, a Diabeł wyskakuje przez drzwi i znika mu z oczu.

- Czeka! CZEKAJ! ZACZEKAJ NA MNIE! - krzyczy Palacz. Prze-stępuje przez próg i na bosaka przebiega na bakburcie, a stamtąd w kierunku sterówki przez pochyłony pokład

pogodowy. Kiedy Diabeł jest już w połowie drogi, zatrzymuje się i siada na pokładzie, plecami oparty o luk ładowni. Podnosi wzrok do nieba, gdzie rozbłyskuje raca, i cicho przeklina tego, który ją odpalił.

Co za kretyn oświećta pole bitwy, kiedy nieprzyjaciół jest tak blisko? Pole bitwy, które w tym wypadku jest terenem załogi! Ci faceci mają najebane! Podczas walki wręcz ciemności są najlepszym sprzymierzeńcem, wie o tym każdy normalny człowiek, który ma choć jedną szarą komórkę.

- I co teraz? - pyta Palacz, który opadł na kolana obok Diabła, siny z zimna.

- Poczekaj chwilę - uspokaja go Diabeł, ciągnie papierosa, aż żar zbieleje, po czym podnosi się i pstryka żarzący się niedopałek ponad lukiem.

- Rozumiem. Spalisz ponton, żeby nie mogli wrócić, gdyby...

- Sam zobacz! - Diabeł daje Palaczowi kuksańca.

- W porządku - mruży Palacz, podnosząc się i zerkając ponad lukiem.

Karabin maszynowy ujada, obsypując ołowiem luk. Kule ze świstem przesywają noc.

Palacz z powrotem rzuca się na kolana i bez słowa patrzy na Diabła. Nie musi nic mówić.

W jego psich oczach maluje się rozczarowanie.

- Ogień czy brak ognia, nie ma znaczenia - mruży Diabeł, podnosząc się. Nie prostuje jednak pleców. - Chodź! Zmierzymy się twarzą w twarz z tymi bandytami!

Palacz wstaje i kuśtyka za Diabłem przez pokład

pogodowy.

- To mówiłeś, że ilu ich jest? - pyta Diabeł, kiedy dochodzą do schodów, prowadzących na pokład B.

- Nie mam pojęcia - odpowiada mu Palacz, chwytając się poręczy. - Ale w tym pontonie nie zmieści się więcej niż sześć osób.

- Jeden już nie żyje - Diabeł wbiega po schodach. - To znaczy, że zostało nam co najwyżej pięciu. Pięciu facetów z automatami! Do diabła, nie będzie łatwo nakarmić ich wszystkich ołowiem!

Diabeł przebiega na sterburtę sterówki i kuca pod białą żelazną ścianą. Wyciąga nóż myśliwski z pochwy na lewej łydce.

Za grubą ścianą jazgoczą dzwonki alarmowe.

- Co chcesz zro...?

- Stul pysk! - syczy Diabeł i pokazuje, żeby Palacz przycupnął za nim. - Weź ten nóż. Jeśli niespodziewanie będziesz zmuszony walczyć, złap kontakt wzrokowy z przeciwnikiem, zbliż się do niego na maksa, a potem bez ostrzeżenia wbij mu ostrze w jaja aż po rękojęść. Ale najlepiej zawsze działać z zaskoczenia.

- Tak, ja... - Palacz bierze do ręki ciężki nóż. - A gdzie najlepiej...?

- Zostań tutaj, na tyłach sterówki - instruuje go Diabeł, wyciągając skarpetę z nabojami z lewej kieszeni spodni. - Jeśli ktoś wyjdzie przez te drzwi albo zejdzie ze schodów, przebijesz go na wylot.

- W porządku - mówi Palacz, przeglądając się w lśniącym

ostrzu.

- I nie myśl o śmierci czy o czymś takim. - Diabeł wysypuje wszystkie osiem naboí i zaciska je w lewej dłoni. - Dopóki żyjemy, możemy zabijać innych i tylko to się liczy. Z martwego człowieka nie ma żadnego pożytku, dlatego nie ma sensu rozmyślać na temat śmierci, kumasz?

- Tak, chyba tak - mamrocze Palacz, zaciskając zimną dłoń na trzonku noża.

- No to nie ma na co czekać! - mówi Diabeł i wyjmuje rewolwer z kabury przy prawej kostce. - Idę do środka!

- A co mam zrobić, jak...? - Palacz nie kończy pytania, bo Diabeł gwałtownie zrywa się i znika za rogiem.

Palacz podnosi się z wahaniem, zagryza wargi i wygląda zza węgła. Za sterówką nic nie widzi. Nie ma tam niczego, czego nie powinno być. Rufa jest bezludna.

Co ma począć? Stańc na straży czy...?

Nagle słycać ciężkie uderzenie i morska woda zalewa pokład. Palacz kuli się, zasłania lewą ręką głowę i zamyka oczy.

Co to było? Został zastrzelony? Ranny? Czy może...

Mruga oczami, opuszcza lewe ramię, odwraca się, zakrada pod sterówkę, opiera nagie plecy o ścianę pomiędzy drzwiami wiodącymi do wewnątrz a schodami prowadzącymi w górę na tyłach sterówki.

Łódź ratunkowa!

Za rufą statku łódź ratunkowa buja się na falach. Kręci się wolno w lewo wokół własnej osi. Nieśpiesznie oddala się od statku na wschód.

Kto spuścił łódź na wodę? I dlaczego nie uruchomił silnika? Kto jest w łodzi ratunkowej? Wszyscy? Nikt? Czy chcą go tu zostawić?

- NA POMOC! NA POMOC! TUTAJ! WRACAJ! - drze się Palacz, biegnąc na rufę i wymachując rękami jak opętany. - NIE ODPŁYWAJ BEZE MNIE! ZAWRACAJ! NIE...!

Łódź ratunkową znosi coraz dalej i dalej od statku i po niedługiej chwili rozplywa się w ciemnościach.

Nie, to nie może się dziać naprawdę!

- Pierdoleni zdrajcy! - klnie Palacz i dygocąc z zimna, wraca pod ścianę sterówki.

Co ma począć? Nie może przecież sterczeć tu na pokładzie! Zamarznie na śmierć! Ale co może zrobić? Dokąd ma pójść? Gdzie będzie bezpieczny? Nigdzie?

W maszynowni! Może zejść do maszynowni! Tam jest ciepło, tam jest ciemno, tam jest...

Palacz otwiera drzwi na korytarz na pokładzie B i znika za nimi.

Dzwonki alarmowe jazgoczą przeraźliwie.

Szybkim krokiem podchodzi do schodów prowadzących w dół na pokład A, lecz nagle nieruchomieje.

Nie!

U nasady schodów cały skurczony i zeszywniały leży we krwi pierwszy mechanik. Zsiniał wokół ust...

00:05:02

Dzwonki jazgoczą na wszystkich pokładach, zagłuszając wszelkie inne dźwięki.

Diabeł wbiega po schodach z rewolwerem przygotowanym

do strzału w prawej dłoni i ośmioma nabojami w lewej. Na każdym poziomie obraca się wokół, bo chce mieć pewność, że nikt go nie zaskoczy. Wycelowuje broń to w dół, to w górę schodów.

Gdyby tylko te piekielne dzwonki umilkły!

Na pokładzie C krótko przyjrzał się zwłokom kuka i bosmana, po czym ruszył dalej. Ani to miejsce, ani czas na uczucia. Na pokładzie D nie zauważył niczego specjalnego, podobnie jak na pokładzie E, lecz kiedy rozgląda się po pokładzie F, słyszy coś jeszcze oprócz dźwięku dzwonek.

Słyszy głosy. Głosy dobiegające z góry. Podniecone głosy w nieznanym języku. Dwóch ludzi, jeden na pokładzie mostka, drugi wysoko na schodach prowadzących na ten pokład.

Diabeł przywiera plecami do ściany u nasady schodów, po czym obraca się w prawo, kieruje lufę broni w górę i oddaje trzy strzały w kierunku czarnych nóg na samym szczycie schodów:

PLAM, PLAM, PLAM!

Pierwsze dwa strzały chybiają, ale trzeci, jak sądzi, mógł trafić pirata w tył lewej łydki.

Na pokładzie mostka słychać krzyk.

Po oddaniu strzałów Diabeł robi krótką pauzę, cofa się o krok w lewo i w myślach liczy do dwóch. Następnie skacze w bok, wyciąga prawe ramię w górę, celuje w pierś pirata, który stoi na samej górze z automatem wymierzonym w dół, i oddaje jeszcze dwa strzały:

PLAM, PLAM!

Tym samym wystrzelał wszystkie naboje z bębena, ale uśmiercił jednego z piratów. Ten opada na kolana, po czym stacza się ze schodów, oddając serię z automatu w swoje udo:

RATATATA!

Diabeł usuwa się na bok, zwalnia bębenek, wysypuje łuski, które, jeszcze dymiące, podskakują na wykładzinie na pokładzie F. Następnie drżącymi, spoconymi palcami umieszcza pięć naboji w komorach bębena: jeden nabój, drugi, trzeci...

Czwarty nabój prześlizguje mu się między palcami i spada na podłogę.

Do diabła!

...czwarty i piąty. Wsuwa bębenek na miejsce, obraca i naciąga kurek. Rewolwer jest nabity, a w lewej dłoni spoczywają jeszcze dwa naboje. Razem siedem. To musi wystarczyć.

Diabeł kuca u podnóża schodów i wycelowuje broń w stronę pokładu mostkowego.

Ale tam się nic nie dzieje, żadnego ruchu, żadnych głosów, nic. Spogląda na pirata leżącego przed nim na brzuchu na pierwszych stopniach schodów.

Czy to ten, który został ranny w łydkę? Tak, na lewej łydce ma ranę postrzałową, lecz to oznacza, że jego kolega na pokładzie mostkowym jest cały i zdrowy.

- Do diabła! - mruczy Diabeł, od czasu do czasu kierując broń w dół schodów wiodących na pokład E. Nie wie, czy czasem jeden lub kilku piratów nie pozostało na dole.

Psiakrew! Ile ma czekać, zanim ktoś na niego napadnie? Prawdę mówiąc, mógłby przypuścić atak na pokład mostkowy, ale to nie jest dobra metoda walki. Ten skurwiel, który czeka na górze, doskonale o tym wie. I będzie czekał, dopóki Diabłowi nie znudzi się bezczynność i nie wyruszy na spotkanie ze śmiercią.

Chyba że czeka na posiłki z dołu! A niech to wszystko piekło pochłonie! Przecież Diabeł nie może czekać tu do końca świata! Czas albo mija z prędkością światła, albo stoi w miejscu. Tego nie jest pewien, bo cholerne wycie dzwonek doprowadza go do szału!

- CHODŹ TU, SKURWYSYNU! - wrzeszczy Diabeł w stronę pokładu mostkowego, kierując lufę rewolweru i wzrok na pokład E. -CHODŹ TU, JEŚLI SIĘ NIE CYKASZ!

Żadnej odpowiedzi, żadnego ataku, nic poza ciągłym wyciem dzwonek:

DRRRHHHRrr... DRRRHHHRrr... DRRRHHHRrr...

Dłużej nie będzie czekał! Nie może! Oszaleje, jeśli nie...

- KTO TAM? - nagle dobiega go krzyk z góry. Ten, kto woła, wyteża cały swój głos, ale to ledwo starcza, by słowa dotarły do końca schodów.

Kto to? Ktoś z mostku? Sam kapitan?

- MOŻESZ WYŁĄCZYĆ TE DZWONKI? - krzyczy Diabeł w górę.

Żadnej odpowiedzi.

Po jego czole spływa pot. Diabeł mruga oczami i kieruje lufę w górę, potem w dół. Bolą go plecy i ramiona. Dłużej już tutaj nie ustoi.

- SŁYSZYSZ MNIE? - drze się Diabeł tak głośno, że aż rozdziera mu krtań. - DAJ MI ZNAĆ, JEŚLI...!

Przestaje krzyczeć, kiedy milkną dzwonki, wszystkie naraz. Co za cisza...

00:06:11

Gudmundur Berndsen stoi na mostku przy ścianie na sterburcie ukryty za wysoką szafą i mierzy ze strzelby ponad stołami we wnęce na mapy w kierunku drzwi prowadzących na korytarz.

Kiedy jeden z piratów chwycił za klamkę i zaczął otwierać drzwi na mostek, oddał strzał rozłamujący drzwi na dwie części. Na korytarzu znajduje się jeszcze co najmniej dwóch piratów, czekających, aż kapitan się podda lub skończą mu się naboje.

Ale choć naboji jest coraz mniej, kapitan nie ma zamiaru się poddawać. Piraci co chwila regularnie ostrzeliwiają mostek z automatów, a Gudmundur za każdym razem odpowiada jednym lub dwoma strzałami.

Mój dobry Boże! Ile jeszcze wytrzyma w tym piekle? Dziesięć minut? Pięć? Minutę? Na domiar złego pies okrętowy wyje pod stołem we wnęce niczym rozhisteryzowana baba.

Gdzie się podziali wszyscy członkowie załogi? Nie żyją? Pochowali się? Ukryli się w łodzi ratunkowej i...?

Myśli kapitana przerywają odgłosy strzelaniny na korytarzu.

Kto to może strzelać?

Nasłuchuje, lecz słyszy jedynie dudnienie dzwonków.

Gdyby tylko mógł...

- CHODŹ TU, SKURWYSYNU! - ktoś krzyczy w oddali. -
CHODŹ TU, JEŚLI SIĘ NIE CYKASZ!

Kto to krzyczy? Kto...

- KTO TAM? - woła kapitan w stronę drzwi czy raczej
dziury po nich prowadzącej na korytarz.

- MOŻESZ WYŁĄCZYĆ TE DZWONKI? - słyszy.

Wyłączyć dzwonki? Jasne! Może wyłączyć dzwonki.

Kapitan zgięty w plecach przesuwa się ku środkowi
mostka, cały

czas mierząc ze strzelby w dziurę po drzwiach. Bokiem
wsuwa się na środek, tam gdzie mieści się czerwona
skrzynka z przyciskiem przeciwpożarowym.

Pomiędzy schowkiem na mapy a drzwiami leżą zwłoki Jona
Sigurdssona i jego zabójcy. Pierwszy spoczywa w czarnej
kałuży krwi z otwartym gardłem, drugi bez twarzy,
z mózgiem na zewnątrz roztrzaskanej czaszki.

Powietrze cuchnie krwią, prochem i szaleństwem,
a martwe ciała samą swoją milczącą obecnością wołają
o uwagę. Kapitan jednak nie podnosi na nie wzroku, nie
wolno mu na nie spojrzeć, bo musi obserwować drzwi, nie
wolno mu patrzeć na zwłoki, nie patrzeć na zwłoki...

Jezu Chryste, zmiłuj się nad nami, modli się w myślach
kapitan.

Ma nadzieję, że piraci go nie obserwują, bo kiedy tylko
znajdzie się na środku pomieszczenia, straci z oczu drzwi,
a jeśli oni akurat zauważą, że na nie nie patrzy, zorientują
się, że mogą wtargnąć na mostek, a on ich nie zauważy

i wtedy...

A niech to diabli! Nie ma co w ogóle myśleć w ten sposób!

Gudmundur postępuje trzy kroki w bok, traci z oczu drzwi. Stoi na wprost szarej ściany, na której wisi czerwona skrzynka.

Tylko nacisnąć guzik i...

- SŁYSZYSZ MNIE? - dochodzi głos z dołu. - DAJ MI ZNAĆ, JEŚLI...!

Naciska guzik i puszcza. Rozlega się głuchy trzask i dzwonki milkną.

- KTO JEST TAM NA DOLE? - woła kapitan, robiąc trzy kroki w lewo. Widzi drzwi prowadzące na korytarz, ale tym samym stanowi łatwy cel, gdyby akurat wszedł przez nie jakiś przeciwnik. Musi znów wpełznąć do swojej kryjówki, zanim ktoś zacznie oddawać strzały w kierunku mostka.

- ILU CZARNYCH JEST NA MOSTKU? - słyszy z dołu.

- WYDAJE MI SIĘ, ŻE DWÓCH! - odkrzykuje kapitan. Krok po kroku, wolniutko wraca za szafę stojącą obok drzwi prowadzących na podest wokół mostka. Jeszcze dwa kroki, jeden, i już jest w ukryciu.

- JEDNEGO PRZED CHWILĄ POWALIŁEM! - rozlega się głos z dołu.

- TO W TAKIM RAZIE ZOSTAŁ TYLKO JEDEN NA KORYTARZU! - woła kapitan. - JEŚLI W OGÓLE KTOŚ JEST. RUNAR? CZY TO TY...?

Kapitan milknie, gdy zauważa czarną sylwetkę przewijającą się za drzwiami i otwierającą drzwi na schody za sterówką.

Czy to...? Czy był...?

Gudmundur Berndsen pociąga za spust, ale słyhać tylko suchy trzask. Strzelba nie jest załadowana, a on i tak za późno pociągnął za cyngiel...

- UCIEKŁ! WYBIEGŁ STĄD! NIE MA GO...! - krzyczy kapitan, prostując plecy.

Ktoś wskakuje na schody prowadzące na pokład mostkowy i zanim Gudmundur zdąży mrugnąć okiem, w drzwiach pojawia się Diabeł, ubrany na czarno jak pirat, z szaleństwem w oczach, czołem zlanym potem i rewolwerem w prawej ręce.

Diabeł szybko, nie zdradzając żadnych uczuć, omiata spojrzeniem zwłoki spoczywające na podłodze, po czym podnosi wzrok i zauważa kapitana, który wciąż tkwi za szafą.

- Dobrze się spisales! - chwali go Diabeł i kiwa głową w jego stronę. - Pogonię tego, co ci zwiął, i pošlę mu kulkę w kark, a ty tu zostań i pilnuj mostka.

- Diabeł! - dziwi się Gudmundur i wychodzi z kryjówki, lecz Diabła już nie ma. Kopniakiem otworzył drzwi na podest za sterówką i puścił się w dół stromych, żelaznych schodów, a za nim pomknął Cień...

00:07:06

Palacz chodzi w kółko po żelaznej podłodze w głębi maszynowni, a jego myśli krążą wokół zwłok pierwszego mechanika spoczywających na pokładzie A.

Biedny Johann...

Szum generatorów zagłusza tu jazgot dzwonek. To dobrze, bo ten szum stanowi naturalne środowisko pracy

mechaników okrętowych, podczas gdy jazgot dzwonków je zakłóca, jest mechaniczną chorobą umysłu, ostrzeżeniem, zwiastunem niebezpieczeństwa...

Palacz zatrzymuje się, gdy zauważy jakiś ruch na wąskim podeście po drugiej stronie pomieszczenia. Widzi, jak cień człowieka znika w centrali manewrowo-kontrolnej i przemieszcza się w kierunku warsztatu tokarskiego.

Kto to?

- JOHANN? - mówi Palacz półgłosem i mruży oczy, ale kiedy zauważy, że cień oburącz trzyma karabin automatyczny, zamyka usta, ściąga buty i wycofuje się w najodleglejszy i najciemniejszy zakątek pomieszczenia, gdzie pod zasyfiałym zlewem przechowywane są pojemniki i środki czystości.

Pirat w maszynowni! Co ma zrobić? Ukryć się? Uciec? Stać do walki z tym demonem...

Palacz zgrzyta zepsutymi zębami, mocno obejmuje trzonek noża i zakrada się na palcach do otwartych drzwi na tyłach warsztatu tokarskiego. Tam chowa się w cieniu wysokich na dwa metry butli z gazem i czeka, i czeka...

Chuda klatka piersiowa Palacza podnosi się i opada, jego mlecznobiała skóra napina się na żebrach, a czarny zarost na piersiach stroszy się wokół brązowych sutków. Skupione oczy czekają na jakiś ruch w ciemnościach, nozdrza się rozdymają, a nad zjeżonym zarostem mającą poźółkłe zęby i zszarzałe wargi.

To ten skurwiel, który zabił Johanna, skurwiel, który zabił Johanna, skurwiel...

Kiedy pirat w końcu ukazuje się na zapleczu warsztatu, Palacz się nieco odpręża. Klatka piersiowa mu opada, oczy zmieniają się w wąskie szparki, a zaschnięte wargi zamykają się, ukrywając krzywe użębienie.

Postępuje dwa kroki naprzód i odwraca się w lewo. Staje naprzeciwko pirata, który rozdziawia skośne oczy i ze zdumieniem patrzy na tego upiornego człowieka, który przygląda mu się z odległości zaledwie kilku metrów.

Palacz koncentruje się na tym, by nie stracić kontaktu wzrokowego z piratem, i wychodząc z ukrycia, cofa prawą rękę, gotów wbić nóż w brzuch intruza. Kiedy zdezorientowany przestępca w końcu decyduje się pociągnąć za spust automatu, Palacz jest już poza linią strzału.

RATATATA!

Kule łomocą w ścianę maszynowni, automat milknie, a pirat sztywnieje, kiedy ostra stal wbija się w jego brzuch, rozcina wnętrzności i zatrzymuje się na kręgach. Jego usta się otwierają, życie powoli ulatuje z oczu, uginają się pod nim nogi i całe ciało w końcu ulega sile grawitacji.

- To za Johanna - mówi Palacz, wyjmując nóż z rany i przewracając pirata na plecy. Następnie klęka na upapranych krwią zwłokach mężczyzny i wbija nóż w bezwładne ciało, i jeszcze raz, i jeszcze...

00:07:17

Kiedy pirat odwraca się i strzela z automatu, Diabeł rzuca się na brzuch na schody na pokładzie mostkowym.

RATATATATA!

Kule trafiają w żelazo wokół skulonego i zasłaniającego

oczy przed iskrami Diabła. Za jego plecami skowyczy Cień i kręci się w kółko.

Automat milknie i Diabeł otwiera oczy, podnosi się, wkłada rewolwer między szczelne poręczy i oddaje trzy strzały za piratem uciekającym w kierunku schodów ze sterburty na pokład pogodowy:

PLAM, PLAM, PLAM!

Nie trafia! Psiakrew!

Diabeł otwiera lewą dłoń. Nie ma nabo! Zgubił je w całym tym zamieszaniu. W rewolwerze zostały tylko dwa. Dwa!

A niech to diabli, do diabła...

- DO DIABŁA! - krzyczy, podpierając się lewą ręką o barierkę, i bez namysłu przez nią przeskakując. Ląduje na obu nogach na rufie, podpira się lewą ręką o podłogę, po czym prostuje plecy i biegnie za piratem, który najwyraźniej zmierza do pontonu.

Ciekawe, czy to już ostatni? Miejmy nadzieję, że tak!

Kiedy Diabeł zbliża się do żelaznych schodów prowadzących na pokład pogodowy, pirat jest już w pontonie, który zdążył odczepić od relingu.

Do diabła!

Diabeł mierzy z rewolweru w ponton, lecz statek się buja, a ponton kiwa w górę i w dół. Pirat chwyta za linkę silnika, a Diabeł napina mięśnie, wstrzymuje oddech i pociąga za spust:

PLAM!

Nie zauważył nawet, gdzie trafiła kula!

- Kurwa! - mruczy Diabeł i mierzy ponownie. Pirat ciągnie

za linkę, silnik zaczyna pracować, palec wskazujący leciutko naciska na delikatny spust i pada strzał:

PLAM!

I nic! Kula ląduje w wodzie, pirat manewruje pontonem i obiera kierunek na bladozielone morze świateł rozjaśniające powierzchnię oceanu w odległości jakichś trzystu metrów.

Cień przybiega w podskokach i kładzie się na pokładzie po prawej stronie Diabła.

- Nie wierzę - mamrocze Diabeł i opuszcza rewolwer, kierując spojrzenie w niebiosa.

Raca się wypala, spada z ciemnoczerwonego nieboskłonu i za chwilę wyląduje w morzu...

Chyba że...

Diabeł śledzi lot racy. Przelatuje skosem nad statkiem, wiatr ją porywa i kieruje wprost na mknący na północ ponton. Z początku nic się nie dzieje, lecz po chwili na pontonie następuje wybuch. Ponton w okamgnieniu staje w coraz większych płomieniach i wylatuje w ciemne powietrze niczym kula ognista.

A potem wszystko znów jest czarne.

- JAAHHUUUUU! - krzyczy Diabeł przez burtę, a Cień wyje obok niego. - I KTO JEST KRÓLEM? KTO JEST KRÓLEM? PYTAM: KTO JEST...?

Zielone światła gasną, gdy tylko ciężki karabin maszynowy zaczyna pluć ogniem. Grad kul ląduje na statku, który aż się trzęsie, a chwilę później słychać puste ujadanie cekaemu.

KRE-KA-KA-KA-KA-LA-LA-LA...!

Diabeł rzuca się na pokład, ale nie jest dość szybki. Dwie kule muskają jego głowę, jak skarłale ciężarówki z potrójną prędkością dźwięku...

XXIX

Poniedziałek, 17 września 2001

Dochodzi czwarta po południu, ale można odnieść wrażenie, że światu nie chciało się tego dnia wstać. Jak okiem sięgnąć, niebo pozostaje szare, morze ciemnoszare na wschodzie, a czarne na zachodzie, powietrze cuchnie gnijącymi glonami, nie jest ani ciepło, ani zimno, a lepkie opary soli oblepiają statek, który jeśli wierzyć wskazaniom kompasu, dryfuje na południe, w poprzek ciężkich bałwanów, wznoszących się i opadających niczym uśpione góry.

Sterburta cała jest powyginana, obdrapana i podziurawiona po strzelaninie. W rany wdała się już rdza i zbiera się tam, zagęszcza w rdzawe krople, które z wolna spływają po zimnej stali.

Na rufie stoją kapitan Gudmundur i majtek Saeli pochyleni nad zwłokami dwóch piratów, ułożonymi na pokładzie z głowami obwiązanymi poszewkami. Jedna poszewka jest przesiąknięta czarną krwią, a druga pozostaje wciąż biała i można pod nią rozróżnić kształt twarzy zmarłego. Gudmundur i Saeli zajmowali się zwłokami przez cały dzień. Te są ostatnie i zaraz znajdą się za burtą.

Ale najpierw muszą odpocząć.

Całe dwie godziny zajęło im znoszenie zabitych z mostka na pokład B. Pot leje się z nich ciurkiem, płuca ich swędzą, bolą ramiona, dłonie i plecy.

Oporządzanie tych trupów było i tak niemal przyjemnością w porównaniu z ciężkim doświadczeniem, jakim okazało się przygotowanie do ostatniej drogi Asiego, Runara, Johanna i Jona. Kapitan i majtek zawinęli zwłoki swoich towarzyszy od stóp do głów w białe prześcieradła, po czym ruszyli z nimi w dół schodów. Niemniej obecność martwych ciał była tak nie do wytrzymania, że po drodze na pokład A trzykrotnie opadali z sił. Wtedy poddali się i obaj się rozplakali, każdy w swoim kącie, nie patrząc sobie w oczy.

Gudmundur jeszcze nie opowiedział pozostałym przy życiu uczestnikom walki o Jonie, o tym, że Jon z jakiegoś powodu stracił rozum i usiłował go zamordować. Nie był pewien, czy powinien o tym mówić. Teraz i tak nie miało to znaczenia. Nie widział powodu, by kalać pamięć przyzwoitego człowieka, który w ostatnich godzinach życia oszalał.

Lecz niełatwo utrzymać w tajemnicy coś tak ważnego, a przemilczenie obłędu pierwszego oficera niczym kamień ciąży na piersiach kapitana, czyniąc żalobę bardziej dotkliwą. Smutek napełnia jego serce w ten szary jak ołów poniedziałek. Za każdym razem, gdy zamyka oczy, widzi wykrzywioną pośmiertnie twarz pierwszego oficera...

- Fajkę? - pyta Saeli i podsuwa kapitanowi otwartą paczkę.

- Tak, dzięki. - Gudmundur wkłada papierosa do ust.

Saeli podaje mu ogień, osłaniając płomyk prawą dłonią,

następnie sam przypala sobie papierosa, osłaniając się marynarką.

Zapalili, wypuścili dym i zamyśleni patrzą na morze. Koledzy z pracy podczas przerwy na papierosa.

- Widziałeś wczoraj mecz? - pyta Saeli z kamienną twarzą. Sam nie wie, czy stara się być dowcipny, czy już zaczyna mu odbijać.

Patrzą sobie w oczy, zrezygnowani oraz wykończeni fizycznie i psychicznie.

- Nie - odpowiada mu kapitan, uśmiechając się niemrawo, i delikatnie klepie Saelego po barkach. - Jaki wynik?

- Nie wiem. - Saeli wzrusza ramionami.

Gaszą uśmiechy, bo przestało ich to bawić.

- Słuchaj, jesteś pewien, że powinniśmy ich wrzucać do morza, tych dwóch? - pyta Saeli po krótkiej pauzie.

- Nie, nie jestem - bąka kapitan, nie spoglądając na nieboszczyków. - Ale nie mam ochoty mieć ich na pokładzie.

- Rozumiem - mruczy Saeli i strzela niedopałkiem do morza. - To co?

- No. - Gudmundur zaciąga się, gasi niedopałek i chowa go do kieszeni.

Chwyta za bary jednego z zabitych, a Saeli łapie go za nogi. Dwa razy bujają ciałem i wyrzucają je za burtę.

Jego towarzysza spotyka ten sam los.

- Niech Bóg się nad wami zlituje w dzień Sądu Ostatecznego - prawą ręką kapitan czyni w powietrzu znak krzyża - bo do tego czasu smażyć się będziecie w płomieniach piekielnych.

- Amen - mruczy Saeli i pluje w stronę zwłok, które oddalają się od statku, kołyszą na boki i powoli znikają pod powierzchnią wody.

- Chodźmy, przyjacielu. - Kapitan obejmuje majtkę. - Dzisiejsze zadanie wykonane. Teraz napijemy się kawy.

16:01

Diabeł leży na łóżku na plecach i onanizuje się, patrząc na zdjęcie Dunki, skradzione w maszynowni.

Następnie zamyka oczy i usiłuje wyobrazić sobie Lilję, ale Lilja nie potrafi usiedzieć w jego głowie, przemieszcza się i powoli zmienia w Dunkę ze zdjęcia.

- Ja pierdołę - mruczy Diabeł, otwiera oczy i patrzy na zdjęcie trzymane w lewej ręce. Ale wtedy oczy Diabła zachodzą mgłą i Dunka zmienia się w dziecko, jego córeczkę...

17:21

Kapitan Gudmundur delikatnie puka, po czym otwiera drzwi do izolatki, gdzie spodziewa się zastać śpiącego lub nawet nieprzytomnego Diabła pod mokrą od potu kołdrą. Wciągnęli go zakrwawionego i nieprzytomnego po serii z karabinu maszynowego, opatrzyli jego rany i nafaszerowali go morfiną. Kule zerwały mu skórę z głowy nad lewym uchem, pozostawiając głębokie zadrapania i pęknięcie w czaszce.

- Halo? - mówi kapitan i zapala światło. - Nie śpisz?

Żadnej odpowiedzi.

W łóżku nie ma nikogo, kabina jest pusta.

- Co do diaska? - mruczy kapitan, gasi światło i zamyka za

sobą drzwi.

Zagląda do jednej i drugiej mesy, do kambuza, lecz tam też nikogo nie ma.

- Szukasz kogoś? - pyta Palacz, który wchodzi po schodach prowadzących z pokładu A na pokład B. Ubrany jest w drewniaki i brudny kombinezon, smar i sadzę z dłoni wyciera w czarną ścierkę.

- I tak, i nie - odpowiada mu kapitan, spoglądając ponad ramieniem Palacza na podłogę na pokładzie A, gdzie mechanik posypał grubą warstwą trocin miejsce, w którym Johann Wielkolud wyzionął ducha. - Jak sytuacja w maszynowni?

- Bez zmian. - Palacz pociąga nosem. - Uruchamiam generatory na ful na zmianę i staram się, żeby wystarczyło nam gorącej i zimnej wody, i tak dalej. Dopóki nikt nie będzie tam grzebał, życie na pokładzie będzie się toczyło swoim zwykłym trybem tak długo, jak długo będziemy płynąć.

- No właśnie. - kapitan klepie Palacza po plecach. - Nikt nigdzie nie będzie grzebał, tego akurat możesz być pewien!

- Nikt nawet tam nie powinien schodzić. - Palacz drapie się po brodzie brudnymi od smaru palcami. - Nikt, poza mną.

- Nie, tak, masz rację - mówi kapitan i kiwa głową do mechanika. - Rozumiem twoje obawy i mam do ciebie całkowite zaufanie, Oli. Absolutne.

- I niech tak zostanie - mruczy Palacz, wchodząc do kambuza. Kapitan idzie na schody prowadzące na górę.

Na pokładzie C drzwi do kajuty Asiego i Runara pozostają zamknięte i opieczętowane. Skrywają zakrwawione dywany,

ciemność i ciszę. Z tych trzech rzeczy cisza jest najbardziej dotkliwa.

Krew z dywanu można zmyć, ciemność można rozjaśnić, choćby odsłaniając okna i zapalając światło, ale chociażby pozostali przy życiu nie wiadomo ile rozmawiali i Bóg wie jak głośno krzyczeli, nikt ich tu nie usłyszy. Cisza, którą pozostawili żywym w spadku ich zmarli koledzy, towarzyszyć im będzie do końca rejsu, a nawet do końca życia.

Cisza jest jak dziura w istnieniu.

Kapitan wchodzi na pokład D i otwiera drzwi do kajuty Diabła. Tu też nikogo nie ma.

Na pokładzie E znajdują się kabiny Jona Prezydenta i sternika Jonasa. Obie zamknięte. Jon nie żyje, a gdzie jest Jonas – tego nikt nie wie. Zupełnie jakby pochłonęła go ziemia, albo raczej morze. Gudmundur wchodzi na pokład F, pokład kapitański. Uderza butem w coś koloru miedzi, co przelatuje przez podłogę niczym nieduży kamyk, odbija się od ściany na sterburcie i kręci się w kółko na środku pomieszczenia. Gudmundur schyla się i podnosi ten mały, obły przedmiot. Wydaje mu się, że wie, kto go tu zgubił. Na schodach prowadzących na pokład mostkowy leży białe prześcieradło ze śladami butów, zasłaniające krew, którą broczył pirat zastrzelony przez Diabła.

Drzwi na mostek brak. Dalej cała podłoga wyłożona jest białymi prześcieradłami, od progu aż po pulpit sterowniczy. Jedno prześcieradło położone na drugim, a i tak przebija przez nie krew i w kilku miejscach płyn mózgowy.

- A więc tu jesteś – mówi kapitan, wchodząc na mostek,

wciąż pochylony na sterburcie, podobnie zresztą jak cały statek.

Diabeł siedzi w fotelu kapitana z kubkiem w jednej ręce i zapalonym papierosem w drugiej. Ma na sobie tylko czarne spodenki sportowe. Gołe nogi i goły tors. Głowa owinięta bandażami zachodzącymi na brwi i uszy. Nad lewym uchem bandaż jest zakrwawiony. Od czubka głowy zwisają ciemne, zlepione kosmyki włosów, spod bandaża na potylicy i nad oczami również.

Przy nogach majtka leży pies okrętowy, który unosi lekko łeb i cicho wyje, kiedy na mostku pojawia się kapitan.

- Tak - odzywa się Diabeł, nie odwracając fotela ani nie oglądając się przez ramię. Patrzy zamyślony przez powybijane iluminatory, jakby śledził to, co się dzieje, bez najmniejszego zainteresowania, tak doświadczony i znudzony tym wszystkim, jak sternik albo kapitan, który całe swoje życie spędził na morzu.

Zwyczaj panujący na statkach nakazuje podwładnym zwolnic fotel kapitański, kiedy stary pojawia się na mostku. Jeśli nie ze zwykłej uprzejmości, to z bezwarunkowego szacunku dla człowieka, który sam dźwiga ciężar odpowiedzialności za cały statek i wszystko, co żywe i martwe na jego pokładzie. Tymczasem Diabeł nie okazuje swojemu przełożonemu choćby minimum uprzejmości, nawet nie patrzy w jego kierunku, a co dopiero mówić o grzecznym powitaniu czy zaproponowaniu miejsca na fotelu, który przeznaczony jest dla najwyższego rangą człowieka na pokładzie lub jego dublera na mostku.

Kapitan wpada w szal, który jednak natychmiast mija, nim jeszcze krew zdąży rozpalić mu twarz. Być może nie jest to ani miejsce, ani czas po temu, by opieprzać ludzi, a zwłaszcza szczonego lądowego, który nie zna ani pisanych, ani niepisanych zasad obowiązujących w świecie ludzi morza. Nie mówiąc już o tym, że ten chłopak okazał się bardzo pomocny w chwili ciężkiej próby. Lepiej więc go nie ruszać.

Gudmundur podchodzi do pulpitu sterowniczego, opiera dłoń o jego krawędź i udaje, że wygląda za okno, ale po chwili spokojnie odwraca twarz w lewo i zaczyna niepostrzeżenie przyglądać się drugiemu majtkowi.

„Dzikus” to pierwsze słowo, jakie przychodzi kapitanowi na myśl. Pamięta, że w starej książce podróżniczej widział kiedyś zdjęcie wodza wioski na jakiejś wyspie, na morzach południowych, grubego i umięśnionego Murzyna, który zasiadał na tronie z bambusa i patrzył na swoje ubogie królestwo wzrokiem pełnym dziecięcej naiwności i bezgranicznego okrucieństwa. Pozbawiony moralności dzikus, który miał wiele żon i bawił wiele swoich dzieci, a równocześnie czcił bożka wystruganego z drewna i zjadał swoich wrogów.

Z jakiegoś powodu Diabeł przypomina kapitanowi tego właśnie kacyka, pomimo śmiesznego wyglądu tak potężnego i groźnego, że nikt nie odważy się do niego uśmiechnąć. Może to sposób, w jaki Diabeł siedzi na fotelu? Jest zupełnie wyluzowany, ale nie sprawia wrażenia beztroskiego i nieprzygotowanego na atak. Przypomina lwa z czuwającym

jednym okiem. Może to nagi tors, ta góra mięsa okupująca fotel, gotowa do walki. A może to oczy, te ciemne dziury, które...

- W dzbanku jest gorąca kawa - mówi Diabeł, obracając głowę w prawo. Patrzy kapitanowi prosto w oczy. Ten zaś, przyłapany na gorącym uczynku, odwraca wzrok, jak dziewczynka w komunijnej sukience złapana na podglądaniu niedojrzałego chłopca.

- Tak, dzięki, może... - cedzi słowa kapitan i zmierza za fotel, w kierunku tylnej ściany mostka.

- Mnie też przy okazji nalej - mówi Diabeł, podając mu pusty kubek.

- Jasne - mamrocze kapitan, pąsowiejąc ze złości. Zagryza jednak wargi i bierze od niego kubek.

Przeklęty...!

- Dwie kostki i odrobinę mleka. - Diabeł zapada się głęboko w fotelu, zapierając się nogami, aż trzeszczy skórzana tapicerka.

Gudmundurowi Berndsenowi brakuje słów na bezczelność i chamstwo tego niedorozwiniętego ulicznika. I to ma być dorosły człowiek? Jeszcze chwila, a kapitan przestanie zupełnie trzymać nerwy na wodzy. Jednakjeszcze tym razem udaje mu się zapanować nad emocjami i dumą. Wzdycha, potrząsa głową i liczy w myślach do dwudziestu, nalewając kawy do kubków.

Nie dzisiaj. Dzisiaj nie ma zamiaru się denerwować. Nie w dniu, w którym zamordowano czterech członków załogi, a jeden gdzieś wyparował. Nie w dniu, w którym po raz

pierwszy on sam zabił człowieka...

Wspomnienie tego zabójstwa wlewa się do jego duszy jak zimna smoła. Obie ręce opiera na krawędzi zlewu i bierze głęboki wdech. Przez chwilę zatrzymuje powietrze w płucach, po czym spokojnie je wypuszcza. Od czasu, kiedy zabił człowieka, nie zmrużył nawet oka.

- Co z tą kawą?

Gudmundur otwiera oczy i prostuje plecy. Świetlne plamki latają mu przed oczami, a w głowie wirują gorące wiatry.

Ciekawe, czy ten człowiek z półświatka zna to uczucie? Ciekawe, czy kiedyś już pozbawił życia jakiegoś człowieka? Ciekawe, czy mógłby uświadomić mu...

- Już idę - odpowiada kapitan, zabiera kubki, podchodzi na środek mostka i podaje jeden Diabłowi. - Proszę.

Garnuś dla garusa!

- Prosiłem o cukier i mleko! - Diabeł patrzy na czarny jak smoła napój, po czym przenosi wzrok na kapitana, który siada na krześle przy oknie na bakburcie.

- Mam tu coś, co należy do ciebie. - Kapitan wyjmuje z bocznej kieszeni marynarki białe zawiniątko. To rewolwer, niedbale owinięty w chusteczkę do nosa.

- Nienabity - mamrocze Diabeł i puszcza kilka kółek.

- Wiem - odpowiada mu kapitan, odkładając broń na parapet.

- Bo inaczej byś mi go nie oddał, czy jak? - pyta Diabeł. Albo raczej stwierdza.

Cisza.

- Czy kiedykolwiek wcześniej, no wiesz... - zaczyna

kapitan, wyglądając przez okna na bakburcie, jedyne, które są jeszcze całe.

- Zabiłem kogoś? - pyta Diabeł, sącząc czarną kawę.

- No. - Kapitan kiwa głową. - Właśnie tak, czy kogoś zabiłeś?

- A czujesz jakiegoś bluesa z powodu tego gościa, co go walnąłeś? - uśmiecha się Diabeł i strząsa popiół z papierosa.

- Może. - Kapitan chrząka. - To jednak nie daje człowiekowi spokoju, nie przeczę.

- Ale pamiętaj, że to była sytuacja: albo ty, albo on. - Diabeł wkłada papierosa do ust i zaciąga się dymem głęboko do płuc.

- Tak, wiem, tylko że... - wzdycha kapitan. - Tylko że tak sobie myślę... Czy nie lepiej jest umrzeć niewinnym, niż żyć z...?

- Pocięło cię, facet? - wyrzuca z siebie Diabeł. - Jeśli nie potrafisz być wdzięczny za to, że żyjesz, to weź się idź powieś, zamiast jójczyć tu jak rozpieszczony gówniarz!

- Tak, nie, ja... przepraszam! - płacze się kapitan. Wzrusza ramionami. - Nie chciałem...

- Przepraszam? - Diabeł wybucha śmiechem, wydmuchując dym nosem. - A co, ja na Jezusa wyglądam?

- Nie, tylko...

- Wiem, jak się czujesz, chłopie! - Diabeł pociąga łyk kawy. - Działo się trochę w nocy, jaja były niewąskie, walnąłeś jakiegoś gostka i... no wiesz, wszędzie krew i szaleństwo! I nagle jest po wszystkim, spokój i cisza... ale w głowie masz dalej gaz do dechy, kumasz! Wściekłość, strach, nienawiść,

pęd, wszystko, co się działo, jest nadal tutaj i cały czas się dzieje... bum, bum, bum! A potem nagle to się kończy, człowieku... Mówię ci to! A życie płynie dalej... jakby nigdy się nic nie wydarzyło!

- Tak, może - zgadza się z nim kapitan. - Skoro ty tak mówisz.

- Ja ci to mówię, chłopie! - powtarza Diabeł i zaciąga się papierosem, po czym wrzuca niedopałek do kawy. - Po krwi przychodzi blues, a nikomu się nie chce wiecznie bluesować... to zawsze jest, kurwa, fucking boring!

Cisza.

- Nie odpowiedziałeś mi na poprzednie pytanie - zauważa kapitan. Chrząka.

- Nie dałeś mi cukru i mleka do kawy. - Diabeł pociąga nosem.

Cisza.

- Nie wiem, czy wiesz - zaczyna Gudmundur, prostując plecy i zbierając się na odwagę - ale fotel, na którym siedzisz, to fotel kapitana, a kapitan jest najwyższym rangą człowiekiem na statku.

- No właśnie - odpowiada Diabeł bez cienia zainteresowania. Ziewa niczym leniwy kocur. - Słuchaj, brakuje mi czystych ubrań. Myślisz, że duży mechanik nie pożyczyłby mi czegoś? Tylko on tutaj używa rozmiarów dla dorosłych.

18:45

Kiedy Diabeł wchodzi do maszynowni, nikogo nie zastaje, jednak jest pewien, że Palacz gdzieś się tu kręci.

Pomieszczenia pogrążone są w półmroku, palą się jedynie niezbędne lampy, panuje temperatura jak w upalny, letni dzień, a warkot generatorów goni własne echo.

Po przejściu przez pustą rozdzielnię Diabeł udaje się na podest od frontu, a stamtąd do otwartego na oścież warsztatu tokarskiego na bakburcie. Widzi plecy Palacza, który stoi z nagim torsem na podnóżku i zagląda do wielkiego gara umieszczonego na przenośnej kuchence elektrycznej ustawionej teraz na warsztatowym stole. Palacz trzyma pokrywkę w lewej ręce, a prawą miesza w garnku zgiętym drutem. Z garnka unosi się para, a zapach, jaki się wokół roztacza, jest, delikatnie mówiąc, obrzydliwy.

Diabeł staje w drzwiach, zatyka nos i szybko oddycha przez półotwarte usta. Obserwuje poczynania Palacza, który wyjmuje drut z garnka, strzepuje z niego resztki włosów i jakieś nitki, po czym kładzie na nim pokrywkę.

- MAM TYLKO NADZIEJĘ, ŻE TO NIE JEST KOLACJA!

Słowa te tak zaskakują Palacza, że leci na plecy, trzymając zgięty drut w ręku. Niewiele brakuje, a zahaczyłby o rączkę garnka i ściągnął go na siebie. Wykopuje spod siebie podnóżek i drze się niczym mały dzieciak, kiedy ląduje na twardej żelaznej podłodze. Puszki, pojemniki, części zamienne spadają z półek pod stołem, a garnek pluje podejrzanym wywarem, który zalewając kuchenkę elektryczną, natychmiast zmienia się w czarny dym.

- JOHANN? - pieje Palacz, mrugając z niedowierzaniem, kiedy odwraca się na brzuch.

Nie, to nie jest Johann. Oczywiście, że to nie jest Johann,

ale...

- MASZ NA SOBIE CIUCHY JOHANNA! - krzyczy Palacz. Wstaje i przygląda się Diabłowi.

- TAK. - Diabeł zamyka drzwi. Dzięki temu hałas zmniejsza się o kilka dobrych decybeli. Ma na sobie bawełnianą koszulę w błękitne pasy, granatowe spodnie z syntetycznego materiału, a na nogach ciasno zawiązane buty wojskowe.

- Co ty tutaj robisz? - pyta Palacz, wyciągając w stronę Diabła pogięty drut. - Tu nikomu nie wolno przebywać, nikomu, nawet...!

- Przestań pieprzyć! - Diabeł krzywi się, czując zapach dobiegający z gara. - Potrzebuję czegoś, żeby zatkać dziury po zbitych szybach na mostku, sklejkę, płytę aluminiową, pleksi czy cokolwiek. Co to za smród, człowieka? Co ty tam, kurwa, pichcisz?

- Nic, nic takiego - bełkoce Palacz, cofając się w stronę garnka z rozłożonymi ramionami, kiedy Diabeł robi kilka kroków naprzód. - Muszę tylko wywabić olej i smary z... czegoś.

- Pierdolisz! - Diabeł usiłuje wywołać na swojej twarzy uśmiech, ale smród jest tak potworny, że rzygać mu się chce.

- W maszynowni jest sklejka, na półce nad zlewem - rzuca Palacz już całkiem przy stole. - Możesz nią pozatykać te okna. A obok na wieszaku wisi piła....

Palacz zahacza lewą piętą o puszkę ze smarem, która trąca pusty pojemnik po terpentynie. Ten się wywraca i toczy po podłodze i wtedy Diabeł zauważa pod półką pod stołem tokarskim brązowe palce ludzkie.

Brązowe palce?

- Co ty, kurwa, tutaj pichcisz? - Diabeł pochyla się i pociąga za palce. Sztywne, zimne i sine pod paznokciami.

- NIE, NIE RUSZAJ... - drze się Palacz, chwytając Diabła za ramię, ale jest już za późno. Na podłodze przed stołem leży ramię, które nie należy ani do Diabła, ani do Palacza. To nagie prawe przedramię należało do kogoś, kto, miejmy nadzieję, już nie żył, kiedy zostało odcięte w łokciu.

- Coś ty zrobił? - wzdycha Diabeł. Zagląda pod stół i jeśli go wzrok nie myli, leżą tam kolejne części ciała. Widzi nogę, drugie ramię, a na półce pod samą ścianą coś większego, może tułów.

- Kto to? - pyta Diabeł, prostując się.

- Pirat. - Palacz drapie się po głowie.

- Ty go zabiłeś? - Diabeł omiata wzrokiem warsztat.

- Tak. - Palacz pociąga nosem.

- Kurwa, niezły jesteś - wzdycha Diabeł. Zauważa swój nóż myśliwski i bierze go do ręki. Cały pokryty jest zastygłą krwią, ma ostrze poszarpane i stępione, a między ząbkami tkwią odłamki kości i kawałki mięsa.

- Ja nie chciałem... - bełkoce Palacz, pocierając brudne dłonie. - Ja tylko...

- Słuchaj - przerywa mu Diabeł, wbijając nóż w blat stołu. - Wypieprzysz to ścierwo do morza! I nie daj się nikomu zauważyć! Kapujesz?

- Tak, jasne - Palacz się wyluzowuje.

- Gdyby tylko inni to widzieli. - Diabeł gwizdże cicho.

- Dzięki ci, dzięki! - bełkoce Palacz i patrzy na Diabła

łzawym wzrokiem kundla. - Ty jesteś jedynym, który...!

- Przestań pieprzyć! - przerywa mu Diabeł i strzela z palców przed twarzą Palacza. - Pozbądź się tego ścierwa, a potem umyj mój nóż i naostrz go, zanim mi go oddasz! Zrozumiano?

XXX

21:13

Let's swim to the moon. Let's climb through the tide...

W mesie marynarskiej siedzą w milczeniu obaj majtkowie i mechanik, popijając kawę po późnej kolacji, na którą składały się kanapki, ćwiartki jabłek i kilka faworków. Diabeł zajmuje miejsce najbardziej oddalone od drzwi, Palacz siedzi po jego prawej stronie, a Saeli po lewej.

Parked beside the ocean, on our moonlight drive...

Saeli pociąga nosem i spogląda na Palacza. Ten szybko mruga oczami i kieruje spojrzenie na Diabła, który ziewa, w jednej ręce trzymając papierosa, a w drugiej zapalniczkę. Pod stołem leży Cień wpatrzony w Diabła.

- A co się właściwie stało z Jonaszem? - odzywa się Saeli, żeby w ogóle coś powiedzieć i przerwać przygnębiającą ciszę.

- A to nie on zabrał łódź ratunkową? - pyta Diabeł, przykładając płomień do papierosa i wskrzeszając w nim życie.

- To jest jedna z wersji. - Saeli wzrusza ramionami. - Ale z drugiej strony, niespecjalnie mógł chodzić.

- Może nikt nie zabrał łodzi ratunkowej - włącza się Palacz, obracając swój kubek z kawą. - Może sama się zerwała i wypadła za burtę. Widziałem, jak spada do wody. W oknie nikogo nie było, nikt nie odpalił silnika i zniosło ją w piździec.

- A piąty pirat? - pyta Saeli, wzruszając ramionami. - Nikt nie wie, co się stało z piątym piratem. Może to on zabrał łódkę.

- Może utopił się po prostu. - Diabeł spogląda na Palacza, wydmuchując dym przez nos.

- Tak - Palacz w odpowiedzi kiwa głową. - Moim zdaniem musiał wypaść za burtę, jak nikt nie widział.

- Może - zastanawia się Saeli. - Mam tylko nadzieję, że się gdzieś tu nie ukrywa. Na pewno statek został dobrze przeszukany?

- Tak - uspokaja go Diabeł, bez troski wzruszając ramionami. - Na ile tylko to było możliwe. Ale najpewniej będzie zamknąć drzwi na noc.

- No - zgadza się z nim Saeli. Upija łyk ciepłej kawy. - Jeśli w ogóle człowiek będzie w stanie zasnąć.

Cisza.

Z kaseciaka dochodzi lekki trzask, kiedy kończy się strona A, napęd obraca się w prawo i strona B przesuwa się przez głowicę:

People are strange when you're a stranger, faces look ugly, when you're alone...

- No, chłopcy - odzywa się kapitan Gudmundur, wchodząc do mesy z czterema kieliszkami w lewej ręce i oszronioną

butelką Brennivin w prawej. - Nie powinniśmy wypić kilku kropel za pamięć zmarłych przyjaciół?

Siada u końca stołu przy wejściu, stawia na stole kieliszki i odkręca butelkę.

- Co ty tu masz? - dziwi się Palacz.

- Znalazłem w zamrażarce - odpowiada kapitan, nalewając przezroczystą, gęstą ciecz do kieliszków. - Wygląda mi to na islandzką Brennivin.

Napełnia kieliszki po brzegi, po czym podaje po kolei swoim towarzyszom.

- Wspominamy Jona, Runara, Johanna i Asmundura, dobrych chłopaków, którzy tak młodo odeszli - zaczyna kapitan i wstaje z kieliszkiem w dłoni. - Pochylmy głowy i uczcijmy ich pamięć minutą ciszy.

Członkowie załogi podnoszą się, spuszczaają głowy i milczą przez minutę.

I can't see your face in my mind...

- Cześć ich pamięci! - kończy kapitan, otwiera oczy i podnosi kieliszek.

- Cześć.

Wypijają i siadają na miejsca. Kapitan zbiera kieliszki i ponownie je napełnia.

- Proszę bardzo, chłopcy - mówi, zakręcając butelkę.

Szron na butelce zrobił się przezroczysty. Spływa na stół.

- Dlaczego ci ludzie na nas napadli? - wzdycha Saeli. - No, to znaczy, co spodziewali się tutaj znaleźć?

- Ten statek jest przeklęty! - Palacz zgrzyta zębami. - To klątwa, która...!

- Oli! Nie teraz! - Kapitan rzuca Palaczowi surowe spojrzenie. Ten, zawstydzony, odwraca wzrok. Za to Saeli prostuje plecy i cały zamienia się we wzrok i słuch, jakby w tej chwili pragnął jedynie usłyszeć z ust Palacza o przyczynach rzekomej klątwy ciążyącej na frachtowcu.

- Z pewnością wyobrażali sobie, że ładownia jest pełna jakiegoś cennego towaru. - Kapitan klepie Saelego po plecach.

- To nie mogłeś im powiedzieć, że ładownia jest pusta? - Palacz uśmiecha się demonicznie.

- Albo chcieli ukraść sam statek. - Kapitan patrzy na Palacza z wściekłością. - Tego nie wiemy.

- Przypomniało mi się coś... co kiedyś czytałem. - Saeli spogląda ukradkiem na swoich współtowarzyszy, jakby nie bardzo wiedział, czy chcą, by mówił dalej.

- Co takiego? - pyta kapitan.

- Na Czarnych Wyspach w Mikronezji żyje klan - zaczyna niepewnie podniecony Saeli, szybko i często pociągając nosem. - Prymitywni wyspiarze, którzy wierzą, że ich zmarli krewni któregoś dnia się pojawią na statku wylądowanym jedzeniem.

- I? - Kapitan uśmiecha się szeroko. - I tak na to czekają, rok w rok?

- No. - Saeli pociąga nosem. - Jakoś tak. Po angielsku ta wiara nazywa się cargo-cult.

- To nie byłiby specjalnie szczęśliwi, gdyby nas wyrzuciło u nich na brzeg! - Palacz śmieje się cicho. - Statek z popsutym silnikiem i ładownią pełną ciemności!

- Tak, nie, pewno nie. - Saeli chrząka. - Pewno Runar lepiej by o tym opowiedział. On tak fajnie potrafił opowiadać. Potrafił rozwijać wątki i potem wiązał to wszystko razem na koniec.

- Tak, ale tu nie opowiadający jest najważniejszy. - Kapitan uśmiecha się do majtka po ojcowsku. - Najważniejsza jest opowiadana historia. A ta twoja jest całkiem niezła!

- Może i tak. - Saeli się rumieni. - Ale jakie znaczenie mają jakieś opowieści, kiedy życie człowieka wisi na włosku?

- Musimy mieć nadzieję, Saeli! - Kapitan kładzie dłoń na ramieniu chłopaka. - Bez nadziei jesteśmy straceni!

- Nic nie zmieni tego, co jest zapisane w gwiazdach - bełkoce Palacz. - Nikt nie ucieknie od swojego przeznaczenia.

- Panie Johnsen! - warczy kapitan. Palacz kurczy się i odruchowo gryzie dolną wargę.

- Czy życie przeżyjesz ze śmiechem, czy ze strachem, to i tak to jest tylko życie. - Diabeł przechyla swój kieliszek. To jedna z wielu mądrości, które matka mamrotała pod nosem przez całe jego dzieciństwo.

Cisza.

- Ten, kto nosi broń, nie jest człowiekiem wykształconym. - Kapitan patrzy skupiony w oczy Diabła. - Człowiek wykształcony nie nosi broni.

Saeli patrzy pytająco na Palacza. Ten wzrusza ramionami.

- Również człowiekowi mającemu złe intencje Pan Bóg pozwala spełnić jego zamiar - uśmiecha się Diabeł.

- Kto mieczem wojuje, od miecza ginie - najspokojniej

w świecie odpowiada mu kapitan.

- Fakt, że człowiek umiera, oznacza, że jest skazany na śmierć, kiedy się rodzi. A jeśli człowiek przychodzi martwy na świat, to nie może umrzeć - odpowiada Diabeł bez mrugnięcia powieką. -Tylko ten obawia się śmierci, kto wierzy, że żyje. Ja jestem martwy! Niczego się nie boję!

- A tego wcześniej nie słyszałem! - Kapitan szeroko otwiera oczy ze zdumienia, następnie szczerze się uśmiecha, bierze flaszkę i podaje ją Diabłowi.

- A to co takiego? - Saeli spogląda z niewyraźnym uśmiechem.

- Dzięki. - Diabeł bierze butelkę z rąk kapitana.

- Drodzy przyjaciele! - zaczyna kapitan, kiedy Diabeł kończy napełniać swój kieliszek. - Wypijmy za nas, którzy jeszcze żyjemy! Za życie! Zdrowie!

Pozostali trzej sięgają po kieliszki i przechylają je. Każdy z nich się krzywi. W oddali tęsknym śpiewem nawołują się wieloryby, a stal piszczy i trzeszczy, kiedy statek ukośnie spada z fali, która przed chwilą niosła go ku rozgwieżdżonemu niebu.

- Nie. Nie wieją nam przychylne wiatry, przyjaciele - mówi kapitan, uśmiechając się do swojej załogi, niczym ksiądz, który stara się pocieszyć żałobników podczas pogrzebu. - Ale wiercie mi lub nie, bywałem w większych opałach.

Cisza.

- Kiedy skończyłem szkołę morską, ruszyłem na włóczęgę po Europie i mustrowałem się na łajby tu i tam, żeby zdobyć doświadczenie, a przy okazji poznać trochę świata. Lizbona,

Liverpool, Rotterdam, Hamburg. To były fajne czasy, chłopaki – mówi Gudmundur. Jego spojrzenie staje się rozmarzone. – W komunistycznej Estonii trafiła mi się pewna robota, a ja byłem zbyt młody i zbyt głupi, żeby odmówić. Jedyne, co usłyszałem, to słowo „kapitan”. Chcieli zatrudnić mnie jako kapitana! Sześćdziesięcioosobowa grupa wykupiła żaglowiec „Lootus” i brakowało im kogoś, kto przeprowi łajbę przez Atlantyk, najpierw do Szwecji, a potem do Stanów. Ludzie byli zrozpaczeni. Jedna z matek błagała mnie ze łzami w oczach. Trzymała swoje dziecko w ramionach, ubrane w jakieś łachmany. To była dziewczynka z zajęczą wargą. Jak mogłem tym ludziom odmówić?

Kapitan przerywa na chwilę, żeby napełnić kieliszki. Patrzy kolejno na marynarzy, podaje im szkło i zwilża wargi językiem.

– Łajba była koszmarna. Tak naprawdę to wypłynięcie przegniała, starą krypą w morze z tymi ludźmi na pokładzie, z mężczyznami, kobietami i dziećmi, samo w sobie było przestępstwem. Ale dopiero kiedy dopadła nas wichura, dowiedziałem się, że grupa rozbitków-uciekierów zatrudniła mnie, bo nikt inny nie chciał się zgodzić.

Gudmundur uśmiecha się szeroko, lecz jego oczy pozostają smutne. Błyszczące, patrzą w nieokreśloną dal.

– Pokład był dziurawy jak sito, a przed kingstonem, podobnym do wiejskiego wychodka, ciągle stała kolejka. Ludzie żywili się zepsutymi kartoflami przechowywanymi na pokładzie, zbiorniki ze słodką wodą były nieszczelne, dzieciaki cierpiały na dyzenterię, całe w czerwonych

wypryskach i ranach. Ale mnie to wszystko nie interesowało, bo ślepo wierzyłem w zadanie, które miałem do wykonania. Pomagałem tym ludziom uwolnić się z pęt komunizmu i zacząć nowe życie w nowym świecie.

Gudmundur wychyla kieliszek i znów go napełnia. Potem dalej snuje swoją opowieść.

Sprzęt nawigacyjny, jaki miał do dyspozycji, to zegarek, sekstant, kompas i kiepskie mapy. Jednak udało mu się utrzymać kurs przez jakieś cztery tysiące pięćset mil morskich, czyli do momentu, kiedy zaczęła się wichura. Według obliczeń kapitana, żaglowiec znajdował się jakieś tysiąc sto mil morskich na południowy wschód od Florydy, kiedy nad horyzontem zaczęły się gromadzić groźne chmury burzowe. Baterie radiostacji dawno już się rozładowały, a na pokładzie nie było nawet barometru, więc kapitan nie miał możliwości potwierdzić swoich podejrzeń, że oto zbliża się burza.

Wieczorem rozszalała się nawałnica, która miała trwać przez cztery dni bez przerwy. Łajba nieomal się rozpadła i co najmniej jeden człowiek wypadł za burtę.

Pod pokładem pasażerowie tłoczyli się w zaduchu i wilgoci. Smród potu, odchodów i niepranych pieluch był nie do wytrzymania. Matki z chorymi dziećmi leżały ciasno na kojach. Pozostali płynęli na stojąco. Statek z dołu i z góry stopniowo nabierał wody.

Bezlitosne uderzenia fal obluzowały deski w starym kadłubie żaglowca, który zaczął przeciekać. Kto żyw, wylewał wodę, ręczna pompa pracowała bez ustanku, ale

i tak w statku zbierało się coraz więcej wody. W maszynowni morze sięgało do połowy silnika, który mimo to zdążył się przegrzać. Wytworzyła się para wodna, która sprawiała, że nic nie było widać. Stąd też wylewano wodę. Brudni ludzie podawali sobie wiadra, milczący, śmiertelnie umordowani trzydniową walką z żywiołem. Kobiety i mężczyźni w kajutach upychali ubrania w dziury i zakrywali je własnymi ciałami.

Przez trzy dni nie było nic innego do jedzenia poza suchym chlebem moczonym w morskiej wodzie. Chore dzieci nie dostawały żadnego pożywienia. Woda pitna zmieszana była z rdzą i gównem.

W nocy trzymiesięczna dziewczynka wyzionęła ducha. Ta ciemnowłosa z zajęczą wargą.

Pogoda zaczęła się uspokajać i można już było rozróżnić turkusowe fale. Opady zelżały, więc ładownie i wszystkie pomieszczenia, które dało się otworzyć, zostały otwarte. Mężczyźni wylewali wodę wiadrami, a kobiety garnkami i patelniami. Używano także dywanów i odzieży wierzchniej. Po dwóch godzinach można było uznać statek za suchy i wtedy zaczęto zatykać dziury konopiami i smołą. Wprawdzie nadal przeciekał, ale teraz już pompa dawała radę.

Nadzieja, która w sercach uchodźców nigdy nie umarła, znów rozkwitała.

Większość zmęczonej załogi leżała w słońcu na pokładzie. Chore dzieci umieszczono w suchych pomieszczeniach, gdzie dochodziły do zdrowia. Ktoś z młodych przyniósł akordeon

i zaczął grać nostalgiczne melodie.

Pozostali śpiewali razem z grającym...

Gudmundur przerywa, pociąga nosem, chrząka i wychyla kieliszek.

Cisza.

- I co? - pyta Saeli w końcu. - Łajba zatonała?

- Nie, a przynajmniej dopóki ja stałem za sterem. - Kapitan spokojnie kręci głową. - Po pięciu dniach dowlekliśmy się do portu w Jacksonville. I tam, kilka dni później, żaglowiec zatonał. Po kilkumiesięcznej kwarantannie wypuszczono ludzi. Pięćdziesięciu czterech Estończyków rozjechało się jak Stany Zjednoczone długie i szerokie, a niektórzy nawet dotarli do Kanady. Ja zaś wróciłem do Islandii, bogatszy w doświadczenia.

- Nie wiedziałem o tym. - Saeli patrzy z podziwem na kapitana. - Tej historii nigdy nie słyszałem.

- Nie. - Kapitan kręci głową. - Ja jej nigdy wcześniej nikomu nie opowiadałem.

- A dlaczego nie? - pyta Saeli.

- Dlaczego nie? - powtarza kapitan i głęboko wciąga powietrze. - Dlatego że nie powinienem płynąć w ten rejs. Gdybym się nie zgodził, nigdy by się nie odbył. Ci wszyscy ludzie do dziś by żyli.

- Bohater z ciebie, stary. - Diabeł uśmiecha się do kapitana. - To chyba wielki wyczyn, że przepравиłeś tych uchodźców całych i zdrowych przez ocean taką dziurawą balią, a że jeden czy dwóch umarło po drodze...

- Może i masz rację - mruczy kapitan pod nosem

i wzdycha, po czym znów napełnia kieliszki drżącą ręką. - Ale niech mnie diabli i dopomóż Bóg, myślę, że to mniejsze zło tonąć codziennie z powodu wiecznego sztormu, niż chociaż chwilę płynąć z ciałem małego dziecka i rozpaczającą matką. Biedna kobiecina.

Cisza.

- Ale co tam! Żaglowiec nazywał się „Lootus”. To po estońsku znaczy nadzieja - mówi kapitan. Chrząka. Podnosi kieliszek i głęboko wciąga powietrze przez nos. - A teraz wypijmy, drodzy przyjaciele! Wypijmy za nadzieję! Zdrowie!

- Zdrowie!

Stukają się kieliszkami i piją. Butelka już jest pusta, a kieliszki lepkie, zarówno w środku, jak i z zewnątrz.

When the music's over, turn out the lights...

- Nie cierpię tego kawałka - mówi Saeli ze łzami w oczach.

- Po prostu nie cierpię!

Wstaje od stołu i naciska guziki w magnetofonie, jednak na próżno. Kasetą nadal się obraca, a w głośnikach brzmi:

The music is your special friend...

- Psiakrew! - mruczy Saeli i wrywa kabel z kontaktu, ale także na próżno. Kasetą wciąż się kręci i rozbrzmiewają słowa piosenki:

Music is your only friend...

- Do diabła...! - Saeli potrząsa magnetofonem.

Until the end...

- Saeli, czy wszystko w...? - pyta kapitan, lecz majtek mu nie odpowiada. Wybiega z mesy z magnetofonem pod pachą i łzami w oczach.

- Saeli...? - Kapitan zrywa się i patrzy za majtkiem.

- Daj mu spokój! - Diabeł gestem nakazuje kapitanowi usiąść.

- To była kasetka Runara - tłumaczy Palacz, pociągając czarnym od sadzy nosem. - Wydaje mi się, że chłopakowi brakuje bosmana.

- Może. - Gudmundur siada na miejsce. - Martwię się tylko, żeby nie zrobił czegoś głupiego.

- Jeszcze głupszego niż napaść na odbiornik radiowy? - uśmiecha się Palacz szyderczo.

- Tak - zamyśla się kapitan. - Ale może lepiej zostawić go w spokoju. Ludzie w szoku potrafią się bardzo dziwnie zachowywać.

- Zajeście się chłopak podniecił! - Diabeł parska cichym śmiechem. - No bo przecież to nie było jakieś Killing me softly czy coś, nie?

23:58

Saeli otwiera drzwi sterówki, przeskakuje przez próg i biegnie na rufę, gdzie ciska magnetofon za burzę, tak daleko, jak mu siły pozwalają.

When the music's over...

Kaseciak długim łukiem szybuje w czarną noc, muzyka powoli cichnie, słychać przytłumiony plusk i magnetofon znika pod powierzchnią wody.

- A TERAZ SIĘ ZAMKNIJ! - krzyczy Saeli w toń. Nadal oburącz trzyma się zimnej krawędzi burty, zagryza wargi, otwiera szeroko oczy i napina każdy mięsień swego ciała, jakby miał zamiar odbić się nogami i przeskoczyć przez

żelazną barierkę.

Jedyne, co widzi oczyma wyobraźni, to ciemność, tysiące mil beznadziei, martwoty i pewnej śmierci, i gdzieś tam, za tą wszechogarniającą pustką, Lara i Egill w jasnym mieszkaniu w Thingholt, niczym nieostry obraz kropli rosy postrzegany z odległości lat świetlnych.

Jak mała gwiazdka na nocnym niebie, oddalająca się z prędkością kilku mil morskich na godzinę.

Lara i syn są tak daleko, że myśl o nich staje się coraz bardziej nierzeczywista. Jakby byli tylko wspomnieniem. Czymś, co nigdy nie wróci. Ona jest szczęśliwa, a synek malutki, na wieki. Obraz w myślach i nic więcej. Obraz, który z czasem staje się niezrozumiały, odległy i zwodniczy.

Dom. A co to takiego?

Arsaell Egilsson jest uwięziony na statku, który jest początkiem i końcem wszystkiego. Statek istnieje naprawdę. Wszystko inne to tylko wytwór wyobraźni. Statek to dom, a dom to statek.

Ci, którzy nie są na pokładzie statku, równie dobrze mogliby być na innej planecie.

Ma ochotę utonąć w morzu, nie wiedząc dokładnie dlaczego. Czy to śmierć go tam ciągnie, czy Lara i synek, którzy właśnie znikają w oddali?

Ale nie skacze. Nie dlatego że rozsądek wziął górę, lecz dlatego że po prostu nie może.

XXXI

32⁰W 4⁰N

Zgodnie z wyliczeniami kapitana, w tej chwili statek znajduje się nieco na północ od równika. Od niedzieli do wtorku zniosło go zatem o jeden stopień na wschód i trzy stopnie na południe. To mniej więcej dwukrotnie większy znos, niż wynosi średnia całkowita poprawka na prąd, ale w tym rejonie operują niezwykle silne prądy morskie, które wypaczają podstawy tych wyliczeń. A to znaczy, że nie ma co się pocieszać kalkulatorowymi życzeniami i szacunkowymi prognozami, kiedy fakty mówią same za siebie.

Statek dryfuje szybko na południe, czy to się kapitanowi podoba, czy nie.

Półtora stopnia długości dziennie. To blisko pięćdziesiąt mil morskich na dobę, nawet więcej. Trzysta osiemdziesiąt do czterystu mil tygodniowo.

- Czyżbym już tracił rozum? - mruczy kapitan pod nosem, wstukując cyfry do kalkulatora. Siedzi zasepiony i spocony przy stoliku w swojej kajucie.

Jeśli nikt im nie przybędzie z pomocą, statek zniesie aż na biegun południowy w ciągu zaledwie trzech miesięcy!

Nieprawdopodobne, ale z naukowego punktu widzenia możliwe!

- A niech to szlag...! - Sięga po mapę. Kładzie palec wskazujący na punkcie, w którym w tej chwili znajduje się statek, i przesuwa spokojnie w dół wzdłuż trzydziestego drugiego południka na zachód od Greenwich.

Najbliższe trzy tygodnie znosić ich będzie wzdłuż wybrzeży Brazylii, tam gdzie ocean najbardziej wrzyna się w ląd. Mniej więcej za tydzień „Per Se” powinien się znaleźć jakieś dwieście mil morskich na zachód od portowego miasta Recife. Dwieście mil morskich! Na mapie ta odległość wydaje się tak niewielka, że zdrowy człowiek nie powinien mieć problemów z przepłynięciem tego dystansu w pogodny dzień. Ale to jednak jest sto kilometrów, a nawet więcej, czyli prawie trzy przeprawy przez kanał La Manche.

Dinga! Przecież na pokładzie mają ponton, ośmiostopowego zodiaca, całkiem podobnego do tego, którym przyłynęli piraci, tyle że trochę krótszego. Wprawdzie jest tylko trzyosobowy, ale Palacz to sama skóra i kości. Silnik zewnętrzny ma osiem koni mechanicznych, a benzyny mają dość. W sprzyjających warunkach powinno się dać płynąć tą gumą po otwartym oceanie, nawet jeśli będzie lekko przeładowana.

- Wszystko będzie dobrze! - wzdycha kapitan pełen wiary.
-Wszystko będzie dobrze!

Gudmundur Berndsen wyłącza kalkulator, zamyka dziennik rejsowy, zwija mapę i dopija kawę z kubka. Kawę, która już dawno wystygła i straciła smak.

31⁰W 2⁰N

Kapitan i mechanik stoją skąpo ubrani na sterburcie pokładu ratunkowego i lustrują ponton, zwisający z bolców, do których był zaczepiony niczym bezwietrzny żagiel, bo przecież jest pocięty i podziurawiony po strzelaninie.

Wschodnie wiatry wieją ponad ciemnozieloną taflą oceanu, temperatura wynosi nieco ponad piętnaście stopni i rośnie.

- Da się to jakoś naprawić? - pyta kapitan, obmacując zwisającą gumę.

- Wszystko się da - bełkoce Palacz, drapiąc się po brodzie. - Dratwy i kleju mam dosyć. Brakuje mi tylko gumy na łąty.

- A nie ma na pokładzie czegoś, co by się dało wykorzystać? - pyta stary.

- Mogę spróbować ze sztormiakami - odpowiada Palacz. - Są impregnowane jutą od środka. Juta nie klei się tak dobrze do gumy jak guma.

- A coś innego? - wzdycha kapitan.

- Nie, raczej nie. - Palacz wzrusza ramionami. - Mógłbym spróbować trochę postrzępić jutę ze sztormiaków.

- Dobrze. - Kapitan klepie Palacza po plecach. - Masz pięć dni, żeby się z tym uporać.

- Powinno wystarczyć. - Palacz kiwa głową. - Kiedy statek przekroczy równik?

- Jutro późnym wieczorem. - Kapitan spogląda w kierunku słońca, które za jakieś trzy godziny osiągnie zenit. - Albo pojutrze wczesnym rankiem.

- I wtedy prąd brazylijski porwie nas w wieczną wędrówkę na południe, co nie? - krzywi się Palacz.

- Tak. - Kapitan kiwa głową. - Zniesie statek aż za przylądek Horn.

Przylądek Horn. To tam, gdzie zimne prądy buchają niczym potwory z głębin na zachodzie...

- Ale my już dawno zdążymy opuścić statek, zanim zostanie porwany do tańca - mruczy kapitan.

- I całe szczęście - mamrocze Palacz, ocierając pot z czoła. - Na wschód od przylądka Horn żaden statek nie jest bezpieczny, zwłaszcza jeśli ma niesprawny silnik, jak nasz.

30° W 30°S

Diabeł wkłada kurtkę z kapturem. Nie ma zielonego pojęcia, do kogo kiedyś należała. Otwiera drzwi do chłodni na pokładzie A i wchodzi w trzydziestostopniowy mróz. Z początku widzi jedynie białą parę powstającą, kiedy gorące powietrze z zewnątrz zderza się z mrozem panującym wewnątrz. Para wiruje dokoła, dopóki walczą ze sobą ciepło i mróz, ale kiedy Diabeł zamyka drzwi, para powoli osiada na podłogę, gdzie obok siebie leżą Johann, Jon, Runar i Asmundur, przykryci białymi prześcieradłami.

To właśnie powód, dla którego kapitan ubłagał Diabła, by ten zajął się gotowaniem. Koledzy zmarłych nie mieliby odwagi wejść do chłodni, która tak naprawdę zamieniła się teraz w energochłonny grobowiec.

Ale Diabła takie drobiazgi nie wzruszają. Dla niego trup to tylko trup, martwe mięso, z którego nie ma ani pożytku, ani niepożytku, które w rzeczywistości nie ma znaczenia. Dlaczego niby się bać obecności martwego mięsa? Przyjaźnili się z tymi ludźmi, dopóki oni żyli, a kiedy umarli, unikają ich

jak zarazy!

Życie to wojna, a śmierć to pokój, a nie odwrotnie. Czy aż tak trudno to zrozumieć? To, co żyje, walczy o swój byt, dopóki nie umrze. Potem zaśnie na wieki i nikomu żadnej krzywdy nie zrobi.

Ci, którzy modlą się o pokój na ziemi, w rzeczywistości modlą się o koniec świata. Ale to oczywiście też ludzie i śmierci boją się najbardziej w świecie!

Idioci!

Przy ścianach chłodni znajdują się zamknięte szafki. Każde drzwiczki to drewniana rama wypełniona drucianą siatką. Diabeł przestępuje przez zwłoki i z jednej z szafek wyjmuje comber wieprzowy, z innej cztery kurczaki. Przemyślał sobie wszystko. Najpierw ugotuje wszystkie zapasy mięsa, które tego wymagają. Jeśli zepsują się generatory, to zamrażarka przestanie chłodzić, a kuchenka gotować i wtedy będzie bez sensu trzymać kurczaki i wieprzowinę. Wołowinę można jeść na surowo, a jagnięcinę i ryby zasolić, zaszuszyć albo zakopać. Kiedy skończy się mięso i świeże warzywa, będzie serwował kaszki i konserwy. Tym sposobem wystarczy im żarcia przez następne tygodnie, nawet jeżeli wysiadłby prąd.

Kapitan mówi, że jeśli nie zostaną uratowani w ciągu kilku dni, opuszczą statek i popłyną pontonem do Brazylii, ale Diabeł do takich oświadczeń podchodzi z rezerwą. A w każdym razie jest przekonany, że zawsze najlepiej jest czuć grunt pod nogami.

W najbliższych dniach zaserwuje wieprzowinę i kurczaki. Na śniadanie i na kolację. On jest kukiem i to on decyduje.

Kropka.

31⁰W 5⁰S

Kapitan Gudmundur otwiera drzwi swojej kajuty, ziewa i wolnym krokiem wkracza w ciemność. Nie zapala światła, bowiem przez zasłony w iluminatorach sączy się światło księżyca. Zdejmuje ubranie. Zostaje w samych slipkach i skarpetach, podchodzi do łóżka i...

Zupełnie jakby lodowata obręcz zacisnęła mu się wokół serca i piersi, ból wnika głęboko, jest rozdzierający i promieniuje w kierunku lewego ramienia. Kapitan otwiera usta. Nic innego nie jest w stanie zrobić...

W łóżku leży martwe dziecko.

Zasycha mu w ustach, w gardle i na wewnętrznych ściankach policzków czuje drapanie, żyły napełniają się rdzą i kwasem, a żołądek płonie niczym ogień.

Martwe dziecko, dawno zmarłe. Zwłoki są zabalsamowane, owinięte w łachmany tak stare i zgrzybiałe, że się kruszą i gdzieś odkrywają brązowe ciało dziecka. Oczy puste, brak nosa, spod zaskorupiałych warg prześwitują zęby.

Przyjemne uczucie łechce genitalia kapitana, żar z żołądka dociera aż do głowy, a przez slipy sączy się uryna i spływa po jego sztywnych nogach.

Co to za dziecko?

Nie jest w stanie się ruszyć, ale udaje mu się wyciągnąć zeszywniałe ramię, które trzęsie się jak osika i w zimnym świetle księżyca wygląda jak ręka kościotrupa.

Czy to jest jego córka? Czy dziewczynka z zajęczą wargą?

Rozedrgany palec wskazujący zbliża się do twarzy dziecka, owej kruchej skorupki, która być może się rozsypie pod wpływem dotyku. Czy ma...? Co ma zr...?

Statek przechyla się na sterburte, zasłony się poruszają, promienie księżycy oświetlają...

To nie jest dziecko! To jest...!

Kapitan z niedowierzaniem mruga oczami i pochyła się do przodu. Sekstant. To jest sekstant! Od południa leży tu, na sztormiaku!

Gudmundur ma ochotę wybuchnąć śmiechem, ale nie może. Siada na krawędzi łóżka, chowa twarz w dłoniach i bezskutecznie usiłuje powstrzymać wszechogarniający go szloch.

30° W 7⁰S

Palacz schodzi w drewniakach do maszynowni po śrubokręt. Musi wyregulować pracę silnika montowanego do pontonu. Ma na sobie kombinezon roboczy, lecz jego górną część zdjął i zawiązał rękawy wokół bioder. Choć słońce już zaszło, temperatura na zewnątrz wynosi dwadzieścia stopni. Powietrze, jak to na równiku, jest wilgotne i cuchnie z daleka solą i spaloną ziemią.

Przechodzi przez żelazną podłogę maszynowni, zapala światło w warsztacie tokarskim, znajduje śrubokręt, którego szukał, i wkłada go do kieszeni. Ale nie gasi od razu światła, bowiem jest coś, co koniecznie chce zrobić, zanim wróci na górę, na pokład B. Na półce pod stołem w warsztacie szumi termowentylator, lekko ogrzewając pomieszczenie, a przed nim na pięciu stronach gazety leży coś czarnego i lepkiego

wielkości pomidora. Palacz ściąga gazetę z półki i kładzie ją na stole. To czarne i lepkie, co leży na tej gazecie, to jest serce piątego pirata. Zdążyło się już zmniejszyć o połowę i strasznie ściemnieć, ale wciąż jest gąbczaste w dotyku, a w gazetę nadal wsiąka krew, która zabarwia ją na brązowo niemal po same brzegi.

Palacz uśmiecha się podstępnie i wsuwa gazetę z powrotem na półkę przed dmuchawą. Kiedy serce przeschnie na wylot, ma zamiar je zmielić na drobniutki proszek i przechować w zamkniętej miedzianej szkatułce. Sproszkowane serce pirata! Ciekawe, ile kosztuje gram takiego proszku na czarnym rynku w Nowym Orleanie albo Casablance? Jeśli w ogóle bywa na sprzedaż!

Ale on nie ma zamiaru sprzedawać takiego rarytasu. Nie, on...

Palacz wraca ze świata własnych myśli, kiedy do jego uszu dobiega ciężki stukot.

A może co innego?

Nadstawia uszu, ale słyhać jedynie męczący warkot generatorów.

Bom, bom, bom...

Tam!

- Co jest...? - mruczy Palacz, gasi światło w warsztacie i opuszcza go. Co to za uderzenia? Kto to wali...?

Bom, bom, bom...

Idzie na sterburtę i kieruje się w stronę pakamery. Czy te uderzenia dobiegają z góry, czy...?

Bom, bom, bom...

Palacz udaje się do kotłowni, a z niej wchodzi żelaznymi schodami do warsztatu elektrycznego. To stamtąd dochodziło to walenie, mógłby przy...

Bom, bom, bom...

Tak! Skręca w prawo i wchodzi w ciemny korytarz, rozświetlany jedynie mdłym zielonym światełkiem tłącym się nad drzwiami prowadzącymi do pustej ładowni. Zimna podłoga upstrzona jest kałużami z domieszką oleju, ściany pokryte starymi i nowymi plamami rdzy, a stukot drewniaków dudni w całym korytarzu:

Klak, klak, klak...

- Jest tam ktoś? - nawołuje Palacz, który odkrył już źródło głośnych uderzeń. Ktoś zostawił otwarte drzwi do ładowni, a te całym ciężarem poddają się rytmowi kołysania statku i od czasu do czasu trzaskają w futrynę. Ona zaś wpada w drgania, a twarde otoczenie przenosi metaliczny dźwięk.

Kto otworzył drzwi do ładowni?

Palacz chwytając lewą ręką za drzwi, a prawą za klamkę, następnie wkłada głowę w ciemny otwór i woła w chłodną czeluść:

- JEST TAM KTOŚ?

Żadnej odpowiedzi. Oczywiście, że nikogo tam nie ma! A kto miałby tam być? Jonas? Bzdury! Drzwi się same otworzyły, to jedyne logiczne wytłumaczenie.

- Co za głupota - mówi Palacz, prostując się. Zanim zdąży zrobić krok w bok, statek jakby w coś uderza, a on ślizga się na podłodze i wypuszcza z rąk drzwi, które się zamykają...

XXXII

31⁰W 8⁰S

Teraz albo nigdy! No, może nie nigdy, ale teraz jest odpowiedni moment, to pewne! Jeśli zmarnują tę okazję, istnieje nieduża, a raczej żadna, możliwość, że coś takiego się powtórzy.

Kapitan Gudmundur stoi na podeście mostka na sterburcie i analizuje sytuację pogodową, po czym spogląda na wskazówki zegarka.

Jest piękny, słoneczny dzień, czyste niebo, temperatura zbliża się do trzydziestu stopni, dochodzi za dziesięć dziewięta. Kapitan wraca na mostek, rzuca okiem na urządzenia nawigacyjne i stół. Ma przy sobie kompas, mapę, kalkulator i sekstant. Wpisał już wszystko, co konieczne, do dziennika rejsu. Wszystko, co dotyczy statku, załogi i wydarzeń ostatnich dni, zarówno po islandzku, jak i po angielsku. Wszystko gotowe. Gdyby działał diafon, kapitan uruchomiłby go, żeby zasygnalizować załodze, by przygotowała się do zejścia z pokładu.

Ponieważ jednak sygnalizator nie jest podłączony, kapitan co chwila woła do członków swojej załogi, schodząc na

pokład B:

- WSZYSCY GOTOWI? ZA DWADZIEŚCIA MINUT OPUSZCZAMY POKŁAD! WSZYSCY NA DEK!

Kiedy kapitan schodzi na pokład B, są tam już Saeli i Diabeł, co znaczy, że mógłby darować sobie te nawoływania. Palacz jest pewno na dole w maszynowni, bo zszedł po coś, czego będzie potrzebował do obsługi pontonu.

- Cześć, chłopaki! - odzywa się kapitan, równie podekscytowany, co zaniepokojony zbliżającą się akcją. - Gotowi?

- Tak - odpowiada Saeli i chrząka. - Chyba tak.

- Chcesz, żebyśmy na tym dopłynęli do brzegu? - pyta Diabeł, kopiąc ponton, który obraca się w kółko na śliskiej powierzchni pokładu.

- Tak - mówi kapitan, wkładając kapok. Następnie rzuca takie same kamizelki Saelemu i Diabłowi. - Ten ponton to nasza jedyna nadzieja.

- Ile mamy do lądu? - pyta Saeli, wkładając kamizelkę ratunkową.

- Jakieś dwieście mil morskich, może trochę więcej - oznajmia kapitan, wzruszając ramionami. - Jeśli wszystko pójdzie dobrze, przed zmierzchem powinniśmy być na lądzie.

- Nigdzie, kurwa, nie płynę. - Diabeł rzuca swój kapok na pokład. - Przecież to pewne, że ten kondom zatonie. Nie opuszczę miliona ton stali dla takiej zabawki kąpielowej. Mowy nie ma!

- Nie masz wyboru! - Gudmundur czerwienieje ze złości. - Ten statek jest na drodze do piekła! Dwieście mil morskich

to kawał drogi, przyznaję, ale kiedy słońce dziś zajdzie, zniknie jakakolwiek nadzieja, że ktoś natknie się na tę krypę! Może równie dobrze zdryfować poza atmosferę ziemską, bo tam panuje taki sam ruch statków, co na bezbożnych głębiach niepamięci, jakie czekają tę kupę złomu! I jazda!

- Nie musisz się tak podniecać, człowieku! - Diabeł mruży oczy i zapala papierosa. - A nie możemy po prostu rzucić kotwicy i zatrzymać się tutaj, dopóki nie znajdzie nas jakiś Latynosiak?

- Gdybyśmy zapalili lampki choinkowe, odniosłoby to ten sam skutek, co rzucenie kotwicy! - odpowiada kapitan i wybucha wymuszonym śmiechem. - W tej okolicy ocean ma trochę ponad pięć kilometrów głębokości!

- Ty chyba żartujesz? - Diabeł wytrzeszcza oczy i wypuszcza dym nosem.

Ponad pięć kilometrów! To głębokość równa długości pięćdziesięciu boisk piłkarskich! Diabeł dostaje zawrotów głowy na samą myśl o morzu, które jest tak głębokie i ciemne, że równie dobrze mogłoby nie mieć dna! Ile czasu potrzeba, żeby człowiek opadł na głębokość ponad pięciu tysięcy metrów? Sześciu godzin? Dwunastu? Całej doby? A może gdzieś w połowie drogi gigantyczne ciśnienie zdąży zmienić go w pasztet?

- Jeśli teraz stąd nie odpłyniemy - mówi Saeli, poklepując ponton - to nie odpłyniemy nigdy.

- Wszyscy razem! - woła kapitan i chwyta za rączkę pontonu. - Wodujemy tę łódkę!

- Niech to szlag - mówi Diabeł i wkłada do ust papierosa.

Łapie za uchwyt gumowej łodzi. – Pomogę wam zwodować to gówno, ale zostaję na statku, dziękuję bardzo! Ten kalosz na pewno zatonie, a ja nie mam zamiaru tonąć razem z nim! Nie ma, kurwa, takiej możliwości, żebym się pluskał w morzu całymi dniami, aż mnie wyniucha jakiś rekin i wszamie! Nie ma takiej możliwości!

– Twoja sprawa – komentuje kapitan i wzdycha. Podnoszą ponton i zaczynają go znosić na pokład pogodowy.

– Tu nie ma żadnych rekinów – Saeli przerywa ciszę. Chrząka. – Prawda?

31°W 8°S

Pustynia i jeszcze raz, jak daleko skancerowane zmysły sięgają, pustynia. Gorąca, żółta i śmiercionośna...

Słońce świeci na schorowaną twarz Jonasa, słony pot zalewa mu oczy i widzi jedynie płonący piach i drgającą fatamorganę w oddali...

Idzie i idzie, ale nie czuje, żeby miał nogi...

A może jedzie konno?

Nie ma pojęcia, dokąd idzie, ale brnie dalej, musi dalej iść, nie może inaczej, niż przec do przodu, unosząc się jak we śnie...

A może to mu się śni?

Bzyczący gorąc paraliżuje pracę płuc, drażni skórę, wciska się w gnijące ciało, które żarzy się niczym drucik wolframowy w żarówce...

I kiedy już ma się poddać...

Poddać się? On nie ma żadnego wyboru. Po prostu będzie, dopóki nie przestanie być.

...i umrzeć...

Umieranie wcale nie jest takie straszne. Nie wtedy, kiedy życie jest pustynnym płomieniem. Tylko żeby śmierć była zimna i chłodząca, żeby była otchłanią błękitnej wody.

...zauważa coś, co odcina się na tle sięgającego niebios mirażu...

Jakieś kontury...

Dom!

Pamięta dom w Mosfellsbae.

Przed nim stoi dom, który zbliża się coraz bardziej i przybiera coraz wyraźniejszy kształt...

Może to sklep przydrożny?

Woda, woda, musi napić się wody...

Upał jest nieznośny, a słońce paraliżuje, wysysa życie niczym komar krew...

Ale oto zbliżają się ludzie, wychodzą z fatamorgany! Dwaj ludzie, którzy śpieszą mu z pomocą...

Gdzieś tam otwierają się drzwi, słysząc głosy i...

- Wody!

Oczy wypełnia morze gorąca, a nogi wloką się po twardym piachu. Dźwigają go i zanoszą do domu, który rzuca trójkątny cień na piasek...

Cień!

Musi napić się wody! Głowę ma pełną czerwonych płomieni, słońce wywierciło dziurę w czole i rozświetla mrok...

Dom, dom...

Dom nie jest domem, lecz piramidą z żelaza, która

przechyla się na bok jak...

Zardzewiała piramida, która...

To nie jest piramida, lecz rufa frachtowca, która wystaje jak...

- NIE, NIE, NIE! TYLKO NIE STATEK!

Usiłuje wierzgać nogami, lecz mężczyźni nie chcą go puścić. Rozgląda się na obie strony i zauważa, że to nie ludzie, nie żywi ludzie...

Dwa kościotrupy w beżowych wdziankach ciągną go na wznoszący się nad nimi niczym usypana przez człowieka góra ołtarz żelaznego boga, który wpatruje się w pustynię pustymi, czworokątnymi oczami...

310W 80S

Kapitan jest już na pokładzie uwiązanego do sterburty pontonu. Odbiera silnik, który nad relingiem podają mu Saeli i Diabeł.

- Tylko nie upuść go do wody, skipper! - żartuje Diabeł, puszczając silnik.

Kapitan Gudmundur trzyma silnik jak noworodka i przenosi go na rufę, gdzie go mocuje, a majtkowie wrzucają na ponton dwadzieścia pięć jednolitrowych butelek po coli. W dwudziestu znajduje się benzyna, w pięciu woda pitna.

- Chłopaki, to jest tykająca bomba - mówi Diabeł. Jego odkryty, opalony tors błyszczy od potu.

- Potrzebujesz pomocy? - woła Saeli do kapitana.

- Nie mam nic przeciwko temu, żebyście się rozmyślili i zostali ze mną na pokładzie. - Diabeł zapala papierosa.

- Nie, w porządku. - Kapitan ociera pot z czoła. - Nie

wskoczysz na ponton?

- A co z mechanikiem? - pyta Diabeł, drapiąc się po bandażu nad lewym uchem i wydmuchując dym. Bandaż jest brudny i przesiąknięty potem, który rozpuszcza strupy.

- Zapomniałbym o Palaczu! - mówi kapitan, wkładając kanister z benzyną do specjalnego schowka na rufie pontonu.

- Co on sobie, cholera, myśli?

- Chłopaki! - Diabeł lewą dłonią osłania oczy przed słońcem. -Widzicie to, co ja widzę?

Tamci kierują wzrok na ocean. Fale błyszczą w słońcu niczym srebrzyste góry.

- Czy to...? - Saeli mruży oczy.

- Do diaska! - Kapitan prostuje się, żeby lepiej zobaczyć.

Jakieś sto metrów na południe kołysze się na falach ich zaginiona łódź ratunkowa, zbliżając się do statku.

- Chłopaki, skaczcie na pokład! - Kapitan ciągnie za linę, tym samym przysuwając ponton do relingu. - Odpłyniemy stąd, zanim łódź ratunkowa zderzy się ze statkiem!

- Pogięło cię? - dziwi się Diabeł, wyrzucając niedopałek do morza. - Ani o cal stąd nie odpłyniecie na tym flaku, po co, skoro możecie skorzystać z dużej łodzi! A na niej to i ja z wami odpłynę!

- Nie mamy pojęcia, w jakim jest stanie! - kapitan podnosi głos: - Płyniemy teraz... TO ROZKAZ!

- A mechanik? - pyta Diabeł, podnosząc zwój lin z pokładu. -Chcesz go zostawić?

- WSZYSCY NA POKŁAD! - krzyczy Gudmundur, najwyraźniej bardzo podekscytowany. - JEŚLI NIE

POPŁYNIEMY TERAZ, WSZYSCY ZGINIEMY!
ZROZUMIANO? A JEŚLI NIE WSKOCZYCIE NATYCHMIAST
NA POKŁAD, PŁYNE SAM!

Cień biega w tę i z powrotem po pokładzie pogodowym,
patrzy zdezorientowany na zmianę to na kapitana, to na
Diabła i wyje przeraźliwie.

- Gudmundur? Kapitanie? - Saeli zaczyna niepewnie.
Chrząka. -On ma rację, powinniśmy...

Kapitan odpala silnik i zaczyna zwalniać cumę.

- NA POKŁAD, CHŁOPCZE! WSZYSTKO MI JEDNO, CO
SIĘ...

- STUL PYSK, KUTASIE! - krzyczy Diabeł na kapitana,
który gwałtownie milknie i patrzy na majtkę
rozhisteryzowanym wzrokiem. - NIKOGO TU NIE
ZOSTAWISZ I NIKT ANI NA CAL NIE ODPŁYNIĘ NA TYM
TWOIM KONDOMIE!

- Ty...! - Kapitan zaciska blade pięści i zamyka usta w pół
zdania, żeby powstrzymać drzenie warg.

- JA NIE UMIEM PŁYWAĆ, KURWA WASZA MAĆ! - drze
się Diabeł, napinając pierś niczym dzikie zwierzę gotujące
się do ataku.

- Patrzcie! Tam jest Jonas! - Saeli wskazuje łódź
ratunkową, dryfującą już tylko w odległości dziesięciu
metrów od statku.

W oknie od czasu do czasu pojawia się upiorna twarz
sternika. Nie wygląda na przytomnego.

- On nie żyje? - pyta Diabeł i wciąga powietrze przez nos.

- Nie mam pojęcia! - mówi Saeli.

- Wpadnie na ponton! Wiedziałem! - rzuca kapitan i opuszcza gumową łódkę, wspinając się na pokład pogodowy. - Nie pozwólcie, żeby wpłynęła na ponton!

- Ty i ten twój ponton! - mówi Diabeł i wdrapuje się na reling ze zwojem lin na prawym ramieniu, po czym odbija się i skacze na dach łodzi ratunkowej.

- NIE, NIE! - woła kapitan. Ponton dostaje się między łódź ratunkową a statek.

Jego silnik warczy na jałowym biegu, guma piszczy. Ciężka łódź z plastiku naciska na ponton, obraca go, odpadają dwie łaty, a kilka pojemników z paliwem wpada do morza.

- Łap! - Diabeł rzuca jeden koniec wiązki lin do Saelego, a drugi przywiązuje do luku na dachu łodzi ratunkowej.

- PATRZCIE, CO SIĘ DZIEJE! - rozgoryczony kapitan wskazuje na ponton zmieniający się w sflaczałą kulkę. Po chwili silnik staje i ciągnie gumę na dno.

Saeli przywiązuje łódź ratunkową do relingu i wskakuje na jej pokład, a kapitan siada na luku ładowni i ociera pot z czoła białą chusteczką.

- Halo! - Diabeł puka w okno łodzi ratunkowej. Sternik mruga oczami i zwilża wargi spuchniętym językiem. - Żyje!

- Do środka wchodzi się od tyłu! - mówi Saeli i z trudem przesuwa się w tył po obłym, zamkniętym kadłubie łodzi.

- ODPŁYWAMY W POŁUDNIE! - rozkazuje kapitan. - ZAŁADUJEMY PALIWO I ZAPASY I WYPŁYWAMY W POŁUDNIE!

- CI SIĘ Z TOBĄ DZIEJE, CZŁOWIEKU? - krzyczy Saeli do kapitana. - PRZECIEŻ MUSIMY SIĘ ZAJĄĆ STERNIKIEM!

- Idę się położyć. - Kapitan zsuwa się z luku i rusza w kierunku schodów na sterburcie, prowadzących na pokład B. - Załadujemy paliwo i zapasy i wypływamy w południe.

Cień kładzie się na luku na brzuchu i patrzy za kapitanem.

- Wejść do środka i wyciągnę go stamtąd, a ty go ode mnie odbierzesz. - Saeli otwiera wejście do wnętrza łodzi ratunkowej.

- Ale tu, kurwa, śmierdzi! - Diabeł zatyka nos, kiedy smród wydostaje się na zewnątrz.

- Wody! - rzezi Jonas, kiedy Saeli usiłuje go podnieść.

- Spokojnie, stary! - uspokaja go Saeli i ciągnie do wyjścia. -Dostaniesz wody.

- Mam go! - woła Diabeł, kiedy udaje mu się chwycić Jonasa za ramiona.

- Jest odwodniony - mówi Saeli i chwyta sternika za nogi. Zginając plecy, wyciąga go przez drzwi kabiny łodzi ratunkowej, która akurat ustawiła się równolegle do kadłuba statku i uderza rufą to w reling, to w burtę, w zależności od tego, jak mocno na sterburtę pochyla się statek.

Udaje im się wnieść Jonasa na pokład pogodowy, gdzie każdy z nich bierze go pod ramię. W ten sposób transportują go w cień rzucany przez sterówkę.

- On się poszczał i posrał, zasraniec! - krzywi się Diabeł.

- Wiem - mruczy Saeli.

Jeszcze zanim udaje im się dotrzeć do schodów prowadzących na pokład B, sternik przytomnieje, otwiera spuchnięte oczy i usiłuje wierzgać.

- NIE, NIE, NIE! TYLKO NIE STATEK! - wrzeszczy

załamującym się głosem, szarpiąc się z mężczyznami.

- Weź, stary, przestań! - Diabeł mocniej chwyta sternika, który gapi się na niego z niekłamanym strachem w błyszczących oczach.

W statek uderza wolna, ciężka fala, tak że cały się prostuje i unosi w górę.

- Diabeł! Zobacz! - krzyczy Saeli, spoglądając od tyłu na koniec pokładu pogodowego.

- KURWA, TYLKO NIE TO! - Diabeł puszcza sternika, który pada na pokład.

Kiedy statek się podnosi, łódź ratunkowa dostaje się pod gigantyczną burzę, kabel napina się i pęka, a wtedy osiemnastoosobowa łódka znika z pola widzenia, gdyż statek opiera się na niej całym ciężarem i zanurza ją pod wodę.

- Mój Boże! - jęczy Saeli z rezygnacją i opada na kolana. - Nie wierzę...

Rozlega się stłumiony wybuch, kiedy plastikowy kadłub zostaje zmiażdżony pod wodą, po czym morze pieni się niesamowicie, gdy powietrze, paliwo i resztki łodzi wypchnięte zostają z głębi.

32°W 10°S

- No, to nareszcie wszystko gotowe - odzywa się Diabeł, stawiając naczynie żaroodporne na stole w mesie marynarskiej. Następnie zdejmuje rękawice kuchenne i zajmuje miejsce najbliżej drzwi. Kapitan Gudmundur siada na drugim końcu stołu, a Saeli pośrodku, po prawej stronie kapitana. - Jedzcie, zanim wystygnie - dodaje i nakłada sobie na talerz.

Podzielił dwa kurczaki i wrzucił do glinianego naczynia razem z kapustą, cebulą i ziemniakami, doprawił to wszystko solą i pieprzem, po czym wepchnął naczynie do piekarnika i piekł te delikatesy przez trzy godziny.

Cisza.

- Przestańcie już się tak, kurwa, zamartwiać! - mówi Diabeł, oddzielając mięso i skórę skrzydełka i udka od kości.
- Jak nie zaczniecie okazywać jakichś objawów życia, zamknę was w zamrażarce z pozostałymi sztywniakami!

Pod stołem Cień czeka na jakiś kąsek od Diabła.

- Tak.

Saeli upija nieco zimnej wody, a Gudmundur nakłada sobie na talerz pół piersi.

Cisza.

- Jeśli nie mamy postradać zmysłów, musimy trzymać fason, no matter what, organizować sobie zajęcia tak, żeby wszyscy mieli co robić, żeby każdy miał jakieś zadanie do wykonania i tak dalej. Na tym polega życie w pierdłu, w ten sposób tam się żyje, dzień po dniu, rok po roku - mówi Diabeł i ze smakiem zajada pozbawione smaku jedzenie. - Podzielimy między siebie wachty na mostku. Trzeba obserwować ruch statków i jeśli jakiś zauważymy, wystrzelić racę. Mechanik zajmie się maszynownią, Saeli sprzątaniem, a ja kuchnią. Wiele rzeczy wymaga naprawy, warto na przykład spróbować zreperować sprzęt łącznościowy. No, wiecie, żeby podłączyć antenę do radiostacji, nie trzeba być naukowcem chyba, co nie?

Cisza.

Saeli spogląda na kapitana, który widelcem dziobie żółtawą kurzą pierś.

- Co nie? - powtarza Diabeł, wycierając usta.

- No - zgadza się Saeli. - Można spróbować.

- Oczywiście, że można spróbować! - mówi Diabeł i popija wodę.

Cisza.

- Jonas w izolatce? - pyta kapitan.

- Tak. - Diabeł kiwa głową. - Leży tam, cholernik.

- Nieprzytomny? - dopytuje się kapitan.

- Oczu nie otwiera. - Diabeł wzrusza ramionami. - Pewno po prostu się wstydzi.

- Dlaczego zabrał łódź ratunkową? - wzdycha Saeli. - Tego po prostu nie rozumiem!

- A gdzie Oli? - Kapitan podnosi wzrok. - Nie widziałem go od...?

- Byłem jakiś czas temu w maszynowni. - Diabeł dokłada kapusty na talerz. - Nie było go tam.

- Saeli. Sprawdzisz, czy nie ma go w kajucie? - pyta kapitan.

- Już się robi. - Majtek wstaje od stołu.

I tak nie ma ochoty na jedzenie, więc w zasadzie cieszy go możliwość opuszczenia tego przyjęcia. Gorzkawy zapach przypalonego żarcia odprowadza go na pokład C i nie ma najlepszego wpływu na jego samopoczucie. Ale wszystko jest lepsze od siedzenia przy stole w mesie i patrzenia na bezbarwne kawałki kurczaka pływające we własnym sosie i obślizgłej kapuście.

Na pokładzie D dwukrotnie puka do drzwi kajuty mechanika, po czym je otwiera.

- Oli, jesteś tu? - pyta Saeli i zagląda do ciemnego wnętrza. Powietrze jest tu ciężkie i gorące, cuchnące skarpetami, potem i czymś gnijącym. - Śpisz, czy może...?

Saeli prawą ręką zatyka nos, a lewą zapala światło.

Nie!

Z wybałuszonymi gałami wlepionymi w ustawioną pośrodku stołu, niczym pospolity bibelot, obrzydliwość, cofa się dwa kroki i rzyga na dywan...

XXXIII

32°W 10°S

- Wiesz, kto to jest? - pyta kapitan, przyglądając się znalezisku na stole mechanika. Oddycha przez chusteczkę.

- Tak - odzywa się zamyślony Diabeł. Z zainteresowaniem rozgląda się po kajucie. - To piąty pirat. Prosiłem go, żeby wyrzucił ścierwo do morza, ale widać zostawił to sobie na pamiątkę. Czy raczej ją sobie zostawił.

Te puste oczodoły, ten idiotyczny uśmiech...

Na stole leży czaszka pirata, wciąż z włosami na czubku, mięśniami na szczęce i dziąsłami pomiędzy zębami. Wokół eksponatu mieszkaniec kajuty poustawiał czarne świece, które zdążyły wypalić się do połowy.

- Nie rozumiem tego. - Kapitan kręci głową.

- Nie musisz tu niczego rozumieć. Później wywalę to za burtę - mruczy Diabeł. Podchodzi do ramki wiszącej na ścianie nad wezłowiem łóżka. - Dziwne!

- Co dziwne? - pyta kapitan i patrzy na Diabła przyglądającego się ramce.

- Nic! - odpowiada Diabeł. - Wyjdź na korytarz. A ja tu posprzątam!

- I potem pójdziesz na mostek? - dopytuje się kapitan.

- Tak, pójdę na mostek - mruczy Diabeł i ściąga ramkę ze ściany. -Dajcie mi znać, jak znajdziecie mechanika. Jeśli go znajdziecie.

- Tak zrobimy - zgadza się kapitan i spiesznie wychodzi z cuchnącej kajuty.

Dziwne!

Diabeł obraca ramkę na wszystkie strony, ale nie widać, by cokolwiek się z nią działo. Wszystkie łączenia są w porządku, szybka na swoim miejscu, a na rewersie widać przebarwiony, brązowy karton.

Ale jak to jest możliwe, że z ramki zniknął rysunek? Tam gdzie przedtem znajdowała się rycina przedstawiająca człowieka raka w garniturze, teraz nie ma nic. Nic, poza kremowym arkusikiem papieru oprawionym w gruby karton i rzeźbione drewniane ramki...

310W 110S

- Nie możemy go znaleźć - oznajmia Gudmundur, kiedy zjawia się na mostku, by zmienić Diabła.

- Gdzieś musi być - mówi Diabeł, schodząc z fotela kapitańskiego.

- Tak - rzuca kapitan. - Mamy świeżą kawę?

- W ekspresie bulgoce jakaś trucizna, no. - Diabeł idzie do wyjścia przez pochylone pomieszczenia. - Dobranoc, stary.

Idzie do swojej kajuty na pokładzie D. Zapala światło, otwiera szafkę nad umywalką i sprawdza zapasy: cztery paczki papierosów i trzydzieści dwie tabletki parkodinu.

Psiakrew!

Na tej przeklętej balii nie da się robić nic innego, niż pić kawę i palić fajki, a on, od kiedy został postrzelony, cierpi na potworny ból głowy.

Diabeł odkręca zimną wodę i popija cztery parkodiny. Następnie zamyka szafkę i przygląda się swojemu odbiciu w lustrze.

Bandaż jest niemożliwie ubabrany, oczy czerwone z braku snu i zmęczenia, skóra brązowa i wypalona od soli, a na skutek dwutygodniowego zaniedbania pojawił się dość duży zarost.

- Zupełnie jak jakiś pierdolony pirat! - uśmiecha się Diabeł, lecz po chwili się krzywi, bo pod przeupoconym bandażem zaczyna go strasznie swędzieć!

Tak dłużej być nie może, musi zeszkrobać ze łba tę ohydę.

Zdejmuje koszulę, w apteczce znajduje nożyczki i rozcina bandaż przed i za lewym uchem. Następnie usuwa opatrunek z głowy, oprócz kawałka, który tkwi mocno przyschnięty do rany. Włosy są nie tylko brudne i posklejane, lecz także ciemnobrązowe przy skórze, bo już porządnie odrosły. Diabeł obcina je wszystkie, kosmyk po kosmyku i kołtun po kołtunie, dopóki nie zostaje nic więcej niż długie na grubość palca włosy naturalnego koloru.

Zanim zerwie bandaż, moczy go w ciepłej wodzie, by rozpuścić skrzepniętą krew i obluzować stwardniałą bawełnianą gazę. Ostrożnie pociąga za materiał, który odrywa się od zarośniętej rany i sklejonych krwią włosów. Serce wali mu w piersiach, żyły na głowie nabrzmiwiają, a pot spływa do oczu. Gdy tylko odrywa ostatnią część

bandaża, przytyka do broczących ran myjkę do twarzy. Rany są dwie, poziome, jedna o cal wyżej od drugiej. Kiedy krwawienie nieco słabnie, obcina resztkę długich włosów, przemywa zranienia wodą utlenioną i obwiązuje głowę czerwoną chustką. Czymś musi okryć rany, głębokie aż do kości, a tę staroświecką chustkę znalazł w szufladzie w kajucie pierwszego mechanika.

Czerwona chusta i srebrne kolczyki. Naprawdę przypomina pirata. To znaczy pirata z hollywoodzkiej produkcji.

- Mogło być gorzej. - Drżącymi rękami zapala papierosa. Ból jest równie dotkliwy jak przedtem, ale przynajmniej przestało go swędzieć.

Najgorsze, że nie ma więcej fajek. Perspektywa braku papierosów nie jest najweselsza.

Nieboszczycy musieli ukrywać u siebie kilka kartonów, a Palacz musi mieć...

- Palacz. - Diabeł wypuszcza dym nosem. Zdążył już zapomnieć, że zaginął. Jak można, ot tak, zaginąć na pokładzie statku? Chyba że wypadł za burzę? Nie, do diabła!

Statek jest duży, to prawda, ale znowu nie na tyle duży, żeby ludzie tak po prostu mogli...

Nagle przypomina sobie o jednym miejscu, w którym najprawdopodobniej nikomu nie przyszło do głowy go szukać.

Ładownia!

Przecież mógł spaść do ładowni! Trochę to naciągane, tak, ale przecież sam o mało co nie wpadł przez tamte drzwi na

tym cholernym korytarzu! Coś takiego nie mogłoby się przydarzyć doświadczonemu marynarzowi, ale głupio byłoby tego nie sprawdzić.

Diabeł wkłada na siebie koszulę w niebieskie pasy, lecz tym razem jej nie zapina. Zbiega na pokład A, przechodzi na sterburtę, idzie przez warsztat elektryczny na lewo, na korytarz prowadzący do czerwonych drzwi z białym napisem: HOLD.

Korytarz jest zimny i ciemny, ciężkie kroki dudnią między żelaznymi ścianami, włos się jeży na głowie Diabła. W ustach ma papierosa i mruży oczy z powodu gorzkiego dymu.

W oddali majaczy zielone światło, które jarzy się nad drzwiami prowadzącymi do pustej ładowni.

Nie.

Drzwi są zamknięte, tak jak je zostawił.

- Wiedziałem. - Kładzie obie ręce na jednej ze sztab, lecz jest tak sztywna, że nie daje jej rady...

310W 110S

Kapitan siedzi na mostku i patrzy przez jedną z niepotłuczonych szyb.

Jest noc, a ubywający księżyc przypomina kosę zawieszoną nad czarnym oceanem.

Dłonie kapitana zaciskają się na podłokietnikach fotela, oczy tkwią nieruchomo. Dolną częścią bladej, upiornej w świetle księżycy twarzy wstrząsają niewielkie skurcze.

Wyżłopał hektolitry czarnej kawy. Czuje pieczenie w klatce piersiowej i gorzki smak w ustach i nosie. Spokojnie odwraca wzrok w prawo, w stronę drzwi prowadzących na zewnętrzny

podest na sterburcie, ale tam nie ma już strzelby. Już nie stoi oparta o szafki za drzwiami. Wyrzucił ją do morza, razem z automatami piratów, po tym, jak zaczął czuć smak prochu na czubku języka.

Statek dryfuje na południe. Oddala się od kontynentu południowoamerykańskiego o jakieś dwie, trzy mile każdej godziny.

Nic ich nie czeka, poza...

Nic nie czeka.

Myśl o tym, żeby włożyć zimną lufę do ust, staje się coraz mniej nieprzyjazna. Zapamiętany smak prochu w istocie nie bardzo różni się od smaku gotowanej kawy. Smak samej lufy jest metaliczny i zimny, z odrobiną sadzy i tłuszczu. Zęby dotykają rury, oczy się zamykają, palec muska napięty języczek spustowy. Czubek lufy uderza lekko w podniebienie...

- Co...!?

Kapitan budzi się z tego dziwnego letargu na jawie, palce wbijają się w skórzane obicie fotela, niekontrolowane skurcze przechodzą przez nogi, zimne krople potu pojawiają się na skroniach...

32⁰W 51⁰S

- GENERATORY CAŁA NAPRZÓD! GENERATORY CAŁA NAPRZÓD! - krzyczy kapitan do telefonu, ale w maszynowni nikt nie odpowiada.

Bo w maszynowni nikogo nie ma.

Gudmundur Berndsen rzuca słuchawkę i przywiązuje się do fotela.

Na zewnątrz hula sztorm i jedyne, co w tej sytuacji kapitan może zrobić, to kierować statek na fale, używając napędzanej elektrycznie śruby awaryjnej.

- Boże w niebiosach...!

Kapitan toczy iście bohaterską walkę z siłami natury, które w tych rejonach kojarzone są z przylądkiem Horn, cieśniną Drake'a i pasem wiatrów zachodnich. Oczywiście bardzo się obawia o los statku i załogi, ale dopóki walczy z tymi odwiecznymi wrogami wszystkich ludzi morza, jego umysł zdaje się wolny od wszelkiego rodzaju trosk.

Bohaterska śmierć jest mniej haniebna od szaleństwa, samobójstwa czy śmierci głodowej...

Fale przetaczają się przez statek, który potwornie jęczy. Przez okna w zasadzie nic nie widać, wicher wyje niczym syrena, dziób pruje fale, a pokład pogodowy zanurza się mniej lub bardziej pod wodę...

330W 660S

Statek nadal płynie. Powyginany, zardzewiały, schłostany wiatrami, wciąż jeszcze unosi się na powierzchni, choć ładownia do połowy wypełniona jest wodą, która przedostała się pod lukami. Jedyne, co się zmieniło, to to, że już nie jest przechylony na sterburtę, lecz przewrócił się na bakburtę. A zatem dziób nie jest już skierowany na wschód, lecz na zachód. Zamiast prawego pojawił się lewy znos, co niczego nie zmienia, bo statek nadal dryfuje na południe, bokiem do fali...

Saeli stoi na szeroko rozstawionych nogach na środku masztu radarowego na dachu sterówki i usiłuje podłączyć

anteny radiostacji. Lewym ramieniem obejmuje konstrukcję nośną masztu i przygotowuje rozcięte końcówki drutów, zdzierając z nich scyzorykiem izolację i oczyszczając miedź z soli i śnieży. Następnie usiłuje odgadnąć, które druty mają być ze sobą połączone, skręca je ze sobą i okleja taśmą izolacyjną.

Ma na sobie grubą kurtkę i spodnie chroniące przed wiatrem, bo w ciągu ostatnich dni bardzo się ochłodziło. Palce ma już czerwone i sztywne z zimna, lecz tak jest zajęty pracą, że tego w ogóle nie zauważa.

Ale kiedy czarny cień pada na dach sterówki, dekoncentruje się i podnosi wzrok...

- A NIECH TO JASNY SZLAG...!

Saelego tak zaskakuje ten widok, że nieomal traci równowagę. Na szczęście zanim podeszwy jego butów ześlizgną się z mokrej żelaznej konstrukcji, podpiera się i obejmuje mocno maszt, jak małe dziecko skaczące w bezpieczne objęcia matki.

Co ma zrobić? Cień przykrywa cały statek i nagle słońce chowa się za...

Musi ostrzec kapitana! Musi...!

Saeli przesuwa się na maszcie, wyciąga prawe ramię i wykorzystuje ostrze scyzoryka, by zdjąć pokrywkę ze skrzynki wiszącej na maszcie tuż nad jego głową.

Który drut jest...? I gdzie jest prąd?

Statkiem wstrząsa, kiedy dno uderza w...

Bom, bom, bom...

Szybko!

Czubkiem scyzoryka jak śrubokrętem obdziera dwa niebieskie kabelki i dwa żółte, następnie skręca je na krzyż...

I nagle odzywa się diafon:

MBAHHHHHHHHHHH!!!

Hałas jest tak głęboki i silny, że aż maszt wpada w drgania niczym ogromny instrument dęty...

Sobota, 1 grudnia 2001

Każdy dzień jest podobny do poprzedniego, długi, pusty i nudny, i tak czas będzie mijał, czy raczej stał w miejscu, aż po wieczność, a może nie?

Dopóki ostatni spośród nich nie polegnie na polu chwały, z głodu albo w wypadku, a może nie?

I potem będą płynąć dalej, dalej, dalej, jako upiory na statku widmie, dopóki klątwa nie zostanie z nich zdjęta, a może nie?

To znaczy, dopóki klątwa nie zostanie zdjęta z niego.

Zupełnie jak w Rymach o sędziwym marynarzu XIX-wiecznego Anglika, Samuela Taylora Coleridge'a.

A może nie?

SternikJonas siedzi z różańcem między palcami na krawędzi łóżka w swojej kajucie na bakburcie pokładu E i gapi się w przestrzeń.

Kłątwa...

Nie, on nie zabił albatrosa, ptaka przynoszącego szczęście morskim podróżnikom, jak jego kolega z Rymów, lecz zanim się zaokrętował na statek, uderzył swoją żonę młotkiem w głowę i zakopał jej zwłoki na plaży.

Żonę, która była mu ostoją w życiu, jeśli nie samym

statkiem...

Statek.

Co ma począć? Nic? Pozbawić się życia? A może poczekać na jakiś znak z góry?

- Pan jest moim pasterzem, moją siłą i światłem - wzdycha Jonas.

Moim światłem...

Ma na sobie jedynie brązowy szlafrok, jego włosy są brudne i rozczochrane, oczy zamglone i napuchnięte od wielodniowego braku snu. Lewy nadgarstek ma owinięty bandażem. Wciąż jest nieco słaby po upadku, ale złamanie się zrosło.

Ale jakież znaczenie może mieć stan ciała, kiedy dusza smaży się w ogniu piekielnym?

- W ogniu piekielnym - mruczy Jonas, mrugając załzawionymi oczami. Pociera czarne paciorki różańca, które powoli tracą już barwę. Patrzy, jak różaniec huśta się w przód i w tył.

Gdzie to wszystko się skończy? I kiedy? Czy statek zatonie, zanim powymierają na choroby, z głodu, czy może kierować nim będzie ręka Boga...

Bom, bom, bom...

Co to było?

Jonas prostuje się i zaczyna nasłuchiwać.

Cisza.

Czyżby zaczynał mieć urojenia, czy też robi się zimniej w...

MBAHHHHHHHHHHH!!!

Jonas zaciska palce prawej ręki na różańcu i na kolanach

wpełza na łóżko.

Diafon!

Odsłania zasłony w iluminatorach i przykłada upiorną twarz do zimnej jak lód szyby. To, co widzi, jest jednocześnie tak potworne i tak piękne, że nie wie, czy się bać, czy cieszyć.

- Mój dobry Boże - mamrocze sternik, zegnając się drżącą ręką. - A więc to już!

Wszechmocny nad nim czuwa. Oczywiście, że nad nim czuwa! Zawołał go do siebie...

13:31

Kapitan podskakuje w swoim fotelu, kiedy dno statku w coś uderza:

Bom, bom, bom...

Co to by...?

- Co to było? - dziwi się Gudmundur Berndsen i chrząka. Siada wygodniej w fotelu, opanowuje dreszcz po drzemce i ziewa, wycierając śpiochy z przekrwionych oczu.

Statek chyba nie...?

MBACHHHHHHHHHHH!!!

Kiedy rozlega się wycie diafonu, kapitan robi się tak purpurowy, że w jednej chwili niemal umiera.

Myśli się oczyszczają, oczy otwierają, a serce zaciska w twardy węzeł w piersiach.

Patrzy przez zasoloną szybę i widzi biel!

- ŚWIĘTA MARIO...!

Otwiera dopływ prądu do śruby awaryjnej, skręca statkiem na bakburtę i ledwo udaje mu się uniknąć zderzenia z górą

lodową wielkości ośmiopiętrowego bloku...

13:45

Odłączył już diafon i zszedł z masztu radarowego.

Cisza.

Saeli stoi na krawędzi dachu sterówki i patrzy na Morze Weddella pokryte górami lodowymi i krą jak okiem sięgnąć. Morze jest granatowe i tak zimne, że jego konsystencja przypomina syrop. Bryły lodu dzieli po kilkadziesiąt metrów wody, lecz odległość ta się zmniejsza, im bliżej do bieguna południowego. Północno-zachodni wiatr się wzmacnia. Zbliża się cyklon.

Antarktyka!

- Shit!

Dal jest przytłaczająco wielka i bezgranicznie biała, ma zimny oddech...

XXXIV

Wtorek, 11 grudnia 2001

„Per Se” osiadł na mieliźnie na Morzu Weddella we wschodniej Antarktydzie dwa dni temu, niedaleko od skalistego brzegu i niecałe sto kilometrów na południe od dwóch granitowych szczytów należących do ogromnego pasma górskiego wyrastającego ponad tutejszy urozmaicony pejzaż. Prawdopodobna pozycja statku i załogi, z marginesem błędu do dwóch stopni, wynosi 120W 720S.

Ponieważ Antarktyda Wschodnia stanowi największą część Południowej Strefy Podbiegunowej i jednocześnie tę, która najmniej została zbadana, członkowie załogi „Per Se” mogliby równie dobrze być rozbitkami na planecie Pluton. Prawdopodobieństwo natrafienia na inne istoty rozumne na tej największej lodowej pustyni świata jest równe zeru.

Miesiąc bez sztormu czy bez nawałnicy to w Południowej Sferze Podbiegunowej wyłącznie możliwość teoretyczna. Zimą średnia temperatura przy Wybrzeżu Księżniczki Marty wynosi minus dwadzieścia stopni, a latem minus dwa. Ciśnienie zawsze jest wysokie i każdego miesiąca średnio co trzeci dzień krainę tę nawiedza sztorm, śnieg pada przez

przeciętnie dwa na każde trzy dni przez okrągły rok, mgła wisi nad lądem średnio trzynaście dni w miesiącu, silne wiatry wieją nawet przez trzysta dni w roku, a niebezpieczne trąby powietrzne zdarzyć się mogą w każdej chwili.

Za to zawsze przed załamaniem się pogody na niebie za chmurami wokół księżyca lub słońca tworzą się fantastyczne zjawiska świetlne. Znak to, że wkrótce nabrzmiała cisza, biały jak kości lód i niebotyczne góry stopią się w jedną, ogromną, przemarzną na wskroś ciszę, porażającą i fascynującą zarazem, budzącą grozę i niepokonaną...

Statek jest otoczony wielkimi bryłami lodu, kotłującymi się dzień i noc, masującymi powyginane żelastwo. Według kalendarza, na Antarktydzie panuje środek lata, ale w tej rozległej, wiecznie zamarznętej części globu nawet lato jest zimą. Z morza wystaje zardzewiały kadłub statku skuty szarawym lodem, cienkim od strony nawietrznej, grubym po stronie zawietrznej. Na pokład pogodowy nawiało śnieżnych zasp, które stwardniały jak beton. Z relingu i masztu radarowego zwisają gigantyczne sople lodu i inne równie fantazyjne kształty, a tam gdzie najspokojniej, wiatr tworzy subtelne igiełki, przypominające kryształ lub dziką roślinność.

Na pokładzie panuje przygnębiająca atmosfera. Działa tylko jeden generator, i to na pół gwizdka, bo niewiele już zostało z tych siedemdziesięciu tysięcy litrów oleju napędowego, wypełniającego zbiorniki paliwa na początku rejsu. Kotły w kotłowni są najważniejsze, bo dopóki jest jeszcze paliwo, jest i gorąca woda na pokładzie. Bez gorącej

wody zaś nie da się ogrzewać pomieszczeń mieszkalnych, nie mówiąc już o tym, że ogrzewa ona olej opałowy, który w przeciwnym razie by zgęstniał i stał się bezużyteczny. Zapobiega to także zamarznięciu skromnych zapasów wody pitnej. Generator wytwarza również prąd wykorzystywany do oświetlenia i sam też produkuje ciepło, dlatego wszystkie drzwi do maszynowni pozostają otwarte. Odłączono natomiast prąd od chłodni, pralni i częściowo od kuchni. Kuchenka działa przez godzinę na dobę, kawę parzy się co dwanaście godzin. Inne urządzenia elektryczne nie są używane.

Wszelkiego rodzaju prace porządkowe zostały zarzucone. Na pokładzie jest zimno, zwłaszcza na górnych piętrach nadbudówki. Kajuty są wilgotne i zimne, na korytarzach panuje temperatura bliska zera. Na mostku nie da się wytrzymać dłużej niż tylko przez krótką chwilę, więc co dwie godziny członkowie załogi na zmianę idą na górę, żeby nadać mayday przez radiostację. Ta zdaje się działać, choć słychać w niej jedynie cichy szum.

Dwa razy na dobę kapitan Gudmundur odprawia modlitwę w mesie oficerskiej; za dziesięć dwunasta w południe i za dziesięć szósta po południu. To cenne chwile, które odganiają złe myśli, podtrzymując na duchu pozostałych przy życiu członków załogi i scalając ich umysły. Dni są długie i wszystkie jednakowe, łatwo więc poddać się beznadziei i pozwolić stłumić w sobie wolę i sparaliżować psychikę. Mesa oficerska jest najcieplejszym pomieszczeniem na statku i tam przeważnie przez całą dobę przebywa załoga,

dzieląc się kawą, milczeniem, a czasem kilkoma słowami. Wszyscy poza Diabłem, który albo siedzi samotnie w kajucie na pokładzie D, albo chodzi własnymi drogami...

Poniedziałek, 17 grudnia 2001

Kapitan stoi nad działającym jeszcze generatorem i czeka na to, co stać się musi. Zgodnie z obliczeniami zbiorniki z paliwem już dawno powinny być puste. Najwyraźniej wygląda na to, że generator pracuje na samym zapachu paliwa. Kotły w kotłowni już dawno zgasły, gorąca woda stygnie, i to szybko. Jedyne paliwo, jakie pozostało, to olej w przewodach doprowadzających do generatora. Kiedy zgaśnie generator, zgasną światła.

Wtedy zgasną światła...

Oby tylko się mylił! Oby tylko wskaźniki poziomu były popsute! Oby tylko starczyło oleju na trochę dłużej! Choćby i...

- Nie, nie! Tylko nie to! - mruczy kapitan, kiedy generator zaczyna się dławić. Kopie w korpus urządzenia i wali w przewody, choć wie, że ani jego słowa, ani czyny nie zapobiegą nieuniknionemu.

Lecz kiedy generator przestaje pracować, to jakby także serce stanęło w kapitańskiej piersi, taki szok to wywołuje, mimo że spodziewał się tego od dawna. W kilka sekund po zadławieniu się generatora gasną światła.

Po upływie pół minuty z całego oświetlenia pozostają jedynie żarzące się druciki w zasyfiałych żarówkach.

A po chwili wszystko tonie w mroku i przesiąknięte zapachem oleju powietrze w maszynowni zaczyna stygnąć.

W ciągu kilku godzin na statku będzie równie zimno, co na zewnątrz. Wtedy na pokładzie „Per Se” nie da się już żyć.

- I co teraz zrobimy? - zastanawia się kapitan w ciemności połykającej jego słowa i zmieniającej je w metaliczne echo. Nadal jednak stoi nad generatorem, wyciągając nad nim dłonie. Czuje, jak umiera ciepło.

Myśli ma zaprzątnięte czym innym i puszcza mimo uszu podejrzany dźwięk, który dobiega do maszynowni. To słaby, lecz zadziwiająco jasny odgłos, prawie że przeszywający. Ale kapitan nie zwraca nań uwagi, choć w jego głębokiej podświadomości jakieś dzwonki zaczynają jednak dzwonić.

- Tak, tak - wzdycha Gudmundur. - Wszystko w porządku, wszystko w porządku! Tatuś już idzie!

Tatuś już idzie?

Kapitan otrząsa się z ciężkiej zadumy nad losem statku i załogi i zaczyna nasłuchiwać.

Słyszał jakiś dźwięk? A może...

Vaaaahaaaa...

Tak, słyszał głos płaczącego dziecka! Płacz dziecka! Czyżby już zmysły postradał?

- Precz ode mnie! Precz ode mnie, szatanie! - mówi kapitan głośno i zasłania rękoma uszy. Następnie biegnie przez żelazne pomieszczenie ze wzrokiem zasnutym mgłą i usiłuje znaleźć drzwi wyjściowe...

Wtorek, 18 grudnia 2001

Saeli siedzi w kurtce przy radiostacji na bakburcie mostka i ze słuchawkami na uszach nawołuje:

- Mayday! Mayday! Echo, Lima, Whiskey, Q, 2! Mayday!

Mayday! Echo, Lima, Whiskey, Q, 2! Mayday! Mayday!

Ale nikt mu nie odpowiada.

Jedynie trzaski i szum łaskoczą uszy i drażnią nerwy. Palce poczerwieniały mu od mrozu, w tyłku nie ma czucia, a oddech zamarza w okamgnieniu.

Jeszcze raz!

- Mayday! Mayday! Echo, Lima, Whiskey, Q, 2! Mayday!
Mayday! Echo, Lima, Whiskey, Q, 2! Mayday! Mayday!

Saeli nasłuchuje, ale słyszy tylko trzaski i szum, szum i trzaski, dopóki przez eter nie przebije się rwana melodia i czkający śpiew:

Whe - the m-sic's ov-r, - urn out th - lig-ts...

Saeli zrywa słuchawki z uszu i ciska je w kąt.

Co to było? The Doors! W radiostacji! Już mu zaczyna odbijać czy...?

- Na dzisiaj wystarczy - mruczy Saeli i wyłącza przekaźnik. Więcej nie zbliży się do tego urządzenia! Nie ma takiej szansy! Inni mogą sobie wysyłać wołanie o pomoc tak często, jak im siężywnie podoba! Albo nie wysyłać! Nieważne! I tak nikt się nie zgłasza!

Majtek opuszcza mostek i schodzi po skutych lodem schodach. Niebezpiecznych. Na pokładzie panują ciemności, choć na zewnątrz przez chmury przebija się różowe światło słoneczne. Dłońmi przytrzymuje się lodowatej poręczy i ostrożnie stąpa, pokonując jeden stopień za drugim.

Myśli o domu, Larze i synku Egillu. Ciekawe, co oni teraz robią? Czy wiedzą, że statek zaginął? Ciekawe, czy Lara ma już brzuch? Oczywiście, że ma! Bo przecież to już siódmy

miesiąc! Co oznacza, że urodzi za...

- Muszę się dostać do domu. - Saeli zatrzymuje się na schodach między pokładem E i D. Patrzy w ciemność i słucha bicia własnego serca.

Do domu.

Gdyby tylko...

Vaaaahaaaa...

- Tatuś już idzie! - mówi Saeli i ponownie rusza schodami w dół.

Nagle zatrzymuje się.

Tatuś już idzie?

Trzyma się kurczowo poręczy i nasłuchuje.

Płacz dziecka? Czy słyszał płacz dziecka? Czy to możliwe? Ale przecież na pokładzie nie ma żadnego dziecka...

Vaaaahaaaa...

- JUŻ IDEĆ! JUŻ IDEĆ! - woła i zaczyna zbiegać po oblodzonych schodach.

Czyżby postradał zmysły? Nieważne! Czy oszalał, czy nie, nie potrafi słuchać płaczu dziecka bez sprawdzenia, co się za tym kryje!

- JUŻ IDEĆ! JUŻ IDEĆ!

Na pokładzie C wpada prosto na kapitana, który akurat biegnie na górę. Gudmundurowi udaje się uczepić majtka, co chroni go tym samym przed upadkiem.

- O mój Boże, ale się wystraszyłem! - Saeli mruga oczami, stojąc przed kapitanem, który zastygł wpatrzony w jego twarz i zaciska dłonie na jego ramionach, jakby chciał się przekonać, że to człowiek z krwi i kości, a nie jakaś zjawa.

- Co się właściwie dzieje? - pyta kapitan Saelego. Puszczając ramiona zdyszanego majtka. - Zupełnie już zapomniałeś języka w gębie, chłopcze?

- Nie słyszałeś...? Nie słyszałeś...? - bełkoce Saeli, łapiąc oddech i usiłując przypomnieć sobie, co takiego prawdopodobnie dotarło do jego uszu. - Nie słyszałeś jakiegoś dźwięku?

- Słyszałem twoje wrzaski! - odpowiada mu kapitan i chrząka. - Myślałem, że coś...! Że coś się stało!

- Ja chyba tracę rozum! - Saeli z rozpaczą patrzy kapitanowi w oczy. - To właśnie się stało! Straciłem rozum!

- Nie! - uspokaja go kapitan. - Nie postradałeś zmysłów. W każdym razie jeszcze nie!

- Ale kiedy ja słyszałem...

- Nie słuchaj umysłem, Saeli, bo umysł masz zmęczony i skołowany i nie potrafisz odróżnić prawdy od złudzenia! - W mrocznym korytarzu kapitan klepie majtka po plecach. - Słuchaj raczej sercem, bo ono odróżnia prawdę od fałszu!

Środa, 19 grudnia 2001

Sternik Jonas leży pod kołdrą i pod trzema wełnianymi kocami na łóżku w swojej kajucie na pokładzie E i przez sen mamrocze coś niezrozumiałego. Pomieszczenie wypełnia mrok i chłód, a oddech sternika zatrzymuje się w powietrzu i zamienia w igiełki lodu, które powoli stają się soplami.

Vaaaahaaaa...

Jonas zrywa się, mruga oczami i podnosi z poduszki trupio bladą twarz.

Vaaaahaaaa...

- Już, już - mruczy Jonas i wypełza spod kołdry i koców. - Tatuś już idzie.

Wstaje. Chwieje się na nogach, ubrany w bawełniane kalesony, gruby sweter i wełniane skarpety. Rusza niczym zaprogramowany robot, cztery kroki naprzód i pięć w lewo, prosto na ścianę obok drzwi. Uderzenie jest mocne i budzi sternika z letargu. Prawą dłonią łapie się za twarz, a lewą maca w ciemnościach.

Vaaaahaaaa...

- Mario moja! Mario! - wypowiada Jonas imię żony, dotykając prawej kości policzkowej i żuchwy. - Mała się obudziła! Mogłabyś...?

Mario?

Przecież Maria nie żyje! Ja nie jestem w domu...

Statek!

Vaaaahaaaa...

- Halo! Kto? Co? - mówi Jonas i ślania się jak pijany, idąc w kierunku drzwi, przy których bezskutecznie stara się włączyć światło.

Nie ma prądu!

Co to za dźwięk? Kto płacze? Czyżby na pokładzie statku znajdowało się dziecko? Czyżby tracił zmysły?

Vaaaahaaaa...

- Zamknij się! Zamknij się! Zamknij się! - woła Jonas i chodzi w kółko po ciemnej kajucie, drapiąc się po uszach, dopóki krew nie zacznie mu spływać za kołnierz. - Daj mi spokój! Słyszysz? Zostaw mnie w spokoju!

Czwartek, 20 grudnia 2001

Jest za dziesięć szósta po południu i w mesie oficerskiej zaczyna się modlitwa. Gudmundur siedzi przy końcu stołu oddalonym od drzwi, Saeli po jego prawej, a Jonas po lewej stronie.

- Drodzy towarzysze, módlmy się - mówi kapitan, składa dłonie i pochyla głowę. - Ojcze nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje, przyjdź królestwo Twoje, bądź wola Twoja jako w niebie, tak i na ziemi. Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj. Odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom. I nie wódź nas na pokuszenie, ale nas zbaw ode...

Vaaaahaaaa...

Kapitan przerywa modlitwę w pół słowa, kiedy przekłety płacz dziecka zaczyna głośno dźwięczeć w jego głowie.

Nie teraz! Nie teraz!

- I nie wódź nas na pokuszenie. - Chrząka. - Ale nas zbaw...

Vaaaahaaaa...

Kapitan otwiera oczy i spogląda na swoich towarzyszy, którzy patrzą na niego sponad splecionych dłoni.

- Słyszysz...? - szepce z wahaniem Saeli, usiłując opanować drżenie warg.

- Słyszę - odpowiada mu Jonas zachrypniętym głosem. Spogląda na Saelego wzrokiem naznaczonym brakiem snu i rozpaczą.

- Co to jest? - pyta Saeli i patrzy wystraszony na kapitana.

- Nie wiem - mówi Gudmundur i zamyka leżącą na stole Biblię. -Ale wszędzie już szukałem.

- W maszynowni też? - pyta Jonas.

- W maszynowni też - wzdycha kapitan.

- I? - w głosie Saelego słysząc nadzieję.

- Nic. - Kapitan wzrusza ramionami. - Prawdę powiedziawszy, Cię nie chciałem zejść ze mną na dół, ale nic nie znalazłem. Zupełnie jakby ten dźwięk pochodził gdzieś z zewnątrz.

- Z zewnątrz? - Saeli wpartuje się w niego wielkimi, przekrwionymi oczami.

- Tak - mówi kapitan, masując skronie. - Albo ze środka. Co ja tam wiem?

- Ze środka? - pyta Jonas. Usiłuje przełknąć ślinę, lecz usta ma zaschnięte na wiór.

Vaaaahaaaa...

- Nie wytrzymam tego! - Kapitan wstaje od stołu. - Wyjdźmy stąd na chwilę.

18:05

Stoją zbici w ciasną grupę na rufie, plecami zwrócenii do północnego wiatru, kapitan pośrodku, a majtek i sternik po jego bokach i razem się modlą.

- ...potęga i chwała, na wieki wieków, amen! - kończy kapitan i żegna się, po czym otwiera oczy i podnosi wzrok.

Cisza.

- A co z tym płaczem dziecka? - odzywa się Saeli, chowając dłonie w kieszeniach kurtki.

- Może to zły duch? - pyta Jonas i wciąga wełnianą czapkę na uszy.

- Zastanawiałem się nad tym - mówi kapitan i oburącz

trzymaną Biblię przyciska do brzucha. – Może tą drogą Bóg postanowił odpowiedzieć na nasze modlitwy?

– To znaczy jak? – Saeli jest wyraźnie rozczarowany.

– Jeśli mamy się stąd wydostać, potrzebny jest nam cud – odpowiada kapitan. – Ale cuda nie zdarzają się na co dzień. Być może Bóg nie będzie mógł nas uratować.

– Bóg jest wszechmogący! – Jonas spogląda na kapitana ze złością.

– Oczywiście! – Kapitan uśmiecha się blade do sternika. – Ale czy nie oczekujemy od niego zbyt wiele, chcąc, by nas stąd wyratował...?

– Do diabła! – Saeli zagryza przemarznięte wargi.

– Płacz, który słyszymy, to być może płacz Zbawiciela! – kapitan prostuje plecy. – Dzieciątka Jezus, które Bóg oddał ludzkości! Jedyne, co musimy zrobić, to powitać to dziecko! Pozwólcie dzieciom przychodzić do mnie, bo do nich należy królestwo Boże, powiedział Jezus. Mówię wam: powitajmy Jezusa pod postacią dziecka i będziemy zbawieni!

– Ale tu nie ma żadnego dziecka! – denerwuje się Jonas.

– Dziecko jest tu. – Kapitan wskazuje na serce sternika. – Przyjmij Jezusa, a będziesz zbawiony! Ciało umrze, ale to tylko proch! Bóg powiada: Przyjmijcie mojego syna, a ja przyjmę wasze dusze!

Cisza.

– Coś ty chyba rozum tracisz – mruczy Jonas i spogląda spode łba na kapitana.

– Nie, Jonasie. A jeśli już o to chodzi, to nigdy nie byłem zdrowszy niż teraz właśnie...

- Patrzcie! To człowiek! - woła Saeli, wskazując ciemną postać idącą we mgle w kierunku statku od strony sterburty.

- Kto...? - Zdumiony kapitan osłania oczy dłonią.

- Trap jest spuszczone! - zauważa Jonas i pokazuje na bakburkę, gdzie obok relingu wystaje górna część trapu. - W takim razie to Diabeł!

- Tak - mówi Saeli, kiedy pieszy przybliży się na tyle, że można rozróżnić rysy. - To jest Diabeł!

18:31

- A ty na jakąś wycieczkę się wybrałeś? - pyta kapitan, gdy tylko Diabeł wkracza z trapu na pokład.

- Wszedłem na ląd. - Diabeł gładzi się po brodzie, pokrytej lodem od nosa po uszy. - Można się poruszać, skacząc po krach. Kiedy mgła opadnie, idziemy w drogę.

- Dokąd? - Kapitan wzrusza ramionami.

- Potem wam pokażę. Na mostku jest mapa - mówi Diabeł i odwija białe płótno z szyi. To prześcieradło, które pociął i używa jako szalika. - A co wy właściwie robicie na dworze, dziewczyny?

Cisza.

- Chodzi o płacz. - Saeli pociąga nosem. - Płacz dziecka.

- Płacz dziecka? - dziwi się Diabeł. Strzepuje śnieg z kurtki.

- Dzieciątka Jezus. - Kapitan uśmiecha się jak człowiek ślepo wierzący w coś nierzeczywistego i niegodzący się spojrzeć prawdzie w oczy.

- Albo jakiegoś diabła! - Jonasa przechodzą ciarki. - Nie zapominajmy, że te dwie siły walczą o ludzkie dusze!

- A jakże. Przecież ten płacz zdaje się, dochodzi z dołu. - Saeli chrząka. - Z maszynowni.

- W maszynowni nic nie ma. - Kapitan wykrzywia twarz w zmęczonym uśmiechu. - Przeszukałem ją całą dokładnie i niczego nie znalazłem. Jedyne miejsce, które wciąż pozostaje niezbadane, to nasze serca!

- Ale zanim zaczniemy w nich grzebać, zajrzę na dół! - żartuje Diabeł.

- Proszę bardzo! - Kapitan unosi się na palcach. - Ale pamiętaj, że to, co serce słyszy, umysł nie zawsze rozumie!

- Zupełnie już zmysły postradałeś, człowieku! - Diabeł kręci głową i znika w sterówce.

18:59

W maszynowni jest poniżej zera, zimniej tu nawet niż na łądzie, a cisza wypełniająca mrok i otaczająca maszyny budzi większy niepokój niż dźwięk, który od czasu do czasu ją przerywa:

Vaaaahaaaa...

Nie jest to płacz dziecka, bo nie ma dziecka na pokładzie tego statku. Jak wszystko inne, tak i ten szloch ma swoje logiczne uzasadnienie. Diabeł nie wierzy ani w duchy, ani w istoty nadprzyrodzone. W każdym razie nie boi się tego, co nie składa się z krwi i kości. Tylko to, co jest z krwi i kości, może pokonać to, co jest z krwi i kości. Faceci, którym ze strachu i pod wpływem wybujałej wyobraźni odbija, nie są normalni. To proste.

Diabeł wolnym krokiem, po omacku, posuwa się po żelaznej hali z maszynami, dopóki nie natrafi na poręcz

umieszczoną ponad i za silnikiem głównym.

Vaaaahaaaa...

Zapala zapalniczkę. Mały płomień słabutko oświetla podłogę i dno statku, gdzie stoi zimny i milczący silnik. Kiedy tylko zapalił światło, płacz umilkł, a to oznacza, że dobywa się z gardła żywej istoty, która wyczuwa jego obecność.

- Gdzie jesteś, bekso? - mówi Diabeł i przechyla się przez poręcz. Badawczym wzrokiem patrzy w mrok. Ponieważ nic się nie dzieje, wpada na pomysł, by poskakać trochę po żelaznej podłodze, która drży cała, dudniąc niemiłosiernie.

I wtedy żyjątko opuszcza swoją kryjówkę i przemieszcza się za silnikiem z jakimś dziwnym klaskaniem. I Diabeł w bladym świetle zapalniczki widzi, że jest to coś białego, co śmiga jak...

- Co to jest, do diaska? - zastanawia się Diabeł, wytyczając wzrok w ciemnościach, ale kiedy płomień zapalniczki zaczyna go parzyć w palce, puszcza przycisk. Zamyka dopływ gazu i płomień umiera.

Vaaaahaaaa...

Diabeł zstępuje ze schodów prowadzących do silnika głównego. Czekając z zapaleniem zapalniczki, dopóki nie zbliży się do miejsca, w którym wydaje mu się, że widział ostatnio to stworzenie. Gdzieś statek musi nabierać wodę, bo na dnie maszynowni leży gruba na cal warstwa lodu. Diabeł kuca przy bakburcie i wyciąga przed siebie prawą rękę uzbrojoną w zapalniczkę.

- No. Raz, dwa i... - szepce Diabeł i bierze głęboki oddech, po czym kciukiem obraca kółko pocierające kamień

zapalniczki.

Kiedy tylko pojawia się iskra, zapala gaz, a zwierzę wyskakuje z nowej kryjówki. Diabeł widzi coś białego, co stroszy się przed nim. Oczy zwierzęcia są maleńkie i czarne jak węgiel, żółty pysk otwiera się na oścież, a czerwony język sterczy niczym żądło...

19:07

- Masz tu swojego Jezusa! - Diabeł wychodzi przez drzwi na tyłach sterówki i kieruje się do zgromadzonych na rufie.

Gudmundur, Saeli i Jonas patrzą oniemiałi na stworzenie, które trzyma za kark. Wyciąga je w ich kierunku. To sporych rozmiarów ptak o potarganym upierzeniu, upaprany olejem.

- To mewa - mamrocze Saeli i spogląda na Jonasa, który trzęsącymi się rękami zapala papierosa.

- Jesteś pewien, że...? - kapitan nie kończy pytania, bowiem umęczony ptak nagle zaczyna krzyczeć:

Vaaaahaaaa...

- Jeszcze jakieś pytania? - ironizuje Diabeł, przyglądając się na zmianę trzem towarzyszom jak rodzic, który udowodnił dzieciakom, że w szafie nie kryje się żaden potwór.

Cisza.

- No, to ogłaszam ten etap szaleństwa za zakończony - odzywa się Diabeł po chwili, uderzając główką mewy o żelazną burtę.

Cała trójka aż się kurczy, zupełnie jakby ktoś oddał strzał z broni palnej, i z przerażeniem obserwują, jak oczy mewy robią się czerwone, a krew wypływa przez otwarty dziób.

- A może chcielibyście ją zjeść? - pyta Diabeł i wyciąga ptaka w kierunku grupki. Mężczyźni cofają się dwa kroki wgapieni w zakrwawione ptasie ścierwo, poruszające jeszcze nogami i bijące skrzydłami.

Cisza.

- Tak tylko pytałem. - Diabeł wyrzuca zdechłą mewę za burtę.

- Jak ona się właściwie dostała do maszynowni? - pyta Saeli, patrząc przez burtę na lód, gdzie ptak leży na plecach z głową przekrzywioną na bok i rozłożonymi skrzydłami.

- A jakie to ma znaczenie? - odpowiada Diabeł, patrząc na Saelego, jakby był kompletnym idiotą. - Chodźcie ze mną na mostek. Pokażę wam mapę, którą znalazłem.

19:43

- Ten tutaj iks to jest pozycja statku według obliczeń kapitana - mówi Diabeł, stojąc na mostku przy stole we wnęce na mapy i pokazując palcem krzyżyk zaznaczony na małej mapie Antarktydy z 1979 roku.

- Zdajesz sobie sprawę z tego, że moje obliczenia nie są dokładne? - zauważa kapitan, przyglądając się mapie w skali 1:40 000 000.

- Ale tylko na nich możemy się opierać. - Diabeł uderza długopisem w mapę. - Mogę kontynuować?

- Proszę bardzo - uzyskuje pozwolenie od kapitana.

- Spójrzcie tu, a potem tutaj! - Diabeł długopisem pokazuje dwa trójkąty na mapie. - To są stacje badawcze, o ile dobrze rozumiem. Ta, która jest na zachód czy na południe od nas, to Halley Bay, stacja brytyjska, a ta bardziej na wschód jest

południowoafrykańska i nazywa się Sanae. Jeśli dobrze udało mi się policzyć, do brytyjskiej mamy sześćset kilometrów, a do afrykańskiej czterysta.

- Czterysta kilometrów - wzdycha Saeli i patrzy na kapitana. - To nie jest jakoś strasznie daleko.

- I tak, i nie - sapie kapitan. - Ale ta mapa jest i stara, i mała. Te stacje mogą już nie istnieć, nie mówiąc już o tym, że na tak niedokładnej mapie trudno oblicza się odległość.

- To jest jedyna mapa, jaką w tej chwili dysponujemy - wzrusza ramionami Jonas. - Nie powinniśmy się z tym po prostu pogodzić?

- Ta mapa jest w porządku! - Diabeł uderza długopisem w stół. - Jeden centymetr na mapie to czterysta kilometrów na powierzchni ziemi! Do Sanae mamy jeden centymetr, a do Halley Bay półtora! Czy to takie skomplikowane?

- Nie - przytakuje Jonas i pochyla się nad mapą. - To jest całkiem proste.

- Gummi? - Saeli zerka na kapitana.

- W porządku, i tak nie mamy wyboru - odpowiada Gudmundur. - Ale proponuję, żebyśmy szli w kierunku stacji brytyjskiej, a nie afrykańskiej.

- Bo? - Diabeł załamuje ręce. - Masz ochotę na spacer dłuższy o dwieście kilometrów? Czy może boisz się czarnuchów?

- Nie wystarczy kierować się odległością. - Kapitan ze spokojem pokazuje na mapę. - Zapomniałeś już o paśmie górskim? Ja wolę iść dłuższą drogą i dojść do celu, niż zginąć, walcząc z tymi górami. Mają ponad dwa tysiące

metrów wysokości!

- Słuszna uwaga - zgadza się Saeli i przenosi wzrok na Jonasa, który wzrusza ramionami i spogląda na Diabła.

- To wcale nie jest takie pewne, że musimy iść przez góry - broni się Diabeł. - Na pewno możemy je obejść po lodzie. Albo znaleźć drogę przez jakąś przełęcz. No bo gdzieś jakaś musi być.

- Musi być? - Kapitan potrząsa głową. - Po lodzie to możemy iść aż do Halley Bay, prościutko, jak nas oczy poniosą. Nie mam zamiaru tracić cennego czasu na poszukiwania drogi przez góry, kiedy mogę przemieszczać się po gładkim i równym lodzie. I to drogi, która być może nie istnieje.

- Kapitan ma rację - kiwa głową Saeli.

- Nie zgadzam się - mówi Diabeł, stukając palcem w stację Sanae. - W takich piekielnych warunkach pogodowych należy wybrać krótszą drogę. Nie mówiąc już o tym, że na lodowej równinie nie ma się gdzie schronić, jakby rozpętała się burza czy trąba powietrzna.

- Racja! - przytakuje Jonas. - Moim zdaniem lepiej iść do stacji afrykańskiej!

- Mowy nie ma! - kapitan podnosi głos. - Wyruszamy w kierunku Halley Bay, i to jutro o świcie! Nie ma na co czekać!

- Będę gotowy o świcie, kapitanie! - melduje Saeli, poklepując swojego przełożonego po plecach.

- Ja z wami nie idę. - Diabeł składa mapę. - Ja idę przez góry. I nie wyruszam jutro rano. Zresztą nie radzę nikomu

tego robić.

- A to niby dlaczego nie, jeśli wolno spytać? - Kapitan aż czerwienieje z wściekłości.

- Poczekałbym, aż zmieni się kierunek wiatru. - Diabeł pociąga nosem. - Wiatrom północnym zawsze towarzyszą mgły. A te są niebezpieczne, zwłaszcza jeśli chce się iść po lodzie. Ja zaczekam na wiatr południowy i bezchmurne niebo. Wprawdzie wiatr południowy w ostatnich tygodniach nigdy nie wiał dłużej niż dwa dni z rzędu, ale dwa słoneczne dni można dobrze wykorzystać.

- A rób sobie, co ci się podoba. - Kapitan naciąga kaptur na głowę i idzie w kierunku drzwi na korytarz. - My wszyscy ruszamy jutro o brzasku!

- Kapitanie! - odzywa się sternik.

Gudmundur zatrzymuje się i odwraca.

- Tak?

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, to wolę iść z majtkiem - nieśmiało wtrąca Jonas i chrząka.

- Jonasiu, mam coś przeciwko temu - kapitan wzdycha zrezygnowany. - Ale jeśli taka jest twoja wola, to cię nie zatrzymam.

- No to tak zrobię. - Jonas kiwa głową do kapitana, który odwraca się na pięcie i opuszcza mostek po raz ostatni...

23:21

Majtek Saeli siedzi przy stole w swojej kajucie i pakuje się przed długą wędrówką, która niebawem czeka jego i Gudmundura. Sześćset kilometrów. To jakby przejść piechotą z Reykjavíku do Akureyri.

Na stoliku pali się świeczka rzucająca miękkie światło na drobiazgi, które majtek ma zamiar ze sobą zabrać albo jeszcze się nad nimi zastanawia. Zabierze igłę i nici, gdyby po drodze musiał naprawić ubranie, ale nie wie, czy powinien zabrać ze sobą nóż. Uważa, że wazelina może mu się przydać, na przykład przeciw spaleniu słońcem lub wysychaniu warg, ale nie wie, czy potrzebna będzie woda utleniona lub spirytus salicyłowy. Zapakował już wszelką niezbędną odzież oraz suszoną i konserwowaną żywność, która ma starczyć co najmniej na tydzień, a może nawet i dziesięć dni. Wszystko to włożył do torby sportowej z paskiem na ramię. Torba jest już dość ciężka, waży jakieś osiem kilo, tak że nie powinien jej bardziej obciążać, jeśli ma ją nieść bez trudu przez całą drogę. Nie mogą zabierać wody. Żeby ugasić pragnienie, będą jeść śnieg.

Saeli wzdycha, a jego gorzki oddech natychmiast zmienia się w mroźną chmurę.

Wyjmuje pomięte zdjęcie Lary i Egilla, uśmiechających się do niego ze świata, który stał się tak odległy i rozmyty, że niemal zapomniany. Całuje zdjęcie i przez kołnierz kurtki chowa je do kieszeni koszuli.

Następnie zdmuchuje świeczkę. Musi położyć się spać. Musi wypocząć przed długą wędrówką...

23:54

Z dwóch skórzanych pasów do spodni kapitan Gudmundur zrobił szelki, przytwierdzając je do dna walizki za pomocą dwóch wkrętów do drewna. Spakował już jedyny kocher znajdujący się na pokładzie i dwie zapasowe butle z gazem.

Wcześniej pociął również płótno żaglowe, które złożył i schował do kłapy walizki. W płótno to kapitan ma zamiar zawijać siebie i swego towarzysza, kiedy będą zmuszeni zagrzebać się na noc w śniegu. Leżąc zawinięci w żagiel nie zmokną, kiedy ciepło ich ciał oziębiać będzie topniejący śnieg.

Podobnie jak Saeli trzy deki pod nim, tak i kapitan kończy przygotowania do podróży przy blasku świeczki. Już tylko dwie rzeczy pozostały mu do zrobienia, zanim zgasi świeczkę i położy się spać. Najpierw odmawia krótką modlitwę, całuje Biblię, a następnie pakuje ją do walizki. Biblia wprawdzie waży pół kilo, lecz duchowa siła, jaką kapitan czerpie z jej bliskości, jest warta tych dodatkowych kalorii, które utraci, dźwigając ów dodatkowy ciężar. Teraz kapitan zdejmuje kurtkę, owija się czarną suknią Hrafnildur, wkłada na nią bawełniany podkoszulek, znów wkłada na siebie kurtkę i zasuwa zamek pod samą szyję... Piątek, 21 grudnia 2001

Diabeł i sternik Jonas stoją na rufie i patrzą na oddalających się po lodzie kolegów, kapitana Gudmundura Berndsena z walizką na plecach i Arsaella Egilssona ze sportową torbą na lewym ramieniu.

Ci odwracają się do nich i machają na pożegnanie. To samo robią Diabeł i Jonas, a Cień skowycze i kręci się w koło.

Od czasu do czasu kadłub statku trzeszczy okrutnie. Trzęsie się na połaci lodu, na której wylądował, i powoli opada w głąbię pod lodem.

Kiedy dwójka piechurów znika we mgle, pies pokładowy szczeka głośno, jakby wyrażał tym swoje niezadowolenie lub

ostrzegał ludzi.

- HAU!

- STUL PYSK! - mówi Diabeł. Pies kładzie się na brzuchu i cicho warczy.

- Myślisz, że dojdą do celu? - pyta Jonas, bijąc się po ramionach dla rozgrzewki. Temperatura wynosi minus pięć stopni.

- To zależy - odpowiada mu Diabeł i zapala papierosa. Teraz zostały mu tylko cztery.

- Na przykład od czego?

- Nieważne jest, dokąd człowiek zmierza - odpowiada Diabeł, wydmuchując dym nosem. - Tylko to, co człowiek ze sobą zabiera.

- Tak? - Jonas wciąga zimną wydzielinę do nosa. - A co powinien człowiek ze sobą zabrać?

- To, co miał na początku podróży. - Diabeł otwiera lewą dłoń. Spoczywa w niej miedziany nabój.

Kapitan oddał Diabłowi tę kulę, zanim się pożegnali, nie tłumacząc, dlaczego to robi.

- Na początku podróży. Co masz na myśli? - pyta Jonas i przygryza wargę. Zęby zaczynają mu dzwonić z zimna.

- Chodź! - Diabeł rusza w kierunku sterówki. - Kierunek wiatru może się zmienić w każdej chwili! Mamy jeszcze sporo roboty!

XXXV

Sobota, 22 grudnia 2001

Diabeł i Jonas stąpają po trzaskającym lodzie w drodze na północ wzdłuż linii brzegu. Oczy ukryli za okularami przeciwsłonecznymi i ciągną za sobą zabrane ze statku plastikowe nosze. Na tych noszach, przypominających nieco sanki, umieścili cały swój bagaż; ubrania i okrycia, paliwo, narzędzia i prowiant. Zazwyczaj łatwiej jest podróżnym nieść własny dobytek, niż ciągnąć go za sobą, lecz kiedy idzie się przez lód i śnieg, lepiej rozłożyć ciężar, zmniejszając możliwość zapadnięcia się pod powierzchnię, po której się stąpa. Obaj podróżni idą obok siebie, w odległości metra. Na kurtki założyli kamizelki ratunkowe. Do kamizelek przymocowali trzymetrowe nylonowe linki przełożone przez jedną dziurę na „dziobie” noszy. Trop, jaki zostawiają za sobą, ciągnie się po pofałdowanej powierzchni od samego statku. Są to dwie linie odciskane przez podpórki noszy, płytkie ślady obuwia o grubych bieżnikach po obu stronach linii i ślady łap Cienia dookoła nich. Ale ponieważ śnieg na powierzchni jest stale podwiewany, w ciągu godziny od pojawienia się ślady zostają zatarte.

Z tej odległości statek wygląda jak mała czarna kreska na białym lodzie i pod białym niebem.

A może odwrotnie?

Jonas ogląda się przez ramię, by po raz ostatni popatrzeć na statek, zanim na zawsze zniknie z ich pola widzenia. Zwalnia przez to niechcący tempo i cały ciężar zapasów umieszczonych na noszach wisi na lince uczeponiej do kapoka Diabła.

- Tylko mi tu bez takich! - mówi Diabeł i uderza sternika prawą pięścią w lewe ramię. - Zapomnij o tym przeklętym statku! To już przeszłość!

- Nie musisz się wściekać! - mruczy Jonas i przyśpiesza kroku, żeby zrównać się z Diabłem, który gna przed siebie niczym wygłodniały niedźwiedź polarny. Sternik natychmiast odczuwa zmęczenie i lęk. Chce mu się pić, jest skołowany i znużony. Bolą go plecy, bolą go nogi i boli go lewe ramię. Najchętniej wróciłby na statek i tam czekał, aż wypełni się jego los, lecz wie, że tego zrobić nie może. Ale w tę wyprawę zupełnie nie wierzy. Co on sobie myślał, kiedy odwrócił się plecami do kapitana? Diabli nadali! Teraz jest skazany na towarzystwo tego furiata!

Jonas śmiertelnie żałuje, że nie posłuchał głosu rozsądku i nie wyruszył na południe z Saelim i Gudmundurem Berndsensem...

Dzień św. Thorlakura*, 2001

Siedzą naprzeciwko siebie w stwardniałej zaspie, Jonas z mniejszym garnkiem, a Diabeł z większym. Idą już w sumie od czternastu godzin i to ich trzeci postój. Jest noc, panują

egipskie ciemności, wzmaga się południowo-wschodni wiatr. Mróz, jakieś minus dwanaście.

Jonas napełnia mniejszy garnek śniegiem niemal do pełna. Z dwóch plastikowych pojemników odmierza dwa plastikowe kubki płatków owsianych i dwa cukru i nakrywa wszystko pokrywką.

Diabeł wyrywa z torby foliowej pełnej waty pięć kawałeczków i ubija je na dnie większego garnka. Odkręca dwulitrową butelkę po coli owiniętą watą i folią aluminiową i wlewa do garnka jakieś pół litra benzyny.

- Ja jestem gotowy - mówi Diabeł. Jonas wkłada mniejszy garnek w większy.

Następnie robi z rąk zasłonę przeciwwietrzną, a Diabeł zapala zapałkę i upuszcza ją między krawędzie większego i mniejszego garnka. Rozlega się cicha eksplozja, czerwony płomień rozświetla twarze towarzyszy, a czarny dym unosi się w noc. Minutę później cały śnieg topnieje, po dwóch minutach woda na dnie mniejszego garnka zaczyna wrzeć, a po trzech ogień gaśnie i owsianka jest gotowa.

- Masz. - Diabeł podaje Jonasowi jedyną łyżkę, jaką ze sobą zabrali. Jonas bierze ją od niego i dwukrotnie napełnia, po czym oddaje ją Diabłowi. W ten sposób podają ją sobie, dopóki nie zjedzą całej owsianki.

- To smakuje jak wata. - Jonas się krztusi.

- Jak się zrzygasz, to każę ci zeżreć rzygowiny! - mówi Diabeł i wrzuca w siebie dwie pełne łyżki, po czym podaje koledze łyżkę nad gorącym jeszcze garnkiem.

- Ja już nie mogę - mruczy Jonas i cofa twarz, żeby nie

wąchać smrodu spalonej benzyny. - Dokończ sam.

- W porządku - zgadza się Diabeł i zajada się przesłodzoną, cuchnącą paliwem owsianką. - Ale jak nie będziesz miał siły iść dalej, to cię zostawię.

- W to akurat nie wątpię - mruczy Jonas. Kładzie się na boku w zaspie i przymyka oczy.

- Nie zasypiaj! - Diabeł kopie sternika. - Jak zaśniesz, to już nigdy się nie obudzisz!

- I co z tego? - warczy Jonas, podnosząc się. Ciepło wydzielane przez stygnący garnek jest miłe, ale myśl o zimnym, wiecznym śnie jest jeszcze milsza.

- Masz cztery minuty, żeby naładować baterie. - Diabeł oblizuje łyżkę, po czym chowa ją do kieszeni. - Wyruszamy dalej w drogę, jak tylko garnki wystygną.

Cień wyje, a Diabeł pozwala mu wylizać resztki owsianki z garnka.

- Chce mi się po prostu spać - mamrocze Jonas i zamyka oczy. A może pozostają otwarte? Trudno mieć je niezamknięte, kiedy mrok po tamtej stronie powiek jest równie czarny, co po tej... Wigilia 2001

Wchodzą po opadającym wzniesieniu, które zdaje się równie wysokie, jak niebo nieskończone. Śnieg błyszczący w słońcu świecącym prosto w ich twarze, niezależnie od tego, czy idą w górę, czy w dół, wiejący w plecy wiatr jest równie silny, co zimny, powłoka śnieżna twarda na wierzchu, a miękka pod spodem, nosze ciągną za linki niczym uparty koń, a nogi zapadają się do połowy łydki z każdym krokiem...

Skórę na twarzach mają czerwoną, naprężoną i popękaną

od słońca, mrozu i wiatrów, ramiona sztywne jak deski, nogi rozpalone bólem ścięgien i zmęczone, w głowach wirują czerwone wiatry, mdłości pojawiają się i znikają, a brzuch płonie jak garnek pełen benzyny...

- Zobacz! - mówi Diabeł, kiedy w końcu docierają na szczyt wzniesienia.

- Nic nie widzę - odpowiada Jonas i zatrzymuje się, a wtedy jego ciało zdaje się nie podlegać prawu ciężenia i lewitować ponad ziemią. Unosi ręce, wolno, jakby były dwoma ogromnymi dźwigami budowlanymi, i zasłania oczy, spuchnięte, słabe, pełne żółtych żyłek i przeźroczystego śluzu.

Góry! Miliony megaton prehistorycznego granitu otoczone całym Morzem Czarnym granatowego lodowca. Tu czasu nie mierzy się w latach czy wiekach, nie mówiąc o minutach i dniach. Tu miliony lat to jeden dzień, sto milionów dni to jeden rok, a wieczność nie jest w tym świecie zapomnienia i śmierci abstrakcyjnym pojęciem, lecz regularnym oddechem poza czasem, przestrzenią i ludzkim zrozumieniem...

- Niedługo będziemy w połowie! - Diabeł klepie sternika w plecy. - Nieźle, towarzyszu!

Przed nimi jakieś pięćdziesiąt kilometrów pofałdowanego śniegu, szczelin, lodu, a dalej wznosi się do nieba ogromne pasmo straszliwych gór, daleko w głąb lądu i lodu na północy. Dwa szczyty strzelają w górę jak katedra trolli z granitu i lodu, a między nimi zarysowuje się cień, który wygląda, jakby nawet o cal nie był mniejszy od Danii.

- Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, to przed zmierzchem powinniśmy znaleźć jakieś schronienie. - Diabeł daje sternikowi znak, żeby znów zaczęli iść.

- Nie odpoczniemy trochę? - pyta Jonas, wyciągając ze śniegu pozbawione czucia nogi. Idą już bez przerwy od pięćdziesięciu godzin i tyleż kilometrów pozostawili za sobą. Każdy kilometr był jednym wielkim piekłem, każda godzina naznaczona nieznośnym cierpieniem, a każda chwila nabrzmiała beznadzieją, zmęczeniem, pragnieniem śmierci...

- Jemy za dwie godziny - rzuca Diabeł i rusza w drogę.

- Nie powinniśmy obejść gór? - pyta Jonas, wskazując na północ, gdzie jak tylko okiem sięgnąć rozpościera się lód na Morzu Weddella.

- Nie - odpowiada Diabeł, kierując się prosto na cień między szczytami gór. - Jestem przekonany, że tam jest przełęcz.

- Twoja sprawa - mamrocze Jonas. Nie chce mu się sprzeczać z tym pragmatycznym półgłówkiem. Nie ma na to siły. Zresztą po co się sprzeczać o coś, o co nie ma sensu się sprzeczać? I tak przecież już nie żyją...

XXXVI

W owym czasie wyszło rozporządzenie Cezara Augusta... - zaczyna kapitan i usiłuje przewrócić strony zamarznętej Biblii palcami szerniałymi z zimna. - W owym czasie wyszło...

- Nie... - Saeli kuli się w sobie. - Nie chcę myśleć o domu. Nie zniosę tego.

Siedzą obok siebie w twardej zaspie, przykryci żaglem, zwróćni plecami do wiejącego coraz mocniej wiatru. Zanosi się na burzę, słońce zachodzi i szybko się ściemnia. Od czasu, gdy opuścili statek, nie mieli w ustach ani ciepłego posiłku, ani wody, bo do tej pory nie udało im się jeszcze rozpalić kochera. Po dwudniowych trudach postanowili pozbyć się połowy zapasów, by sobie ulżyć w drodze. A mimo to każdy krok powoduje, że po kolana toną w śniegu...

- Już dłużej nie mogę. - Saeli zamyka oczy.

- Odpoczniemy sobie podczas burzy - mówi Gudmundur, odkładając Biblię. - A potem ruszymy dalej w drogę.

- Tak - zgadza się Saeli, przewraca się wolno, opiera się na czworakach i wstaje. - Tylko że najpierw muszę się wysikać.

- Rozumiem - mamrocze kapitan i kiwa głową do majtka.

Jest pewien, że już nigdy więcej nie zobaczy Saelego, ale mu o tym nie mówi.

Wie, że ta noc będzie ostatnią. Nie ma nadziei, że się obudzi po śnie, który teraz pokonuje ostatnie strzępy świadomości. Jest na to zbyt zmęczony.

Gudmundur rozpina kurtkę i odwija czarną suknię z zimnego ciała. Czy jest w stanie stanąć na nogi? Tak, jest w stanie stanąć na nogi. Jak tylko kapitan podnosi się z żagla, wiatr natychmiast porywa szmatę i unosi ją w czarną dal niczym jesienny liść.

Dlaczego niby umierać na leżąco, jeśli człowiek może umrzeć, tańcząc? Gudmundur tuli do siebie sukienkę i usiłuje tańczyć, ale zdążył tak zeszywnieć i wiatr jest tak okrutny, że nie daje rady utrzymać równowagi.

Wtańczyć się w śmierć! Już całkiem zmysły postradał? Postradał czy nie postradał, jakie to teraz ma znaczenie? Przecież i tak nikt go nie widzi! Gudmundur Berndsen usiłuje podnieść do splekanych warg zamarznęty dekolt sukni, ale wówczas suknia wymyka mu się z rąk i leci za żaglem.

- Kochanie... - jęczy kapitan, robi jedno pas, po czym pada twarzą w szorstki śnieg...

Saeli zasłania oczy przed lodowatym wiatrem i usiłuje odnaleźć słońce, zanim ono całkiem zniknie za górami. Ciemność jest niemal absolutna, lecz Saelemu udaje się dostrzec różową kreskę w oddali. Zwraca twarz w kierunku zamierającego słońca, które na półkuli południowej wędruje po niebie w drugą stronę i zachodzi na wschodzie. Następnie odwraca się w lewo i idzie na północ.

Islandia leży na północy. Saeli idzie do domu, dopóki nie padnie...

Pierwszy dzień Bożego Narodzenia 2001

Trąba powietrzna, ciemność, siarczysty mróz...

- JESTEŚ TAM? - Diabeł stara się przekrzyczeć wycie wiatru.

Najpierw przewróciły się nosze, a potem uderzyły w Cienia i zabiły go, zanim Diabeł zdążył przeciąć linki. Zapasy prowiantu rozsypały się po pokrywie śnieżnej i natychmiast przepadły. Nosze uleciały w czarne niebo niczym pomarańczowy papierek od cukierka. W powietrzu rozpadły się na kawałki.

- JSTEM...!

Jonas leży na twardym śniegu w odległości zaledwie dwóch metrów od Diabła, ale przy takiej nawałnicy nic nie widać. Śnieg jest tak drobny, a prędkość wiatru tak wielka, że właściwie nie da się nawet oddychać. Oczy ślepną, wargi krwawią, nozdrza się zamykają.

Zostało im tylko jakieś pół kilometra do pasma górskiego, kiedy zaczęła się nawałnica. Nagle zasłoniła im słońce, niczym cień złego ptaka.

Pogoda, jakby czarownice mieszały w tyglu...

- CHODŹ! TU ZARAZ JEST JASKINIA! - krzyczy Diabeł i zaczyna się czołgać wzdłuż pęknięcia w lodowcu. O ile dobrze pamięta, szczelina ta ciągnie się ukosem do podnóża góry, gdzie zdawało mu się, że dostrzegł pod ukośną skałą wejście do groty. Może to był tylko cień skały, ale fakt ten nie ma większego znaczenia. Na zlodowaciałym śniegu nie

czeka ich nic innego, jak długotrwała walka o przetrwanie. Pod skałą znajdą być może schronienie, nawet jakąś niedużą rozpadlinę...

Posuwa się na czworakach między największymi porywami wiatru, a podczas najwścieklejszych ataków – na brzuchu. Każda minuta trwa całą wieczność, a przejście każdego metra to zadanie niemal niewykonalne. Śnieg wciska się pod ubranie, organizm się wychładza, sinieje, sztywnieje i...

Ale posuwa się naprzód, posuwa się...

Cisza...

I spada w ciemną otchłań...

Jesteś tam?

Cisza.

- Kto pyta?

- Jonas.

Diabeł otwiera oczy, ale widzi jedynie czerń. Pamięta tylko opadanie, a potem...

- Widziałem, jak znikasz. - Jonas czołga się do niego w ciemnościach. - Miałeś rację. Jesteśmy w jakiejś jaskini.

- A uda nam się stąd wyjść? - pyta Diabeł i siada na lodowym

dnie. Ubranie ma zamrożone na kość i twarde jak skorupka jaja.

- Nie - odpowiada mu Jonas, usiłując powstrzymać dzwonienie zębów. - Na pewno nie tą samą drogą. Wejście jest gdzieś ponad nami. Nie słyszysz wiatru?

- Słyszę. - Diabeł zaczyna nasłuchiwać. Słyszy wycie wiatru, ale dziwi się, że mimo wszystko hałas nie jest

wiekszy. Przecież jaskinia powinna być pełna śniegu i wyjącej wichury? Tymczasem na dnie jest tylko cieniutka warstewka śniegu i prawie nie słychać wiatru. I jeśli jeszcze coś go dziwi, to to, że ten niewielki hałas zdaje się mieć źródło we wnętrzu jaskini, a nie przy jej wejściu. Dlaczego?

- Zасыpiam - bełkoce Jonas, trzęsąc się z zimna obok Diabła.

- Postaraj się wytrzymać - mówi Diabeł, wciągając powietrze przez odmrożony nos. Ma śmiertelną ochotę zapalić papierosa, żeby trochę rozgrzać organizm, ale został mu tylko jeden, a tego ma zamiar zapalić dopiero u kresu podróży.

Nagle na prawym policzku Diabła ląduje coś zimnego i mokrego. To kropla wody, która spływa za kołnierz zamarznętej kurtki.

- Co robimy? - sennie pyta Jonas.

- Idziemy dalej - odpowiada Diabeł i wstaje na zesztywniałe nogi. - Tutaj prawie że nie ma mrozu! Nie czujesz ciepła? Ze środka jaskini dociera do nas jakiś ciepły powiew! Może pod górą bije gorące źródło? Może jest jakieś inne wyjście? Musimy iść dalej!

Cisza.

- Jonas?

- Podaj mi rękę - mamrocze Jonas. Diabeł wyciąga przed siebie ręce w ciemności, dopóki nie natrafią na sztywne palce sternika...

Już nie dam rady - bełkoce Jonas godzinę później, kiedy bląkają się po zakamarkach jaskini, nie natrafiając na nic

innego poza zimnymi ścianami skalnymi i bezdenną ciemnością. Znajdują się w jakiejś podziemnej sali czy grocie, która jest na tyle przestronna i wysoka, że każde słowo dobrą chwilę odbija się echem, zanim nie zamrze:

...nie dam rady...nie dam rady...nie dam rady...

Diabeł nic nie mówi. A co ma powiedzieć? Słyszy, że Jonas siada na lodowatym podłożu, ale sam ma zamiar stać. Jeśli usiądzie, nie ma żadnej pewności, czy uda mu się podnieść. Ma odmrożone ręce, nogi i twarz. Odczuwa straszny ból, który z każdą upływającą minutą jeszcze się zwiększa. Traci siły, jego serce bije coraz słabiej, zmęczenie, głód i znój zbierają swoje żniwo. Zdaje sobie sprawę z tego, czuje to, że niewiele życia mu pozostało, ale woli o tym nie myśleć. Liczy się teraz, liczy się teraz...

Cisza.

- Są święta - wzdycha Jonas. - Gdzie moje dzieci?

...moje dzieci... moje dzieci... moje dzieci...

- Zabiłem ich matkę. Zamordowałem swoją żonę. Uderzyłem ją młotkiem w głowę.

...młotkiem w głowę... młotkiem w głowę... młotkiem w głowę...

- Nie chciałem iść do więzienia. Dlatego zniszczyłem sprzęt łącznościowy. Chciałem uciec, uciec jak najdalej... od tego, co zrobiłem. Nie chciałem, żeby ludzie mnie sądzili. Chciałem stanąć przed Bogiem. Bóg wie, co zrobiłem i dlaczego to zrobiłem. On mnie rozumie. To on ma mnie osądzić.

...mnie osądzić... mnie osądzić... mnie osądzić...

Cisza.

- Boga nie ma - mówi Diabeł grubym głosem.

...Boga nie ma... Boga nie ma... Boga nie ma...

- Nie masz racji - mamrocze Jonas. Rozlega się chrzęst paciorków, kiedy wyciąga różaniec z kieszeni zamarzniętej kurtki. - Bóg jest. Bóg istnieje naprawdę. Inaczej łódź ratunkowa nie zdryfowałaaby z powrotem do statku. Ale nie jestem już taki pewny, że jest miłosierny. Nie jestem już taki pewny, czy chcę, żeby to on mnie sądził. Teraz rozumiem, co uczyniłem, ale jednocześnie nie rozumiem dlaczego. Muszę być chory. Nie, a może nie jestem chory. Może po prostu jestem człowiekiem odrażającym.

...odrażającym... odrażającym... odrażającym...

- Echo nie kłamie - mruczy Diabeł.

...nie kłamie... nie kłamie... nie kłamie...

Cisza.

- Już mi się nie chce spać - mówi Jonas i łapczywie wciąga powietrze. - Nie chcę spać! Nie chcę umierać! Nie mogę...!

Slrrrrrghhhhh

- Co to było? - pyta Jonas, wierzgając nogami.

...było... było... było...

- Nie wiem. - Diabeł nasłuchuje. - To było coś, jakby ktoś spłukiwał wodę. Może głębiej w jaskini jest jakiś strumyk albo źródło?

...albo źródło... albo źródło... albo źródło...

- Woda? To nie była woda! - Jonas ma trudności z opanowaniem oddechu z emocji. - To było coś...! Jakaś bestia! Któryś z tych potworów, jakie Palacz czci potajemnie!

...potajemnie... potajemnie... potajemnie...

- A więc ty także odwiedzałeś Palacza. - Diabeł robi dwa kroki do przodu.

- Nie...!

Slrrrrrghhhhh

- Nie zostawiaj mnie! - Jonas usiłuje złapać Diabła, lecz mu się to nie udaje. - Na rany boskie, nie zostawiaj!

...nie zostawiaj... nie zostawiaj... nie zostawiaj...

- Masz, weź to. - Diabeł podaje coś Jonasowi. - W tej sytuacji pewno już tego nie użyję. Tu nie ma żadnych realnych wrogów.

...wrogów... wrogów... wrogów...

- Co to? - pyta Jonas, biorąc do ręki zimny, twardy przedmiot. -To pistolet? To twój pistolet? Co mam zrobić z tym pistoletem? Zastrzelić się?

...zastrzelić się... zastrzelić się... zastrzelić się...

- Użyjesz go przeciwko tym swoim potworom - mówi Diabeł i zapuszcza się w głąb jaskini. - Ale pamiętaj, jest tylko jedna kula.

...jedna kula... jedna kula... jedna kula...

- Diabeł! Nie! Ja...! - charczy Jonas.

...ja... ja... ja...

Ale sternik urywa, kiedy orientuje się, że pozostał sam w ciemnościach...

Diabeł podąża wolnym, sprawiającym cierpienie krokiem przez ciemności jaskini. Wydaje mu się, że podłoże pochyla się w dół, ale pewności nie ma. Powoli traci czucie w ciele, kończyny są prawie sparaliżowane z zimna, coraz trudniej mu oddychać, serce łomocze w piersiach, a myśli stają się coraz mniej jasne.

Po chwili marszu natyka się na wąską ścianę skalną, która dzieli wnętrze na dwie części. Skręcić w prawo czy w lewo? W lewo czy...?

Slrrrrrghhhhh

Hałas zdaje się dobiegać z prawej, więc...

Plam, plam, plam...

Odgłos wystrzału odbija się od ścian i od sklepienia jaskini, a po chwili całkiem zamiera.

Cisza.

Czy chodzi tak już od kilku godzin, czy zaledwie od kilku minut? Tego nie wie. Diabeł wlepia oczy w ciemność, ale nic nie widzi, maca mrok palcami, które są sine i czarne i równie martwe, co uschnięte drzewo. Natknął się na dwie inne ściany, przedzielające wnętrze na dwie części.

A może to cały czas ta sama ściana?

Skręca zawsze na prawo, zawsze na prawo. Tak właśnie można się wydostać z labiryntu...

Nie!

Nie wierzy w to! Korytarze stopniowo się zwężały i na koniec stały się tak ciasne, że rozkładając ramiona, był

w stanie dotknąć obu ścian naraz, a kiedy podniósł ręce, mógł dotknąć sklepienia.

Ale teraz...

Znalazł się przed ścianą. Gładką ścianą. Zimną stałą. Koniec podróży. Czy jak? A niech to diabli! Już nie może...

Nie przyznaje się sam przed sobą, lecz kiedy dotyka zimnej ściany, nadzieja w jego duszy gaśnie niczym płomień świeczki. W cieniu rozpacz z głębokiego letargu budzi się zło, a złu nie zależy ani na życiu, ani śmierci. Zło samo sobą siężywi i wszystko inne usuwa z drogi. Zachowuje się i żyje jak płomień, który rośnie i rośnie, dopóki nie stanie się tak wielki i okrutny, że pożre, zdusi sam siebie i zmieni się w nicość.

Zło przejmuje władzę nad Jonem Karlem. Warczy w jego głowie, pompuje czarną truciznę w krwiobieg, wślizguje się w każdy nerw, a jego jedynym zamiarem jest rosnać, rozwijać się, pączkować i rozkwitać niczym piekielny duch w ciele, w którym mieszka, niezależnie od tego, jakie to przyniesie efekty.

Zło w swej naturze jest wieczne i dlatego nie ma nic do stracenia i nic do wygrania...

Ciało jest sztywne niczym listwa, a w głowie płonie ogień! Diabeł kładzie dłonie na ścianie i usiłuje odchylić głowę, lecz kark ma nieruchomy. Próbuje krzyczeć, ale głos jest popsuty...

CZERWIEN! WIDZI CZERWIEN!

W głowie Diabła stoi drugi Diabeł, który kładzie dłonie na czerwonej ścianie, jaka znajduje się we wnętrzu tego Diabła,

który stoi jak skamieniały przed granitową ścianą zamykającą korytarz. Ten nowy Diabeł ma nagi tors, długie włosy, ubrany jest w czarne spodnie ze skóry i otoczony płonąca lawą i syczącymi płomieniami...

Odchyła głowę do tyłu, napina spocone mięśnie, wbija skupione oczy w granit i patrzy na wylot przez ścianę, która w jego oszalałych myślach jest tylko nic nieznaczącą skorupką od jajka...

SZATANIE, DIABLE, LUCYFERZE...!!!

Celuje głową w czerwony, płonący punkt za ścianą, bo **KURWA, NIE MA ŻADNEJ ŚCIANY!** Krzyczy jak dziki zwierz, rzuca się do przodu z prędkością błyskawicy i z całych sił wali głową w cienką skorupkę...

XXXVIII

Dziwnie podróżuje się poza ciałem. Bujasz się w przód i w tył, jak na huśtawce, tyle że wolniej, ale ruch w bok jest równie nieprzyjemny. Zawsze towarzyszy temu dziwne uczucie, że bujnięcie w dół jest i dłuższe, i głębsze, niż to w górę, jakby dusza spadała z jakiejś krawędzi. W zwolnionym tempie, jak powtórka w telewizji, i tak raz za razem. W jakiś hipnotyczny sposób jest to trochę uspokajające, ale przede wszystkim chodzi o niekończące się otępienie, które staje się tym bardziej nierzeczywiste, im dłużej człowiek spada w tę ciemną otchłań pachnącą tytoniowym dymem, równie wielką czy równie małą, jak ludzkie myśli, równie głęboką jak echo wolnego taktu, wybijanego przez bęben basowy kapeli: Bom, bom, bom...

XXXIX

Poprzez ciężkie dźwięki bluesa, gwar i gorzkie opary dymu dobiegają głośne uderzenia w dzwon, jakby dochodzące ze statku zabłąkanego we mgle u brzegu nieznanego lądu.

Dźwięk, który powoduje falowanie ciemnej powierzchni podświadomości u stałych bywalców i zimny pot na ich plecach.

Deja vu.

- Za piętnaście minut zamykamy! - woła barman, puszczając linkę, która zwisa smutno z serca starego dzwonu z brązu, niegdyś pełniącego wachtę na holenderskim handlowcu.

Na parterze lokalu mężczyźni siedzą przy stolikach, paląc i pijąc, niektórzy grają w szachy lub wista, inni gawędzą z sąsiadami, a jeszcze inni siedzą samotnie przy barze, skupieni na własnej niedoli i alkoholowym zapomnieniu.

Jak choćby ten w spodniach i w kurtce z dżinsu, który błyszczącym wzrokiem spogląda na ostatni łyk piwa w upačkanym kuflu, po czym zerka na zegarek, który mówi mu, że jest wtorek za piętnaście pierwsza w nocy.

00:45

Po raz pierwszy i ostatni wybiera się na morze. Płynie razem ze szwagrem do Surinamu, gdzie ma zamiar kupić kokainę za tysiąc papierów i przeszmuglować ją do domu. Prawdę mówiąc, to nie on będzie dokonywał przemytu, tylko taki jeden majtek, do tego nie wiedząc, dla kogo pracuje. To właśnie dlatego błagał swojego szwagra o tę robotę. Dowiedział się, że jeden gostek z „Per Se” wisi kupę szmalu w kasynie, gdzie przepułał wszystkie swoje oszczędności. Kiedy dostał robotę, zadzwonił do tamtego i powiedział mu, że odzyskuje długi dla kasyna. Powiedział, że mówią na niego Diabeł, bo wiedział, że jeśli majtek zechce się dowiedzieć o gościa o takiej ksywce, to każdy mu doradzi, by zrobił to, co tamten mu każe, jeśli chce żyć. Potem namówił matkę, żeby sprzedała mieszkanie, w którym mieszka, i z góry spłaciła swoje dzieci. I chciał jej kupić dom, ale później. Zagroził majtkowi, że skrzywdzi jego rodzinę, jeśli ten nie odbierze paczki w Surinamie i nie dostarczy jej do Islandii. Niezbyt to ładnie z jego strony, ale nie chciał ryzykować szmuglu samemu, bo był już notowany i tak dalej. Miał zamiar wynagrodzić to chłopakowi później, kiedy spuści kokę i wyniesie się gdzieś na południe. Wynagrodzi mu tę drobną przysługę, tak sobie na mur postanowił, bo stanie się tak bogaty, że to nie będzie śmieszne!

- Money in the bank, stary! Money in the bank!

Tak, zadzwonił ostatni raz do tego gościa wieczorem, żeby zwieńczyć dzieło, zanim wyruszą w morze. Właściwie zostało już tylko kupić kokę i podrzucić ją chłopakowi. Zadzwonił do niego i zagroził mu, i takie tam, ha! A potem już tylko łykał

i ćwikał, i bzykał...

Otępiony jest trochę od wody i wisi nad barem, ale nagle jakby coś sobie przypomniał czy wpadł niespodziewanie na jakiś pomysł, w każdym razie ni z tego, ni z owego prostuje się i wyjmuje z kieszeni na piersi dzinsowej kurtki złożoną kartkę, rozkłada ją i czyta to, co zostało zapisane niebieskim długopisem: 555-SKIP*.

Wkłada kartkę z powrotem do kieszeni, wypija ostatni łyk piwa, gasi na wpół wypalonego papierosa i zstępuje z wysokiego barowego stołka. Następnie zatacza się w kierunku okrągłego stolika, przy którym skupiło się, popijając, pięciu z dziewięciu członków załogi „Per Se” i poklepuje po plecach dwóch siedzących najbliżej niego. Nachyla się między Runara Hallgrimssona i Arsaella Egilssona i uśmiecha lizusowsko spod rozwichrzonego zarostu.

- Możecie mi pożyczyć dychę, chłopaki? - pyta i chrząka. - Muszę zadzwonić w jedno miejsce, a nie mam drobnych.

- Człowieku, daj nam spokój! - odzywa się bosman Runar, uderza pijacznę łokciem w podbrzusze i odpycha go od stolika.

Ten cofa się dwa kroki, po czym się zatrzymuje, łapie równowagę, sztywnieje i patrzy przed siebie niczym w transie.

Zupełnie jakby jego dusza zasnęła, a jaźń opuściła pijane ciało. Oczy ciemnieją i zapadają się w oczodoły, usta zastygają uchylone. Przez chwilę w trupio bladej twarzy, która w zasadzie jest tylko pokrytą skórą czaszką, nie widać życia. Jest nieprzytomny, zamienił się w ducha albo w zombi,

ale tylko na tę jedną krótką chwilę. A potem jakby w jego wnętrzu dokonana się cicha eksplozja:

Bom, bom, bom...

Płuca znów zasysają powietrze, oczy pojawiają się na powierzchni, palce się poruszają, a z gardła dobywa się przeciągły i przerażający dźwięk ssania, jak z wilgotnej krtani potwora morskiego, który w rozpaczy stara się wypełznąć na ląd.

- Slrrghhs... scalcie się we mnie - bełkoce mężczyzna pijanym głosem i gapi się w nicosć oczyma, które bardziej przypominają krucze ślepie, niż zwierciadło duszy cywilizowanej osoby ludzkiej.

Cały się trzęsie, jakby było mu zimno, skóra na twarzy napręża się, uwydatniając rogówkę i dziąsła, nabrzmiące gałki oczne całkowicie wypełniają upiorne oczodoły, z dziurek od nosa ciurka ciemnoczerwona krew, a z otwartych ust na brodę cieknie ślina, a z niej na podłogę.

Następnie prostuje plecy, mruga oczami i szybko zerka na stół, przy którym siedzi piątka mężczyzn.

- Pięciu martwych ludzi... - przemawia miękkim basem, patrząc Saelemu prosto w oczy. - Z tego czterech na statku.

- Co?

Mężczyźni płaczą się nogi na nierównej drewnianej podłodze, po czym odwraca się na pięcie i wraca na poprzednie miejsce, gdzie siada na ten sam stołek i opiera się o bar.

- Może byś zapłacił, kolego? - pyta barman, wycierając bar mokłą ścierką.

- Czekaj - mruczy gość, obmacując wszystkie kieszenie. W jednej z nich znajduje pomietą paczkę z ostatnim papierosem. - A może jeszcze wezmę jedną kolejkę. Podwójną whisky z lodem i szklanę wody sodowej. I paczkę fajek, czerwonych prince'ów.

Facet wkłada papierosa do ust i zapala go zapalką ze zniszczonego karnetu, który znalazł na barze. Na karnecie widnieje czarno-białe, gruboziarniste zdjęcie starego statku pasażerskiego płynącego po morzu w czasie pełni księżyca. Statek nosi nazwę „Noon”. Na wewnętrznej stronie karnetu ktoś, jakaś ćma barowa, napisał niebieskim atramentem: „To, co na wieki śpi, nie jest martwe...”

- Proszę bardzo. Coś jeszcze? - pyta barman, realizując zamówienie.

- Nie - odpowiada mężczyzna i chowa zapalki, zanim jednym łykiem wypije lodowatą whisky.

- Tysiąc dwieście - mówi barman i wyciera pot z czoła, wertując jednocześnie zeszyt w poszukiwaniu zapisów na Karla Jednorękiego Bandytę. - Co znaczy, że cały rachunek wynosi dziewięć tysięcy sto.

Facet klepie się po kieszeniach kurtki i zagląda do lewej, gdyż wymacał w niej coś grubego. Zauważa opasły plik banknotów dolarowych, ale udaje, że nic nie ma. W tylnej kieszeni dzinsów znajduje cienki skórzany portfel. Otwiera go i zagląda do środka.

- Chwilowo jestem spłukany. - Mężczyzna uśmiecha się po tym, jak zlustrował portfel i nie znalazł w nim nic, prócz tysiąca pięciuset koron.

- To nie masz zamiaru płacić? - Rozdrażniony barman patrzy z wściekłością w głębokie oczy mężczyzny.

- Zapisz to na mnie - mówi facet i uśmiecha się spod zarostu, popijając sodówkę. - Otwórz jakiś taki rachunek, czy coś. Zapłacę jutro.

- U nas nie dostajesz na krechę, wiesz przecież. - Barman kręci głową. - Albo płacisz, albo wołam ochroniarza...!

Barman urywa, kiedy mężczyzna chwyta go za szyję i wyciąga do połowy zza baru. Stopy barmana odrywają się od podłogi, a żyłki na skroniach puchną i ciemnieją.

- Albo to na mnie zapiszesz, albo cię zabiję! Rozumiesz? - Facet zaciska uchwyt na szyi barmana, który z czerwoną twarzą i sinymi obwódkami wokół oczu i nosa stara się kiwać głową.

- Potrzebuję imię, nazwisko i PESEL - mówi barman, wyjmując bloczek i długopis.

- Diabeł - przedstawia się mężczyzna i strząsa popiół z papierosa, zabierając paczkę prince'ów i schodząc ze stołka.

- Diabeł?! - dziwi się barman, podnosząc wzrok. Ale wtedy facet już wychodzi za drzwi.

Za barem znajduje się mały ogródek, nad miastem zawisł mrok, powietrze jest chłodne i rześkie. Pod drzewem siedzi pies nieodgadnionej rasy. Patrzy na Diabła brązowymi oczami i macha ogonem.

- Chodź, stary! - mówi Diabeł, klepiąc się otwartą dłonią w lewe udo. Pies truchta do niego.

Diabeł z papierosem w kąciku ust nachyla się i drapie psa

za uszami, po czym razem znikają w mroku...

XL

Stoi na półokrągłym balkonie i patrzy na rozświetloną salę wielkości ładowni na statku. Jeśli ta sala jakoś się nazywa, to musi to być Złota Sala. Od posadzki po sufit ściany pokryte są złotymi kwadracikami. Na tych kwadracikach znajdują się mniejsze kwadraciki, a pomiędzy nimi palą się światełka, które rozjaśniają złoto niczym czarodziejski ogień. Z sufitu zwisają obłe kryształowe żyrandole, wielkie jak kominy, złożone z podłużnych pionowych kryształów. Żyrandole także są podwójne, a ich wewnętrzne elipsoidy są mniejsze od zewnętrznych. W ich środku również palą się światła, które załamują się i rozpraszają na tysiące światełek, przypominających gwiazdy na niebie albo diamenty w wodzie.

Z oddali dobiegają dźwięki staromodnej jazzowej muzyki tanecznej, choć nigdzie nie widać żadnej kapeli.

Schodzi na salę po szerokich schodach, łukowato wygiętych w dół. Kiedy staje na lśniącej, drewnianej posadzce, zauważa, że takie same schody prowadzą do sali na bakburcie. Nad nim znajduje się balkon, na którym nikogo już nie ma.

Kroczy środkiem sali. Po obu stronach widzi nakryte stoły biesiadne. Najpierw mija stoły dwu - i czteroosobowe, a potem długie, ośmio-, szesnasto - i trzydziestodwuosobowe. Na śnieżnobiałych obrusach pyszną się srebrne sztucce, serwetki w srebrnych pierścieniach, ręcznie malowana zastawa z porcelany i kieliszki z ręcznie ciętego kryształu.

Bardzo dobrze, myśli sobie, jakby to on był za to wszystko odpowiedzialny, jakby to wszystko odbywało się z jego nakazu, jakby zależało mu na tym, żeby nic nie rozczarowało gości ani nie wyprowadziło ich z równowagi.

Od czasu do czasu salę wypełnia jakby gwar, lekki śmiech i brzęk szkła, a wtedy on się odwraca i spogląda na jeden stół, potem na drugi. Ale kiedy spogląda przez ramię, głosy milkną i brzęk szkła zamiera wśród rezonujących ścian.

A może to pisk żelaza i szcęk łańcuchów?

Na przodzie sali podają koniak. Wokół nieprzykrytych obrusami okrągłych stolików poustawiano głębokie skórzane fotele, na podłodze leży gruby dywan, a powietrze nasiąknięte jest zapachem cygar, choć nikt nie pali. Palacz wchodzi po szerokich schodach prowadzących do dwuskrzydłowych, ciężkich drzwi z drewna, które otwierają się na rozświetloną salę. Z kieszeni fraka wyciąga zardzewiały klucz, wkłada go do dziurki i trzykrotnie przekręca w lewo.

Sala za drzwiami to ponura ładownia, ciemna, zimna i pusta. Z początku nic nie widać, zupełnie jakby bezdenna ciemność wysysała całe światło, lecz powoli w ciemnościach

daje się zauważyć powolny ruch, jakby ogromna ryba wypelzała na ląd z czarnej wody. Wielka ryba, wydająca z siebie przeciągły, przerażający dźwięk:

- SLRRRRRRGGGHHHH...!

- Mistrzu! - mówi Palacz, kłaniając się w pas i otwierając szeroko drzwi...

Następujące osoby otrzymują wyrazy podziękowania od autora:

Kapitan Steinar Magnusson i załoga statku „Manafoss” kompanii Eimskip, który wypłynął w morze z Sundahofn 17 września 2004 roku z autorem na pokładzie. GuSni Sigurmudsson z kompanii Eimskip. Valgeir Helgason z Nesskip i holenderscy oficerowie z frachtowca m/v „Andromeda”, których autor odwiedził w porcie w Grundartangi. Benedikt Grondal i Vilbergur Magni Óskarsson, nauczyciele w Fjoltffiknisskóli Islands (Islandzka Szkoła Morska w Reykjaviku). Jaak Oja, konsul Islandii w Estonii.

Rozmowa dwóch mężczyzn w rozdziale V na temat losu statku rybackiego „Sjostjarnan” („Siódma Gwiazda”) z Keflaviku opisuje prawdziwe wydarzenia. Opowieść o uciekinierach estońskich w rozdziale XXX oparta została na opowiadaniu Carla B. Walla, wydanym po islandzku w roku 1958.

Moich przyjaciół, Sartre'a, Lovecrafta i Morrisona, klepię po plecach.

Szczególne podziękowania z okazji dziesięciolecia wydania Drzwi w Czarnych Górach otrzymuje ojciec chrzestny S.K.,

który w roku 1970 usiadł przed maszyną do pisania i wypuścił bezimiennego rewolwerowca na wędrowkę przez pustynię, której końca do tej pory nie widać...

Stefan Mani, sierpień 2006

Książki oraz bezpłatny katalog

Wydawnictwa W.A.B.

można zamówić pod adresem:

02-386 Warszawa, ul. Usypiskowa 5

tel./fax (22) 646 01 74, 646 01 75, 646 05 10, 646 05 11

e-mail: wab@wab.com.pl

www.wab.com.pl

Przekład: Jacek Godek Redakcja: Małgorzata Denys

Korekta: Agata Krzemkowska, Katarzyna Pawłowska

Redakcja techniczna: Anna Hegman

Projekt okładki i stron tytułowych: Piotr Grabowski

Fotografia wykorzystana na I stronie okładki: © Jim

Zuckerman / CORBIS / FotoChannels Fotografia autora: ©

Baldur Kristjansson

Wydawnictwo W.A.B.

02-386 Warszawa, ul. Usypiskowa 5

tel./fax (22) 646 01 74, 646 01 75, 646 05 10, 646 05 11

wab@wab.com.pl

www.wab.com.pl

Druk i oprawa: Łódzka Drukarnia Dziełowa S.A., Łódź

ISBN 978-83-7414-828-3